

/ część kontynuacji NĘDZNIKÓW

Francois Ceresa KOZETA.

CZAS ZŁUDZEŃ

Paryż, rok 1833. Po śmierci Jeana Valjeana jego przybrana osiemnastoletnia córka Kozeta zostaje żoną Mariusza Pontmercy. Prześladowca Valjeana, inspektor Javert, uchodzi z życiem z próby samobójczej. Pod zmienionym nazwiskiem Verjat stara się odkupić swoje dawne winy. Pieniądze i nowe znajomości w kręgach „złotej młodzieży” Paryża przewracają Mariuszowi w głowie. Jego nowy przyjaciel, markiz Amadeusz d'Iguerande, poznaje go z Klemencją de Lavelly; Mariusz nawiązuje z nią romans, zaniedbując Kozetę, która jest w ciąży. Wrogowie Mariusza, chcąc pozbawić go majątku, knują przeciwko niemu intrygę. Mariusz popada w konflikt z prawem; pod fałszywymi zarzutami zostaje zesłany na galery, skąd próbuje uciec. Zakochany w Kozecie Amadeusz stara się zdobyć jej rękę...

FRANCOIS CERESA

UCIECZKA
MARIUSZ
A

Kiedy Wilczarz przyszedł z wiadomością, że z baronową wszystko poszło jak zaplanowali, Thénardier siedział przy stole w swym mieszkaniu i liczył pieniądze.

—Jest tylko jeden problem — napomknął Wilczarz nieco zmieszany, stojąc z opuszczoną głową i mnąc czapkę w rękach. — Dziecko zostało porwane przez jakiegoś księdza.

—Księdza?

—Nawet zdzielił mnie grubą łagą.

Thénardier spiesznie wsypał monety do sakiewki. Wbrew obawom Wilczarza nie uniósł się, tylko chwilę zastanowił.

—Grubą łagą? Gérard mówił mi, że Moreau chodzi z grubą laską. To na pewno on. Carignol musi go odszukać i aresztować. Wiemy już, że ukrywa się gdzieś w pobliżu kościoła Saint--Sulpice i utrzymuje dobre stosunki z tamtejszym klechą. Podobno jest nawet profesorem. Muszę przyznać, że dosyć mnie to zdumiewa. Jeśli profesorowie biorą się za robotę zbójów, dokąd nas to doprowadzi!

—Prosto to celu — rzekł Wilczarz. — Zaraz się dowiesz dlaczego.

I opowiedział mu, że w pewnej chwili na progu przytułku dla podrzutek pojawiła się zakonnica, która była świadkiem, jak fałszywy ksiądz napadł na niego, a potem uciekł.

Na ustach Thénardiera pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Bardzo dobrze, Wilczarzu. W tej sytuacji ów ksiądz jest winny porwania. No a Carignol może prowadzić śledztwo i działać jak najbardziej legalnie. Złapie tego Moreau martwego lub żywego. I to raczej martwego niż żywego.

Rechtot wstrząsnął całym jego ciałem.

— Oczywiście ani słowa garbusowi czy Gérardowi — zaaczył. — Przynajmniej na razie. Jeśli Burdin dowie się, że nie wiadomo, gdzie jest dziecko, zacznij się bać. A współnik, który się boi, staje się potencjalnym wrogiem.

Wilczarz upewnił go jednoznacznym gestem.

—Ja wybrałem, po której jestem stronie, Koci Królu. Obaj jesteśmy z tej samej gliny.

—Niewątpliwie, mój zuchu.

Thénardier darzył ślepym zaufaniem swego nowego pomagiera. Zdarzało mu się to po raz pierwszy. Czyż nie przygarnął go do swego domu? Nie umieścił w małym prowizorycznym mieszkanku na parterze, po lewej stronie na wprost podwórka i klatek na króliki? Czyż Wilczarz nic był jedynym człowiekiem mającym wgląd w rachunki Chat-Malin i warsztatu? Oczywiście Rudas też korzystał niegdyś z tego przywileju. Ale go nadużył.

— Jeśli chodzi o Rudasa, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Powiem mu, że jego ojca zabił Szkapą. A ty powiesz Szkapie, że Rudas chce zabić małego Rafaela.

Wilczarz klepnął się w czoło.

—No właśnie, Koci Królu, zapomniałem powiedzieć ci czegoś o Rudasie!

—Tak? A mianowicie?

—Fałszywy ksiądz powiedział mi coś, co nie bardzo zrozumiałem. Mówił o diamentach.

Thénardier przełknął ślinę.

—O diamentach?

—Powiedział mniej więcej tyle, że Rudas ma ich pełne kieszenie.

Thénardier wstał i jęknął z rozpaczą.

—Do licha! On, którego niemal wykarmiłem własną piersią!

—Czy to twoje kamienie? — zdziwił się Wilczarz.

—Tego nie powiedziałem...

Otworzył szufladę jakiegoś mebla zavalonego masą przeróżnych szpargałów, wyjął z niej pistolet i wręczył go Wilczarzowi.

— Weź to i daj Szkapie. Chcę, żeby te dwa ścierwa starły się na ulicy. A do tego czasu zastanowię się, co dalej. W każdym razie ty pójdziesz tam, gdzie rzucają się sobie do gardła, i dobijesz rannych. Nie zapomnij też przetrząsnąć kieszeni Rudasa!

Potem zerknął na zegarek i rzekł:

—Czy ta kobieta tam jest?

—Siedzi zakneblowana w moim pokoju. Są z nią Dwadzieścia Dwa i Pégasse, Koci Królu. Mam wrażenie, że narkotyki przestają działać. To istna furia!

*

Kozeta była przywiązana do krzesła i miała oczy zasłonięte przepaską. Kiedy Thénardier wszedł do cuchnącej nory Wilczarza, Dwadzieścia Dwa i Pégasse zdjęli jej przepaskę z oczu. Mimo dziennego światła, które sączyło się przez opatrzone kratami jedyne okno, w pomieszczeniu było ciemno. Kozeta gwałtownie potrząsała na wszystkie strony głową i tupiała nogami.

— Kim jesteście? — krzyczała. — Czego ode mnie chcecie? Gdzie jest mój syn?

Thénardier dał oczami znak, by Dwadzieścia Dwa, Pégasse i Wilczarz zostawili ich samych. Usłuchali bez słowa.

Kozeta widziała teraz lepiej chudego bladego mężczyznę, który stał przed nią. Miał wciśniętą na oczy czapkę z kociej skóry i śmiał się bezgłośnie.

— Co to, skowronku, nie poznajemy ojczulka Thénardiera?

Lodowaty dreszcz wstrząsnął ciałem młodej kobiety. To on?

Starala się wymazać ze świadomości okres najwcześniejszego dzieciństwa, spychając go do ciemnych zakamarków pamięci, a oto teraz dopadł do niej znowu. Skowronek... Właśnie tak nazywał ją Thénardier, ten potwór, ten wyzyskiwacz, ten kat dzieci. Na to wspomnienie zaczęła drzeć jak osika. Wstrząsały nią kolejne fale drgawek, których nie mogła opanować. W głowie miała zamęt. Obraz Thénardiera stawał się coraz bardziej niewyraźny. O mało nie straciła przytomności.

— Ej tam, chyba mi nie zemdlejesz, Skowronku?

Kozeta otworzyła oczy. Thénardier z uśmiechem szczypał ją w koniuszek ucha. Wszystko stało się znów wyraźniejsze. Przed jej oczami przesuwaly się różne obrazy. Nagle zobaczyła znowu, jak w gospodzie U Sierżanta spod Waterloo w Montfermeil, przykucnięta na poprzeczce łączącej nogi kuchennego stołu, tuż przy kominie, odziana w łachmany, z bosymi stopami w drewnianych sabotach, robi na drutach wełniane pończochy dla Eponiny i Anzelm, córek Thénardierów. A te jęzde bawią się w jakimś kącie. Wyśmiewają z Kozety. Potem przed oczyma stanęła jej żona Thénardiera, olbrzymia kobieta z wystającym jednym zębem, podobna do żandarma, owłosiona i okrutna, która tak często chwytala za dyscyplinę wiszącą na gwoździu obok paleniska... I wreszcie on, Thénardier, z fajką w ustach, połączenie Shylocka z Volponem, w bluzie zarzuconej na czarne ubranie, człowiek, który na przemian przeklinał i robił znak krzyża.

— To pan?...

Teraz już nie robił znaku krzyża. Całkiem zszedł na złą drogę. Gdyby nie szpakowata broda, zasłaniająca sporą część jego lisiej twarzy, prawie się nie zmienił.

Kozeta znów lekko się zachwiała. Poczula ucisk w piersi i o mało nie wybuchnęła płaczem. Ale nie. Nie robi mu tej przyjemności. Spięła się, rozluźniła i zacerpnęła powietrza. Teraz wspomnienia stawały się wyraźniejsze. W owych czasach miała zaledwie osiem lat. I pod obojętnym spojrzeniem tego podłego człowieka, w którego duszy płonął żar nienawiści,

myła, szorowała, czyściła, zmiatała, harowała, cierpiała, dostawała ciągi. Kozeta kopcuszek, Kozeta dziecko-męczennik. Służąca do wszystkiego. Zwłaszcza do najcięższych prac. Trzeba było dopiero czekać na pojawienie się Jeana Valjean, człowieka zesłanego przez Opatrzność, który wyrwał ją ze szponów tego piekielnego stadła... Wykupił Kozetę jak niewolnicę. Dobił targu z jej dręczycielami. Ale Thénardier jeszcze nie darował, pojechał za nimi i usiłował wyciągnąć z Jeana Valjean więcej pieniędzy.

„Panie, którego nazwiska nie znam, albo zapłaci mi pan pięć tysięcy franków, albo zabiorę Kozetę”.

Na widok kija Jeana Valjean znieruchomiał i osłupiał. Potem szedł jeszcze za nimi przez las. Jean Valjean odwrócił się, trzymając za rękę Kozetę, która przyciskała do piersi lalkę Katarzynę. Spojrzał tak ponuro, że Thénardier uznał, iż nic nie wskóra, i zawrócił.

—A więc pan żyje? — spytała Kozeta z pewną siebie miną.

—A dlaczego chciałabyś, bym umarł i już nigdy nie zobaczył mego Skowronka?

Odrzucił głowę do tyłu i zarechotał, aż ślina zabulgotała mu w gardle.

—Proszę mnie rozwiązać albo zacznę krzyczeć.

—Ależ oczywiście, moja czarodziejko.

Zbliżając się do Kozety, Thénardier sprawdził, czy w kieszeni ma buteleczkę ze środkiem nasennym. Powiedział sobie w duszy, że Gérard jest jednak bardzo przydatnym człowiekiem. Chociaż nie lubił tego osobnika, który prowadził rozwiązłe życie, przyznawał, że ma on co najmniej dwie zalety: dostarcza, co trzeba, i nie zadaje zbędnych pytań. Należy zresztą przyznać, że ani Koci Król, ani Burdin o niczym go nie informowali.

— Obiecuj, że nie będziesz się szarpała i starała zaalarmować całą dzielnicę — rzekł Thénardier wślizgując się za krzesło, do którego była przywiązana Kozeta. — W każdym razie — dodał, parszcząc śmiechem — i tak nikt by cię nie usłyszał.

Rozwiązał dłonie młodej kobiety i pozwolił, by sama uwolniła się z pęt krępujących nogi. Przyglądał się jej dłuższą chwilę. Była ładną niewiastą. Niegdyś, gdy był oberżystą w Montfermeil, zdarzało mu się oglądać za spódniczkami. Do tego stopnia, że jego zazdrosna połowica zwalniała kolejne służące, które chętnie przyjmowały jego zaloty. A teraz, gdy podobne myśli nigdy nie przychodziły mu już do głowy, spostrzegł, że mała Kozeta jest bardzo w jego guście. Dość pulchna, jasnowłosa jak amorek, bardzo elegancka w marszczonej w talii sukni koloru granatu.

— Wyrosłaś na śliczną dziewczynę, Skowronku.

Kozeta wzięła się pod boki i zatopiła wyzywające spojrzenie w oczach starca.

— Niech się pan przejrzy! — zawołała, wskazując szybę w oknie, wystarczająco brudną, by służyć jako lustro. Jakież czarujący z pana Romeo! Jest pan starym dziadem, panie Thénardier! Co za wstyd! Na pański widok zbiera mi się na wymioty!

— No więc wymiotuj, ślicznotko.

Ta krótka i pogardliwa odpowiedź wywołała w Kozecie tyle wspomnień, że spurpurowiała. Z jej piersi wydarł się krzyk wściekłości, a szczęki się zacisnęły. Rzuciła się na Thénardiera z paznokciami, by rozorać mu twarz.

— Do diaska! — zawołał. — A to mała zaraza!

Chciał uskoczyć, ale potknął się i upadł. Gdy tak leżał na ziemi, kopnęła go w brzuch.

— Pamięta pan, Thénardier?! — wrzasnęła i nogą zadała mu cios w twarz. — Pamięta pan?!

— Hej tam, chodźcie no tutaj — krzyknął, zasłaniając się nieporadnie rękami.

Do pokoju wpadli Wilczarz, Dwadzieścia Dwa i Pégasse. Natychmiast obezwładnili Kozetę, która nadal rzucała się na Thénardiera.

— A to harpia — powiedział stary, podnosząc się z pomocą Wilczarza. — Popatrzcie, podrapała mi twarz do krwi! Ale jeszcze wytresuję tę nadętą damu! —

Potem zwrócił się do Dwudziestu Dwu i Pégasse'a:

— Rozbierzcie mi tę książniczkę, a potem niech włoży łachy, które wam dałem!

Dwaj obwiesie nie dali się prosić. Kozeta nawet nie protestowała. Obrzuciła każdego z obecnych spojrzeniem pełnym wyzywającej wyższości. Wszyscy opuścili oczy.

— Coście się tak zacukali? — powiedział ochryplym głosem Thénardier. — Do roboty, Pégasse.

Zbir rzucił Kozecie męskie łachy, które przygotował dla niej Thénardier. Nie stawiała oporu. Spokojnie, z prowokacyjną pogardą, włożyła spodnie i koszulę. Po kryjomu wzięła swój kryształowy kamień i wsunęła go do kieszeni spodni. Dwadzieścia Dwa, albinos o czerwonych oczach, pożerał ją wzrokiem.

— Spokój tam — mruknął Thénardier, zwracając się do niego jak do podwórzowego psa, którego wabi się widokiem kości. — Na to przyjdzie czas później...

Potem przesunął zakrzywionym brudnym palcem wskazującym po rozoranym policzku i podał mu flakonik ze środkiem nasennym.

— Na razie ta dama zostanie tutaj — obwieścił. — Co najmniej przez tydzień. O suchym chlebie i wodzie. Następnie odbędzie małą praktykę w warsztacie. Ponieważ wraca do wspomnień, będzie miała to, czego chce. Potem zobaczymy. Ale sądzę, że znowu ochoczo zacznie machać szczotką i wyżywać ścierkę do podłogi!

Zarechotał i parę razy poklepał Wilczarza po ramieniu.

Kozeta spiorunowała go wzrokiem i spokojnym głosem oświadczyła zimno:

—Nie ujdzie to panu płazem. Mam przyjaciół. Odnajdą mnie, może mi pan wierzyć.

—Nie wierzę — warknął Thénardier i zwrócił się do Pégasse'a: — Ogolisz tej szmacie głowę i wysmarujesz jej twarz błotem. Potroimy też dawkę syropu. Codziennie trzy łyżki! To ją uspokoi. A jeśli wyciągnie pazury, dołożysz jeszcze jedną porcję!

Kozeta pomyślała o swym małym Jeanie. Czy jest w bezpiecznym miejscu? Czy nic mu się nie stało? Przez jej oczy przemknął błysk rozpaczy. Ale z ust nie dobył się żaden dźwięk.

— Wiedz też — powiedział Thénardier, jakby zgadując jej myśli — że twój syn również został porwany. Istna epidemia! Z tą tylko różnicą, że nie wiadomo przez kogo. Widzisz, życie jest okrutne, skowronku.

Porażona tą informacją Kozeta nabrała powietrza w płuca i usiłowała zachować spokój. Powoli zaczęła znów równomiernie oddychać. W jej źrenicach pojawił się twardy błysk. Podeszła nieco bliżej do Thénardiera i plunęła mu w twarz.

— Nie zrobię ci satysfakcji i nie będę cię o nic błagać — powiedziała głuchym głosem. — Mój ojciec czuwa nade mną. Bądź przeklęty, Thénardier!

Na myśl o Jeanie Valjean staremu hultajowi krew uciekła z twarzy. Czyżby ten natręt, ten fałszywy ojciec, ten osobnik uniemożliwiający podstępne knowania, ten galernik, który pewnego dnia w ruderze Gorbeau na jego oczach przytknął sobie do ramienia rozpalone żelazo, a potem uciekł po sznurkowej drabince, gdy Javert i jego policjanci obstawili dom, jeszcze żył?

Przez głowę przemknęła mu myśl, by uderzyć Kozetę w twarz. Ale postanowił zakończyć to spotkanie i wyszedł z nory Wilczarza. Wkrótce jego zemsta będzie totalna. Było to nieuniknione.

— Słuchaj no — zagadnął Wilczarz, który wyszedł za nim — dlaczego nazwała cię Thénardierem?

— Musisz ją o to zapytać.

*

Verjat przebywał z dzieckiem w swej kryjówce i znosił to z wielką cierpliwością. Ksiądz Rillet codziennie przynosił mu jedzenie. Verjat przestał się golić. Pewnego dnia poprosił dobrego ojca, by kupił mu okulary.

— Mam już swoje lata, ojczy. A tu ledwo widzę.

W owej przyległej do zakrystii kryjówce, do której wchodziło się przez tylną ścianę szafy, wygody były bardzo względne. Nie zaglądało tu światło dnia, więc wszystko cuchnęło pleśnią. Ściany pokrywała saletra. Podsunęło to Verjatowi pewien pomysł. Czyż saletra nie jest azotanem potasu, który może stać się bronią równie groźną jak proch? Wystarczy trochę ją z czymś zmieszać. Na jego prośbę ojciec Rillet przyniósł więc siarkę i węgiel drzewny. Verjat zabrał się do roboty. Po dwóch tygodniach miał dwa pełne worki.

Z małym Jeanem również nieźle sobie radził. Jak wszyscy samotni mężczyźni, ten stary kawaler umiał zagrześć wodę, zmyć naczynia, nakarmić dziecko butelką, przygotować kaszkę i utrzymać względny porządek. Przewijał malca i zmieniał mu pieluszki. Czasem, kiedy chłopiec zasypiał w koszu dostarczonym przez księdza Rilleta, długo się w niego wpatrywał przy świetle świecy. Sam nigdy nie miał dziecka. I nie żałował tego. „Wylałem zbyt wiele łez, gdy umarła mi matka — mówił do siebie. — Nie chcę narażać na to jakiejś niewinnej istoty. Sprowadzanie na świat dzieci to tworzenie życiorysów wiodących ku śmierci”. Mówił sobie również, że za swój nieuleczalny smutek mścił się może, stając się takim człowiekiem, jakim jest. Potem, kiwając głową, dodawał cicho:

— Przystając tylko z sobą samym, często obracamy się w złym towarzystwie.

Gdy dziecko budziło się w nocy, Verjat podgrzewał mu butelkę z mlekiem i miodem. Mały miał teraz dziesięć miesięcy i bez przerwy szczebiotał. Verjat brał go w ramiona i opowiadał bajki. Mały człowieczek słuchał tego, czego nie rozumiał, a duży człowiek usiłował pojąć to, czego nie rozumiał nigdy. Po południu Verjat dawał Jeanowi butelkę z wodą zmieszaną z pomarańczowym sokiem.

— Będziesz jak ja — szeptał — twoja energia i żywotność będą promieniowały na wszystkich.

Czasem dziecko zasypiało na wielkich rękach byłego poli-

ejanta. Nie można było patrzeć bez wzruszenia na tego człowieka o twarzy „Rycerza śmierci” Durerera, kołyszącego cherubinka godnego pędzla Belliniego. Pewnego razu ów czarujący obrazek zobaczył ksiądz Rillet, który przyniósł chleb i mleko. Położył wiktuały i najpierw cicho klasnął w dłonie, a potem złożył je w geście żarliwej medytacji. Następnie zwrócił oczy ku niebu i wyszeptał:

—Doprawdy nikt by nie powiedział, że...

—Co takiego? — zdziwił się Verjat, otwierając oczy.

Zmieszanie duchownego uświadomiło mu, że ksiądz musi wiedzieć, kim jego przyjaciel jest naprawdę. Zresztą jakże mogłoby być inaczej, skoro sam wyciągnął go z nurtów rzeki, przebrał i bez wątpienia przejrzał jego papiery?

Ksiądz Rillet spędzał sporą część popołudnia z Verjatem. Rano odprawiał mszę i poświęcał się dobroczytności.

—Czy nie ma żadnych wieści o Kozecie? — spytał go Verjat.

—Żadnych, synu.

Pewnego dnia u księdza zjawił się brygadier Carignol z dwoma żandarmami. Verjat przytknął ucho do muru dzielącego jego kryjówkę od zakrystii. Można było wszystko usłyszeć.

— Przykro mi, że przychodzę do księdza w nieprzyjemnej misji, ale nic na to nie poradzę. A ponieważ nie mam żadnego powodu, by ukrywać jej przedmiot, mogę księdzu oznajmić, że chodzi o aresztowanie pana Moreau.

Po drugiej stronie ściany Verjat uderzył pięścią o pięść.

—Ludzie, którzy chcą mi się dobrać do skóry — powiedział do siebie — odkryją wreszcie, kim jestem naprawdę. Sprawy zaczynały się komplikować.

—Wielki Boże, a o co jest oskarżony? — chciał wiedzieć ksiądz Rillet, który znał przybrane nazwisko swego protegowanego.

—Jest podejrzany o porwanie dziecka. Muszę wykonać rozkaz, ojcze. Gdzie znajduje się pan Moreau?

Ksiądz zrobił przerażoną minę.

—Co ja słyszę! Przecież wyniósł się tydzień temu, synu! Nie wie pan, że wyprowadził się z ulicy Tournon?

—Z ulicy Tournon? Wydawało mi się, że mieszka przy ulicy Garanciere...

— Widział pan jego nazwisko przy ulicy Garanciere?

— Nie...

Carignol, człowiek niezbyt rozgarnięty, nic już nie rozumiał. A ksiądz gmatwał tropy.

—Czy człowiek ten nie prowadzi wykładów dla studentów teologii? — spytał żandarm.

—Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedział sucho ksiądz. — Najpierw był kościelnym, potem diakonem.

—Diakonem?...

Carignol nie wiedział nawet, co to znaczy. Według niego był to ktoś bardzo ważny tak jak papież czy biskup.

— Czy chodzi o zwykłe podejrzenie? — spytał ksiądz Rillet, podczas gdy Verjat setnie się bawił po drugiej stro nie muru.

Brygadier nadął się.

— Wymiar sprawiedliwości zaczął żywić to podejrzenie po oświadczeniu człowieka pod każdym względem godnego szacunku: pana Barona, którego zaatakował wspomniany Moreau.

Tak brzmiało prawdziwe nazwisko Wilczarza: Baron. Verjat szybko odnotował je w pamięci. On także przeprowadzi swoje śledztwo.

— Podobne zeznanie złożyła również przełożona przytułku przy ulicy de l'Enfer — dodał brygadier. — Obydwoje widzieli owego Moreau uciekającego z dzieckiem na rękę.

Potem wyciągnął z torby dokument upoważniający do aresztowania Moreau.

—Ogromnie mi przykro, ojczy, ale musimy przeszukać plebanię.

—Czyń swoją powinność, synu. Powiem memu przyjacielowi, panu Gisquetowi, jak sumiennie wykonujesz swoją pracę.

Carignol przełknął ślinę. Gisquetowi, prefektowi policji? Och, dlaczego posłuchał rad Gérarda, Wilczarza i Kocięgo Króla?

Żandarmi oczywiście niczego nie znaleźli, ponieważ naprawdę nie szukali. Carignol odbębnił swoją misję. Oznajmił, że wkrótce sprawą zajmie się któryś z komisarzy. Ksiądz Rillet bardzo się zdziwił, gdyż w Paryżu ginęły dziesiątki dzieci. Porwań czy przypadków dzieciobójstwa nawet nie liczono. Nie mówiąc już o zatrudnianiu dzieci w różnych interesikach, takich jak prowadzony przez Thénardiera handel kocim mięsem. Albo o bandach nieletnich złodziejasków, grasujących w okolicach Pont-au-Change, którzy musieli jakoś zdobyć środki na przeżycie.

Po drugiej stronie muru Verjat pienił się z wściekłości. A więc będą go ścigać, jego, dawnego asa policji? Pokręcił głową. Potem usłyszał szczebiot małego Jeana. Wyjął go z koszyka, przytulił do piersi i ukotyłsał. Dziecko dostało czkawki. W końcu ułało mu się trochę pokarmu. Verjat wytarł mu buzię i chłopczyk natychmiast zasnął, opuściwszy rączki, rozchyliwszy usteczka, zupełnie bezbronny. Były inspektor policji znów pokiwał głową. Jak mógł zrezygnować z czegoś takiego? Kiedy trzymał to dziecko w ramionach, nic już nie miało znaczenia.

Podszedł do cebrzyka, nad którym wisiało niewielkie lustro. Przyglądał się sobie przez chwilę i tuląc malca do piersi, przesunął ręką po brodzie. Niedługo będą wyglądał jak kapucyn, powiedział do siebie z wymuszonym uśmiechem, w którym cała jego twarz zmarszczyła się jak pysk doga. Potem skrzywił się i pomyślał: Kto mógłby pokochać taką gębę? Pogładził główkę dziecka i ułożył je w prowizorycznej kołysce.

— Śpij, małeńki — szepnął.

Sam pogrążył się w gorzkich rozmyślaniach. Zastanawiał się, co mogło stać się z Kozetą. Thénardier i garbus musieli ją porwać. Ale gdzie jest? Thénardier z pewnością ma wielu wspólników i dysponuje mnóstwem kryjówek. Czy aby Kozeta

jeszcze żyje? Nie dopuszczał najgorszego. Czy można powiadomić markiza dTguerande? Czy nie jest w zмовie ze swym intendentem?

Wszystkie te pytania, na które chciał znać odpowiedź, za przątały jego umysł. Nie podjął żadnej decyzji. Ale teraz, gdy brygadier deptał po piętach jemu czy też Moreau, co wychodziło na jedno, powinien zacząć szybko działać. Najpierw trzeba zapewnić bezpieczeństwo dziecku. Umieścić je poza zasięgiem ręki wszystkich tych bandytów. A potem zastanowić się, co dalej.

—Tym razem znalazł się pan w opałach — powiedział ksiądz Rillet wieczorem. — Wszystko sprzysięgło się przeciw panu. Jednak wiem, że nie uczynił pan nic nagannego. Przeciwnie. A ten brygadier zrobił na mnie fatalne wrażenie. Wszystko, co mówił, wydało mi się fałszywe. Zresztą nie napomknął ani słowem o Kozecie.

—Nie napomknął ani słowem o Kozecie, ponieważ o niczym nie wie, ojczu. To figurant. Kupiony, sprzedany, jak ksiądz woli, ale figurant.

Verjat nie rozwodził się więcej nad tą sprawą. Poinformował księdza, że nazajutrz zamierza wyjechać z Paryża i udać się do Paray-le-Monial. Poprosił, by przedtem postarał się dla niego o pistolet, proch i powóz.

—Ależ będziemy obserwowani, synu!

—Być może, ale nie w środku nocy.

Dzięki swym stosunkom ksiądz Rillet znalazł powóz, który miał zawieźć Verjata do Fontainebleau. Tam chciał wsiąść do dyliżansu jadącego do Roanne. Następnie zamierzał dotrzeć do Paray-le-Monial wozem pocztowym. Była to długa podróż.

*

Nazajutrz o północy na Verjata i dziecko czekał powóz za kościołem Saint-Sulpice, na ulicy Servandoni. Były policjant, przebrany za księdza, miał plecak, do którego włożył jedzenie,

ubrania i dwa woreczki saletry. Gdy wyszedł na dwór, zdziwił go niezwykle tu ruch. Plac był oświetlony lampionami i grała muzyka.

— Poprosiłem naszych studentów o zorganizowanie małej zabawy — mruknął ksiądz z miną konspiratora. — Jest nawet wśród nich człowiek, który ma na sobie ubranie pana Moreau. Myślę, że możecie jechać spokojnie.

Po drodze dawny inspektor policji rzucił duchownemu porozumiewawcze, ciepłe spojrzenie. Przyjaciół nie zawsze musi coś powiedzieć, by dać znać, że rozumie. Przemykając jak najciszej pod murami, obaj z księdzem skierowali się w stronę powozu. Verjat niósł na rękach małego Jeana, którego ukrył pod peleryną.

— Mam w prefekturze przyjaciół — ciągnął ksiądz Ril-let.

— Wziąwszy pod uwagę obrót, jaki przybrały sprawy, może lepiej byłoby powiedzieć prawdę...

— Jaką prawdę, ojczu?

— Nie rozumiem pana.

— Jeśli może to panu pomóc, ja też nie rozumiem.

Gdy już wsiadł do powozu, ksiądz podał mu pistolet i proch.

— Wie pan, Verjat, że w tym stroju nie wolno panu użyć tych rzeczy. Prawdę mówiąc, kiedy ma pan okulary i brodę, może powinno się do pana zwracać „księżu Verjat”?

— Jak ksiądz woli. Ale kiedy dowiem się czegoś więcej, a ta niewinna istotka będzie bezpieczna, proszę do mnie mówić Javert. Po prostu Javert.

I woźnica trzasnął z bata.

*

W chwili gdy brygadier Carignol przyszedł do zakrystii kościoła Saint-Sulpice, dwaj mężczyźni zjawili się pod dawnym domem Kozety przy ulicy Plumet. Pierwszy miał cienki wąsik i ciepłe, błyszczące spojrzenie. Był ubrany jak robotnik. Miał założoną na bakier czapkę, brązową bluzę, aksamitne spodnie

i robocze buty nabijane gwoździami. Na jego młodzieńczej twarzy malowała się naiwność i twardość. Można było się dziwić, że z tego młodego człowieka emanuje owa brutalna uroda, którą spotyka się jedynie w fizjonomiach starych żołnierzy nawykłych do walki i już nią znużonych. Jego starszy towarzysz, również w roboczym ubraniu, nie miał jednej ręki. Dzięki swej pokrytej zmarszczkami twarzy i silnej budowie ciała sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ufa niczemu i nikomu. Każdy z przybyszów miał zawieszoną na ramieniu torbę. A w niej pistolet i kordelas.

— Chyba niczego tu już nie zwojujemy, Mariuszu.

Tablica na bramie oznajmiała, że dom jest do wynajęcia. Należało się zwrócić do właściciela, niejakiego pana Chaus-selas.

Nagle na ulicy pojawił się jeździec i zatrzymał obok dwóch mężczyzn. Był ubrany w niebieski frak z guzami, szarą kamizelkę od stroju *clubmen whig*, zamszowe spodnie i wysokie buty z mankietami.

Mariusz podniósł oczy i poznał Henryka de la Roche-Dragon. Przez ciało przebiegł mu dreszcz. Skinął lekko głową i starając się mówić z południowym akcentem, spytał młodego arystokraty:

— Bardzo pana przepraszam, czy nie wie pan, co się stało z dawnymi właścicielami tego domu?

Henryk de la Roche-Dragon trzasnął szpicrutą, spojrzeniem zmierzył obu mężczyzn od stóp do głów i odpowiedział:

— Pan baron Pontmercy zmarł, a wdowa po nim wyprowadziła się co najmniej pół roku temu. Nie potrafię powiedzieć, co się z nią teraz dzieje. Mimo łączących nas dobrych stosunków nie uważała za stosowne podać mi nowego adresu. Ale o co właściwie panom chodzi?

Spojrzenie, jakim obrzucił obydwu mężczyzn, było bardzo wymowne. Dlaczego zniżał się do rozmowy z takimi prostakami?

— Jestem młodszym bratem służącej pani baronowej —

skłamał Mariusz, jak najbardziej zmieniając głos. — Ja i mój towarzysz służyliśmy w wojsku w Algierii i właśnie stamtąd wracamy. Bardzo pragnąłbym zobaczyć się z Magdaleną.

Henryk de la Roche-Dragon przesunął prawą ręką pod brodą jak człowiek, który się nad czymś zastanawia. Mariusz zobaczył, że ma rękawiczki ze skórki tak cienkiej, iż widać zarys paznokci. Żółte rękawiczki. Jakie niegdyś on nosił. Co za kpina!

— Baron Pontmercy miał przyjaciela, młodego arystokratę o nieco przesadnie wykwintnych manierach, Amadeusza d'Iguerande. On też gdzieś się ulotnił. Nie widać go w Jockey Clubie ani w sali fechtunku lorda Seymoura. Słyszałem, że ten biedny młodzieniec bywa w wielu spelunkach w okolicach bulwaru du Tempie. Tyle tylko mogę panom powiedzieć. Żegnam.

Młody fircyk nastroszył koronkowe końce białego krawata i nie oglądając się za siebie, precyzyjnym ruchem pięty pogończył konia w stronę swych stajen.

Czy aż tak się zmieniłem?, zadał sobie pytanie Mariusz, odprowadzając go spojrzaniem. Przez dwa miesiące mieszkali z Kochasiem wśród przemytników w zaroślach na górze Ventoux. Niedaleko Soult w Prowansji, między Malaucene i Banon, nauczyli się polować na zające i skalne kuropatwy, żywili się roślinami, jagodami i owocami. Wody i miodu było tu pod dostatkiem. Nigdy nie spali dwa razy w tym samym miejscu, unikali wiosek i targowisk. Pewnego dnia w okolicy Cavaillon sprzedali konie braci Erzbetów jakiemuś handlarzowi z Apt. Odrosły im włosy, rana Kochasia zabiłżniła się. Gdy odzyskali ludzki wygląd, postanowili pojechać do Paryża. Ich długa droga prowadziła przez Awinion, Valence, Lyon, Dijon, Troyes. Wszystko to na piechotę lub na chłopskim wozie. Nigdy nie wędrowali uczęszczanymi szlakami. Czyż skazańcy Kochaś i Aleksander Tixier nie uciekli z galer?

Wszystkie służby francuskiej policji miały ich rysopisy. Na jednym z posterunków żandarmerii dowiedzieli się nawet, że

sam komisarz Raynaud wbił sobie do głowy, że musi złapać zbiegów.

— Właśnie dlatego nie możemy tutaj zostać — rzekł niecierpliwiony Kochaś. — Uważam, że kręci się tu o wiele więcej żołnierzy i żandarmów niż zwykle.

Postanowili pojechać do Ameryki. Ale przedtem Mariusz chciał się upewnić, jak się rzeczy mają: czy Kozeta naprawdę o nim zapomniała?

Kiedy przed chwilą przybył na ulicę Plumet, miał nadzieję, choć właściwie nie powinien jej mieć. Może Kozeta tu będzie i wyciągnie do niego ramiona? Wtedy wszystko zostanie jak dawniej, Mariusz powróci do swojej prawdziwej tożsamości i doprowadzi do rewizji procesu. Lecz nie. Cud się nie zdarzył. Jednak Mariusz się zmienił. Pojechał na galery słaby i płaczliwy, uciekł z nich silny i nieugięty. Czyż nienawiść nie pomaga przetrwać? Kapryśny młody człowiek stał się posępnym, konsekwentnym mężczyzną. Zemsta? To ona była motorem jego działania. Ale nie będzie się spieszył. Nauczył się poskramiać niecierpliwość. A kiedy wróci z obu Ameryk, bo na pewno wróci, ukarze po kolei wszystkich uczestników ponurego spisku, którego padł ofiarą.

— Pomóż mi — powiedział do Kochasia. — Zostań tu i miej oko na wszystko.

Na ulicy nie było żywej duszy. Henryk de la Roche-Dragon wrócił do siebie, a mieszkańcy z tej dzielnicy byli po południu zbyt zajęci słodkim nieróbstwem, by wyściubić nos z domu.

Mariusz wdrapał się na bramę i zeskoczył do ogrodu. Poszedł wprost do kamiennej ławeczki. Wszystko było zarośnięte pnączami, krzewami dzikiej róży i pokrzywami. Z jego piersi wydarło się ciężkie westchnienie. Potem zmarszczył brwi. Nie był nieczuły, ale stwardniał. Dlatego też w jego oczach nie zaślniły łzy, gdy zobaczył dwa posągi, które Kozeta rozbiła w rozpacz ciosami motyki. Ukląkł, pogłaskał resztki owej pogruchotanej miłości i nawet nie przyszło mu do głowy, by

pozierać kawałki. Potem podniósł się i rzucił okiem na dom. Zimowy ogród był już na poły zniszczony, różowe lwie paszcze ziewały w szparach między kamieniami. Białe motyle fruwały między lewkoniami i wysokim zielskiem. Wszystko wydawało się zaniedbane. Okiennice nie były zamknięte. W trawie bieleły się dmuchawce. Mariusz przyklęknął, zerwał jeden i dmuchnął. Cały puch uleciał, tak jak wszystko uleciało w jego życiu.

Długo stał zamyślony, a potem znów spojrzął na dom. Ulegając jakiejś nieznannej sile, postanowił wejść do środka i zobaczyć miejsca, gdzie zaznał szczęścia. Przypuszczał, że sprawi mu to ból. Ale cierpienie czasem dobrze nam robi. Zbił szybko i dostał się do środka. Wszędzie było pusto. Zajrzał do obu sypialni. W pokoju Kozety zobaczył kurz na kominku i zdmuchnął go. I pomyśleć, że opuścił Kozetę, by dokądś uciec! Uświadomił sobie, jak bardzo był głupi. Nie potrafił mówić, komunikować się, wyciągnąć ręki do drugiej osoby. Przecież wszystko to zdarzyło się z jego winy. Błądząc po domu, zatrzymał się chwilę w pokoju, który był jego sypialnią. Stała tu jeszcze jego szafa. Otworzył ją i machinalnie przesunął ręką po górnej półce. Poczul wówczas jakiś przedmiot owinięty w jedwabną bibułkę. Wziął go i podszedł do okna. Rozłożył papier i znalazł kryształ. Ogarnęło go straszliwe uczucie rozpacz.

— Nawet to — szepnął, myśląc, że Kozeta wszystko za nią, wszystkiego się wyparła.

Włożył kamień do kieszeni i zbiegł ze schodów. Nic go już nie łączyło z tym domem.

Przeskoczył przez ogrodzenie tak samo jak gdy tu wchodził. Zawładnęło nim pragnienie, by o wszystkim zapomnieć. Jednocześnie zadawał sobie pytanie: Jeśli Kozeta nie jest z Amadeuszem, to gdzie się podziewa?

Jutro rano musi pójść na bulwar du Tempie i odszukać Amadeusza. Za wszelką cenę.

— To nie jest dobry pomysł — orzekł Kochaś. — Nie

zapominaj, że jesteśmy poszukiwani. Jeśli popełnimy najmniejszy błąd, złapią nas. A ja nie mam ochoty wracać do Tulonu.

—Ani ja. Jeśli uda nam się znaleźć Amadeusza, ty będziesz z nim rozmawiał. Nie ma sensu, żebym ja się ujawniał.

—Wszystko to mi się nie podoba. Być może Raynaud jest gdzieś w pobliżu. Czy nadal masz w głowie szalone pomysły dotyczące tego chłopca?

Mariusz spojrział z determinacją na Kochasia.

—Przysiągłem, że wyciągnę to dziecko z piekła, w którym tkwi, i przysięgi dotrzymam. Nie musisz iść tam ze mną.

—Nie opowiadaj głupstw, Mariuszu. Byłem z tobą na wozie, będę i pod wozem. Zapomniałem, jak się nazywa ten twój dzieciak?

—Rafael.

Z ulicy Plumet poszli w stronę Pont-au-Change. Pod tym mostem spędzili już jedną noc w towarzystwie wszystkich nieszczęśników, jacy byli w stolicy, oraz opuszczonych dzieci.

*

Kiedy Szkapa zobaczył w warsztacie Kozetę, zadał sobie pytanie, co tu będzie robił chłopiec o kobiecych rysach i delikatnych manierach. Potraktował nawet „nowego” dość obcesowo. A potem spostrzegł, że ten nowy towarzysz niedoli ma nieobecna minę. Kiedy się do niego mówiło, odpowiadał monosylabami, tylko „tak” albo „nie”. I to ledwo słyszalnym głosem. Często wzdychał. Poza tym zawsze odnosiło się wrażenie, że z jego równowagą jest coś nie w porządku. Kiedy szedł, kiwała mu się głowa i powłóczył nogami. Poruszał się z trudem.

— Co to za nowy nabytek — zwrócił się Szkapa do Ra faela. — Nic nie mówi i nie pracuje. Cały czas śpi.

Początkowo Dwadzieścia Dwa i Pégasse aplikowali Kozecie za dużą dawkę środka nasennego. Zamiast przewidzianych trzech dostawała sześć łyżek dziennie, toteż spała na stojąco.

Spędziła tydzień zamknięta w norze Wilczarza, w ciemnościach, o chlebie i wodzie, przywiązana linką do okiennej kraty. Nie wiedziała już nawet, kim i gdzie jest. Następnie, zgodnie z dyrektywami Thénardiera, Wilczarz przekazał ją Rudasowi. Powinna zostać tydzień w warsztacie, a potem on, Dwadzieścia Dwa i Pégasse mieli ją odstawić do tawerny na wyspie de la Cite.

— W ten sposób od razu dostanie nieźle w kość — po wiedział Thénardier do Wilczarza. — Poza tym minie trochę czasu i wszyscy przestaną się niepokoić jej zniknięciem. A gdy dojdzie do podziału, Burdin będzie się musiał bardziej ze mną liczyć. Nie uda mu się zagarnąć wszystkich pieniędzy baronostwa Pontmercy. — Po czym skrzywił się i rzekł: — A na razie liczę na to, że ten łotr Rudas zgotuje jej serdeczne przyjęcie!

Na powitanie Rudas walnął Kozetę w twarz.

— Oto jak poskrwiam buntowników!

Kozeta w ogóle nie zareagowała. Z ogoloną głową, w czarnym kaftanie i obszarpanych spodniach wyglądała jak oskubany ptak. Ale na pewno nie jak buntownicza.

— Przedstawiam wam Skowronka! — zakpił Wilczarz.

Odtąd młodą kobietę znano pod tym przydomkiem. Wilczarz wszystkich o nim poinformował.

Pierwsze dni były dla Kozety istną męczarnią. Gdy z nadejściem nocy dzieci wdrapywały się na antresolę, już spała. Nawet nie schodziła do warsztatu. W każdym razie w stanie, w jakim się znajdowała, z pewnością spadłaby z drabiny. Za dnia czasami udawało jej się zerknąć przez okienko, przez które wpadało tu światło. Myślano, że na coś patrzy, ale nie patrzyła na nic. Rano i wieczorem z Wilczarzem przychodzili Pégasse i Dwadzieścia Dwa, by zaaplikować jej dawkę środka nasennego. Nie protestowała. Przywykła.

Pewnego wieczoru w warsztacie zrobiło się straszne zamieszanie. Koci Król (wszyscy nadal nazywali go Kocim Królem lub Tardierem, gdyż poza Kozetą i Burdinem nikt nie znał jego

prawdziwego nazwiska) wezwał do siebie kolejno Szkapę i Rudasa. Tak jak postanowił, oznajmił pierwszemu, że Rudas zamierza uśmiercić Rafaela, a drugiemu, że mordercą jego ojca jest Szkapka. Można sobie wyobrazić, jaki zapanował nastrój. Szkapka i gruby rudzielec o mało nie wzięli się za łby. Z zemsty Rudas zbił Rafaela i zabrał mu jego lalczkę Fasolkę.

— Co to, bawisz się jak dziewczynka? Lalki ci się za chciało? No więc popatrz, co z nią zrobię!

Mimo łez i protestów Rafaela połamał lalkę i wszystkie kawałeczki wrzucił do pieca.

— W porządku! Nie potrzebujemy tu mięczaków, ale mąż czyn z prawdziwego zdarzenia!

Zaraz po tym Szkapka wziął małego za rękę i usiłował go pocieszyć. Obiecał, że najszybciej jak zdoła, wyrwie go z tego warsztatu i zabierze ze sobą. Potem mruknął pod adresem rudzielca:

— A ty, zmij, podpisałeś na siebie wyrok śmierci...

Rudas zgadywał myśli chłopaka, ale ponieważ usłyszał tylko piąte przez dziesiąte, czym mu grozi, odgryzł się po swojemu:

— Aha! Stłukę cię na kwaśne jabłko, gnojku! Chcesz się ze mną zmierzyć? Kiedy tylko chcesz, końska mordo! I bądź szczęśliwy, że cieszysz się szczególnymi względami Kociego Króla!

Najgorsze, że Thénardier kazał obydwu przyjść następnego dnia wieczorem, nie uprzedziwszy, że się spotkają. Po prostu miał nadzieję, że ci dwaj kretyni pozabijają się nawzajem. Gdyby któryś przeżył, Wilczarz miał załatwić go po swojemu. Najlepiej Rudasa. Z powodu diamentów.

— Mam do ciebie zaufanie — powiedział Thénardier do Szkapki — trzeba się pozbyć Rudasa. Przyjdź jutro, to dowiesz się czegoś więcej.

Wyznaczył im więc spotkanie w Ludożercy z Barbarii przy ulicy Kajdaniarskiej, spelunce, do której przenieśli się zło-

czyńcy po likwidacji Clan Destin. Było to ponure miejsce, idealne do zadawania ciosów w plecy i załatwiania skrytych porachunków.

Jednym słowem, wieczorem tego samego dnia, gdy Mariusz zjawił się na ulicy Plumet, atmosfera w warsztacie była podminowana. Z tego wszystkiego Wilczarz, zbyt zajęty pilnowaniem Rudasa i Szkapy, zapomniał zaaplikować narkotyk Roze-cie. Nie wolno było dopuścić, by wyprali sobie flaki w warsztacie. W sytuacji Kozety niewiele to zmieniało. I tak była przesiąknięta środkiem nasennym. Ale kiedy dzieci wdrapały się wieczorem na antresolę, nie spała.

Rafaël, zrozpaczony utratą Fasolki, położył się po jej lewej stronie, a Szkapę po prawej.

— Skowronek chyba trochę mocniej porusza skrzydłami — zażartował Szkapę, macając kolbę pistoletu, który dał mu Wilczarz.

Te żarty nie potrwały długo. Ubiegły dzień był tak ciężki, tak bogaty w emocje i wspomnienia, że Szkapę natychmiast zasnął. Perspektywa stoczenia walki z Rudasem zupełnie go powaliła.

—Dlaczego nigdy nic nie mówisz? — spytał wówczas Rafaël Kozetę.

—Bo jestem zbyt zmęczona...

—A dlaczego?

Kozeta zaczęła cicho pojękiwać. Ten mały przytulony do niej blondynek przypomniawszy jej synka. Małego Jeana...Wszystko wydawało jej się tak mgliste, tak odległe, tak niedostępne. Z trudem wypowiadała słowa, porządkowała wszystko w pamięci. Głowę miała strasznie ciężką.

—Chciałabym stąd odejść... — szepnęła, robiąc nadludzki wysiłek, by nadać jakiś sens swemu mamrotaniu.

—Ja może wkrótce też stąd odejdę — odpowiedział Rafaël.

—Ale to tajemnica. Nie wolno nikomu o tym mówić.

—Odejdiesz?...

—Tak, ze Szkapą. Szkapę nie chce, żeby Rudas zrobił mi

coś złego. Rudas jest niedobry. Ciągłe mnie bije. Połamał nawet moją Fasolkę.

—Fasolkę?...

—Moją lalkę. Rudas powiedział, że jestem jak dziewczynka. Ale nie jestem dziewczynką. A Fasolka był żołnierzem. Nazwałem go Fasolką z powodu oczu.

Kozeta nie mogła się w tym wszystkim połapać. Rudas? Żołnierz? Fasolka? Trudno jej było połączyć ze sobą wszystkie te elementy. Ale ponieważ zrozumiała, że ów mały chłopczyk stracił lalkę, sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej kryształ.

—Masz — powiedziała. — To maskotka... Zastąpi ci lalkę... I oddasz go...

—Komu?

—Oddasz go... — powtórzyła Kozeta, która czuła, że huczy jej w głowie.

I zasnęła jak kamień.

Amadeusz był w pożałowania godnym stanie. Rozpustne noce nadały jego cerze ową bladość, która zdradza ekscesy ciała. Spał w dzień, szalał w nocy. Odkąd regularnie widywał się z Giuseppem i jego towarzyszką Niną, pił absynt i palił owe dziwne, słodkawe substancje, takie jak turecki tytoń, opium i rośliny wprawiające w stan euforii, które zdawały się przenosić go w inny świat. To, co robił, zapadało mu w duszę jako mieszanina mdlącej rozkoszy i szydrczej obojętności. Z lubością uprawiał nierząd. Zdarzało się, że nagi, spocony, wmieszany w kłęb splełanych ciał, krzyczał lub się buntował. Przeklinał tę bandę i rzygał na nią. Gdy próbował się wycofać, słyszał wrzask roznamiętnionych tłusciuch. Nieustannie mówił, że nadzieja jest odbytnicą życia. Wywoływało to wybuchy szalonego śmiechu. Nina, jednoooka rozpustnica, wciągała go w szalone, niekończące się zapasy. Dołączały do nich młode diablice, dziwaczne i milczące, chętne do wszelkich zbroczeń, lubujące się

we wszelkich bezeceństwach. I oczywiście Prozerpina, rudowłosa bachantka z Białego Diabła, niepokojąca Messalina łaknąca wciąż nowych przyjemności i silnych wrażeń, łąsa na różne wszeteczeństwa i czarną magię. Amadeusz, bez przerwy zaspokajany i pożądaný, pomrukiwał pod nosem piosenki, niemilosiernie fałszując. Aby nie rozmawiać, mówił różne nedorzeczności; aby nie płakać, śmiał się nieszczerým śmiechem. Pod egidą Gérarda, wielkiego dionizyjskiego kapłana w masce, w tym samym porwywie chwycił za zadki i butelki.

— Jest pan łajdakiem i capem — oświadczył pewnego dnia wielkiemu mistrzowi pół żartem, pół serio. — Nie wypada robić tego dla pieniędzy.

— Ja mam przynajmniej jakieś wytłumaczenie — odpowiedział Gérard. — Gdyby pan wiedział, jak brzydzą mnie wszystkie pańskie sprośności!

— Odpowie mi pan za to, diabelski pomioście!

Wtrącił się Giuseppe, rozdzielił Gérarda i Amadeusza, którzy — jeden w masce i czarnej szacie, drugi rozczochrany i w majestatycznej pozie — obydwaj pijani i groteskowi, chcieli wziąć się za łby w samym środku orgii. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Giuseppe pogodził obu wojowników.

Z Giuseppe, głównym organizatorem sztucznych i fałszywych przyjemności, Amadeusz rozmawiał czasem o polityce i o monarchii. Był to temat bardzo na czasie. Trochę jak truskawki i szparagi.

— Pod koniec lipca król przestanie się już szarogęścić — obiecywał Giuseppe, podsuwając Amadeuszowi pod nos kaździdło pachnące piżmem i drzewem sandałowym.

Amadeusz parsknął śmiechem. Uważał, że Giuseppe jest zabawny.

— Zostanie całkiem ubezwłasnowolniony! — zażartował.

Z brwiami w formie daszka i krzywymi, odrażającymi ustami Giuseppe Fieschi przypominał niedużego diabełka. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Ów Korsykanin o twardym

spojrzeniu czuł pociąg do wszystkiego, co niemoralne. Był sprytny, odważny i gwałtowny, uprawiał poligamię, miał na swoim koncie wyroki za kradzież i fałszerstwo, włóczył się po najrozmaitszych miejscach, należał do tajnych stowarzyszeń, a jednocześnie sprzedawał swe usługi policji; mówił, że został doprowadzony do skrajnej rozpacz, która skłania ludzi do najgorszych rzeczy. Był sutenerem, łapownikiem, fałszerzem, cechowała go też monstrualna próżność, godna jakiegoś Herostratesa, którego bardziej pociąga przerażający rozgłos, jaki towarzyszy zbrodni, aniżeli przeraża kara za tę zbrodnią. Trzeba było widzieć, jak ten nadęty pyszałek porusza się, gestykułuje, peroruje. W stosunkach z kobietami był poufały i błazeński, w stosunkach z mężczyznami przemądrzały i nieprzyzwoity. Ów komediant rozkoszował się znaczeniem, jakie sobie sam przypisywał, i zawsze mówił z przesadnym korsykańskim akcentem.

— Ja! Najpierw należy mówić o mnie!

Człowiek ten nigdy nie rozstawał się z pełną temperamtu Niną, zdeprawowaną pytią, sprośną komediantką, która lubiła odsłaniać swoje ciało przed każdym i w każdej sytuacji. Prozerpina i Gérard zaproponowali jej zresztą, by rozbierała się podczas czarnych mszy. Zgodziła się: pretekst był zbyt piękny. Szybko zrozumiała, że owe msze są jedynie wymyślnymi zabawami dla ludzi bogatych i próżniaków. Amadeusz nie wiedział, czym zajmuje się Giuseppe w dzień. Podobno wprowadzał w życie swe rzekomo republikańskie idee.

Pewnego wieczoru, który spędzali Pod Białym Diabłem, Giuseppe powiedział do Amadeusza:

—Koniecznie musisz przyjść dwudziestego ósmego lipca na bulwar du Tempie, mój drogi. Jeśli lubisz rozrywki, setnie się ubawisz. Jak wieść gminna głosi, nasz ukochany monarcha również żywi szczególną predylekcję do zabaw i fajerwerków. A więc przyjdiesz?

—Skoro jest tak, jak mówisz, przyjdę.

—Wspaniale. Abyś miał większą niespodziankę, proszę,

byś pilnował drzwi budynku, który ci wskażę. Nikt nie powinien tam wejść.

— Zrobię, jak każesz, panie — odpowiedział Amadeusz żartem.

Giuseppe dał przyjacielowi sójkę w bok i powiedział parę słów po korsykańsku. Amadeusz zaś, zajęty emablowaniem jakiejś arystokratycznej hetery przebranej za Kleopatę, wykrzyknął:

—Czy znajdzie się tam jakaś szelmutka, która wyleczy mnie ze skurczów, jakie przygważdżają mnie do łóżka i wysuszają gardło?

—Tysiąc świń sprzedawanych we wszystkich wędliniarniach, *madona cristo*! — zawołał Giuseppe. — A wszystko to w bukiecie z iskier i płonących węgielków!

Wówczas Amadeusz przysiągł, że przyjdzie. Dla tak niezwykle zapowiadających się wydarzeń zerwie się z łóżka przed piątą po południu. Nie ma mowy, by przegapił ten wielki dzień.

*

— Nie powinniśmy tu w ogóle przychodzić. Utknęliśmy w tym tłumie.

Kochaś wypowiedział te słowa twardo niczym trybun. Mariusz nawet nie drgnął. Rzeczywiście nie był to dobrze wybrany dzień, by znaleźć kogoś na bulwarze du Tempie. Był to dwudziesty ósmy lipca i Paryż świętował rocznicę zwycięstwa barykad.

Pod cudownym słońcem król, za którym jechali jego synowie i sztab generalny, w pełnej gali, dokonywał przeglądu czterdziestu tysięcy członków gwardii narodowej, ustawionych szeregiem od kościoła św. Magdaleny do Basylii.

— Popatrz, to on — powiedział Mariusz, zdejmując czapkę i machając nią. — Rób to samo co ja, jeśli nie chcesz zwrócić na siebie uwagi!

Kochaś niechętnie usłuchał.

Król i jego świta wjeżdżali właśnie na bulwar du Tempie. Ludzie wymachiwali kwiatami i trójkolorowymi wstążkami. Nagle król uniósł się w siodle i wskazał palcem smugę dymu, wydobywającą się z okna na trzecim piętrze jednego z budynków.

— Uwaga! — krzyknął ktoś z tłumu.

W tejsze chwili, niczym salwa plutonu pod nieudolną komeńdą, rozległy się następujące po sobie wybuchy, na które tłum odpowiedział krzykiem zgrozy i przerażenia. Kule zmiotły wszystko wokół króla. Około czterdziestu osób padło na bruk.

Po osłupieniu nastąpiła panika. Słysząc było rzenie koni, wycie psów, niekończące się przerażliwe zawođenje kobiet. Zrzuconych z siodła jeźdźców, z nogami zakleszczonymi w strzemionach, ciągnęły po bruku galopujące wierzchowce, które nagle stawały dęba. Członkowie gwardii narodowej rozbiegli się i usiłowali je chwytać. U podnóża jednego z domów jakiś młody zdezorientowany mężczyzna szukał swego kapelusza. Zupełnie nie pojmował, co się stało. Opuściwszy głowę i zasłoniwszy twarz chustką, przeklinał tego łajdaka Giuseppe. Ludzie wokół niego tłoczyli się, przepychali, deptali innych, uwijali się jak mrówki w mrowisku.

—Zwiewajmy — rzeki Kochaś i odwrócił się, chcąc wprowadzić swe słowa w czyn.

—Nich cię Pan Bóg broni -- odpowiedział Mariusz. — Popatrz, jest już policja i wojsko.

Rzeczywiście zaroiło się od mundurów. Niebieskich, czarnych, czerwonych, najróżniejszych. Żołnierze nadciągnęli pieszo, na koniach, na wozach. Biegli w kierunku budynku, z którego padły strzały.

Na miejscu dramatu była istna jatka. Jeźdźnią płynęła krew. Ludzie, którzy nie uciekli, usiłowali dojrzeć, co się dzieje. Mówiono, że Mortier, marszałek cesarstwa, znany i szanowany / uwagi na to, że odmówił sądenia Neya podczas jego procesu, par Francji i aktualny minister wojny, został zabity. Ludwik

Filip jakimś cudem ocalał i otoczony trzema żołnierzami ściągał lejce swego wierzchowca.

— Ciągłe jest na koniu! — krzyknął jakiś mieszczanin. — Niech żyje król!

Ludwik Filip zatrzymał się. Jego biały rozbrykany rumak rzucał głową i bił kopytami o bruk. Ale król był doświadczonym jeźdźcem i szybko go usadził. Następnie upewnił się, że jego synowie są cali i zdrowi. Wtedy potoczył wzrokiem po konających. Wydawał się przybity. Jadącemu za nim diukowi de Broglie pokazał przestrelone kulą ucho swego konia.

— Trzeba jechać dalej, drogi diuku. Ruszajmy.

I rzeczywiście kontynuował przegląd wojsk pośród okłasków gwardii narodowej i ludu.

Tymczasem policjanci Thiersa pobiegli do budynku, z którego padły strzały. Szybko znaleźli w nim narzędzie zbrodni: dwadzieścia cztery lufy karabinów ustawione niczym rury organów na mocnej konstrukcji i połączone lontem prochowym. Pięć z tych naładowanych ponad miarę luf pękło przy komorze ładunkowej. Inni agenci zatrzymali zamachowca, który usiłował uciec po linie zwieszającej się z jednego z okien na trzecim piętrze. Wszyscy go widzieli. Młody człowiek szukający kapełusza podchwycił nawet jego wzrok. Zamachowiec kiwnął mu głową, jakby chciał powiedzieć: no widzisz, mój Amadeuszu, to była właśnie ta niespodzianka. Broczył krwią, wybuch maszyny strasznie okaleczył mu twarz i ręce. Był to Fieschi w osobie własnej.

— Zabić go! Zabić! — zawył tłum.

Wprawdzie tłum nie lubi królów, ale jeszcze bardziej nie lubi królobójców. Od czasów Ravaillaca i Damiensa nic się nie zmieniło. Tłum jest bezlitosny i zmienny. Oplakuje krew Henryka IV, pławi się we krwi Ludwika XVI i drży o krew Ludwika Filipa.

Oczywiście zrobiło się straszne zamieszanie. Żandarmi konni wyrwali z rąk tłumy agentów złapanego przez nich zamachow-

ca. Ludzie chcieli go natychmiast wieszać, łamać kołem, ćwiartować, odciąć mu ręce i nogi, patrzeć na wyrwane z tułowia uda i rozchwytywać strzępy lepkiego ciała wraz z genitaliami oraz zdarte z brzucha długie pasy skóry. Jak za dawnych dobrych czasów. Ludzie chcieli wyć z rozkoszy. Niech żyje król! Niech żyje naród! Niech żyją kaci! I podobnie jak niegdyś, gdy torturowano skazańców na placu de Greve, chcieli zobaczyć, jak osmalone, zmaltretowane i potraktowane najpierw smołą i siarką ciało — któremu potem podcinano stawy, by ułatwić zadanie czterem silnym perszeronom, mającym je rozedrzeć — pęka niby dojrzały owoc, pragnęli napawać się widokiem padającego na bruk tułowia, zwisającą głową, wewnętrznościami, które wypłyną w kałuży płynu i z których będzie się unosiła cuchnąca, parująca krew.

Nic z tego. Gwardziści wycelowali karabiny w tłum i zagrozili, że będą strzelać. Demokracja broniła obywatela, którego wkrótce pośle na gilotynę.

— Jeszcze jedna sprawa republikanów! — wrzasnął jakiś młody człowiek w błękitnym surducie, wywijając grubą łaską. — Nie pomoże im to na procesie!

W całym tym rozgardiaszu Mariusz postanowił wreszcie odejść.

— Naprawdę chcesz napytać sobie biedy — zrzędził Kochaś.

Mieli już wejść w ulicę du Tempie i skierować się ku przedmieściu Saint-Denis, gdy jakiś idący szybkim krokiem mężczyzna ze wzrokiem wbitym w ziemię i jasnymi kręconymi włosami wymykającym się spod cylindra potrącił Mariusza i nawet się nie zatrzymał.

— Nie tak ostro, przyjacielu! — zawołał Mariusz.

— Mariuszu, daj spokój — rzekł Kochaś, przypominając przyjacielowi, w jakiej znajdują się sytuacji. — Popatrz, pełno l u glin i agentów.

Mężczyzna zrobił jeszcze parę kroków i odwrócił się. Mimo podkrążonych oczu i przerażonej miny Mariusz rozpoznał

Amadeusza. Ulicą wzdłuż i wszerz zdążyły gromady ludzi. Spieszyli się, nawoływali, objimali o siebie. Amadeusz nie zauważył Mariusza. I nie bez powodu. Przed chwilą odkrył, że zamachowcem jest Giuseppe, jego kompan od rozpusty i kieliszka. Wpadł w panikę. Dlatego też, gdy usłyszał, że ktoś woła jego nazwisko, zaczął biec jak szalony.

— Ucieka, tchórz! — krzyknął z wściekłością Mariusz, wymachując rękami. — Tędy, dTgucrande!

Kochaś przytrzymał go ramieniem, ale Mariusz mu się wyrwał.

— Mariuszu, mam tylko jedną rękę i nie zdołam cię za trzymać... Ale milcz, na Boga. Wszędzie są policjanci...

I to, co można było przewidzieć, wreszcie się zdarzyło. Dwaj czarno odziani mężczyźni rzucili się na Mariusza i Kochasia. Widząc to, siłacz zmarszczył swe krzaczaste brwi i rozciągnął w smutnym uśmiechu wydatne wargi. Jeden z policjantów spytał:

— Co to, łachmaniarze, stawiacie się? Nie uważacie, że i bez was mamy dość problemów? A może byśmy tak zabrali was do aresztu?

Mariusz spojrział na niego lekceważąco i odpowiedział:

— Do aresztu? Czemu nie.

Potem udając, że pochyla ulegle głowę, podniósł ją nagle i walnął pięścią pierwszego agenta w twarz, a drugiego w brzuch.

— Gazu, Kochasiu!

Obydwaj wpadli w ulicę du Tempie i popędzili jak szaleni.

Agenci natychmiast wszczęli alarm. W pościg za uciekającymi rzucił się cały pluton. Jeden z żandarmów, który chciał zabiec drogę Mariuszowi, oberwał tak, że wywinął kozła. To samo spotkało dwóch przechodniów, którzy chcieli złapać Kochasia. W wyniku niedawnych wydarzeń na ulicach było bardzo niewiele pojazdów. Jednak środkiem drogi jechał niebieski omnibus zaprzężony w cztery konie.

— Wsiadamy? — spytał Kochaś.

— Ani mi się waź!

Tymczasem za nimi pojawił się jadący klusem kabriolet.

— To nasza szansa! - zawołał Mariusz.

— Ale ja nie dają już rady! — odrzyknął Kochaś, uwalniając się od kolejnego natręta, który chciał go zatrzymać.

Mariusz jeszcze przyspieszył i biegł zygakiem między omnibusem, kołmi i przechodniami, usiłując dogonić kabriolet. Gdy znalazł się za nim, mocno odbił się nogami, zdołał chwycić się drzwiczek i wskoczyć na stopień. Kochaś biegł za nim z wywieszonym językiem. Nie udawało mu się znaleźć żadnego oparcia lub złapać za klamkę, której mógłby się ucześcić. Przerazony woźnica odwrócił się i zamierzył się na Mariusza batem. Kiedy z niego strzelił, rzemień owinął się wokół ręki Mariusza, który wykorzystał to, by podciągnąć się i wsiąść do kabrioletu. Walnął pięścią powożącego nim elegancika, który osunął się na ławeczką. Chwycił lejce i ściągnął je. Koń zwolnił. Kochaś mógł wreszcie wgramolić się do pojazdu. Czerwony, bliski apopleksji, dysząc jak miech kowalski opadł na elegancika. W tejże chwili kolo uszu Mariusza gwizdnęła kula. Odwrócił się i widząc w dali konnych żandarmów, wstał i zaciął konia, który natychmiast ruszył galopem.

— Masz się zachowywać tak, jakby nas tu nic było — powiedział Kochaś do eleganckiego młodzieńca. — Jeśli drgniesz, zatłukę cię. A przede wszystkim musisz wiedzieć, że znacznie bardziej szykownie jest używać pejcza niż bata.

Pościg trwał do skrzyżowania z ulicą de Rivoli. Minęli ulice de Sainte Avoye i des Coquilles. Z uwagi na gęsty tłum i śliski bruk żandarmi nie mogli ich dogonić, a zawahali się przed użyciem broni.

— Przejmij lejce! — rozkazał wówczas Mariusz właściciele lowi kabrioletu.

Ten usłuchał. Wziął lejce swego zaprzęgu i patrząc prosto przed siebie, skręcił w prawo ku Sekwanie. Pojazd zarzucał na zakrętach. W ten sposób dotarli na plac de l'Hôtel de Ville, niedaleko portów Siennego, Winnego, Zbożowego i Drzew-

nego. Potem minęli nabrzeża de Gesvres i Le Pelletier. Nadal pędzili na złamanie karku. Była to karkołomna jazda. Kabriolet co chwila wpadał w poślizg, kołysał się. Potem, na wysokości nabrzeża de la Megisserie, skręcił raptownie w prawo. Wtedy Mariusz wypchnął Kochasia na zewnątrz i sam również wyskoczył. Obydwaj potoczyli się aż do barierki nabrzeża.

Mimo że ogłuszony, Mariusz podniósł się pierwszy. Kochasiowi stanęły przed oczami wszystkie gwiazdy.

— Zwariowałeś?

Kabriolet oddalał się, żandarmi byli coraz bliżej. Przechodnie i sprzedawcy nawet nie zauważyli uciekinierów. Trzeba powiedzieć, że na straganach leżało mnóstwo najróżniejszych towarów. Mariusz szybko rzucił dokoła okiem i ocenił sytuację. Nawet nie odpowiedział Kochasiowi. Niedługo był tutaj zakątek garbarzy. Skóry wyprawiano preparatem na bazie wody, popiołu i alunu. Dzisiaj w tym miejscu urzędowali ptasznicy i kupcy drzewni. Na Sekwanie, wzdłuż wybrzeża, Mariusz spostrzegł dwie barki wypełnione drewnianymi pniami i kamienne schody prowadzące na brzeg. Parę kroków dalej leżała sterta klatek i wydrążonych prętów służących jako żerdki dla ptaków. Mariusz ukradł dwa pręty i spojrzał na rzekę. Ponieważ nadjeżdżali żandarmi, szturchnął Kochasia w bok.

— Na pewno nie widzieli, jak wyskakiwaliśmy z kabrioletu, ale ostrożność nie zawadzi!

Chwyć przyjaciela w pól, przeskoczył z nim przez barierkę i obaj wylądowali na schodach. Natychmiast zbiegli w dół. A kiedy byli już koło cumujących barek, Mariusz powiedział:

— Rób to co ja, skacz do wody!

— Ale ja nie potrafię pływać! — zaprotestował Kochas.

— Nauczysz się! Masz, będziesz mógł przez to oddychać!

Podał jeden z wydrążonych prętów Kochasiowi, a drugi zachował dla siebie.

Obydwaj wślizgnęli się do wąskiej szczeliny między stertą pniami a barką. Na szczęście tu nie było nikogo. Z góry, wybału-

szając oczy, sceną tę obserwowało kilku gapiów. Po chwili podeszło do nich dwóch agentów.

—Co się tu dzieje?

—Dwóch ludzi wpadło do wody... Nie widzieliśmy, żeby wypłynęli... Pewnie się utopili...

Przez cały czas Mariusz robił nadludzkie wysiłki, by holować Kochasia i przytrzymywać mu głowę nad wodą. Gdyby sterta osunęła się, mogłaby przywoździć ich do nabrzeża i zmiażdżyć. W dali dostrzegł Pont-au-Change i przeszło, pod którym spali poprzedniego dnia, oraz barki załadowane drewnem. Nadal więc miał do czynienia z wodą i drewnem, toteż ani na chwilę nie mógł uwolnić się od myśli o galerach.

— Nie wytrzymam dłużej— odezwał się Kochaś, krztusząc się. — Opiłem się wody...

Z prętem w ustach wyglądał jak trup albo kaczka z wyciągniętymi do góry łapami.

— Nie denerwuj się — uspokajał go Mariusz. — Oddychaj ustami...

W dole, na nabrzeżu stali żołnierze. Na górze żandarmi na szczęście nadal ścigali kabriolet. Mariusz zastanowił się. Oczywiście on sam mógł zaryzykować; pozwolić, by woda zniosła go na środek rzeki i pozostając pod wodą, oddychać przez wydrążony pręt. Ale Kochasiowi groziło utonięcie. Parę sążni dalej dostrzegł jakiś otwór. Okrągły wylot kanału ściekowego.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, Kochasiu...

Ujął przyjaciela pod brodę i usiłował dodać mu odwagi, przykazując, by leżał bez ruchu. W ten sposób podpłynął do wylotu kanału. Kochaś oparł się o murowaną krawędź otworu i długo sapał. Pręt drżał mu w ustach. Wygramolił się na brzeg, dygocąc. Woda dochodziła mu do kolan.

—I co teraz? — spytał ledwo żywy.

—Właż do środka — odpowiedział Mariusz, który nadal stał w wodzie.

—Ale jak?

W wylocie była krata.

— Nie mamy wyboru. Postaraj się ją wyrwać.

Mariusz rozejrzał się dokoła. Z jednej strony nadchodzili żołnierze, z drugiej gapie i policjanci. Aby go nic zauważyli, wsadził głowę pod wodą i oddychał przez pręt.

Liczyła się każda chwila. Kochaś to rozumiał. Za pięć minut mogą znów wpaść w ręce stróżów prawa. Zaparł się więc i z całej siły pociągnął za kratę. Jeden, drugi, trzeci raz. Na skroniach i szyi wystąpiły mu żyły. Krata nawet nie drgnęła. Siłacz o mało nie skapitulował. Widząc mały pręcik w wodzie, pomyślał o Tulonie... O skazańcach, chłóście, galerach na wodzie... O łajdakach takich jak Raynaud i Do Kroćset... Wtedy jeszcze raz napiął mięśnie i szarpnął ze wszystkich sił. Krata wreszcie ustąpiła. Udało mu się ją wygiąć, ale tylko z jednej strony. Jednak teraz już mogli przecisnąć się do środka.

Kochaś chwycił za pręt i poruszył nim. Mariusz natychmiast wynurzył się z wody.

—No i jak?

—Udało się, chodź za mną. Prześlizgniemy się. Mariusz wszedł do kanału i pomógł Kochasiowi wygiąć trochę bardziej kratę. Kochaś otarł sobie plecy i rękę o ścianę, ale się przecisnął. Mariusz także. Byli ocaleni.

Kanał był wypełniony. Cuchnęło w nim straszliwie. W czercwu padały ulewne deszcze. Uciekinierzy, którzy nie postradali swoich toreb, z trudem posuwali się w cieplej, ohydnej brei. Na twarzach zawiązali chustki. W niektórych miejscach panowała zupełna ciemność.

Kochaś, zmordowany i obolały, miał chwile załamania. Już dwa razy upadł w ten potok ekskrementów.

—Zastanawiam się, czy to w ogóle ma sens. Przecież już musieli podać nasze rysopisy. Poznają nas i zgarną przy wyjściu.

—Nie zgarną — uciął Mariusz, który szedł pierwszy. — Rozumiesz? Wykaraskamy się z tego i zrealizujemy nasz plan.

Zanurzenie się we wnętrzości miasta przypomniało mu oczywiście coś, co już kiedyś przeżył, ale czego nie zachował we wspomnieniach. Czyż aby go uratować, Jean Valjean nie dźwigał go na plecach przez ów długi, ciemny, śmierdzący labirynt? Jeśli Jeanowi Valjean się udało, jemu uda się także. Rok galer to nie to samo co dziewiętnaście lat. Ale wykuwa charakter. I czyż on nic jest młodszy i silniejszy?

Szedł więc dalej, zataczając się, trzymając za rękę Kochasia i myśląc o tym, o czym myślą wszyscy ludzie, gdy muszą zdać się tylko na instynkt. Szedł na oślepe, rozgarniając nogami ohydny, lepki maź, natrafiając to na szczura, to na jakieś odpadki. Miał uczucie, że obcuje z innym sobą. Kanały są sumieniem miasta. Nie kłamią. Są odbiciem człowieka. Czymś w rodzaju wielkiego osuwiska, łączącego się z ogólną kloaką. Kwintesencją smrodu. Jest tu wszystko i wszystko się ze sobą miesza. Niektórzy nazywają to ucztą ściierwa. Wszystkie miejskie upiory sycą się widokiem swych sobowtórów tam w górze, w zimnie i upale, z dala *od* owego smrodu, który je spłodził. Miazmat kocha życie. Jest jego esencją i końcem. W ten sposób rodzimy się i umieramy. Ludzie unikają rynsztoków, bo unikają lego, co przypomina ich własny koniec. Owe ciemności są prawdziwym światłem istnienia. Jasnością czerwia. Retoryką stolca.

Mariusz myślał o tym wszystkim, posuwając się mozolnie naprzód. Widział, jak będzie wyglądał po śmierci. Owa szczość błota denerwowała go, a jednocześnie dodawała mu otuchy. Składały się na nią wszystkie płyny ustrojowe świata, cała ludzka jałowość. Cały wymiar ciała.

Przypieszył kroku. Zdawało mu się, że ciepłe ekskrementy wżerają mu się w skórę. Mocniej ścisnął rękę Kochasia, który szedł z coraz większym trudem. Między nogami przebiegały im szczury. Na jednym ze skrzyżowań natknęli się na zwłoki dziecka, szare, nadjedzone, już zgnile. Przerażony Kochaś upadł na plecy i już się nie wynurzył. W tym miejscu woda sięgała im do pasa. Niemal powstawały w niej wiry. Przerażony Ma-

riusz po omacku przeszukiwał błoto. Wierzchem ręki odciął ramię trupowi dziecka. W ustach poczuł smak śmierci. Wyrzucił z siebie szarawą strugę, podobną do brei, w której brodził. Potem rozpaczliwie szukał dalej. Na domiar złego był tu prąd. W chwili, gdy miał już zawrócić, o mało nie rozbił sobie głowy.

— Kochasiu! — wrzasnął. — Kochasiu!

Echo w nieskończoność powtarzało imię jego przyjaciela. Ale nie było żadnego odzewu. Mariusz obiema rękami oparł się o ścianę i dwukrotnie uderzył w nią głową. Błuźnił, pluł, przeklinał Boga i ludzi.

Potem zawrócił. Wtedy natknął się na inny kanał. Przedtem go nie zauważył. Teraz jego oczy przywykły do ciemności. Skręcił w tę stronę i szedł przez dobry kwadrans. Zniknięcie Kochasia zdruzgotało go. Myślał o wszystkim, co przeżyli, ucieczce, odrąbanej przez Węgry ręce przyjaciela podróży przez Prowansję, przyjeździe do Paryża. I po co to wszystko było? O mało nie upadł. I wtedy wydało mu się, że widzi jakieś światełko. Przyspieszył kroku. Pluskanie wody irytowało go.

Wtem usłyszał jak ktoś mówi:

— Nie można powiedzieć, żebyś się spieszył! Jeszcze trochę i znudziłoby mi się to czekanie!

Mariuszowi wydawało się, że śni. Przy czymś w rodzaju rozbitego okienka, w bladej smudze srebrzystego światła siedział ledwo żywy Kochaś. Mariusz pospieszył ku niemu, objął ramionami i podniósł.

— To ty? Gdzie się podziałeś? Ale napędziłeś mi stracha!

Kochaś wyjaśnił, że woda zniosła go aż do owego słynnego skrzyżowania i że w sam czas udało mu się podnieść. I to przez przypadek.

— Jednak Bóg czuwa nad galernikami — zakończył, po klepując Mariusza po plecach.

Obydwoj gonił resztkami sił. Ale byli tak uszczęśliwieni z odnalezienia się, że nabrali ducha. Wyślizgnęli się przez okienko. Był to dziwny otwór prowadzący do jakichś kadzi, gdzie panował jeszcze gorszy fetor.

— Pozostałość po dole kloacznym — zauważył Mariusz. — Ale przynajmniej trochę tu jaśniej.

Musieli długo brodzić w ohydnej marmoladzie. Potem dotarli do czegoś w rodzaju długiego wąskiego pomieszczenia z włazem, po którego podniesieniu znaleźli się w korytarzu pełnym szczurów i kości.

— Niektórzy mieli mniej szczęścia od nas — zauważył Kochaś na widok ludzkiego szkieletu.

Wreszcie trafili do jakiejś piwnicy, bardzo suchej. Ocierali się o kurz i saletrę na murach. Najdziwniejsze, że nie było tu drzwi. Wówczas dostrzegli lukarnę. Mariusz podważył ramę nożem. Wydostali się przez nią na zewnątrz i znaleźli się na schodach. Ostrożnie wchodzili po stopniach i po odciążeniu zasuwki w małych niskich drzwiczkach wyszli na jakieś podwórze.

Nikogo tu nie było. Nie było też światła. Wyszli z budynku i rozejrzeli się wkoło.

— Ulica Świętego Zbawiciela — uśmiechnął się Kochaś.

— Wspaniała nazwa! — krzyknął Mariusz, przeciągając się. Kochaś pokiwał głową.

— Powinniśmy się obmyć w Fontannie Niewiniątek i wysuszyć torby. Proch w pistoletach musiał zamoknąć.

I w zapadającym zmierzchu poszli błękitną ulicą, gdzie strzępy miedzianego światła rozplamieniały fasady koślawych budynków.

*

Szkapa przyszedł do Ludożercy z Barbarii pierwszy. Po zmianach, jakie zaszły w Clan Destin, Ludożerca z Barbarii przyciągał całą dzielnicową hołotę. Był to rodzaj tawerny położonej w obskurnym zaułku, ozdobionej żółtawym światłem sączącym się z lampionów zmajstrowanych z wieprzowych kostek i pęcherzy. Zabawiali się tu wszelkiego autoramentu złoczyńcy i kaleki. Aż do późnego wieczora pili i tańczyli szalone gigi. Żandarmeria nigdy nie zapuszczała się w te rejony.

Tawerną tą porównywano do Dziedzińca Cudów. Zawsze znalazł się tam jakiś bandzior, który wyciągnął ci sakiewkę albo wsadził nóż w plecy. Na sąsiednich uliczkach, tworzących kunsztowny spłot brudnych labiryntów i przerażających zaułków, ludzie spędzali czas na bijatykach. Mordowali się w ruinach i gruzach dla jednego franka lub przypadkowej ładacznicy. Sami już nie wiedzieli dlaczego. Bili się z nudów. Dla zabicia czasu.

Szkapa nie zastał Kocięgo Króla. Coś mu się tu nie podobało. Miał przy sobie nóż, torbę i pistolet, który dostał od Wilczarza. W nocy, kiedy szedł na polowanie, musiał schwytać i dostarczyć do warsztatu dziesięć kotów.

Wyszedł ze spelunki i postanowił zaczekać na zewnątrz. W różnych zakamarkach na ulicy rozmawiali żebracy i rozpustnice obsypane krostami. Niebo było ciemne, w powietrzu unosił się zapach octu. Szkapa nic zauważył zaczajonego w cieniu mężczyzny w okrągłej czapce z wydry z długimi nausznikami, które opadały mu aż do brody. Ów człowiek, który stał na skrzyżowanych nogach oparty o mur, uniósł lekko głowę. Dostrzegł chłopaka i cierpliwie czekał. Widział, jak wszedł na chwilę do garkuchni. Wszystko przebiegało więc zgodnie z planem. Poglądził sierpakiem, z którym nigdy się nie rozstawał, i nie spuszczał Szkapę z oka. Z pewnością niebawem nadejdzie Rudas.

Rzeczywiście wkrótce zjawił się rudzielec i dosłownie wpadł na Szkapę.

—Możesz zmówić pacierz — powiedział od razu z krzywym uśmiechem. — Sądziłem, że jesteś ze mną, ale mnie zdradziłeś.

—Ja z tobą? Chyba żartujesz!

Szkapa cofnął się. Rudas poszedł za nim. Nie spuszczał z siebie oka, dotarli do jakiegoś skrzyżowania.

— Kiedy powiem Kociemu Królowi, że byłeś w jego mieszkaniu — ciągnął Szkapa szyderczym tonem — zobaczymy, kto będzie odmawiał pacierze.

— Niczego nie zrozumiałeś, końska mordo. Koci Król ma do mnie słabość. Już załatwiłem Jezusa. Teraz kolej na ciebie.

Szkapa zmełł przekleństwo. Więc to on zabił Jezusa? A teraz zamierza zamordować Rafaela?

— No podejdz tu, Rudas, czekam. Już od dawna mam ochotę wygarbować ci skórę, ty tłusty fałszywy kocurze!

I wbiegł w uliczkę, która gubiła się w mroku.

Rudas wyciągnął nóż i chwilę się zawahał. Usłyszał tupot nóg, potem nastała cisza. W dali zahukał puszczyk. Rudzielec zapuścił się w uliczkę i stanął.

— Zadydole cię, Szkapo! — krzyknął na cały głos. — Wybrałeś złą ulicę! To ślepy zaułek!

Z nożem w ręce ostrożnie postąpił kilka kroków do przodu. Na nierówne kamienic padł promień księżyca, oświetlając grudki ziemi i połamany płot przy jakiejś zarosniętej chwastami posesji. Mężczyzna w czapce z wydry stanął na skrzyżowaniu. Ale nie zobaczył żywej duszy.

Strasznie tu śmierdziało. Rudas nawet nie miał świecy. Nadal szedł przed siebie. Dotarł do niewielkiego ponurego budynku, którego podwórze wychodziło bezpośrednio na ulicę. Gdy dał parę kroków, nadział się na dziurawy płot.

Zaklął. Pod nogami czuł jakąś kleistą maź. Znowu gdzieś wylało szambo, pomyślał. W owych czasach doły kloaczne opróżniano przy użyciu ręcznych pomp. Ale najczęściej kubłami. Albo wcale. Wtedy szamba występowały z brzegów i cuchnący płyn wylewał się wszędzie, do stróżówek, na podwórka i ulice. Właśnie to stało się tutaj. Latryny w tym domu, umieszczone piętrowo i przylegające do schodów, wydzielaly niesamowicie smrodliwą woń. Zapewne rury się zatkały, więc fekalia wypełniły piony. Ponieważ rur nie udroźniono, przeciekały. Szkapie nie przyszło do głowy nic lepszego, jak ukryć się w latrynie na parterze.

—Mam po ciebie pójść? — spytał Rudas, natężając głos jak ludzie, którzy chcą dodać sobie odwagi w ciemnościach.

—Jestem tutaj, tłusciochu!

—Z samego zapachu powinienem się domyślić! — rzekł Rudas, kierując się w stronę miejsca, z którego dobiegał głos. — No więc jak zakatrupieś mego ojca, łachudro? Wy tłumacz mi wreszcie!

—Jak karalucha! — krzyknął Szkapa. — Przytknąłem do jego zgniłej czaszki grzebień i sam w nią wszedł! Zadaję sobie tylko pytanie, czy będziesz tak samo piszczał, jak ciebie będę wysyłał na tamten świat!

Czekał za drzwiami latryny, mocno wsparty na nogach, z pistoletem w dłoni. Wcześniej otworzył klapę od dołu kloaczego. Najpierw Rudasa zabije, a potem wrzuci do tego ohydneho szamba. Aby nie chybić, postawił na ziemi świeczkę. Zapali ją, gdy nadejdzie Rudas. A wtedy żegnaj, ryży grubasie.

Nie czekał długo. Prawic zaraz zobaczył zbliżającego się Rudasa. Serce waliło mu jak młotem. Cichutko pochylił się i przytknął zapalniczkę do świeczki. Na widok światła, które się nagle pojawiło, Rudas podskoczył. Podniósł ręce, by zasłonić nimi twarz, co pozwoliło Szkapie, ukrytemu za drzwiami latryny, dobrze w niego wycelować. Strzelił z bliska.

Pocisk małego kalibru trafił Rudasa w brzuch. Wypuścił nóż, ale nie upadł. Zgięty we dwoje nadał szedł naprzód, zmuszając Szkapę do cofnięcia się w głąb latryny, w pobliże otwartej kloaki. Szkapa zląkł się. Stojąc nad otworem, oparł się o ścianę, napiął mięśnie i kopnięciami usiłował odepchnąć rudzielca. Jednak ten twardo inkasował ciosy. Udało mu się nawet chwycić Szkapę za nogę, wczepić się w nią i pchnąć go z całej siły. Szkapa zachwiał się. Stracił równowagę i wpadł aż po szyję w ohydny maż.

— Ratunku!

Starął się uczepić krawędzi, ale Rudas miażdżył mu palce obcasem.

— A masz! A masz!

Rudzielec pienieł się z wściekłości. Straszliwie bolał go brzuch, jednak znalazł w sobie siły konieczne, by walczyć do końca. Wreszcie Szkapa puścił krawędź otworu i zanurzył się

w śmierzdzącą topiel, wydając z siebie coś w rodzaju ponurego bulgotu. Wtedy z piersi Rudasa wydarł się okrzyk, w którym nie było nic ludzkiego. Trzasnął klapą i zamknął ją na zasuwę.

— Mam nadzieję, że będziesz długo zdychał! — zawołał, trzymając się obiema rękami za brzuch.

Potem wyszedł z latryny i chwiejnym krokiem powlókł się uliczką. Nie spodziewał się, że na skrzyżowaniu ktoś na niego czatuje. Był to Wilczarz, który wyciągnął sierpak, by poderżnąć mu gardło. Nie musiał. Na środku uliczki Rudas osunął się twarzą na ziemię z chrapliwym, dzikim krzykiem. I całkiem znieruchomiał.

Wilczarz schował sierpak do pochwy, nawet nie upewniwszy się, czy Rudas wyzionął ducha. Obydwaj natręci zostali wyeliminowani. Mógł wrócić do warsztatu i złożyć raport Kociemu Królowi.

*

Tymczasem Rudas tylko zemdłał. Kiedy się ocknął, niemiłosiernie paliły go wnętrzności. Koszula i bluza przykleiły mu się do ciała. Wprawdzie rana nie była duża, ale życie ulatywało przez nią powoli i nieodwołalnie. Naprężył mięśnie i wstał. Rozwiązał apaszkę, przyłożył ją do brzucha i jak najmocniej zacisnął pasek. Z ust wyrwał mu się jęk. Oddychał z trudem. Gdyby zdołał wrócić do warsztatu, byłby uratowany. Czy Wilczarz i matka Fouillet zaraz by się nim nie zajęli?

Pomacał się po kieszeniach i poczuł diamenty. Lekki uśmiech rozjaśnił jego szarą, zapadłą twarz. Z trudem powlókł się do latryny, by przekonać się, czy Szkapą rzeczywiście nie żyje. W przejściu wyrwał z płotu sztachetę i użył jej jako kuli. Doszedł do klapy, otworzył ją i zanurzył sztachetę w kloace. Niczego nie wyczuł. Nie było w niej żadnego ciała. Po Szkapie nie zostało ani śladu.

— Niemożliwe — mruknął.

Ukląkł i macał dalej, po bokach otworu. Zauważył, że dół jest olbrzymi i ma wiele rozgałęzień. Wstał, krzywiąc się z bólu. Czoło miał gorące. Zaklął z wściekłością i zawrócił.

Po drodze dwa razy zachwiał się i dwa razy znalazł w sobie dość siły, by stanąć na nogi i ruszyć dalej. Wreszcie dotarł do warsztatu. Wszedł, przebrnął przez mały korytarzyk i stanął przed drzwiami. Wyjął klucz i włożył go do zamka.

Drgnął, słysząc nagle czyjś głos:

— Otwieraj, a przede wszystkim nic oglądaj się.

Głos był nieznany. Kto to mógł być! Kiedy przechylił głową na bok, na plecach poczuł dotyk zimnego ostrza.

— Wchodź!

Uśluchał.

Jak zawsze o tej porze warsztat był słabo oświetlony. Matka Fouillet chowała swoje gary. Nawet nic zauważyła wejścia trzech mężczyzn. Najstarszy z nich nic miał jednej raki, w drugiej zaś trzymał wielki nóż.

— Nie stawiaj się, bo cię zadżgam — - mruknął do Rudasa, rozglądając się po warsztacie.

Dzieci pracowały przy swoich stanowiskach. Na pół śpiący Rafaël oparł głowę na skrzyżowanych rakach. Miał na sobie wełniany czepek i szarą koszulę bez guzików. Z wystrzępionych nogawek wystawały bosa stopy pokryte czarną skorupą. Nagle podniósł głowę i wymamrotał:

— To ty, Szkapo?

Stał przed nim młody mężczyzna w czapce. Miał na sobie brudną bluzę i mokre spodnie, a na ramieniu pasterską torbę. Ukląkł na ziemi i powiedział:

— Jak się masz, mały. Poznajesz mnie?

Niewinne spojrzenie chłopca zatrzymało się na owej energicznej twarzy, przeciętej cienkimi wąsami. Szybko objął ramionkami szyję Mariusza i powiedział:

— To ty, panie? Wróciłeś?

— Żeby cię odszukać i zabrać ze sobą, smyku.

—A Szkapa? — spytał chłopczyk, którego Mariusz podniósł z ziemi i wziął na ręce.

—Gdzieś już poszedł — odparł Mariusz, choć nic na ten temat nie wiedział.

Potem Rafael wskazał palcem Rudasa.

—To on połamiał moją laleczką Fasolką. A nawel zabrał ten piękny płaszcz, który od pana dostałem.

—Zapłaci za to — mruknął Mariusz.

Rudasa zatkało. Czy ten miody mężczyzna nie powinien znajdować się teraz w Tulonie? Rana sprawiała mu ból i czuł przyłożony do pleców nóż Kochasia.

— Umieram... — wybełkotał wreszcie, starając się wzbudzić w przybyszach współczucie.

— Prawdę mówiąc, już nic żyjesz — mruknął Kochaś. Rudas odwrócił się i poznał oberżystą z Clan Destin. Przeraził się. Nogi się pod nim ugięły.

—Jeśli darujecie mi życie, dam wam diamenty — rzekł.

—Dawaj — powiedział Kochaś.

Rudas wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął trzy diamenty owinięte w bibułkę.

— Pierwsze odszkodowanie — rzucił Kochaś, wkładając diamenty do kieszeni. — A czym się zajmujesz teraz? Jesteś bandytą?

Mariusz dał mu znak ręką.

— Wyjście jest tutaj •-- powiedział Kochaś, popychając rudzielca nożem.

Rudas poszedł przodem, trzęsąc się na całym ciele. — Nie zabijesz mnie, prawda? Jestem niewinny... To sprawka Kocięgo Króla, tego starego łajdaka...

— A Miauczula? — spytał Kochaś, popychając go w stronę wyjścia. — Co z nią zrobiliście?

— Nie mam pojęcia... To Koci Król, także on...

Mariusz stał przez chwilę na środku warsztatu z Rafaelem na ręku. Reszta dzieci patrzyła na niego bez słowa. Na ich wynędzniałych bladawych twarzach można było wyczytać

zdumienie zmieszane ze strachem i uległością. Mariusz zwrócił się do matki Fouillet, która krzątała się jakby nigdy nic i teraz do nich podeszła.

— Czy mogłaby pani — powiedział, a jego twarz nagle oświetlił blask świecy. — Czy mogłaby pani...

Rafael położył mu rękę na ustach i rzekł:

— Stara nie mówi i nie słyszy. Jest głuchoniema.

Mariusz jeszcze przypatrywał się warsztatowi i wszystkim tym dzieciom i w końcu z jego ust wydobyło się długie westchnienie. Tu też była katorga. Pomyślał wówczas o tym, co przeżył, i o podziale dóbr na tym świecie, który wydawał mu się tak niesprawiedliwy. Poruszony, a jeszcze bardziej zgorzszony niż poruszony czuł, jak wyrastają mu skrzydła rewolucjonisty, jakobina, a nawet górala*, i mówił sobie, że sprawiedliwość opiera się na podstawach niemających nic wspólnego ze sprawiedliwością. Jak można było kazać pracować małym dzieciom w taki sposób i w takich warunkach? Jeśli podobne rzeczy utrwalają się, rozpowszechniają niemal wszędzie i wrastają w obyczaje, muszą wcześniej czy później prowadzić do najstraszliwszych rewolucji! Mariusz miał ochotę zniszczyć wszystko, co znajduje się w warsztacie. Społeczeństwo śpi na wulkanie. Był tego pewien. I on, który nie miał już ideałów, który odmawiał przystąpienia do jakiegokolwiek partii, znów poczuł, że stoi po stronie ludu i nędzy. Całe jego minione życie było jedynie oszustwem. I patrząc na te brudne obdarte istoty, bojaźliwe, a zarazem ufne, żałował, że nie może zabrać ich wszystkich ze sobą.

Trzymając ciągle Rafaela na rękę, powoli cofnął się ku wyjściu. Nawet nie podniósł oczu na antresolę. A tam z okragłego okienka spoglądała na niego kobieta z ogoloną głową. Wstrząśnięta. Przezroczysta. Niezdolna wykrztusić słowa. Kozeta poznała Mariusza. Oniemiała. Głowę miała tak ciężką,

* Członkowie jakobińskiej lewicy, zajmującej w Konwencji górne ławki i stąd nazywani „górami”.

mięśnie tak sztywne, że nie mogła otworzyć ust i wymówić ukochanego imienia, imienia męża, którego uważała za zmarłego. Szok był tak silny, że zaczęła się trząść jak osika. Tak, to naprawdę on. Jej mąż żyje.

Kozeta chciała wysunąć głowę przez okienko, by ją zobaczyć. Ale wszystko dokoła wirowało: głowa, sufit, podłoga... Jej ręce drapały drewno antresoli, nogi były zbyt słabe, by dać krok do przodu... Jakby wszystkie jej mięśnie uległy atrofii... Zdobyła się jednak na ciche żałosne wołanie. Na próżno. Mariusz znikł z jej pola widzenia.

Upadła na siennik i usiłowała nie zamykać oczu. Rój szarych płatków pojawił się w jej umyśle i przesłonił spojrzenie. Czy to wszystko jej się śniło? Z pewnością nie. Wtedy powróciła nadzieja. I mimo że ziemia usunęła jej się spod nóg, mimo dojmującej świadomości, że już do siebie nie należą, wiedziała, że będzie walczyć. Jej mąż żyje. Tak, Mariusz żyje.

Z trudem zbierając siły, położyła się na plecach i kopnęła drabinę, która padając, narobiła straszliwego hałasu. Udało się, pomyślała Kozeta.

*

Mariusz, który był już na końcu korytarza, przystanął nagle. Usłyszał rumor padającej drabiny. O mało nie cofnął się i nie wrócił do warsztatu.

— Nie mamy już czasu — ponaglał Kochaś.

Mariusz postawił Rafaela na ziemi i wziął go za rękę. Jednocześnie pchnął drzwi i wyciągnął pistolet. I całe szczęście, bo czał się za progiem Wilczarz.

— Milcz — powiedział Mariusz, przykładając lufę do czoła bandziora.

Kiedy Wilczarz szukał ciała Rudasa w pobliżu Ludożercy z Barbarii, nie znalazł go, bo go tam nie było. Zostawione przez rannego ślady krwi doprowadziły go aż tutaj.

— Kim jesteś? — spytał Mariusz.

—Pracują tutaj.

—To przyjaciel Kocięgo Króla — powiedział Rafael.

Spojrzenie Wilczarza padło kolejno na dziecko, Rudasa i Kochasia. Jego okrutna twarz zachowała kamienny wyraz. Dalej nie rozumiał, co się dzieje.

—A kim pan jest? — spytał, rzucając nieufne spojrzenie na Mariusza.

—Nikim — odrzekł Mariusz.

Przepuścił przed sobą Rafaela, a potem Kochasia i Rudasa, ale lufa jego pistoletu nadal opierała się o czoło Wilczarza. Gdy niewielka grupka znalazła się już dość daleko na ulicy, Mariusz nieco mocniej przycisnął broń do twarzy pomagiera Kocięgo Króla.

—Jak widzisz, noc jest bardzo ciemna i nikogo tu nie ma. Co o tym myślisz?

—Nic. Jeśli musisz mnie zabić, zrób to.

—Nie, nie zabiją cię. Jak się nazywasz?

—Wilczarz.

—A więc, Wilczarzu, powiesz swemu chlebobdawcy, że niebawem wrócę i wymierzą mu sprawiedliwość. Pamiętaj też o jednym: nigdy nie zapominam żadnej twarzy.

—A ja nigdy nie zapominam żadnego zapachu. Ten, który wydzielasz, jest cuchnący. Jak się nazywasz?

—Jezus. Powiesz Kociemu Królowi, że był tu Jezus. Na pewno zrozumie.

Mariusz odszedł tyłem, cały czas trzymając pistolet wycelowany w Wilczarza. Potem nagle odwrócił się i pobiegł do Rafaela, Kochasia i Rudasa, którzy byli już na drugim końcu ulicy Aubry-le-Boucher.

Ruszyli szybkim krokiem. Rudas związał się z bólu i z najwyższym trudem trzymał się na nogach, ale nóż Kochasia skłaniał do nieokazywania zbyt dużego oporu. Po paru minutach na zakręcie jakiejś ciemnej uliczki Kochaś zatrzymał się i pogroził mu nożem.

— A co z nim zrobimy? — spytał Mariusza. — Mam go wykończyć?

— Nie warto brudzić sobie rąk. Spójrz na niego, już całkiem opadł z sił. Natomiast ten drugi obwieś depce nam po piętach.

Kochaś schował nóż i udając, że nic zwraca uwagi na Rudasa, błyskawicznie odwrócił się i uderzył go pięścią w ranę.

Rudas zawył jak zwierzę, złapał się rękami za brzuch i powoli osunął na bruk.

— To, gnojku, za Miauczulę i twoje fałszywe zeznania w sądzie. Jeśli chodzi o resztę, ułóżysz się ze swym Stwórcą.

Kochaś lekko popchnął Mariusza i Rafaela i wszyscy trzej bez dłuższego namysłu ruszyli szybko przed siebie.

Rudas, który zaniemówił! z bólu, patrzył za nimi przez chwilę. Miał wrażenie, że ktoś mu grzebie we wnętrznościach po grzebaczem. Poruszył najpierw jedną nogą, potem drugą. Wtem usłyszał czyjeś kroki. Spojrzał za siebie. Na widok Wilczarza, jego umorusaną puciołowatą twarz wykrzywił uśmiech. Myślał, że jest uratowany.

—Ach, to ty...

—Tak, ja...

Wyciągnął do Wilczarza dłoń, a ten ujął ją i pomógł mu się podnieść. Ale ledwo stanął, Wilczarz puścił rękę Rudzielca, który runął na ziemię jak długi.

—Co ty robisz? — zaprotestował, a w jego oczach pojawił się strach.

—Bawię się — rzekł Wilczarz. — Bardzo lubię się bawić. Jak kot z myszą. A teraz zrobię ci piękny krawat, Rudasie. Chyba że dasz mi diamenty... — powiedział, wyciągnąwszy swój sierpak.

Przeżony i drżący Rudas odpowiedział łamiącym się głosem:

—Tamci mi je zabrali...

—Naprawdę?

—Przysięgam na wszystko, Wilczarzu...

— W takim razie pomogę ci, Rudasie.

Stanął za rudzielcem jakby chciał wziąć go pod pachy. Potem

przyłożył kolano do pleców nieszczęśnika i błyskawicznym ruchem podniósł mu brodę.

— Giń, Rudasie!

Rudzielec ledwo miał czas zdać sobie sprawę, co go spotkało. Sierpak przeciął mu gardło od ucha do ucha jak nóż, który wchodzi w świńską skórę. Jego protesty ustały w straszliwym bulgocie. Wilczarz wytarł sierpak w kamizelkę rudzielca, odsunął się nieco i z uśmiechem znawcy przyglądał jego agonii. Uwielbiał patrzeć na ostatnie drgawki. Potem wyciągnął rękę i przeszukał kieszenie Rudasa. Diamentów nie było.

— Nie przejmuj się — mruknął. —
Odnajdziemy twoich
wspólników. Diamenty także.

T

JL henardier nie posiadał się z wściekłości. Wydawał tyle pieniędzy na pilnowanie warsztatu, a nikt nie potrafił przyzwoczicie wywiązać się z tej pracy.

— Masz babo placek! Czym sobie u diabła na to zaślużyłem?

Jedno się udało: nareszcie pozbył się Rudasa i Szkapy. Tylko że porwano mu sprzed nosa małego Rafaela, na którym chyba zależało Burdinowi. A na dodatek człowiek, który miał czelność to zrobić i powiedział, że nazywa się Jezus, zagarnął jego diamenty.

—A ty, Wilczarzu, przyglądałeś się temu beczynnio! Czy przynajmniej wrzuciłeś rudzielca do Sekwany?

—Natychniaś. Ale zanim go załatwiłem, potwierdził, że te kamyki gwizdnął Jezus.

—Jezus? Coś podobnego! To przecież ten elegancik baron, który drapnął z Tulonu! Na szczęście, w oczach wymiaru sprawiedliwości jest nadal Aleksandrem Tixier. Wezwij mi tu Carignola, i to migiem! Napuścimy na tego Tixiera gliny i kogo się tylko da, możesz mi wierzyć!

Brygadier, powiadomiony o ucieczce Tixiera i Kochasia, natychmiast podjął stosowne środki. Poinformował swych przełożonych i służby policyjne prefektury, że zbiedzy są w Paryżu. Wysłano depezę do komisarza Raynauda. W stolicy i sąsiadu-

jących z nią regionach rozesłano za nimi list gończy. Dwaj galernicy nie mieli żadnej szansy, by znów się wymknąć przedstawicielom prawa.

—Zbiegłego galernika zawsze złapią, Koci Królu. Sprawdziłem, rzeczywiście komisariat galer zawiadomił nas o ucieczce. A tam pracuje komisarz Raynaud. Zdaniem moich znajomych inspektorów cieszy się on reputacją człowieka nieugiętego i upartego. Schwyta twoich dowcipnisiów.

—Życzę ci tego, Carignol.

Wobec swych współpracowników Thénardier zawsze używał nie-domówień, w których wyczuwało się pogróżki. Najpierw wplątywał ich w swoje podejrzone interesy, a potem trzymał w garści szantażem. Z Carignolem sprawa miała się nieco inaczej. Carignol był niezbyt rozgarnięty i słabo orientował się w skali zbrodni i szachrajstw Thénardiera. Dostawał trochę pieniędzy i, jak mawiał Thénardier, udawał ważniaka. Był to podlec. Można go było kupić za parę groszy.

—A co z tym drugim? — podjął Thénardier.. — Z tym Moreau, który raz udaje księdza, raz profesora?

—To samo. Według moich informacji wyjechał ze stolicy w niewiadomym kierunku. Zwróciłem się do miejscowych żandarmów, aby się wywiedzieli w kompaniach dyliżansów.

Ostatni problem dotyczył Kozety. Dlaczego ta pretensjonalna damulka przewróciła drabinę w warsztacie"? Thénardier natychmiast przystąpił do działania. Kozetę skrępowano, zawiązano jej oczy i pod osłoną nocy zawieziono na wyspę de la Cite. Zapłaci za innych. A w razie czego będzie doskonałą monetą przetargową.

— Pokażcie jej, gdzie raki zimują, ale nie ważcie mi się zrobić jej czegoś złego lub ją zgładzić — powiedział Thénardier do Pégasse'a i Dwudziestu Dwóch. — I nie pozwalajcie sobie za dużo, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Kozetę umieszczono w kuchni oberży. Pod Dwoma Krasnalami. Jej pokój był po prostu cuchnącą komórką, przedłużeniem kuchennego zaplecza, z okratowanym okienkiem wy-

chodzącym na małeńkie, brudne i ciemne podwórko. Było to prawdziwe więzienie. Człowiek mógł w nim ledwo się wyprostować i z trudem położyć. Trochę tak jak w żelaznej klatce, w której Ludwik XI trzymał kardynała La Balue. Był tam siennik, cebrzyk i otwór ściekowy, nic więcej. Odrażający barłóg. Jak dla zwierzęcia.

Gdy Kozcta znalazła się w tej norze, o mało nie oszalała. W dodatku nic wiedziała, gdzie jest. Ponieważ przywieziono ją tu nocą, i to z zawiązanymi oczami, mogła równie dobrze być w Paryżu jak w jakimś zapadłym kącie na prowincji. Czy Thénardier nie obiecywał jej, że dostanie za swoje? Znowu przypomniła sobie Montfermeil. Oberżę U Sierżanta spod Waterloo. Koszmar.

Jej jedynymi rozmówcami byli Pégasse i Dwadzieścia Dwa, prostytutki bez żadnej kindersztuby. Kuchnia była zamknięta od zewnątrz. Kozeta mogła komunikować się z salą restauracyjną i patrzeć, co się dzieje, przez judasza. Na małym stoliczku pod judaszem stawiano produkty, z których musiała przyrządzać posiłki, a potem podawała je tą samą drogą.

Po tygodniu odwiedził ją Thénardier. Tym razem też groził jej i ostrzegał ją.

— Nie ma o czym marzyć, nie uda ci się uciec przez okienko do podawania potraw. Jeśli nic będziesz chciała pracować, zajmie się tobą Dwadzieścia Dwa. Podoba ci się ten albinos? Nie muszę mówić, co to za numer, prawda? Szczególnie lubi dziewczęta o chłopięcym wyglądzie. Między nami mówiąc, to zboczeniec.

Powiedział tak, ponieważ Kozcta nadal miała na sobie samo ubranie: bluzę, spodnie, koszulę. Chodziła na bosaka. Z ogoloną głową i delikatnymi rysami mogła uchodzić za efeba. Ponieważ albinos przerażał ją, nie sprzeciwiała mu się. Gdyby nie nadzieja, że kiedyś się stąd wyrwie, na pewno by się zbuntowała. Ale teraz była na to za słaba. Mimo że zmniejszono jej dawki narkotyku, ledwo powłóczyła nogami. Jednak umysł miała jaśniejszy. Mniej szumiało jej w głowie i składniej

myślała. Przede wszystkim od chwili, gdy zobaczyła Mariusza, odzyskała siły. Wszystko znów stało się możliwe. Przysięgła sobie, że nie zrezygnuje. Któregoś dnia uda jej się przesłać wiadomość Amadeuszowi lub Verjatowi. A udając potulność, zyska pewną swobodę działania. Krótko mówiąc, przyjęła uległą postawę, by tym skuteczniej walczyć. Nigdy nie złoży broni. Rozpatrzy każdy plan. Na pewno będzie to wymagało czasu. Ale wreszcie dopnie swego.

Jej dzień zaczynał się o siódmej. Był to jedyny moment, gdy mogła wyjść ze swego więzienia. Pod okiem Dwudziestu Dwóch zamiatała w tawernie podłogę i ustawiała stoliki. Zaraz potem albinos zabierał ją do pokoju, w którym mieszkał razem z Pégasse'em.

— Podoba ci się nasza chata? — zagadywał.

Aby nie napytać sobie kłopotów, potakująco kiwała głową. „Chata” była ciasnym śmierzącym pomieszczeniem na lewo od kuchni, zawsze zawalonym butelkami i różnymi odpadkami. Ponieważ miało wspólną ścianę z komórką Kozety, obaj mężczyźni mogli słyszeć, co się dzieje po drugiej stronie. W ten sposób Kozeta pozostawała pod nadzorem. Dzień i noc.

Po wizycie Thénardiera jej sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu. Na kostkę u nogi Pégasse włożył jej metalową obręcz. Dla większej pewności, kiedy już skończyła robić porządki, Dwadzieścia Dwa prowadził ją do kuchni i przywiązywał łańcuchem do zamocowanego w murze stalowego kółka. Ponieważ łańcuch miał pięć stóp długości, to znaczy około metra sześćdziesięciu centymetrów, mogła się poruszać w dość ograniczonym promieniu. Spętana w ten sposób upadała czasem na duchu. Złorzeczyła całemu rodzajowi ludzkiemu i szarpała swój łańcuch jak opętana. Wówczas znów słyszała ten dźwięk, to ponure dzwonięcie. Dzyń, dzyń, dzyń. Dźwięk, który przypominał jej dzień, gdy wraz z ojcem patrzyła na wymarsz konwoju galerników z więzienia Bicetre. Drogą ciągnęły jeden za drugim wozy. Przypominały beczki na wino produkowane przez bed-

narzy. Ale przede wszystkim zapamiętała dźwięk łańcuchów. Dzyń, dzyń, dzyń. Tego dnia jej ojciec wydawał się bardzo przygnębiony. Nie robił żadnych komentarzy. Nazajutrz, chcąc wymazać z głowy Kozety wszelki ślad tego haniebnego widoku, zabrał ją na przegląd wojsk na Polu Marsowym i na popisy na Sekwanie. Jednak ten obraz przetrwał w jej pamięci. A zwłaszcza dźwięk łańcuchów.

Wówczas Kozeta pomyślała o Mariuszu. Żałowała, że nie poszła do kostnicy, by rozpoznać ciało. Żałowała, że nie skontaktowała się z władzami sądowymi i nie interesowała się procesem człowieka oskarżonego o zamordowanie Mariusza, którym był nie kto inny niż Mariusz. A więc poznał, co to galery i konwój? W pewien sposób była dumna, że cierpi tak, jak on cierpiał. Byli daleko od siebie? Zatem te ciężkie doświadczenia tylko ich do siebie zbliżyły. Mariusz uciekł? Więc ona ucieknie także. I pocieszała się myślą, że wszyscy otaczający ją ludzie, którzy ją upokarzają i maltretują, tak jak niewątpliwie inni ludzie upokarzali i maltretowali Mariusza, przynoszą hańbę rodzajowi ludzkiemu. Czy jest do pojęcia, mówiła sobie, by Thénardier i jego zbiry, którzy swoim credo uczynili poniżanie, należeli do tego samego gatunku co Mariusz i Verjat?

Zaczęła pesymistycznie patrzeć na naturę ludzką. Płakała z wściekłości i rozpacz. A co się stało z jej synem? Starła się myśleć, że człowiekiem, który go porwał, jest Verjat. Musiał to być on. W przeciwnym razie nic nie miałoby sensu. Thénardier nie mógł aż tak kłamać. Kiedy oznajmił jej o tym fakcie, w jego głosie dostrzegła nutkę złości i goryczy. Intuicja nie mogła jej zawieść. Jej syn żyje, Mariusz żyje, ona żyje. Gdybyż tylko wszyscy troje odnaleźli się, znów stanowiliby całość i odzyskaliby utraconą jedność. Ale jak to zrobić?

Nocą obracała się setki razy na sienniku, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie. Może Mariusz wyjechał z kraju? Może jest poszukiwany? Może poszedł na ulicę Plumet? Dręczyły ją wszystkie te pytania. Nie wiedziała, od czego zacząć. Złe

sypiała. Kolejne bezsenne noce wtrącały ją w piekło niepokoju o przyszłość. Zawsze był jakiś szkopał, jakaś przeszkoda, jakaś sytuacja bez wyjścia. Za dużo rozmyślała. A przecież jeśli myśl zastąpić marzeniami, to jakby pomylić trucizną z pokarmem. Myśl jest pracą inteligencji, marzenie jej wytchnieniem. Ich pomieszanie wyprowadzało Kozetę z równowagi. Odpoczynek stał się dla niej zakazanym luksusem. Uspokajało ją tylko wspomnienie pogodnej, krzepiącej twarzy ojca. Miała jego siłę... Do niej się odwoła.

Co wieczór gotowała zupę. Do głowy przychodziły jej straszne myśli. Żeby zamordować, otruć. Ale nie miała dostępu do żadnej trucizny. Dawano jej wielką miskę z kawałkami świeżego mięsa, podawanego klientom jako mięso królika. Pewnego dnia w naczyniu tym rozpoznała głowę kota. Cofnęła się z odrazą. Ale przemogła się, zrobiła potrawkę i przyprawiła ją czerwonym winem, marchwią i cebulą. Któregoś wieczoru naplula do garnka. Podając półmisek przez judasza, szeroko uśmiechnęła się do Dwudziestu Dwóch. Jej uległość zdumiała albinosa. Odpowiedział jej także uśmiechem. Kozeta była w siódmym niebie.

Zrozumiała, że może robić pewne rzeczy, nie narażając się na żadną karę. A jeśli całe życie sprowadza się do tej straszliwej oczywistości?, mówiła sobie z przerażeniem.

Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Ale w następnych dniach znów naplula w garnek. Szubienicznicy, którzy przychodzili Pod Dwa Krasnale, niczego się nie domyślali. Wszystko zachłannie pożerali, rycząc na całe gardło żołnierskie piosenki. Nie widziała tych ludzi, ale ich słyszała. Czasem otwierała judasza, by coś zobaczyć. Jeśli nic oberwała wtedy po twarzy od Pégasse'a albo Dwudziestu Dwóch, udawało jej się zerknąć na boki. Nie mogła widzieć wiele. Ale w lustrze odbijającym strzępki różnych scen można było odgadnąć jakieś kształty. Więc Kozeta patrzyła. Ze światem zewnętrznym łączyły ją jeszcze owe chińskie cienie. Starła się zdobyć jakąś wskazówkę, która pomogłaby jej zorientować się, gdzie jest. Ale dokoła

było zbyt wiele hałasu, panował zbyt wielki mrok. Nie dochodziła do niej żadna rozmowa, którą mogłaby zrozumieć. Słyszała tylko niewyraźne szmery. Wszyscy ci ludzie upijali się. Wrzeszczeli, tańczyli, robili wiele szumu, prowokowali się nawzajem, dzielili kobietami o krzykliwych głosach, lżyli się, czasem bili; potem, późno w nocy, zaczęli stękać i zwracać to, co wieczorem zjedli. Jedni wychodzili, pomstując na siebie, inni zasypiali jak zwierzęta. Nic zagrzewali długo miejsca. Pégasse bezlitośnie wyrzucał ich wreszcie na dwór. Wtedy do judasza podchodził Dwadzieścia Dwa i krzyczał:

— Możesz posprzątać kuchnię, Skowronku! Czas spać!

Kozeta usypiała w odorze spalonego tłuszczu i skwarze prawie nie do wytrzymania. Często około drugiej rano, czasem później. A następny dzień zaczynał się dla niej o siódmej.

*

Podczas gdy Kozeta męczyła się w swej ohydnej norze, Thénardier nie zasypiał gruszek w popiele. W nadzorze nad warsztatem wprowadził zmiany. Poza tym dowiedział się, że współnik Rudasa, słynny Moreau, przebywa w południowej Burgundii. Zdaniem Carignola wsiadł w Fontainebleau do dyliżansu jadącego do Autun. To wszystko, co zdołano ustalić. Ale żandarmeria nadal zajmowała się tą sprawą.

Thénardier miał więc o czym myśleć. Jeśli wszystko się wyda, uznają go za jedyne winnego. Wszystko go bowiem obciążało. Czyż nie więził Kozety? Czyż nie był bezpośrednio zamieszany w porwanie jej dziecka? Czyż nie na jego zlecenie zostali zamordowani Jezus, Rudas i Szkapa?

Czekał go szafot. Chyba że usunie tego Moreau. Oczywiście postanowił się tym zająć. A jak w tym wszystkim wygląda Burdin? Czysty jak łąza? Bez wątplenia nie.

Jestem pewien, że garbus usiłuje mnie oszukać, mówił do siebie Thénardier. Już mnie podszedł, wsadzając tego swojego

Gérarda do Chat-Malin. A teraz położy łapą na majątku Mariusza, nie zostawiając dla mnie ani źdźbła. Ubierze mnie nawet we wszystkie te szantaże. Powinienem być bardziej się go strzec. Człowiek nie bez racji jest garbusem. Oprócz Kozety muszę mieć jeszcze jakiś środek nacisku na tego drania. I to mocny.

Wówczas kazał Wilczarzowi spotkać się z Burdinem i powiadomić go o zniknięciu Rafaela.

— Ale nie podawaj mu żadnych szczegółów, przyjacielu. Powiesz tylko, że pojechał ze Szkapą na prowincję. Do Burgundii, w okolice Autun. I że Moreau coś mu wyjawiał.

O tej samej godzinie, gdy Wilczarz spotkał się z Burdinem, Thénardier zjawił się u markiza d'Iguerande ucharakteryzowany na notariusza. Dlaczego na notariusza? Ponieważ przez całe życie marzył o obracaniu cudzymi pieniędzmi. Ambicją z pewnością nie dorównywał swemu wspólnikowi, ale chciwością niewątpliwie go przewyższał. Nadszedł więc czas, by zabezpieczyć sobie tyły. I obudzić w markizie nieufność.

Koło drugiej po południu zjawił się na ulicy Saint-Fiacre. Musiał parokrotnie dzwonić, zanim markiz osobiście otworzył mu drzwi, ponieważ Burdin wyszedł.

Amadeusz spytał nieprzyjemnym tonem.

— Kim pan jest?

Thénardier ubrany na czarno, w okularach na nosie, z doprawioną rudą brodą, trzymał pod pachą zeszyt, by wyglądać bardziej wiarygodnie. Gdy Amadeusz zadawał mu to pytanie, odwrócił nieco twarz, gdyż od markiza d'Iguerande zionął alkohol.

— Czy raczyłby pan poświęcić mi nieco czasu i odpowie dzieć na parę dotyczących go pytań?

Amadeusz zadrżał. Wydało mu się, że ten człowiek jest z policji. Dręczyła go sprawa Fieschiego.

— Zapewniam pana, że jestem notariuszem — oznajmił Thénardier, dostrzegając niepokój gospodarza. — Rejent Jond-

ret, do usług. Zajmuję się niektórymi sprawami pana Louis--Desire Burdina. Amadeusz, nadal stojąc, odezwał się wielkopańskim tonem:

— Żle pan trafił, nie ma go w domu. Poza tym nigdy o panu nie słyszałem. Moje sprawy prowadzi rejent Chanplon.

Thénardier nie stracił kontenansu.

— Właśnie z tej racji pragnąłbym z panem pomówić, panie markizie — bąknął, poprawiając małe czarne okulary. — Jestem w kontakcie z rejentem Chanplonem. Proszę mi jednak obiecać, że nie wymieni pan mego nazwiska i nie powie o tej wizycie panu Burdinowi.

Ten ton zwiódł Amadeusza. Obawiał się bowiem najgorszego.

— Niech pan wejdzie — powiedział nerwowo.

Szybko zerknął za drzwi, by zobaczyć, czy kogoś tam nie ma. Nie był jeszcze do końca spokojny. Absynt i opium zwiększyły jego skłonność do manii prześladowczej, wszędzie widział wrogów. Nękało go widmo Fieschiego i jego piekielnej maszyny. Był bez przerwy podpity, niestaranie ogolony, miał nerwowe tiki, jadł mało i źle sypiał, uważał się za królobójcę. W nocy budził się zlany potem. Śnił mu się proces i gilotyna. Błąkał się po domu jak dusza pokutująca. Przede wszystkim bał się zeznać Fieschiego. A jeśli Korsykanin wmiesza go w zamach na króla z dwudziestego ósmego lipca? Gazety opisywały Giuseppe Fieschiego jako osobnika podłego i bezczelnego, mającego już na swoim koncie wyroki za kradzież i fałszerstwo, znanego z donosicielstwa i zepsutych obyczajów. Należał do tajnych stowarzyszeń, a jednocześnie sprzedawał swe usługi policji. Mówiono nawet, że już wydał jednego ze swych współników. Wszyscy oni byli republikanami. Należeli do nich: rymarz nazwiskiem Morey, sklepikarz z Faubourg Saint-Denis nazwiskiem Pepin oraz robotnik nazwiskiem Boireau, którego rola w zamachu była podrzędna. Jeszcze nie wsadzono ich za kratki. Mówiono również o Ninie, konkubinie Fieschiego, owej jednookiej dziewczynie, którą Amadeusz

adorował Pod Białym Diabłem, będąc w towarzystwie Giuseppe i Prozerpiny. A jeśli ta idiotka coś powie? Jeśli pochwali się, że wpadła w ramiona markiza, amatora dziwek i wieczorów spod znaku Lucypera?

Na tę ewentualność Amadeusz aż zadrżał. Jeszcze niedawno, jak sam mówił, im niżej upadał, tym większą sprawiało mu to przyjemność. Na myśl, że zostanie uznany za królobójcę lub współnika królobójcy, co w obydwu przypadkach było przesadą, poczuł strach. Sądził, że wszyscy mają mu coś za złe. No i ten nowy cios: raptowne zniknięcie Kozety i dziecka, którego był ojcem chrzestnym. Wprawdzie wypytywał Magdalenę, ale nie udało mu się niczego dowiedzieć. Płakała tylko i kręciła bezsilnie głową. A Louis-Desiré? Jak zawsze w podobnych sytuacjach robił przygnębianą minę i namawiał swego pana do podjęcia decyzji w sprawie spadku po baronostwie Pontmercy.

W przyszłym miesiącu musi się pan wreszcie zdecydować, panie markizie. Rejent Chanplon jest we wszystko wprowadzony. Papiery, a nawet pieniądze ma w swym sejfie. W ten sposób broni pan interesów pani Kozety i jej dziecka. Kto wie, może niedługo znów się pojawią? Tym bardziej sprawi im to miłą niespodziankę.

Amadeusz coraz bardziej unikał swego intendenta, który nic miał pojęcia o uczuciach i nie potrafił wesprzeć go podczas metamorfozy, jaka w nim zaszła. Ale w gruncie rzeczy jakiej metamorfozy? Amadeusz sam nie wiedział. Za dużo pił. Nie odróżniał dnia od nocy. Niegdyś przysięgł sobie, że się nie zakocha, by nie cierpieć. Przecież to takie wygodne. Człowiek bierze, a nigdy nic daje. Dzisiaj zdawał sobie sprawę ze swych mankamentów. Nie udawało mu się już szyderstwem zamaskować ran. Stąd jego klęska. Straszliwie brakowało mu Kozety. Chciałby na wszystko reagować jak dawniej, jak obojętny, okaitny dandy. Ale już nic umiał. I owa niemożność dręczyła go. Należał do ludzi wiecznie zde gustowanych, którzy ulegają hipotetycznej przyszłości, wszystko negują, a raczej lekceważą,

oczarowani tym, co ulotne, którzy nie wiedzą, czego chcą, są znudzeni sobą, a przez to stają się nudni. Na siłę starał się rezygnować z wszelkich ambicji. A to właśnie była ambicja. Zbyt jak na niego wygórowana.

Amadeusz ocknął się. Obrzucił bezlitosnym spojrzeniem starego sknerę, który stał przed nim. Rejent Jondret? Czego chce? Pieniędzy? Spłaty długu?

—Napije się pan czegoś?

—Nie, panie markizie. Ale proszę się nie kępować. Słusznie korzysta pan z uroków życia, to przywilej młodości.

Amadeusz wstał, otworzył kredens w salonie i wyjął butelkę rumu. Nalał sobie pełną szklankę. Thénardier nie spuszczał z niego oczu. Od czasu do czasu w milczeniu kiwał głową, jakby akceptując, a nawet popierając dążenie do upodlenia, jakie wyczuwał w młodym arystokracie. Na wszystko, co w ludziach wskazywało na poniżenie lub upadek, patrzył z rozkoszą. Człowiek, który kiedyś w jego obecności pokonał w Clan Destin Kochasia, bardzo się zmienił. Schudł. Jego włosy nabrały żółtego koloru, a różowa młodzieńcza cera należała do przeszłości. A on, Thénardier, przyszedł tu po to, by zasiać jeszcze więcej zwątpienia w jego duszy. Aby go zniszczyć. I aby zapewnić sobie udział w zyskach.

Kiedy Amadeusz usiadł, zaatakował go wprost, z szerokim uśmiechem na ustach.

—Pański intendent dobrze wywiązuje się ze swych obowiązków, panie markizie. Tylko że mając tyle zajęć, trochę się gubi. Zresztą, muszę przyznać, ja także.

—Co ma pan na myśli mówiąc „że ma tyle zajęć”?

—Ba! Oto co mam na myśli, panie markizie: zajmuje się drobnymi interesami, z których nic nie wynika. — I robiąc współczującą, a zarazem zażenowaną minę, dodał: — Czyżby pan o niczym nie wiedział?

Amadeusz miał ochotę stłuc na kwaśne jabłko tego czło-

wieka, którego pokrętny sposób bycia wywoływał w nim wstręt.

—Istotnie — przyznał, nie tracąc zimnej krwi.

—Wystarczy, że panu powiem — ciągnął Thénardier — iż zajmuję się sprawami pewnego małego chłopca, oddanego do internatu na prowincji.

Amadeusz, który bawił się szklanką, wznosił oczy ku niebu. Thénardier nie omieszkął zauważyć jego lekceważącego zachowania. Postanowił więc nie owijać rzeczy w bawelnę. Powiedział, że dokładnie osiem lat temu, co było nieprawdą, Louis-Desire przyniósł do niego dziecko i że dziecko to rośnie pod jego opieką, co było częściowo prawdą (wiemy, w jakich warunkach Rafael spędził dwa lata w warsztacie). W rzeczywistości Louis-Desire powierzył Rafaela Thénardierowi, by zrobił z niego bandytę całą gębą. „To najlepsza rzecz, jaką można zrobić z podrzutkami”, orzekł. Nie powiedział wprost, czy dziecko to znalazł, czy ukraść. Burdin rzadko kiedy mówił coś wprost.

— Wychowanie dzieciaka jest kosztowne — zakończył Thénardier, udając, że sprawdza coś w papierach. — Iz żalem muszę panu wyznać, że pan Burdin nie jest już w stanie łożyć na jego potrzeby.

Amadeusz skulił się w fotelu. Ręce mu drżały, oczy miał rozbiegane. Czy chodzi o dziecko, które miał z Klemencją? Trudno mu było w to uwierzyć. Dlaczego Louis-Desire miałby go aż tak oszukać?

Thénardier wahał się, czy drażyć sprawę dalej. Aby zyskać na czasie, mógł skierować markiza na fałszywy trop. Na przykład na trop Moreau, nawet jeśli dotychczas nie wiedział, gdzie ten przebywa. Jednak było to ryzykowne. Burdin natychmiast zwróciłby się przeciwko niemu. Lepiej było poprzestać na niedomówieniach. Gdy tylko wytropi Moreau, napuści na niego całe to towarzystwo. Wówczas ochno wezmą się za czuby.

Na razie będzie zmiękczał tego pozał się Boże markiza,

Wystarczyło spojrzeć, by zrozumieć, że Amadeusz powątpiewa w jego rewelacje. Zresztą Thénardier sam nie wiedział, kim naprawdę jest Rafael i dlaczego Louis-Desire tak się nim interesuje. Czy najbardziej radykalnym rozwiązaniem nie byłoby zlikwidowanie tego dziecka lub pozostawienie go tam, gdzie jest? Ale w głowie Thénardiera zarysował się pewien mglisty pomysł. Jeśli ten Rafael nie jest owocem mezaliansu, z pewnością jest bękartem markiza i jakiejś przypadkowej dziewczyny.

Wolałby to usłyszeć z ust Amadeusza. Ale markiz nie dał po sobie nic poznać. Wstał, zniknął w przyległym pokoju i wrócił z pięciuset frankami.

— Proszę to wziąć.

— Dziękuję, panie markizie — powiedział Thénardier, zginając się w pół i wkładając pieniądze do kieszeni.

Dziś wieczorem, pomyślał, Amadeusz i Louis-Desire, mając sprzeczne informacje, skoczą sobie do oczu. Jeden będzie myślał, że dziecko uciekło, drugi, że mieszka gdzieś w internacie na prowincji. W perspektywie rysowała się piękna walka. Rzeczywiście dzielić i rządzić to rzecz miła. A co potem? Potem się zobaczy. Owoc, w którym załęgnie się robak, zaczyna gnić. Wszyscy się wykończą. A on, Thénardier, wyjdzie z tego obronną ręką. Czy wszyscy ci imbecyle nie rozszarpią się wzajemnie gdzieś w Bur-gundii?

— Zrobię dla dziecka wszystko, co trzeba — rzekł. — Natomiast nie mogę panu powiedzieć, gdzie się znajduje. Za dwa miesiące dowie się pan więcej. Muszę wyjechać z Paryża w interesach. Później skontaktuję się z panem.

W ten sposób dawał sobie czas, by spaść na cztery łapy i doprowadzić swe intrygi do perfekcji.

— Jestem panu wdzięczny za ten szlachetny gest, panie markizie — dodał, kilkakrotnie się kłaniając.

Amadeusz zmierzył go pełnym pogardy wzrokiem.

— Gesty szlachetne i gesty podłe — powiedział oschle —

łączy to, że w końcu zawsze się ich żałuje. Do widzenia, panie rejencie.

— Do widzenia, panie markizie. I bardzo proszę, ani słowa o mojej wizycie panu Burdin, to chyba jasne.

Jego oczy lśniące złowróbnym blaskiem mówiły: „Mam nadzieję, że obaj sobie o tym porozmawiacie i że zaczną się kłopoty”.

*

Jak przewidział, między Amadeuszem i jego intendentem doszło do burzliwych wyjaśnień. Louis-Desire, powiadomiony przez Wilczarza o zniknięciu Rafaela, boleśnie odczuł ten cios. Dziecko to było dla niego monetą przetargową. Ale wszystkiemu zaprzeczał. Amadeusz nie wymienił nazwiska swego informatora. Rozmawiali ze sobą jak gęś z prosięciem.

Jednak pod koniec rozmowy Louis-Desire zapytał, od kogo pochodzą owe rewelacje.

—Od człowieka godnego zaufania. Pewnego notariusza z rudą brodą.

—Nie znam żadnego notariusza z rudą brodą.

—Jednak jego informacje były bardzo dokładne. Oznajmił mi, że mniej więcej przed ośmiu laty oddałeś mu pod opiekę jakieś dziecko.

—Zmyśla, panie markizie. Ktoś stara się panu szkodzić. Powiem więcej: nam szkodzić. O czyje dziecko może chodzić?

—O moje.

Louis-Desire zadrżał. Amadeusz mówił jednostajnym, wyzbytym złości głosem. Intendent z trudem ukrył zmieszanie.

— Podejmuje pan jakieś działania, o których nie mam pojęcia — ciągnął Amadeusz. — Nie wiem jakie i nie chcę o nich wiedzieć. Poza tym zaciągnął pan długi.

Kiedy Amadeusz chciał zaznaczyć w stosunku do kogoś dystans, mówił per pan do ludzi, do których przedtem zwracał

się per ty, i per ty do tych, do których przedtem zwracał się per pan.

— To nieprawda, panie markizie.

Mimo że pijany Amadeusz trzymał się bardzo prosto. Mówił dalej, ciężko oddychając:

— Mam wszelkie powody, by sądzić, że nadużył pan mego zaufania. Jeszcze raz powtarzam ostrzeżenie, które już kiedyś panu dałem: nie ma pan do mnie żadnych praw. Zmieniłem się

i wiem, że jest to panu nie w smak. Nie pytam pana o zdanie.

Intendent zrobił urażoną minę:

— Pan markiz się myli. Przypisuje mi zbyt wielkie znaczenie. Cnotą sług jest dobra pamięć.

— Więc ma pan złą pamięć! — rzucił rozwścieczony Amadeusz.

Oczywiście podejrzewał swego intendenta. Tylko jakie dowody mógł mu przedstawić? I jak mu wytłumaczyć przemianę, jaka w nim zaszła?

Ujął głowę w ręce. Pośpiech i pijaństwo trochę go otumaniały. Poza tym mówił sobie, że Louis-Desire ma prawo go nie rozumieć. Czyż dotychczas nie przedkładał zawsze rzeczy nie do przyjęcia nad rzeczy, które się lubi? Czyż zawsze nie uciekał, nie zdradzał, nie oszukiwał, nie kręcił?

— Skończyłem z tym wszystkim! — wybuchnął, zdenerwowany do ostateczności. — Rozumie pan? Nauczyłem się postępować w określony sposób! Stałem się tylko tym, kim jestem! To pan miał na mnie zły wpływ! — Po czym dorzucił bełkotliwie: — Pan to dziecko...

Louis-Desiré, osłupiały i zbity z tropu, opuścił głowę i powiedziało drżącym głosem:

— Gdybym ja to zrobił, postarałbym się definitywnie go pozbyć, panie markizie. Powiedziałem panu wtedy i powtarzam dzisiaj: dziecko urodziło się martwe.

Amadeusz uważnie spojrział na swego intendenta. Nie wierzył mu już. Jego haniebny postępek przekreślił coś w rodzaju przyjaznego uczucia, jakim go darzył.

—Nie wiem, jaki miał pan interes w tym, by porwać to dziecko i pozostawić je przy życiu, Louis-Desire. Niemniej owa stara historia wyływa znowu. Czy mógłby mi pan powiedzieć dlaczego? Albo ma pan wrogów, albo nie zachował pan właściwych środków ostrożności. W obydwu przypadkach wniosek jest jeden: będziemy musieli się rozstać.

—Jak pan sobie życzy, panie markizie. Zawsze dbałem o pańskie interesy. I nie skłamałem.

—Może pan przysiąc?

—Przysięgam.

—Niech pan idzie precz. —Nie podnosząc głosu, Amadeusz odprawił go pogardliwym gestem.

Intendent wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i roztrzęsiony wrócił do swego pokoju na trzecim piętrze. Na schodach minął Magdalенę. Po zniknięciu swojej pani zajmowała się mieszkaniem jak dawniej. Chcąc wierzyć, że nic się nie stało, niektórzy prości ludzie wykonują codzienne czynności, nie zadając sobie żadnych pytań. Ale utrwalając wspomnienie, oszukują tylko swoją rozpacz. Magdalena należała do takich właśnie ludzi.

— Dzień dobry, panie intencencie — odezwała się płaczliwym głosem.

Odpowiedział jej skinieniem głowy. Gdy znalazł się w swej mansardzie, usiadł na żelaznym łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Ten zimny wyrachowany człowiek czuł się bezbronny. Przytłaczało go poczucie klęski. Kto się zaważył na jego pana i na niego samego? Jeśli była jakaś istota, do której czuł przywiązanie, był nią Amadeusz. Jego ukochany Amadeusz. Ale istnieją pewne granice. Swym poniżającym go postępowaniem i niewdzięcznością markiz doprowadził go do ostateczności. Czyż nie był to odpowiedni moment, by okazać stanowczość, zerwać z nim i odejść? Dlaczego Amadeusz zwrócił się przeciwko człowiekowi, który wszystko dla niego poświęcił?

Wówczas ten twardy, niewzruszony mężczyzna zaczął płakać i wśród łez wyrzucał sobie, że nigdy nie starał się pogodzić moralności z szaleństwem, w które wepchnęły go jego instynkty. Czy cokolwiek by to zmieniło? Podniósł głowę. Z pewnością nie, syknął przez zęby. Jesteśmy rym, czym jesteśmy. A przede wszystkim człowiek nie powinien starać się zmienić.

Z bezlitosnym, a zarazem wzruszającym spojrzeniem przekonywał sam siebie, że nic nie jest stracone. Ale niestety, nie miał już atutu, jakim był Rafael. Nie tylko ktoś wywęszył tajemnicę, ale teraz Burdin nie może już jej użyć, by zmusić markiza do uległości. Trudno, nie ustąpi. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Oczywiście majątek baronostwa Pontmercy przejdzie mu koło nosa. Ale Amadeusz, wchodząc w jego posiadanie, i to w sposób jak najbardziej legalny, będzie bogaty i znów stanie się tym, kim był. Wbrew sobie. Wbrew innym.

Kiedy się podniósł, zobaczył odbicie swojej twarzy w jedynym lustrze wiszącym w tym mrocznym, zakurzonej pokoj. Odwrócił się. Z jego piersi wydarło się westchnienie. Dlaczego Bóg dał mu ten garb? Ponieważ Bóg nie istnieje, odpowiedział sam sobie. W ponurym nastroju otworzył okno i starał się uspokoić, wciągając jak najwięcej powietrza w płuca. Widząc go w tym stanie, można mu było w pewien sposób współczuć. Czyż los straszliwie go nie naznaczył? I zło głęboko się w nim zakorzeniło. Ponieważ cierpiał, inni powinni cierpieć także. Był o tym przekonany. Dlatego cofnął się, złorzeczając, i powrócił do swych posępnych myśli. Jeśli muszę pójść na dno, powiedział sobie, wszyscy zatoną wraz ze mną. Przede wszystkim Thénardier, któremu kiedyś podał rękę, a który niewątpliwie był przyczyną wszystkich jego kłopotów. Thénardier, którego zamierzał teraz zlikwidować z pomocą Gérarda. Thénardier, któremu powinien pozwolić szczeznąć w Saint-Malo.

— Przez ciebie popełniłem krzywoprzysięstwo — powie-

dział głośno. — Nawet jeśli chwila ta nie jest jeszcze bliska, zapłacisz mi za to. Gdy tylko ten dureń Gérard dostarczy mi jakąś dobrą trucizną, skonasz w strasznych męczarniach. Ale jeszcze nie teraz. Zaczekam, aż wszystko się uspokoi. A wtedy, mój kochany, pożałujesz, że nie zakończyłeś życia jako kieszonkowiec w Saint-Malo!

*

Podróż była długa. Musieli unikać miast, kontroli policyjnych, uczęszczanych szlaków. Ciągłe to samo. Kiedy człowiek jest zbiegiem, przyzwyczajają się do swej kondycji. Podróżuje nocą, śpi w dzień.

Ponieważ Rafael był bardzo wyczerpany, Mariusz i Kochaś kolejno nieśli go na plecach. Na stacji pocztowej w Louviers ukradli konie. W pościg za nimi ruszyli żandarmi. Trzy dni uciekali przez pola i lasy, a zgubili ich dopiero w okolicach Lisieux. Mariusz zabrał z pola stracha na wróble i posadził na siodło jednego z koni. Przedłużył cugle, wypchał "Jeźdźca" gałęziami i ubrał kukłę w swoją kurtkę i czapkę. Teraz wystarczy tylko pogonić konia w dowolnym kierunku i hajda! Na jakimś bardzo uczęszczanym skrzyżowaniu, raczej błotnistym niż piaszczystym, puścili konia wolno, a sami starali się zmylić ślady: obaj mężczyźni i chłopiec założyli buty tył na przód i zawrócili tą samą drogą. Potem skierowali się w stronę Caen. Rafael siedział na koniu, Kochaś trzymał cugle. Mariusz miał mapę sztabową i niezawodny zmysł orientacji. Przeszli przez Harcourt, Vire i Avranches. Żywili się chlebem i słoniną. Wody było pod dostatkiem. Nocą kradli jabłka ze stodół.

Po kilku dniach forsownego marszu minęli zatoką Mont-Saint-Michel i pozostawili konia. Na piechotę doszli do Cancale i ciągle nocą posuwali się dalej wzdłuż brzegu drogą używaną przez celników. Po drugiej stronie skały wznosiły się domy z szarymi stożkowatymi dachami, ozdobione pilastrami,

otoczone murami białymi jak śmietana. Pachniało tu solą i trawą morską. Potem ukazało się Saint-Malo.

Przez kolejne dwa dni obozowali po drugiej stronie cypla Grouin w szczelinie, do której można się było dostać jedynie, wchodząc po pas w wodę. Na szczęście morze było spokojne. Burze, zdarzające się tu podczas zrównania dnia z nocą, zaczynały się dopiero we wrześniu. Przed oczami trzech zbiegów rozciągał się wspaniały widok. Przy pięknej pogodzie widać było przylądki, plaże i skały aż do cypla Minar. Na wystających z morza skałach kormorany cicho wypatrywały łupu w wodnych wirach. Kochaś i Mariusz jedli ostrygi, Rafael zadawała się chlebem z gotowaną słoniną i brzośkami.

Po zapadnięciu zmroku Mariusz wybrał się do Saint-Malo. Miasto to, ojczyzna Chateaubrianda, pachniało miodem i kminem. Obejrzał statki w porcie. Jego wybór padł na kupiecki bryg „Savannah”, pływający pod amerykańską banderą. Ponieważ w Tulonie miał okazję przyjrzeć się wielu statkom, był świetnym znawcą ich uzbrojenia. „Savannah” miał grotmaszt, fok, czworokątne żagle i bukszpryt. Policzył, że statek jest uzbrojony w czternaście dział. Bryg ten wydał mu się lekki i szybki.

W szalupie do połowu sardynek, przycumowanej do statku rybackiego, znalazł rybacką bluzę i czapkę. Zaraz je włożył i wszedł do tego dumnego miasta otoczonego murami obronnymi, które niegdyś przysięgli zniszczyć Anglicy. Zajrzał do paru tawern, by zasięgnąć języka.

— Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie znajdę kapitana z „Savannah”?

Dopiero w czwartej tawernie, położonej nieopodal katedry św. Wincentego, spotkał marynarza, który podał mu adres piątej tawerny, Pod Wesołym Dorszem. Podziękował, ale marynarz chciał mu postawić kielicha.

— Innym razem, kolego.

Marynarz upierał się. Aby jego zaproszenie było bardziej

przekonujące, zagroził butelką. Mariusz wyciągnął go na dwór i walnął kolanem w podbrzusze. Marynarz bez słowa osunął się na ziemię, a Mariusz zwędził mu butelkę. Nieco dalej, na zakręcie uliczki, wpadł na patrol złożony z żołnierzy marynarki i celników. I nagle krew ścięła mu się w żyłach. W środku tego niewielkiego oddziału zobaczył czarno ubranego mężczyznę. Poznał go. Był to komisarz Raynaud. Jakim cudem się tu znalazł?

— Co to, łobuzie, nie możesz uważać? — warknął adiutant marynarki.

Mariusz opuścił głowę i podniósł butelkę. Dzięki wąsom i brodzie nie można go było rozpoznać. Raynaud podszedł do niego z pojednawczą miną.

— Zostawcie tego dzielnego majtka — rzekł, a Mariusz zdrzął na sam dźwięk jego głosu.

Mimo mroku poczuł na sobie świdrujący wzrok komisarza.

— Pańskie zdrowie! — ryknął jak najgrubszym głosem.

I szybko zniknął w ciemnościach. Gdy zobaczył tawernę Pod Wesołym Dorszem, odetchnął z ulgą. Trzeba jak najszybciej wyjechać z tego kraju, pomyślał.

Wszedł do środka i rozejrzał się dokoła. Gdzie się ukrywa ten amerykański kapitan? Zaraz dowiedział się tego od jakiegoś marynarza.

— To on jest pierwszym po Bogu na „Savannah”.

Marynarz wskazał palcem dobrze zakonserwowanego mężczyznę około pięćdziesiątki. Mariusz przyjrzał mu się z daleka. Biała koszula kapitana kontrastowała z czymś w rodzaju błękitnego marynarskiego uniformu ozdobionego złotymi guzikami. Głęboka blizna jak duży biały rowek przecinała jego prawy policzek. Był sam. Mariusz przysiadł się do niego i spytał, czy mówi po francusku.

— Jestem Francuzem — oznajmił mężczyzna, który miał cienki nos i niebieskie lawendowe oczy. — Nazywam się Fremont. Dlaczego mi przeszkadzasz, majtku?

Mariusz przedstawił mu swą prośbę, a jednocześnie wyciąg-

nał z kieszeni złote monety Trójnogiego i trzy diamenty Thenardiera.

—Wszystko to będzie pańskie, jeśli zgodzi się pan zawieźć nas do Ameryki. Jest nas trzech, w tym jedno dziecko.

—Jak się nazywasz, majtku?

—Mariusz.

Kapitan Fremont przyjrzał mu się. Jego spojrzenie budziło zaufanie. Schował do kieszeni kosztowności i rzekł:

— Przyjdźcie jutro o piątej rano. Odbijemy od brzegu o dzie wiaćtej.

Jego kwadratową szczękę złagodził porozumiewawczy uśmiech.

—Jeśli dobrze zrozumiałem, ty i twoi towarzysze wolelibyście uniknąć kontroli celników i policji portowej?

—Tak jest, panie kapitanie.

—Umiesz posługiwać się nożem'?

—Trochę.

—Znasz żeglarskie rzemiosło?

—Również trochę.

—Poradzimy sobie. Jeśli chodzi o dziecko, kucharz potrzebuje chłopca do pomocy. Dlaczego cię poszukują?

—Zbiegłem z galer.

—Na capie rogi, twoja szczerość podoba mi się, chłopcze. W Ameryce na pewno ci się poszczęści. To kraj wolności. Potem dał Mariuszowi kuksańca w bok.

—Umiesz się bić?

—Trochę.

—Wszystko jest u ciebie trochę! No więc postaraj się, żeby z tego „trochę" zrobiło się dużo!

—Dlaczego, panie kapitanie?

—Bo będziemy przepływać koło Kuby i Porto Rico. A w tamtych stronach roi się od piratów. Ponieważ przewozimy różne tkaniny i jedwabie, może ich to znęcić. Masz jakiś paszport?

—Nie.

—Trudno, zobaczymy na miejscu. Aha, i strzeż się kuchacza, jest trochę dziwny. A więc do jutra.

—Do jutra, panie kapitanie.

*

Zanim odbili od brzegu, na pokład „Savannah” weszli ludzie z policji portowej. Czarno ubrany mężczyzna, który im towarzyszył, zaglądał we wszystkie kąty. W komorze na wino polecił otworzyć trzy pierwsze beczki.

—Rzeczywiście bardzo serio traktuje pan swój zawód — odezwał się kpiąco kapitan Fremont.

—Każdy ma swoją specjalność — odparł komisarz Raynaud, podnosząc swój prosty spiczasty nos.

Machnął ręką na inne beczki i dał znak policjantom, by ich nie otwierali.

—Ależ możecie to zrobić — powiedział kapitan Fremont.

—Nie szukam wina, panie kapitanie. Jest pan uczciwym kupcem, który przewozi ładunek do Nowego Orleanu. Ja szukam dwóch przestępców. Zbiegłych galerników.

—Są niebezpieczni?

—Bardzo. Poinformowano mnie, że kręcą się gdzieś w okolicy. Dziękuję za zrozumienie, panie kapitanie. Może pan podnieść kotwicę.

Ledwo Raynaud zszedł ze statku, kapitan Fremont wznosił oczy do nieba i krzyknął:

— Podnieść kotwicę! Do żagli!

Odbili od brzegu. Marynarzy wysłano na reje dolnych żagli i marsli, by je rozwinęli. Trzeba było na nowo zamocować wantę. Na koniec postawili bezan, ponieważ kapitan chciał wyjść w morze, płynąc zgodnie z kierunkiem wiatru. Teraz pozostawało tylko poluzować gording i wybrać szoty, żeby rozwinąć czworokątne żagle.

Kapitan opuścił sterówkę i przekazał dowodzenie statkiem swemu zastępcy, porucznikowi Steggowi, młodemu amery-

kańskiemu oficerowi z ustami w ciup. Sam udał się do komory na wino, podszedł do czwartej beczki i zapukał w nią. Pokrywa podniosła się i niczym diabełek z pudełeczka wychynęła głowa Mariusza. Kapitan zaśmiał się głośno:

—Miałeś szczęście! Niewiele brakowało, a ten policjant by cię aresztował!

—Jeszcze raz dziękuję, panie kapitanie.

Wspólnymi siłami wyciągnęli Rafaela i Kochasia z piątej i szóstej beczki, a potem wszyscy wyszli na pokład.

Nieco później trzej uciekinierzy z lekkim ukłuciem w sercu spoglądali na oddalający się brzeg. Zwłaszcza Mariusz.

— No i proszę — powiedział z żalem — żegnaj, Francjo.

Wciągnął w płuca rześkie powietrze i otoczył ramieniem Rafaela.

Teraz wiatr wydał wysokie żagle i „Savannah” nabrał szybkości, biorąc kurs na pełne morze.

Po zrazu mglistym, jakby spowitym w watę poranku, ukazało się olśniewające słońce. Mariusz szybko nauczył się refować żagle, zwiając je czy też robić zwrot przez rufę. Kochaś, mimo braku jednej ręki, dokonywał cudów przy żaglach. Podczas pobytu w Tulonie obaj przyswoili sobie pewne pojęcia z zakresu nawigacji. Z językiem angielskim musieli jakoś dawać sobie radę: wszyscy marynarze poza kucharzem byli Amerykanami.

—Jak się jedzie do Ameryki, trzeba się nauczyć języka! — rzucił kapitan Fremont do Mariusza, który myśląc o tym, co sobie ślubował, żałował, że prawie wszyscy Amerykanie mówią po angielsku.

—Kiedy przybędziemy do Nowego Orleanu, będę mówił językiem Szekspira — obiecał Mariusz, który znał już podstawy angielskiego.

W pewnej chwili kapitan zbliżył się do niego i oddał mu trzy diamenty Thénardiera. Wyjaśnił, że ma do niego zaufanie i woli, by raczej pracował na jego statku, niż podróżował na nim jako zwykły pasażer. Będzie to wyglądało lepiej wobec innych członków załogi.

—Zgoda, panie kapitanie. Ale tak to właśnie rozumiałem. Dziękuję za diamenty.

—Nawet jeśli są kradzione, na pewno będziesz ich potrzebował bardziej niż ja.

Dzień minął bardzo szybko. Statek płynął wprost na wschód, ponieważ miał boczny wiatr. Mariusz i Kochaś zjedli kolację w towarzystwie kapitana Fremonta i porucznika Stegga. Poza marynarzami pełniącymi wachtę cała załoga z bosmanem na czele udała się już na spoczynek. Mariusz i Kochaś poszli wkrótce w jej ślady. Korytarz łączył się z pokładem dwoma lukami, jednym na dziobie, koło żurawia, a drugim u stóp grotmasztu, koło ładowni wypełnionej wodą pitną i solonym mięsem. Po obydwu stronach tego korytarza znajdowało się dziesięć wnęk. W każdej była piętrowa koja z dwoma siennikami. Mariusz i Kochaś zajęli jedną wnękę. Rafael miał spać razem z kucharzem, skorym do rękoczynów grubasem pochodzącym z Saint-Malo, osobnikiem o białej, obwisłej skórze, rzadkim zaroście, z nosem jak kartofel i małymi świńskimi oczkami.

Rafael od razu zaczął się go bać. Przypominał mu Rudasa.

Od następnego ranka pracował z nim w kuchni, nieprawdopodobnie brudnej klitce, gdzie od wiecznie palącego się pieca rozchodził się zapach spalonego tłuszczu i zepsutej ryby. Rafael nienawidził ryb.

—Są oślizgłe i śmierdzą.

—Co ty opowiadasz! Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, chłopcze! Gdybyśmy wybrali się na połów dorsza na Nowej Ziemi, dosłownie kąpałbyś się w rybach! I dopiero zobaczyłbyś, co to znaczy oślizgłość!

Kucharz zarechotał dziwnie. Kiedy się śmiał, odnosiło się wrażenie, że w jego brzuchu ktoś siedzi i nim trzęsie. Potem, trzymając się za swój wielki kałdun okryty brudnym poplamionym trykotem, spojrzał na Rafaela z dziwnym wyrazem twarzy.

— Podobasz mi się, chłopcze...

Płynęli już tydzień. Mariusz i Kochaś byli bardzo zajęci, więc nie zawsze mieli Rafaela na oku. Poza tym kapitan Fremont często zapraszał ich do swojej kabiny, którą dzielił z porucznikiem Steggiem.

— Ty, jednoręki, jesteś silny jak Turek— mówił Fremont do Kochasia. — Mnie i Jeanowi przydałyby się zuchy twego pokroju.

Mariusz i Kochaś nie wiedzieli, o jakiego Jeana chodzi, ale się nie dopytywali.

Gdy kapitan zwracał się do nich, używał języka francuskiego. Gdy wydawał rozkazy swemu zastępcy lub bosmanowi, mówił po angielsku.

— Francuski to język dla dżentelmenów, angielski dla lokajów — parskał śmiechem.

Mariusz i Kochaś potakiwali w milczeniu. Prawdę mówiąc, nie mieli żadnego powodu, by narzekać na swoją sytuację. Dobrze ich traktowano, dobrze karmiono. Doceniali to, gdyż niejedno już przeżyli.

Natomiast Rafaelowi było źle u kucharza. Dostawał marne pożywienie i spędzał czas na czyszczeniu wstrętnych garów. Nie skarżył się na to ani Mariuszowi, ani Kochasiowi. Widywał ich tylko wieczorem, gdy kładli się spać, a kucharz mógł wszystko słyszeć. Po kolacji chłopiec korzystał niekiedy z godziny spokoju na pokładzie. Chował się pod zwojami lin i patrzył na błędne niebo. Statek kołysał się łagodnie, fale uspokajały się, a Rafael, dotykając w kieszeni kryształu, który dała mu Kozeta, przypominał sobie różne historie o piratach. Uwielbiał ten skarb. Trzymając go w ręku, nawet się nie zastanawiał nad swoim losem.

Minął jeszcze tydzień. Nie było żadnego szkwału, żadnej burzy. W Zatoce Gaskońskiej sierpień jest miesiącem, gdy burze właściwie się nie zdarzają. Płynęli w stronę Madery. Kucharz nie dokuczał Rafaelowi, ale traktował go jak chłopca do wszystkiego. Kazał mu wykonywać najgorsze prace. Kiedy malec przypadkiem zrobił coś nie tak, zamiast trzepnąć go

ścierką lub kopnąć w tyłek (co na pewno wywołałoby wściekłość Mariusza i Kochasia) nie przepuścił żadnej okazji, by go pomacać. Swymi tłustymi łapskami dotykał jego szyi i ud. Głaskał go po rakach, ramionach, pośladkach.

— Krew lepiej wtedy krąży w żyłach — mówił do Rafaela.

Pewnej nocy, ze swej koi nad Rafaelem opuścił rękę i dotknął jego twarzy.

—Lubisz mnie, chłopcze?

—Tak, panie kucharzu.

—To bardzo miło z twojej strony. Jutro dam ci kawałek czekolady.

—A co to takiego?

—Coś bardzo smacznego. Bardzo rzadki przysmak. Śpij, chłopcze.

Następnego dnia wieczorem Mariusz i Kochaś zostali zaproszeni do kabiny Fremonta i Stegga. Rafael i kucharz jedli kolację w magazynie żywnościowym. Kucharz skakał koło chłopca i specjalnie dla niego przyrządził pieczone wieprzowe żeberka i smażone kartofle. Rafael nigdy nie widział czegoś równie smacznego. Po zjedzeniu kartofli poczuł, że robi mu się niedobrze. Dla chłopca, który rzadko jadał do syta, było to dziwne uczucie.

— Wypij, to ci pomoże.

Grubas podał mu szklaneczkę rumu. Dziecko umoczyło usta w alkoholu i wszystko wypluło. Kucharz czknął i zaczął przestępować z nogi na nogę. Potem zabrał szklanke, opróżnił ją jednym haustem i podsunął Rafaelowi kawałek czekolady. Patrząc, jak ją chrupie, puścił do niego oko i szepnął słodziutkim głosem:

— Widzisz, jaki jestem dla ciebie miły. A czy ty będziesz miły dla mnie?

Rafael delektował się czekoladą. Nie rozumiejąc, do czego kucharz zmierza, odpowiedział w końcu:

— Ależ jestem dla ciebie miły i zawsze robię to, co chcesz.

Nie mógł opanować drżenia, widząc gorączkowy blask

w źrenicach grubasa. Ten wyciągnął rękę i czerwoną stwardniałą dłonią delikatnie popieścił go po karku.

—Masz rację, chłopcze. Ale jeśli naprawdę chcesz być miły, przyjdiesz do mojej koi i będziesz spał ze mną.

—Dlaczego?

—Bo jest mi zimno.

—Nie masz koca?

Kucharz przestał głaskać Rafaela, chwycił go za ucho i wytarosił je.

— Nie udawaj głupiego! — krzyknął z nieoczekiwaną brutalnością. — Wydaje ci się, że nie wiem, co cię łączy z tymi twoimi przyjaciółmi? Teraz moja kolej! Prawda?

Na jego wilgotnych wargach pojawił się obleśny uśmiech. Miał okropne uzębienie z mnóstwem brązowych pieńków. Nalał sobie jeszcze jedną szklankę rumu, a potem nagle chciał przyciągnąć do siebie głowę chłopca. Rafael natychmiast zaprotestował.

—Powiem Mariuszowi!

—Mam gdzieś twego Mariusza!

Kucharz wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, w którym brzmiała zarówno nienawiść jak pogarda, i powiedział lubieżnie:

— Nic nikomu nie powiesz, chłopcze. Inaczej nie dostaniesz już czekolady. Albo jeszcze lepiej: pokroję cię na kawałki i wrzucę do garnka ze słoniną i rybą!

Ta perspektywa przeraziła Rafaela. Wciśnięty w krzesło, z jedną nogą w próżni, szukał jakiegoś sposobu, by się wymknąć. Kucharz znów wyciągnął rękę, chcąc go złapać:

— No więc pójdziesz ze mną do łóżeczka?

Chłopiec ugryzł grubasa w rękę, zerwał się z krzesła, popędził na pokład i schował się w swojej kryjówce pod linami. Rozwścieczony kucharz puścił się w pościg. Ponieważ jednak był gruby, pijany i niezdamy, uderzył się o drabinę i upadł na pośladki. Podniósł się i chwycił nóż. Gdy wpadł na pokład, głęboko zaczerpnął morskiego powietrza, które natychmiast

go otrzeźwiło. Rozejrzał się na wszystkie strony. Zaciśnął szczęki i wymachując nożem, starał się powiedzieć możliwie najsympatyczniejszym tonem:

— Gdzie jesteś, ty mały zboczeńcu? Schowałeś się, żebym cię szukał? Wiesz, że dostaniesz klapsa na goły tyłek?

Rafael nawet nie drgnął. Zobaczył cień kucharza z nożem w ręku. Serce waliło mu jak szalone. Widząc smugę piany za statkiem, chciał rzucić się w fale. Gdy podniósł głowę, czyjaś ręka złapała go za kark.

— A może byśmy tak sobie pogadali?

Rafael zamarł z przerażenia i wstrętu. Twarz kucharza prawie dotykała jego twarzy. Cuchnął alkoholem i smalcem.

— Tu, na świeżym powietrzu, będzie nam bardzo dobrze — szepnął grubas, mocniej zaciskając dłoń na karku dziecka. Rozgrzejemy się, chłopcze. Opowiedz mi, jak to robicie z tam tymi dwoma...

Zbliżył wargi do ust Rafaela, ale chłopcu udało się zasłonić je ręką. Napiął wszystkie mięśnie i wrywał się. Chciał krzyknąć, ale kucharz puścił jego kark i zatkał mu usta. Był wiatr i mżawka. I nikogo na pokładzie.

— Wpadłeś w pułapkę, chłopcze. Jestem silniejszy. Zoba czysz, zrobię ci...

Kucharz wymówił jeszcze parę dziwnych słów. Chłopiec szamotał się, nie miał najmniejszego pojęcia, co mu grozi. Ponieważ zabrakło mu powietrza, o mało nie zemdłał. Grubas przyciskał go teraz całym swym ciężarem.

— No więc wolisz, żebym poderznął ci gardło— wykrztusił — czy będziesz dla mnie miły? Pośpimy sobie obaj...

Nagle zadrżał. Poczul, że piecze go ucho. Po szyi płynęła mu ciepła lepka ciecz.

— Moje ucho! — zawył, rzucając nóż.

Potem odchylił się. W ciemnościach trudno było cokolwiek dojrzeć. Ale tuż przy sobie wyraźnie zobaczył potężną sylwetkę Kochasia.

— Ćśś! — szepnął siłacz, -wymachując olbrzymim ocieka-

jącym krwią nożem. — Nie drzyj się, tłusćciochu — i przedrzeźniając go, zapytał: — Będziesz dla nas miły czy wolisz, żebyśmy poderżnęli ci gardło?

Na ustach Kochasia widniał demoniczny uśmiech. Kucharz skamieniał. Złożył ręce, a potem robiąc jakieś groteskowe, bezsensowne gesty, wybełkotał:

— To nie ja, to on... Zwędził czekoladę i ugryzł mnie, a potem uciekł...

Przestępując z nogi na nogę, pokazał rękę.

Właśnie wtedy pojawił się Mariusz. Na jego widok Rafael wyskoczył z za lin i skrył się w ramionach swego opiekuna.

— Uspokój się, nic ci już nie grozi — rzekł Mariusz, kładąc rękę na głowie chłopca. — Mówisz, że to on? — zwrócił się do grubasa: — Dziwne, ale inaczej to wyglądało. A teraz, kucharzu, dobrze posłuchaj, co ci powiem: jeszcze jedna próba tego rodzaju, a nie skończy się na uchu. Zrozumiałeś? Jeśli ci to nie odpowiada, możemy pójść do kapitana i zapytać, co o tym myśli.

— Lepiej nie — poprosił grubas z uśmiechem pełnym udawanej wdzięczności.

— Jak sobie życzysz.

Mariusz odwrócił się na pięcie i odszedł, zabierając ze sobą Rafaela. Przez ten czas Kochaś włożył nóż do kieszeni. Potem zniecierpliwiony chwycił kucharza za głowę i z całej siły pchnął go na maszt. Grubas upadł jak tłumok z pościelą. Kochaś rzucił lakonicznie:

— Chciałeś sobie pospać, prawda'?

W następnych dniach kucharz zachowywał się spokojnie. Kazał Rafaelowi harować ile siły i porozumiewał się z nim jedynie gestami. Nazajutrz po incydencie na pokładzie kapitan Fremont zagroził mu, że każe go zakuć w kajdany.

— Spróbuj jeszcze raz, a będę cię trzymał o chlebie i w dzie, wieprzu!

Grubas przyjął to z udawaną pokorą, ale w środku aż się pienił. Jednoręki i elegancik musieli na niego donieść. Na pytania marynarzy, co takiego zrobił, odpowiadał monosylabami. Udawał, że nie wie, o co chodzi. Na uchu miał opatrunek. Jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Za Wyspami Kanaryjskimi nastąpił tydzień nieskończenie długiego wyczekiwania. Czarna dziura to na oceanie miejsce, którego wszyscy najbardziej się boją. Nie ma deszczu ani wiatru. Jak okiem sięgnąć, widać tylko Atlantyck. Jakby była tu nie woda, ale oliwa.

Wreszcie powrócił wiatr. „Savannah” zaczął płynąć z szybkością pięciu węzłów. Czasem osiągał nawet dziewięć węzłów. Ale kapitan Fremont uprzedził Mariusza:

— Tak jest, to długa podróż, chłopcze. Trzeba liczyć co najmniej sześćdziesiąt dni na morzu.

Zbliżali się prawie do końca owych sześćdziesięciu dni. Mariusz i Kochaś gratulowali sobie, że nauczyli się paru angielskich słów. W Nowym Orleanie nie będą się czuli całkiem obco.

Pewnego wieczoru kapitan Fremont obserwował ze sterówki zachód słońca. Sternik, który objął wachtę, był niespokojny.

— Czuję burzę — powiedział. — Na niebie coś się dzieje.

Mariusz i Kochaś spojrzeli na Fremonta.

— A mnie nie podoba się ten zachód słońca — mruknął kapitan.

Zawołał jednego z marynarzy do pomocy sternikowi i wyjaśnił Mariuszowi i Kochasiowi, dlaczego to zrobił:

— Zdarzało się, że kiedy ludzie obracali kołem sterowym w przeciwną stronę, wyrzucało ich w powietrze. Lepiej się zawczasu zabezpieczyć.

Następnego dnia nadal była piękna słoneczna pogoda. Po południu horyzont poróżniewał. Dopłynęli do Zatoki Meksykańskiej. Odkąd minęli Nową -Opatrzność, Fremont był coraz

bardziej zatroskany. Bez przerwy zachodził do sterówki. Mariusz stał obok niego i przyglądał się falom.

— Widzisz — zauważył Fremont — to falowanie jest spowodowane nie tylko lekkim wiatrem. Szykuje się coś jeszcze, marynarzu.

Poprosił Stegga, żeby zwinął małe pomocnicze żagle na stengach. Potem znów powiedział do Mariusza:

— Zobaczysz burzę, i to straszną. We wrześnie w Zatoce Meksykańskiej wieją huragany. Przygotuj się, chłopcze.

Nagle wiatr się wzmógł. Ledwo marynarze zeszli z omasztowania pomocniczych żagli, musieli znowu wdrapać się na górę, żeby zwinąć bombramsle i bramżagle. Fale stały się bardziej strome i mimo zmniejszonego ożaglowania bryg płynął z coraz większym trudem. Wzbijał się na fale i opadał. Szum wiatru w olinowaniu stawał się coraz silniejszy i coraz bardziej przenikliwy. Niebo zasnuły chmury i lunął deszcz. Padał gęstymi, cienkimi strugami. Kilka fal przelało się przez dziób. Marynarze wzmocnili luki ładowni i założyły liny bezpieczeństwa.

— Szykuje się niezły szkwał! — zawołał kapitan i po chwili rozległ się jego stentorowy głos: — Wszyscy na pokład!

— Idź po Rafaela — powiedział Mariusz do Kochasia.

Usłyszeli brzęk tłuczonych talerzy, a zaraz potem wiązanek przekleństw.

—Nie mieliście już problemów z kucharzem? — spytał Fremont Mariusza.

—Nie, żadnych.

Po tej lakonicznej odpowiedzi kapitan wcisnął czapkę na oczy i zapiął swój nieprzemakalny płaszcz. To samo zrobił Mariusz.

W chwili gdy Rafael z Kochasiem dotarli do sterówki, zrobiło się całkiem czarno. Widać było tylko cienie. Niebo przecinały błyskawice. Lało jak z cebra. Ożaglowanie zredukowano do bramsla, małego i dużego marsla, zrefowanego foka i bezana. Nad wszystkim dominował świst wichru. Rafael

wczepił się w Mariusza, który z kolei trzymał się z całej siły zamocowanych wcześniej lin bezpieczeństwa. Ludzie, zwijający grotzagieli, wyglądali w górze jak śmiesznie poruszające się marionetki. Pokład, prawie nieustannie zalewany masami wody, to pogrążał się w morskich odmętach, to wynurzał na grzbietach fal, przedstawiając sobą apokaliptyczne widowisko.

— Wielkie organy nawałnicy! — zawył Fremont zza pod niesionego kołnierza nieprzemakalnego płaszcza.

Jakaś szczególnie silna fala przełamała na sporej długości nadburcie i porwała łódź ratunkową, którą pofrunęła w górę jak źdźbło słomy i roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Przerazony Rafael wtulił się w ramiona Mariusza. Kochaś skorzystał z tego, by owiązać linę wokół masztu.

—Co ty robisz?

—Ratuję wam życie, bałwanie!

Swą jedyną ręką przywiązał Mariusza i Rafaela do masztów niby Ulissesa do masztu „Argosa”. Tylko że w tym wypadku nie chodziło o śpiew. A tym bardziej nic o uchronienie się przed śpiewem syren.

—Zapłacisz mi za to! — wrzasnął Mariusz.

—Czy uczyniłbyś coś złego swemu bratu? — spytał ironicznie Kochaś.

Mariusz spojrzał z czułością na towarzysza. Rzeczywiście kochał go jak brata. Co by bez niego począł?

Przez ten czas kapitan walczył przy sterze. Jego i sternika zalewały ogromne masy lodowatej wody. Morskie potoki rozbijały się u ich stóp i wypływały przez burty. Wszyscy byli przemoczeni. Rafael czknął strasznie i zwymiotował z kierunkiem wiatru.

— Nic nie szkodzi, chłopcze — pocieszał go Mariusz, który nie mógł do niego dosięgnąć. — Wkrótce będzie po wszystkim.

Rafael bez słowa odwrócił głowę i spojrzał na horyzont. Niebo było całkowicie zasłane chmurami. Miał wrażenie,

że wszystko jest czarno-białe. Gdy usłyszał, że ożaglowanie trzaska z piekielnym hałasem, usiłował osiągnąć ręką Mariusza, ale na próżno. Wszystko kołysało się to w prawo, to w lewo, to w przód, to w tył. Statkiem strasznie rzucało. Fale sięgały takiej wysokości, że nawet trudno było ją ocenić. Widząc, jak bukszpryt zagłębia się prawie pionowo w wodę, po chwili podnosi się z trudem, prostuje ku niebu, jakby stał się grotmasztem, a potem przestaje kierować się ku górze i spada z takim hukiem, że było słyhać, jak pokład jęczy i drży, człowiek zastanawiał się, czy nie padł ofiarą przywidzeń. Statek przypominał skorupę orzecha. Wszystko trzeszczało i waliło się.

— Na capie rogi! — zaklął kapitan. Nie jest nic lepiej, a raczej gorzej!

Marynarze czepiali się olinowania lub poręczy luków. Dzięki zmniejszonemu ożaglowaniu statek opierał się podmuchom wiatru. Jego dziób mniej się zanurzał. Mariusza i Rafaela, przemoczonych, skostniałych z zimna, oślepiąły bryzgi fal.

Nagle rozległ się straszliwy huk. Wielki marsel nie wytrzymał naporu wiatru. Pękł jak nadmuchana papierowa torba. W tych warunkach nie było mowy o rozwinięciu innego żagla. Zamiast stawić czoło morzu, trzeba było uciekać na pełnym wietrze, co zmuszało do przeprowadzenia statku w poprzek fal. Gdyby w tym ryzykownym momencie któryś z żagli przypadkiem się rozwinął, „Savannah” mógł przewrócić się na bok.

Manewr się udał. Ale teraz przerwał się kabel na bukszprycie.

—Zrób coś z tym! — krzyknął kapitan do Kochasia.

—Ale co?

—Zwiąż kabel na bukszprycie!

—Jedną ręką?

— I zębami, bałwanie! Potrafisz to zrobić!

Spojrzenia Kochasia i Mariusza skrzyżowały się. W Tulonie zdarzało im się robić podobne rzeczy. Siłacz nie wahał się

dłużej. Zataczając się jak pijany, rzucił się na dziób statku, w kierunku bukszprytu. Fale zalewały pokład i podcinały mu nogi. Kilkakrotnie znalazł się w niebezpiecznej pozycji, przytrzymując się fału, knagi, wanty. Mariusz dodawał mu ducha, wołając:

— Uda ci się!

Po niezliczonej liczbie upadków, poślizgnięć, lodowatych pryszniców ze słonej wody, siłacz dotarł wreszcie do łańcucha kotwicy, owiniętego wokół żurawika. Posłużył się nim jak schodami, by dotrzeć do nasady bukszprytu. Ilekroć statek przechylał się do przodu, Kochaś znikał pod wodą. Ale trzymał się dzielnie.

— Wszystko będzie dobrze! — zawołał do Rafaela.

Fala uderzyła z taką siłą, że potoczył się aż do tylnego luku. Przytrzymując się lin, zdołał dotrzeć do bukszprytu. Było tak ciemno, że mieli wrażenie, iż świat za chwilę zniknie. Wszystko pograży się w odmętach i tak się to skończy.

Gwałtowne uderzenie przywróciło Mariusza do rzeczywistości. Pomyślał, że statek się przełamał. Kochaś puścił się lin. Uderzenie żagla o mało nie wyrzuciło go za burtę. Mariusz złapał go za rękę.

Pokleпали się przyjacielsko po plecach. Potem zabrali się do roboty, unieruchomili dwa kawałki zerwanego kabla, który jak wściekły bił o pokład. Kochaś trzymał Mariusza za nogi, a ten wiązał kabel, który miał przywrócić żaglowi zdolność łapania wiatru. Właśnie wtedy znów uderzyła ogromna fala. Statek przechylił się raptownie i obaj runęli na pokład. Kilku marynarzy wpadło do morza.

— Człowiek za burtą! — wrzasnął Mariusz ociekający wodą, miotany od burty do burty.

Statek praktycznie zmienił hals. Kochaś uczepił się jakiejś liny. Upewniwszy się, że przyjaciel jest bezpieczny, Mariusz rzucił okiem na sterówkę: kapitan zniknął. Sternik także. Za chwilę morze uspokoiło się równie nagle, jak się rozszalało.

— Idę do sterówki! — krzyknął Mariusz do Kochasia.

Rafael nadal był przywiązany do bezanmasztu, głowa opadła mu na bok, był nieprzytomny, przemoknięty, biały jak płótno. Skacząc między linami i przeróżnymi szczątkami, Mariusz potrząsnął nim. Dziecko jęknęło.

— Bogu niech będą dzięki — szepnął Mariusz.

Odwiązał Rafaela i rozejrzał się za kapitanem. Nikogo nie zobaczył. Podbiegł do parapetu i oparł się o niego. Potem schylił się, chwycił za wanty i wtedy zobaczył kapitana: miał zakrwawioną twarz i był zaplątany w liny, jedna noga wisiała w powietrzu. Z niesamowitym trudem wyciągnął go i położył w sterówce.

— Za chwilę byłoby już za późno — oznajmił.

Zobaczył, że poza złamaną nogą kapitan doznał licznych obrażeń.

— A co ze sternikiem?— spytał.

— Porwały go fale... — powiedział Fremont i dodał z błędym uśmiechem: — Dziękuję ci, chłopcze. Uratowałeś mi życie...

*

Następnego dnia zrobiono przegląd załogi. Ludzie byli wyczerpani. Niektórzy przez prawie całą noc pracowali przy pompach, gdyż statek nabierał wody i niebezpiecznie się przechylał. Na apelu brakowało pięciu marynarzy. Zdezorientowany porucznik Stegg na chybcika wydawał rozkazy. Fremont, z nogą w łupkach, siedział w sterówce na czymś w rodzaju rozkładanego krzesła i śledził manewry, przysypiając ze zmęczenia. Ponieważ przygrzewało słońce, zdjął swoją marynarską bluzę i pozyczył ją Rafaelowi. Mariusz i Kochaś zajmowali się dzieckiem, szacując jednocześnie szkody wyrządzone przez huragan. Szybko zrobili remanent: statek nie miał już nadburcia i szalup. Nie wspominając o nieprawdopodobnej płataninie błoczków i lin pomocy.

Późnym rankiem złowili rekina. Zwierzę miało się jak

wściekle. Trzeba było obciąć mu ogon. Gdy wciągnęli je na pokład, kucharz rozplątał mu brzuch. Wyciągnął z niego straszliwie okaleczonego trupa bez głowy.

— Wstrętne zwierzę — powiedział kucharz i kopnął rekina. Wszyscy odwrócili głowy. Niektórzy mówili, że to zła wróżba. I rekina na powrót wrzucono do morza.

— I co teraz? — spytał Mariusz kapitana.

— Za trzy, cztery dni będziemy w Nowym Orleanie. Na razie zastąpi mnie Stegg. Jest młody, ale potrafi żeglować.

Kucharz wziął kilku ludzi do uporządkowania kuchni i magazynku żywnościowego. Rafael dzielnie wyraził życzenie, że wykona swoją część pracy. Mariusz, który nadal obawiał się kucharza, wbrew sobie wyraził na to zgodę.

Po południu wszyscy marynarze z wyjątkiem Rafaela i kucharza zgromadzili się na pokładzie. Wszystko szorowali i dokładnie splukiwali wodą. Aby niczego nie przegapić, kapitan usadowił się u stóp sterówki, koło zejścia do mesy. Chciał wszystko dojrzeć, wszystkiego dopilnować. Kazał powiesić żagle na linach wzmacniających. W górze, w przestworzach, Mariusz i Kochaś uwijali się jak mewy po rejach bocianiego gniazda i foka. Reperowano wszystko, co się dało.

W kuchni grubas pokazywał Rafaelowi palcem, co ma jeszcze zrobić. Z jego ust nie padł żaden dźwięk. Ale po sposobie, w jaki patrzył na dziecko, czuło się, że nie zrezygnował ze swych zamiarów.

W pewnej chwili przerwał milczenie. Rafael wkładał suchary i palony owies do pudełek, które przedtem wytarł.

— Wiesz, że jest ci do twarzy w bluzie naszego kapitana? Chętnie bym ją przymierzył.

Rafael powiedział sobie, że przede wszystkim nie trzeba robić czegoś, co nie podoba się kucharzowi, ani mu się sprzeciwiać. Zdjął bluzę i podał kucharzowi, który chwycił ją i szybko włożył.

— Trochę za ciasna, ale jest mi w niej całkiem nieźle — mruknął. — Co o tym myślisz, chłopcze?

—Bardzo ładnie w niej wyglądasz.

—Nie usłyszałem. Chodź i powiedz mi to na ucho.

I z miną pełną uniżoności, a zarazem hamowanej urazy pokazał chłopcu opatrunek na ucho. Tym razem Rafael nie miał możliwości ucieczki. Kucharz zagradzał mu wyjście na pokład.

— Widzisz, co mi zrobili twoi przyjaciele? Będziesz musiał to naprawić, chłopcze. Rozbieraj się.

Na górze, na pokładzie, nikt się nie domyślał, co się dzieje w kuchni. Bosman z kilkoma marynarzami smarował łojem bloczki w omasztowaniu. Mariusz, zwinny jak małpa, hasał na bukszprycie. Kochasiowi, który był cięższy i nie tak zręczny, przychodziło to z trudem. Na końcu swego kikuta umocował coś w rodzaju haka. Teraz było mu wygodniej, gdy chciał czegoś się przytrzymać. Niemniej jednak kilka razy o coś przypadkowo zahaczył i musiał się odczepić. Ale Kochaś był uparty.

Fremont, który nadal siedział u stóp sterówki, wodził za nimi rozbawionym wzrokiem. Dobry nabytek, mówił sobie w duszy. Czasem spoglądał na pełne morze, niepokoiły go bowiem kłęby mgły, zaciemniające horyzont. Niekiedy podnosił oczy, by spojrzeć na wachtowego stojącego na bocianim gnieździe na foku, ale ten niczego nie sygnalizował.

Nagle dmuchnął wiatr. Trwało to bardzo krótko. Wystarczyło jednak, by rozproszyć mgłę i resztki niskich chmur. Wówczas rozległ się głos wachtowego:

— Statek na prawej burcie! Brygantyna gaflowa!

Fremont spochmurniał. Wziął lunetę i skierował ją w stronę brygantyny, którą można było rozpoznać po żaglu w kształcie Irapezu. Widząc amerykańską banderę i młode, kolorowo ubrane kobiety, które wymachiwały do niego rękami, odetchnął z ulgą.

— Pozdrowimy te damy! — rzucił pod adresem Stegga. — Niech pan przekaże im pozdrowienia naszą flagą!

Ale już wydając ten rozkaz, czuł, że trzeba mieć się na baczności. Zawołał Mariusza i Kochasia. Potem niezbyt głośno, ale wystarczająco energicznie, by usłyszała go załoga, rzucił:

— Przygotować się do bitwy! Rozdać broń!

Z pokładów natychmiast usunięto zbędne rzeczy. Co tylko się dało, zniesiono do ładowni, nad wyższymi pokładami rozciągnięto sieć, by łamiące się bloczki i fragmenty masztów nie spadały na walczących. Otworzono strzelnice artyleryjskie w burcie statku i ustawiono działa na stanowiskach. Piętnastu marynarzy uzbroiło się w siekiery, szable i karabiny. Załoga była gotowa.

Zrozumiałe, że to poruszenie wstrzymało poczynania kucharza. Kiedy Rafael stał już w kalesonach, bardzo zawstydzony, osaczony, zaszokowany, opuściwszy podbródek na pierś i gotów wybuchnąć płaczem, grubas rzucił mu szybko:

— Ubierz się, chłopcze, powrócimy do tej sprawy później. Wydaje mi się, że dzieje się coś niedobrego. Na razie poprze stańmy na tym i trzymajmy sztamę.

Dokładnie w tej chwili zabrzmiało kilka armatnich wystrzałów, od których zatrzęsała się kuchnia. Rafael prawie wpadł w ramiona grubasa.

— Jaki jesteś milutki w dotyku — powiedział kucharz, śliniąc się. — Jaki delikatny, kotku...

Wtedy Rafael zaczął wymachiwać małym ostrym nożem, który udało mu się chwycić. Drugą ręką starał się włożyć koszulę i spodnie. Kucharz patrzył na niego z uśmiechem.

— Ojej, jak się boję tego śmiesznego malca! — krzyknął, machając wielkim czerwonym łapskiem, i dodał, krzywiąc się okropnie: — Bawisz mnie, mały. Ale nie jest to pora na swawole.

Nie zwracając uwagi na chłopca i jego nóż, nadal ubrany w kurtkę Fremonta, otworzył schowek. Wyciągnął z niego angielską szablę z ząbkowanym ostrzem i zaczął nią kręcić młynka.

— Ha! Ha! Widzisz, chłopcze? Kiedy wpakuje się w rogi w brzuch, zaczyna sikać krew. I nie można jej zatamować!

Zarechotał tak mocno, że aż mu się zatrzęsł zarośnięty potrójny podbródek i ogromny kałdun. Zaraz potem dodał, trzymając uniesioną szablę:

— Może to był tylko fałszywy alarm. Wobec tego...

Nie skończył zdania, jakby chciał Rafaelowi pozwolić, by lepiej zdał sobie sprawę z tego, co go czeka. I nadstawił ucha:

— Posłuchaj no, chłopcze...

Doszło do niech jakiejś wycie, a potem krzyki i huk wystrzałów. To brygantyna zaczęła ostrzalać „Savannah”. Armatnie kule poszarpały żagle brygu.

Fremont wpadł we wściekłość. Wyprowadzono go w pole. Piraci, którzy wyłonili się z mgły, niewątpliwie byli zaczajeni w zatoczkach i wśród podwodnych skał. A postaciami, które dostrzegli za parapetem i które wzięli za kobiety, byli oczywiście korsarze uzbrojeni w piki, noże i gałaczki. Na Kubie i w Porto Rico aż się od nich roilo. Nigdy nie udawało się ich schwytać. Zawsze potrafili jakoś się wymknąć.

— Na stanowiska!

Z pistoletami w obu dłoniach Fremont starał się stawić im czoło. Ale przygwożdżony do krzesła nie mógł nic zrobić. A najgorsze miało dopiero nadejść.

— Ster na bakburtę! — krzyknął jeszcze, usiłując wstać. — Na capie rogi, ruszaj się, Stegg!

Stegg, którego sytuacja przerosła, zrobił dokładnie na odwrót. Nie można już było uniknąć abordażu. Rozległy się krzyki, a potem niesamowity huk: to marynarze na mostkach strzelili salwą. Inni, zawieszani na rejach, rzucali granaty na pokład wroga. Kanonierzy otworzyli ogień, ale nie wyrządzili większych szkód brygantynie. Ci przekłeci piraci potrafili świetnie manewrować; salwa z „Savannah” złamała tylko maszt bezanżagla i bukszpryt.

— Cholera! — zaklął kapitan Fremont. — Słyszysz mnie pan, Stegg?

Biedny Stegg został właśnie trafiony w brzuch. Fremont odwrócił się do Mariusza i Kochasia, którzy byli u jego boku, każdy uzbrojony w szablę i pistolet. Teraz walczone w bezpośredniej styczności.

— Nie puszczać ich żywych! — krzyczeli marynarze z „Savannah”.

Wszędzie było widać iskry, wybuchy, dym, ludzi wyjących z bólu. Wtedy piraci przystąpili do abordażu „Savannah”.

— *Viva la muerte!* — wrzeszczeli.

Ciągnąc swą bezwładną nogę, biały jak płótno Fremont uczeplił się małej drabinki.

— Polećmy nasze dusze Bogu — wymamrotał. — Poznając ich, to ludzie El Diablo.

Z pokładu swego statku piraci zaczęli rzucać kotwiczki na pokład „Savannah”. Szturm był osłaniany salwami muszkietów. Majtków, wiszących na marslach „Savannah”, strącano jednego za drugim. Jak na jarmarcznym święcie. Wyjąca tłuszcza natarła na pomosty i mostki. Sam ich widok napawał przerażeniem. Prawie nadzy, wrzeszczeli, przeklinali we wszystkich językach, kradli, co tylko było pod ręką; byli biali, żółci, czarni; na głowach mieli czepki, kaszkiety, sombrera; byli rozczochrani, mieli owłosione torsy, ogromne wąsiska, kółka w uszach, a nawet w nosie. I byli uzbrojeni po zęby.

Po chwili działa zamilkły. Ranni, którzy spadli między kadłuby statków, zostali zmiażdżeni jak żdźbła słomy. Walka była zbyt nierówna. Piratów musiało być około pięćdziesięciu, z marynarzy „Savannah” zostało tylko dziesięciu. Gdy Mariusz i Kochaś chcieli rzucić się w wir walki, Fremont powstrzymał ich.

— Módlmy się, by nas oszczędzili...

Wówczas Mariusz pomyślał o Rafaelu.

— Jeśli włos spadł mu z głowy, popamiętają mnie!

Wziął pistolet Kochasia i wsunął go za pasek. Mimo protestów Fremonta popędził w stronę kuchni. Ogromny Murzyn w złotej kamizelce z frędzlami, uzbrojony w siekiere, starał się

zagrozić mu drogę. Mariusz palnął mu w łeb. Nieco dalej skoczył na niego jakiś przystrojony wstążkami małpizson, / bulatem w obu dłoniach. Mariusz rzucił się w bok i wdrapał na wielką sieć. Wymienili tylko dwa ciosy. Pchnięcia, których nauczył go Lestrade, dokonały cudu. Szabla Mariusza przecięła pirata od głowy do pępka. I Mariusz znowu zaczął biec. Na progu kuchni wycelował do niego z garłacza olbrzymi jednooki pirat. Mariusz rzucił się na ziemię i pociski go chybiły. Teraz strzelił Mariusz, leżąc na pomoście. Jednooki runął do przodu, a na środku jego czoła pojawiło się trzecie oko. Mariusz wstał, podniósł pistolet pirata i wsunął go za pasek. W chwili gdy miał wejść do kuchni, Stegg wydał rozkaz zaprzestania walki.

— Wstrzymać ogień!

Porucznik ledwo trzymał się na nogach. Mariusz spojrzął na niego z dezaprobatą i jednym pchnięciem ramienia wyważył drzwi do kuchni. Zszedł parą stopni w dół i znalazł się nos w nos z kucharzem, stojącym przed nim z obnażoną szablą.

— Znowu ty, beko wina?

Szybko się rozejrzał, przy palenisku zobaczył kłęczącego Rafaela, który drzał jak osika. O mało natychmiast nie rozplątał kucharzowi brzucha. Odwiodło go od tego zamiaru spojrzenie dziecka. Zaczął nasłuchiwać. Z pokładu nie dochodził żaden szmer. Włożył szablę do pochwy i wyciągnął pistolet.

—Wiesz, co cię czeka? — rzekł do kucharza.

—Nie, przecież...

Mariusz nie strzelił do niego, mimo że miał wielką ochotę. Odebrał kucharzowi szablę z ząbkowanym ostrzem i przyłożył mu lufę do skroni.

—Może raczej strzelę w ten łeb pełen niegodziwych myśli?

—Nie, błagam pana, nic chłopcu nie zrobiłem, może to potwierdzić...

—Łapy na kark! — uciął Mariusz. — Idź przodem i nie odwracaj się.

Gdy czekał, aż Rafael skończy się ubierać, dotarły do niego głosy w jakimś nieznanym języku. Wtedy, nadal trzymając

kucharza przed sobą, wysunął głowę na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje. W sterówce stał jakiś dziwoląg: za dwa skrzyżowane na piersi pendenty zatknął kilka noży, rękami wziął się pod boki. Zza pasa wystawał mu dość dziwny pistolet. Na plecach miał ukośnie zawieszony samurajski miecz.

— *Muy bien!* — krzyknął.

Istny żołnierz samochwała. Miał na sobie czerwony surdut, a na głowie dwurożny kapelusz z piórami. Któryś z mężczyzn podał mu pikę z zatkniętą na końcu głową; wziął ją i wysoko podniósł. Mariusz zbladł. Była to głowa Stegga.

Herszt piratów, wąsaty, źle ogolony typ o ponurym spojrzeniu, wrzucił głowę do morza i wybuchnął śmiechem. Potem uroczyście przemówił do swych ludzi po hiszpańsku, straszliwie nosowym głosem, brzmiącym jak szczekanie psa.

Marynarzy z „Savannah”, którzy przeżyli, zebrano na pokładzie. Byli wśród nich Kochaś i Fremont; pilnowali ich piraci z bronią gotową do strzału.

Przemówienie herszta przyjęło wielką owacją. Niektórzy z piratów pospieszyli do ładowni i podpokładzia, skąd wrócili obładowani tkaninami i beczkami wina. Przez ten czas zaimprowizowana orkiestra grała meksykańskie melodie. Nagle kakofonia ustała. Herszt wznosił ramiona ku niebu, prosząc o ciszę. Chciał powiedzieć coś jeszcze.

— *Where is the captain?*

Nie było odpowiedzi. Powtórzył pytanie po hiszpańsku:

— *Donde esta el capitan?*

Nadal brak odpowiedzi. Mariusz zobaczył, jak Fremont podnosi rękę, a Kochaś zaraz chwyta ją i opuszcza do dołu. Gest ten uszedł uwagi herszta piratów.

— Boicie się El Diablo? — ryknął, wydymając pierś.

Wyciągnął z kabury pistolet i strzelił na chybił trafił do jednego z marynarzy z „Savannah”. Ten krzyknął, bo kula trafiła go w nogę.

— No więc? — niecierpliwził się El Diablo, tupiąc z wściekłością w podłogę sterówki.

Wtedy Mariusz kazał kucharzowi wyprostować się, trochę mocniej przytykając lufę pistoletu do jego skroni.

— Lubisz się popisywać? — mruknął. — No więc teraz masz okazję. Pokazujesz dzieciom, co z ciebie za mocarz; zobaczymy, czy okażesz się równie odważny wobec tych ptaszków.

I włożył mu w rękę szablę z zębatym ostrzem.

— Jeśli tego nie zrobisz, palnę ci w łeb. U nich może masz jakąś szansę. Dalej, naprzód!

Na czoło grubasa wystąpiły grube krople potu. - Wziął szablę i chciał zdjąć kurtkę Fremonta.

— Tylko nie to, mój drogi. Naprzód!

Grubas wyszedł, dygocąc. Herszt piratów natychmiast go zobaczył.

— *Andal* — zawołał. — Podejdz tu, *señor capitan!*

Kucharz rozglądał się na wszystkie strony, szukając jakiegoś wsparcia. Gdy napotkał wzrok Fremonta, wybelkotał:

— To on jest kapitanem, ja jestem tylko kucharzem...

— *Madre de Dios!* — wrzasnął herszt piratów. — Co za odważny człowiek!

Miał przed sobą mężczyznę w oficerskiej kurtce, i to mu wystarczało.

Kucharz wspiął się do sterówki przy wtórze wulgarnych żartów piratów. Potem stanął przed El Diablo i oddał mu swą szablę. Na znak herszta dwaj piraci ściągnęli z niego kurtkę i koszulę.

— Ależ spasiony ten kapitan *frances!* — powiedział z uznaniem El Diablo, szczypiąc fałdy na ciele kucharza.

Jednocześnie ze wszystkich stron oglądał szablę. Potem rzekł z uroczystą miną:

— Nie usłuchałeś mnie natychmiast, *señor capitan*. To niedobrze. Bardzo niedobrze.

I wprawnym cięciem rozplatał kucharzowi brzuch od mostka po pępek. Kucharz nie rozumiał, co się stało. Zaniemówił, skamieniały, oszołomiony i przerażony. Odruchowo złapał się

rękami za brzuch, żeby przytrzymać wnętrzności. Ze wszystkich stron rozległy się śmiechy. Dwaj piraci, stojący po bokach kucharza, natychmiast złapali go pod pachy, żeby nie upadł. El Diabło podszedł do niego, pogmerzał we wnętrznościach i wyrwał mu wątrobę. Potem rzekł z piekielnym rechem:

— Pojedz sobie, *senor capitan*, jest świeżutka!

I ryczącemu jak zwierzę, bliskiemu śmierci kucharzowi, wpakował do ust jeszcze drgającą i ociekającą krwią wątrobę.

— Zabierzcie mi z oczu tego obzartucha — powiedział, odwracając oczy i wycierając dłoń w swój czerwony surdut.

Dwaj piraci podnieśli kucharza i przy ogólnym aplauzie wyrzucili go za burtę. Potem banda złupiła statek.

Jakimś niebywale szczęśliwym trafem oszczędzono Fremonta i jego ludzi. Mariusza i Rafaela złapano i kopniakami zagoniono na przedni mostek, gdzie zamknięto ich z resztą załogi. Gdy spojrzenia Mariusza i El Diabło spotkały się, Mariusz przysiągł sobie, że jeśli uda mu się ująć stąd z życiem, znajdzie tego człowieka i nie omieszka go ukarać.

Na razie piraci pocięli żagle i zniszczyli omasztowanie, wrzucili do kuchni różne łatwopalne materiały i podłożyli ogień, następnie opuścili to, co jak sądzili, było już tylko płonącym stosem.

Po długim denerwującym momencie wyczekiwania Mariusz jeszcze raz dał dowód odwagi. Udało mu się wydostać z zamknięcia i wdrapać na pokład. Po czym pobiegł do sterówki i zobaczył oddalającą się brygantynę piratów.

— Trzeba stopniowo wygaszać ogień — powiedział do Kochasia, który do niego dołączył.

Wrócili na przedni pomost i natychmiast poinformowali o wszystkim kapitana Frémonta, który po angielsku wydał rozkazy marynarzom. Ponieważ Stegg, bosman i cieśla zginęli podczas ataku, do wykonania napraw na masztach wyznaczono Kochasia. Pozostali marynarze uprzętałi pokład. Pożar opanowano, ale pomału, aby zostawić jeszcze smugę dymu i zmylić piratów. Mariusz, Fremont, Rafael i żaglomistrz wzięli się do

naprawy tych żagli, które nie były całkiem zniszczone. Posłużyły im do tego igły o trójkątnym przekroju, skórzane naciągadła, hak pozwalający naciągnąć żagiel i drewniane narzędzie do przyplaszczania szwów.

—Trochę dziwnie się czuję — stwierdził w pewnej chwili (•remont, którego bardzo bolała noga.

—Ale dlaczego, kapitanie? — spytał Mariusz.

—Dlatego że ja sam od tysiąc osiemset dwudziestego roku do trzydziestego trudniłem się korsarstwem w Zatoce Meksykańskiej. Zapewniam cię, że my nie byliśmy tak krwiożerczy. Poza tym nigdy nie atakowaliśmy Francuzów czy Amerykanów. Tu Jean był nieustępliwy. Naszymi wrogami byli Hiszpanie. Kazał łapać tych, którzy rabowali własność amerykańską. A dzisiaj uciekam przed bandytami, którzy za piętnaście dolarów zabiliby ojca i matkę... — zakończył, potrząsając głową.

—Nie ucieka pan — zapewnił Mariusz. I zaraz potem spytał: — Był pan więc piratem?

—Członkiem Bractwa z Wybrzeża — sprostował Fremont. — Inaczej mówiąc, szlachcicem bez indygenatu. My nigdy nie mordowaliśmy kobiet ani dzieci.

—Zawsze z owym Jeanem?

—Zawsze. U jego boku przechodziłem chrzest bojowy, gdy odpieraliśmy angielski atak na Nowy Orlean w tysiąc osiemset piętnastym roku. Walczyliśmy wówczas pod rozkazami generała Andrew Jacksona, dzisiejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

—Ale kim jest ten Jean?

—Dowiesz się już niedługo, chłopcze.

„Savannah” dotarł do Nowego Orleanu w oplakany stan. I'lynął zygzakiem w górę Missisipi na wysokości Plaqueminc Bend, poniżej głównego miasta Luizjany.

Na widok tej przeogromnej rzeki Mariusz aż rozdziawił usta.

Na jej brązowych falach, chwilami czerwonych z powodu koloru ziemi, którą wymywały z brzegów, płynęły niczym ruchome tarany powalone drzewa; całe tuziny holowników, pchaczy, uwijających się od rana do wieczora wzdłuż niekończących się nabrzeży, musiały je nieustannie omijać zręcznymi manewrami. Bokiem sunęły prostokątne barki, które rzeka opryskiwała swymi bryzgami. Był nawet jakiś rzeczny statek parowy i ogromny czerwono-biały parowiec kołowy. Wielkie potężne statki potrzebowały pół godziny, by przybić do nabrzeża, jeśli przeszkadzały im wiatr i prąd. Przy ujściu niektórych kanałów Rafael zobaczył pnie drzew płynące szybciej od innych.

— Strzeż się tych drzew — rzekł do chłopca Fremont, głaszcząc go po włosach. — To aligatory. Niektóre dochodzą do pięciu stóp długości. Anibyś się obejrzał, a już by cię zjadły!

Rafael zadrzał. Co tu dużo gadać, te żyjące drzewa, które mogły go pożreć, wydawały mu się jeszcze straszniejsze od kucharza.

„Savannah” płynął zgodnie z kierunkiem wiatru. Jego żagle, do tej pory postawione, ściągnięto, zaczynając od tych na rufie. W każdym razie nie było ich już wiele. Wpadając w brązową wodę, kotwica opryskała to, co zostało z pomostu. I bryg znieruchomiał około dwustu łokci od brzegu.

Urzędnik z kapitanatu portu przybił do „Savannah” na swej łodzi i wszedł na pokład. Uścisnął rękę Frémontowi, a ten natychmiast zrelacjonował mu, co się stało. Ustalając szkody, urzędnik oświadczył:

— Znowu ten El Diabło i jego brygantyna. Wyznaczono nagrodę za jego głowę. Pewnego dnia powiesimy go jak Giberta i De Soto.

Urzędnik odnotował godzinę przybycia i zapisał uszkodzenia, jakie odniósł statek, po czym odpłynął, nie sprawdzając nawet tożsamości marynarzy. Kwadrans później po załogę „Savannah” przypływały dwie inne łodzie. Był już czas.

Mariuszowi i Kochasiowi przypomniał się Tulon. Cały ten harmider, ruch i dzwonienie łańcuchów przywołały gorzkie

wspomnienia. Piętrzyły się tu prawdziwe góry towarów. Cały zbiór bawełny z Luizjany i znad Missisipi. A do transportowania, załadowywania i wyładowywania tego wszystkiego — zastępy czarnych niewolników poganianych batem. I oczywiście muzyka łańcuchów.

—Czarujące — zauważył Mariusz.

—Gdyby nie kolor skóry tych ludzi, to jakbyśmy nie wyjeżdżali z naszego kraju — dodał Kochaś.

Okolice były dość monotonne. W oddali jak okiem sięgnąć widziało się przede wszystkim mokradła, smutne olbrzymie drzewa, bardzo wysokie domy, kępy zieleni wyglądające jak olbrzymie głowy sałaty. Czyż Fremont nie wspominał im o gigantycznych cyprysach, z których zwisa „hiszpański mech” i stuletnich dębach? Na nabrzeżach ludzie pili mrożoną herbatą i rum z miętą. Jedli ostrygi, orzeszki ziemne, odsmażane w jajku i mleku kromki suchego chleba posypane cukrem.

— Zapraszam was do siebie — oznajmił kapitan Fremont.

Czekała na niego karetą. Czarny woźnica zdjął wielki skorzany kapelusz i uklonił się kapitanowi. Idąc do pojazdu, wsparty na ramieniu Mariusza, który pomógł mu wsiąść, kapitan pożegnał się z członkami załogi.

— Do zobaczenia wkrótce, marynarze. I nie zapomnijcie dostarczyć mi listę zaginionych! — Potem zwrócił się do woźnicy: — Jedź powoli, Agenorze. Pokażemy naszym przyjacielom miasto.

Nowy Orlean tętnił życiem. Było to miasto kosmopolityczne, pełne czarnych, Akadyjczyków, Choctawsów, Islenotów, owych potomków rodzin z Wysp Kanaryjskich z 1775 roku. Jedna czwarta domów w Nowym Orleanie była zbudowana w stylu francuskim, trzy czwarte w stylu hiszpańskim. Karetą dojechała do dzielnicy Vieux Carre, zwanej również French Quarter. Mariusz, oparty łokciem o drzwiczki, miał wrażenie, że jest niemal w Paryżu. Czyż nie było tu ulicy Bourbon, ulicy Dauphine, ulicy Bourgoigne? Czuł, że ogarnia go melancholia. Z ulicy Bourgoigne było tak blisko na ulicę Plumet... Faubourg Saint-Germain...

Przed sklepem, przed którym rosnęło mnóstwo kamelii, czarny woźnica pokazał Rafaelowi wypchanego aligatora.

—Kokodryl! — krzyknął, śmiejąc się.

—Aligator — sprostował Fremont. — Agenor wymawia to słowo na sposób kajunów*. To krokodyl, Agenorze!

Rafael wtulił się w Mariusza. Obecność tego dziecka wpływała kojąco na młodego człowieka. Pokazywał mu domy z ukwieconymi patiami, baseny z wodnymi hiacyntami, wielkie czarne wierzby. Jońskie i doryckie kolumny przepłatały się w zależności od tego, czy wspierały się na nich hiszpańskie tarasy, czy francuskie dachy. Tradycyjna rzymska dachówka sąsiadowała z elegantszym materiałem importowanym z Nantes i Hawru: zieloną płaską dachówką, która tak ładnie wygląda po deszczu. Na razie pogoda była wspaniała.

Kareta skręciła w prawo w ulicę Royale. Przejechali koło katedry św. Ludwika i Jackson Square. Domy miały tu podmurówki z cegły, a balkony, łączniki i dachy w stylu afrykańskim. Wreszcie wjechali w aleję prowadzącą do wielkiego białego domu, którego fasadę i patio zdobiły balustrady z giętkiego żelaza w stylu hiszpańskim. Nad drzwiami wejściowymi widniały marmurowe lwy. Jeszcze jedna alejka i pojazd się zatrzymał. Nadbiegli dwaj czarni służący, by zająć się Fremontem i jego gośćmi.

— Czujcie się jak u siebie w domu — powiedział kapitan do Mariusza i Kochasia, a potem zwrócił się do Rafaela: — Zajmiemy się też twoją edukacją.

*

Nazajutrz wieczorem po wizycie chirurga Fremont zabrał Mariusza do bardzo znanej kawiarni: U Córki Sierżanta. Kochaś i Rafael woleli zostać w domu, odpocząć i spróbować *gumbo*,

* Kajunowie — grupa etniczna pochodzenia francuskiego osiadła w XVIII w. w południowych stanach Ameryki Północnej.

owej afrykańskiej zupy z okry, oraz gotowanej na parze potrawy z raków i ryżu z korzeniami.

— Choć raz postaraj się nie narozrabiać! — wesoło rzucił Kochaś do Mariusza.

Kawiarnia znajdowała się na ulicy des Bassins. Była znana z tego, że spotykali się tu pełnomorscy żeglarze, marynarze z płaskodennych statków z Kentucky, osadnicy z San Domingo, rewolucjoniści wydaleny z Ameryki Południowej, korsarze flirtujący z flibustierami, amerykańscy dezertery, ulicznicy, a nawet nowoorleańska szlachta.

— Nie wiem, czy robi pan rozsądnie, wybierając się tu z nogą osznurowaną jak szynka — zauważył Mariusz.

Kapitan wysiadł z koczka, wsparł się na kuli i otworzył drzwi do Córki Sierżanta.

— Po tym, co przeżyliśmy w ostatnich dniach? To najrozsądniejsze, co może zrobić stary pirat, taki jak ja, chłopcze!

Ktoś, kto po raz pierwszy wszedł do tej długiej sali z drewnianą boazerią i pokrytymi skórą ławeczkami, musiał być trochę zaszokowany dymem z cygar i gwarem głośnych rozmów, przerywanych krzykami i wybuchami donośnego śmiechu. Jakaś skąpo odziana dziewczyna śpiewała na estradzie przy akompaniamencie trębacza i pianisty; obaj byli czarni i bez marynarek. Kontuar był wyposażony w solidny drążek do oparcia stóp i marmurowy blat. Jedni klienci jedli, opierając się o niego łokciami, lub stojąc ramię przy ramieniu, inni siedzieli przy stołach. Rozmawiano po francusku, po angielsku i po hiszpańsku.

Fremont szepnął coś kelnerowi z baru, ujął Mariusza pod ramię i poprowadził do stolika. Zamówili „małego *goave'a*”. Podano im ów wymyślny melanz rumu i soku z gujawy do smażonych ostryg i kiełbasek z aligatora. Inni klienci pili piwo albo „huragany”, koktajle na bazie brązowego rumu, soku z pomarańczy, ananasa i grenadyny, zmieszanych w dużej szklance w kształcie lampy sztormowej. Fremont wyjaśnił Mariuszowi, że słowo koktajl pochodzi od francuskiego słowa

coquetier, czyli kieliszek do jajka. Pewien Francuz z Nowego Orleanu zwykł podawać swym przyjaciółom masonom mieszaninę brandy i wody w kieliszku do jajka, i słowo to wymawiane na sposób angielski stało się „koktajlem”. Fremont uśmiechnął się i zapalił fajkę.

— Czego to ludzie nie wymyślą... — Potem pyknął dwa razy z fajki. — Jutro będzie tu Jean. Myślę, że mu się spodo basz. Zwłaszcza po tym, co mu powiem. Sądzę, że coś ci pomoże.

Mariusz słuchał z uwagą. Chciał jak najszybciej znaleźć jakieś zajęcie. Przebiegając wzrokiem salę, stwierdził, że podobna mu się jej wystrój. Bardzo się różniła od paryskich kabaretów.

— Do kogo należy ten lokal?

Fremont spojrział na niego i parokrotnie pokiwał głową. W jego oczach pojawiły się iskry.

—Do bardzo dystyngowanej damy — powiedział wreszcie.

— Młodej i pięknej Francuzki. Zresztą niebawem powinna do nas podejść, zawiadomiłem ją, że jesteśmy — po czym podniósł wzrok i zawołał: — O wilku mowa!

—Raczej o wilczycy — sprostował młody, a zarazem ostry głos.

Czując lekko korzenny, bardzo paryski zapach, ze słodką nutą piżma, przywołujący na myśl tyleż buduar co bukiet tuberoz, Mariusz odwrócił głowę i spojrział w twarz młodej kobiety. Była brunetką o oczach tak czarnych, że prawie fioletowych. Miała na sobie suknię z czerwonego aksamitu z przezroczystą górą przybraną tylko sobolowym futrem, pilśniowy kapelusz a la Diana i czarne rękawiczki do łokcia.

—A więc, drogi kapitanie, pozwolił pan, by skradziono z pańskiego statku paryskie suknie, które u pana zamówiłam?

—Jest mi ogromnie przykro, Lady A. W Zatoce Meksykańskiej ciągle roi się od piratów. I gdyby nie ten młody człowiek,

sądzę, że nie miałyby pani nawet okazji zobaczyć mnie siedzącego przy tym stoliku jedynie ze złamaną nogą!

Lady A. powachlowała się i spojrzała na Mariusza. Jej powieki uniosły się wolno, wyzwalając światło fiołkowych źrenic w złote prążki, przybranych zielenią, usianych błyskami podobnymi do tych, jakie rzucają kawałki szkła w trawie.

— Uroda pani rozświetla to miejsce — skomplementował ją Mariusz, wstając i całując jej dłoń.

Młoda kobieta spłoniła się lekko i odwróciła głowę.

— Lubię takich dżentelmenów — zwróciła się do Fremonta z filuternym uśmiechem.

Mariusz nie mógł się powstrzymać, by dokładniej jej się przyjrzeć. Firany czarnych rzęs przesłaniały do połowy jej wielkie oczy w kolorze nieustannie oscylującym między antracytem i fioletem. Jej purpurowe usta, cienki prosty nos, spiczasty podbródek były cudownie piękne. Miała wiotką figurę, bardzo szczupłe ramiona i pełne piersi; widać było, jak drżą pod przezroczystą tkaniną. Twarz westalki i ciało diablidy.

— Usiądźcież wreszcie! — poprosił kapitan, wznosząc rękę do nieba. — Mariuszu! Lady A.!

Mariusz zrobił to nieco niezręcznie, o mało nie upadł na podłogę. Czuł się nieswojo w kurtce pożyczonej od Fremonta. Włosy bardzo mu odrosły, a cienki wąs nadawał mu wygląd uwodziciela z tropików. Jego posępne spojrzenie i opalona skóra kontrastująca ze śnieżnobiałą koszulą przyciągały wzrok Lady A. Teraz ona usiadła i zaśmiała się perliście.

Wówczas Fremont opowiedział o perypetiach „Savannah” i o bohaterskim zachowaniu Mariusza. Bacząc, by nie napomknąć o jego pobycie na galerach w Tulonie, oznajmił, że młody człowiek szuka pracy i że z pewnością potrafi robić wiele różnych rzeczy. Lady A. przelknęła głośno ślinę.

— Trzeba go skontaktować z Johnem Lafflinem — powiedziała, kładąc na rękę Mariusza dłoń i natychmiast ją cofając.

— Taki właśnie mam zamiar — odparł Fremont. — Mariusz zna się na stolarce i żeglarsztwie. I co niebagatelne, raczej dobrze włada szablą.

Lady A. kazała podać sobie lemoniadę ze skórką z limonki i mrożonym cukrem. Gdy umoczyła usta w szklance, przypominały skryształizowany koral. Udała, że stara się coś sobie przypomnieć, i oświadczyła:

—To zabawne, słyszałam już kiedyś o pewnym Mariuszu. Było to dwa lub trzy lata temu. Zapamiętałam tylko jego imię. Szykowałam się wtedy do wyjazdu do Ameryki. Wydaje mi się, że od tamtej pory upłynęła wieczność.

—Odniosła pani błyskawiczny sukces — zauważył Fremont.

—Wydaje się pani taka młoda — podkreślił Mariusz.

—W chwili wyjazdu z Francji miałam siedemnaście lat.

Można było łatwo obliczyć. Teraz Lady A. miała dziewiętnaście i posiadała jeden z najmodniejszych lokali w Nowym Orleanie. Zadziwiający sukces, jak powiedział Fremont.

Później, już w nocy, Lady A. weszła na estradę i zaczęła śpiewać po francusku. Mariusz nie odrywał od niej oczu. A ona cały czas patrzyła na Mariusza.

Po długim występie znów usiadła przy stoliku Mariusza i Fremonta. Jedli miękkie kraby i mirlitony, zwane na Antylach christophinami, owe jarzyny w kształcie gruszki, które gotuje się jak dynię. Młodzi pili z jednego kieliszka i zaśmiewali się. Jeszcze później trzeba było całej siły perswazji Fremonta, żeby wyciągnąć Mariusza z tego miejsca, które wydawało mu się po prostu rajem.

— Zobaczymy się, kiedy przyjedzie John Lafflin — powiedziała Lady A. do Mariusza. — A jeśli nie będzie mógł niczego dla pana zrobić, ja postaram się pomóc. Nie zosta wimy pana.

Świt powoli rozjaśniał miasto. Gdy już wsiadali do koczka, Mariusz zapatrzył się na horyzont. Jego wzrok padł na sztyld lokalu. Mimo wielkiego zmęczenia zdrzął. Nazwa U Córki

Sierżanta nie była banalna, Jednak przypomniała mu o czymś innym. Czuł, że przeszłość dopadła go jeszcze raz. Spytał Fremonta:

—Lady A. to przezwisko. Jak nazywa się ta bogini?

—Ma jakieś dziwne imię. Chyba Anzelma.

Mariusz zadrżał znowu. Rzeczywiście dopadła go przeszłość. Córką Sierżanta był nie kto inny, tylko Anzelma Thénardier. Podniósł kołnierz kurtki i pomyślał o Kozecie.

Ponieważ Kozeta nigdy nie wychodziła, nadal nie wiedziała, gdzie się znajduje. Ze strzępów dochodzących do niej rozmów domyśliła się, że jest w Paryżu. Nic więcej. Kuchnia była jej więzieniem.

Thénardier, jak zawsze podejrzliwy, kazał zabrać wszystkie noże i tasaki. Do obierania i krojenia jarzyn Kozeta miała jedynie zwykły scyzoryk. Thénardier bał się, że się zbuntuje, ale się nie buntowała. Czekala. Ktoś, kto nie znał siły jej charakteru, mógłby sądzić, że delectuje się własną słabością i obserwuje zachodzący w niej rozpad woli. Świadczyłoby to, że jej nie zna.

Tego ranka gdy szorowała kuchenne naczynia, dysponując tylko gąbką, piaskiem i kubłem zimnej wody, żal było na nią patrzeć. Boso, w za dużej koszuli i związanych sznurkiem spodniach z grubego płótna, starała się oczyścić to, co nigdy nie było czyszczone. Jej wychudzona twarz budziła rym większą litość, że głowę miała ogoloną jak galernik. A właśnie tego ranka przypadał kolejny termin tej operacji.

— Macie golić jej głowę, zaraz gdy włosy zaczną odrastać — powiedział Thénardier do Dwudziestu Dwóch i Pe-gasse'a. W końcu zapomni, że była kobietą.

Dwaj nicponie stosowali się do tych poleceń jak najbardziej dosłownie. Czaszka Kozety przypominała bilardową kulę. Nie-

kiedy kaleczyli ją niewprawną ręką. Na jej głowie przybywało strupów. Nie miała nawet skrawka materiału czy chustki, by ją owiązać. Co tu dużo gadać, chciano z niej zrobić kocmołucha. Zwykłą kuchtę.

— Jesteś gotowa, Skowronku?

Zawsze ta sama śpiewka. Pégasse otwierał drzwi do kuchni, a Dwadzieścia Dwa zaczynał komenderować.

— Pośpiesz się!

Kozeta, która cały czas miała nogę zakutą w łańcuch, podeszła i usiadła na jedynym stołku w tej norze. Pégasse chwycił oburącz jej głowę i przytrzymał ją. Ten upokarzający rytuał powtarzał się prawie co tydzień.

Albinos przystąpił do pracy, pogwizdując. Ponieważ gołenie odbywało się na sucho, spluwał czasem w dłoń i rozmazywał ślinę na głowie Kozety. Na strupy nawet nie zwracał uwagi. Gdy tryskała krew, przykładał jej do głowy łuski cebuli.

— To tamuje juchę — mówił ze śmiechem. — A poza tym przecież to twój ulubiony zapach.

Kozeta już od dwóch tygodni nie była „u golibrody”, jak mówił Pégasse. Włosy jej odrosły i sterczały jak szczotka. Albinos złośliwie bawił się, goląc jej głowę po bokach i zostawiając na środku pasmo włosów.

— Wyglądasz jak mały Irokez — parsknął, dając Kozecie klapsa. — Słyszałaś o Irokezach? A ty, Pégasse?

— No pewno. Można by ją nawet oskalpować i przywiązać do pala tortur.

— Ja tam wolę inne tortury — mruknął albinos. — Co ty na to, Skowronku?

Jego ręka dotknęła twarzy Kozety, a potem ześlizgnęła się na jej kark. Następnie brutalnym ruchem rozsunał koszulę młodej kobiety.

— Czyje to cycuszki, czyje?

Kozeta zacisnęła zęby.

— Pamiętajcie, co powiedział Koci Król — syknęła.

— Ojajku! Ale mnie ta mała flądra przstraszyła!

Kozeta nie miała w kuchni ani noża, ani tasaka. Mięso dostarczano jej już pocięte na kawałki. Nie było mowy, by pozwolono jej cokolwiek kroić. Miała jednak do dyspozycji widelce, łyżki i drewniane łopatki. Dlatego też gdy Dwadzieścia Dwa i Pégasse wchodzili do jej klitki, zawsze chowała do rękawa widelec o dwóch zębach. W razie czego będzie mogła się bronić. Oczywiście ciągle miała na nodze łańcuch i metalową obręcz, która w końcu werżnęła jej się w ciało i spowodowała ropiejące rany. Przemywała je wywarem z obierek. Między obręcz i ciało wsuwała kawałeczki materiału, jak robią to galernicy. Nie było mowy, by pozwoliła robić ze sobą wszystko, co chcieli.

Albinos zostawił Kozetę i podszedł do drzwi. Patrzył na nią z uśmiechem, który brzydko wykrzywił mu usta. Jego spojrzenie aż ociekało lubieżnością.

— Chyba nauczymy ją moresu — powiedział, kołyszając się. — Co ty na to, Pégasse?

— Nie rób głupstw — odpowiedział tamten z miną wyrażającą dezaprobatę.

— Do diabła! Ale z ciebie ponurak! — burknął albinos. — Jeszcze zobaczysz! I ty także, Skowronku!

Kozeta uniosła jedną powiekę i zobaczyła, że Dwadzieścia Dwa lubieżnie porusza biodrami.

— Sądzisz, że będzie dla mnie miła? — zwrócił się do Pégasse'a.

Krzywił się, plótł coś nerwowo, coraz bardziej kołysał biodrami. Z czerwonymi oczami, prawie białymi włosami, bezbarwnymi brwiami, szarą sflaczałą skórą, wąskimi wargami i spadzistymi ramionami nieodparcie przywodził na myśl jakiś rodzaj miękkiego wrzodu.

— No więc jak, mój Skowroneczku, nie chcesz popieścić pocziwego starego Dwadzieścia Dwa?

Zrobił krok do przodu. Kozeta opuściła rękę i chwyciła widelec. W chwili gdy albinos był już całkiem blisko, rzuciła

się na niego i wbiła mu widelec w udo. Krzyknął przeraźliwie i syknął, pieniać się ze złości:

— A to dranica! Popatrz, co zrobiła! Widziałeś? Na Bel zebuba, trzymaj mnie, bo ją wykończę! Słyszysz, Pégasse? Zamorduję tę dziwkę!

Zaskoczony Pégasse zrzucił Kozetę ze stolka, z całej siły dzielił ją dwa razy po twarzy i pchnął na wyrko.

— Zostaw ją mnie! — zawył Dwadzieścia Dwa, który wyciągnął nóż. — Zaraz załatwię tę dzidzę! Słyszysz? Już ją jej pokażę, gdzie raki zimują!

Chciał natychmiast ją zabić. Sam wyrwał sobie widelec z uda i rzucił się na Kozetę. Na szczęście Pégasse zatrzymał go w locie i przyparł do drzwi.

—Odbiło ci czy co? Do jasnej cholery! — Przypomnij sobie, co gadał stary!

—Mam to gdzieś!

Albinos nie ustępował. Napinał się, zapierał, stawał na palcach, wymachując nożem. Wyglądał jak perliczka, która wyskoczyła z garnka z zupą. Pégasse bezskutecznie starał się go uspokoić. Wreszcie chwycił go za ramię i odepchnął bez pardonu.

—Daj spokój, przecież to jędza — powiedział, przytrzymując albinosa jedną ręką i otwierając drzwi drugą. — Może ukryła w łachach coś jeszcze. Jakieś ostrze czy dółtko, żeby cię uszkodzić...

—To rozbierzmy ją do rosółu!

— Daj spokój, dołożymy jej innym razem.

Ostatecznie obaj wyszli z kuchni, zamykając za sobą drzwi na zasuwę.

— Już ja cię dostanę! — wrzasnęła na pożegnanie Dwadzieścia Dwa.

Kozeta, która siedziała na swym barłogu, podniosła głowę z niemal obojętnym wyrazem twarzy. Gdyby miała lustro, na pewno przerażałaby się na swój widok. Jej obrzękłą twarz rozjaśnił uśmiech. Z nosa i ust płynęła krew, ale była szczęś-

liwa. Pégasse i Dwadzieścia Dwa zastanowią się dwa razy, zanim znów się na nią targną. Było to oczywiste.

Przez następne tygodnie pracowała bez wytchnienia. Kuchnia aż lśniła. Z wyjątkiem otworu ściekowego, obrzydliwej cuchnącej połączonej z rynsztokiem dziury, z której ciągle wybijały pomyje.

Pewnego pięknego dnia do spelunki zajrzał niespodziewanie Thénardier. Lubił zaskakiwać, kontrolować, szpiegować, szukać dziury w całym. Kozeta coś sobie nuciła. Popatrzył tylko na nią przez judasza, zaśmiał się i pokiwał głową.

— Doskonale, Skowronku, nie dajesz się. Ale zobaczysz, za kilka miesięcy będziesz inaczej śpiewała.

Kiedy Pégasse doniósł mu, co zaszło między Kozeta a jego kompanem, zachichotał jeszcze głośniej. Był uszczęśliwiony, gdy między ludźmi coś się nie układało.

Dwadzieścia Dwa nie próbował dobierać się do niej więcej. Rano, kiedy Kozeta myła podłogę w knajpie, piorunował ją wzrokiem. Obrzucał obelgami. Nie rozstawał się z zawieszonym na ramieniu kastetem. Gdy pracowała trochę wolniej, posuwał się do rękoczynów: bił ją po twarzy albo kopał. Musiał sobie ulżyć. Kozeta nie skarżyła się. Wierzyła, że jeszcze się na albinosie zemści.

Powróciły chłody. Kozeta miała szczęście w nieszczęściu. Piec chronił ją przed owymi wilgotnymi nocami i lodowatymi porankami, kiedy człowiek grabieje z zimna i jest jak sparalizowany. Musiała to być zima. Czas pierwszych szronów. Wieczorem, a raczej wczesnym rankiem, gdy padała na swój barłóg brudna, ledwo żywa, z czerwonymi, poranionymi palcami, odurzona kuchennymi zapachami i pracą, nawet nie miała już siły o niczym myśleć. Cały czas podawano jej narkotyk. Musiała go zażywać dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Nie chciało jej się nawet podejść do okna, by zaczerpnąć świeżego

powietrza. I tak nie było tam na co patrzeć. Na ciemne i malusieńkie podwóreczko nikt nie miał wstępu. Przez kraty było widać cztery szare popękane ściany. Zarówno w dzień, jak w nocy panowało tam zielonkawe, grobowe światło, mocno przytłumione przez grube, ponure i brudne mury. Nie rosła tu żadna roślina. Rano nie rozbrzmiewał żaden ptasi śpiew. Kozeta kładła się więc zmordowana i wstawała w takim samym stanie. Sił dodawała jej chyba tylko nadzieja, że pewnego dnia odnajdzie synka i Mariusza. Nie dopuszczała myśli, że może do tego nie dojść. W przeciwnym razie wolałaby umrzeć.

Zadawała sobie pytanie, czy jeśli człowiekowi było zbyt dobrze, musi ponieść za to karę? Jeśli tak, ciężko pokutowała za minione szczęście. Jednak, co dziwne, poczucie to zamiast ją przygnębiać, tliło się w niej jak nadzieja na ocalenie. Zaczęła się nawet znów modlić. Powiada się, że dla niektórych istot najlepszą modlitwą jest cicha modlitwa. Dlatego też mówiła sobie, że gardząc modlitwą strapionych, wydajemy na siebie wyrok śmierci. Wierzyła w to. Wspomnienie Mariusza było w jej sercu bardziej wzniosłe niż mumia króla w podziemiach kościoła.

Niekiedy miała niejasne poczucie, że doszło do jakiegoś straszliwego oszustwa. Mariusz oczywiście żyje. Ale jego nieobecność była podobna do śmierci. Gdy ukochana istota znika, brakuje nam nie jej duszy, ale cielesnej powłoki. Owa słabość staje się niekiedy siłą. Niektórzy myślą nawet, że wspomnienie jest piękniejsze i mocniejsze od rzeczywistości. Powiadają, że zmarli istnieją w naszych sercach, Ale Kozeta wcale tak nie myślała. Nie można było za wiele żądać od młodej dwudziestoletniej kobiety opuszczonej, porzuconej i zgnębionej. Własne ciało niemal jej zawadzało. Aby się nie poddać, myślała o Amadeuszu. Dla niego wszystkie sposoby były dobre. Tak jak on starała się szukać ratunku w obojętności. Jednak obojętność często potrafi posłużyć się tobą, a nie ty nią. Kochać to być skazanym na cierpienie, mówiła sobie. Dlaczego nie urodziłam się cyniczna i skryta!

Ale córka Jeana Valjean nie mogła być taka. Wierciła się więc w łóżku, szarpała kołdrę, cichutko płakała z wściekłości. A potem znów przychodziło uspokojenie. Chwile te nie trwały długo. Walcząc ze sobą, wspominała szczęśliwe chwile, jakie przeżyła z Mariuszem. Znów widziała go, czuła, słyszała, obejmowała ramionami. Wtedy w jej udręczonym sercu pojawiało się nieco słońca. Zdawało jej się, że ziemia podnosi się i nagle przewraca na drugą stronę. Kręciło jej się w głowie, serce zaczynało walić jak młotem. Rozglądała się dokoła, marząc, by ziemia ją pochłonęła i wydalila ze swych wnętrzności. Kiedy stąd wyjdę? Kiedy? Bez przerwy zadawała sobie to pytanie.

Liczyła dni za pomocą kawałeczków słoniny, które wkładała do garnuszka. Pewnego ranka spostrzegła, że znikły. Przez głowę przemknęły jej przeróżne niesamowite myśli. Kto mógł ukraść te obrzynki? Dwadzieścia Dwa? Pégasse?

Zaparła się. Znowu zaczęła wkładać kawałeczki słoniny do garnuszka. Pewnej nocy, gdy nie mogła zasnąć, tuż koło siebie, na półce, gdzie trzymała garnuszek, usłyszała cichy szmer. Otworzyła jedno oko i zobaczyła ogromnego szczura. Wstręt przygwoździł ją do łóżka. Nie mogła się przemóc. Nie była w stanie poruszyć się czy krzyknąć. Szczur ani drgnął. Patrzył na nią błyszczącymi oczkami. Poruszał wąsikami. Tak upłynęła długa chwila. Potem Kozeta oswoiła się z widokiem zwierzątka. Spokojnymi, miarowymi ruchami podniosła się i siadła na wyrku. Wyciągnęła rękę i usiłowała pogłaskać zwierzątko. Nagle szczur ugryzł ją w palec i pobiegł do kuchni. Kozeta krzyknęła cicho i podniosła palec do ust. Ssać go, obserwowała, co robi szczur. Podpełzł do otworu ściekowego, przystanął, spojrział na nią wyzywająco i zniknął.

Ranka była dość głęboka. Kozeta położyła się, wysssała ją i owinęła palec kawałkiem szmatki. Siekacze szczura są ostre i dobrze tną. Nie wszyscy wiedzą, że zwierzęta te z łatwością przegryzają skorupy lub łuski. Znane są przypadki, gdy chcąc się dostać do zapasów żywności, przegryzały metalowe puszki

lub cegły z żużla. Szczury wychodzą nocą i wszędzie potrafią się wślizgnąć. Te szkodniki są wręcz diaboliczne.

Nazajutrz rano Kozeta stwierdziła, że jej palec zrobił się dwa razy grubszy. Wdało się zakażenie. Zrobiła wywar z obierek i zanurzyła w nim palec. Poczula straszliwy ból. Robiąc opatrunek, przypomniała sobie swe dzieciństwo w Montfermeil. Żona Thénardiera nienawidziła szczurów. Mówiła, że niszczą zbiory, kradną zapasy żywności, przenoszą choroby. Ta ostatnia możliwość przestraszyła Kozetę. A jeśli zaraziła się dżumą lub czymś równie niebezpiecznym? Przysięgła sobie, że zabije gryzonia.

Następnej nocy rozrzuciła kawałeczki słoniny wokół otworu ściekowego. Usiadła na sienniku i czatowała z dwuzębnym widelcem w ręku. Wyczerpana i zmęczona zasnęła wreszcie, nie wypuszczając go z dłoni. Rano kawałeczki słoniny znikły. Trwało to tydzień.

Ósmego dnia pojawił się szczur i długo wpatrywał się w Kozetę. Nie potrafiła go uderzyć. Zwierzątko stanęło na tylnych łapkach i uciekło tą samą drogą co przedtem. Kozeta schowała widelec i z uśmiechem pokiwała głową. Gest szczura można było zrozumieć jako ukłon lub podziękowanie. Nie była już z niego zła. Rana się zagoiła.

Takie wzajemne podchody trwały jeszcze parę dni. Szczur już się nie bał. Pewnej nocy, gdy Kozeta siedziała na pościeli, przypadł do jej stóp. Wzięła w palce kawałek mięsa i podsunęła mu pod nos. Szczur stanął na tylnych łapkach i zjadł je, oparłszy się o nogę Kozety. Kiedy leciutko dotknęła jego wąsów, nie okazał niezadowolenia. Podrapała go nawet po pyszczku. Umył się troszkę i stanąwszy na tylne łapki, wyszedł tamtędy co zawsze. Kozeta poszła spać uszczęśliwiona. Zyskała przyjaciela.

Pewnego ranka jak zwykle wzięła konewkę z lodowatą wodą i obmyła się. Na szyi i czole poczuła jakieś dziwne wypukłości. Coś w rodzaju krost, i to raczej bolesnych. Przeraziła się. Czy to od gryzienia szczura? Prawda była jednak taka, że ponieważ

żywiła się jedynie bogatymi w cukier kartoflami, miała cukrzycę. Nie wiedziała o tym. Tymczasem cukrzyca powoduje czasem ropną wysypkę. Na dodatek podawano jej duże dawki narkotyku, który także był jak ulepek. Krótko mówiąc, gdyby choć trochę znała się na medycynie, zrozumiałaby, dlaczego bez przerwy chce jej się pić i skąd wzięły się owe ropne czopy z czerwoną obwódką.

Czasem człowiek wstydzi się, że cierpi na jakąś tajemniczą chorobę i przez pewien rodzaj dumnej pokory, która zdarza się niekiedy biedakom, zamyka się w owym wstydzie. Dlatego też Kozeta nie powiedziała o niczym swym dozorcóm. Nikomu się nie poskarżyła. Kiedy sprzątała pokój Pégasse'a i Dwudziestu Dwóch, pochylała tylko nisko głowę. Drwili z niej. Niczego nie zauważyli.

Kozeta nie miała pretensji do szczura. Nadal karmiła go, a nawet cichutko do niego przemawiała. Słyszając przez ścianę jej głos, Pégasse i Dwadzieścia Dwa sądzili, że mówi sama do siebie. Myśleli, że pomieszało jej się w głowie.

Ale Kozeta nie zwariowała. Czyraki czasem piekły ją, czasem pękały, ale wcale jej nie przeszkadzały. Nie czuła ani gorączki, ani podenerwowania. Była nawet bardzo przytomna. Może wręcz mniej zmęczona niż dawniej. Bawiło ją, że szczur nie przychodzi sam. Od paru dni towarzyszyły mu dwa inne gryzonie, mniejsze od niego, bezczelniejsze, bardziej żarłoczne. Może to jego dzieci, mówiła sobie. Wzruszała się na tę myśl. Ocierała łzy, myśląc o swoim małym Jeanie. Gdzie teraz jest?

Z czasem do kuchni zaczęły przychodzić dziesiątki szczurów. Wokół barłogu Kozety aż się od nich roiło. Całe zastępy szarych futerek i zaciekawionych pyszczków. A choroby? Kozecie było to obojętne. Szczury nie były agresywne. Przeciwnie.

Pewnego ranka, kiedy myła szmatą podłogę w izbie Pégasse'a i Dwudziestu Dwóch, albinos znów pozwolił sobie na jakiś niestosowny gest. Pierwszy od czasu zdarzenia z widelcem. Przesunął ręką po szyi Kozety i szybko uniósł jej głowę.

— No i co, Skowronku, znów chcesz pobawić się widelcem?
Potem dał spokój tym awansom: pod ręką poczuł dziwne wypukłości. A kiedy na środku czoła Kozety zobaczył karbunkuł, zaklął i cofnął się z przeraźliwym grymasem.

—Cholera! A to co takiego?

—Może właśnie cholera — powiedziała obojętnie.

—Jak to cholera? Kpisz sobie ze mnie? Mam ci przyłożyć?
Zamierzył się na nią, ale Kozeta nawet nie drgnęła.

— Któregoś dnia ugryzł mnie szczur — oznajmiła obojętym głosem. — Podobno szczury przenoszą i przekazują przez różne choroby. Przede wszystkim cholere. Ale może to tylko dżuma. Ostatnio wymiotowałam. Czy w Paryżu w trzydziestym drugim roku nie było epidemii cholery?

Dwadzieścia Dwa zasłonił twarz koszulą i gorączkowo wytarł ręce o spodnie. Stojący obok niego Pégasse zatkał nos chustką.

— Niech wraca do swojej nory! — wrzasnęła albinos, wskażąc palcem drzwi. — Trzeba było od razu ukreścić jej łeb!

Do sprzątania zdejmowano Kozecie łańcuch i nakładano go dopiero po skończeniu roboty. Ale Pégasse tak się spieszył, że wepchnął ją do klitki przy kuchni i o nim zapomniał. Na czoło wystąpiły mu krople potu. A jeśli on i Dwadzieścia Dwa już się zarazili? Czyż te choroby nie są niezwykle zaraźliwe?

— I zawsze kończą się śmiercią — mruknął.

Strach wykrzywił mu twarz. Odszedł na miękkich nogach i nie zamknął drzwi na zasuwę.

— Co robimy? — spytał, natknąwszy się na Dwadzieścia Dwa.

Jego kompan, błądy i oniemiały, stał z opuszczonymi rękami na środku knajpy.

—Puszczamy wszystko w trąbę i wiejemy.

—Ale masz pomysły! — zdenerwował się Pégasse. — Zapomniałeś, że dzisiaj rano ma tu zajrzeć Koci Król?

—Mam to gdzieś. Ostatecznie możemy wyjść mu naprzeciw i ostrzec go. Ale nie zostaną minuty dłużej w tym szambie.

Wychodząc, odwrócili się i obrzucili wściekłym spojrzeniem drzwi do gospody. Na końcu ulicy zobaczyli stojącą dorożkę. Minęli ją obojętnie i poszli w kierunku ulicy de la Cite.

Siedzący w dorożce mężczyzna w czarnym płaszczu i dobranym do niego kapeluszu wysunął głowę na zewnątrz. Był umówiony z Thénardierem. Spojrzał na zegarek, podniósł oczy i zobaczył strzeliste wieżyczki Notre-Dame. Wokół unosiła się bardzo biała i bardzo gęsta mgła. Uśmiechnął się. Cała ulica, niemal różowa, wyglądała, jakby unosiła się w obłoku mgły.

*

Kozeta siedziała na stołku. Ubawiła ją panika, w jaką wpadli jej prześladowcy. Przesunęła ręką po czole i między kciukiem a palcem wskazującym poczuła czyrak. Był bolesny. A ona nie ma nawet lusterka. Wstała i delektowała się chwilą wolności. Na nodze nie miała łańcucha. Nastawiła uszu i nie usłyszała żadnego dźwięku. Czyżby naprawdę sobie poszli?

Pchnęła drzwi: były otwarte. To chyba cud, pomyślała. Postąpiła chwilę na czubkach palców, z ręką na klamce, nie wiedząc, co robić. Do głowy natychmiast przysła jej myśl o ucieczce. Ale zamiast pobiec do drzwi spelunki, szła powoli, prawie ociągając się, jakby śledziły ją niewidzialne oczy. To zbyt piękne, mówiła do siebie. To chyba zasadzka. Jeszcze jedna z owych gier, jakim lubią oddawać się te kanalie.

Serce waliło jej jak młotem. Nawet nie pomyślała, jak jest ubrana ani o swojej biednej ogolonej czaszce, na której środku sterczało groteskowe pasmo włosów. Była na pół naga, wyglądała jak dzikuska. Chciwie wdychała ohydny odór panujący w speluncie. Za jej plecami nikt już nie stał. Nikt jej nie lżył, nie maltretował. A więc to prawda? Nikogo już nie ma? Wyprostowała się dumnie jak księżniczka, podeszła do drzwi i pociągnęła je ku sobie.

Nareszcie odetchnęła świeżym powietrzem. Prześwitywało słońce. Kozeta, niemal oślepiąca, zakryła rękami oczy. Od tak

dawna nie widziała światła dziennego. W jej komórce, a nawet podczas sprzątania szynku okiennice były zawsze zamknięte. Żyła jak jaskiniowiec.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do światła, spojrzała w dół i zobaczyła swoje bose stopy. Jej stopy... Były tak czarne, że się przeraziła. Wyglądały rozpaczliwie. Gdyby przyszło jej to do głowy, spojrzałaby w górę. Ujrzałaby błękit nieba, wieże Notre-Dame i nieustanny balet kruków nad strzelistymi wieżyczkami katedry. Ale pokora rzadko podnosi głowę. A wstyd jeszcze rzadziej. Kozeta przemykała więc z opuszczoną głową w kierunku stojącej po jej lewej stronie dorożki, podobnej do wielkiego żuka okrytego czaprakiem. Mijając jeden z domów, wpadła na jakąś megierę w pstrej sukience, która spiesznie uskoczyła, wrzeszcząc:

— Hej, smarkaczu, uważaj trochę, jak idziesz!

Kozeta wymamrotała parę słów przeprosin i przyspieszyła kroku. Zgarbiona, przezroczyta, chuda, była podobna do swej matki, nieszczęsnej Fantyny, która umarła w 1832 roku w Montreuil-sur-Mer, nie zobaczywszy ukochanej córki, którą pięć lat wcześniej oddała „pod opiekę” Thénardierom.

A jeśli historia się powtórzy?, pomyślała Kozeta. Nie, byłoby to zbyt niesprawiedliwe, zbyt nieludzkie. Odrzucała taki determinizm. Potem idąc wzdłuż domu, w którego podwójnych oknach na parterze odbijały się promienie słońca, nagle się zatrzymała. Nie mogła się oprzeć. Odwróciła się i podniosła głowę, by przejrzeć się w szybie jak w lustrze. Z jej piersi wydarł się zduszony okrzyk. Serce jej zakolatało. Ta twarz nie była jej twarzą. Wszystko jej zabrano. Była niczym.

Niemal zataczając się, szła dalej. Pragnęła się ukryć jak ongiś tředowaci. Na widok dorożki poczuła przypływ energii. Ogarnęło ją jakieś uniesienie. Dorożka zawiezie ją do domu i cały ten koszmar się skończy.

Ostatnie metry pokonała biegiem. Woźnica nawet jej nie dostrzegł. Zatrzymała się przy drzwiczkach i opuściła głowę. Kiedy poznała intendenta Amadeusza d'Iguerande, na jej twa-

rzy widać było zaskoczenie i szczęście. Ktoś zatem przybył, by ją uwolnić? Sam Amadeusz? A więc to dlatego ci dwaj zbrodniarze, Pégasse i Dwadzieścia Dwa uciekli?

— Sama Opatrzność pana zsyła — powiedziała, otwierając drzwiczki i wsiadając do dorożki.

Burdin cofnął się przerażony i z odrazą spojrział na intruza.

— Czego chcesz, ty mały gnojku? — rzekł, zamierzając się na Kozetę laską. — Wynocha stąd, albo zdzielę cię kijem!

Kozeta zrozumiała, że w żadnym wypadku nie chodzi o Opatrzność czy o jakąś specjalnie przygotowaną operację. Co zatem robi tu intendent?

— To ja, Kozeta — przedstawiła się, podnosząc dumnie głowę. — Baronowa Pontmercy.

Garbus patrzył z niedowierzaniem na bladą twarz, ogoloną głowę, czoło, na którego środku widniała formująca się krostka i nie rozpoznawał Kozety. Były tylko jej oczy. Błękit oczu. Tak, to naprawdę ta damulka. Zaklął w duchu. Co się tu dzieje?

Udał najwyższe zaskoczenie i podobnie jak Kozeta powiedział drżącym głosem:

— Biedne dziecko, co się pani stało?

Kozeta westchnęła żałośnie i wcisnęła się w kąt siedzenia. Nie wiedziała, od czego zacząć. Louis-Desire położył swą niebieską od żył dłoń na jej ręce i odezwał się łagodnie:

— Proszę chwilę zaczekać.

Otworzył drzwiczki, wysiadł z dorożki i wydał jakieś polecenia woźnicy. Wszystko to w zawołanych słowach. Potem wrócił, rozejrzał się na wszystkie strony z konspiracyjną miną, wsiadł do pojazdu i woźnica trzasnął z bicia.

— Słucham panią, moje dziecko.

Uspokojona Kozeta opowiedziała mu, jak porwano ją i jej synka, jak okropnie ją traktowano. Ani przez moment nie wyrzała na zewnątrz. A być może powinna. Ponieważ woźnica zadowolili się tylko okrążeniem wyspy de la Cite, jadąc odnowioną w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku ulicą o tej samej nazwie.

—Wszystko to jest przerażające — skomentował Louis-Desire, gdy Kozeta skończyła swą opowieść. — I mówię pani, że człowiek odpowiedzialny za wszystkie pani niedole nazywa się Thénardier?

—Każę nazywać się Tardier albo Koci Król, ale naprawdę nazywa się Thénardier. Nasze drogi już się niegdyś skrzyżowały. Ten człowiek to diabeł.

—A co zamierza pani robić?

— Zwrócić się o pomoc do pana d'Iguerande.

Louis-Désire zrobił zafrasowaną minę.

Pana markiza nie ma w Paryżu, pani baronowo.

—Wobec tego dokąd mnie pan wiezie?

—W bezpieczne miejsce.

—Do mnie do domu?

—Byłoby to niewskazane. Do człowieka, który będzie umiał się panią zająć i dochować sekretu. Poza tym musi pani wypocząć.

—A Magdalena?

—Magdalena także wyjechała.

Kozeta sondowała spojrzeniem intendenta. Nauczyła się być nieufna.

—Dokąd?

—Do Burgundii. Przed wyjazdem mój pan spotkał pana Henryka de la Roche-Dragon. Dowiedział się od niego, że do Paryża wrócił brat Magdaleny i szuka jej.

Kozeta zachnęła się. Magdalena była jedynaczką i Bretonką. Louis-Desiré po prostu powtórzył jej to, czego dowiedział się od swego pana parę dni po zamachu Fieschiego.

—Do Burgundii, powiada pan? — podjęła Kozeta.

—Tak zrozumiałem.

Kozeta natychmiast pomyślała o Verjacie i Paray-le-Monial.

—Nie może mi pan powiedzieć czegoś więcej?

—Niczego więcej nie wiem, moje biedne dziecko. Pod nieobecność pana markiza muszę zajmować się jego sprawami. No i sprawami pani.

Kozeta zdziwiła się.

— Moimi?

Louis-Desire uniósł jedną brew z bardzo pewną siebie miną.

— Listem pani świętej pamięci męża, pani baronowo. Nie wątpliwie wie pani, że jego treść nie pozostawia żadnych wątpliwości. Wszystko ma przypaść memu panu.

W swej obecnej sytuacji Kozeta nie mogła ofuknąć intendenta. Co też on knuje? Czy robi to za wiedzą markiza? Niemożliwe. Nie wierzyła w zdradę Amadeusza. Poza tym przecież Mariusz żyje. Na tę myśl ogarnęły ją sprzeczne uczucia: niewysłowny spokój i szczęście oraz lodowata i nagła trwoga, jakby pod jej nogami zniecka otworzyła się przepaść. Wstrząsnęło nią jakieś drzenie, po którym poczuła się wewnętrznie złamana. Jak walczyć z tym, co wydaje się niemożliwe? Nagle przeraziła się, że choć Mariusz żyje, to może nigdy go już nie zobaczy.

— Wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia — powiedziała wreszcie poirytowanym, a zarazem uprzejmym to nem. — Mariusz wszystko uporządkuje.

Intendent roześmiał się ironicznie i skwitował jej słowa z niesłychaną impertynencją:

— Mariusz? Ależ postradała pani rozum, moja droga! Mariusz umarł i leży w grobie!

Jego ton nie podobał się Kozecie. Nawet nie spojrzawszy na intendenta, z oczami utkwionymi w dal, rzekła stanowczym głosem:

— Przypominam panu, że Mariusz jest również baronem Pontmercy. Nie będę tolerowała żadnej poufalości z pańskiej strony. — I dodała z pogardliwym uśmiechem: — Widziałam Mariusza w warsztacie, gdzie mnie więziono. Przyszedł po małego Rafaela. Wprawdzie byłam pod działaniem narkotyku, ale jestem tego pewna.

Kątem oka obserwowała garbusa. Uderzyło ją, że zbladł i nagle zmienił się na twarzy. Ale Louis-Desire nic nie powiedział. W jego spojrzeniu zapłonęło coś w rodzaju dzikiej urazy.

A więc Thénardier znów go okłamał? Tym razem musi wziąć sprawy w swoje ręce. Czyż nie kazał śledzić służącej Kozety? Według jego informatora, słynnego Grandeta, zbira od Gérarda, znajdowała się w Paray-le-Monial. Z kim? Nie wiadomo. Ale istniały wielkie szanse, że pojechała do tego Moreau, człowieka, który porwał dziecko Kozety.

— Cieszy mnie to — raczył odpowiedzieć, skłaniając głowę. — Ale gdzie przebywa pan baron? A przede wszystkim jakże to wszystko możliwe?

— Mogę panu tylko powiedzieć, że go widziałam. Niestety on mnie nie widział. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. — I czując w tonie intendenta więcej umiaru, a nawet obietnicę pomocy i pociechy, dodała: — Ale teraz, gdy jestem wolna, przygotowujemy się do walki. Nieprawdaz, Louis-Desire?

— Z pewnością. I to nawet wcześniej, niż się pani zdaje. Rzucił okiem na zewnątrz i rzekł: — Chyba jesteśmy na miejscu.

Na jego polecenie woźnica zajechał przed oberżę Pod Dwoma Krasnalami. I znów Kozeta nie zwróciła na to uwagi. Spytała:

— A gdzie właściwie jesteśmy?

— W Paryżu, pani.

Dorożka zatrzymała się.

— Oto człowiek, o którym pani wspomniałem.

W otwartych drzwiczkach dorożki ukazało się wykrzywione oblicze Thénardiera. Kozeta nie wierzyła własnym oczom.

— No i co, Skowronku, wyfrunęliśmy z szumem skrzydeł?

Co rzekłszy, odsunął się szybko, dając przejście Pégasse'owi i Dwudziestu Dwóm. Krzyk zamarł w piersi Kozety. Dwaj kompani zakneblowali ją, chwycili za ręce i nogi i wnieśli do spelunki Pod Dwoma Krasnalami, a potem bezceremonialnie rzucili na barłóg.

Louis-Desire pochylał głowę i spytał Thénardiera:

— Wielki Boże, co się tu dzieje? W jaki sposób tej małej wiedźmie udało się wyjść na wolność?

Thénardier westchnął zniecierpliwiony i zatrzasnął drzwiczki t
dorożki.

— Niech każdy zajmuje się tym, co do niego należy! — odrzekł z humorem. — Później ci wytłumaczę. Na razie jedź co koń wyskoczy po twojego Gérarda, Kozetę trzeba natychmiast zbadać.

Sam się do niej nie dotknął. Po tym, co mu powiedzieli Pégasse i Dwadzieścia Dwa, miał się na baczności.

— Ta mała idiotka pozwoliła, by ugryzła ją szczur. Ma krosty na szyi i czole. Niczego nie zauważyłeś?

Intendent nie mógł opanować drżenia. Czyż ta dziewczyna nie siedziała dłuższy czas obok niego? Czyż nie przeraził się na widok ogromnego czyraka na jej czole, chociaż o nim nie wspomniał? Natychmiast przestał zastanawiać się nad tym, czego dowiedział się od Kozery. Musiał załatwić coś pilniejszego.

— Jadę — rzucił.

I dorożka ruszyła.

Thénardier czekał na Burdina przed szynkiem. Niezbyt wierzył w tę historyjkę o dżumie czy cholera. Kozeta już by nie żyła. Albo leżałaby umierająca z bardzo wysoką gorączką. Niemniej jednak polecił swym ludziom, by się nią zajęli. Nigdy nie wiadomo.

Spacerując po ulicy, zaczął się zastanawiać. Domyślał się, że Kozeta musiała wspomnieć Burdinowi o Mariuszu i Rafaelu, nie pominąwszy żadnego szczegółu. Szykował się do obrony. A raczej kontrofensywy. Ale ogólnie wszystko szło dobrze. Wilczarz trzymał warsztat twardą ręką, Pod Dwoma Krasnalami zawsze było pełno, pieniądze wpływały do kasy wartkim strumieniem. Pierścionek Jezusa? Kichał na to. Odkąd Rudas nie żył, Thénardier niczego już się nie bał. Diamenty? Odżałował je. W jakiejś gazecie przeczytał, że dwaj zbiedzy z Tulonu

wyjechali do Ameryki ku rozpaczy komisarza galer; nie tak prędko zjawią się znowu we Francji. Szkapa? Po jego zniknięciu dochód ze sprzedaży kocięgo mięsa spadł; ale ten cwaniak miał za duże apetyty; pokój jego duszy. Nieznajomy, który porwał syna Kozety? Ten tak zwany Moreau? Carignol niedługo położy na nim łapę; wszystko odbędzie się zgodnie z prawem. Louis-Desire? Da sobie z nim radę. Markiz d'Iguerande? Nie wiadomo, co robi; zapewne pijany i zgnębiony zabawia się w którymś z burdeli w Belleville; nic ciekawego. A majątek wszystkich tych pajaców? Oczywiście wpadnie w jego ręce. I to już wkrótce.

Spojrzał na Notre-Dame i podziękował Wszechmocnemu, że jest tak niesprawiedliwy dla ludzi. Wszystko rażno posuwa się do przodu. Czyż sam Bóg nie staje po stronie geszefciarzy, bandytów i spekulantów? Czyż nie trzeba żyć zgodnie z duchem epoki?

Cała ta nowoczesność, o której tyle mówiono, fascynowała go. Również złodziejstwo powinno się zmodernizować. On, którego nic nie obchodziło, zainteresował się ustawą z pierwszego lipca, zezwalającą na budowę kolei żelaznej między Paryżem i Saint-Germain-en-Laye. Ponieważ dysponował swą bandą dzieciaków, które wchodziły już w wiek młodzieńczy, snuł plany na przyszłość. Będą okradali pasażerów tego nowego niezwykłego środka lokomocji.

Thénardier spacerował i zacierał ręce. Nie posiadał się z radości. Ten zbrodniczy kameleon uważał się za człowieka do prawdy genialnego. Zachwycało go wszystko, co mogło posłużyć do szkodenia bliźnim. Ponad miesiąc temu, dokładnie jedenastego września, przyglądał się jeździe próbnej pojazdu parowego Dietza. Co za hałas! Co za dym! Istny smok! Niektórzy widzowie zmykali co sił w nogach. Ale uwaga! maszyna ta przez godzinę i kwadrans dociągnęła z Paryża do Wersalu wagon na trzydziestu dwóch pasażerów. Fascynujące. Szybkość, oto coś, co Thénardier lubił. Słowo klucz. Szybkość w prze-

mieszczaniu się, w okradaniu, w dokonywaniu wszelakiego rodzaju przestępstw.

— Tak, szybkość — wymamrotał.

Bawił się laską, nucąc arietkę z *Paryżanki*. Przyszedł mu na myśl ten imbecyl Lacenaire. Tu też chodziło o szybkość. Szybkość w wymierzaniu sprawiedliwości. Wyrok zapadł 14 listopada, podczas trzeciego i ostatniego dnia procesu. Obaj z Awilem zostali skazani na śmierć. Ma ich zatem z głowy. Na zawsze uwolni się od tych dwu natrętów. Egzekucja ma się odbyć 9 stycznia 1836 roku. Będzie to raczej radosny dzień.

Wreszcie zajęchała dorożka Burdina. Wysiedli z niej garbus i Gérard. Były medyk wojskowy wyglądał raczej ponuro. Włosy miał związane w kucyk, twarz węża i wyniosłe, a zarazem przenikliwe spojrzenie; był ubrany na czarno, w rękę trzymał walizeczkę. Thénardier nigdy nie nosił go w sercu. Gérard coraz bardziej zadomawiał się w Chat-Malin i przy obłudnym błogosławieństwie Burdina żywił nadzieję, że stanie się jego jedynym właścicielem. Thénardier był o tym przekonany. Ten nieudolny truciciel nie był jednak wprowadzony w niektóre sprawy. Właśnie dlatego Thénardier nie chciał, by kręcił się w pobliżu. Im mniej będzie wiedział, tym lepiej. A teraz o Kozecie dowie się jeszcze jeden człowiek. Jeden za dużo.

—Nic mu nie powiedziałaś? — spytał Burdina, ścisząc głos.

—Po prostu powiedziałem mu, że jedna z twoich służących źle się czuje. Nic więcej.

Gérard zwrócił się do Thénardiera:

—Gdzie jest pacjentka?

—Proszę tędy — odrzekł stary unieżenie. — Moi przyjaciele zaprowadzą cię do niej. Słuchaj — doda! z udaną obojętnością — a gdyby okazało się, że to dzuma dymienicza?

Gérard przystanął i zwrócił się twarzą do Thénardiera. W jego oczach zapaliło się coś w rodzaju zapiekłej pogardliwej urazy.

— Bardzo bym się zdziwił. Gdyby jednak okazało się, że tak jest, trzeba by naciąć węzły chłonne. A za tydzień pan też by zachorował.

Po chwili Pégasse i Dwadzieścia Dwa zaprowadzili go do kuchni, a Burdin i Thénardier zostali w szynku.

—Nie podoba mi się to wszystko — powiedział garbus.

—A co dopiero mnie! — dorzucił Thénardier.

Burdin oparł się o stół i spojrzał z pogardą na współnika.

—Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że ukrywałeś przede mną pewne rzeczy i że teraz ta dziewczyna wie o wszystkim!

—Owszem, zdaję sobie sprawę. I bardzo się z tego cieszę. Teraz jedziemy na jednym wózku. Jeśli ja z niego spadnę, ty spadniesz także.

—Co z tego?

—Nic. Ale jeśli liczysz, że ja ją sprzątnę, grubo się mylisz. Ponieważ jednak zdaje się, że jej los bardzo leży ci na sercu, będziesz musiał sam się tym zająć.

Milczenie intendenta było wymowne. Odtąd, aby osiągnąć swe cele, będzie musiał obyc się bez Thénardiera. Wojna została wypowiedziana.

W kuchni Gérard zbadał Kozetę. Siedziała na swym wyrku z łańcuchem na nodze i poddała się badaniu bez słowa. Zdrada Louis-Desire poraziła ją. Spostrzegła, że słowo „zdrada” jest najbardziej nieokreślonym słowem w ludzkim słowniku i najbardziej precyzyjnym działaniem ludzkiej duszy. Ale czy można zdradzić to, co już nie istnieje? Kusiło ją, by zrezygnować. A jednocześnie zaczęła lepiej orientować się w całej tej historii. Teraz wszystkie jej wątki okazały się bardziej zrozumiałe. Louis-Desire niewątpliwie działał bez wiedzy swego pana. A spotkanie Thénardiera i intendenta Amadeusza było spotkaniem na szczycie. Mariażem występku i zbrodni. Triumfem nikczemności. Oto jak wygląda nowoczesne społeczeństwo.

Kiedy Kozeta obnażyła ramiona, zobaczyła, jakim wzrokiem

patrzy na nie szarlatan. Przeraziła się. Ale prawie natychmiast pomyślała, że może to wykorzystać. Choć obsypane krostami, jej ciało, ciągle jeszcze krągłe i jędrne, przypominające swą białą karnację dziewcząt uczestniczących w jego czarnych mszach, podobało się Gérardowi. Lubił dziewczęta świeże, spłoszone i bardzo zmysłowe.

— To nic poważnego, panienko — powiedział słodziutkim, trochę zmieszanym głosem. — Wszystkiemu winne jest pożywienie. Co pani je?

Kozeta kątem oka przypatrywała się swemu rozmówcy. Kobiety wyczuwają takie rzeczy. Będzie kuła żelazo, póki gorące. Były medyk, chociaż tak szczywany i wyrachowany, topniał jak wosk pod urokiem pacjentki. Biło to w oczy. Miał nawet nadzieję, że bezkarnie wykorzysta jej słabość.

Widząc jego maślany, rozgorączkowany wzrok, Kozeta, której mimo wszystko wydał się miły, wyznała mu cichym żalonym głosikiem, że jest silna i gotowa walczyć z chorobą.

— Podejrzewam, że ma pani trochę cukrzycy — ciągnął coraz bardziej ożywiony Gérard. — Te krosty to po prostu czyraki. Dam pani maść i znikną.

Pégasse i Dwadzieścia Dwa stali w drzwiach kuchni i od czasu do czasu z niepokojem zerkali do środka. Diagnozę Gérarda powitali nerwowym wulgarnym wrzaskiem. A więc to nic groźnego? Nie ma mowy o żadnej epidemii ani poważnej chorobie? Ulżyło im. Pokładali się ze śmiechu. Lekarz odwrócił się i spiorunował ich wzrokiem.

— Proszę wyjść i zamknąć drzwi!

Jego zmijowate demoniczne spojrzenie musiało zrobić na nich wrażenie, gdyż sprośny hałaśliwy rechot natychmiast ustał. Wyszli bez protestu.

— Proszę się ubrać, panienko.

— Naprawdę jest pan lekarzem? — spytała Kozeta, wkładając koszulę.

— Byłem nim.

— I pracuje pan z tymi ludźmi?

Gérard naburmuszył się.

—Ależ skąd — skłamał. — Po prostu zwrócili się do mnie o pomoc. Powiedzmy, że trochę ich znam.

—Tych ludzi nie można trochę znać, doktorze. Trzymają mnie tutaj wbrew mej woli. Mogę umrzeć.

Wyciągnęła nogę i pochyliła się głęboko. Ta unizona, a zarazem prowokacyjna poza sprawiła, że w Gérardzie zawrzała krew.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — szepnął, wska zując palcem łańcuch. — Ale nie mogę pani pomóc. Ci ludzie są uzbrojeni. A poza tym, kiedy mnie tutaj wieźli, zawiązali mi oczy.

Oczywiście kłamał. Potem sięgnął do kieszeni surduta, wyjął wizytówkę i podał ją Kozecie.

— Jeśli zdoła im pani uciec, znajdzie mnie pani pod tym adresem.

Wyciągnęła do niego ręce w geście bezsilności.

—Ale jak im uciec? Zatem opuszcza mnie pan?

—Na razie tak. Proszę mi jednak zaufać, wstawię się za panią. Warunki, w jakich panią trzymają, są skandaliczne i upokarzające. Polepszą się, proszę mi wierzyć!

Ostatnie zdanie powiedział, zaciskając pięść. Potem przesunął po wargach koniuszkiem języka. Ta młoda kobieta, którą widział w najprostszym stroju, podniecała go. Dlaczego? Bo miała oczy smutnej i czystej madonny? Bo znalazła się w okropnym, a zarazem ekscytującym położeniu? Bo ten kontrast był zdumiewający?

Ujął dłoń Kozety i złożył na niej pocałunek.

Potem dodał:

—Nie zapomnę o pani. O mnie proszę też pamiętać.

—Jest może ktoś, kogo mógłby pan zawiadomić — szepnęła Kozeta, mając na myśli Amadeusza.

Natychmiast przygryzła wargi. Przed chwilą Louis-Desire poinformował ją, że Amadeusza nie ma w Paryżu.

— Tak? — rzekł Gérard.

— Nie — sprostowała Kozeta. — Nie widzę nikogo poza panem, doktorze.

Poruszył ustami, jakby sądził, że ma nad Kozetą władzę. Bezpośrednie wyeliminowanie każdego konkurenta sprawiłoby mu satysfakcję. Na myśl, że ta dziewczyna nie szczydziła innym skarbów namiętności, których jemu będzie może zawsze odmawiała, poczuł poryw dzikiej zazdrości.

— Jak się pani nazywa? — spytał cicho.

— Nazywają mnie Skowronkiem...

Gérard skinął głową. Jego źrenice rozbłysły. Ta dziewczyna pociągała go. Czyż nie znudził się już Prozerpiną? Ale nie wiedział, jak się zabrać do rzeczy. Kim zresztą ona jest? prostytutką? Jej język był zbyt wyszukany. Damą z wyższych sfer? W jej zachowaniu było zbyt wiele pokory. Wypyta Burdina. Świetnie wiedział o rozdźwięku istniejącym między nim a Kocim Królem, będzie mógł to wykorzystać. Jak? Zastanowi się. Albowiem Gérarda, którego Burdin i Thénardier zawsze odsuwali od swych najintratniejszych interesów, nie dręczyła namiętność do hazardu, luksusu lub stołu. Nie, jedna jedyna rzecz podniecała go do szaleństwa: rozpusta. I kiedy ów dojmujący i nieczysty ferment sprawiał, że szybciej krążyła w nim krew, popęd cielesny zaciemniał jego inteligencję. Panowanie nad sobą przychodziło mu z ogromnym trudem. Upokarzająca sytuacja Kozety, jej niemal nagość, rozpacz, ogolona głowa, wszystko to podniecało go. Chciał stąd wyjść i dobrze się zastanowić. Wstał więc, otworzył swą walizeczkę, wyjął z niej coś i wręczył Kozecie.

— Proszę, to dla pani.

Tchórzostwo lekarza poirytowało Kozetę. Zatem nie zrobi dla niej niczego konkretnego? Kiedy jednak zobaczyła w jego ręku małe owalne lustro, wystające z fioletowego filcowego etui, do oczu napłynęły jej łzy.

— To... dla mnie? — wyjąkała.

— Aby odzyskała pani swą urodę — mruknął Gérard z gestem zniecierpliwienia.

Kozeta natychmiast wsunęła lusterko pod siennik.

—Moją urodę? Ostatnimi czasy bardzo ucierpiała...

—Proszą nie tracić nadziei — rzekł Gérard, cofając się i gładząc wilgotną ręką swe siwe skronie. Postaram się coś zrobić.

I pożegnał ją.

Natychmiast gdy wyszedł z kuchni, Pégasse zatrzasnął drzwi i zamknął je na zasuwę.

Nie ma potrzeby mówić, że Thénardier i Burdin, poinformowani już przez Pégasse'a i Dwadzieścia Dwa, z ulgą przyjęli diagnozę lekarza. Gérard, wiemy danemu słowu, wyraził pewne zastrzeżenia co do sposobu, w jaki jest traktowana Kozeta. Nie powinna już zażywać narkotyku, w przeciwnym bowiem razie grozi jej nieuchronnie nawrót choroby.

— Ma cukrzycę — oznajmił. — Jak tak dalej pójdzie, może stracić wzrok. Skłonność do czyraków pogłębi się i dziewczyna nie będzie mogła już nic robić.

Niewątpliwie przesadzał. Ale starał się wysondować, czy obydwu mężczyznom zależy na uwięzionej.

—Wtykasz nos w nie swoje sprawy! — odparił Thénardier gwałtownie. — Nieprawdaż, Burdin'?

—Jak najbardziej.

Gérard przelknął ślinę i skłonił się lekko. Niebawem ci dwaj drogo mu zapłacą za swą arogancję. Zanim wyszedł i wszedł do dorożki, dodał wszelako, że młoda kobieta może umrzeć.

Burdinowi było to głęboko obojętne, ale Thénardier zaprotestował.

—Wydam niezbędne polecenia — oznajmił.

—Mniej ziemniaków, a więcej mięsa — zakończył Gérard, otwierając drzwi.

—Mięso jest drogie — zauważył Thénardier, patrząc, jak lekarz idzie ku dorożce.

—A czy wolność jest droga? — spytał Burdin z szyderczą miną.

—Co takiego?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli. Robisz za moimi plecami różne rzeczy, a to wcale mi się nie podoba. Starasz się mnie wykołować.

Thénardier spojrział na niego spode łba.

—Obaj mamy na sumieniu trupy, Burdin. Nasze interesy są zbieżne. Majątek Kozery może się stać piękną żyłą złota. Dlaczego miałbym cię zdradzić?

—Bo masz to we krwi. Ale uważaj, możesz tego gorzko pożałować.

Teraz Burdin pożegnał się i poszedł do dorożki, która czekała nieco dalej. Thénardier wzruszył ramionami. Kiedy już usłyszał stukot kopyt po bruku, podniósł laskę, kręcił nią przez chwilę, a potem roztrzaskał dzbanek stojący na stole.

— Ośmiela się grozić mi w moim własnym lokalu? Kiedy sam chce capnąć łup? Już ty mnie popamiętasz — syknął, rzucając okiem w stronę Pégasse'a i Dwudziestu Dwóch. — Przeliczyłeś się, garbusie.

Jeszcze trochę złorzeczył, nie wiedząc właściwie, co zamierza uczynić Burdinowi, potem wydał polecenia Pégasse'owi i Dwudziestu Dwóm, i odszedł. A Kozeta? Nawet do niej nie zajrzał. Naigrawanie się z niej nie sprawiało mu już przyjemności.

Kozeta leżała na sienniku wściekła i załamana. Pozostała tak dłuższą chwilę. W jej głowie kłębiły się przeróżne ponure i sprzeczne myśli. Była zmęczona. Zmęczona tym, że nic jej się nie udaje, że szydzą z niej, że nie jest już sobą. Ale po tych wszystkich upokorzeniach stała się odważniejsza. I bardziej świadoma. Święty Franciszek Salezy pisze, że gardzenie zniewagą i oszczerstwem jest lekiem o wiele skuteczniejszym niż uraza i zemsta. Nie zapomniała o tym. Gniew jest niekiedy przyznaniem się do pewnej bezsilności. Zatem mu nie ulegnie. Ale zemści się za zniewagi. Zemsta dobrze robi na charakter,

to z niej rodzi się przebaczenie. Na razie chciała spać. Zapaść w ów błogi niebyt tak zbliżony do śmierci.

Nie zdążyła się zdrzemnąć: drzwi otworzyły się raptownie i do jej klitki bez słowa wkroczył Pégasse. Rzucił na piec olbrzymi półmisek mięsa i krzyknął:

— Do roboty, Skowronku! Teraz, kiedy już nic ci nie jest, będziesz musiała pracować ze zdwojoną energią!

I wyszedł, pękając ze śmiechu.

Kozeta wstała. Pociągnęła swój łańcuch i zabrała się do roboty. Nie wolno jej było załamać się. Nie zrobi-tej przyjemności swym oprawcom.

Potrąka była gotowa na tę samą co zawsze porę. Kozeta chciała przetrwać, odzyskać siły i znów spróbować ucieczki. Dotychczas powstrzymywała się od jedzenia kocięgo mięsa. Tego wieczoru zjadła cały comber z kawałkiem chleba i kieliszkiem alkoholu. I niemal z uśmiechem zareagowała na pijackie krzyki i kłótnie dochodzące z szynku.

Zwykłe docinki i upokorzenia ze strony Dwudziestu Dwóch nawet jej nie dotknęły. Zmywała, podśpiewując coś pod nosem. Miała nadzieję, że po odstawieniu narkotyku szybko poczuje się lepiej. A poza tym w jej głowie wykiełkował pewien pomysł. Pomysł szatański.

Kiedy szynk wreszcie zamknięto, padła na swój barłóg. Położyła trochę mięsa i kartofli przy wlocie do otworu ściekowego i czekała. Najpierw pojawił się jeden szczurzy pyszczek, potem drugi, potem następny. Wszyscy jej nowi przyjaciele. Kozeta zacisnęła ręce na łańcuchu. Jej pomysł właśnie się zmaterializował.

Amadeusz zmartwił się, gdy Magdalena zapowiedziała, że odchodzi. Usiłował ją od tego odwieść, ale wierna służąca nie dała się przekonać. Ksiądz Rillet przekazał jej, że czekają na nią w Paray-le-Monial.

—Masz jakieś wiadomości? — spytał Amadeusz.

—Nie, proszę pana.

—A jeśli pani baronowa wróci?

—Pan tu będzie i ją przyjmie.

—Ale jak się z tobą skontaktować? I dokąd się wybierasz?

—Do Paray-le-Monial.

Już wypowiadając te słowa, pożałowała tego. Ksiądz Rillet, do którego napisał Verjat, przykazywał jej przecież, by nikomu nie pisać słówka, dokąd się wybiera.

„Wybacz to wyrażenie, ale trzeba milczeć jak grób, moja córko”.

Dzielna kobieta, która absolutnie nie podejrzewała jakiegoś spisku czy porwania, nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Rozpacz Amadeusza przejmowała ją smutkiem. Kiedy widziała, jak błądzi po ogrodzie lub idzie chwiejnym krokiem po schodach, kiedy słyszała, jak bluźni lub mówi sam do siebie w swym wielkim apartamencie, zdejmowała ją litość. Czy nawet jej pani nie miała do markiza pewnej słabości? Czy nie pojedynkował się z jej powodu? Niedopuszczenie go do sekretu wydawało jej się nieludzkie. A poza tym, czy poinformowanie go, że udaje się do Paray-le-Monial, może komuś zaszkodzić?

—Wróć, panie markizie — starała się nadrobić swą niedyskrecję. — Jadę tam, żeby się trochę rozerwać.

—Wszyscy opuszczają statek...

Amadeusz szukał pociechy u Ludwika de Vergne. A następnie u Niny i Prozerpiny. Po zamachu Fieschiego przestraszył się i przestał bywać Pod Białym Diabłem. Ale czas i różne przeciwności losu sprawiły, że wrócił do tego miejsca, mającego tę zaletę, że gromadziło najwyżej postawione i najbardziej libertyńskie towarzystwo w stolicy, a czarne msze przyciągały łąsych na sensacje próżniaków, którzy pośród jedwabi i szampana uprawiali nierząd. Początkowo to miejsce szokowało Ludwika, ale ostatecznie poszedł w ślady przyjaciela. Zapamiętał dzień, gdy go wygnano z krypty. Przysiągł sobie nawet,

że zemści się na wielkim kapłanie. Na razie, ciągle w maseczce i incognito, towarzyszył Amadeuszowi. Markiz pił i bez opamiętania oddawał się rozpuście. Rezygnacja utemperowała jego wybuchy. Nie zostałem stworzony do szczęścia, mówił sobie. Wobec tego będę ostentacyjnie nieszczęśliwy.

Dwa dni po wyjeździe Magdaleny musiał oznajmić o nim swemu intendentowi.

—A dokąd pojechała?

—Do Burgundii, do Paray-le-Monial. Któregoś dnia spotkałem zresztą pana Henryka de la Roche-Dragon, jak zawsze napuszonego i wykwintnego, który oznajmił mi, że widział młodszego brata Magdaleny na ulicy Plumet. Przypuszczam, że oboje wrócili w swoje strony. Ale obiecała mi, że wróci.

Burdin wysłuchał tego z najwyższym zainteresowaniem. Po naradzie z Gérardem pchnął dwóch swoich ludzi do Paray--le-Monial. Jednym był Grandet, jego najbardziej zaufany szpieg, drugim Claquesous, dawny członek bandy Thénardiera. Claquesous uratował się z domu Gorbeau i wiedział, że Thenardier, po swej ucieczce z więzienia La Force, mniej więcej w styczniu 1833 roku, został zaocznie skazany na śmierć jako szef i prowodyr bandy. Ten wyrok był jedyną rzeczą, jaka pozostała po Thenardierze, rzucając na to nazwisko, na którym postawiono krzyżyk, ponury blask niczym świeca postawiona przy trumnie. Burdin liczył, że w odpowiedniej chwili posłuży się tym człowiekiem. Ów Claquesous, wygrzebany skądś przez Gérarda, spadł mu jak z nieba. Garbus już odtrąbił zwycięstwo. To, co się działo w jego głowie, pozostawało w rażącym kontraście z grobowym wyrazem jego twarzy. Trzyma Thénardiera w garści. Nie tylko niezym się z nim nie podzieli, ale wręcz wyśle współnika na szafot.

Pewnego wieczoru, wprawdzie niezwykle ostrożnie, Louis--Desire przypomniał Amadeuszowi, że trzeba zająć się sprawami baronostwa Pontmercy. Chodziło ciągle o ów słynny list.

—A mój chrześniak? — odpowiedział markiz, który bardzo już nadużył rumu i absyntu.

—Pański chrześniak?

—Tak, mały Jean. Czy muszę ci przypominać, że jestem jego ojcem chrzestnym? Dlaczego dotąd go nie odnalazłeś?

Intendent nic nie odrzekł. Amadeusz popada w szaleństwo, pomyślał. Może trzeba będzie obyć się bez niego. Chyba że ja sam zajmę się spadkiem i zarządzaniem majątkiem Mariusza. Kiedy teraz myślał o swoim panu, bez wahania pozwalał sobie na poufałość. Nie był to już pan markiz, ale Amadeusz. Wracając do spadku, miał już pewien plan opracowany wspólnie z mecenasem Chanplon. Problem zostanie załatwiony we właściwy mu sposób. Stało się to jego obsesją. Ten głupi Amadeusz zostanie bogaty wbrew sobie, powtarzał bez przerwy.

*

Verjat ucieszył się z przyjazdu Magdaleny. Mimo pomocy ojca Hipolita, superiora jezuitów kierujących szpitalem dla obłąkanych, nie mógł już sam zajmować się małym Jeanem. Jednak kłopoty nie dały na siebie czekać. Dziesięć dni po przyjeździe służącej Kozery ojciec Hipolit powiadomił go, że byli u niego żandarmi. Szukali mężczyzny w pewnym wieku, któremu towarzyszy niemowlę. Verjat zbladł. Twarz mu się ściągnęła, a krew odplynęła do serca. Już go znaleźli? Kleszcze się zaciskały.

— Musisz uciekać, przyjacielu.

Ojciec Hipolit powiedział to uroczystym tonem. Plotki rochodzą się tu szybko. I nawet gdyby Verjat z dzieckiem nigdy nie wyściubiał nosa na zewnątrz, nawet gdyby nigdy nie rozmawiał z kimś nieznanym, w końcu ktoś by go zadenuncjował. Języki rozwiązują się bardzo prędko. Zwłaszcza kiedy w tej zabawie bierze udział żandarmeria. A jeszcze bardziej, gdy w grę wchodzi nagroda. Denuncjacja jest niczym druga natura człowieka. Jej codziennym pokarmem.

Verjat podróżował nocą. Uciekli z dzieckiem i Magdaleną wozem zaprzężonym w muła. Ze względu na pieniądze oraz wygląd nie mogli jechać innym środkiem lokomocji.

— Pojedziecie do księdza Martiala w Semur-en-Brion-nais — rzekł ojciec Hipolit. — Zawiadomiłem go o tym przez mego kościelnego, ulokuje was w szopie nieco na uboczu od wsi. — I dodał zafrasowany: — Widziałem dwóch mężczyzn kręcących się wokół naszej siedziby. Paskudnie wyglądali. W końcu zaczepili mnie i spytali, czy znam niejakiego pana Moreau.

— Czy byli to inspektorzy policji?

— Nie sądzę.

— Jak wpadli na mój ślad?

— Cóż mam ci rzec, synu? Może to tylko zbieg okoliczności. Ale potrafisz jeszcze odróżnić przyzwoitych parafian od ludzi nieuczciwych.

Verjat nie dał się więc prosić. Znów przywdział sutanne księdza Rillet i ruszył w drogę. Duchowny strój na pewno uchroni go przed niemiłą niespodzianką! Ów człowiek, który spędził dużą część życia na ściganiu przestępców, stał się obecnie niczym jeden z nich. O ironio losu, ścigający był ścigany.

Uważał, że w Semur-en-Brionnais, ojczyźnie jednego z największych opatów Cluny, Hugona de Semur, będzie bezpieczny. Ale wieś jest podstępna. Ze swymi ścieżkami prowadzącymi donikąd, nie pozwala ci na chwilę wytchnienia. Sądzisz, że jest wyludniona, a jest zamieszкана; sądzisz, że jest ślepa, a ona cię obserwuje. Drzewa są uszami, rośliny oczami. Owa roślinna niewdzięczność często zwodzi człowieka z miasta. Uważa on, że nikogo wokół nie ma, a tymczasem jest otoczony. Do tego stopnia, że trzy dni po przyjeździe Verjat musiał zbierać się w dalszą drogę. Kiedy Magdalena zapytała, co się dzieje i dlaczego przywdział strój duchownego, odpowiedział jej wymijająco. Sekret mu ciążył. Cała jego surowa twarz kurczyła się w zapiekłej pogardzie. Tym razem ironia nie była mu żadną pomocą. Musiał walczyć jak dawniej.

Szykując się do kolejnej ucieczki, myślał o Kozecie. Co się z nią dzieje? Przysiągł sobie, że będzie ją chronił, i nie wywiązał się z obietnicy. Powinien znów stać się Javertem. Javertem zawziętym. Javertem przebiegłym. Javertem nieugiętym.

—Co wzbudziło podejrzenia ojca? — spytał księdza Martiala przed wyjazdem.

—Obcy ludzie w okolicy zawsze wzbudzają podejrzenia. Kiedy wypytyują wszystkich dokoła, na pewno chodzi o coś poważniejszego. Tym bardziej że mają konie i broń. Niech pan uważa, podążają pańskim tropem.

Verjat, Magdalena i dziecko udali się więc do Iguerande. Pan Corneloup, mer, który służył Verjatowi za przewodnika podczas jego niedawnej podróży po regionie Brionnais i dzięki któremu poznał kaprała Germaina Lagoutte'a, na dwa dni udzielił im gościny. Po tym krótkim odpoczynku uciekinierzy musieli ruszyć dalej.

Jeśli mnie szukają, stawię im czoło, mówił sobie Verjat.

Czyż nie miał swej laski, pistoletu i dwóch worków saletry?

Pewnej ciemnej deszczowej nocy pan Corneloup zawiózł ich do osady położonej powyżej Iguerande. Była odległa o prawie dwie mile i spowita we mgłach. Koło kościoła, na prawo, gdy się przybywało z Iguerande, stała opuszczona plebania. Jeśli się natomiast przyjeżdżało drogą, wpadało się wprost na szopę, znajdującą się przed plebanią. Z tyłu, jak okiem sięgnął, ciągnęły się winnice. Jeszcze dalej widać było zagajniki, żywopłoty, wzgórza Beaujolais. Wszystko to przywodziło na myśl całą fantasmagorię tej krainy: legendarne węże, sznurowe poręczce i baśniowe zwierzęta.

— Ta plebania należy do mojej rodziny od tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku — oznajmił mer, pomagając urządzić się uciekinierom. — Niebawem oddam ją mnichom. Na razie należy do mnie. Przez kilka dni będziecie tu bezpieczni. Ale nie mogę wam zagwarantować spokoju na dłużej.

Gdy Verjat odprowadzał go do kariatki, pan Corneloup rzekł cicho:

— Zapomniałem panu powiedzieć, że w dole winnicy jest opuszczona studnia. Można się do niej spuścić po linie i dostać się do podziemnego korytarza. Przy jego wylocie jest droga łącząca się z gościńcem do Saint-Julien-de-Jonzy. To wyjście awaryjne może się przydać. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku właśnie tamtędy uciekł proboszcz. Ale jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, nie będzie pan musiał z niego korzystać.

Verjat podziękował panu Corneloup za żywność oraz trud, jaki sobie zadał. Ten szlachetny człowiek skinął tylko głową i cicho przywołał swego konia. Aby nie robić hałasu, owinął mu kopyta szmatami. Zanim jednak odjechał z ponurym skrzypieniem kariołki, przy akompaniamencie wyjącego wiatru, w kapeluszu głęboko nasuniętym na czoło i w odwróconej na lewą stronę pelerynie, powiedział zniżonym głosem:

— Powodzenia, przyjacielu.

Verjat przeszedł przez szopę i znalazł się w domu. Zapalił świecę i rozejrzał się. Na horyzoncie nie dostrzegł żadnego światła. Nie było księżyca, a na niebie kłębiły się chmury. Zobaczył niskie, pokryte krzewami, stojące rzędem pagórki, poczuł zapach siana i wilgoci. Ale nie mieli wyboru.

Magdalena urządziła im nocleg z tego, co było pod ręką. Małego Jeana położyła na wiązce siana, a ona i Verjat zadowolili się podłogą i kamienną posadzką, zamiecionymi w pośpiechu. Chociaż mieli koce, było im zimno. Wiatr wciskał się wszystkimi szparami. Okienne stukwały, od zimnych powiewów drętwiały kończyny.

Magdalena z dzieckiem ulokowała się na parterze, w pomieszczeniu bez okna, obok wodopoju. Verjat zajął sąsiedni pokój, łączący się z wyższym piętrem wieżyczką o kręconych kamiennych schodach, która wychodziła na winnice; był tam kominek i drzwi z powybijanymi szybami. W razie najmniejszego alarmu można było tędy uciec.

Tak minęły dwa dni. Pan Corneloup dał Verjatowi dużo słoniny i chleba. Każdego ranka głupekowaty chłopak przynosił

im mleko w glinianym dzbanie, który zostawiał przed szopą. Między sobą nazywali go gamoniem. Był bardzo oddany merowi, ponieważ ten przed dziesięciu laty uratował go przed utonięciem w Loarze. Chłopak miał wielkie uszy, włosy ścięte „pod garnek”, pyszczek łasicy i dwa wielkie wystające przednie zęby, jednym słowem, można się było przestraszyć jego wyglądu. Był niemową. Potrafił tylko wybełkotać: „ladada, ladada”.

Kontaktował się z nim jedynie Verjat. Chłopak zostawiał mleko i wracał, wymachując przy tym rękami jak wiatrak. Pewnego dnia podrzucił im parę jajek zawiniętych w gazetę. W dali Verjat dostrzegł gawędzących na drodze wieśniaków. Czy wiedzieli o ich obecności? Verjat stał się jeszcze bardziej czujny. Gdy rozłożył gazetę, w którą były owinięte jajka, przeczytał kilka linijek. Opinia francuska rzucała płomienne oskarżenia przeciwko carowi, Metternich zachował neutralność, pan d'Argout zajął miejsce pana Humanna w Ministerstwie Finansów. W dziale lokalnym zapowiadano, że za dziesięć dni odbędzie się wielki targ bydła w Macon. Oto ważna informacja, orzekł Verjat i uśmiechnął się. Zapamiętał datę tej imprezy. Zawsze może się przydać.

Bez przerwy padał deszcz i niebo przypominało konewkę do podlewania. Wszystko poszarzało. Trudno o lepsze warunki, jeśli ktoś chce się ukryć.

Czwartego dnia z siana i kawałków drewna Verjat zmajstrował coś w rodzaju manekina. Zwędził też sąsiadowi trzy króliki. Jednego włożył do środka manekina, a dwa pozostałe zachował. Około północy odwiedzili go ojciec Hipolit i pan Corneloup. Ci dwaj wypróbowani przyjaciele przynieśli suszone wołowe mięso, parasol, ubranie na zmianę oraz wiadomości.

— W Iguerande zjawili się żandarmi — oznajmił mer. — Był wśród nich jakiś brygadier z Paryża. Musi pan pomyśleć o wyjeździe. Oto dlaczego przywiozłem wam wszystkie te rzeczy.

— Ja natomiast mogę dać wam do dyspozycji konia i małą kariołkę — pochwalił się ojciec Hipolit. — Podstawię ją za dwa dni.

Rozmawiali w szopie. Mer, zasłaniając dłonią usta, dodał szeptem, że widział się jeszcze raz z kapralem Germainem Lagoutte'em w Marcigny.

— Lagoutte przypomniał sobie pewnego pułkownika mieszającego w Macon — dodał. — Hrabiego de Saint-Auchans. Podobno dobrze znał Louis-Desire Burdina. Proszę, oto jego adres. Mieszka w zamku przy wyjeździe z miasta.

Verjat zmieszał się i wzruszył takimi dowodami przyjaźni.

— Nigdy się panu nie wywdzięczę za wszystko, co pan dla mnie zrobił, panie merze. Wyjedziemy za dwa dni. Muszę dokonać jeszcze pewnych przygotowań i zaczekać na kariołkę.

I Verjat nie bez poczucia humoru zrobił znak krzyża. Duchowny uśmiechnął się.

—W sutannie jest ci bardzo do twarzy, synu.

—Wiem, ojcze.

—Czy zawsze opiekowałeś się uciśnionymi?

—Robię to po raz pierwszy, ojcze.

—Bóg ci wynagrodzi.

Po czym dwaj mężczyźni odjechali w strumieniach deszczu, pozostawiając Verjata z wątpliwościami i żałami. Zastanawiał się, czy Jean Valjean miał szczęście do równie oddanych sprzymierzeńców. Mając do czynienia z człowiekiem takim jak ja, nie mógłby ich mieć, pomyślał. Uznał się więc za szczęśliwca. Ze smutnym uśmiechem poprawił sutannę i powiedział sobie:

Za dwa dni na pewno tam będą. Ale ja będę także.

Mała, wysoko położona wioska, gdzie ukrywał się Verjat ze swymi podopiecznymi, nazywała się Mailly. Było w niej trzydzieści domów, kościół, piekarnia i niewielki szynk. Mailly

leżało na drodze łączącej Iguerande z Saint-Julien-de-Jonzy. Verjat znał te okolice. Podczas swego długiego pobytu w Paray--le-Monial często je przemierzał. Do drogi do Macon można było dojść albo gościńcem do Saint-Christophe-en-Brionnais, albo którąś z dróg równoległych. Ta druga możliwość wydawała mu się korzystniejsza. Może wymagała więcej czasu, ale była bezpieczniejsza.

Były policjant nadal zajmował się swym manekinem. Ponieważ musiano już podać jego rysopis, rysopis duchownego, ubrał manekina w sutannę i kapelusz. W sutannie jest mi do twarzy, powiedział sobie, myśląc o ojcu Hipolicie i księdzu Rillet. Ale przede wszystkim odda mi ona wielką przysługę.

Sam włożył rzeczy przywiezione przez mera i księdza. Z brodą, w drelichowych spodniach i bluzie wyglądał naprawdę jak wieśniak. Obrazu dopełniła czapka.

Jeszcze przez jeden dzień krzątał się w swym pokoju. Ponieważ kominek działał, Verjat bez przerwy w nim palił. Wszystko zdawało się świadczyć, że pragnie ściągnąć uwagę na plebanię. Wypchał brzuch manekina butelkami, saletrą i zardzewiałymi gwoździami. Na koniec włożył do niego jeszcze królika. Od krzesła, do którego była przymocowana ta kukła zrobiona na jego obraz i podobieństwo, poprowadził dwie ścieżki prochowe: jedna biegła do kominka, a druga do drzwi wychodzących na dwór, na winnice. Magdalenie i dziecku było ciepło, byli zadowoleni. On także. Ale z innych przyczyn.

Pod koniec dnia zmajstrował z uplecionej słomy i deszczulek po beczkach, które znalazł w szopie, coś w rodzaju napierśnika. Przymierzył go i stwierdził, że jest doskonały. Potem sporządził jeszcze dwa manekiny, ale już nie tak starannie. Pierwszy przypominał kobietę, drugi dziecko. Jednego posadził na dziurawym krześle, drugiego na wiązce siana. Wypchał je słomą, do której powtykał kawałki słoniny. Do każdego manekina przywiązał królika. I ku wielkiemu zmartwieniu Magdaleny, ubrał owe manekiny w rzeczy jej i małego Jeana.

—Po co pan to wszystko robi, panie Verjat? — pytała Magdalena.

—Żeby uratować nam życie, moja zacna Magdaleno. — Proszę we wszystkim mnie słuchać. Musimy mieć się na baczności. Przy pierwszym sygnale alarmowym trzeba będzie uciekać.

Ten zaprawiony w bojach człowiek, przez wiele lat prowadzący śledztwa w sprawach kryminalnych, był obdarzony jakimś szóstym zmysłem. Z nadejściem nocy zaczął się w szopie. Prawdę mówiąc, niewiele mógł dostrzec. Jednak przed porą kolacji zauważył, że w pobliżu kręcą się dwaj ludzie ubrani jak wieśniacy. Ich twarze nie było widać. Prowadził ich gamoń.

— Ladada, ladada — powtarzał, pokazując palcem szopę przy plebanii.

Dwaj mężczyźni rozejrzeli się uważnie i odeszli tą samą drogą. Verjat nadstawił ucha; wyraźnie usłyszał tętent dwóch koni. Przyjadą jutro wieczorem, powiedział do siebie.

Nazajutrz bladym świtem udał się do Iguerande. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, a na nogach saboty. Zjawił się u pana Coraeloup i poprosił, by zadenuncjował go zandarmom.

Mer zrobił wystraszoną minę.

—Co pan mówi?

—Proszę się nie obawiać, niech pan im zdradzi tylko miejsce naszego pobytu i powie, że znajdą nas tam po zapadnięciu nocy. Z komina będzie leciał dym. Potem niech się dzieje co chce.

—Nie rozumiem.

—Nie szkodzi. Czy mogę na pana liczyć?

—Dobrze, porozmawiam z zandarmami.

—Dziękuję.

Verjat wrócił do Mailly w potokach deszczu. Zaraz potem udał się do studni. Zszedł po linie i dostał się do podziemia. Był tam kręty, żółty, gliniasty korytarzyk. Przeszedł nim na

czworakach aż do wylotu i znalazł się nieopodal jakiegoś lasku. Zobaczył drogę okoloną po obu stronach żywopłotami. Gdy dotarł do jej końca, zorientował się, że prowadzi do skrzyżowania z gościńcem do Saint-Julien-de-Jonzy. Nasze szanse rosna, powiedział sobie, zacierając ręce. Po czym zawrócił.

Gdy tylko znalazł się na plebanii, oparł się plecami o kominek. Ciepło dobrze mu zrobiło. Był przemoczony. Na dworze ciągle lało. Wydawało się, że w domu wszystko jest w porządku.

Późnym popołudniem wrócił na swe stanowisko obserwacyjne. Kariolka obiecana przez ojca Hipolita przyjechała o umówionej porze. Powoził nią kościelny z Paray. Kiedy odszedł, obdarowany butelką wódki i kawałkiem słoniny, Verjat wsiadł na kozioł kariolki i pojechał aż do wspomnianego już skrzyżowania. Przywiązał lejce do gałęzi solidnego orzecha i wrócił podziemnym przejściem. Wszystko to już nie na moje lata, westchnął, wróciwszy na plebanię. Zapadał zmrok. Godzinę później usłyszał jakiś hałas. Pospieszył do szopy. Na dworze zauważył tych samych co poprzednio dwóch mężczyzn i gromnia.

Założyłbym się, że to on, pomyślał, wygrażając pięścią w powietrzu. Wrócił do domu i ponaglił Magdalenę, by szła za nim.

— Zabierz tylko najniezbędniejsze rzeczy — powiedział cicho. — Im więcej tu zostawimy, tym bardziej będą zdeorientowani. I postaraj się, żeby mały nie płakał. Chodzi o nasze życie. — Dał Magdalenie parasol i dodał: — Idź do studni i zaczekaj na mnie.

W strugach ciągle lejącego deszczu Magdalena pobiegła przez winnicę z Jeanem na ręk. Verjat odprowadził ich wzrokiem, a następnie wrócił i porozrzucił wokół kominka parę sztuk garderoby, które jeszcze zostały. Natychmiast potem wziął plecak i wyciągnął z niego szary surdut i wielki kapelusz. Na ich miejsce wsunął bluzę i czapkę. Włożył napierśnik z drewna

i słomy, na to surdut, który zapiął pod samą brodę, i długo spoglądał na swój kapelusz. Poprawił jego kształt grzbietem dłoni, pogłaskał filc i położył kapelusz w widocznym miejscu przy kominku. To symbol, mruknął. Potem sprawdził mechanizm pistoletu. Wsunął broń za pasek i oparł laskę o kominek. Wszystko wyglądało doskonale. Wtedy otworzył drzwi i pognął do studni. Wziął dziecko na rękę i zszedł do podziemia. Jego wielkie ręce były jak kleszcze. Każdy czułby się w nich bezpiecznie. Położył małego Jeana na ziemi i ponownie wspiął się na górę, opierając się o ścianki studni. Okręcił Magdalenę liną i powoli opuścił ją na dół. W dole płakało dziecko. Rzucił Magdalenie lampkę i kazał jej ukryć się przy wyjściu z lochu. I znów wrócił na plebanię.

Żył nabrzmiały mu na skroniach. Był śmiertelnie zmęczony. Oddychał z trudem. Jego wąskie wargi rozchyliły się, ukazując nie tylko zęby, ale i dziąsła. W oczach pojawił się błysk wściekłości. Pasterz znów stał się wilkiem. I nagle jak w kolorowym śnie zobaczył, jak pan Madeleine, mer Montreuil-sur-Mer, unosi wóz, którego ciężar przygniatał pierś ojca Fauchelevent. Było to w 1819 roku. Od tamtej pory upłynęło już szesnaście lat. W taki to sposób rozpoznał Jeana Valjean. Myśl ta sprawiała mu ból. Jak długo jeszcze ten błąd będzie go prześladował?

Zaczerpnął powietrza i włożył kapelusz. Powoli, metodycznie nasunął go na oczy jak człowiek sposobiący się do walki. Potem wziął laskę i przycisnął ją do piersi. Niepokoilo go tylko, że nie słyszy najmniejszego szmeru. Czy tamci dwaj osobnicy weszli już do plebanii? Spojrzał na ogień w kominku i zadrzał. Dawniej nigdy by mu się to nie zdarzyło. Czyż ten samotnik nie był mieczem sprawiedliwości? Ale teraz nie był sam. Opiekował się dzieckiem.

Zmienił plany. Zamiast wyjść na spotkanie nieproszonym gościom, zaczął się w pokoju zajmowanym dotąd przez Magdalenę i małego Jeana. Zastanowił się, co robią żandarmi. Czerwony blask paleniska oświetlał obydwa pomieszczenia.

Drzwi między nimi zostawił otwarte. Nagle na murze zarysowały się jakieś cienie. Rozległy się dwie detonacje. A potem krzyki. Musiał wkroczyć do akcji.

Wszedł do pokoju w naciśniętym na oczy kapeluszu i zapiętym pod szyję surducie. Najpierw miał zamiar przestraszyć intruzów i natychmiast potem podpalić proch. Ale zmienił zdanie. Poczł jakby urażoną dumę. Czyż nie był Javertem?

— Czy to mnie szukacie, zuchy? — zagrzmiął z rękami na biodrach i laską w garści.

Obaj mężczyźni aż podskoczyli. Z przerażeniem zdali sobie sprawę, że strzelali do manekina. Ale nie był to koniec niespodzianek. Jeden z nich, widząc tego człowieka o wąskiej szczęce i tygrysim śmiechu, cofnął się i skulił w kącie.

— Jak to... myślałem, że pan nie żyje...

— Bo myślisz, że diabeł umiera ot, tak sobie, łotrze?

Verjat pokręcił laską gestem tamburmajora i precyzyjnym ruchem uderzył nią w gardło drugiego złoczyńcę.

— Czy przypadkiem nie nazywasz się Grandet?

Szpieg Gérarda poczuł się nieswojo. Powoli pokiwał w milczeniu głową z miną winowajcy. Uciekał drobnymi kroczkami w obawie przed laską Verjata.

— Idź do swego kamrata! I ani się waż sięgnąć po maj cher! — Iz pewną siebie miną powiedział grobowym głosem: — Javert jest nieśmiertelny, łajdaki! Kogo więc chcieliście zamordować? Może króla Francji?

Człowiek, który go poznał, nie mógł wydusić z siebie słowa. Verjat podszedł do niego i jednym prztyczkiem strącił mu kapelusz z głowy.

—Claquesous! Brzuchomówca? Coś podobnego. Co się z tobą działo po aresztowaniach w domu Gorbeau?

—Byłem niewinny, panie inspektorze...

—A Thénardier?

—To on był winien.

—Co ty powiesz! Ha, ha, ha!

Metaliczny śmiech podkreślił ostatnie słowa człowieka, który kazał nazywać się Verjatem. Powrót do metod, jakie niegdyś stosował, napawał go radością. Znowu czuł upojenie, gdy karał, i rozkosz, gdy budził lodowaty strach.

—Zaraz tu będą gliny — sam się zdziwił, że mówi jakby ciągle był na służbie. — No więc kto was wysłał?

—Niejaki Burdin — odpowiedział Claquesous. — Oraz Gérard...

—No, no...

Dokładnie w tym momencie Verjatowi padła na spodnie iskra z popielnika. Pochylił lekko głowę. Grandet, kierowany bardziej strachem niż odwagą, wykorzystał to, by rzucić się na niego z nożem w rękę. Były policjant nie miał już dawnego refleksu. A zwłaszcza praktyki. Ostrze uderzyło w jego pierś jak bełt wystrzelony z kuszy i mimo napierśnika skaleczyło skórę. Verjat wydał cichy pomruk. Grandet, który stał na przeciwko niego, coraz bardziej rozdziawiał gębę. Zdawało mu się, że zwyciężył człowieka, który był nie do pokonania. Jednak źle znał Javerta. Kiedy był policjant wyprostował się z makiawelicznym uśmiechem, bandzior poczuł, że włosy stają mu dęba. Cofnął się z drżeniem.

— Przecież... przecież...

Nie czekając dłużej, swą ogromną laską Verjat na odlew uderzył Grandeta w brzuch, a potem po krzyżu. Przerażony bandyta, nie wierząc własnym oczom, zgiął się we dwoje. Piszcząc jak zwierzę. I z piskiem cofał się, dopóki nie dowlóknął się do swego współnika. Nóż nadal tkwił w piersi Verjata. Były policjant wypiął tors i ze śmiechem pokazywał na nóż. Potem zacisnął lewą dłoń na jego trzonku i wyciągnął go zdecydowanym ruchem.

— Nie doróśliście do tego, moje zuchy! Widziałem już większych twardzieli!

Wtem od strony szopy doszedł go jakiś szmer.

— Na pomoc! — krzyknął. — Tutaj! Mordują!

Grandet i Claquesous przywarli do siebie i stali jak spara-

lizowani. Ten człowiek był naprawdę diabłem. Zresztą wygadał, jakby zamiast głowy miał jakąś konstrukcją będącą przedziwnym połączeniem kości i małych kosteczek.

Verjat wyjął pistolet i odciągnął kurek. Z szaleńczym śmiechem strzelił w rozsypany proch, który natychmiast się zapalił. Verjat pozostał na miejscu. Jego spojrzenie napotkało wzrok Grandeta i Claquesous. Linia ognia trzeszczała i płonęła z ogromną szybkością. Właśnie wtedy na zewnątrz rozległy się krzyki, rozkazy, tupot nóg.

Ogień dochodził już do krzesła, na którym siedziała kukła Verjata. On sam czekał do ostatniej chwili. Dopiero wówczas uskoczył w bok i pobiegł do drzwi. Gdy był już na dworze, usłyszał straszliwy wybuch. Wtedy popędził przez winnice.

*

Grandet i Claquesous zginęli na miejscu. Jednemu urwało głowę, drugiego posiekały odłamki szkła i zardzewiałe gwoździe. Oba pokoje wybuch dosłownie zmiotł z powierzchni ziemi. Kawałek muru zawalił się, okap kominka runął na ziemię, czerwone bryzgi rozprysły się po ścianach. To jeszcze nie wszystko. Gdy tuż po eksplozji żandarmi przybyli do tej dymiącej trupiarni, znaleźli rozszarpane kukły, które wzięli za zwłoki ludzkie. Nie na darmo Verjat nafaszerował je mięsem. Uznano, że uciekinierzy zginęli także. Wszystko o tym świadczyło. Natychmiast zaczęto gubić się w domysłach. Ile było w istocie ofiar? Kim były naprawdę? Do kogo należało ciało bez głowy?

Trzeba było poczekać dwa dni, by dojść do innych wniosków. Komisarz z Marcigny, brygadier Carignol oraz mer Iguerande, właściciel owego zrujnowanego domu, wspólnymi siłami rozpatrzyli wszystkie za i przeciw. Doliczono się dwóch ofiar. Człowiek, który wzywał pomocy, z pewnością zdołał uciec. Zanim dwie ofiary uruchomiły piekielną maszynę, być może torturowały go.

— To afera Fieschiego w Brionnais! — wypinał pierś brygadier Carignol.

Komisarz z Marcigny i pan Corneloup wzniesli oczy ku niebu. Kim jest ten imbecyl przysłany z Paryża?

— Przybyłem tu w misji specjalnej! — trąbił żandarm.

—
I odnoszą wrażenie, że moi podejrzani się ulotnili!

Wszystko to strasznie się przeciągało. Prokuratura w Macon wszczęła dochodzenie. Wieści o tej godnej pożałowania sprawie dotarły do samego prefekta departamentu Saony i Loary.

— Trzeba cofnąć się do samych początków tej sprawy! — oświadczył swym zastępcom. — Czyż dwaj mężczyźni, którzy zwłoki znaleziono w tamtym domu, nie byli znanymi przestępcami?

Brygadier Carignol dostał awans na adiutanta. Gdy jakiś dureń da dowód swej niekompetencji, zaraz pcha się go wyżej. Przydzielono mu nawet pluton żandarmerii konnej.

— Najważniejsza jest pańska misja — powiedziano mu.

W następnym tygodniu, po wielu rewizjach i poszukiwaniach, odkryto studnię i podziemne przejście. Carignol znów perorował. Ale Verjat, Magdalena i mały Jean byli już daleko.

*

W Macon Verjat był zupełnie bezpieczny. Szczęście zdawało się mu sprzyjać. Na wsi można trafić na różne ukryte skarby. Dowodem fakt, że po ucieczce z Mailly, w wozowni przy opuszczonym domu nieopodal wyjazdu z Chauffailles, sześć lub siedem mil od Mailly, Verjat znalazł coś w rodzaju dorożki. Podróż była więc o wiele przyjemniejsza. Tym bardziej że po wszystkich tych peregrynacjach były inspektor policji stał się znacznie ostrożniejszy i postanowił wybrać trasę prowadzącą przez wzgórze Beaujolais. Nawet kiedy podróżowali nocą, rezygnował z drogi równoległej, prowadzącej przez Saint-Christophe-en-Brionnais. Tak było bezpiecznie.

Niedaleko miasta Cluny, którego bazylika przypominała już tylko statek osiadły na mieliźnie u stóp ojczyzny Lamartine'a, rodzaj kamiennego posągu pokrytego orientalnymi i rzymskimi nalotami, Verjat przywdział strój wieśniaka i poszedł na fermę, gdzie ukradł dwa paszporty wystawione na panią i pana Besson. Po raz pierwszy w życiu coś sobie przywłaszczył. Było do fascynujące doświadczenie dla niego, który posiadał ongiś straszliwą władzę dyskrecyjną, darząc pogardą, wstrętem i obrzydzeniem wszystko, co raz przekroczyło próg legalności. A oto teraz sam przekraczał ów fatalny próg.

Najdziwniejsze, że po tym zdarzeniu jego odczucia były jednocześnie niemiłe i przyjemne. Tak oto przeszedł na drugą stronę legalności. Dłonie swędziały go, głowa płonęła. Gdy miał już odejść z fermy, zawahał się przez chwilę. Odwrócił się i zobaczył swe odbicie w kałuży. Nawet ubrany jak wystrojony odświętnie wieśniak wyglądał, jakby zawsze coś podejrzewał, także tam, gdzie nie było żadnych powodów do podejrzeń. Czy to naprawdę on? Znów pomyślał o Jeanie Valjean, posłanym na galery za jakieś drobne przewinienie, o Kozecie i o małym chłopczyku rozdzielonym z rodzicami, skazanymi na to, by nie być razem. Niegdyś założyłby ręce, pokiwał wolno głową i uśmiechnął się. Pomyślał, że wszystko, co dawniej wydawało mu się niesprawiedliwe, było słuszne. Dziś długo o tym medytował. Tak jak w dniu, gdy Jean Valjean zwrócił mu wolność, czuł się rozbrojony, wydziedziczony, zdezorientowany. Nie chodziło nawet o winę. Mówił sobie tylko: „Czy naprawdę się zmieniłem?”. Tak bardzo starał się stać kimś innym, że zdołał tylko stworzyć jakieś mgliste przedłużenie samego siebie. Coś w rodzaju odmienionego Javerta. Czy nie byłoby uczciwiej natychmiast udać się na najbliższy posterunek żandarmerii i wszystko wyznać? Czy nie na tym polega sprawiedliwość? Sprawiedliwość w kraju godnym tego miana? Czyż on, który miał ojca galernika, nie był gorliwym i sumiennym funkcjonariuszem Francji, bezlitosnym przedstawicielem prawa?

W oddali usłyszał gaworzenie małego Jeana. Uważał to dziecko prawie za swoje. Ponieważ nigdy nie miał rodziny, mógł wybierać: ojczyzna lub jego przybrana rodzina. Między niewdzięczną ojczyzną, która nie miała już nic wspólnego z bohaterskim okresem cesarstwa, a rodziną, którą zbieg okoliczności postawił na jego drodze, nie było co się wahać. Więc już się nie wahał. Wsadził do kieszeni oba paszporty i aby przypieczętować swój wybór, wszedł do spiżarni, gdzie zobaczył trzy koczki sery. Jeśli mnie złapią, pomyślał, uśmiechając się niepewnie, dostanę co najmniej trzy lata.

W Macon, stolicy departamentu Saony i Loary, państwo Besson wyglądali jak wieśniacy, którzy przyjechali do miasta na jarmark. Niedaleko dwu ośmiokątnych wież katedry św. Wincentego jakiś żandarm sprawdził ich tożsamość. Verjat wyjaśnił mu z południowym akcentem, że przyjechał na wielki targ bydła. Pamiętał o informacji wyczytanej w gazecie, w którą były zawinięte jajka w Mailly.

— A dziecko? — spytał żandarm, drapiąc pod bródkę małego, którego trzymała na ręku Magdalena.

— Syn podrzucił nam małą na dwa dni — odpowiedział Verjat szorstko. — To ładna panienka, ma czternaście miesięcy. Nazywa się Joanna.

Żandarma chyba zadowolili ta odpowiedź. Gdy już dał znak, że mogą jechać dalej, Verjat podał mu kartkę i spytał, czy mówi mu coś nazwisko, które zapisał mu pan Corneloup. Żandarm przygryzł wąsa z surowym wyrazem twarzy.

— Pułkownik de Saint-Auchans? Ten buntownik? Do licha! Ma pan zatem przyjaciół wśród bonapartystów? No cóż, rzecz oczywiście jest jednym z najbliższych ludzi pana prefekta. Ale muszę pana uprzedzić, że to dziwny facet!

Verjat powiedział pierwszą lepszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

— Pół roku temu pan hrabia kupił ode mnie jałówkę i do tej pory czekam na pieniądze. Chcę więc skorzystać, że jestem przejazdem w Macon i opomnieć się o należność.

Żandarm z porozumiewawczą miną pociągnął za pendent:
— Ba, pan hrabia wszystkim jest winien pieniądze — po czym rzekł poważniej: — Mieszka przy wyjeździe z miasta w kierunku Tournus. Nie może się pan pomylić, zobaczy pan mały zameczek niedaleko Saony. Jest tam nawet fosa i rzeka, która płynie za posiadłością.

Verjat podziękował, ściągnął lejce i ruszył we wskazanym kierunku.

Po godzinie dojechał na miejsce. O zamku można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest mały. Była to imponująca budowla, z bramą i aleją wysadzaną topolami. Z dala wyglądała na udane połączenie architektury średniowiecznej z architekturą w stylu Ludwika XIV. Verjat pogonił konia i wjechał przez bramę, zastanawiając się, jak go przyjmie były oficer cesarstwa.

*

Hrabia pułkownik de Saint-Auchans okazał się nadzwyczaj uprzejmy. Towarzyszyli mu dwaj ludzie w stroju grenadierów i kucharka w trójkolorowej sukience. Gdy Verjat oznajmił, że przybywa od pana Corneloup i kaprała Germaina Lagoutte'a, hrabia szturchnął go w bok:

— Lagoutte? Ten człowiek zawsze za dużo sobie pozwał! — I dodał z powagą rachmistrza: — Wspaniały żołnierz! Proszę się tu czuć jak u siebie w domu, drogi panie! I zostać, jak długo pan zechce!

Nie wyznając pułkownikowi wprost, że ściga go policja, Verjat dał mu wszelako do zrozumienia, że znajduje się w dość trudnej sytuacji. Ale myślał przede wszystkim o Magdalenie i małym Jeanie. Od dawna nie spali w prawdziwym łóżku. Propozycja pułkownika przyszła w samą porę.

Wieczorem tego samego dnia hrabia zaprosił ich na kolację w wielkiej sali o nagich ścianach, podłozie z kamiennych płyt niczym w jakiejś katedrze i kominkiem z epoki Ludwika XVI.

Wnętrze było oświetlone dziesięcioma srebrnymi kandelabrami. Na kredensie stało popiersie cesarza, prosta szabla i złoty orzeł. Obsługiwali ich grenadierzy, którzy trzaskali obcasami. Jeden nazywał się Lannes, drugi Lasalle.

— Moi dwaj L. dodają mi skrzydeł! — zakrzyknął pułkownik, który starał się uchodzić za żartownisia. — Lannes i Lasalle! Prawdziwi bohaterowie!

Verjatowi podobało się, że o chwalebnej przeszłości hrabia mówi z przymrużeniem oka. Przy pułkowniku de Saint-Auchans Francja odzyskiwała swoje barwy.

Posiłek był wyborny. Kucharka podała pasztet zapiekany w cieście, zupę z bobu oraz kurczaka z Bresse w szampanie. Istna uczta.

Pułkownikowi nie zamykały się usta. Gestykulował z zapalem, potępiając w czambuł słabą monarchię Ludwika Filipa, Orleańczyka, który nosił strój gwardii narodowej jak Karol X i wstążeczkę Legii Honorowej jak Napoleon, wyrzekając na partię dewotów, tę zadawnioną chorobę, oraz na podstępne spekulacje, tę nowoczesną epidemię. W 1800 roku opowiedział się po stronie pierwszego konsula, co ostatecznie poróżniło go z jego klasą. Nieprzyjaciół miał sporo, przyjaciół mało. Chociaż był szlachcicem, nie nosił się wyniośle jak arystokraci, i chociaż był starcem, który wiele przeżył, nic miał białych włosów patriarchy. Był ubrany w niebieski surdut, czerwony krawat i białe spodnie. Jeśli chodzi o wygląd fizyczny, ten trójkolorowy bękart odznaczał się dość podługowatą głową i bardzo bystrym spojrzeniem. Nie miał w sobie dość życia, by się śmiać, ale na jego wargach igrał słaby, czasem szalony uśmiech, który przecinał kwadratowy, energiczny podbródek. Ponieważ był krótkowzroczny jak kret, a jednocześnie na tyle kokieterjny, by nie nosić binokli, sprawiał wrażenie zezowatego. Był chudy i nerwowy, a jego ton przeczył temu, co chciał sugerować swym wyglądem człowieka pełnego werwy. Doskonały oficer kawalerii.

— Był pan huzarem czy szaserem? — spytał go Yerjat.

—Ani jednym, ani drugim. Byłem w szesnastym **pułku** liniowym! Odbyłem całą kampanię austriacką pod rozkazami marszałka Masseny, a dokładniej mówiąc, pod rozkazami generała Molitora, który dowodził trzecią dywizją czwartego korpusu.

—Molitor to ten, który wślawił się podczas ekspedycji hiszpańskiej w tysiąc osiemset dwudziestym trzecim roku i został gubernatorem Schroniska dla Inwalidów?

—Jak najbardziej — potwierdził pułkownik. — Widzę, że mam przyjemność rozmawiać ze znawcą.

—Nie takim znów wielkim, panie pułkowniku.

—A może napilibyśmy się czegoś mocniejszego?

—Chętnie.

Hrabia zawołał Lanne'a i Lasalle'a, pierwszemu kazał odprowadzić Magdalenę z małym do ich apartamentów, a drugiemu przynieść z piwnicy butelkę.

— I to dobrą!

Tymczasem pułkownik z Verjatem przeszli do sąsiedniego pokoju udekorowanego białą bronią i portretami wojskowych w zbrojach. Głównym meblem był tu bilard w stylu Karola X z markieterią ze scenami przedstawiającymi epopeę napoleońską. Pułkownik wziął ze stojaka kij i wykonał raz za razem trzy uderzenia. Gdy kule się zderzały, stukał o ziemię laską i mówił:

— Właśnie tak człowiek bije sobie brawo, mój drogi! Uderzając kijem!

I parsknął śmiechem.

Potem do komnaty wszedł Lasalle z tacą, dwoma ogromnymi kielichami i butelką wódki z wytłoczyn winnych. Postawił wszystko na drewnianym kominku i podsycił ogień czerwonym skórzanym miechem.

—Rocznik tysiąc osiemset piąty, panie pułkowniku — oznajmił, otwierając butelkę.

—Austerlitz! — zakrzyknął pułkownik de Saint-Auchans. — Tylko ten rok jest coś wart! I nie znaj litości, żołnierzu!

—Jak zawsze, panie pułkowniku!

Obydwaj mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a grenadier, stojący prawie na baczność, hojnie nalał swemu panu. Kielich zwany „bezlitosnym” zawierał osiemdziesiąt centylitrów. Grenadier napelnił go do połowy. Widząc to, Verjat, zwykle tak mało komunikatywny, wyciągnął ręką.

—Dla mnie bardzo mało, nie jestem przyzwyczajony.

—Przyzwyczajony czy nie, jak się pije ze mną, to się pije!

— przerwał mu gospodarz.

Przez dobre dwie godziny pułkownik relacjonował kampanię austriacką, w której brał udział. Jego kieliszek był teraz pusty. A pułkownik zdążył już zająć Wiedeń, bił się pod Essling, został ranny w nogę.

— Tak samo jak Germain Lagoutte! Ale ja uratowałem nogę!

Sięgnął po kieliszek Verjata i opróżnił go jednym haustem. Siedzieli naprzeciwko siebie przy kominku. Ogień z wolna przygasał, był już tylko kupką żaru, poruszanego bladymi falami, pośród których wybuchały niekiedy z trzaskiem błękitne burze. Pułkownik opowiadał dalej, wspominał wyspę Lobau, nazywaną wyspą Napoleona, gdzie zwieziono rannych spod Essling, przekształconą obecnie w przemysłowo-wojskowe miasto. Było to właśnie miejsce, o którym opowiadał kapral Germain Lagoutte. To tam przebywali Burdin i Gérard przed bitwą pod Wagram.

Verjat prawie przerwał opowieść pułkownika.

—Powiedziano mi, że mógłby mnie pan poinformować o działalności pewnego osobnika, który również był na tej wyspie — zagadnął głosem nabrzmiałym powagą.

—Jak się nazywa?

—Burdin.

Pułkownik poderwał się z fotela jak wystrzelony z katapulty. Zmarszczył brwi i utkwiał palec wskazujący w Verjacie.

— Do pioruna! Proszę mi nie mówić, że jest pan przyjacielem łajdaka okradającego trupy, mordercy, dezertera i spis kowca!

Verjat uspokoił go ruchem dłoni.

— Proszą się nie obawiać, panie pułkowniku, wcale nim nie jestem. Szczerze mówiąc, prowadzą śledztwo dotyczące tego człowieka. I jeśli dzisiaj znajduję się w trudnej sytuacji, to częściowo za jego sprawą.

Pułkownik usiadł i wyciągnął przed siebie nogi.

—Wcale mnie to nie dziwi. Ale do wszystkich diabłów, czy ten człowiek ciągle żyje'?

—Jak my obaj.

—A to szakał!

Wówczas hrabia de Saint-Auchans opowiedział o tym, o czym Verjat już wiedział: o łapówkach pobieranych przez Burdina, jego kontaktach z ładacznicami, łupie zebranych na polu bitwy pod Wagram, ucieczce podczas ofensywy Francuzów.

— Potem nigdy go już nic widziałem. Zresztą byłem ranny. Za zgodą Marmonta usiłowałem doprowadzić do rozstrzelania Burdina, ale Massena chronił niejakiego doktora Gérarda, jego współnika. A poza tym panował wtedy totalny bałagan. Był straszliwy zamęt. Musieliśmy uporać się ze stronnikami Andreeasa Hofera, którzy pobili Lefebvre'a pod Berg Isel, i ze strzelcami węgierskimi, którzy w nieładzie docierali do austriackich korpusów Klenau, Bellegarde'a i Kollowratha. Mówiono mi, że Burdin przeszedł na stronę wroga z Gérardem i kuframi pełnymi pierścieni, zegarków i złotych monet.

Zdaniem hrabiego wielu żołnierzy zdezerterowało. A potem były bitwy pod Znaim, klęska Austrii, niepowodzenie operacji angielskiej na wyspie Walcheren, zawieszenie broni, wyniesienie MacDonalda, Oudinota i Marmonta do rangi marszałków.

Porównując wódkę z winnych wyłóczyn z alkoholem z dodatkiem likieru czekoladowego, zaproponował Verjatowi, by został u niego jak długo zechce. Chociaż nie odznaczał się wyjątkową przenikliwością, zrozumiał, że człowiek używający nazwiska Besson oraz towarzysząca mu kobieta i dziecko znajdują się w rzeczywistym niebezpieczeństwie. Jego propozy-

cja wydawała się tym bardziej godna podziwu, że była bezinteresowna. Niczym dawni średniowieczni panowie uważał, że jego zamek jest twierdzą nie do zdobycia.

Gdy skończył swą opowieść, przypomniał mu się pewien szczegół dotyczący przyjaciółki Burdina.

— Powiedziano mi, że umarła w Lobau, wydając na świat dziecko... Ale nie jestem tego całkiem pewien... Wszystko to zdarzyło się tak dawno.

Twarz Verjata ściągnęła się. Potem na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech. Powiedział do siebie: A gdyby to był?...

Życzył hrabiemu de Saint-Auchans dobrej nocy i poszedł spać. Przyjrzał się sobie w lustrze. Własna twarz nigdy nie wydawała mu się tak pogodna. Już nie żałował, że nie udało mu się popełnić samobójstwa.

p

X odczas gdy Mariusz prawie się zadomowił w gospodzie Lady A., Kochaś i Rafael przebywali u kapitana Fremonta. Każdego ranka do chłopca przychodził preceptor uczyć go czytać i pisać. Kochaś korzystał z tego, by też się podszkolić. Zdaniem preceptora jego uczniowie, zarówno duży jak mały, byli dość zdolni.

Pewnego wieczoru w gospodzie U Córki Sierżanta Fremont przedstawił Mariusza słynnemu Johnowi Lafflinowi, mającemu około metra siedemdziesięciu wzrostu pięćdziesięciolatкови o czarnych, błyszczących, uwodzicielskich oczach i brodzie podobnej do obroży. Jak wielu Kreolów miał oliwkową cerę. Na jego pełnej twarzy malował się wyraz uprzejmości, ale kiedy zapalał się w rozmowie, jego oczy lśniły tak, iż można było przypuszczać, że w złości potrafi być bezlitosny. Oficjalnie był negocjantem i armatorem. Jego największe przedsiębiorstwo znajdowało się w Baltimore, inne były w Filadelfii, Camden i Bridgeton. Mieszkał w Saint-Louis z żoną i dwuletnim synkiem. Typowy notabl.

— Od razu przystąpię do rzeczy — powiedział Mariuszowi bez żadnych wstępów. — Fremont mówił mi o twoim bohater-skim zachowaniu. Podoba mi się. Natomiast mniej podobał mi się sposób, w jaki El Diabło nas złupił.

Lafflin, ubrany w błękitny surdut i koszulę, ale bez kamizelki, mówił dobitnym głosem.

— To pirat — nadął się Mariusz.

Lafflin wymienił krótkie spojrzenie z Fremontem.

— Młody człowieku — rzekł — nie lubię kłamać. Są różne rodzaje piratów. Często sprawiano mi przykrość tym słowem. Jednak w tym kraju jestem uważany za bohatera. Przed dwu dziesiętu laty wraz ze swymi ludźmi zbrojnie pomogłem Jack sonowi odeprzeć Anglików. Jak mogłeś zauważyć, nazywam się John Lafflin i mówię biegle po francusku. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jestem Francuzem. Naprawdę nazywam się Jean Laffite.

Mariusz dopiero teraz dowiedział się, o kim Fremont mówił na „Savannah”.

— Jest pan korsarzem? — spytał.

— Jeśli wolisz. A ty zbiegłym galernikiem?

— Tak, ale...

Laffite przerwał Mariuszowi.

— Żadnych „tak, ale”. W oczach francuskiego wymiaru sprawiedliwości jesteś zbiegłym galernikiem. Koniec kropka. Musisz się na coś zdecydować: albo będziesz się użalał nad swym życiem, albo radykalnie je zmienisz. Ameryka jest krajem, który daje szansę śmiałkom. Możesz znów stać się szanowanym człowiekiem. A nawet zmienić nazwisko. Zapytam więc wprost: czy chcesz u mnie pracować?

— Tak — odpowiedział Mariusz bez wahania.

— Świetnie. Fremont wszystko ci wyjaśni. Odtąd będziesz kapitanem Howardem Smithem. Proszę, oto twoje papiery.

— Laffite wstał, włożył duży słomkowy kapelusz i pożegnał się z Fremontem. Zanim odszedł, dodał: — Możesz zarobić dużo pieniędzy. Ale jeśli złapiesz El Diabło, zostaniesz bogaczem. Powodzenia.

I odszedł otoczony rojem Murzynów.

Mariusz zwrócił się do Fremonta.

— Co to wszystko znaczy?

— To znaczy, że Jean powierza ci dowództwo szkunera z ładunkiem rumu, zboża i prochu strzelniczego. Za tydzień wezmiesz kurs na Hawanę.

Mariusz zdumiał się. Potem kątem oka spojrzał koło kon-
tuaru Anzelmę. Jej suknia, biała jak pióra łabędzia, bufiasta na
ramionach i przymarszczona w talii, podkreślała krągłą i gibką
jak trzcina sylwetkę. Sznur dużych pereł okalał jej olśniewająco
białą szyję. Mariusz zadał sobie pytanie, jak równie wykwin-
ta i dystygowana istota może być córką Thénardiera. Ale ano-
malie przestały go już dziwić. W ciągu minionych dwóch lat
dużo dowiedział się na ten temat.

— Na co patrzysz? — spytał Frémont.

Mariusz nie odpowiedział. Jego spojrzenie przeniosło się
nieco bardziej w górę. Rozbierał Anzelmę na czynniki pierwsze.
Po obu stronach jej twarzy spływały piękne ciemnobrązowe
warkocze, które podwijały się na wysokości policzka, szły za
ucho i ginęły pod sutymi fałdami zawoju zrobionego z szala.
Była piękna jak obrazek.

—Podoba ci się? Mariusz
lekkko się zarumienił.

—Aż za bardzo — szepnął.

—Więc korzystaj z okazji — rzekł Frémont, wstając. —
Trochę dokucz mi noga.

—Zostawia mnie pan?

—Świętuj swój awans w towarzystwie Lady A., chłopcze.

—Sam?

—Tak, do pioruna, głuptasie!

Frémont, kulejąc, oddalił się z uśmiechem na twarzy. Ledwo
znalazł się za drzwiami, do Mariusza podeszła Anzelma. Usiad-
ła i spojrzała mu prosto w oczy.

— Dostałem pracę — oznajmił Mariusz. — I jeśli wierzyć
plotkom, pani to zawdzięczam, Anzelmo.

Młoda kobieta zadrżała.

—Skąd zna pan moje imię?

—Powiedział mi to mój mały paluszek.

—Raczej mały paluszek Fremonta. Ten człowiek nie potrafi utrzymać języka za zębami. A co pan będzie robił?

—Obejmą dowództwo statku. Mam nadzieję, że dostanę dobrego pierwszego oficera, gdyż żeglarstwo nie jest moją najmocniejszą stroną.

Spojrzenie Anzelmę spochmurniało nieco.

—Zatem opuszcza mnie pan?

—Odplywamy za tydzień.

—Dokąd?

—Na Kubę i na Karaiby.

—Więc uczcijmy tę radosną nowinę — powiedziała młoda kobieta z wymuszonym uśmiechem.

I skinęła na kelnera.

Na stoliku Mariusza i Anzelmę królowały dwa kryształowe puchary i ozdobione złożonymi smokami wiaderko, w którym dźwięczała butelka szampana. Wypili go, rozmawiając o przygodach i słońcu. Mariusz był zafascynowany uśmiechem Anzelmę, ona topniała pod jego wzrokiem. Ich palce kilkakrotnie musnęły się, ale tylko musnęły. Połączeni wspólną tajemnicą, obserwowali się niczym roześmiane dzieci, zachwycone, że mogą spleść figła ludziom, którzy wprawdzie są obok, ale których już nawet nie dostrzegają. W kryształowych pucharach blade światło mieniło się barwami tęczy, a w ich oczach migotały wesole ogniki. W pewnej chwili Mariusz zapytał Anzelmę o jej przeszłość. Niezbyt chciała o niej mówić.

— Po prostu nauczyłam się być świadoma nieco wcześniej od innych — rzekła. — A kiedy jest się świadomym, skala wartości staje się niepotrzebna.

Przyznała, że aby zająć tam, dokąd zaszła, okradła swego ojca. Potem zatopiła spojrzenie w oczach Mariusza.

— Ten człowiek nie zasługiwał na jakąkolwiek wyrozumiałość — powiedziała, a łuk jej brwi obniżył się nieco.

—Żyje jeszcze?

—Mało mnie to obchodzi. Byliśmy na tym samym statku w Saint-Malo. Kiedy zorientował się, że został okradziony, zszedł na ląd i już więcej go nie widziałam.

Chociaż Mariusz był coraz bardziej pijany, pomyślał o czło-
wieku, o którym wspominał mu Kochaś i który używał na-
zwiska Tardier. Przeszył go dreszcz. Tardier i Thienardier, jakże
to podobnie brzmi.

—Jest pani jednak trochę za młoda — odezwał się Mariusz,
starając się być miły.

—Co pan ma na myśli? — oburzyła się Anzelma. — Że
jestem za młoda, by prowadzić gospodę? Czy też że jestem
nie dość cnotliwa?

—Ależ zupełnie nic to miałem...

—Ameryka to nie Francja — przerwała mu Anzelma. —
Kobieta, której się powiodło, nie jest w tym kraju uważana
za osobę podejrzaną czy wręcz występłą. To po prostu
kobieta z głową na karku. Powinien pan porozmawiać o tym
z Jeanem Laffite'em. Tutaj rewolucyjne idee są nie tylko
ideami. Stają się faktami. Po prostu rzeczywistością.

—Niczego takiego nic sugerowałem — bronił się Ma-
riusz. — Dlaczego się pani unosi? Zrobiłem jedynie aluzję
do pani młodego wieku i temperamentu. Jest pani piękna,
Anzelmo. A piękno ratuje nas przed całą resztą.

Twarz młodej kobiety pojaśniała. Miała wrażenie, że na tej
gwarnej sali są z Mariuszem sami. Znała mężczyzn, ale nigdy
dotąd nie zaznała miłości. Czy jedno wyklucza drugie? Zbliżyła
twarz do twarzy Mariusza, a jej wargi musnęły jego usta. Były
ciepłe i słodkie, pachniały cynamonem.

— Kocham cię, Mariuszu. Jesteś mężczyzną, na jakiego
czekałam.

To nagłe wyznanie rozpaliło młodego człowieka.

—Chcę, byś myślała o mnie, kiedy będę na morzu —
szepnął.

—Mamy dla siebie tydzień — odrzekła.

W jej szczerości nie było nic z kaprysu. Aby miłość od pierwszego wejrzenia stała się namiętnością, trzeba się wyzbyć wszelkiej ostrożności. Miłość to natychmiastowość przyszłości.

Nagle w ten intymny nastrój wdarł się jakiś głos:

— I jak tam, Francuzeczko, wszystko toczy się po twojej myśli?

Człowiek, który mówił niezbyt dobrą francuszczyzną, okazał się kolosem o olśniewającym uśmiechu. Mógł mieć jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Mariusz natychmiast zaczął podejrzewać, że coś go łączy z Anzelmą. Zmienił się na twarzy, gdy mężczyzna chwycił ją w ramiona, literalnie wyrwał z krzesła i poniósł do kontuaru. Obecni przyjęli to grzmotem oklasków i okrzyków. Mariusz z trudem utorował sobie przejście. Gdy zapytał, kim jest kolos, ktoś krzyknął mu do ucha, że to deputowany z Tennessee i że wykazał się wielkim bohaterstwem podczas zdobywania Nowego Orleanu. Jeszcze jeden bohater, pomyślał Mariusz, potrząsając ze złością głową. W Ameryce są zatem sami bohaterowie?

Orkiestra zagrała *square dance*. Składała się z czarnego pianisty, Włocha grającego na bandžo, hiszpańskiego gitarzysty i francuskiego skrzypka. Wokół tego kwartetu utworzył się zaimprovizowany chór. Anzelma z jedną ręką na biodrze, a drugą we włosach, zaintonowała jakąś angielską piosenkę. Tańczyła, wykonując w powietrzu skoki, które chwilami odslaniały halki i sznurowane wysokie buciki. W powietrzu unosił się dławiący dym z cygar. Wszyscy, z kolosem na czele, chórem podchwytywali refren. W głębi sali wisiały obrazy przedstawiające pejzaże znad brzegów Missisipi. Pod portretami kobiet piratek, Annę Bonny i Mary Read, oraz scenami z pierwszego okresu budowy Nowego Orleanu rozochoceni goście pili rum i jeszcze mocniejszą mieszankę zwaną Pig and Whistle. Tym, którzy zachowywali się nieco zbyt hałaśliwie lub nieco zanadto obcesowo wobec kobiet, personel podsuwał szklaneczkę hell-sleep. Mariusz przypomniał sobie, co mu powiedział Fremont:

— To bardzo silny środek nasenny, zwala cię z nóg na dwa, trzy dni. Sporządza go na specjalne zamówienie Lady A. mama Kouгна, stara Murzynka praktykująca wudu. Hellsleep sprówadza na człowieka piekielny sen, chłopcze!

Mariusz uśmiechnął się. Wszystkie spojrzenia biegły ku Anzelmie, owej nieco prymitywnej dziewczynie, spragnionej rozkoszy ciała i bogactwa, czarnej bajaderze o uśmiechu łagodnej pantery, która zdawała się istnieć jedynie w niemych tajnikach skrywanego cierpienia. Mariusz śledził każdy jej gest, każdą zmianę wyrazu twarzy. Anzelma była przeciwieństwem Kozety, a jednak przypominała mu żonę. Może swoją gracją, ową udawaną niewinnością, która sprawia, że sądzimy, iż miłość jest agonią wyobraźni. Domyślał się, że za chwilę Anzelma każe mu powiedzieć, iż o niczym nie zapomni, a on przysięgnie jej wszystko, czego od niego zażąda. A teraz, patrząc na nią, myślał o słowach Szekspira: „Jeśli ktoś ma pokochać, pokocha od pierwszego wejrzenia”. Bał się, że może cierpieć, gdyż z miłości, która rodzi się nagle, człowiek często leczy się najdłużej. Co jednak można poradzić na uczucia?

— Nie chcę — wyszeptał w otaczającym go zgiełku. — Nie powinienem...

Na tyle pijany, by pozwolić się uwieść, ale nie na tyle, by zaprzeć się tego, co go łączyło z Kozetą, myślał, jakim się stał człowiekiem. Jeśli teraz miał dla siebie szacunek, to dlatego, że kochając samego siebie, mógł wreszcie kochać innych. Mariusz z okresu barykad, egzaltowany i niedoświadczony, pyszałkowaty i podejrzliwy, istniał już tylko we wspomnieniach. Niegdyś zbyt powolny w myśleniu, a zbyt szybki w działaniu, teraz był tego przeciwieństwem. Wszystko się odwróciło.

Gdy Anzelma zaintonowała nową piosenkę, wrócił do stolika. Fascynował go ten kraj wzbogacony smakami przybyłymi z Afryki, Francji, Hiszpanii, Włoch i Karaibów. Mimo zgiełku i rozgardiaszu udało mu się zamówić wędzone kielbaski ze smażonymi krewetkami.

Kiedy podano mu tę raczej zdumiewającą potrawę, dosłownie rzucił się na nią. Była paląca, pieprzna, niemal zbyt ostra. Potem, wspominając siebie sprzed dwóch lat, zaniósł się śmiechem. Byłem ni mniej, ni więcej, tylko impotentem, powiedział w duchu. I uderzeniami w talerz, od których chwiały się stoliki, podkreślał ataki śmiechu.

Po chwili dodał, tym razem głośno:

— Mariusz Pontmercy był człowiekiem oschłym, sła bym, zarozumiałym, despotycznym, próżnym, nieufnym, po nury, zazdrosnym, posepnym. Jaki będzie kapitan Howard Smith?

Zaśmiał się jeszcze donośniej. Widział się już, jak dzielnie staje z szablą w rękę, jak jest okrutny w zwadach, a pokorny podczas pojednania. Wtem oczyma wyobraźni zobaczył Amadeusza d'Iguerande. Przestał się śmiać. Jego ręka zacisnęła się na nożu. Nie ma mowy o pogodzeniu się z tym zdrajcą, pomyślał. Ani z garbusem i Thénardierem, jeśli rzeczywiście to był on. Mariusz był rozrzutny, ale gardził pieniędzmi. Jednak marzył, by sam je zarobić. Jean Valjean i dziadek Gillenormand zbyt go psuli. Teraz musi pokazać, co potrafi i do czego jest zdolny. Wczoraj wszystko go mierziło. Dzisiaj każde głupstwo budziło jego ciekawość. Kozeta? Ignorował ją, zaniedbywał, zdradzał z Klemencją de Lavely. Może zasługiwał na karę, jaką poniósł. Czy Kozeta jeszcze żyje? Czy żyje u boku Amadeusza?

Dręczyły go wszystkie te pytania. Wsunął rękę do kieszeni i dotknął kryształu. Przesady uważał za głupotę. Jednak zachował ten kamień. Jego przejrzystość uspokajała go. Mineralna samotność.

Po skończonym występie Anzelma uniosła fałdy sukni i zakręciła halkami. Na widok jej nóg, obciążonych czarnymi pończochami, które ukazały się pod białą gipiurą, zerwały się gwizdy i brawa. Kolos chwycił ją w tali i podniósł jak piórko. Potem, śmiejąc się głośno, postawił Lady A. na ziemi.

— Lady A.! — zawołał, kłaniając się kapeluszem.

Oddała mu ukłon i uwiesiła się u jego ramienia. Potem, to opuszczając, to podnosząc podbródek jak tancerka flamenco, zaciągnęła go do stolika Mariusza. Przez cały ten czas orkiestra grała kadryla. W końcu Anzelma szepnęła coś na ucho kolosowi, a ten zaśmiał się hałaśliwie i podniósł do góry zaciśnięte pięści.

—*Twenty glasses!* — rzucił na stronic.

—*Twenty glasses!* — podjęli zgromadzeni.

Kelnerzy i kelnerki rozbiegli się na wszystkie strony. Kolos opadł na krzesło i przyjacielsko szturchnął w bok Mariusza, który spojrzał pytająco na Anzelmę.

— Zamówił dwadzieścia kieliszków — powiedziała, sznurując usta. — To próba dwudziestu kieliszków!

Na końcu kontuaru Mariusz zauważył trzech osobników ubranych w skóry daniela i w futrzanych czapkach z ogonami szopów.

—Kim są ci ludzie o wyglądzie wikingów? — spytał Anzelmy.

—To traperzy. A człowiek, który siedzi naprzeciwko pana, jest ich szefem. Przez osiem miesięcy zabił w górach i lasach pięćset niedźwiedzi. Tak żył, zanim zajął się polityką.

—A teraz?

—Właśnie wraca ze zbuntowanych kolonii za rzeką Sabiną. I wyzwał pana.

—Wyzwał? Ależ ja go nawet nie znam.

— Właśnie dlatego: chce nawiązać z panem znajomość.

Kelner przyniósł dwadzieścia kieliszków. Kolos podziękował i ustawił je szeregiem na stoliku. Dziesięć po jednej i dziesięć po drugiej stronie.

— *Are you ready?* — zapytał kolos, którego twarz okalały imponujące brązowe faworyty.

Jego równie imponujące ciało i twarz jakby się rozluźniły. W ustach i oczach pojawił się jakiś marzycielski półuśmiech o fascynującym uroku.

— *I am ready* — odpowiedział Mariusz, który coraz lepiej mówił po angielsku.

Za plecami usłyszał czyjś głos:

— Uważaj, marynarzu. Osobnik siedzący przed tobą jest twardy jak skała. Nazywa się Crocketagne, a jego rodzina pochodzi z południowej Francji. W grze w *twenty glasses* jest niepokonany. Ogra cię.

Mariusz nawet się nie odwrócił. Wokół stołu zakłębiło się. Wszyscy się pchali, pojawiło się mnóstwo puciołowatych czerwonych twarzy, widzowie krzyczeli, robili zakłady, podnosili ręce, rozmawiali we wszystkich językach.

— *The bottles! The bottles!* — skandowali.

Trzeba było dwóch butelek rumu, by nalać kieliszki do pełna. Kolos zdjął surdut i został w samej koszuli. Aby zrobić przyjemność tłumowi, zademonstrował swe bicepsy, wielkie jak słodkie pataty. Następnie zmierzył Mariusza spojrzeniem i sięgnął po kieliszki. Wypił kolejno pięć, i to do dna. Czknął i powiedział:

— *Your turn.*

Mariusz zrobił to samo. Przy pierwszym kieliszku odczekał nieco. W co się wpakował? Spojrzenie Anzelmy uspokoiło go. Wypił i czknął głośno. Potem przy wtórze oklasków postawił kieliszek do góry dnem i ostentacyjnie o niego zadzwonił.

— *My turn* — rzekł wówczas kolos z powątpiewającym uśmiechem.

— *No!* — zaprotestował Mariusz. — *My turn.*

Z pewnością siebie, jaką daje czasem nadmiar alkoholu, odepchnął rękę kolosa. Ten pański gest przyjęto gorącym entuzjastycznym wrzaskiem. Z butną miną Mariusz wstał i skłonił się obecnym.

— *Like that!* — zawołał. — Tak! A nie inaczej!

Na złączonych nogach, opierając się raz na czubkach stóp, raz na piętach, wychylił trzy kieliszki, zatykając nos. Wpił się oczami w Anzelmę, jakby chciał powiedzieć: „Zobaczysz, jeszcze cię zadziwię”.

— Noooo! Pij! — krzyczeli niektórzy.

Mariusz im podziękował. Powieki mu opadały, w głowie kręciło się jak nigdy dotąd. Miał wrażenie, że wszyscy stojący wokół niego wielobarwni ludzie unoszą się i opadają, bawią się, wdrapując się na jakąś gigantyczną huśtawkę, pełną trąbek, festonów i astragali, która przypominała mu burzę na „Savannah”. Zacerpnął powietrza w płuca i wznosił oczy do nieba. Zdawało mu się, że podłoga i sufit ruszają w jakieś piekielne tany. Przy piątym kieliszku o mało nie zwymiotował. Oklaskiwano go zapamiętane. Kolos dał mu kuksańca, który o mało nie zwałił go z nóg.

— Davy! Davy! — skandowali tym razem towarzysze i sympatycy kolosa.

Ten wstał i wypił duszkiem pięć kieliszków. Znowu zabrzmiały oklaski.

— *Another bottle!* — zagrzmiął.

Przyniesiono nową butelkę. Tym razem przytknął ją wprost do ust. Mimo imponującej tuszy chwiał się na nogach. Triumfalny uśmiech rozjaśnił jego pobrużdżoną twarz. Wypił ćwierć butelki i podał ją Mariuszowi.

— *For you, Frenchie!*

Mariusz jakimś cudem trzymał się na nogach. Wzrok miał zmacony, włosy zmierzwione. Wziął butelkę i podniósł ją do ust. Pił wielkimi łykami, o mało się nie zadławił. Kołysząc się z boku na bok, odstawił butelkę na stół.

— Połowa! — krzyknęła Anzelma.

Rozentuzjasmowany tłum zaczął tupać. Kolos miał wypić pozostałą jedną czwartą butelki. Spojrzał z niedowierzaniem, oparł się o stół i zachęcany przez zgromadzonych, wysączył flaszkę do dna.

— *The bottle is empty!* — rzucił jeden z widzów. — Butelka jest pusta! Niech przyniosą krzesło! *A char!*

Mariusz miał wrażenie, że oczy obracają mu się w orbitach. Patrząc i nie widząc, słuchając i nie słysząc, poprosił, by wyjaśniono mu, na czym ma polegać ta próba. Stojące wokół

powabne, wytworne kobiety przyprawiały go o zawrót głowy. Przypominały kamienne kariatydy o ciałach Diany. Była to bezsensowna walka. Wino Bacchusa w czarze Graala.

—Musi pan stanąć ze złączonymi nogami przed tym krzesłem i bez rozpisu przeskoczyć przez oparcie.

—*My tum* — rzekł kolos, którego słownictwo było zaiste ubogie.

Bohatersko dał krok do przodu. Chociaż szedł z trudem, przyjaciele nie wątpili w jego sukces. Oklaskiwano *backwoodsmana* stanu Tennessee.

— Davy! Davy!

A on, spoglądając na nich z zawadiacką i tajemniczą miną, poruszał ustami i podbródkiem. Gdy stanął w przepisowej pozycji, w jego źrenicach pojawiło się gniewne zapamiętanie. Zamachał rękami i skoczył. I nagle zahaczył nogą o oparcie. Łubudu! Pośród ogólnego zdumienia, ze straszliwym rumorem upadł jak długi na podłogę.

Przyjaciele usiłowali go podnieść. Na próżno. Trapera Go-liata powalił rum o imieniu Dawid.

— *Captain Smith!* — zawołała wówczas Anzelma prowo kacyjnie i wskazała palcem Mariusza.

Zebrani powtórzyli jego nowe nazwisko: Smith. Brzmiało całkiem dobrze. Natomiast on sam nie wiedział już, gdzie się znajduje. Ponieważ zaczął iść w przeciwnym kierunku, trzeba było go zawrócić i postawić przed krzesłem. Gdy już się tam znalazł, zgiął nogi i napiął wszystkie mięśnie. Obecni zgięli nogi i napięli mięśnie razem z nim. Potem skoczył.

— Udało się! *Good shot! Hourrah!*

Jego wyczyn powitano owacją. Sto ramion dźwignęło go z ziemi i triumfalnie poniosło. Nazwisko kapitana Howarda Smitha znalazło się na wszystkich ustach. Gratulowano mu, chwalono go, poklepywano po ramieniu. Kiedy Lady A. oznajmiła, że firma stawia wszystkim kolejkę, klienci runęli do baru.

Mariusz nic nie rozumiał. Za każdym razem, gdy ktoś się do niego zwracał, wybuchał śmiechem. Kiedy wręczono mu pie-

niądze, które wygrał, wyrzucił monety do góry. Był bohaterem jednego wieczoru, chciał być bohaterem życia pewnej kobiety. Oparł się łokciem o bar i usiłował napawać się swym sukcesem. Anzelma całowała jego ręce, on całował jej dłonie. Nieco później podszedł do niego kolos podtrzymywany przez towarzyszy.

—Potrzebuję chwytów takich jak ty — oświadczył.

—Miło mi — rzekł Mariusz. — Nazywam się Howard Smith. Kapitan Smith.

Kolos poklepał go przyjacielsko po policzku i rzekł:

— A ja nazywam się Crockett. Davy Crockett.

Mariusz nigdy nie słyszał tego nazwiska. Ale i tak nic już do niego nie docierało. Znajdował się na jakiejś chmurze, która go powoli pochłaniała. Żadna ludzka siła nie mogła by go zmusić, by poszedł gdzieś bądź usiadł. Ciało miał ciężkie, spojrzenie spłoszone. Wykończony hałasem i alkoholem, udawał, że rozumie wszystko, co się do niego mówi i co się wokół dzieje.

W pewnej chwili podeszła Anzelma i wzięła go za rękę.

— Chodź, Mariuszu, zabieram cię do siebie.

Ponieważ mieszkała nad tawerną, pomogła mu pokonać schody i zaprowadziła go do swej sypialni. Zniknęli w niej jak nowożeńcy podczas nocy poślubnej. I nikt im tego nie miał za złe.

*

Spod prześcieradła wystawało krągłe ciemne ramię i zwierzchna masa czarnych włosów. Owa nagość zmieszała Mariusza. Co się stało?

Kiedy chciał podnieść głowę, opadł na poduszkę, jęcząc z bólu. Miał wrażenie, że głowę i kark ściska mu żelazna obręcz. Nie wspominając już o piasku, który miał pod powiekami, o ustach, które brzydziły jego samego, migrenie, od której mąciło mu się w głowie.

Jego nieudolne próby podźwignięcia się obudziły Anzelmę. Przeciągnęła się i odwróciła do Mariusza, którego poraziły jej ogromne, ciemne, błyszczące oczy.

— Dobrze pani spała? — spytał trochę bez sensu.

Anzelma przetarła oczy i odrzuciła prześcieradło. Jej pełne piersi przyciągnęły spojrzenie Mariusza.

— A pan? — odparła z uśmiechem.

Mimo straszliwego bólu głowy Mariusz wyciągnął rękę, udając, że chce ukryć przed Anzelmą, iż jej pragnie. Czyż nie było to coś niestosownego? Jednocześnie po emocjach ubiegłego dnia, kiedy zdawali się nie odrywać od siebie oczu, Mariusz mówił sobie, że Anzelma należy do kobiet, które chcą wywołać pożądanie dopiero wówczas, gdy najpierw zdobędą szacunek i podziw.

—Dzięki pani mogłem odpocząć — powiedział. — Nigdy w życiu tyle nie wypilem. Odnoszą wrażenie, że Ameryka jest krajem nieumiarkowania.

—Przede wszystkim zachował się pan bohatersko — zapewniła Anzelma, przysuwając się do Mariusza, po czym dodała zdławionym ze wzruszenia głosem: — Pamiętasz, co powiedziałeś mi tej nocy?

—Oczywiście...

—Więc będziesz mnie kochał do końca życia? Niczego nie zapomnisz?

Młoda kobieta nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się na bok i wtuliła w ramiona Mariusza. Nie odepchnął jej. Zwłaszcza gdy jej wargi, jakby powleczone cukrem, przywarły do jego ust.

— Bo ja nie zapomniałam — szepnęła. — Kocham cię i zawsze będę cię kochała.

Tak ujmującego, a zarazem gwałtownego uścisku Mariusz nie zaznał od niepamiętnych czasów. Wydawało mu się, że wraca do życia. Anzelma obejmowała go czule i namiętnie. Modlił się i płakał, nie wiedząc, że tak w cierpieniu, jak w szczęściu modlitwa i płacz są czasem bardzo do siebie podobne.

— Powiedziałaś mi, że jestem piękna — mówiła Anzelma, pojękując.

Wyrzucała z siebie słowa niewyraźne i niespójne, odnoszące się do wieczności. Mówiła, że wzruszenie jest chwilą, którą trzeba umieć przedłużać, bezgłośnym krzykiem, blaskiem bez światła, niekończącym się niepokojem, drżącą nieskończonością. Mówiła, że jej serce nigdy nie doznało podobnego wstrząsu. Serce jest czymś tak delikatnym. Wkrótce nie mogła już mówić. Wpadła w otchłań. Unosił ją i zalewał ocean. Jej nerwowe ciało gorączkowo wyginało się i ślizgało po brzuchu Mariusza. A on czuł się bezpieczny. W owym gwałtownym wybuchu dostrzegał coś nieuchronnego i nieskończenie czulego. Właśnie wówczas przed oczami stanęła mu Kozeta. Słodycz zmieszana z namiętnością, jaką widział u Anzelmy, przypomniawszy żonę. Lubił drzenie przebiegające jej kark, twardość jej brzucha, który odpychał go, by zaraz potem wprowadzić we wklęsłość jej intymności.

— Chodź do mnie — mówiła, prawie płacząc — chodź do mnie...

Anzelmę ogarnęła rozkosz. Mariusz zaraz poszedł w jej ślady, po czym wyczerpany opadł na bok. Mimo ściskającego mu czaszkę bólu, który teraz zszedł aż do kręgosłupa, na jego twarzy malował się wyraz radosnego wyczerpania połączonego z ponurym niepokojem. Dokąd go to wszystko zaprowadzi?

Anzelma przylgnęła do niego i szepnęła:

— Jesteś mężczyzną, na którego czekałam, Mariuszu. Po wiedziałam ci to wczoraj i powtarzam dzisiejszego ranka. Trochę się boję. Ale przynajmniej nie jest to sen. Kiedy się budzimy ze snu, powracamy do rzeczywistości, myśląc, że padliśmy ofiarą jakichś zwodniczych obrazów. Ty jesteś bardzo rzeczywisty. Przejrzałam się w twoich oczach.

Mariusz odwrócił głowę i na ratanowym stoliku zobaczył dużą szklankę wody. Ujął dłoń Anzelmy i skierował ją ku szklance. Napoiła go z uśmiechem. Potem wziął jej rękę i czule ucałował.

— Ja też się boję — wymamrotał. — Jesteś moją czarodziejką, Lady A. Moją czarodziejką i moją małą dziewczynką.

*

Anzelma i Mariusz nie rozstawali się przez tydzień. Spacerowali po mieście, w porcie, nad kanałami wzdłuż brzegów Missisipi, po plażach nad jeziorem Pontchartrain. Ostre afrykańskie słońce rzucało światło na białe nenufary i lawendowe hiacyncy. Po wyjściu z powozu kochankowie gonili się i bawili w chowanego między cyprysami i ogromnymi czarnymi dębami, porośniętymi hiszpańskim mchem. Gdy się gdzieś zatrzymywali, kochali się i zanosili śmiechem. Powietrze było ciepłe i nieporuszone. W ich spojrzeniach można było wyczytać niecierpliwość i wzruszenie. Zdawało się, że zawsze są gotowi wybuchnąć łkaniem. Zawsze niesyci siebie, bez przerwy całowali się i obejmowali, wymieniając przysięgi i obietnice. Wznosili oczy ku niebu i porównywali ogrom swej miłości z bezkresem horyzontu.

W Nowym Orleanie i jego okolicach Mariusz poznał dzięki Anzelmie kuchnię kreolską i kuchnię kajuńską: *dzambalaje*, czyli potrawkę z owoców morza i przyprawionego na ostro ryżu, *gumbo*, zupę z krabów, okry i meksykańskiego pieprzu, *muffins*, bułeczki z otrębów, podawane z beloną lub krabami, oraz sumika karłowatego w ostrym sosie, kielbaski z aligatora, włoskie *quiches* i smażone ostrygi.

W przeddzień wyjazdu Mariusza usiedli nad brzegiem Missisipi i patrzyli na parowiec kołowy prujący jej brunatne wody. Na jego dolnym pokładzie było pełno wozów, koni, świń, drobiu i bawełny. Anzelmę ogarnął smutek, nie miała już na nic ochoty. Z oddali dochodziły jakieś religijne śpiewy, chór basów i barytonów. Wszystko to na melodię menueta, której towarzyszyły rozdzierające dźwięki i klaskanie w dłonie. Mariusz i Anzelma bez słowa wsiedli do powozu i skierowali się ku plantacji Old River Road, potem skręcili w stronę jeziora

Pontchartrain i dojechali do piaszczystych plaż. Stało tam jakieś dziesięć lepianek, kolo których, z dala od ciekawych spojrzeń, czarni tańczyli wokół ognia i zarzniętego koguta. Tupali i rzucali kłątwy, potrząsając na wszystkie strony głowami.

— To wudu — powiedziała Anzelma, zatrzymując zaprzęg.

Wyszli z powozu i natychmiast skryli się między drzewami. Anzelma wyjaśniła Mariuszowi, że wudu to kult uznający Boga najwyższego, ale również mnóstwo bóstw i duchów ingerujących w ziemskie sprawy, takie jak praca, rodzina, zdrowie...

— I miłość, Mariuszu — dodała, kładąc nacisk na to słowo. — Każdy duch ma swoją ulubioną liczbę, swój ulubiony owoc, kolor lub dzień roku i objawia się w siłach przyrody, takich jak wiatr, błyskawice, woda oraz w niektórych zwierzętach.

Potem rzuciła z wyzywającym wyrazem twarzy:

— Patrz.

Pobiegła do ognia, wywołując panikę wśród zgromadzonych. Jakaś starucha w męskim ubraniu i z fajką w ustach, która chyba ją знаła, parokrotnie kiwnęła jej głowę. Anzelma zdjęła swój spencerek, obcisły surdut i kapelusz. Z obnażonym torsem podrygiwała zapamiętałe i tańczyła w blasku ognia, który barwił na czerwono jej skórę. Została tylko w spódnicy od stroju amazonki i w bucikach. Obok niej, pochylony nad ogniskiem, błyszczący od tłuszczu wielki mężczyzna o kędzierzawej czuprynie wyprostował się i wyciągnął z płomieni metalowy, rozżarzony do białości posążek, który rzucał blaski. Mariusz stał jak sparalizowany, Anzelma nadal tańczyła w transie. Stara kobieta z fajką wstała, podeszła do niej i powiedziała kilka słów, ściskając w ręku ociekające krwią serce koguta. Zdyszana Anzelma natychmiast zatrzymała się i padła na kolana. Włosy zasłaniały jej twarz. Mariusz podbiegł i chwycił dziewczynę w ramiona. Pośród milczenia obecnych ubrał ją i wsadził do powozu.

—Co ci się stało?

—To wudu, Mariuszu. Wudu nie kłamie. Kiedyś mnie opuścisz.

—Nie opowiadaj głupstw!

Chwyił lejce kolaski i podjechał nieco dalej, na plażę nad jeziorem.

— Chcę, żebyś się mną opiekował — powiedziała Anzelma, tuląc się do Mariusza.

Ramię przy ramieniu szli dobrą chwilę bez słowa. Chłód spływał z wolna pod gałęzie wielkich przysadzistych dębów o ciemnofioletowym listowiu. Mariusz pokazywał Anzelmie niebo. Zupełnie jej to nie interesowało. Na twarzy dziewczyny malował się niezrozumiały upór.

—Jesteś naprawdę opętana — odezwał się Mariusz, mając na myśli wudu.

—Opętana tobą — sprostowała Anzelma.

—Chodź.

Poszli w wysokie trawy i wyciągnęli się na jeszcze ciepłym piasku.

—Opuścisz mnie — rzekła Anzelma. — Było to zapisane w sercu koguta.

—Jak możesz wierzyć w podobne brednie? Oczywiście, że wrócę.

—Wobec tego chcę zostać twoją żoną.

Na twarzy Mariusza pojawiło się zakłopotanie.

—Jestem żonaty — wyznał szeptem.

—Byłam tego pewna. Od początku okłamywałeś mnie. Jak się nazywa?

—Nie ma imienia, bo może już nie żyje.

—A jeśli żyje?

—Moje życie jest tutaj — odparł Mariusz bez przekonania.

Miał sobie za złe to tchórzostwo. Dlaczego człowiek odważny wobec mężczyzn jest tchórzem wobec kobiet? Może to wina przypadku, powiedział sobie. Owego luksusu, którego nigdy nie zaznają ludzie przeciętni.

— Ciągłe o niej myślisz? — podjęła Anzelma. — Jeśli tak, przypuszczam, że wrócisz do Francji?

Zebrała fałdy swej sutej spódnicy i ukryła w nich twarz. Mariusz patrzył z czułością na jej kolana i czarne buciki. Wziął ją za rękę. Odepchnęła go, popłakując.

— Francja już ciebie nie chce, Mariuszu! Jesteś zbiegłym galernikiem! Rozumiesz? Jeśli masz gdzieś na nowo ułożyć sobie życie, to zostań tutaj, ze mną!

Rzucając te okrutne słowa, prawie łkała. Lady A. była już tylko dzieckiem targanym wznieconą przez siebie namiętnością. Mariusz nie odpowiedział. Usiłował odłonić jej twarz, ale mu się wyrwała. Potem nagle zrobiła to sama i zaśmiała się. Zdjęła spódnicę i bluzkę. Była tak niecierpliwa, że je prawie podarła.

— Wszystko to jest twoje! — krzyknęła głosem, w którym wściekłość mieszała się z wyzwaniem.

W strzępach różowofioletowego materiału ukazała się jej jedwabista skóra, a potem woskowo blade uda.

— Chodź, jeśli mnie kochasz!

Przyciągając go do siebie, drżącym głosem rzucają jeszcze jakieś słowa. Niebo pociemniało, zerwał się wiatr. Gdy Mariusz wziął ją, szepnęła:

— Kochasz mnie, Mariuszu?... Powiedz, że mnie kochasz...

Pozwolił sobie powiedzieć, że ją kocha. Owa słabość przytłoczyła go nagłą pogardą, jaką do siebie poczuł. Powtórzył jeszcze z dziesięć razy: „Kocham cię, kocham cię..”. Jednak patrząc na twarz tej małej kapryśnej dziewczynki, ujrzał twarz Kozety. Stało się to wręcz obsesją. A brzuch, w którym się zanurzał, nie był brzuchem Anzelmy, ale jego utraconej żony. Ręce, które go biły, paznokcie, które wpijały mu się w skórę, należały do Kozety. Mówił sobie, że zdradza i Kozetę, i Anzelmę, że poczucie winy jest okropnym wynalazkiem. Czy może kochać jednocześnie i Kozetę, i Anzelmę? Zachowanie jakichś pozorów spójności między jego czynami nie było rzeczą łatwą. Nigdy mu się to nie uda.

—Wiesz, co mi powiedziała ta starucha? — odezwała się wówczas Anzelma, ujmując twarz Mariusza w dłonie. — Powiedziała, że poświęcając się, uratuję mężczyznę mego życia. Zabawne, prawda?

—Wcale nie — powiedział Mariusz, całując ją namiętnie.

— I nie chcę, żebyś się widywała z tą czarownicą.

—Ta czarownica nazywa się mama Kougna. Rzadko się myli. Chodź!

Odtąd zaczął się jakby pojedynek. Mała dziewczynka zaądała, by pocałował ją w serce, tam gdzie ją zranił. Zrobił to w milczeniu, drąc na niej bluzkę, oswobadzając piersi. Nie przestawała go obserwować, badać, pożerać wzrokiem. Jej ciało przebiegł niedostrzegalny dreszcz. Krzyki bólu stały się wkrótce krzykami natarcia.

— Nie jestem nią — mówiła, łkając. — Nie jestem nią!

Jej uda zaciśnięte wokół talii Mariusza były niczym kleszcze lub podarunek. Rozkazywała mu, by nią zawładnął, jakby rozkazywała, by jej służył. A on, wzruszony i podbity, tracił nadzieję na zwycięstwo. Ciało Anzelmy wiotczało, i kiedy wpatrywał się w jej twarz, zadrżał. Na licach dziewczyny zobaczył wyraz twarzy Thénardiera. Błogi uśmiech, w którym można było dostrzec uniżoność, a jednocześnie przebiegłość. Miłość niemal ustąpiła miejsca wściekłości. Oskarżając ją o to, co sobie wyobraził, narzucił jej niektóre pieszczoty, a ona, dziękując mu za to, co jej dawał, broniła się, pojękując. Potem nagle wygięli się oboje i padli obok siebie na piasek.

Anzelma wstała pierwsza i rozpuściła włosy. Spojrzała w niebo i poczuła krople deszczu na policzkach. Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek.

— Dależ mi rozkosz — powiedziała, wystawiając twarz i szyję na ciepły deszcz. — A ty, czy byłeś szczęśliwy?

Mariusz nie odważył się na szczerość. Czuł się zdruzgotany. Zerwał się na równe nogi i bez słowa potakująco skinął głową. Podał Anzelmie rękę i pomógł jej wstać. Teraz lało jak z cebra. Mariusz nie był szczęśliwy, bo przyjemność jest rzeczą ulotną,

pędzi na szczyt i rzuca się w przepaść. Marzył o Kozecie, a posiadał Anzelmę. Anzelmę Thénardier! Czuł odrazę do miłości i jej arsenału przymiotników i elokwencji. Czuł odrazę do swych zdrad. A jednak Anzelma była klejnotem w jego samotności.

Stojąc na deszczu, potoczył dokoła wzrokiem, w którym Anzelma mogła wyczytać jedynie popłoch. Uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła władcym krokiem.

— Pospiesz się, przemokniemy do suchej nitki!

Pobiegli pod potokami deszczu i wsiedli do kolaski. Anzelma nie odezwała się już ani słowem, zacięła konia i galopem odwiozła Mariusza do Fremonta.

— Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć dziś wieczorem, wiesz, gdzie mnie znaleźć — powiedziała, robiąc nieokreślony ruch ręką.

Wysiadł z kolaski i z powagą, a zarazem smutkiem na twarzy patrzył, jak się oddala. Przedkładanie szaleństwa zmysłów nad szaleństwo uczuć może być niebezpieczne. W rzeczywistości był niezadowolony z Anzelmę, bo był niezadowolony z siebie. W każdym razie jutro wypływa w morze.

„Felicita” była szkunerem o dwóch masztach, wąskim kadłubie i smukłych kształtach, uzbrojonym w szesnaście dział. Zastępca Mariusza, porucznik Harper, wysoki chłopak o bardzo jasnych miedzianych włosach, miał różową, dziewczęcą cerę. Najprościej w świecie wyjaśnił Mariuszowi zalety lacińskich żagli:

— Pozwalają lepiej chwytać wiatr, kapitanie Smith.

Mariusz wzruszył lekko ramionami: nie przyzwyczał się jeszcze do nowego nazwiska. Przed paroma miesiącami był jeszcze galernikiem; dzisiaj dowodził statkiem.

— Będę panu towarzyszył podczas przeglądu załogi, panie kapitanie.

Porucznik Harper mówił znakomitą francuszczyzną z zabawnym akcentem. Pochodził z Missouri i od trzech lat pracował dla Johna Lafflina. Od razu przedstawił Mariuszowi członków załogi: trzydziestu zuchów o imponującej posturze. Przed chwilą, w łódce, którą dopłynęli do „Felicity”, Mariusz widział paru swych nowych podkomendnych. Byli to ludzie o dzikim wyglądzie, wielokolorowi, przeróżnych narodowości. Zastanowił się, jak może to wykorzystać. Wszyscy ci osobnicy przypominali piratów. Trudno o lepszych ludzi, by schwytać El Diablo.

Wypogodziło się. W złocistym pyle poranka sylwetka „Felicity” odcinała się od tła swą ciężką fioletową masą. Za nią, w kurzu i słońcu, oddalały się nabrzeża Nowego Orleanu. Na zalanym tłumem i tragarzami głównym nabrzeżu — podobnym do rojnego mrowiska — śpiewali czarni niewolnicy, rozbrzmiewały syreny i dzwony na parowcach przypominających pałace ozdobione świecznikami i okienkami, nad którymi wznosiły się kłęby białego dymu. W tej malowniczej scenerii można było zobaczyć mężczyznę z laską w towarzystwie kobiety z parasolką. Między nimi stał z oczami pełnymi łez mały Rafael, który czuł się bardzo opuszczony. Anzelma i kapitan Fremont starali się go pocieszyć. Powrót Mariusza i Kochasia był przewidziany na koniec grudnia. Do tej pory chłopiec będzie miał dość czasu, by poczynić znaczne postępy w ortografii i rachunkach.

— Prawda, Rafaelu?

— Tak, panie kapitanie...

Cała trójka przypatrywała się manewrom „Felicity”. Choć nie wszyscy czuli do jej kapitana miłość tego samego rodzaju, darzyli go takimi samymi ciepłymi uczuciami. Wieczorem poprzedniego dnia Mariusz nie przyszedł do Anzelmy. Ale nie miała mu tego za złe. Dla tej miłości była gotowa poświęcić swoją dumę.

„Felicita” wciągnęła żagle na maszt. Widać było, jak się unosi na wodzie, potem ustawia ostrzeż do wiatru i pochyła

pod jego podmuchem. Perfekcyjnie złapała wiatr. Porucznik Harper pogratulował Kochasiowi, który stał za sterem.

— *Marvelous, Perfect-Love!* — krzyknął, parszkając śmiechem, i wrócił do Mariusza, który trzymał przy oku lunetę.

Stojący na nabrzeżu Fremont również miał lunetę.

— Kocha go pani? — spytał Anzelmę.

— Nie jest mi obojętny — odpowiedziała, przesuwając dłonią po jasnych kędziornach Rafaela.

— Zatem nadszedł moment, by mu to udowodnić — powiedział z uśmiechem.

Anzelma wzięła lunetę i napotkała lunetę Mariusza. Mój Boże, on także na nią patrzy! O mało nie wyrzuciła rąk do nieba i nie krzyknęła ze szczęścia. Ale przewidziała na tę okazję coś innego. Opuściła parasolkę i pokazała ją Fremontowi. Po wewnętrznej stronie było napisane szminką: „Nie zapomnij”. Podniosła parasolkę jak najwyżej i odwróciła ją w stronę otwartego morza.

— Chyba panią zobaczył — rzekł Fremont i wskazał ręką statek. Ale, na capie rogi, niech pani przestanie wymachiwać parasolką, bo zakręci mu się w głowie!

Mariusz podał lunetę porucznikowi Harperowi i wspiął się na parapet. Wyciągnął z pochwy szablę i zataczał nią wielkie koła.

— No i...? — zagadnęła Anzelma.

— Nie zapomni o pani — odrzekł Fremont.

Anzelma opuściła parasolkę. Kiedy Mariusz wróci, zrobi się dla niego na bóstwo. Jednocześnie pomyślała, że niedostatecznie się zabezpieczyła. Była zbyt impulsywna, zbyt nieostrożna, zbyt śmiała. Ale czy można walczyć z przeznaczeniem, westchnęła. To jedyna rzecz, która się liczy. A Mariusz jest moim przeznaczeniem.

Wzięła Rafaela za rękę i ze ściśniętym sercem przypominała sobie drogę, jaką przebyła. Od chwili, gdy okradła swego ojca, dotarła do Nowego Orleanu, walczyła, by kupić gospodę U Córki Sierżanta i zapewnić jej klientelę, nie popełniła żadnego

błądu. A miłość uważała za błąd. Dlatego nie da się pochłonąć namiętności. Albo też zrobi to na własny sposób. A Mariusz po powrocie z Antyli szybko się o tym przekona.

*

Mariusz płynął przez Zatokę Meksykańską i Karaiby. Udawał się na Nową Opatrzność, wyspę piratów, i na Jamajkę, która była zagłębieniem kawy, korzeni i kakao. W Hawanie dostarczył swe towary w zamian za cukier i tytoń. W porcie, z którego rozciągał się piękny widok na Florydę, przeżył doświadczenie, bez którego świetnie by się obywał. Jakiś angielski statek przybywający z Afryki Zachodniej, który miał wziąć kurs na Long Island w stanie Nowy Jork, przewoził około pięciuset ludzi płci obojga. Był to dwumasztowy szkuner. Statek handlarzy czarnych niewolników.

Gdy na nabrzeżu Mariusz i Kochaś podeszli do marynarzy, ci mówili coś o dobrym towarze. Były tylko pewne problemy: przez dwa tygodnie żeglugi załoga wyrzuciła do morza pięćdziesiąt pięć trupów. Kiedy Mariusz poczęstował angielskiego podporucznika rumem i absyntem zmieszonym z sokiem mango, ten w rewanżu zaprosił go na bryg i osobiście go po nim oprowadził.

Kiedy Mariusz przechodził przez pokład, poczuł straszny odór. Odór śmierci i nędzy. Znał go. Był to odór kajdan, potu, moczu, ekskrementów, stęchlizny, galer. Zapach Tulonu i galer na wodzie.

— Utrzymanie *perfect* — komentował podporucznik nieudolną mieszanką angielskiego i francuskiego.

Mariusz i Kochaś, który mu towarzyszył, wymienili przerażone spojrzenia. Nagle powróciła przeszłość. Podczas gdy podporucznik przechwalał się, oni szli jak automaty. Ten statek był po prostu galerą. Ale nie galerą poruszaną wiosłami, tylko taką, która porywa ludzi, by ich sprzedać w jakimś nieznanym kraju. Galerą, gdzie ci, którym udało się przeżyć, duszą się

w lukach zamkniętych żelaznymi kratami. Gdy Mariusz pochylił się, zobaczył, jak siedzą rzędami w kucki, tak ściśnięci, że nawet nie mogą wyciągnąć nóg. Podporucznik zatykał nos chusteczką.

— *It's very comfortable.*

Mariusz musiał się opanować, by go nie wyrzucić za burtę.

Podporucznik nie był bystry. Zawsze mówi się o angielskim humorze, ale prawdę mówiąc, Anglicy nie mają żadnego poczucia humoru. Cechuje ich tylko fałszywa giętkość. Jak szpicruty, które się gną, ale nigdy nie łamią. Podporucznik, rudy i różowy jak oskubany kurczak, z pewnością żałujący utraty Ameryki i Nowego Orleanu, wysuwał jeszcze jakieś argumenty. Jego ludzkie bydlę miało według niego szczęście.

— *Very lucky, my dear, ah yes. I can assure you!*

Very lucky, rzeczywiście. Wysokość pomieszczeń, w których byli stłoczeni niewolnicy, wynosiła mniej więcej trzy stopy, innymi słowy metr, podczas gdy na innych statkach często nie przekraczała czterdziestu pięciu centymetrów. Poza tym podczas przeprawy przez Atlantyk ludzie prawie zawsze mieli łańcuchy na szyi i nogach, podczas gdy ci tutaj nie mieli ich wcale.

— *Did you know that?*

Nie, Mariusz nie wiedział o tym i nie chciał nic wiedzieć. A więc tak wygląda niewolnictwo? Wielki rynek na bydło, gdzie czerwone mięso ma czarną skórę, gdzie są sprzedawcy i nabywcy.

Spiesznie opuścił statek. Myślał o Jeanie Laffite. Czyż on także nie był handlarzem niewolników? Czyż każdy nie jest handlarzem niewolników dla drugiego człowieka? We Francji, w świecie robotniczym, już nie człowiek uruchamia maszynę, ale maszyna uruchamia człowieka. A moje republikańskie ideały?, spytał sam siebie. Barykada na ulicy de la Chanverrie? Śmierć moich przyjaciół Enjolrasa i Courfeyraca, rozstrzelanych w 1832 roku? A rok 1789? A prawo ludzi do

samostanowienia o sobie? Jak mogło dojść do tego wszystkiego?

—Nie wiem, czy zauważyłeś — powiedział Kochaś — bo gruchałeś z Lady A., ale Nowy Orlean jest jednym z największych ośrodków handlu niewolnikami.

—Nie, nie interesuje mnie to...

Gdy Mariusz wracał do swoich ludzi, odwrócił się i wymiotował w porcie. Wymiotując, myślał o tych nieszczęśnikach. Pewnego dnia wybuchnie nowa rewolucja.

Nieco dalej, przy ognisku, na którym piekła się wieprzowina i kiszka, ciemnoskóry człowiek z kółkiem w uchu improwizował na gitarze jakąś meksykańską kantylenę. Jego donośny, pewny głos, w którym pobrzmiwały aksamitne modulacje, miał w sobie coś urzekającego. Ale Mariusza nic już nie było w stanie urzec.

Kiedy Mariusz płynął na łąd szalupą załadowaną baryłkami prochu, zawsze zabierał ze sobą Kochasia i sześciu uzbrojonych po zęby ludzi załogi. Zastanawiał się, czy John Lafflin nie wspomaga jakichś rewolt czy rebelii. Jednak nie miało to wpływu na wykonanie powierzonego mu zadania. Handlował z różnymi dziwnymi ludźmi, przeważnie byli to jacyś armatorzy spod ciemnej gwiazdy: Murzyni z pióropuszcami, podstępni Portugalczycy, rozchichotani Portorykańczycy, żartobliwi Kubańczycy, dawni francuscy lub angielscy korsarze. Czasem wyciągał szablę z pochwy. Nie lubił opiesziałych płatników. Z opornymi się nie cackano. Młody kapitan, wyglądający na człowieka tyleż walecznego, co poważnego, budził respekt. Zresztą jego spojrzenie nic pozostawiało co do tego żadnych wątpliwości. Tliło się w nim coś nieodwracalnego.

Brodaty Kochaś, o twarzy osmaganej słońcem i wiatrem, w szkarłatnym surducie, wyglądał nie mniej imponująco. Jego barczysta postura i kikut skłaniały do ostrożności. Z pistoletu

trafiał do celu na odległość trzydziestu metrów; mówiono, że jest niepokonany w walce na noże. Aby bardziej zaimponować otoczeniu, podnosił między nogami działo. Amerykańscy słuchający podziwiali go. Nie wspominając już o tym, że jadł za czterech: pochłaniał homary i dzikie świnię, rycząc przy tym jak ludożerca. Stanowili z Mariuszem dobraną parę.

Pewnego dnia, gdy znajdowali się w pobliżu Kuby, doszło do zatargu między Mariuszem a Hiszpanem, który nie chciał zapłacić za towar. Działo się to w Nueva Gerona na wyspie Juventud, przed białym, samotnie stojącym domem otoczonym wysokimi kolumnami, wznoszącym się nad małą zatoczką. Wielki, tłusty Hiszpan kpił sobie z Mariusza i jego towarzyszy.

—Nie jestem nic winien, *niñol*

—Proszę zapłacić to, co jest pan dłużny *mister* Johnowi Lafflinowi — odparł spokojnie Mariusz.

Hiszpan, któremu towarzyszyło trzech zbirów uzbrojonych w karabiny oraz monstrualny Kubańczyk, zonglujący nożami, odpowiedział gromkim śmiechem. Potem podrapał się w brodę i rzekł z obojętnym wyrazem twarzy:

—Problem w tym, że ty nie jesteś Lafflinem, *niño*.

—Nie, ale jestem kapitanem Smithem. Drugą połowę Lafflina.

—Płacić połowie pirata? — wycedził Hiszpan, biorąc na świadków swych towarzyszy. — Za kogo mnie masz, kapitanie Smith? A przede wszystkim, czy naprawdę jesteś piratem?

— Kto ci powiedział, że jestem piratem? — odparował Mariusz spokojnie. — Jeśli nie płacisz, to ty jesteś piratem.

Nie denerwował się, ale jego ludzie, z Kochasiem na czele, zaczęli się niecierpliwić.

—A może by ich tak kropnąć? — szepnęła Kochaś na ucho Mariuszowi.

—Broń Boże — zaproponował Mariusz. — Dla nich jestem *niño*, dzieckiem. A dzieci są uparte.

Tymczasem Kubańczyk podszedł do Hiszpana, szepnęła mu coś na ucho i dalej bawił się w najlepsze nożami.

—Niegdyś — oświadczył Hiszpan z obłudną miną — spory rozstrzygano białą bronią. Była to okrutna epoka. Ale w okrucieństwie jest czasem coś pozytywnego. Co ty na to, *niñol*

—Zgadzam się — odpowiedział Mariusz.

Hiszpan przełknął głośno ślinę. Potem strzelił palcami. Jeden z jego ludzi pobiegł do domu, przeszedł przez patio i wrócił z niewielkim kuferkim.

— Widzisz — ciągnął Hiszpan, pokazując kuferek — umiem przegrywać z honorem, tu są pieniądze. Ale trzeba się bić, *niño*.

— Więc się bijmy — rzekł Mariusz, wyciągając szablę.

Hiszpan powstrzymał go gestem ręki.

— O ho, ho! Ja z tobą? Nie ma mowy, *niño*! Ja się nie biję. Ale oto mój czempion.

Kubańczyk ryknął i grzebnął nogą o ziemię.

— Prawdziwy byk — ocenił Hiszpan. — Co o tym powiesz, *ninol*

Narysowano na ziemi koło i pozostawiono przeciwnikom wybór broni. Mariusz zdecydował się na szablę, Kubańczyk na noże. Walka mogła się rozpocząć.

Kubańczyk natarł jak rozjuszony zwierzę. Widać było, że przywykł do bójek w tawernach. Mariusz uskoczył w ostatniej chwili, unikając szarży przeciwnika. Ten zachwiał się i wypadł z koła. Wrócił na miejsce, prychając, kopiąc ziemię i podnosząc kurz. Ludzie Mariusza i Hiszpana utworzyli wokół nich milczący krąg. Regulamin pozwalał im wkroczyć do akcji, gdyby jeden z protagonistów walczących w kole wycofał się. Ale kto chciałby zastąpić Mariusza w starciu z tym monstrem?

Walka była zacięta. Wewnątrz koła podnosiły się obłoki pyłu. Powstał taki zaduch, że nie było czym oddychać. Nagle Mariusz zakreślił młynka szablą, która ze świstem przecięła powietrze. Był to cios nie do odparcia. Szabla ucięła przeciwnikowi dłoń. Oniemiały Kubańczyk wpatrywał się przez chwilę w swą leżącą na ziemi rękę, zaciśniętą na trzonku noża. Rycząc jak ranne zwierzę, znów runął na przeciwnika. Tym razem

dopadł go. Jego głowa trafiła w ramię Mariusza, który stracił równowagę i poleciał do tyłu. Na szczęście nie upadł. Ale to, co zobaczył, wprawilo go w zdumienie. Zamiast mu pomóc, Kochaś patrzył na niego z uniesioną do góry ręką.

— Co... co ty robisz?

Pięść siłacza trafiła go w skroń. Mariusz zachwiał się i padł na wznak poza linią koła. W sam czas. Kubańczyk znów ruszył do natarcia.

— No i co, *amigo*? — krzyknął Kochaś, wskakując do koła. — Spójrz na moją rękę. Obaj mamy równe szanse!

I wyciągnął swój długi, ostry jak brzytwa kordelas.

Kubańczyk natychmiast ponowił natarcie. Z kikutem ociekającym krwią i wyciągniętym nożem w drugiej ręce rzucił się na Kochasia. Ale bawół powstrzymał byka. Doszło do głuchego, niesamowicie silnego zderzenia. Na oczach Mariusza, który zdążył oprzytomnieć, przeciwnicy padli na kolana na wprost siebie. Przez krótką chwilę badali się wzrokiem, a potem zaatakowali się głowami. Od ich zderzenia aż zadrżała ziemia. Wydawało się, że rozwałą sobie czaszki. Obserwowali się jeszcze przez chwilę; czoła mieli zbroczone krwią, twarze opuchnięte. Potem Kubańczyk zerwał się z kolan i rzucił do przodu. Ale Kochaś, podobnie jak przedtem Mariusz, popisał się piękną paradą. On także błyskawicznie wstał i ripostował.

— *Hijo de puta!* — wrzasnął Kubańczyk.

Jego prawa ręka przecięła powietrze. Znów padł na kolana, dysząc i jęcząc, i z niedowierzaniem kiwał na obie strony głową. Krew płynęła mu obficie z ran. Oślepiiony słońcem upokorzony, z poranionym czołem, leżał jak wół, który czuje, że nadeszła jego ostatnia godzina. Straszny odór zatruwał powietrze. Kochaś podszedł do Kubańczyka z kordelasek i przyłożył mu ostrze do gardła.

— A więc płacisz? — spytał Mariusz grubasa.

Po ciele Hiszpana spływały grube krople potu. Chciałby być gdzieś daleko, bardzo daleko, hen pod domem, gdzie pobłyskiwały turkusowe refleksy morza. Jeden z jego ludzi usiłował

przyłożyć do ramienia karabin: dostał kulę w czoło. Mariusz z pistoletem w dłoni trafił w sam jego środek.

Dało to sygnał do ogólnej walki. Marynarze z „Felicity”, którzy mieli się na baczności, otworzyli ogień. Ludzie Hiszpana, zaskoczeni porażką swego czempiona, stali jak kamieniaki. Nie potrafili zareagować albo robili to za późno, więc wybito ich prawie do nogi. Został tylko jeden. Ten z kuferkiem.

Zapadła cisza. Hiszpan zaniemówił, wpadł w panikę i rozglądał się dokoła. Nie mógł wymówić słowa, przypominał jakąś wielką kiwającą się figuryнкę. Korzystając z chwili przerwy, Kubańczyk usiłował jeszcze raz uderzyć głową Kochasia. Udało mu się tylko poderżnąć sobie gardło o jego kordelas. Padł, czkając, wstrząsany skurczami i drgawkami.

Kochaś wytarł kordelas o jego czerwoną tunikę i skinął na Mariusza. Ten podszedł do Hiszpana, który płaszcząc się i gnąc w ukłonach, wskazał ręką kuferek.

— Widzisz, że płacę, *señor capitán*... — rzekł, trzęsąc się jak galareta.

Wyciągnął z kuferka sumę, którą był winien Mariuszowi, przeliczył skrupulatnie pieniądze i wręczył mu je uniesieniem.

— Jeszcze grzywna — oświadczył Mariusz, nie wypuszczając szabli z dłoni. — Nie lubię, jak mnie nazywają *niño*.

I zabrał cały kuferek. Potem precyzyjnie ciął szablą. Hiszpan podniósł rękę do policzka i krzyknął przeraźliwie.

— Bądź szczęśliwy, że puszczam cię z życiem — powie dział Mariusz, chowając szablę do pochwy. Ale będziesz nosił to piętno do końca swoich dni. Teraz już znasz kapitana Smitha.

Wkrótce kapitana Smitha nauczyli się znać wszyscy na całych Karaibach.

Dwa miesiące później ładownie „Felicity” były puste. Wszystko zostało dostarczone i zapłacone brzęcząca monetą. Szkuner płynął w kierunku Zatoki Meksykańskiej. Był koniec grudnia.

Dzięki porucznikowi Harperowi Mariusz wiedział już prawie wszystko o manewrowaniu statkiem. Ale sukces swojej misji zawdzięczał wyłącznie sobie.

Żeglowanie gotuje nam czasem różne niespodzianki. Na wysokości półwyspu Jukatan „Felicita” płynęła wzdłuż wybrzeży Kuby. Okolica ta obfituje w małe zatoczki i podwodne skały. Wstawał świt. Godzinę później porucznik Harper rozkazał zmienić hals. Marynarz pełniący wachtę zameldował mu, że po drugiej stronie skalnego występu walczą ze sobą dwa statki. Chyba brygantyna i statek handlowy.

—Brygantyna, powiada pan? — zainteresował się Mariusz. — Z żaglem w kształcie trapezu?

—Tak jest, panie kapitanie.

—Poruczniku, przejmuje pan dowództwo statku. Zwińcie niskie żagle i zwolnijcie żagle na dziobie. Na razie udajemy, że mamy awarię.

Mariusz wyszedł ze sterówki i kazał spuścić szalupę na wodę. Potem zdjął bluzę i wziął dwa pistolety. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Wybrał dziesięciu ludzi spośród tych, którzy zazwyczaj towarzyszyli mu podczas pertraktacji na ładzie. Gdy wszystko było gotowe, polecił Kochasiowi, by został na pokładzie, a Harperowi, by płynął dalej.

—Będziecie udawali, że uciekacie — wyjaśnił porucznikowi. — Kiedy wejdziemy na statek handlowy, wystrzelę dwa razy z pistoletu. Będzie to sygnał. Wtedy zawrócicie i popłyniecie wprost na te dwa statki. Jeden z nich musi być napastnikiem. Moim zdaniem jest nim brygantyna. Może to statek piracki. Wtedy wkroczycie do akcji.

—Rozkaz, panie kapitanie.

Harper podniósł podbródek i zwinął ręce w trąbkę:

— Przygotować się do bitwy! Wszyscy na stanowiska! Kanonierzy do dział!

Mariusz wsiadł do szalupy, a jego ludzie, uzbrojeni w szable pistolety i bosaki, ukryli się.

— Będziemy atakować — oznajmił Mariusz. — Przygotuj cie bosaki i myślcie o olinowaniu i omasztowaniu.

Wiosłując, patrzyli, jak „Felicita” płynie na bakburcie. Po jej prawej stronie był skalisty występ ze stromymi górami i podwodnymi skałami, po drugiej zaś brygantyna i statek handlowy. Wreszcie szalupa wpłynęła do zatoczki. Ze statku handlowego unosił się dym, ale nie słyszeli, by strzelano z dział.

— Wiosłujcie ile siły! — krzyknął Mariusz. — I prosimy Boga, by nas nie zauważyli.

Skulił się w szalupie i starał się obserwować wszystko, co się dzieje na wprost niego.

Co dziwne, na żadnym ze statków nikt nie zareagował na ich widok. Co się tam stało? Mariusz obawiał się najgorszego. Statek handlowy nie był uzbrojony. Sądząc po jego stanie, brygantyna musiała go ostrzelać z dział i zniszczyć omasztowanie. Im bardziej się zbliżali, tym lepiej słyszeli głosy podobne do jęków.

Kiedy szalupa dobiła do brygantyny, okazało się, że to nie jęki, lecz dochodzące z różnych stron krzyki. Mariusz postanowił działać w taki, a nie inny sposób, podejrzewając, że załoga brygantyny zajęła statek handlowy. Nie mylił się. Kiedy wszedł ze swymi ludźmi na pokład, nie zastał tam nikogo poza dwoma czkającymi i bełkoczącymi kolorowymi mężczyznami, leżącymi na wielkim łuku. Spojrzał do góry, żeby zobaczyć flagę: była czarna. Może to..., powiedział do siebie. Kolbą pistoletu ogłuszył dwóch hultajów, których błyskawicznie związane i zakneblowano. Kazał swoim ludziom rozproszyć się i podejść na czworakach do parapetu. Tam przyczaili się i obserwowali, co się dzieje na statku handlowym, który okazał się okrętem wojennym bez dział. Przyciągnięto go do brygantyny. Pijani mężczyźni w kobiecych strojach wymachiwali butelkami i tańczyli, ledwo trzymając się na nogach. Na przednim mostku grupa około dziesięciu mężczyzn uwijała się wokół leżących na poły rozebranych ciał. Ciał kobiecych. Piraci gwałcili je

bezwstydnie. Było słychać, jak nieszczęśliwe jęczą, maltretowane przez gwałcicieli.

—A co z marynarzami ze statku handlowego? — spytał jeden z majtków Mariusza.

—Musieli ich wsadzić na dno ładowni. — I zobaczywszy pięciu innych piratów uzbrojonych w siekiery, dodał: — I mam wrażenie, że szykują się do wyrąbania dziur w kadłubie.

Mariusz rozpoznał jednego z owych pięciu piratów. Był czarny jak węgiel, w kalesonach i boso, przez plecy miał przewieszony samurajski miecz, a za paskiem jakiś dziwny pistolet. El Diabło śmiał się na całe gardło i tańczył niedźwiedzi taniec. Płając i zaśmiewając się, deptał po skotłowanych jedwabiach.

— A więc spotykamy się — mruknął Mariusz. — Ten bandyta chyba zbyt obficie oblewał zwycięstwo. Lepiej by zrobił, wypływając w morze.

Ponieważ nie słyszeli armatnich strzałów, wywnioskował, że piraci przebywają tu od dobrych dwóch godzin. Z pewnością zaatakowali statek handlowy o brzasku. Wydał zatem rozkazy: nikomu nie wolno strzelać, a używać jedynie broni białej. Liczył na efekt zaskoczenia. Pięciu ludzi wysłał na rufę, pięciu na dziób. Sobie zostawił El Diabło.

Odwrócił głowę i w dali zobaczył „Felicite”, płynącą przy bocznym wietrze, z opuszczoną flagą amerykańską. Herszt piratów musiał również zauważyć szkuner, bo klepnął się po udach, sądząc, że kieruje się na pełne morze. W każdym razie był tak zajęty wymachiwaniem siekierą i naigrzaniem się z biednej zupełnie nagiej nieszczęsnicy, przywiązanej do głównego masztu i gwałconej przez trzech karzełków, wyglądających jak małpy i bełkoczących coś z hiszpańskim akcentem, że zupełnie się nie zaniepokoił.

Atak był błyskawiczny. Na rufie ludzie Mariusza nikogo nie oszczędzili. Wycięli w pień wszystkich piratów przebranych za kobiety i dołączyli do kolegów na dziobie. Tam walczone

z determinacją. Ale wszystko zostało załatwione bardzo szybko. Mimo że piraci mieli liczebną przewagę, stawili bardzo słaby opór. Gwałcicieli nadziano na szable, pozostali piraci wdrapywali się na maszty, skakali do morza albo usiłovali wrócić na brygantynę.

— *Maldito!* — krzyknął El Diablo, wyciągając z pochwy szablę i pistolet.

I na oczach Mariusza i jego towarzyszy ściał głowę kobiecie przywiązanej do głównego masztu. Trzy uwijające się wokół niej karły, początkowo nie wiedząc, co się dzieje, odskoczyły, a potem z dzikim wrzaskiem rzuciły się na ludzi Mariusza. Patrząc, jak głowa biedaczki toczy się po pokładzie, El Diablo krzyknął:

— *Adelante!*

Aby utorować sobie drogę, wycelował z pistoletu do grupy marynarzy Mariusza i pięć razy pociągnął za spust. Owa magiczna broń wywołała przerażenie i zdumienie. Pięć strzałów bez ponownego ładowania! Dwóch ludzi położył trupem na miejscu i korzystając z chwili zamieszania, pobiegł w stronę sterówki. Za nim rzuciły się trzy karły i dwóch innych piratów uzbrojonych w muszkietony.

Zaskoczony Mariusz wyciągnął swe pistolety nieco za późno. Wycelował w uciekających i dwukrotnie strzelił. Jeden z karłów padł, śmiertelnie ranny. Inni zdążyli się ukryć w sterówce, skąd otworzyli ogień, zmuszając atakujących do rozproszenia się po pokładzie.

— Idź do ładowni i wypuść załogę — powiedział Mariusz do jednego ze swych ludzi ukrytego za olinowaniem.

Marynarz wykonał polecenie. Pięć minut później na pokład weszło dwudziestu żądnych zemsty majtków uzbrojonych w piki i kastety. Zobaczyli przywiązane do głównego masztu nagie ciało kobiety z obciętą głową. Był tylko jeden problem: nie mieli broni palnej.

— Nie macie karabinów ani pistoletów? — spytał Mariusz. — Ale dlaczego?

—Jest to sprzeczne z moralnością i przekonaniem religijnym armatora — odpowiedział marynarz. — Wszyscy jesteśmy Holendrami.

—No więc widzicie, do czego to prowadzi — rzekł Mariusz, wskazując pistoletem sterówkę. — A wasz kapitan?

—Jego i pierwszego oficera wrzucili do morza.

Potem, nie pytając Mariusza o pozwolenie, marynarz i reszta załogi rzucili się na sterówkę. Powitał ich gęsty ogień. Pięciu od razu padło trupem. Zarówno nadmierne bohaterstwo, jak nadmierna ostrożność nie prowadzą czasem do niczego. Pozostali wycofali się, przerażeni skutecznością ognia piratów.

Mariusz rzucił okiem za prawą burtę. Powiedział Harperowi, że sygnałem będą dwa strzały. Tymczasem oddano ich co najmniej trzydzieści. Dlatego „Felicita” zmieniła kurs i zbliżała się na wszystkich żaglach. Za chwilę otworzy ogień z dział. Trzeba było się spieszyć.

— Przeciąć liny! — krzyknął.

Przy wykonywaniu tego rozkazu padło jeszcze dwóch marynarzy. Ale statek handlowy oderwał się od brygantyny i zaczął powoli dryfować. Obydwie jednostki utworzyły coś w rodzaju litery V. W sterówce El Diablo i jego ludzie wściekali się, że nie mogą wrócić na swój statek. Umrą tak, jak żyli, powiedział do siebie Mariusz. Natychmiast kazał ewakuować kobiety, holenderskich marynarzy i pięciu swoich majtków.

W sterówce El Diablo gestykulował i strzelał na oślep. Jego ludziom brakowało już amunicji. Mariusz za wszelką cenę chciał dostać pirata w swoje ręce. Nagle ogarnęło go niejasne przecucie niebezpieczeństwa. Odwrócił głowę i zobaczył „Felicite”. Manewrem równie zręcznym, co śmiałym porucznik Harper ustawił szkuner w pozycji, z której mógł otworzyć ogień amfiladowy.

I Mariusz usłyszał rozkaz po angielsku:

— *Fire!*

Ledwo zdążył paść na ziemię przy stojaku u podnóża masztu. Siedem baterii „Felicity” zalało ogniem statek handlowy. Wszystko trzeszczało i rozpadało się. Sterówka została strzaskana, kadłub, główny maszt i ster uszkodzone. Fały, olinowanie i wanty połamały się i uderzały w żagle i parapety jak bicze, podobne do śmiertelnie niebezpiecznych węży chłuszczących powietrze.

— Kapitanie Smith! — krzyczeli towarzysze Mariusza, którzy byli na brygantynie piratów.

Mariusz podniósł głowę, ale nie zobaczył już El Diablo ani jego ludzi. Zamroczony i ogłuszony, dźwignął się jakimś nadludzkim wysiłkiem. Spojrzał na siebie. Był czarny od prochu i ogłuszony. Wokół niego leżało kilka posiekanych i porozrywanych ciał.

— Kto żyw na brygantynie! — wrzasnął, zwinąwszy ręce w trąbkę.

Szybkim krokiem skierował się ku resztkom sterówki. Gdy przeskakiwał przez żagle, bloczki linowe i szczątki desek, jakaś ręka chwyciła go za łydkę. Runął jak długi. Na szczęście zwój lin zamortyzował upadek. Mariusz zerwał się natychmiast i stanął oko w oko z El Diablo. Pirat trzymał lewą rękę za plecami. Ponieważ Mariusz nie miał już w pistoletach pocisków, wyciągnął szablę i przybrał postawę szermierczą.

— Mam cię! — ryknął. — Zapłacisz za wszystkie swe łajdactwa!

— Tak ci się zdaje? — rzucił tamten po francusku.

Szybkim ruchem wyciągnął lewą rękę. Zobaczywszy pistolet bębnekowy, Mariusz zmartwiał. El Diablo nacisnął na spust.

Zamiast grzmotu rozległ się śmieszny, cichy trzask. Bębnek był pusty. El Diablo, klnąc po hiszpańsku, rzucił pistolet w twarz Mariusza, który zaskoczony uderzeniem znów upadł na pomost, wypuszczając szablę z ręki. El Diablo

skoczył na niego, przycisnął mu ramiona do ziemi i siadł na nim okrakiem.

— No i co, ty żółtodziobie, chcemy się bawić w męż czyzn?

Mariusz czuł na twarzy cuchnący oddech wykrzywionej gęby pirata i widział jego oczy miotające błyskawice. Chociaż był potłuczony, obolały, ranny w skroń i rozłożony na łopatki, usiłował jakoś się wyswobodzić. El Diabło zaśmiał się. Dym gęstniał coraz bardziej. Pirat siedzący okrakiem na Mariuszu wiedział, że nikt nie może ich widzieć. Całym swym ciężarem przycisnął ofiarę, jej prawą rękę unieruchomił kolanem, a swe sękaty palce zacisnął na gardle. Mariusz poczuł, jak paznokcie pirata wpijają mu się w szyję. Dusił się i wierzgał nogami. Sądził, że nadeszła jego ostatnia godzina. Lewą swobodną rękę zwinął w pięść i okładał nią twarz pirata. Bez skutku. Unosił się nad nim oddech śmierci. I właśnie tam, w górze, zobaczył kołyszącą się linę bomu głównego masztu. Błoczek był nadal na swoim miejscu.

— Poleć swą duszę diabłu! — rzucił El Diabło.

W tym momencie gruchnęła nowa gwałtowna i ogłuszająca salwa, od której zadrżał cały statek. El Diabło stracił stabilność i rozluźnił uścisk. Ponieważ koniec liny zwiślał tuż nad jego głową, więc nie mógł go widzieć. Mariusz lewą ręką chwycił linę, podciągnął się z całej siły i zrzucił z siebie przeciwnika. Jednocześnie zerwał się na równe nogi, okręcił linę wokół szyi pirata i gwałtownie ją zacisnął. El Diabło zachwiał się, wywalił język, zrobił się purpurowy. Mariusz wykorzystał to i huknął go pięścią w twarz. Potem szybkimi ruchami zrobił węzeł na linie i zawołał:

— Skazuję cię na śmierć, El Diabło! Wyrok zostanie wykonany natychmiast!

Chwycił drugi koniec liny, przerzucił ją przez błoczek bomu, zaparł się nogami o podstawę głównego masztu i szarpnął mocno, jakby wciągał flagę. El Diabło, oderwany od pokładu, podniósł ręce do szyi i zamachał stopami w powietrzu. Tańczył

tak dłuższą chwilę. Jego owłosione nogi, które nagle wydały się sprośne i komiczne, podrygiwały konwulsyjnie. Potem wszystko ustało.

— Amen — szepnął Mariusz.

Gdy puścił linę, ciało pirata z głuchym łoskotem spadło na pokład. Nieopodal Mariusz zobaczył jego wspaniały pistolet. Podniósł go i włożył za pas. Potem podszedł po pirata, zarzucił go sobie na plecy i wrócił na brygantynę. „Upiekłem dwie pieczenie przy jednym ogniu, powiedział do siebie. Mam statek i kapitana. Laffite będzie ze mnie zadowolony”.

Gęsta chmura dymu pokrywała pokłady obydwu statków. Pojawienie się Mariusza marynarze ze statku handlowego i „Felicity” powitali oklaskami. Przez ten czas „Felicita” wystrzeliła następną salwę armatnią. Statek handlowy zaczął iść na dno.

Przybycie do Nowego Orleanu było triumfalne. Na „Felicite” i brygantynę czekał różnobarwny tłum.

Jakimś cudem El Diabło przeżył. Ale ledwo dyszał. W wyniku uszkodzenia kręgow szyjnych stracił mowę i władzę w nogach. Był kaleką, prawdziwą rośliną. Tylko oczy pełne wściekłości starały się coś przekazać. Zamknięto go w jego własnej kabinie, przed którą postawiono na straży dwóch majtków z „Felicity”, gdyż Holendrzy ze statku handlowego oraz trzy kobiety zhańbione i molestowane przez piratów, chcieli go rozszarpać. W gruncie rzeczy tylko interwencji Mariusza zawdzięczał życie.

Przeszukując jego kabinę, Mariusz znalazł dwa małe woreczki drogiego kamieni ukryte w sekretnej szufladzie w dole marynarskiego mebla służącego jednocześnie za stół i biurko.

— Łup wojenny? — spytał Mariusz pirata.

El Diabło potwierdził skinieniem głowy. Gdyby mógł, zabiłby Mariusza na miejscu.

— Chciałbyś wypruć ze mnie flaki, prawda? — powiedział Mariusz, kładąc rękę na zabranym przez siebie rewolwerze. — Tylko jak widzisz, teraz jestem dobrze uzbrojony. Co o tym sądzisz?

Wyciągnął zza pasa rewolwer, pobawił się nim i obejrzał go ze wszystkich stron. Pod cynglem był napis: „Pat. Sept. 1835”. A na lufie: „Colt”. Kolt Paterson z kominkami, bębenkiem oraz chowanym kurkiem.

— To broń eksperymentalna? — spytał Mariusz. — Komu ją ukradłeś? Temu panu Coltowi?

El Diabło znów potwierdził skinieniem głowy. Kiedy tak leżał, śliniąc się i czkając, przypominał ślimaka. Mariusz wziął go na muszkę i rzekł:

— Mógłbym oszczędzić ci niepotrzebnych cierpień, ale chcę, żebyś sobie przypomniał kucharza z „Savannah” i tę kobietę, której obciąłeś głowę. Byłem na „Savannah”, El Diabło. Powinieneś wtedy wszystkich nas pozabijać. Widzisz więc, że miałeś przedsmak tego, co cię czeka. Powieszą cię szybko i wysoko.

Po krótkim procesie El Diabło mimo jego stanu został rzeczywiście skazany na śmierć. Po kłopotach z piratami Gilbertem i Benito de Soto amerykański wymiar sprawiedliwości był nieugięty. El Diabło z opadającą głową i niewładnymi członkami przetransportowano na noszach do Nowego Orleanu i stracono.

Tego samego dnia Mariusz poinformował Fremonta i Jeana Laffite o swym znalezisku.

— Należy do ciebie, zasłużyłeś na nie — oświadczył były pirat. — Co więcej, dam ci miesięczny urlop i wszystkie jego koszty biorę na siebie.

Mariusz został mianowany honorowym obywatelem Nowego Orleanu i odznaczony przez amerykański rząd. Ameryka doceniła kapitana Howarda Smitha. Uhonorowano go nagrodą w wysokości tysiąca funtów, co w owych czasach było znaczną sumą. Fortuna się do niego uśmiechała.

— Na capie rogi! Oto jesteś u szczytu sławy — gratulował mu kapitan Fremont.

— Jeszcze nie — odparł Mariusz.

Myślał o Kozecie i o Francji.

Początkowo Rafael powitał go chłodno i z rezerwą. Niczym kot powierzony opiece osób trzecich, chłopiec miał Mariuszowi za złe jego długą nieobecność. Plątał się pod nogami Fremonta i Agenora, czarnego służącego. Ponieważ zraniono jego serce i miłość własną, okazywał więcej czułości Kochasiowi niż Mariuszowi. Ale kiedy ten chwycił go w ramiona i podniósł do góry, Rafael rozpląkał się ze szczęścia. A więc Mariusz nie zapomniał o nim! Czyż nie był trochę jego ojcem?

— Następnym razem zabiorę cię ze sobą — obiecał małemu.

Jako prezent z podróży podarował Rafaelowi samurajski miecz El Diablo. Chłopiec głąskał broń z czymś w rodzaju uwielbienia połączonego z lękiem. Teraz już się uspokoił.

Z Anzelmą było inaczej. Wszystko odbyło się tak, jak przewidziała. W dniu przybycia Mariusza na nabrzeże w Nowym Orleanie wyszła mu naprzeciw. Ponieważ znała jego opory, rzuciła mu się w ramiona na oczach całej śmietanki towarzyskiej miasta. Obserwowano ich, trochę obmawiano, niektórzy im gratulowali. W ten sposób dali do zrozumienia, że wiedzą o łączących ich stosunkach, i nawet je akceptują.

Początkowo Mariusz przyjął bez oporu manifestacyjne czułości Anzelmę. Jest też prawdą, że podczas długiej podróży stęsknił się za nią. Brakowało mu jej uśmiechu i radości życia.

Wieczorem zachowywał się z większą powściągliwością, a przynajmniej starał się to demonstrować. Właściwie robił daremne wysiłki. W tawernie U Córki Sierżanta i w całej francuskiej dzielnicy Vicux Carre zorganizowano wielką fetę. Mariusz nie rozstawał się z Anzelmą. Sposób, w jaki trzymali

się za ręce, nie umknął uwagi miejskich notabli. Sprawa wydała się jasna.

—Chcę zostać twoją żoną — oświadczyła Anzelma do Mariusza.

—A ja twoim mężem. Ale muszę uregulować wszystkie swoje sprawy.

—We Francji?

—Między innymi.

—Więc pojedę z tobą.

—A tawerna?

—Znajdę kogoś, kto się nią zajmie.

—To nierozważne. Do Francji pojedę sam. Muszę wyjaśnić to, co mi się przydarzyło.

—Poszukiwanie prawdy to pycha człowieka, który chce zostać oszukany. A może zrezygnujesz z wyjazdu do Francji?

—To niemożliwe.

—Nic nie jest niemożliwe. Kiedy zmieniamy nazwisko, zmieniamy też wspomnienia.

—Być może. Ale nie mogę zmienić duszy, Anzelmo. W każdym razie cokolwiek się zdarzy, wrócę.

Podczas najlepszej zabawy, kiedy łał się strumieniami szampań, Anzelmie wydało się, że została oszukana. A nawet zdradzona. Jej niecierpliwość nie znała miary, jej szczerość wymagała szczerości partnera. Mariusz przedstawił jej niepełny obraz samego siebie, obraz, na który składały się niejasne sytuacje, wykręty i kompromisy, i bardzo przez to cierpiała. Jeśli on we Francji odnajdzie żonę, nigdy nie powróci, myślała i buntowała się przeciwko takiej perspektywie.

Późną nocą Mariusz pokazał jej trzy diamenty, które zabrał Rudasowi. Ogarnęło go poczucie winy wobec Anzelmy.

—Twoje zęby są łzami z kości słoniowej, twoje oczy czarnymi perłami. Oto diamenty za twoje serce i uśmiech. Kocham cię i zawsze będę kochał — wyznał jej.

—Naprawdę?

Jeszcze później, w sypialni Anzelmy, stali na wprost siebie

i mocno się obejmowali. Młoda kobieta krzyknęła ze szczęścia i pożądania, gdy poczuła, że Mariusz jej pragnie. Ale nim cokolwiek zdążyło ją urazić czy zasmucić, z jej ust wyrwał się inny krzyk. Krzyk sprzeciwu. Nie zgadzała się być półśrodkiem, zastępstwem, czymś, co można wziąć i rzucić według własnego widzimisię. Mariusz nie zareagował, gdy przed chwilą spytała: „Naprawdę?”. Jej ciało stężało i odsunęła się.

—Przyrzekłeś — wyszlochała, łkając i padając na kolana.

— Mówiłeś, że jestem twoją czarodziejką, twoją małą dziewczynką. Mówiłeś tyle rzeczy...

—Ale...

—Nienawidzę cię!

On także ukląkł i chciał ją objąć.

— Zostaw mnie!

Wstała, poszła do buduaru i włożyła biały zwiewny szlafroczek. Potem pozbierała ubranie Mariusza i rzuciła mu je w twarz.

—Nie jestem ladacznicą, z którą można się zabawić kosztem jej uczuć i godności — powiedziała, błędząc gdzieś wzrokiem.

—Nigdy cię nie uważałem za kogoś takiego — odparł Mariusz, ubierając się.

Anzelma zaśmiała się z przymusem i wskazała mu drzwi.

— Łżesz jak wszyscy galernicy!

Mariusz poczuł, że ogarnia go wściekłość. Schylił głowę i bez słowa skierował się ku wyjściu. W chwili gdy kładł rękę na klamce, Anzelma podbiegła i zaczęła okładać go pięściami. Nie bronił się. Niewątpliwie czuł się winny.

—Nawet nie odpowiadasz! — krzyknęła zdesperowana. — Co masz zamiast serca?

—Kamień — prychnął ironicznie, zgrzytając zębami. — Kamień galernika.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Anzelma zatrzasnęła je kopniakiem. Na jej twarzy znów zalaśniły łzy.

— Mój najdroższy — wyjąkała i zaczęła tupać nogami: — Mnie nie można kupić za diamenty!

Z płonącymi oczami i zmierzwionym włosom biegała po mieszkaniu. Wyszła na wielki balkon w nadziei, że Mariusz wróci. Wypiła szklanką wody. Potem jeszcze jedną. Nie nadchodził. Padła więc na łóżko i wyrzucała sobie, że za prędko mu uległa. Kobieta, która za prędko ulegnie, często uważa się za rozwiązłą, powiedziała do siebie. Postąpiła zbyt spontanicznie. Mając do czynienia z mężczyzną takim jak Mariusz, pięknym i posepnym, kobieta nigdy nie jest spokojna. Powinam oddać się, a nie pozwolić, by mnie wziął, wyrzucała sobie.

Zmęczona czekaniem, dręczona podejrzeniami, które od siebie odsuwała, nie wiedząc już, czy kocha Mariusza od zawsze, czy od paru miesięcy, wstała i usiadła w wiklinowym fotelu na biegunach, którego tył był ozdobiony rozetą, a oparcia na ręce przypominały karki antycznych delfinów. Zamknęła oczy. Tyle rzeczy można zobaczyć, gdy się zamknie oczy. Niestety nie zobaczyła nic. Zatkąła więc sobie uszy. Gdyby przyszedł, nie chciała go usłyszeć. Ale nie przyszedł. Był zbyt dumny, zbyt zarozumiały. Skrzyżowała nogi i uśmiechnąwszy się, zaczęła nagle myśleć o czymś bardzo określonym. Mariusz pragnie wrócić do Francji?

— Wobec tego nigdy tam nie pojedziesz — powiedziała na głos, zaciskając pięści. — Wolałabym umrzeć, niż cię stracić!

Nowy 1836 rok uczczono godnie. Nieporozumienia między Mariuszem i Anzelmą ustały, łączyły ich teraz stosunki czułe, ale pełne rezerwy. Dokoła tyle się działo, że nie mieli czasu na kłótnie. Dużo mówiono o Teksasie. Kłopoty dały o sobie znać już na początku 1835 roku. „Journal de la Louisiane”, oficjalny organ owego południowego stanu, pisał o tym, co działo się w teksańskich wsiach i osadach. W czerwcu banda fanatyków zawładnęła fortecą Anahuac. Wśród independentystów wymieniano nazwiska Stephena Austina i Sama Houstona, byłego gubernatora stanu Tennessee.

— Teksas chce być niepodległy — tłumaczył Mariuszowi Fremont. — Pragnie przyłączyć się do Stanów Ameryki, ale Meksykanie nie zamierzają go oddać.

Generał Santa-Anna, dyktator Meksyku, postanowił nie dopuścić do rozszerzenia się powstania. Podjął więc stosowne kroki. Jego wojska przystąpiły do działań zaczepnych, a jego szwagier, generał Martin Perfecto de Cos, wylądował w Matagordzie na czele pięciuset ludzi. „Teksas należy do Meksyku”, mówił. „Teksas należy do nas”, odpowiadali teksańscy independentyści.

Pośród panującego chaosu Tekszańczycy zajęli w październiku miasto Gonzales. Houston zwrócił się o pomoc do Waszyngtonu. Od polityków z amerykańskiej stolicy przyszła

ostrożna uprzejma odpowiedź. Prezydent Jackson czekał. Nie chciano urazić Meksykanów.

W grudniu generał Cos został pobity pod Bexarem. Nastąpiła powszechna radość. Teksasńczycy ogłosili się jedynymi panami kraju. We wszystkich dużych miastach tego stanu odtrąbiono zwycięstwo.

W tawernie U Córki Sierżanta gubiono się w domysłach. Komentowano sytuację. Wszyscy z wyjątkiem Hiszpanów opowiadali się za Teksasńczykami.

—Taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia we Francji — mówił Mariusz z wyższością.

—Ale nie jesteśmy we Francji — odpowiadała Anzelma. — Tutaj demokracja nie jest pustym słowem. Czy sądzisz, że inaczej mogłabym się tu urządzić? A więc ty, galernik, człowiek wyjęty spod prawa, popierasz swój wsteczny reakcyjny rząd?

Anzelma denerwowała Mariusza. Na wszystko miała odpowiedź. Wówczas tonem obojętnym, a zarazem wyniosłym przypomniał jej, że we Francji kobiety nie mają prawa głosu.

—Ale z ciebie rewolucjonista! — szydziła sobie z niego.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, postęp jest dla mężczyzn, a zacofanie dla kobiet? Dla was korzyści, a dla nas podległość? Zabawne, słyszałam, że tak właśnie myślą wasi socjaliści.

—Zostałaś źle poinformowana.

Mariusz, który lubił mieć rację, wzruszał ramionami. W okresie niepowodzeń nauczył się mówić „nie”, kiedy trzeba było powiedzieć „tak”, i uchodził za konserwatystę wśród rewolucjonistów, i za rewolucjonistę wśród konserwatystów. Chociaż z radością uprawiał te paradoksy, wysławiał wolność niczym anarchista i duch przekory stał się fundamentem jego sposobu myślenia. Ale jego duma cierpiała, gdy bezczelna i wygadana samica, nawet uzbrojona w rozsądek i doświadczenie, potrafiła mu się przeciwstawić i zamknąć usta. Zaczynał jej wówczas

długo i szeroko tłumaczyć. Tylko że im dłużej tłumaczył, tym bardziej się śmiała. A im bardziej się śmiała, tym bardziej Mariusz się wściekał.

— Ja wiem, co to jest! — oświadczył w końcu rozindyczo ny. — W tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku walczyłem na barykadach! Tak, właśnie tak! Wielu moich przyjaciół rozstrzelano! Więc nie ty będziesz mi tłumaczyła, czym są demokracja, socjalizm i prawa człowieka!

Anzelma była przebiegła. Gdy tylko Mariusz się uniósł, wybuchała łkaniem. Wtedy rozpływał się w' przeprosinach. Wydawało się, że jest tak szczerze zmartwiony jej smutkiem, że po prostu musi ją pocieszyć. Usiłował pocałować ją, ale w chwili, gdy jego wargi miały dotknąć jej ust, odwracała głowę. Zamiast na ustach, pocałunek lądował na słonym od łez policzku.

— Jesteś okropny — mówiła z uśmiechem.

Pewnego wieczoru musiał wysłuchać całego wykładu o emancypacji kobiet i o demokracji jako takiej. Wygłosił go Laffite. Anzelma, która siedziała z nimi przy stoliku, zrobiła drwiącą minę. Z dziecinną łatwością przechodziła od śmiechu do łez. Mariusz z trudem hamował gniew. Ale z drugiej strony był zbudowany. Dawny pirat, zagorzały zwolennik niewolnictwa, bezwstydnie popisywał się postępowymi ideami. Mariusz miał wrażenie, że słyszy Fryderyka Rivoliera. Wydawało się, że idee Louis Blanca i Augusta Blanqui znalazły oddźwięk za Atlantykiem.

— Ale nie tylko one — ciągnął Laffite.

Pracodawca Mariusza nigdy z nim nie rozmawiał o swojej drodze życiowej. A Fremont zachowywał daleko idącą dyskrekcję na ten temat. Rozmawiali jedynie o obronie Nowego Orleanu i zwycięstwie odniesionym nad Anglikami.

Tego wieczoru Laffite opowiadał o swojej młodości. Był bonapartystą. W 1821 roku rozkazał jednemu ze swych zastępców, Dominikowi Yan, uzbroić kliper i podjąć próbę porwania Napoleona. Jednak trzy dni przed podniesieniem kotwicy przy-

szyła wiadomość o zgonie cesarza. Otruli go Anglicy. Następnie Laffite chciał wyzwolić Kubańczyków spod hiszpańskiego jarzma. Musiał zrezygnować. Nawet pomoc generała Santa-Anna, tego samego, o którym dziś pisano najgorsze rzeczy w „Journal de la Louisiane”, nie uratowały go od klęski. W końcu wyjaśnił Mariuszowi, dlaczego został korsarzem.

— Korsarstwo jest buntem przeciwko ustalonemu porządkowi. Na zwykłym żaglowcu marynarz musi znosić nieludzkie warunki życia. Jest pod władzą pana, którego jedyną troską jest maksymalny zysk amiatora. Marynarz w bolesny sposób przeżywa na statku doświadczenie wyzysku, jaki dziś spotyka robotników. Zaczyna więc walkę z opresyjnym systemem, zwracając się ku wartościom, które go podważają, takim jak kolektywizm, egalitaryzm i solidarność. Buntując się, staje się człowiekiem zasługującym jeśli nie na szubienicę, to na galery. Kiedy marynarz zostanie już piratem, chce narzucić całkiem nową koncepcję społeczeństwa. Należy do niej dzielenie się ryzykiem, tak jak dzieli się łupem. Trzeba podkopywać istniejący porządek, realizując zarazem stare marzenie o fortunie. Potem można już sobie wszystko wyobrazić. Ekscesy i dryfowanie. Przykładem może być krwawa epopeja szaleńca takiego jak El Diablo.

Mariusz słuchał w zadumie Laffite'a. Takich ludzi można tylko stawiać za przykład. On sam po ucieczce z galer o mało nie stał się dziką bestią. Czyż nie przeżył dzięki płonącej w nim nienawiści? Czyż w okrutny sposób nie zamordował Węgrów? Czy kiedy nadarzyła się okazja, nie czuł, jak wzbiera w nim nieopanowana potrzeba okrucieństwa, tak jak w dniu, gdy zmusił kucharza z „Savannah”, by oddał się w ręce El Diablo, albo wtedy, gdy sam dusił El Diablo?

Nigdy już nie będę taki jak przedtem, myślał.

Ale czy naprawdę się zmienił? Czy galery zostawiły na nim niezatarte piętno? Dzisiaj, chociaż tyle się zmieniło, wszystko powracało mu na pamięć. Teraz nieobca mu była refleksja. Nauczył się analizować. Wzbogaciły go rozmowy z Jeanem

Valjean, Lestrade'em, Kochasiem, a teraz z Jeanem Laffite. Ludzie o szlachetnych duszach potrzebują przyjaźni, mówił sobie jeszcze. A kiedy celebrują tę przyjaźń, przeradza się ona w głęboki podziw.

W pewnej chwili, gdy zabawa była w pełni, wzrok Laffite'a padł na pas Mariusza. Zauważył rewolwer z kurkiem.

—Należy do ciebie?

—Zdobycz wojenna — odparł Mariusz z uśmiechem. — El Diablo miał dwie sztuki niezwyklej broni: japoński miecz i ten pięciostrzałowy rewolwer.

Laffite w milczeniu pokiwał głową. Przy stole siedzieli Fremont, Kochaś, Anzelma i Rafael. Na estradzie jakiś czarny akompaniował na pianinie śpiewaczkę. Była to smutna piosenka. Opowiadała o kobiecie, która porzuca zbyt dobre życie i dziecko, by poświęcić się dla ukochanego mężczyzny. Część owego dramatu rozgrywała się na parowcu kołowym, płynącym po Missisipi.

—Przywodzi mi to na pamięć człowieka, który wynalazł ten rewolwer — powiedział Laffite do Mariusza, podczas gdy Fremont i Anzelma ze łzą w oku nucili chórem refren.

— Nazywa się Colt, Samuel Colt. Spotkałem go w Bostonie. Powiedział mi, że wynalazł ten system, patrząc na obracające się koło sterowe statku, którym płynął do Kalkuty. To dość sprytna broń.

—I dość skuteczna — pochwalił Mariusz. — Gdyby rewolucjoniści dysponowali taką bronią, byłoby mniej nędzy i niesprawiedliwości na świecie.

Laffite wzruszył lekko ramionami.

— Mówiono mi, że rząd postanowił przyjąć projekt Samuela Colta i produkować jego rewolwer w dużych ilościach. Sądysz, że zmieni to oblicze świata? Może sprawię ci zawód, ale uważam, że wprawdzie rewolucje robi się za pomocą broni, to mentalność ludzi rewolucjonizuje się dzięki ideom.

Z wielką werwą zaatakował kapitalizm i niebywałe spekulacje, szalejące wówczas we Francji. Kiedy mówił o kapitalizmie,

nazywał go smokiem. Według niego socjalizm zwalcza tego smoka.

Czyż wiele lat później, w 1848 roku, były pirat z Zatoki Meksykańskiej, który razem z Jacksonem uratował Nowy Orlean, nie zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Engelsem i Karolem Marksem tak bardzo, że sfinansował druk *Manifestu komunistycznego*?

Mariusz był pod wrażeniem idei głoszonych przez Laffite'a i powiedział o tym Fremontowi, który wymachiwał kuflem piwa. Nie mógł tylko zapomnieć Laffite'owi handlu niewolnikami.

— Zmienił się — odparł kapitan. — Laffite jest kimś w rodzaju mistyka, wierzącego w braterstwo między ludźmi. Czyż sam tego nie doświadczył? Czy ci nie zaufał? Czy nie zostawił ci łupu El Diablo? Aby przyłączyć się do jakiejś idei, trzeba przedtem kochać jej przeciwieństwo.

To zdanie Fremonta wryło się Mariuszowi w pamięć. Widząc, że jest zatopiony w myślach, Anzelma położyła dłoń na jego ręce.

— Kocham cię — szepnęła.

Ona, która zawsze mówiła otwarcie, co myśli, również przyznawała rację Laffite'owi. Zdaniem Mariusza był to świat na opak. Bogaci wykonywali pracę za biednych, działając i myśląc za nich. A biedni?

— Znoszą to — rzekł Laffite. — Ale to się zmieni. Przyjdzie dzień, gdy zrozumieją, że trzeba samemu zadbać o swoje życie, a nie pozwalać, by urządzali je nam inni. Wtedy wszystko się zmieni. Zaczną działać.

Pewnego wieczoru rewolucja prawie wkroczyła do tawerny U Córkę Sierżanta. Wtargnęło tu około trzydziestu ludzi, niektórzy byli w mundurach. Ryczeli jak osły i strzelali w powietrze. Ta przedziwna grupa praktycznie opróżniła piwnicę. Jej szef nazywał się Bowie, James Bowie. Brał udział w zdobyciu Bexaru. Podobnie jak Davy Crockett wydawał się bardzo zaprzyjaźniony z Anzelmą. Znała go dobrze, ponieważ hand-

lował czarnymi niewolnikami w Campeche, rejonie mokradeł, wówczas kontrolowanym przez Laffite'a. A teraz, będąc przejazdem w Nowym Orleanie, miał wrócić do Teksasu właśnie z ładunkiem prochu podarowanego przez Laffite'a.

— Kapitan Howard Smith? Ten, który schwycił El Diablo? Jasne, że o panu słyszałem! — zawołał, gdy Anzelma przedstawiła mu Mariusza.

Wysoki, rudy, proporcjonalnie zbudowany, miał około czterdziestki i mówił biegle po francusku. Był elegancki, miał energiczną twarz, niebieskie oczy, ładną postawę. Nosił indiański pas i wsunięty za niego olbrzymi nóż.

—To mój wynalazek — oznajmił, pokazując broń Mariuszowi. — Sztylet do pojedynkowania się; jego ostrze ma osiem cali, dokładnie dwadzieścia jeden centymetrów, jest wyposażony w gardę. Robi wrażenie, prawda?

—Raczej tak.

Z kolei Mariusz pokazał swój rewolwer. Bowie gwizdnął z podziwem. Ze swojej broni mógł również wystrzelić kilka razy, ale był to karabin.

— Szkoda, że nie produkuje się jeszcze takiej broni — powiedział, głaszcząc kurek i kominek rewolweru. — Gdybyś my mieli coś takiego, Meksykanie musieliby siedzieć jak mysz pod miotłą!

Potem, gdy jego ludzie popijali rum i ćwiczili się w rzucaniu nożem, wznosząc co chwila okrzyki „Niech żyje wolny Teksas!” i „Śmierć generałowi Santa-Anna!”, przysiadł się do stolika Mariusza i opowiedział mu kawałek swego życia. Był piratem, graczem, poszukiwaczem złóż srebra u Apaczów, a teraz pułkownikiem w armii teksańskiej.

—A czym zamierza się pan zająć?

—Wojną, kapitanie Smith. Teksas to piękny kraj, który nie potrzebuje dyktatury jakiegoś Santa-Anna. Czy zna pan Teksas?

—Nie znam.

—Jutro wracam do Bexaru. Nie chciałby pan wybrać się ze mną?

— Czemu nie? Ale jedynie żeby zaspokoić ciekawość, pułkownika.

— To właśnie miałem na myśli — odpowiedział Bowie z uśmiechem. — Moi ludzie to ochotnicy. Farmerzy, kupcy, kilku awanturników. Nie werbujemy na siłę. Proponują to panu przede wszystkim dlatego, by poznał pan kraj drogi memu sercu. A także motywy mego działania. Teksas musi być amerykański.

Mariusz nie dał mu ostatecznej odpowiedzi. Ponieważ Bowie był człowiekiem taktownym, podał mu tylko miejsce zbiórki:

— Spotykamy się we wschodniej części miasta, na drodze do Baton Rouge. Ruszymy koło południa. Mam nadzieję, że pojedzie pan z nami.

Anzelma słyszała całą tę rozmowę. Propozycja Bowiego była dla niej prawdziwą gratką. Zaraz stała się bardzo czuła dla Mariusza. Nie było już mowy o docinkach czy kpinach. Mężczyzna trochę głupieje, gdy wpadnie w kobiece sieci. Jeśli pułapka jest dobrze zastawiona, wpada w nią, zaraz gdy ją zwietrzy. Mariusz dał się nabrać na gierki Anzelmy. Jej postępowanie wydawało mu się szczere.

W pewnej chwili Anzelma wyciągnęła go na dwór. Kochaś i Fremont już wyszli. Noc rozkwitała, drżąca jak ła. Prześliczna i promienna Anzelma była przymilna bardziej niż kiedykolwiek.

Westchnęła:

— Och, Mariuszu, gdybyś wiedział!

Nic więcej. Kobiety rządzą mężczyznami, pozwalając im czegoś się domyślać, oraz dzięki słowom niewypowiedzianym. Anzelma lubiła walkę. Miłość była dla niej aktem pierwotnym. Wzajemna zgoda nudziła ją. Mariusz ujął jej dłoń i trwali tak przez chwilę, trzymając się za rące. Potem odezwała się w nim duma i bronił się przed okazaniem jej czułości. A jeśli Kozeta dokładnie w tej chwili jest z innym mężczyzną? Odepchnął od siebie tę myśl i zamiast odejść, usiadł na ławce, przyciągnął Anzelmą i posadził ją sobie na kolanach. Wierzchem dłoni

glądził jej czarne jak węgiel włosy, w których igrał promień księżycyca.

—Bardzo chciałbym poznać Teksas — rzekł cicho. — Sądząc z tego, co mówi Bowie, musi to być cudowna kraina. Ale trzeba być szalonym, by jechać tam właśnie teraz.

—Masz rację — przyznała Anzelma. — Wziąwszy pod uwagę, co się tam szykuje, byłoby to szaleństwem.

Szepnął jej do ucha, że w życiu niekiedy lepiej marzyć o pewnych rzeczach, niż je przeżywać.

— Zawód jest wtedy mniejszy.

Anzelma zadrżała pod pieszczotą jego dłoni. Nie skomentowała jego słów. Wziął tę powściągliwość za zmieszanie.

— Tej nocy będziemy spać razem — powiedział, jakby chciał coś naprawić.

Ponieważ sporo wypił, mówił jej o galerach w Tulonie, o komisarzy Raynaud i o nazwisku, w które go tam ubrano.

— Byłem Aleksandrem Tixier skazanym na dwadzieścia lat za zabójstwo. A raczej numerem 9430. Ale przede wszystkim ofiarą pomyłki sądowej.

Wydawało mu się, że wywnętrzając się przed Anzelmą tonem przypominającym spowiedź, rozgrzesza się ze swych przysłych przewinień. Zwierzanie się kobiecie, która nie jest żoną, nie ma żadnego znaczenia. Dość chaotycznie opowiedział jej o swej ucieczce, życiu w Paryżu, walce na barykadach. O wszystkim. Pomiął tylko wątek Kozety i Thénardiera. Trzymając głowę na jego ramieniu, Anzelma notowała w pamięci każdy szczegół. Wszystko rejestrowała. Gdy skończył swą opowieść, odsunęła się od niego. Uśmiechnęła się znacząco. Potem wstała i szepnęła ze współczuciem:

— Jakże musiałeś cierpieć, mój biedny Mariuszu.

W milczeniu potwierdził skinieniem głowy. Pomyślał, że gdy wyjedzie, ta dziewczyna, która tak dobrze go rozumie,

będzie teraz mniej cierpiała. Nie wiedział, że jest zazdrosna i że jest to zazdrość zranionej miłości własnej. Czyż ich uczucie nie było miłością od pierwszego wejrzenia? A teraz, ponieważ istnieje inna kobieta, on gwizdże na tę miłość i opowiada o swych nieszczęściach, grając człowieka udęczonego. Ale ona nie da się na to nabrać. Wziął ją sobie za powiernicę, bliską przyjaciółkę, może nawet matkę, której nigdy nie miał. Nie jest nikim takim. I Mariusz szybko zda sobie z tego sprawę. Anzelma nie jest jakąś marną rzeczą, którą można wyrzucić po użyciu.

Gdy wstała i ruszyła w stronę tawerny, wyciągnął ramiona i spytał, dokąd idzie.

— Zaraz wrócę.

Weszła do środka i skierowała się wprost do Bowiego, który nadal stał przy barze. Powiedziała mu coś na ucho, a on wybuchnął śmiechem.

— *Why not?* — zapytał, rozkładając ręce.

— Tak, czemu nie — nalegała z posępnym spojrzeniem.

Potem porozmawiała z jednym ze swych służących, pianistą, który powoził również jej kolaską, i wysłała go do kapitana Fremonta. Na koniec poleciła kelnerce z baru postawić wszystkim kolejkę. Do jednego z kieliszków, tylko jednego, kazała wlać dość szczególny napój.

— Należesz do niego *hellsleepu* mamy Kougna.

Mama Kougna była kapłanką wudu, ową starą Murzynką, która przepowiedziała Anzelmie przyszłość w przeddzień wyjazdu Mariusza.

— *Hellsleepu?* Tego „piekielnego naparu nasennego”, który podaje się pijakom i rozrabiakom? — szepnęła kelnerka. — Naprawdę?

— I to sporą dawkę — dodała Anzelma, poklepując ją po ramieniu.

Potem, gdy kelnerka zajęła się spełnieniem jej polecenia, wyszła na zewnątrz. Widząc Mariusza, obróciła się w miejscu i podniosła rękę gestem tancerki.

— Chodź — powiedziała. — Bowie jeszcze tu jest, chciałby wypić strzeziennego.

Nie dał się prosić. Na kontuarze stały już rzędem kieliszki. Anzelma poszła przodem i sama podała mu jeden z nich. Bowie mrugnął do niej. Mariusz niczego nie zauważył. Miały go czekać różne niespodzianki.

*

Gdy się obudził, leżał na ławeczce w trzęsącym się dylizansie i trudno mu było mówić. Podniósł głowę i zobaczył Anzelmę, Kochasia i Rafaela, którzy siedzieli spokojnie naprzeciwko i patrzyli na niego z rozbawieniem.

—Gdzie jesteście?

—W Vermilionville, jedziemy wzdłuż kanału Vermilion — odparła Anzelma i rozsuwając firankę w oknie, dodała z humorem: — Nie mogliśmy się doczekać, spałeś dwa dni!

Mariusz wytrzeszczył oczy. Czuł się ofiarą, okazało się, że jest winowajcą. Potem wyrzwał na zewnątrz.

W 1844 roku projektowano zmienić nazwę Vermilionville, uważanego za stolicę Luizjany, na Lafayette, ku czci słynnego francuskiego markiza.

— Spałem dwa dni? Jak to możliwe?

Zerwał się i opuścił okno. Dylizans toczył się wolno. Na zewnątrz, pod rozjarzonym słońcem, zobaczył małe chatki, duże białe domy z kolumnami, kramiki rzemieślników, takich jak tkacze, rzeźbiarze w drewnie i kowale, którzy rozmawiali po francusku. Mariusz padł na kanapkę i klepnął się w czoło.

—Ale dokąd jedziemy? — spytał rozżłoszczony, patrząc z wyrzutem na Anzelmę.

—Do Teksasu, mój drogi. Tak jak sobie życzyłeś. I posuwając się w takim tempie, za tydzień będziemy w San Antonio de Bexar.

— Ale ja wcale nie chcę jechać do San Antonio de Bexar!

Znów przypadł do okna, wychylił głowę i wyjrzał na zewnątrz. Przed nimi jechało ze trzydziestu konnych; za nimi jeszcze jeden dyliżans. Usiadł zdruzgotany.

—To wy wymyśliście ten podstęp? — dopytywał patrząc kolejno na Anzelmę, Kochasia i Rafaela. — A moja praca? Laffite i Fremont?

—Wiedzą o wszystkim — odpowiedziała młoda kobieta, kontemplując z odległości swe paznokcie. — Ale dlaczego masz do nas pretensję? To nie nasz pomysł. Przecież tamtego wieczoru w tawernie zapagnałeś poznać Teksas. Wyprzedziłam tylko twoje pragnienia. To wszystko. Doprawdy uważam, że jesteś trochę niesprawiedliwy.

Rafaël i Kochaś patrzyli pod nogi. Mariusz skrzyżował ręce i wzruszył ramionami.

— Chce mi się pić.

—Proszę — rzekła Anzelma, podając mu manierkę.

Pociągnął parę łyków.

—Smakuje jak orszada.

Urwał nagle. Potem, patrząc z przerażeniem na manierkę, chciał wsiąść i zawrócić.

—A to co takiego? — spytał, podsuwając Anzelmie manierkę pod nos.

—Woda z hellsleepem, mój drogi. To samo, co piłeś tamtego wieczoru z Bowiem i jego towarzyszami.

*

Teksas to przepiękna kraina. Bardzo zielona, bardzo bogata, bardzo rozległa, z równinami na południowym wschodzie i płaskowyżami na zachodzie. To jakby połączenie Normandii i górskiego masywu Maures w Prowansji, powiedział James Bowie. On miał poważne powody, by jechać do Teksasu. Nie tylko posiadał tam nie mniej niż dwadzieścia tysięcy akrów ziemi, ale także poślubił Meksykankę.

A oto co myślał Mariusz, wysunąwszy głowę przez okno

dylizansu, gdy się nazajutrz przebudził. Wolałby sam, z własnej inicjatywy, odkrywać ów tak piękny Teksas. Tymczasem został do tego zmuszony. Dwa razy podano mu narkotyk. Najpierw w Nowym Orleanie, potem w Vermilionville. W sumie spał pięć dni. Od czasów Bicetre i przymusowej podróży do Tulonu nienawidził środków odurzających. Zwłaszcza narkotyków i środków nasennych.

— Co za świństwo ten hellsleep — wyrzekął, macając kolbę rewolweru.

Poprzedniego dnia o mało nie wskoczył na konia i nie wrócił do Nowego Orleanu. Ale przejechali już duży szmat drogi. O wiele za duży. A poza tym Anzelma, Kochaś i Rafael potrafili jakoś go udobruchać. Ustąpił im niechętnie. I podczas gdy Mariusz kontemplował krajobraz, zobaczył, jak Bowie popędza konia i podjeżdża do dylizansu. On także miał swój udział w tym, co się stało.

— Może pan wrócić, kiedy pan zechce, kapitanie Smith. Ale na pana miejscu za nic w świecie nie przepuściłbym okazji, by zobaczyć wydarzenia, które mogą przejść do historii. Niech pan rzuci okiem pod ławeczkę w waszym dylizansie, jest tam pełno prochu. Nawet pański przyjaciel Jean Laffite chciał uczestniczyć w tym święcie. To prezent od spółki Johna Lafflina! Prezent dla wolnego Teksasu!

I odjechał klusem. Kiedy Mariusz spojrzął pod ławeczkę, nie mógł opanować drżenia. Wszyscy ci ludzie doprowadzali go do szału.

—Proch? — powiedział, zwracając się do Anzelmcy.

—Tak, proch. Jeśli wybuchnie, umrzemy razem. To cudowne, prawda?

Zdumiony ogromem jej bez troski, nie od razu odpowiedział. Anzelma przytuliła się do niego. Kochała jego czarne kędziory, szerokie ramiona, jego wyniosłe, a jednocześnie marzycielskie spojrzenie. Uważała, że z długimi włosami wygląda jak muszkieter. Nigdy nie widziała muszkietera. Tamtego wieczoru powiedział jej, że lepiej marzyć o pewnych rzeczach, niż je

przeżywać, że zawód jest wtedy mniejszy. W każdym razie ona całą swą duszą i energią wołała je przeżywać. Patrząc na nią, Mariusz usiłował odgadnąć tok jej myśli. Naprawdę go kocha. Jej uczucia są szczerze. Czy nie popełnia grubego błędu, woląc od niej kobietę nieobecną, kobietę, która znikła? Odchrząknął i odpowiedział w końcu:

— Tak, to cudowne...

*

Po tygodniowej podróży konwój dotarł wreszcie do San Antonio de Bexar, gdzie spotkał się z gorącym powitaniem. Tym gorętszym, że Bowie oznajmił, iż przywozi proch.

— Alamo będzie mogło się bronić — powiedział alkaid Bexaru, Meksykanin, który był zwolennikiem podziału Teksasu.

— Co to takiego Alamo? — spytał Mariusz.

Bowie odwrócił się do niego.

— Sam pan zobaczy, kapitanie Smith.

Był 19 stycznia 1836 roku. Słońce mocno przypiekało, w powietrzu unosiła się melodia fandango, ludowego hiszpańskiego tańca.

Konwój skierował się do Alamo, misji położonej poza miastem. W Nowym Orleanie gazety nazywały ją fortecą. Była to ruina z naprędcę pozatykanymi dziurami, gdzie hulał wiatr. Wzniesioną z kamienia kaplicę tylko częściowo pokrywał dach. Podwórze, z którego zniknął już klasztor, wyglądało z zewnątrz jak ziemny nasyp stłoczony między dwiema drewnianymi ścianami. Coś w rodzaju pułapki, otoczonej wałącymi się murami. Mariusz, jadący konno u boku Kochasia i Anzelmy, ogromnie się na ten widok zdumiał.

— I to jest Alamo? — spytał Bowiego. — Czy naprawdę będzie stanowiło przeszkodę dla dobrze wyekwipowanej, wyszkolonej armii?

— Niech pan nie będzie defetystą, kapitanie Smith. Jestem wysłannikiem Sama Houstona. Utrzymamy tę linię obrony.

—Przeciwko armatom?

—Przeciwko armatom — potwierdził Bowie z wielką pewnością siebie. — Alamo już stało się symbolem.

Mariusz zrobił powątpiewającą minę i zmienił temat. Czy symbol wystarcza do wygrania bitwy? Koło kaplicy powiewała na wietrze flaga. Bowie zdjął kapelusz i przyłożył go do piersi.

—*The lone star* — pokłonił się jej z dumą. — Emblemat niepodległego Teksasu.

—A to mi emblemat — gderał Kochaś.

Bowiego powitano jak zbawcę. Podeszedł do niego oficer ubrany w fantazyjny mundur ni to amerykański, ni to meksykański, i oświadczył, że jeśli sobie życzy, może się zapoznać z posterunkiem i jego załogą.

— Podpułkownik Neil — przedstawił się, trzasnąwszy obcasami. — Jak pan wie generał Houston powierzył mi tę misję, dopóki nie przybędzie pułkownik Travis. Do usług, panie pułkowniku.

Przez ten czas uzbrojeni w łuki i strzały Indianie wyładowywali beczki z prochem. Według podpułkownika Neila w misji było stu czterech ludzi, wliczając w to żołnierzy Bowiego. Prawie wszyscy byli myśliwymi lub farmerami uzbrojonymi w karabiny, noże i tomahawki. Ich dyscyplina pozostawiała wiele do życzenia. Podczas przeglądu dokonanego przez Bowiego, nie umieli stać na baczność. Wrzeszcząc, gestykułując, wychodząc z szeregu, pozdrawiali zwyciężcę spod Bexaru, a zarazem zaufanego człowieka Sama Houstona.

Mariusz, Kochaś, Anzelma i Rafael nie uczestniczyli w przeglądzie. Jeździli konno po okolicy i oglądali misję ze wszystkich stron. Przybyli w pobliże jakiejś studni i nie schodząc z siodła, obserwowali mały fort.

— To istne samobójstwo — rzucił Kochaś, opierając się łokciem o kulę meksykańskiego siodła, z nogami wysuniętymi ze strzemion. W walce z doświadczoną armią, piechotą, kawa-

lerią i artylerią sprawa zostanie szybko załatwiona. Wystarczy jedno natarcie.

— Co za szaleństwo — mruknął Mariusz.

Anzelma, która jechała obok jak amazonka, położyła dłoń na jego rękę.

— Tak, ale jesteśmy razem — szepnęła, patrząc na niego natarczywie.

— Może to właśnie jest największym szaleństwem — warknął Mariusz, nie odtrącając jej dłoni.

Jeszcze tego wieczoru spotkali się z Bowiem w Bexarze. Zatrzymali się w centrum miasta, w hotelu The Texas Flower, zwróconym tyłem do wielobarwnej, ukwieconej fontanny.

— Ty jesteś moim kwiatem — wyznała Anzelma do Mariusza, nie dając mu odetchnąć.

Mariusz z Anzelmą zajmowali pokój od frontu, Rafael i Kochaś od podwórza.

Bowie był w mniej optymistycznym nastroju niż przed paroma godzinami. Inspekcja przeprowadzona w Alamo i okolicy ujawniła słabe strony fortu, zwłaszcza dotyczyło to stanu liczebnego obrońców. Jednak nadal zamierzał przekonywać decydentów o konieczności utrzymania Bexaru ze względu na jego kluczowe położenie, gdyby doszło do inwazji na wschodni Texas. Należało powstrzymać generała Santa-Anna, by dać Houstonowi czas na sformowanie prawdziwej armii.

— Będziemy nękali owego meksykańskiego byka jak komar — oznajmił w restauracji hotelowej. — Osłabimy go. Z pewnością wygra, ale już się nie podniesie.

— Macie tu tylko jedno działo dużego kalibru i parę mniejszych — zauważył Mariusz.

Bowie zaczął się śmiać.

— Wiem, kapitanie Smith. Ale mam nadzieję, że oddziały pułkownika Fantina zdołają do nas dołączyć. Na razie napijmy się tequila!

Na Mariuszu zrobiło to wrażenie. Ten człowiek może tu zginąć, a humor go nie opuszcza. Może Ameryka naprawdę jest krajem bohaterów?

*

Mariusz dumiał o różnych sprawach. Myślał o swym ojcu. „Czy będę godny jego, który pod Arnay-le-Duc posiekał dziecięciu kozaków i dzielnie szarżował pod Waterloo?”.

Porównanie z ojcem jest najważniejszą sprawą w życiu każdego mężczyzny. Ale pułkownik Pontmercy nie żył. Mariusz nie musiał mu już niczego udowadniać.

— Czuję, że się wahasz — powiedział mu pewnego wieczoru Kochaś.

Upłynęły trzy tygodnie. Przechadzali się obaj po podwórzu, chcąc wypatrzeć koguta, który codziennie o piątej rano budził ich swym pianiem.

— Po prostu nie chcę pakować was w tę awanturę — odparł Mariusz. — Popatrz, oto nasz śpiewak — dodał, wskazując palcem przysadzistego koguta o ognistych lotkach, ciemno czerwonych fałdach i mięsistych naroślach.

Kochaś się rozżłościł.

— Mam w nosie koguta, do stu diabłów! Chcesz walczyć u boku tych szaleńców? To nic nasza wojna, Mariuszu!

— Jestem obywatelem amerykańskim.

— Bo ułatwi to powrót do Francji!

— Francja już mnie nie chce.

Kochaś stanął przed przyjacielem i złapał go za kołnierz.

— Jesteśmy związani na śmierć i życie. Ale nie pozwolę ci tego zrobić. Słyszysz? Już zapomniałeś o zemście? A ten Amadeusz d'Iguerande, o którym bez końca opowiadałeś? A Kozeta?

— Jestem zmęczony, Kochasiu. Nie mam już ochoty się mścić. Tam, we Francji, uważają mnie za przestępcę, renegata, wyrzutka społeczeństwa. A Kozeta zapomniała o mnie, podob-

nie jak twoja Miauczula o tobie. Kiedy kobiety postanawiają zapomnieć, robią to w mgnieniu oka. Wystarczy błysnąć im przed oczyma nowym szczęściem, synonimem rozkoszy, zabawy, bezpieczeństwa, a nawet się nie obejrzą na tego, którego kochały jeszcze wczoraj. Jeśli między tobą a kobietą coś się skończyło, to na zawsze.

—Upraszczasz, Mariuszu.

—Upraszczam? Popatrz tylko na Anzelmę, jest gotowa na wszystko, byle mnie zdobyć, choćby nawet za cenę swego czasu i wygod. Ale jutro?

—Co jutro? Jeśli Kozeta nie żyje, zawsze pozostanie ci Anzelma.

—Ach, więc to taka kalkulacja? Mam tpać dwie sroki za ogon? No więc cóż, ja nieco upraszcam, a ty jesteś nieco zbyt prosty.

Kochaś zaczął spacerować po podwórzu, mimochodem dając kopniaka wieprzkowi. Zwierzak uciekł, kwicząc. Potem Kochaś znowu zaatakował Mariusza:

— Co cię skłoniło do zmiany planów? Chcesz w to zbiorowe samobójstwo wmieścić Rafaela? Anzelmę? Mnie? O to chodzi? Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli? Wszystko po to, aby zgrywać zucha? Aby ocalić Teksas? A może robisz to dla tego chłystka Trevisa, który właśnie przybył i który uważa nas za swych podkomendnych? Do diabła, oprzytomniej, Mariuszu! Przypomnij sobie Tulon! Musimy wydostać się z tej pułapki.

Mariusz był jakby nieobecny.

—No właśnie — powiedział pojednawczo — uważam, że ten Trevis traktuje Bowiego trochę zbyt lekceważąco. Któregoś dnia z powodu jego noża nazwał go rozpruwaczem.

—Nie nasz interes! — krzyknął Kochaś. — Niech to załatwiają między sobą! — Potem się udobruchał: — Chcesz, żebym ci coś powiedział? No więc dałeś się podejść Anzelmie, Mariuszu. Ściągnęła nas tutaj, żeby mieć cię pod ręką. Bała się, że wyjedziesz bez niej do Francji. Ale wierz mi, ona wcale nie ma ochoty umierać w Alamo!

Bardziej niż o Anzelmie Mariusz myślał o Rafaelu. Czy po to wyciągnął chłopca ze szponów Rudasa i innych, by teraz porzucić go w środku Teksasu? Po prostu, ot tak, przez bohater-szczyzną, przez źle pojętą solidarność?

Po trzech tygodniach w Alamo zaczął się nudzić. Anzelma kochała go, on ją lubił. Jak ma to jej wytłumaczyć? Odważny w boju, nie był ani trochę odważny w miłości. Jedli z Anzelmą tortille i pili *pulque*, zwiedzali wielkie hacjendy na południu od San Antonio de Bexar, jeździli konno w góry, kąpali się nago w małej rzeczulce, wpadającej do jeziora. Często się razem śmiali. Ale Mariusz się nudził.

Wiadomość o przybyciu meksykańskich wojsk przyszła w samą porę. Powiadano, że przekroczyły Rio Grandę. Mimo nacisków Anzelmy i Kochasia, Mariusz nie podjął żadnej decyzji. Nie chciał wyjeżdżać. Czy z obawy, by nie zawieść Bowiego, czy dlatego, by nie uchodzić za tchórza, sam już nie wiedział. Z jego zachowania trudno było cokolwiek zrozumieć. Aby zamaskować swój niepokój, mówił o teksańskich wodospadach i tutejszych przepastnych lasach, o wielkich stadach zwierząt żyjących na wolności. Urzekł go ten ogrom. Francja wydawała mu się bardzo mała.

Pewnego wieczoru zastał Anzelmę przy pisaniu listu. Na jego widok ukryła list w dekolcie i zamknęła sekretarzyk. Wzbudziło to jego podejrzenia. Kobieta, która kocha, jest gotowa na wszystko. Mężczyzna potrafi rozdzielać różne rzeczy, kobieta widzi wszystko jako jedną całość. On dzieli, ona łączy. On kroi, ona zszywa. Mariusz nie wiedział już, co myśleć. Ale może Anzelma po prostu niepokoi się o swą przyszłość.

— W tym kraju jesteście tylko obserwatorami — powie działa cicho. — Dlaczego chcesz walczyć u boku Teksaszczyków? Chcesz mi zaimponować?

Mariusza zaskoczyła impertynencja zawarta w tym pytaniu. Natychmiast zaczął się bronić:

— Niczego jeszcze nie postanowiłem. A poza tym, to ty mnie tu przywlokłaś. Pisałaś testament? Czyżbyś się bała?

—Kocham cię, Mariuszu. Trochę bardziej niż ty mnie. I nie chcę, byś umarł.

—Czy to Kochaś z tobą rozmawiał?

—Tak jest, baronie Pontmercy.

Mariusz zerwał się:

—Nawet zdradził ci moje prawdziwe nazwisko! Anzelma podbiegła i mocno go przytuliła. Była bliska łez.

—Od początku wiem, kim jesteś, Mariuszu... Pamiętasz ruderę Gorbeau?... I tę wątłą chorą dziewczynkę, która z przejściem patrzyła na ciebie swymi wielkimi oczami?... Moja siostra Eponina i ja byliśmy w tobie zakochane... Byłeś Mariuszem Pontmercy, republikaninem, pięknym, zbuntowanym studentem... Później, po dniach barykad i epidemii cholery, ojciec powiedział mi, że dałeś mu kilka franków jałmużny... Był wściekły... Brzydził mnie... Nie miałam już ochoty jechać z nim do Ameryki...

—Dwadzieścia tysięcy franków nazywasz jałmużną? — zadrwił Mariusz.

—Nazywaj to, jak chcesz... Tak mówił mój ojciec... Wiem tylko, że te dwadzieścia tysięcy franków, które ukradłam ojcu, były dla mnie zbawieniem... Mój sukces w pewien sposób zawdzięczam tobie... Pocałuj mnie...

Mariusz ucałował czoło i wargi dziewczyny. Jeszcze przed chwilą podejrzewał, że go zdradziła, że coś knuje. Żałował, że jej nie okłamał. Po co sprawiać komuś cierpienie? Powinno się zawsze kłamać, nawet kiedy kłamstwo przypomina prawdę.

— Mój ojciec był łajdakiem — podjęła Anzelma, odsuwając się od Mariusza. — Wydaje mi się, że wyrządził ci dużo zła. Podobnie jak skrzywdził Kozetę. Dlaczego nigdy nie wymówiłeś jej imienia?

Mariusz czuł się jak zbity pies. A więc Anzelma od początku o wszystkim wiedziała?

— A jak mogłabym nie wiedzieć? — spytała. — Kozeta była w tym samym wieku co moja siostra Eponina, to znaczy

była ode mnie rok starsza. I przez przeszło pięć lat mieszkała u nas w Montfermeil. I chciałbyś, żebym o niej zapomniała? Żebym o niczym nie wiedziała?

Mariusz podszedł do Anzelmy i ujął jej dłoń.

—Wybacz mi, Anzelmo. Zawsze byłem głupcem.

—Nadal ją kochasz?

—Ciebie też kocham.

—Jak można kochać jednocześnie dwie kobiety?

—Kiedy ma się poczucie, że było się źle kochanym, znajdzie się w sercu dość dużo miejsca, by kochać cały świat.

— To zbyt łatwe. A poza tym nie o takiej miłości mówię.

Mariusz opuścił wzrok. Rzeczywiście nigdy nie będzie miał ostatniego słowa.

— Nie wierzysz mi? — zagadnęła Anzelma. — Chcesz, żebym ci opowiedziała o Kozecie? Zachowałam w pamięci małą jasnowłosą dziewczynką, która często płakała. Moja matka biła ją, mój ojciec ledwo ją dostrzegał. Nie istniała dla niego. Jeśli miał fajkę oraz audytorium, które słuchało opowieści o jego napoleońskich kampaniach, wszystkich jego fanfaronad i przechwałek, nic dla niego nie istniało. Ten człowiek nie interesował się nikim poza sobą. Może właśnie dlatego zawsze wychodził cało z opresji. Troszczyć się o innych to nauczyć się umierać. Wiem o tym, Mariuszu. Widziałam Eponinę i Gavroche'a. Kozeta często kryła się po kątach. Drwiliśmy z niej. Była brudna, zapłakana, obdarta. Dzieci są okrutne. Jeśli wybiorą sobie jakąś ofiarę, zgodnie jej dokuczają. Staje się to zabawą. Niemal obowiązkiem. Dziecko jest katem. Ma już w sobie wszystko z dorosłego, brak mu tylko jego ostrożności. W tamtych czasach z niczego nie zdawałam sobie sprawy. Dopiero później żałowałam. Wstydyłam się siebie samej, Mariuszu.

Mariusz długo spoglądał na Anzelmę. Był w samym środku Teksasu, tysiące kilometrów od swego kraju, i musiał natknąć się na kogoś, kto spędzał dzieciństwo z miłością jego życia. Miłością, która być może skończyła się na zawsze, pomyślał

z goryczą. Zrobił gest, który miał wyrażać żal. Teraz on przez moment miał ochotę wziąć Anzelmę w ramiona i przysiąc jej dozogonną miłość. Ale powstrzymała go jakaś dziwna siła. Czyż Anzelma nie należy do rodziny Thénardierów? Czyż nie jest córką człowieka, który pod Waterloo ograbił jego ojca, a następnie podawał się za tego, który go uratował? Do czego są zdolni ci ludzie? Czy Anzelma jest szczerą? Co napisała w liście, który ukryła?

Mariusz nie był z siebie zadowolony. Kiedy wreszcie przestanie miotać się między optymizmem a pesymizmem? Ciągłe zmieniam zdanie. Jestem jak lunatyk. Ale nie mogę być zbyt łatwowierny, mówił do siebie, zbyt często padałem ofiarą innych, by im ufać. Nagle przed oczami stanął mu Thénardier. Tak, przypomniał sobie człowieka, który wyglądał jak rzeźmieszek przebrany za przyzwoitego człowieka: brodę miał ukrytą w halsztuku, na nosie zielone okulary, przyzłizane włosy, szesane aż na brwi, i przyszedł do niego, by oskarżyć Jeana Valjean.

—A oskarżając Jeana Valjean — powiedział szeptem — i pokazując mi oddarty kawałek mego surduta, oskarżał zarazem człowieka, który uratował mi życie, przenosząc na plecach przez kanały. Przedstawił mi się nazwiskiem Tenard. Znałem go także jako Jondrette'a. A jakiego nazwiska używa teraz?

—Nie mam pojęcia — odrzekła Anzelma poruszona słowami Mariusza. — Straciliśmy ze sobą wszelki kontakt. To mój ojciec, ale gardzę nim. Poza tym może już nie żyje. Tak jak Kozeta.

—Tak jak Kozeta...

Mariusz rzucił okiem na Anzelmę. Jej twarz stężała. Przysięgała sobie, że nie będzie kochać, a kochała, przysięgała sobie, że zachowa chłodny umysł, a straciła głowę. Jak się przed tym chronić? Mariusz reagował inaczej. Im lepiej zdawał sobie sprawę ze swych uczuć, tym bardziej wydawały mu się dziwne i niezrozumiałe. Patrząc na wyraz twarzy Anzelmę,

znów odczytał go na swój sposób. Wstrętny sposób. Sposób nie przynoszący mu zaszczytu. Poza tym Anzelma położyła rękę na sukni dokładnie w tym miejscu, gdzie ukryła list. Zacisnęła pięści. Nie rozczulą mnie już jej kłamstwa, powiedział sobie w duchu. Mógłby się założyć, że ten list to donos. Czyż nie wspominał Anzelmie o komisarzy Raynaud? Czyż nie mogła do niego napisać, by go powiadomić, że kapitan Howard Smith to nikt inny jak Aleksander Tixier? A wtedy, gdyby wrócił do Francji pod tym nazwiskiem, czekałaby go zguba. Nagle opuściła go wszelka myśl o zemście. Ogarnęło go ogromne znużenie. Tak jak kiedyś na galerach, tak teraz wszystko wokół niego załamało się. Opadły go czarne myśli. Anzelma? — to intrygantka. Kozeta? — jeśli nawet nie umarła, niewiele to zmienia; pewnie nawet już o nim nie myśli. — Amadeusz? — a niech sobie idzie do czorta. Louis--Desire? — tak samo. Kochaś i Rafael? — niech wracają do Nowego Orleanu.

—Jutro wieczorem — odezwała się wówczas Anzelma — będziemy świętować przybycie Davy'ego Crocketta.

—Davy'ego Crocketta?

Mariusz zamyślił się. W Alamo będą Bowie i Crockett, dwaj wielcy bohaterowie. Dlaczego nie umrzeć u ich boku?

*

Bowie i Travis nie darzyli się szacunkiem. Gdy podpułkownik Neil, wyposażony w nadzwyczajną przepustkę, wyjechał z Alamo, doszło między nimi do starcia. Pierwszy miał w nosie dyscyplinę, drugi zdawał się sztywno przestrzegać zasad. Walka była twarda. Obsypali się najgorszymi wyzwiskami. Pułkownik Travis, oficer regularnej armii, miał Bowiego za hołysza bez skrupułów, awanturnika bez czci i wiary. Bowie uważał Trvisa za wymuskanego południowca, lalusia głupio przestrzegającego starych zasad dotyczących honoru i godności.

— Zapłaci mi pan za to — powiedział pierwszy.

— Kiedy pan tylko zechce! — odparł drugi.

Chcieli się pojedynkować. Rozdzielił ich Crockett, który przyjechał z Tennessee z tuzinem ludzi. Dzięki otaczającej go legendzie zdobył zaufanie obydwu adwersarzy. Wprawdzie nie pogodził ich, ale napiętnował ich postawę jako głupią i wręcz samobójczą. Dla załogi był zbawcą. Darzono go pełnym zaufaniem. A ponieważ korzystał z wolności, którą się zawsze szczylił, odmówił przyjęcia dowództwa. Wolał zająć się ostatnimi przygotowaniem do oblężenia.

Nazajutrz wieczorem w zadymionej tawernie w Bexarze, gdzie przy dźwiękach trąbek i skrzypiec jadło się tortille i piło szkocką whisky, spotkał Mariusza, tego młodego Frenchie, który pokonał go podczas walki degustacyjnej w gospodzie U Córki Sierżanta.

— Jest pan z nami? — spytał, prawie podnosząc go z ziemi jedną ręką.

Mariusz twierdząco skinął głową. Przy sąsiednim stoliku Anzelma i Kochaś rozmawiali z Bowiem i dwoma innymi traperami.

— Tym razem nic będą to zawody w picciu rumu albo skakanii przez krzesło — zauważył Crockett z uśmiechem.

I machnął swym karabinem z długą lufą, nazywanym familiarnie Old Betzy.

—Wiem — rzekł Mariusz.

—Ile ma pan lat?

—Dwadzieścia sześć.

—Jest pan za młody, by umierać. Zwłaszcza dla sprawy, która nie jest pańską sprawą. Ja mam już pięćdziesiątkę.

—Nie jest pan dość stary, by przestać żyć — odpowiedział Mariusz. — We Francji za czasów cesarstwa pewien generał kawalerii nazwiskiem Lasalle mawiał, że huzar, który skończył trzydzieści lat i jeszcze żyje, jest łajdakiem.

—Ma pan więc przed sobą cztery lata, kapitanie Smith.

— Pan przekroczył już ten termin.

Crockett odstawił karabin.

— Bardzo zabawne. Ale co pan zrobi z Lady A.? I z dzieckiem, które ma pan ze sobą? Powtarzam, ta sprawa nie jest pańską sprawą.

Potem wypił duszkiem całą szklanicą whisky i rzekł:

—A teraz, skoro pan nalega, będziemy bardzo zaszczyceni, gdy dołączy pan do nas. Mamy już Anglików, Irlandczyków, a nawet Francuza. Proszą się zastanowić.

—Już się zastanowiłem — mruknął Mariusz cierpko.

*

Następnego dnia jednostki meksykańskiej armii rozlokowały się w Bexarze i okolicy. Mariusz, który bez uprzedzenia opuścił Anzelmą, Kochasia i Rafaela, zobaczył trójkolorowy sztandar powiewający nad obozami. Był podobny do francuskiego. Z tą tylko różnicą, że w miejsce koloru niebieskiego był zielony. Kolor nadziei? Zastanowił się, czy Meksykanie dobrze potraktowali jego przyjaciół. Odwracając się, zauważył nad kaplicą sztandar teksański. Był w tych samych kolorach co flaga meksykańska. Na kolorze białym widniał wydrukowany numer 24. Mariusz nic z tego kraju nie rozumiał. Nawet o nic nie pytał.

Późnym rankiem objęli z Crockettem dowództwo nad dwudziestoma jeźdźcami. Zaskoczyli Meksykanów w trakcie rozbijania obozu. Zniszczyli jedno lekkie działo i zabili dziesięciu żołnierzy. Żaden z Tekszańców nie odniósł ran. Przy okazji zdobyto na wrogu dziesięć sztuk bydła i cztery baryłki prochu. Był to dobry początek.

Dwa dni później meksykański lansjer przygalopował do Alamo z białą flagą. Daleko na wschód i zachód od Bexaru można było zaobserwować wzmożone ruchy wojsk. Lansjer odczytał pismo. Generał Santa-Anna wzywał garnizon Alamo do poddania się. Travis kazał odpowiedzieć mu armatnim strzałem.[^]

— Nie taki znów lalusz z naszego małego Travisa — rzucił Bowie na stronie.

Nazajutrz na wieżę kościoła w Bexarze wciągnięto czerwoną flagę. Był dwudziesty trzeci lutego.

—Co to znaczy? — spytał Mariusz Crocketta.

—Że nikogo nie puszcza z życiem.

Meksykańskie działa zostały ustawione na drugim brzegu rzeki San Antonio. Zaczął się silny ostrzał, który trwał do następnego ranka.

Mariusz przez całą noc nie zmrzył oka. Przed dwoma laty, z dokładnością do dwóch miesięcy, wysłano go na galery. Przyjrzał się swym towarzyszom. Morale mieli dobre. Czyż Travis nie obiecywał, że pułkownik Fannin przyjdzie im z pomocą?

Późnym popołudniem usłyszeli wojskową muzykę. Obrońcy stłoczyli się na barykadach. Zobaczyli chmary żołnierzy. Co najmniej cztery tysiące, powiadano. Szare pułki lansjerów, czerwone dragonów, białe, czerwone i niebieskie piechurów w czakach dopasowanych do nich barwą. Była to kolorowa wojna. Fanfara grała jakąś oszałamiającą melodię. Po chwili kawaleria i piechota rozwinęły się, by otoczyć Alamo z trzech stron. Aż tutaj dochodziły wiwaty żołnierzy zagłuszane trąbkami, które bez przerwy grały ową oszałamiającą melodię.

— Co to za melodia? — chciał wiedzieć Mariusz.

Travis, który stał na głównym podium z szablą w dłoni, natychmiast go poinformował:

—To *deguello*. A *deguello* po hiszpańsku znaczy morderca.

—Uważają nas za morderców?

— Tak twierdzą — zadrwił Travis. — Niemniej jednak to cudowna melodia. Ma się przy niej niemal ochotę umrzeć.

I odwrócił się na pięcie, by pójść na zachodni mur, gdyż znowu zaczęła się kanonada.

Niebo momentalnie stanęło w ogniu. Huk meksykańskich armat rozbrzmiewał jak bicie krwi w tętnicach. Mariusz uważnie obserwował ruchy wojsk. Ich manewry wyglądały imponująco. Pomyślał o ojcu. Zwłaszcza widząc generała Santa-Anna i jego sztab na koniach, w dwurożnych kapeluszach, ozdobio-

nych złotymi galonami, które pobłyskiwały przy każdym wystrzale. Chorągwie powiewały na wietrze. Przenikliwie gwizdały kule, co dowodziło, że meksykańscy strzelcy podeszli już bardzo blisko. Więc to jest wojna?

— *Fire!*

Travis wydał komendą, by zaczęto strzelać z dział. Oszczędzał armatę o dalekim zasięgu, która zużywała zbyt wiele prochu. Strzelano z niej tylko od czasu do czasu.

— Ponieważ chcą nas nękać, my będziemy ich nękać tak że! — krzyknął. — Trzydziestu jeźdźców za mną!

Mariusz zgłosił się na ochotnika. Bramy fortu otworzyły się i jeźdźcy podzielili się na trzy grupy. Cci był jasny: należało zniszczyć małe stojące bardzo blisko fortu budynki, za którymi kryli się nieprzyjacielscy strzelcy.

Błyskawiczny atak został ukoronowany sukcesem. Mariusz walczył z wyciągniętą szablą i sam zabił czterech Meksykanów. Granaty dokonywały cudów. Gdy nieprzyjacielska piechota uciekła, Mariusz chciał się puścić za nią w pościg. Dalej były okopy. I szwadron lansjerów. Mariusz osadził konia w miejscu. Wyjął pistolet i wycelował w lansjerów. Cztery razy nacisnął na spust i cztery razy trafił. Jak w strzelnicy na wiejskim jarmarku. Jeźdźcy zachwiali się.

Travis przywołał Mariusza do porządku:

— Kapitanie Smith, proszę natychmiast wracać!

Mariusz usłuchał. I Teksaszczycy zawrócili przy dźwiękach trąbki.

Lansjerzy rzucili się w pościg za nimi. Przed fortecą powitał ich gęsty ogień. Cofnęli się w nieładzie. W całej misji zabrzmiała okrzyki radości. Potyczkę mylono z bitwą.

Wieczorem zorganizowano inne wypad. Na szczęście kurierzy bez trudu przekraczali nieprzyjacielskie linie. Podczas rozdzielania racji żywnościowych zasygnalizowano, że nadjeżdża czterech jeźdźców. Pędzili co koń wyskoczy w kierunku misji.

— Otworzył bramę! - rozkazał Travis.

Gdy Mariusz poznał jeźdźców, zbladł. Byli to Anzelma, Kochaś i Rafael, a z nimi niejaki kapitan Seguin, szef meksykańskich ochotników wrogich wobec generała Santa-Anna.

Wjechali do środka i zsiadli z koni.

— Nie czekajcie na pułkownika Fannina i posiłki — oznajmił meksykański oficer, stając na baczność. — Pobito ich pod Goliad. Jeńców wybito do nogi.

Travis wiercił obcasem ziemię, co było u niego oznaką hamowanego gniewu. Bowie, który spadł z konia i miał nogę w łubkach, czyścił sobie paznokcie ogromnym nożem. Crockett trzymał karabin i uśmiechał się gorzko.

— Pokażemy im, że nie jesteśmy tchórzami — powiedział z miną sugerującą, że to, czego nie zna, nie zasługuje na poznanie.

Czy miał na myśli strach?

—Tylko Houston może nas uratować — oświadczył Travis. — Mam nadzieję, że udało mu się zebrać wojsko. W przeciwnym razie...

—W przeciwnym razie co? — uciął Bowie, który nie chciał leżeć w łóżku. — W przeciwnym razie zmasakrują nas? Czy nie po to tu jesteśmy? Aby być symbolem?

Travis wyciągnął szablę z pochwy i narysował coś na ziemi.

— Na pewno nie wytrzymamy długo. Przerwą nasze linie w tym miejscu. Ale wiercie mi, panowie, to zwycięstwo będzie ich kosztowało drożej niż klęska!

Tymczasem Mariusz padł w ramiona swych przyjaciół. Życie ma swoje dobre strony. Spozrzegł to z przestraczem.

*

Decyzja została podjęta bez konsultacji z Mariuszem. Dwudziestego ósmego lutego rano wokół Alamo zacisnęły się kleszcze. Nowa meksykańska bateria została wycelowana w fort, zagrażając całej stronie północnej. Travis liczył już tylko na Houdsona.

—Wytrzymamy najwyżej tydzień — powiedział do Bowiego i Crocketta. — Trzeba jeszcze raz zwrócić się o pomoc do Houstona. Kto wie? Może udało mu się zebrać wojsko.

—Wyślijmy Francuza i jego przyjaciół — podsunął Crockett.

—Doskonały pomysł — przytaknął Bowie, puszczając oko, wsparty o swój karabin jak o kulę. — Czarująca Lady A. nic ma tu już nic do roboty.

Natychmiast wezwano Mariusza.

—Moje miejsce jest wśród was — odparł dumnie, gdy złożono mu tę propozycję.

—Jest pan w dwójnasób głupcem — odparił Travis sucho. — Po pierwsze dlatego, że chodzi o uratowanie tego garnizonu, po drugie dlatego, że jest z panem kobieta i dziecko.

Crockett i Bowie, którzy doceniali odwagę Mariusza, pokiwali głowami na znak aprobaty. Planowano, że emisariusz wyjedzie jeszcze tego wieczoru. Propozycję trzeba było przyjąć bądź odrzucić.

— Ma pan czas do wieczora — zakończył Travis. — Potem będzie za późno. Pozwalam też sobie przypomnieć, że jeśli pan odmówi, pojedzie ktoś inny. Jak widać, nie chodzi tu o faworyzowanie kogokolwiek.

Mariusz nie powiedział o tej propozycji Anzelmie i Kochasiowi. Ponieważ Anzelma pragnie umrzeć ze mną, pomyślał, jej życzenie zostanie spełnione. A Kochas jest wystarczająco dorosły, by wybierać.

Po południu Mariusz stał na południowych murach w towarzystwie Rafaela. Chłopczyk patrzył z zachwytem na ruchy nieprzyjacielskiej kawalerii. Było to wielobarwne widowisko, z kawkadami, fanfarami. Jak na jakiejś uroczystości.

— Myślisz, że umrzemy? — spytał Mariusza.

Mariusz oparł karabin o palisadę i wziął dziecko w ramiona.

— Nie ma o tym mowy — skłamał, sam się sobie dziwiąc, że nawet się nie zająknął.

Opadły go wyrzuty sumienia. Kimże jest, by ośmielać się decydować o życiu i śmierci tego dziecka? Po ucieczce z galer okazał się odważny, nieulekły, zdeterminowany, czasem nawet okrutny, jak podczas spotkania z Węgrami i hiszpańskim kupcem na Kubie, ale nagle zadał sobie pytanie, czy to wystarczyło, by zrobić z niego mężczyznę. Ludzi, których kochamy, możemy znieść, gdy mamy pewność, że możemy ich opuścić, mówił sobie. Skąd więc ten niemądry wstyd? Wówczas znów nawiedziło go wspomnienie Jeana Valjean. Jean Valjean ocalił Kozetę, on szykuje Rafaelowi zgubę; Jean Valjean ocalił Kozetę, bo potrafił wyrzec się wielu rzeczy, on porzuca Rafaela powodowany dumą. W jego oku pojawiła się łza. Jedna z tych, które są ciemnymi perłami duszy.

—W każdym razie ja nic mogę umrzeć — oświadczył Rafael, marszcząc brwi.

—Tak? A to dlaczego?

Chłopczyk włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej jakiś przedmiot.

Pod Mariuszem ugięły się nogi. Mały trzymał w ręku przezroczysty kamień. Skalny kryształ taki, jaki miała Kozeta.

—Kto ci dał ten kamień? — spytał, ściskając rękę Rafaela.

—Boli...

—Wybacz, Rafaelu. Ale powiedz mi, skąd go masz, to bardzo ważne.

—Dał mi go nowy pracownik w warsztacie. Miał ogolone włosy i cały czas spał. Był podobny do dziewczyny. Powiedział mi, że jemu jest już niepotrzebny.

Nowy, który był podobny do dziewczyny? Mariusz głęboko wciągnął powietrze. To mogła być tylko Kozeta. Kozeta, która dostała się w łapy tego Tardiera, tego Kocięgo Króla, o którym opowiadał mu Kochaś. Chwytał Rafaela w ramiona i ucałował go z dubeltówki.

— Masz rację, nie umrzemy... — powiedział, wyciągając z kieszeni swój kamień: — Widzisz, mnie on także chroni. To

kryształ skalny, magiczny kamień. Nie umrzemy, skarbie. A nawet wydostaniemy się stąd jeszcze dziś wieczorem, obiecuję...

Mała grupka, która podążała z Mariuszem, cudem wymknęła się z okrążenia. W okolicach Bexaru strzelano do nich parokrotnie, ale niecelnie. Santa-Anna i jego ludzie byli zbyt zajęci Alamo, by przywiązywać jakąkolwiek wagę do czworga dezertarów. Meksykański generalissimus był zresztą pewny swego. Wiedział, że teksańskiej armii nie ma. Jednak w grę wchodził jego honor. Oraz honor Meksyku. Wbrew obiekcjom niektórych swoich oficerów zamierzał niestety zniszczyć Alamo. Za wszelką cenę. Ofensywa miała się rozpocząć piątego marca.

Kiedy Mariusz stanął przed generałem Houstonem, olbrzym ubranym w indiański strój, z twarzą pocętkowaną przez ospę i cygarem w ustach, spotkało go wielkie rozczarowanie. Tam, gdzie Houston stacjonował, czyli w okolicach San Felipe de Austin, nie mógł wicie zdziałać. Oczywiście zgłosiło się trochę ochotników, z których utworzono jednolite bataliony, ale była to kropla w morzu potrzeb.

— A poza tym, niech pan spojrzy, co za pogoda, co za piekielny deszcz! — zawołał olbrzym, potrząsając frędzlami swej skórzanej kurtki. — Przed kwietniem nie można niczego przedsięwziąć.

Mariusz zaprotestował:

— Zginie stu osiemdziesięciu ludzi, panie generale!

— Ich poświęcenie nic pójdzie na mamę — odparł Houston z poważnym wyrazem twarzy.

Gdy mowa o poświęceniu innych, generałowie zawsze przyjmują poważny wyraz twarzy. Mariusz spiorunował wzrokiem tego pocętkowanego kolosa, manifestującego fałszywe współczucie. Zgadza się bić przeciwko nierówności, mruknął pod nosem, ale nigdy nie będą już walczył w żadnej partii czy

u boku tych patentowanych faryzeuszy. Oburzało go takie postępowanie.

— Zwycięzimy — zapewnił Houston, poklepując przyjacielsko Mariusza.

Wyjaśnił, że uchwalono już niepodległość, że teraz potrzebna jest tylko armia, że trzeba pójść na wschód, a potem oczywiście doprowadzić do klęski Meksykanów.

Mariusz był wstrząśnięty. Wbrew wszelkiej logice postanowił wrócić do Alamo. Choćby po to, by powiadomić oblężonych o niepowodzeniu swojej misji. Kochaś potraktował go jak człowieka niespełna rozumu, Anzelma usiłowała odwieść go od tego pomysłu: na próżno.

— Nie musicie mi towarzyszyć — powiedział wyniośle. — Możecie robić, co chcecie.

Siłacz pozzrzedził dla zasady, Anzelma wzruszyła ramionami.

— Mariusz jest głupi — odezwał się nieśmiało Rafael.

— Prawda przemawia przez usta dzieci — uznała Anzelma.

I mała grupka ruszyła w drogę.

Postanowili, że kiedy dotrą do Bexaru, do Alamo uda się jedynie Mariusz. Anzelma, Kochaś i Rafael mieli na niego czekać w okolicach San Antonio.

Parę kilometrów przed Bexarem Rafael odwrócił się do Mariusza i spytał:

— A kamień?

— Masz rację, chłopcze. W przyszłości nie będę już mówił głupstw.

Bardzo się pilnował, by nie zdradzić Anzelmie dobrej nowiny mającej związek z Kozctą. Dręczył się swym tchórzostwem. Jak ma to jej wytłumaczyć?

Po przejechaniu przez las sosen i gęstych ciernistych krzewów znaleźli się na kamienistej drodze, która ginęła w smudze szarego piachu zmieszanego z sosnowym igliwem. Miękkie podłoże tłumilo wszystkie odgłosy. Szmer oddechów, skrzypienie siodła, delikatne parsknięcia koni, oganiających się od much, mieszały się z podmuchami wiatru. Za jednym z za-

krętów spotkali uciekających farmerów. Wszyscy się zatrzymali. Pasażerowie pierwszego wozu wydawali się przerażeni. Anzelma spytała o powód tej paniki.

—Alamo padło, wszyscy zginęli. Meksykanie idą na San Felipe de Austin, pałac wszystko po drodze. Podobno zostawili za sobą półtora tysiąca trupów, a generał Santa-Anna szaleje z wściekłości.

—Musimy jechać do Matagordy. Tam przynajmniej nie spotkamy Meksykanów.

—Uważajcie, pełno ich wszędzie — odpowiedział woźnica i zaciął konie batem. — Wszędzie roi się od dezertów, rabusiów, teksańskich renegatów. Niech Bóg ma was w swej opiece!

I konwój ruszył dalej.

Kochaś i Mariusz popatrzyli na siebie ze smutkiem. Trzeba znów uciekać, to jedno, co im pozostało.

Dwa dni potem, w górze rzeki Kolorado, ominąwszy osady i kolumny meksykańskiego wojska, które kierowały się na zachód, dotarli do czegoś w rodzaju zapomnianego raj. U ich stóp rozciągała się różowawa dolina przesłonięta lekkimi mgłami. Wyglądała spokojnie i pogodnie. Była przeźrażliwie pusta. Owa panorama, która nagle ukazywała skalę świata, w którym się znajdowali, była fascynująca. Czworo jeźdźców spoglądało na siebie w milczeniu. Było cicho jak makiem zasiał. Mariusz nawet nic drgnął. Ów ogrom przerażał go. Zastanowił się, czy kiedykolwiek żył gdzie indziej, jak mógł przebywać w tłumie, w Paryżu, w sercu dzielnicy Opery, a nawet w Tulonie; jak to możliwe, by na świecie istniały miasta pełne ludzi i zgiełku, przeludnione kraje, niespokojne narody. Tutaj człowiek odnosił wrażenie, że patrzy na pierwsze dni wszechświata, w całej wyniosłości niemej materii: woda, ziemia, skały, lasy i bagniska. Zadrżał. Poczł się bardzo mały. Nic już nie miało znaczenia. Na hałaśliwą komedię przeszłości, terażniejszości i przyszłości opadła nagle kurtyna. I zdawało mu się, że słyszy

za sobą niby echo śmiechy, drwiny, paplaniną. Cały arsenał różnych szyderstw.

Czwórka uciekinierów okrążyła dolinę i ruszyła w dalszą drogę. Prowadził ich Mariusz. Jadąca za nim Anzelma patrzyła, jak posuwa się w ostrym świetle dnia. Jego wysoka sylwetka odcinała się od tła z brutalną wyrazistością. Jadąc przez to wyjątkowo piękne miejsce zakłócał jego spokój. Pomyślała, że naprawdę jest mężczyzną jej życia.

Minąwszy równinę, natrafili na małe jeziorko i wieś o nazwie El Campo. Na dźwięk trąbki skręcili w prawo i pogalopowali w kierunku Matagordy. Od wybrzeża dzieliło ich już zaledwie parę kilometrów.

W pewnej chwili dotarli do czegoś w rodzaju wąwozu przegrodzonego dość niską skalistą zaporą z przejściem w środku. Było to istne ucho igielne. Kochaś, który jechał na czele pochodu, zatrzymał konia. Podniósł głowę i rozglądał się po okolicy niczym czujny pies. Włosy rozsypały mu się na ramiona. Gdy stał pod światło, słońce utworzyło wokół jego głowy małą rudawą aureolę. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, skierował się ku przejściu, a mały Rafael za nim.

Mariusz wyciągnął z futerału karabin, przyłożył go do ramienia i wodził nim wokół sylwetek Rafaela i Kochasia. Anzelma została przy nim.

—Powinnaś pojechać z nimi — szepnął. — Nie podoba mi się ta cisza. Ptaki przestały śpiewać.

—Nie zostawię cię samego, mowy nie ma.

Kiedy Kochaś z Rafaelem zniknęli, Mariusz odczekał parę minut.

— W porządku! — usłyszeli głos Kochasia.

Mariusz włożył karabin na miejsce i dał ostrogę koniowi. Oboje z Anzelmą powolutku, nie przyspieszając tempa, ruszyli w stronę przejścia. I wówczas, jakieś pięćdziesiąt kroków od skalistej zapory, zabrzmiało kilka wystrzałów. Koń Mariusza wierzgnął, stanął dęba, a potem padł na bok, pociągając za

sobą jeźdźca, który na szczęście uwolnił nogi ze strzemion i potoczył się po ziemi.

— Anzelmo! — zawołał.

Huknęły dwa kolejne wystrzały. Mariusz wstał i dał nura za ciało swego konia. Anzelma, którą koń wysadził z siodła, również ukryła się za zabitym zwierzęciem.

— Nic ci się nie stało? — spytała.

— Kula drasnęła mnie tylko w udo.

Mariusz podniósł głowę i zobaczył czterech Meksykanów. Schowali się wśród skał, a można ich było poznać po dużych filcowych sombreroach i czerwonych mundurach. Przestali się ukrywać.

— Co za spotkanie, *compañeros!* — wrzasnął ktoś nosowym głosem. — Nie zrobimy wam nic złego, chcemy tylko *el caballo!*

— Konia? Chodźcie i weźcie go sobie! — odpowiedział Mariusz gniewnie, przypominając sobie o śmierci Bowiego i Crocketta.

Na ripostę nie trzeba było długo czekać. Koło ich uszu świsnęły cztery kule. Potem nastąpiła cisza. Napastnicy musieli naładować broń. Nagle ostry gwizd, który Mariusz poznałby na końcu świata, zasygnalizował mu obecność Kochasia. Odwrócił się i zobaczył konia Anzelmy. Był ledwo parę kroków od niego.

— Zostań tu — powiedział. — Spróbuję go złapać.

Odwrócił się i zaczął się czołgać w stronę konia. Znowu zabrzmiał strzał. Jak smagnięcie bicia. Mariusz przypadł twarzą do ziemi. Kula rykoszetem musnęła mu czoło.

— Mariuszu! — krzyknęła Anzelma. — Jesteś ranny?

Ogłuszony, z czerwoną pręgą na czole, z trudem uniósł głowę. Potem wycofał się do swej kryjówki.

— Nic z tego — westchnął, gdy Anzelma przykładła mu chusteczkę do czoła.

Wziął chusteczkę, owiązał nią głowę i oparł się o zad martwego zwierzęcia. Kiedy podniósł oczy, za żołnierzami zobaczył

Kochasia, który zamierzał zająć ich od tyłu. Kochaś dał przyjacielowi znak, że może wziąć na siebie dwóch Meksykanów. Mariusz sprawdził ręką broń i poprosił Anzelmę, by podała mu karabin.

Zrobiła to i szepnęła:

—Wrócisz do Francji?

—Nie sędzę.

—Nie kłam.

—Jak się domyśliłaś?

—Czytam w twoich oczach.

Mariusz odciągnął kurek karabinu.

—A wyczytałaś w moich oczach, że zabiorę cię ze sobą?

— Naprawdę? — powiedziała Azehna. — Nie umiesz kła mać, Mariuszu. — Myślę, że...

Nie zdążyła skończyć. Usłyszeli dwa wystrzały jeden tuż za drugim, a potem dwa następne. Mariusz podniósł głowę i zobaczył dwóch żołnierzy. Stali bez żadnej osłony, zwrócenii tyłem do niego, i pokazywali palcami coś za sobą. A więc Kochaś nie spudłował. Mariusz natychmiast to wykorzystał. Wziął na cel jednego z pozostałych przy życiu Meksykanów i nacisnął spust. Żołnierz zachwiał się i padł między skały. Drugi, przerażony, nie mogąc zobaczyć kto ich zaszedł od tyłu, strzelił na chybił trafił. Potem rzucił karabin za siebie. Usłyszeli, jak klnie. Zygakiem pobiegł między skały i zeskoczył z zapory. Tam wyciągnął pistolet i kiwnął na Mariusza, by podszedł. Mariusz podniósł się powolutku, trzymając w dłoni rewolwer.

—Oszalałeś — zaprotestowała Anzelma i także wstała.

—Ukryj się! — odpowiedział Mariusz.

Ponieważ Meksykanin złożył się do strzału, Mariusz strzelił pierwszy. Niestety chybił. Żołnierz raptownie się odwrócił. Bał się tego, który zabił jego towarzyszy, ale nie widział go. Zresztą z tej odległości w żadnym wypadku nie mógłby trafić. Wobec tego roześmiał się szeroko i koniuszkami dwóch palców podniósł kapelus.

— Teraz moja kolej, *amigo*.

Mariusz nadal trzymał go na muszce. Żołnierz zbliżał się pewnym krokiem, patrząc to na Mariusza, to na Anzelmę. Na skroniach perlił mu się pot. W wąwozie unosił się zapach prochu.

Gdy znalazł się dziesięć kroków od Mariusza, wyciągnął swoją krótką szablę i lekko opuścił lufę pistoletu. Nie odrywał oczu od broni Mariusza.

—Marnie strzelasz, Teksąńczyku.

—A ty za dużo gadasz, Meksykaninie.

Gdy padł strzał, żołnierz wypuścił szablę z dłoni. Jego oczy wydawały się całkiem białe. Nigdy nie widział rewolweru, nie przypuszczał nawet, że coś takiego istnieje. Było za późno, gdy to sobie uświadomił. Upadł na bok z pistoletem w rękę, trzymając palec na spuście.

—Trafiłeś? — zabrzmiał głos Kochasia.

—W dziesiątkę! — zawołał Mariusz.

—Czekamy na was po drugiej stronie!

Mariusz podbiegł do konia Anzelmy i dosiadł go jednym skokiem. Chwycił lejce i zwrócił się do Kochasia:

— Zaraz będziemy!

Podjechał do Anzelmy, by wsadzić ją na siodło za siebie. Schylił się i podał jej rękę. Chwyciła ją i rzekła:

— Najpierw mnie pocałuj.

Zrobił to. Nagle Anzelma kątem oka spojrzała na leżącego na ziemi Meksykanina, który ostatkiem sił dźwignął się i wy-celowwał w Mariusza.

— Nie!

Wspięła się na palce i wciągnęła się na szyję konia, pragnąc zasłonić Mariusza. Padł strzał. Mariusz schylił się, złapał Anzelmę wpół i odsunął na bok. Znalazła się na koniu za nim. Potem chwycił szablę, podjechał do umierającego i dobił go, przygważdżając sztychem do ziemi.

— Macie jakieś kłopoty? — znów usłyszeli głos Kochasia.

— Skądże! — odpowiedział Mariusz. — Po prostu ktoś nie chciał umrzeć.

Potem spytał Anzelmę:

—Wszystko w porządku?

—W porządku.

Objęła rękami talię Mariusza, który płaską stroną szabli okładał końskie boki. Spotkali się z Kochasiem i Rafaelem po drugiej stronie zapory.

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie i natychmiast pogalopowali w stronę wybrzeża.

*

Godzinę później jechali wzdłuż morskiego brzegu. Trafili na małą plażę, zobaczyli rybacką łódź, parę chat. Nierzeczywiste kolory. Jakiś nagi do pasa mężczyzna siedział w kucki i naprawiał sieci. Wstał i podszedł do jeźdźców. Miał twarz Indianina i muskuły gladiatora. Kochaś natychmiast wyłożył mu, o co chodzi.

— My, rodacy, musimy sobie pomagać — mruknął mężczyzna. — Zawiozę was do Nowego Orleanu.

Mariusz zsiadł z konia i wyciągnął ramiona do Anzelmy. Była biała i dygotała. Przechyliła się na bok i osunęła w ramiona Mariusza.

— Co się z nią dzieje? — spytał Kochaś, zeskakując z konia.

Mariusz otoczył ręką kibić Anzelmy i poczuł coś mokrego i lepkiego. Jej wargi skrzywiły się w dziwnym uśmiechu. Położył dziewczynę na piasku i zaczął całować jej włosy.

— Kochasiu! — ryknął. — Ona jest ranna! — I zaczął, powtarzać z nieprzytomnym wyrazem twarzy: — Moja mała dziewczynka, moja mała dziewczynka...

Siłacz podbiegł i obejrzał ranę. Anzelma dostała postrzał w plecy. Mariusz zmienił się na twarzy. Przed chwilą, rzucając się przed niego na końską szyję, Anzelma uratowała mu życie. Poświęciła się dla mężczyzny, którego kochała. Wtedy przypomniała mu się przepowiednia starej kapłanki wudu. I o mało nie wybuchnął płaczem.

— Przenieśmy ją do mnie — rzekł człowiek o twarzy In dianina. — Moja żona się nią zajmie.

Była to białobrzozowa chata, nieco większa od pozostałych, z rozpadającym się gankiem, porozwieszanymi sieciami, rozgwiazdami przybitymi do ścian. Dziwnie w niej pachniało. Położyli Anzelmę na posłaniu z pakuł. Potem zostawili ją samą z żoną rybaka. Kobieta napoiła ją szarawym wywarem, a następnie rozebrała i przemyła ranę. Nie można było wyjąć kuli, prawdopodobnie utkwiała między dwoma kręgami. Żona rybaka położyła na ranę opatrunek z alg i suchych roślin. Na koniec owinęła Anzelmę bandażem, który przypominał gorset.

—No i jak? — spytał Mariusz, kiedy kobieta wyszła z chaty.

—Wygrzebie się, jeśli bardzo będzie chciała żyć. Trzeba zoperować ją natychmiast po powrocie do Nowego Orleanu.

Mariusz poczuł, że wraca mu życie. Nawet już nie myślał o Kozecie. Wszedł do chatki i rzucił się na kolana u stóp posłania, na którym spoczywała Anzelma. Nie skarżyła się. Na widok Mariusza powiedziała tylko:

— Pamiętasz przepowiednię mamy Kougna? Jeśli mam umrzeć, chcę, by stało się to w moim domu w Nowym Orleanie.

Mariusz ujął jej dłoń i przyłożył ją sobie do serca.

—Kto tu mówi o śmierci? Zawieziemy *cią* do Nowego Orleanu, tam lekarze cię zoperują. Uratuję cię, moja mała dziewczynko.

—A potem?

—Potem zabiorę cię do Francji.

— A twój kryształ?

Mariusz bąknął coś pod nosem.

— Rafael wszystko mi powiedział, Mariuszu... Nie potępiam cię... Ale co byś zrobił z dwiema żonami?

Trzy dni później rybacka łódź płynęła na pełnym morzu koło Houmy w delcie Missisipi. Potem musieli przesiąść się na

inną łódź i płynąć przez mokradła między mangrowcami, hiacyntami i nenufarami. Kochasiowi aligator o mało nie odgryzł drugiej ręki. Potem płynęli szybko jeszcze jeden dzień. I wreszcie dotarli do Nowego Orleanu.

Anzelma była u kresu sił. Przez całą podróż, w dzień i w nocy, jej dłoń spoczywała w dłoni Mariusza. Zazdrość w jej sercu nieco się uciszyła. Kochała tak głęboko, że wszystko inne przestało się liczyć.

Zawieziono Anzelmę do jej domu. Zaraz zajął się nią lekarz kapitana Fremonta oraz pewien słynny chirurg. Po zbadaniu chorej wydali bardzo ostrożną diagnozę. Zgodni byli co do tego, że Anzelmę trzeba natychmiast operować. Niezwłocznie przystąpiono do przygotowań. W domu, a nawet w tawernie : U Córki Sierżanta wszystkich zaprzęgnięto do pomocy. Przy- ! gotowano mnóstwo gorącej wody, alkoholu, czystej bielizny , i szarpi. Kelnerki porozstawiały prawie wszędzie wielkie bu- i kiety kamelii. Kazano palić liście eukaliptusa. Lady A. potrzebowała piękna i miłych zapachów. Potem zapadł werdykt. Anzelma straciła dużo krwi. Ale chirurgom udało się wyciągnąć kulę.

—Wyjdzie z tego, doktorze? — pytał Mariusz z niepokojem.

—Ma silny organizm. Ale kula wyrządziła szkody. Nie i wiem, jak wielkie.

i
Nie powiedział nic więcej.

Mariusz czuwał przy Anzelmie przez całą noc. Kiedy naza- jutrz rano otworzyła oczy, uśmiechnęła się smutno.

— Mój Mariuszu...

Jedna ręka, na pół odrzucona do tyłu, spoczywała jak giętka błada łodyga wznosząca się nad ciemnym kielichem pachy. Ucałował ją w ramię i znów nazwał swoją małą dziewczynką. Potem poprosiła, by zawołał jej służącą.

—Zostaw mnie na trochę, Mariuszu... Idź odpocząć...

—Nie jestem zmęczony.

Ale posłuchał. Kiedy służąca weszła do pokoju, Anzelma

pokazała jej palcem ubranie, które miała na sobie w dniu, gdy została ranna.

— W kieszeni koszuli są dwa listy. Weź je i postaraj się wysłać na podane adresy.

Nazajutrz stan Anzelmy znacznie się pogorszył. Miała gorączkę i straciła władzę w nogach. Mariusz, który nie odstępował od jej wezglowia, był wręcz przezroczystry.

— W tej komodzie mam pieniądze, weź je, są twoje — szepnęła Anzelma. — Będzie to odszkodowanie za to, co dałeś memu ojcu. Teraz nie są mi już potrzebne...

— Zabraniam ci tak mówić — zaprotestował Mariusz.

Potrząsnęła głową i wzięła go za rękę. Nie chciała już nic mówić. Pragnęła tylko czuć przy piersi ciepło i siłę ukochanego człowieka. Jej oddech stawał się coraz cięższy i płytszy. Na dole, w tawernie, panował ponury niepokój. Przewidywania chirurga nie sprawdzały się. Zaczęto nawet obawiać się najgorszego. W pewnej chwili Anzelma uniosła głowę. Czoło miała rozpalone. Życie uciekało z niej w rytm uderzeń serca.

—Widzisz, nie będziesz musiał wybierać...

—Nie, Anzelmo, proszę, nie odchodź, nie przeżyję tego...

Anzelma usnęła. Mariusz został z nią, odprawiając kolejno wszystkich: przyjaciół, pracowników, Fremonta, Kochasia, a nawet Rafaela.

Późną nocą powietrze stało się ciężkie i duszne. Mariusz zrozumiał wówczas, że to, co w Anzelmie było cielesne, odchodzi. Zostawała tylko dusza, przejrzysta, nieuchwytna, lżejsza od powietrza.

— Moja mała dziewczynko, zaczekaj, proszę...

— Obyśmy mogli spotkać się w lepszym świecie, Mariuszu... Kocham cię...

Były to ostatnie słowa Anzelmy Thénardier. Nad ranem straciła przytomność i jej serce przestało bić. Mariusz, który przysiągł sobie, że nigdy już nie będzie płakać, zapłakał. Anzelma została swą tawernę kapitanowi Fremontowi, a gotówkę Mariuszowi.

Miesiąc później, zgodnie z ostatnią wolą tej, którą nazywano Lady A., Mariusz, Kochaś i Rafael wsiedli na statek płynący do Francji. Laffite i Fremont odprowadzili ich na nabrzeże. To miejsce, mieniające się wszystkimi kolorami i pachnące przyprawami, tchnęło wielkim smutkiem.

— Jeśli zechcesz wrócić do pracy, będziesz zawsze mile widziany — rzekł Laffite do Mariusza.

Nie powiedział nic więcej, rozumiał. Ten szorstki, przenikliwy człowiek życzył kapitanowi Smithowi po prostu szczęścia. Stary pirat Fremont w porywie uczuć ucałował Mariusza, Kochasia i małego Rafaela.

— I na capie rogi, nie dajcie się złapać!

Na tle portu Mariusz, ze swymi cienkimi wąsami i powiewającymi na wietrze długimi włosami był podobny do pirata.

LV~ozeta odzyskiwała ludzki wygląd. Włosy jej odrosły, strupy odpadły. W białej koszuli i za szerokich spodniach przypominała trochę czekającą na proces Joannę d'Arc. Najważniejsze, że Dwadzieścia Dwa i Pégasse mniej jej dokuwali. Trzeba powiedzieć, że zachowanie Kozery zbijało ich z pantafelku. Wszystko przyjmowała z taką obojętnością, w jej postępowaniu była taka uległość, a w spojrzeniu taka wyniosłość, że nie rozróżniali już posłuszeństwa od dwulicowości, a bierności od ducha buntu. Dzikuska przestała być dzika.

Kozeta po prostu zbierała siły. Dni wydawały jej się niezwykle długie i monotonne. Podobnie jak Mariusz przechodziła różne fazy, przeżywała wzloty i upadki. Kiedy wieczorem kładła się spać, czując we wszystkich członkach zmęczenie, miała wrażenie, że uczestniczy w jakimś ogromnym oszustwie. Traciła nadzieję na zobaczenie Mariusza i synka. Gdzie mogą teraz być? Tysiące razy zadawała sobie ciągle te same pytania. I nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Kiedy zaczynała rano sprzątać, szynk wyglądał jak pole po bitwie: pod stołami widniały kałuże, zeschnięte resztki jedzenia zaścierały ziemię, kieliszki kleiły się do rąk. Firanki, czarne od dymu i ciągle zasunięte, nic przepuszczały żadnego światła. Po

zamieceniu i wymyciu podłogi Kozeta siadała w kuchni. Z przeżeniem przypatrywała się swoim rękom. Czy te czerwone zniszczone ręce, popękane od pracy w kuchni i sprzątanania, do czego ją zmuszano, będą się jeszcze kiedyś komuś podobały? W małym lusterku od doktora Gérarda mogła po kawałku oglądać swoją twarz. Nigdy w całości. Czy to wychudłe oblicze o podkrążonych oczach i zapadniętych policzkach będzie się jeszcze podobało?

Wrzucała lusterko do wanienki do mycia naczyń. Robiła to ze złości, kiedy pojawiała się zbyt wiele znaków zapytania. Kozeta uważała, że jest niemądra. Myśleć o urodzie? Czy nie było to egoistyczne i jałowe? Nie należę do tych lekkomyślnych i rozpieszczonych kokietek, powtarzała sobie.

Myślała o Mariuszu. Miłość, jaką go darzyła, wzmagali jeszcze fakt, że jej uczucia zostały odrzucone. Jednego dnia czuła się kochana, nazajutrz nie wierzyła już w miłość męża. Najgorsze, że wszystko, co przeżywała, przypominało jej o przeszłości. Miotła się wówczas w przerażającej samotności. Zagłębiała się w owe emocje, nie znajdując w nich nigdy tego, czego szukała. Było to tak, jakby znów przeżywała swe dzieciństwo w Montfermeil, i reminiscencje z przeszłości dokładały się do jej terażniejszych cierpień. Pozornie czuła się lepiej; ale gdzieś w głębi serca znów otworzyły się rany dzieciństwa. Miała wrażenie, że jest bez przerwy brutalnie traktowana i obolała. Nie mogła uwolnić się od przeróżnych obaw, niepewna, poszukująca samej siebie.

Nie jestem nic warta, mówiła sobie, popadając w najczarniejszy pesymizm. Co gorsza, nigdy nie byłam nic warta.

Ale mimo że tak nisko siebie oceniała, czekała na jakiś gest, jakiś przebłysk nadziei z zewnątrz. Gdyby nie dzieciństwo i to jarzmo, w które znów ją wprzęgnięto, w charakterze Kozety nie było nic, co predysponowało ją do zaakceptowania roli ofiary. A oto dowód: pokazywała swym strażnikom pogodną

twarz, pozornie wolną od udreń duszy, podczas gdy w jej umyśle kielkowała diaboliczna myśl. I niebawem chciała ją zrealizować. A przynajmniej spróbować.

*

Kozeta niewiele spała. Od dwóch miesięcy zmuszała się do chodzenia po swej komórce. Tak jak Mariusz w Tulonie trenowała swoje ciało. Chodząc, obmyślała, co zrobi. Jej plan stawał się coraz bardziej konkretny. Uważała, że jest genialny. Genialny, a jednocześnie przerażający. Powinna jednak zapanować nad swymi słabościami i nie pogrążyć się zbyt w marzeniach. Plan, który postanowiła zrealizować, stał się jej obsesją.

Na pomysł ten wpadła podczas obierania kartofli. Może myślała o historii Tomcia Palucha i o jego przyjaciółach szczurach.

Początkowo zamierzała podpalić szynk. Tylko że ona pierwsza padłaby ofiarą płomieni. Potem przyszło jej do głowy, by napędzić stracha swym strażnikom, otwierając sobie żyły. Ale czy karze się innych, karząc samą siebie? Kiedy wieczorem stała przy gorącej kuchni, z czerwoną twarzą, spocona, starała się spojrzeć na wszystko z humorem. Później, w nocy, po odwiedzinach swych przyjaciół szczurów, obejmowała się nagimi ramionami i ukrywała twarz w dłoniach. Czuła się brudna, lepka, zaniedbana. Gdy przyglądała się sobie kawałek po kawałku w maleńkim lusterku, ogarniało ją przygnębienie. Kiedy zasypiała, dręczyły ją koszmary. Zjawiali się wszyscy... Diabły, gryfy, harpie, wszyscy jej stali dręczyciele... Wyłaniali się powoli z cienia i otaczali kołem jej barłóg... Czołgali się, przybliżali... Skąd przychodzili? Wyłaniali się z mroku i szydzili, niepokojący i cisi. No i dobrze uzbrojeni: mieli dzioby, pazury, kły, skrzydła nietoperzy, rozwidłone ogony... Czy byli wyrzeźbieni w różowym piaskowcu wyobraźni, czy w czarnym węglu zapomnienia? Czasem odchodzili sobie. Czy byli strażnikami, czy najemnikami? Kto to wie... Kozeta budziła się

złana potem. Rozglądała się wokół siebie. Ale przy jej posłaniu były tylko szczury.

Ponieważ ocierały się łapkami i pyszczkami o jej łydki i palce, przemywała te miejsca wódką. Nacierała nią stopy, nogi, przedramiona. Odór alkoholu mdlił ją. Ale wołała być ostrożna. Doktor Gérard uprzedził ją, że te gryzonie przenoszą wszelkiego rodzaju zarazki. Zwłaszcza dżumę, ale też mnóstwo innych chorób zakaźnych.

Pewnego ranka poznała przez drzwi głos Thénardiera. Mówił, że czuje tu alkohol.

— Czy ona pije? — spytał Dwudziestu Dwóch.

— Jak szewc. Co najmniej butelczynę na tydzień.

— To wspaniała nowina! — wykrzyknął Thénardier.

I w przystępie szlachetności, która wcale do niego nie pasowała, oznajmił swoim dwóm zbirom, że mogą podwoić dawkę alkoholu. Ponieważ Skowronek nie zażywa już narkotyków, niech dają jej wódkę z pigwy — narkotyk taki sam jak inny.

Takie zdarzenia radowały Kozetę. Z rozkoszą odkrywała, że może tych ludzi oszukiwać. Szyderstwa, jakimi obsypywali ją Dwadzieścia Dwa i Pégasse, cieszyły ją. Pochwały, których udzielali sobie nawzajem, napawały niemal optymizmem.

Tego wieczoru klienci szynku Pod Dwoma Krasnalami wyszli wcześniej niż zazwyczaj. Ponieważ Kozeta płukała sobie wódką również usta, Pégasse i Dwadzieścia Dwa uznali, że jest podchmielona, i chcieli trochę się zabawić. Odsunęli zasuwę przy drzwiach do kuchni i dali jej jeszcze jedną butelkę.

— Dzisiaj świętujemy — oznajmił Dwadzieścia Dwa, ob rzucając Kozetę palącym spojrzeniem. — Pozmywaj i przyjdź do nas na salę.

— Jeśli chcecie, zatańczę dla was — powiedziała Kozeta z owym uległym, a jednocześnie uwodzicielskim wyrazem twarzy, który tak podoba się mężczyznom.

— Tylko naoliw sobie dobrze gardziołko, Skowronku! Szczęście i podniecenie, oto czego od ciebie żądamy!

Albinos zbliżył się do pochylonej nad zlewem Kozety i za-

czął ją poklepywać swą białą, pomarszczoną ręką. Kozeta skurczyła się w środku, ale parsknęła śmiechem jak stara pijaczka.

Dwadzieścia Dwa zwrócił się do Pégasse'a:

— Popatrz no! Skowronek jest dziś bardziej towarzyski! Zauważyłeś?

Wziął butelkę białego wina, zamknął jednak przezornie drzwi i poszedł do Pégasse'a. Podłoga była usłana okruszynami i najrozmaitszymi odpadkami. Opadł z hukiem na krzesło i zatarł ręce.

— Dziś wieczorem będzie nasza.

Pégasse przytaknął milcząco, mniej rozochocony od swego towarzysza:

— Uważaj, żeby cię znowu nie dźgnęła.

Dwadzieścia Dwa zaczął wymachiwać butelką i walnął pięścią w stół:

— Do diabła! Ale z ciebie mięczak! Jeśli chcemy dopasować się do niej, napijmy się także!

I napełnił dwa kieliszki, które przyniósł Pégasse.

Kozeta krzątała się po kuchni. Włożyła do kieszeni scyzoryk i małe lustereko i podrapała się po głowie. Od dwóch czy trzech tygodni często się drapała. Wszy? Odpadające strupy? Odrastające włosy? Było to jej obojętne. Skończyła pracę, zadowolona, że może czekać swym dozorcóm. Zaraz potem wokół otworu odpływowego rozsypała więcej jedzenia niż zwykle. Zostało jeszcze dużo combra z kota, bo tego dnia prawie nie było klientów. Trzeba było wykończyć resztki.

Parę chwil później, gdy wkładała na miejsce drewniane łopatki i garnki, pojawiły się szczury. Czuły się jak u siebie w domu. Kozeta pogłaskała je po pyszczkach i głowach. Owijały się o jej nogi swymi długimi, nagimi, łuskowatymi ogonami. Były naprawdę oswojone. Niektóre często stawały na tylnych łapkach, by poprosić o kawałek mięsa lub sera, gdy usłyszały, że woła je imionami, jakie im nadała. Tym razem role się odwróciły: to szczury jadły kocie mięso.

Szczury są inteligentne. Kozeta nieraz się o tym przekonała. Szanują tych, którzy dają im jeść, a atakują tych, którzy im zagrażają. Są ruchliwe, żarłoczne i niebezpieczne, szybko się rozmnażają i wydają piski, które są ostrzeżeniem lub nawoływaniem. Są jednak zbyt wysokie, by mogło je usłyszeć ucho ludzkie. Podczas długich wieczorów, które Kozeta spędziła na oswojaniu, obserwowaniu i karmieniu z ręki gryzoni, zauważyła, że się ze sobą porozumiewają. Czasami nocą do jej komórki przychodziły setki szczurów. Były jak ruchomy dywan, jak rojąca się, kosmata masa, wydająca odgłos taki jak zgniatane nogą fistaszki. Koszmarne widoki. Ale przyzwyczyła się. A przede wszystkim szczury przyzwyczyły się do niej.

Kozeta przeżegnała się. Wypłukała sobie usta wódką z pigwy i włożyła do podółka trochę jedzenia. Rzuciła kawałek mięsa gryzoniom, które podniecone tą niezwykłą obfitością, biły się między sobą i biegały na wszystkie strony. Potem pchnęła drzwi i pochyliła głowę.

— Mniej światła — powiedziała do dwóch mężczyzn.

Dwadzieścia Dwa i Pégasse natychmiast usłuchali. Na stole zostawili tylko dwie świece. Można by rzec, ponury ołtarz na środku ciemnej, cuchnącej sali.

Kozeta zebrała się na odwagę. Wyszła tyłem, drobnymi kroczkami. I zwrócona plecami do sali, gestem afrykańskiej tancerki zaczęła wolnym miarowym gestem rozrzucać resztki jedzenia, które miała w fartuchu. Dwaj mężczyźni obserwowali ją w milczeniu jak urzeczeni. Śledzili falujące ruchy jej rąk. Pierwszy odezwał się szeptem Pégasse:

— Jest chuda jak tyka, ale niezła.

— Racja! — przytaknął Dwadzieścia Dwa i obserwował tańczącą z rozdziawionymi ustami.

Na te słowa Kozeta zaczęła jeszcze bardziej kołysać biodrami. Chcą tego? Proszę bardzo! Nowy taneczny krok? Ale się będą obliżywać! W ciemności widzieli tylko jej sylwetkę. To jeszcze lepiej.

— Tak, rób tak dalej!

Wydawało się, że czerwone oczy albinosa unoszą się nad stołem jak oczy obłudnego diablaka.

—Jeśli zdejmiesz spodnie, Skowronku, kupię ci piękną sukienkę — oświadczył Dwadzieścia Dwa, trącając łokciem Pégasse'a.

—A ja szal i bluzkę, jeśli zupełnie się rozbierzesz — dodał tamten.

—I parę butów, jeśli pozwolisz mi się dotknąć! — zakrzyknął Dwadzieścia Dwa, który zawsze chciał mieć ostatnie słowo.

Obydwa zapomnieli o poleceniach Thénardiera. Wiercili się na krzesłach, tupali w podłogę, pili wprost z butelki jak żołdacy.

Kozeta zaczęła iść ku nim, kołysząc biodrami. Ogarnął ją jakiś amok. Powiedziała sobie, że teraz sana jej łasce. Zaczęła więc na środku sali wykonywać taniec brzucha; rozsunęła bardziej koszulę, odrzuciła głowę do tyłu, napięła wszystkie mięśnie, ale nadal przytrzymała poły fartucha. Dwadzieścia Dwa i Pégasse nie wierzyli własnym oczom. Opróżnili butelkę prawie do dna.

— Popatrz — podbechtywali się nawzajem — popatrz tylko, zaraz rozbierze się do rosołu!

Byli tak podpici, że wydało im się, iż widzą zarys jej piersi, wklęśnięcie brzucha, miękkie uda. Kozeta zbliżała się, ale nadal była zwrócona do nich plecami. I gdy zaledwie parę kroków dzieliło ją od stołu, szybko się odwróciła. Rozplotła ręce i uniosła jedną z nich. Nagle poczuła, że ziemia ciągnie ją do siebie. Zachwiała się i o mało nie upadła na twarz. Doznała już kiedyś podobnej pokusy, stojąc w oknie swjej sypialni przy ulicy Plumet. Zakreśliło jej się w głowie. Było to dokładnie w chwili śmierci Mariusza. Wiedziała, że to rozpacz. Ale niektórzy mówią, że to ciągnie nas otchłań.

— Powoli, Skowronku, bo upadniesz!

Kozeta opanowała się. Jej mięśnie, zamiast się rozluźnić, kolejno się napięły. I co teraz? Odwróciła się na pięcie i stanęła

twarzą do nich. Wolną dłonią musnęła rękę Dwudziestu Dwóch; miała wrażenie, że dotknęła gada. Albinos poruszył się na krześle i wyciągnął ramię.

— Ponieważ widzę, że stajesz się coraz miłsza, dam ci w prezencie perfumy, bo teraz brzydko pachniesz, ha, ha, ha!

Zatkał sobie nos i zaczął się z niej naśmiewać, szydzić, pokazując kompanowi, że Skowronka trochę zanadto czuła ryszotkiem i flegmą.

Kozeta spiorunowała go wzrokiem i opuściła drugą rękę. Fartuch opadł i resztki jedzenia rozsypały się u stóp albinosa. Mimo obrzydzenia, jakie w niej budził, otarła się o niego, a potem znów odsunęła.

— Wybrałaś lepszego — parsknął śmiechem albinos.

Dał Pégasse'owi sójkę w bok i spojrzał na niego z góry, chcąc nadać swej głupiej próżności pozory przewagi.

— Podejdz do mnie, panienko!

Gdy chciał objąć Kozetę w tali, wyslizgnęła mu się. Jej głowa kilka razy opadła na pierś, jakby dziewczyna była zamroczone alkoholem. Albinos, nie mogąc wytrzymać dłużej, zaczął rozpinać kamizelkę. Sądził, że jest bliski celu. Nowy unik Kozety sprawił, że jego niecierpliwość sięgnęła zenitu. Chwytał butelkę i duszkiem wypił resztkę białego wina. Czknął i otarł usta wierzchem dłoni.

— Zaraz będzie moja — szepnęła do Pégasse'a.

Na jego przeraźliwie chudą twarz, która w bladym migotliwym świetle świecy wydawała się jeszcze bledsza, wypłynął gorączkowy rumieniec. Albinos poruszał się w coraz szybszym rytmie, opanowało go nerwowe drżenie, przerywane od czasu do czasu drgawkami. Jego wychudłe ręce były rozpalone. Rozbolał go brzuch, do ust napłynęła ślina. Chciał wstać. Ale w chwili, gdy zgął nogi, by się podnieść, poczuł, że pod stołem coś się rusza. Instynktownie się odsunął. Nogi krzesła zaszurały po podłodze. Spojrzał w dół i skoczył jak oparzony.

— Szczury! Mnóstwo szczurów!

Zdjęty paniką, z całej siły kopnął kłębiące się pod stołem gryzonie. Jeden szczur odpadł od pozostałych i roztrzaskał się o ścianę. Teraz z kolei Pégasse wyskoczył ze swego krzesła jak z katapulty. Kozeta rzuciła się w ramiona albinosa. Naumyślnie, ponieważ to, co po chwili zrobił, i co zresztą przewidziała, rozwścieczyło szczury: odepchnął ją tak gwałtownie, że potoczyła się na sąsiedni stół.

— Odczep się ode mnie, dziwko!

I wtedy jeden ze szczurów skoczył albinosowi do twarzy, a za nim następne. Atakowały kolejnymi falami. Niektóre wdrapały się już na stół i krzesła. Przerażony Pégasse kręcił się wkoło jak kret, rozdzielając na chybił trafił ciosy i rozglądając się za jakimś kijem czy szczotką. On także był pijany, chwiał się, zataczał, ślizgał na brudnej podłodze. Kozeta ukryła się w głębi sali. Oparta o ścianę, drżała konwulsyjnie i w osłupieniu przypatrywała się tej niesamowitej scenie. Widziała żółte oczka szczurów, ich bezładne skoki, szare ogony wijące się jak węże. Zdawało się, że dwaj mężczyźni tańczą jakąś szaloną gigę. Miotali się na wszystkie strony. Kiedy Kozeta usłyszała krzyk, zrozumiała, że jeden ze szczurów ugryzł któregoś z jej prześladowców. Ukąszenia tych zwierząt są strasznie bolesne. Coś o tym wiedziała. Ich ostre spiczaste siekacze to prawdziwe sztyleciki.

Nagle albinos stracił równowagę i ciężko padł na ziemię. Głową uderzył o nogę stołu. I wtedy na nieprzytomnego rzuciła się zgraja gryzoni. Rozległo się coś w rodzaju nieprzerwanego trzeszczenia. Jakby odgłos rozdeptywanych biszkoptów. A potem wycie, po którym nastąpiło czkanie i płacz. W pewnej chwili zawodzący rozpaczliwie Dwadzieścia Dwa zawołał:

— Na pomoc... Nic zostawiajcie mnie...

Szczury szarpały i darły na nim ubranie. Ledwo można było rozpoznać jego ciało: pokryte było nieprawdopodobną masą gryzoni. Skręcał się i ślinał. Jego brzuch bulgotał jak wrząca woda. Pégasse, osaczony i bezradny, miotał się w swoim kącie,

ze świecą w rękę. Ścigany przez szczury uciekł do swego pokoju i osunął się na kolana przed drzwiami. Gdy jeden ze szczurów ugryzł go w policzek, wypuścił z ręki świecę; upadła na zgarniętą tam słomę, która natychmiast stanęła w ogniu. Szczury cofnęły się, skacząc gdzie popadnie, ich ciała rysowały w powietrzu ciemne znaki. Ponieważ na Pegassie zaczęła się palić bluza, wstał i szybko ją zerwał. Zamachnął się i rzucił ją w stronę Dwudziestu Dwóch.

— Boją się ognia! — ryknął.

Nasycona tłuszczem podłoga zajęła się w kilku miejscach. Ale szczury nie odstąpiły od albinosa. W szynku rozszedł się straszliwy smród. Ogień rozszerzał się coraz szybciej. W świetle płomieni albinos był lepiej widoczny. Przypominał teraz kupę lepkiego, czerwonego mięsa. Długie pasy skóry niczym krwawy makaron ciągnęły się między jego ciałem a pyszczkami szczurów. Jeszcze przed chwilą darł się wniebogłoso. Teraz prawie zupełnie ucichł. Był to koniec.

Wreszcie ogień objął sprząty. Pégasse, z odrzuconą do tyłu, kiwającą się głową, czarną niczym głowa diabła, wył przeraźliwie i starał się ugasić pożar, który sam spowodował. Płomienie lizały ściany i sięgały już belek. Wymachując rękami, szukał wody, kaszłał, dławił się, wzywał na pomoc Kozetę, która stała nieporuszona. Ona też kaszłała. Mam nadzieję, że nie nadbiegną teraz sąsiedzi, powtarzała sobie. Modliła się, by obydwaj jej prześladowcy zdechli. Patrząc, jak umiera Dwadzieścia Dwa, nawet nie drgnęła. Gdy jego ciało miotano się w przedśmiertnych konwulsjach, uśmiechnęła się tylko z odrazą. Ale pozostał jeszcze Pégasse. Wrzeszczał:

— Skowronku, gdzie jesteś, do diabła!

Z każdą chwilą dym gęstniał. Od sufitu oderwała się belka stropowa, pociągając za sobą deski i płyty gliny zmieszanej z sieczką. Kozeta zdjęła fartuch i zasłoniła sobie nos i usta. Miała wrażenie, że z zewnątrz dochodzi chór głośnych krzyków. Gdy zamierzała przedostać się do drzwi, zobaczyła pędzącego ku sobie szczura, który natychmiast się zatrzymał.

Stanął na tylnych łapkach, jakby chciał się z nią pożegnać. Potem pomknął z piskiem do kuchni.

Ogień rozszalał się na dobre. Było widno jak w dzień. Spadły dwie kolejne belki. Nie troszcząc się o Pégasse'a, Kozeta owinęła twarz fartuchem i popędziła ku wyjściu. Gdy otworzyła drzwi, powstał straszny przeciąg. Szyby w dwóch oknach rozsypały się w drobny mak. Potem jakby huknął piorun: to spadła część sufitu. Prawie jednocześnie rozległ się dźwięk dzwonu. A wkrótce, zagłuszając wszystko, zaczął wściekle bić na trwogę dzwon z wieży Notre-Dame.

— Pali się! — krzyknęła Kozeta, pędząc po bruku.

Paru gapiów rozstąpiło się, by ją przepuścić. Nie widzieli, że wybiegła z szynku Pod Dwoma Krasnalami, bo patrzyli w górę. Wydawało się, że całe niebo płonie.

Oprócz dzwonu alarmowego odezwały się mniejsze dzwonki.

— Strażacy dojechali do ulicy de la Cité! Trzeba zrobić łańcuch! Przynieście wiadra!

Gdy Kozeta dotarła do ulicy du Cloitre-Notre-Dame, naprzeciwko Hôtel-Dieu, przystanąła. Nikt już nie zwracał na nią uwagi. Była wolna.

Kozeta postanowiła spędzić noc pod mostem. Poszła w kierunku Pont-au-Change. Była teraz zahartowana na przeciwności losu. Poza tym nie miała wyboru. Czy mogła zwrócić się o gościnę do kogoś ze znajomych? Do kogo? A poza tym na pewno nie mogła się pokazać w tym dziwnym stroju. Udać się do księdza Rillet? Było to ryzykowne. Na ulicę Saint-Fiacre? Wykluczone.

Opodal wiła się czarna wstęga Sekwany. Kozeta ruszyła wzdłuż niej. Z dała dochodził dźwięk akordeonu i ochrypły głos śpiewający jakiś refren. Doszła do mostu. Tam, pod galarami, migotały ogieńki, które chyba pochodziły z koszy żarowych.

— Nie róbcie za dużego ognia — odezwał się jakiś ka rzeł. — Bo zaraz będą tu gliny!

Kozeta znalazła się w samym środku bandy oberwańców.

— Te, facet, jesteś nowy? Jesteś doliniarzem czy podciągasz towar frajerom? — zaczął ją jeden z nich.

Pytał, czy jest złodziejem kieszonkowym, czy okrada kupców. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Zrozumiała tylko, że bierze ją za chłopca. Skrzywiła usta w głupawym uśmiechu. Ale dziecko, które zadało jej to pytanie, już czmychnęło. Podeszła więc do ognia i wyciągnęła nad nim ręce i rozejrzała się dokoła. Wszystkie dzieciaki były wynędzniałe, smagłe, zasmarkane, pokryte strupami i ułomne. Żyły z rabunku i żebraniny. Niektóre zabijał głód i wyczerpanie. Kiedy nie trafiały do zbiorowych grobów, ich ciała służyły nauce. Była to wszak epoka postępu.

Koło grupy dzieci Kozeta zauważyła jakiegoś nieboraka z papierami pod pachą. Wymachiwał ręką i przemawiał głośno, powołując się na Barbesa i Augusta Blanqui. Krytykował politykę rządu i niesprawiedliwość społeczną. Nikt go nie słuchał. Patrzono na niego jak na starego wariata. Poczul się urażony w swej godności, wcisnął kapelusz na głowę i pokuś tykał dalej.

Widząc go, Kozeta przypomniała sobie Fryderyka Rivoliera. Fryderyka i jego jałową walkę. Ze ściśniętym gardłem myślała o wszystkim, co przeszła. O nędzy, upodleniu, zanegowaniu samej siebie. I o ośmiu miesiącach spędzonych w norze przy ulicy des Ursins. Nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, a czuła się stara. Zmęczenie odbierało jej władzę w członkach. Powiada się, że przeznaczenie często gra nie do taktu z wolą. Kozeta nie wiedziała, co się z nią stanie.

Opanowała wstrząsające ją dreszcze. Stary wariat zniknął, a ona zaczęła zastanawiać się, w jakim kraju żyje. Któregoś wieczoru Pod Dwoma Krasnalami podsłuchiwała pewną rozmowę. Jacyś mężczyźni mówili o obniżeniu cła na angielskie wełny i metale. Aby zagrać na patriotycznej strunie, zapowie-

dziano podjęcie prac wykończeniowych przy Łuku Triumfalnym. Powiadano, że z Thiersem jako premierem Francja prosperuje. Ale im bardziej bogacili się jedni, tym bardziej ubożeli drudzy. Mówiono o postępach, jakie dokonały się w metalurgii, maszynach parowych, budowie kolei żelaznych i statków, rozwoju maszyn i narzędzi rolniczych, ale nie o zmniejszaniu nędzy. Starczy dla wszystkich, powiadano. Poza biedakami. Nimi się nie przejmowano.

Kozeta zmarszczyła brwi. Co pomyślałby Jean Valjean o tym nowym społeczeństwie, w którym króluje spekulacja i pieniądze bankierów takich jak Mallet, Delessert, Hottinguer, Odier i Vemes? Jeszcze zanim złapał ją Thénardier, zetknęła się z cynizmem niektórych mieszkańców Faubourg Saint-Germain: „Aby istnieli bogaci, muszą też istnieć biedni”. Pamiętała, co mówili stronnicy diuka de Broglie, ludzie w złotych rękawiczkach, nowa arystokracja bogactwa. Liczą się tylko rywalizacja i zysk. A potem liczby. Czy nie podwoiła się produkcja węgla? Czy liczba robotników zatrudnionych w przędzalniach bawełny i robotników fabrycznych nie przekroczyła liczby chałupników? Czy przemysł wełniany nic znalazł się w awangardzie nowości technicznych? I czy nie rozwija się i nie unowocześnia teraz produkcja papieru, szkła, kryształów i porcelany, czy nie powstają nowe gałęzie przemysłu, takie jak gazownictwo i chemia, które podważają stabilność socjalną i równowagę ekonomiczną? Thiers, powiadano, był z tego bardzo rad. Chciał kierować swym rządem silną ręką, opierając się na lewym centrum i trzeciej partii. „Są u moich stóp i tam pozostaną”. A na temat innych dodawał: „Karmią ludzi obietnicami i ubierają gadaniną”.

Kozeta była wzburzona widokiem tego, co zobaczyła. Zrezygnowana, opuściła głowę. Jak ongiś w Montfermeil u Thenardierów ocierała się o nędzę. Czy kiedyś z niej wyjdzie? Terazniejszość nawiązywała do jej przeszłości, by zepchnąć ją w świat, który, jak sądziła, był już daleko poza nią. Kiedy człowiek ma osiem lat, myśli, że wszystko, co go spotyka, jest

normalne. Niczego nie żąda. Wszystko go zwodzi i odwraca jego uwagę. Życie i ludzie są tacy, a nie inni. Poza tym był Jean Valjean. Sprawiedliwy wśród sprawiedliwych. Jedyny, który mógł wymazać z jej pamięci ten koszmarny okres. Ale rany łatwo się znów otwierają. Wystarczy troszkę je rozdrapać. A teraz nastąpił potok, kaskada, rzeka wyrzeczeń i upokorzeń. A więc to się nigdy nie skończy?, myślała Kozeta. Czy kiedy było się nieszczęśliwym, nigdy już nie zazna się szczęścia?

Pod tym mostem cuchnącym uryną i wymiocinami pomyślała o Mariuszu i o swoim synku. Zdawało się, że czas został przekreślony. Nic nie istniało. Człowiek, który znów znalazł się w nędzy, ma wrażenie, że nigdy z niej nie wyszedł. Znów musi walczyć, żeby przeżyć. A przede wszystkim trwać, i po to tylko, by w końcu umrzeć. Co za obrzydliwa farsa.

Kozeta położyła się na pryzmie papierów: papier grzeje. Było ciemno. Zdawało się, że tylko czerwone oczy żaru przebijają się przez noc. W pewnej chwili dzieciaki chciały ją okraść. Boso, z krótkimi włosami, mogła uchodzić za którąś z nich. Dlatego też, gdy jakiś smarkacz w wełnianej czapce chciał ściągnąć z niej koszulę, zerwała się jednym susem, z nożem w rękę. Nie musiała nic mówić. Chłopak wcisnął głowę w ramiona i schował się za wysokim młodym drabem o końskiej twarzy, w czapce z kociej skóry. Nie ulegało wątpliwości, że był to szef bandy.

— Nie chcesz oddać koszuli? — powiedział szyderczo, ujmując się pod boki. — A na dodatek straszysz majchrem?

Kozeta zwróciła uwagę na jego wydatną szczękę i silne ręce. Kogoś jej przypominał, ale nie potrafiła powiedzieć kogo.

Podszedł do niej i spojrzał groźnie. Otoczyły ich kołem dzieciaki. Kozeta potrząsnęła głową i schowała nóż do kieszeni.

— I tak go nie użyję — oznajmiła, pokazując chłopca w wełnianej czapce.

— Co ty powiesz? — odparł chłopak o dużej szczęce, dając Kozecie prztyczka. — Pogonisz go tylko? A to dlaczego?

—Bo przypomina mi pewnego znajomego malca, którego dobrze znałam. Blondynka o imieniu Rafael.

—Co ty wygadujesz?

Zdumiony chłopak zbliżył się do Kozery. Kazał któremuś z chłopców podać sobie latarkę.

—Teraz cię poznaję! — zawołał. — To ciebie niedawno przyprowadził Tardier! A ty mnie nie poznajesz?

—Nie — odparła.

Kozeta nie kłamała. Podczas swego pobytu w warsztacie była tak odurzona, że nikogo by nie poznała. Szkapa, bo on to był, uwierzył jej.

— Rzeczywiście trudno cokolwiek zapamiętać, jak się jest w stanie kompletnego zamroczenia.

Wziął ją za rękę, odciągnął parę kroków i poprosił, by usiadła nieco dalej, przy dogasającym ogniu. Opowiedział jej, jak walczył z Rudasem i jak udało mu się uciec z dołu kloaczego, bo zanurkował i dotarł do jednej z odnóg głównego kanału.

— To odnoga dochodząca do Bastylii... Wszędzie były ekskrementy... Mam wrażenie, że już nigdy nie pozbędę się tego odoru, tej śmierdzącej kąpieli...

Na samo wspomnienie jeszcze teraz się wzdrygnął. O wiele później, już w nocy, wpadł na trupa Rudasa: zarżnięto go jak wieprzka. Węsząc kłopoty, trzymał się odtąd jak najdalej warsztatu.

— Teraz wychodzę tylko w nocy. Wściekam się i nic nie mogę zrobić, ale wierz mi, że w końcu dopadnę tego starego karalucha.

Kradł i wegetował od miesięcy na ulicach, myśląc tylko o jednym: jak zemścić się na Tardierze.

— Jak widać, jest tu stara gwardia z warsztatu. Brakuje tylko Rafaela...

Kozeta natychmiast opowiedziała mu, co się zdarzyło. Na szczęście dla malca ktoś się nim zajął. Szkapa westchnął z ulgą:

— Jest więc cały i zdrowy? Bezpieczny? To jeszcze jeden powód, by załatwić Kociego Króla. Tym bardziej że nie jestem sam. Popatrz na nich.

—To dzieci.

—Dzieci, które umieją kraść, upłynniać towar, mordować, zarzynać, szpiegować czy zastawiać zasadzki, mój drogi! Lepiej niech ten stary łotr Tardier z nami nie zadziera.

—Thénardier — poprawiła Kozeta.

—Tardier czy Thénardier, mam to gdzieś. Wyzyskiwał nas, chciał wykierować na szubieniczników. A ty?

Kozeta opowiedziała mu swą drogę krzyżową, nie pomijając żadnego szczegółu. Szkapa zdumiał się. Siedzący naprzeciw niego chłopak jest więc dziewczyną? Na dodatek żoną tego zdechlaka, który w zamyśle Kocięgo Króla miał uchodzić za truposza i leżeć w grobie? Tego śmiesznego dandysa? Zatem Rudas mówił prawdę: rzeczywiście zamordowali Jezusa.

— To kolejny powód, by wykończyć Kocięgo Króla — wymamrotał i dodał nieco uprzejmiej: — Co zamierza pani zrobić?

—Dlaczego nazywasz mnie panią? Szkapa miał daszek czapki:

—No bo jest pani damą...

—Naprawdę tak uważasz?

I Kozeta widząc zmieszanie chłopaka, opowiadała dalej. Nie wróciła do swego domu, bo ludzie Thénardiera muszą tam na nią czatować. Pójść na policję? Mogłoby to narazić życie jej syna, Verjata, a może nawet Mariusza. Najpierw musi się postarać o buty i przyzwoite ubranie.

—Zrobi się — obiecał Szkapa.

—Męskie ubranie — podkreśliła Kozeta.

Szkapa gwizdnął przez zęby i natychmiast zjawilo się dwóch chłopców. Szepnął im coś na ucho i zaraz dokąds pobiegli.

— Tutaj jest nasze miejsce spotkań — wyjaśnił Kozecie. — Przychodzą tu żebracy, kaleki, sieroty, nawiedzeni, tacy jak ten facet z brodą, który był tu przed chwilą. Wieczorem dzielimy się tym, co zwędzimy w dzień. A potem ustalamy, co będziemy robić nazajutrz. Śpimy też tutaj pod gołym niebem.

Pokazał palcem w lewo. Po przeciwnej stronie mostu, po drugiej stronie Sekwany zauważyła coś w rodzaju kryjówki. Składowano tam ubrania, metalowe przedmioty, połamane narzędzia, kawałki miedzi zwane łatami, całe żelastwo zbierane zwykle przez różnych szperaczy.

—Mamy z tego jeden lub dwa su — zakończył Szkapą z goryczą. — Natomiast zarabiamy na fałszywych papierach. Dzięki śmieciom i odpadkom z knajp nie przymieramy głodem.

—Może będę potrzebowała twojej pomocy — uprzedziła go wówczas Kozeta. — I to prędzej, niż myślisz.

Kozeta dostała ubranie, o które prosiła. Niezbyt czyste, ale zawsze lepsze od tego, które nosiła od ośmiu miesięcy. W świetle jasnego wiosennego słońca czuła się teraz lepiej.

— Wyglądasz w tym prawie elegancko — ocenił Szkapą, oszczędzając ją wkoło.

Miała na sobie ciemny surdut, połataną spodnie i wojskowe buty. Na szyi zawiązała małą kolorową apaszkę, która opadała na koszulę bez kołnierzyka, i skórzaną kamizelkę w ćetki. Z krótkimi włosami wyglądała jak chłopiec. Resztki kobiecości zdradzał tylko widoczny na twarzy smutek, który sprawiał, że jej usta układały się w podkówkę, jak u dziecka, które chce się rozpłakać.

— Masz — powiedział Szkapą, wkładając jej na głowę czapkę z daszkiem, w tym będziesz wyglądała jeszcze lepiej. Teraz ruszaj do roboty. Mój dzieciak musiał już wykonać polecenie. Spotka się z tobą na ulicy Montmartre.

Kozeta podziękowała. Gdyby Szkapą był jej potrzebny, wiedziała, gdzie go znaleźć. W każdym razie mieli pozostać w kontakcie.

— Powodzenia, psze pani! — powiedział z czymś w rodzaju żalostnej skargi w głosie.

Kozeta wzruszyła ramionami i poszła w stronę prawobrzeżnych dzielnic Paryża.

Zgodnie z umową stanęła na rogu ulic des Jeineurs i Saint-Fiacre. Na widok swego domu zaśmiała się nerwowo. Powiedzieć, że jest o dwa kroki od domu, a musi się ukrywać jak pospolity przestępca! Wzburzyła ją ta myśl. Nagle zobaczyła poniewierającą się na ziemi gazetę i podniosła ją. Serce biło jej jak młotem. Był to „Le National”, gazeta Mariusza. Na pierwszej stronie pisano o opozycji. Od pierwszych linijek artykułu, pamflet pióra Armanda Carrela, atakował ją z odsłoniętą przyłbicą. Szydł z owych „zręcznych ludzi z trzeciej partii i dynastycznej lewicy, którzy wzięli sobie na przywódcę pana Thiersa, swego najbardziej zagorzałego przeciwnika. „Ta opozycja — pisał Carrel — przypomina bandę dezertersów, którzy weszli do oblężonego miasta, rzucając broń przy bramie, i zostali przyjęci przez załogę jako żołnierze, którzy przeszli na stronę wroga, a teraz krzyczą, że zdobyli twierdzę”.

Kozeta uśmiechnęła się blade. Można zniknąć na kilka miesięcy, wrócić znieca, a nic się nie zmieni. Ta inercja przyprawia o zawrót głowy. Te same boje, ten sam dyskurs, ta sama arogancja u jednych i u drugich.

Nagle jakaś ręka chwyciła ją za ramię. Podniosła głowę i poznała jednego z chłopców z bandy Szkapy.

—No i?

—Pana markiza nie ma w Paryżu.

—Wiesz to od garbusa?

—Nie, od stajennego. Dodał nawet, że markiz wyjechał już bardzo dawno temu.

Chłopiec zaszalował jej, przykładając dwa palce do daszka czapki, i pomknął w kierunku ulicy Montmartre.

Kozeta ze złością rzuciła gazetą na ziemię. Można by pomyśleć, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Przez długą chwilę nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Czyż smutek nie rozbraja tych, których atakuje? Przed oczami stanęły jej

twarze Louis-Desire i Thénardiera i odraza, jaką żywiła do przeciwnika, zagrzewała ją do walki. Nie podda się.

Za przykładem chłopca poszła ulicą Montmartre. Co ma teraz robić? Po Burdinie i Thénardierze można się wszystkiego spodziewać. Nieszczęście, które upodobni się do rezygnacji, świadczy czasami o nas samych. Nigdy się go nie oswoi, to ono trzyma cię w swej władzy. Ale jego dojmująca szorstkość uczy nas, że trzeba się strzec. Kozeta przestała być naiwna.

Minęła kościół św. Eustachego, skręciła w ulicę d'Orleans--Saint-Honore (którą później przemianowano na rue du Louvre) i skierowała się ku placowi des Victoires i ulicy des Petits--Champs. Na widok jakiejś praczki w fartuchu i białym kołnierzyku pomyślała o Magdalenie. Co się stało z jej wierną służącą? Włożyła ręce do kieszeni. Pochyliła głowę, nasunęła czapkę na oczy i szła wielkimi krokami, słysząc jedynie swój oddech, nierówny z powodu wysiłku i goryczy. Dopadły ją wspomnienia o Mariuszu i synku. Odkąd była wolna, myślała tylko o nich. W swym więzieniu myślała tylko o wolności; kiedy ją odzyskała, stała się więźniem tych duchów. Głucha wściekłość pulsowała w jej skroniach i zadawała sercu, bolesne ciosy. Nie miała nawet ochoty patrzeć na ludzi czy ulice. Wszystko przesłaniała myśl o Mariuszu i małym Jeanie. Gdyby spotkało ich coś złego, była gotowa na wszystko. Dwadzieścia Dwa dowiedział się już czegoś na ten temat. Kozeta nie cofnie się przed niczym.

Gdy dotarła w pobliże Opery, w jej duszy panował już złowieszczy spokój. Wszystkie ulice, po których spacerowała kiedyś z Mariuszem, napawały ją obrzydzeniem. W pewnej chwili na bulwarze des Italiens, idąc wśród wszystkich tych elegantów, porozumiewających się jakimś mistycznym żargonem, o mało nie wpadła pod omnibus.

— Chcesz skończyć w szpitalu Bicêtre, ty gałganie? — pogroził jej woźnica.

Nie zareagowała. Na jej twarzy nie było cienia niepokoju.

Przepelniała ją mordercza nienawiść. Nawet miłość do ojca nie mogła zmniejszyć jej determinacji.

Mnąc zawartość jednej z kieszeni, natrafiła na kawałek papieru. Wyjęła go: był to adres doktora Gérarda. Jak mogła wcześniej o nim nie pomyśleć. Wyglądam teraz lepiej, więc moje akcje u niego powinny pójść w górę, mówiła sobie. Gdy przyszedł ją zbadać, dobrze widziała, jakim wzrokiem na nią patrzył. Wzrokiem palącym i pełnym żaru. Wykorzysta to.

*

Kozeta nie spieszyła się. Sprawdziła, gdzie jest ulica Colberta, i to jej wystarczyło. Jednak kiedy mijała bramę, zaintrygował ją szyld z napisem „Pod Białym Diabłem”. Postanowiła zadzwonić do tych drzwi dopiero po zapadnięciu ciemności. Im mniej będzie widoczna, tym lepiej.

Po południu włóczyła się po bulwarze des Italiens. Przeszła przed Cafe de Paris i Chińską Łażnią. Kawiarnia Hardy'ego, przypomniła jej ostatnią kolację z Mariuszem. Szeroko otworzyła oczy; otaczał ją błękitny obłok. Z pewnym przestraszonym spojrzeniem na kawiarnie z pięknymi wystawami, gdzie cisnęło się wytworne towarzystwo. Teraz nie mam tu nigdzie wstępu, pomyślała. Miała jednak cień nadziei, że zobaczy Amadeusza. Albo Eugeniusza Sue z Ludwikiem de Vergne. Nie spotkała nikogo. Tak czy owak nie wpuszczono jej do tych kawiarni. Jej śmieszny wygląd wywoływał drwiny eleganckich młodzieńców, którzy poruszali wąsami i patrzyli na nią obojętnym wzrokiem. Nawet nie zareagowała.

Wczesnym wieczorem włóczyła się po okolicy. Jej spojrzenie błądziło po wystawach sklepowych na ulicach du Helder et de la Chaussee-d'Antin. Był tu wielki ruch. Poczowała straszny głód. Nie miała grosza przy duszy. Wróciła na bulwar i zatrzymała się pod kawiarnią Tortoniego. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę kraść. Kraść, żeby jeść.

Na tarasie kłębił się tłum, ludzie siedzieli, stali, składali sobie życzenia, śmiali się, zachwycali swymi strojami i nakryciami głowy; skorzystała z tego i wzięła ze stolika jakąś gazetę. Nieco dalej, na innym stoliku, zobaczyła na talerzyku kawałek ciasta. Zbliżyła się, rozłożyła gazetę i z naturalnością, która zdziwiła ją samą, jakby nigdy nic zawięła w nią ciasto i oddaliła się wolnym krokiem. To wcale nie takie trudne, powiedziała sobie i poszła dalej. Dobry złodziej przechodzi niezauważony. Nie spieszy się ani nie przepycha, udaje, że po prostu spaceruje sobie — i kradnie. Na nieszczęście po paru krokach Kozeta zatrzymała się i odwróciła. I wtedy, bardzo zmieszana, napotkała spojrzenie szaro ubranej damy, która siedziała przy stoliku, gdzie leżało ciasto, i obserwowała ją rozbawiona. Gdyby nie burza czarnych włosów, można by ją wziąć za mężczyznę. Miała na sobie obszerny wojskowy surdut i długie buty do jazdy konnej. Kozeta stała w miejscu jak skamieniała. Nie śmiała się ruszyć.

Nieznajoma dała jej dyskretny znak ręką. Pewien niezwykle szczegół: między palcem wskazującym a kciukiem trzymała grube cygaro. Obok niej perorowało jakieś stworzenie o cukierkowej urodzie, w kapeluszu ozdobionym kłosami zboża. Kozeta zdjęta paniką odwróciła głowę i uciekła aż na ulicę Taitbout. Tam przystanęła i dosłownie pochłonęła skradziony kawałek ciasta. O mało się nie udławiła. Potem rzuciła dokoła okiem, oparła się o drzewo i zajrzała do gazety. Jej tytuł brzmiał: „Gazette des femmes”. Po 1830 roku powstało wiele kobiecych pism. To, które trzymała w ręku, domagało się dostępu kobiet do wolnych zawodów, prawa do rozwodu, praw dla samotnych matek i dzieci z nieprawego łoża.

Kozeta złożyła gazetę. Ciasto tylko na moment zaspokoili jej głód. Jej apetyt wzrósł w dwójnasób.

Nagle usłyszała pytanie:

— Interesuje się pan prasą kobiecą?

Odwróciła się i stanęła oko w oko z na szaro ubraną damą.

— Trochę...

— To moja gazeta.

Kozeta podała jej pismo ze spłoszoną miną.

—Ależ nie, żartowałam! — zawołała nieznajoma, w której ciemnych błyszczących oczach można było wyczytać zarówno wesołość, jak powagę. — Smaczne było to ciasto? — spytała.

—Strasznie mi przykro — bąknęła Kozeta zdławionym głosem.

Nieznajoma przyjrzała się jej. Musiała uznać, że ten młodzieniec o wysokim wypukłym czole, błękitnych oczach i nozdrzach wygiętych z jakimś wyrazem zawiedzionej dumy, jest bardzo urodziwy.

—Kradnie pan, żeby przeżyć czy dla przyjemności? — spytała, ostentacyjnie paląc cygaro.

—Od dwóch dni nie miałam nic w ustach...

—Co takiego? Ależ trzeba było to powiedzieć od razu! — rzekła nieznajoma z równic szczerem, co przerażonym wyrazem twarzy. — Proszę za mną, zabieram pana z tej ulicy!

Wzięła Kozetę pod rękę i znowu zaciągnęła ją na bulwar. Z gracją przedelfowały przed kawiarnią Tortoniego i jej klientami, budząc zainteresowanie, które na moment przykuło uwagę owego ukwieconego, rozplotkowanego aeropagu. Potem nieznajoma skinęła na dorożkę i zaprosiła Kozetę do środka. Wsiadając, Kozeta pochyliła się głęboko. Chociaż raz wydarzenia przyjmowały pomyślny obrót.

*

Dorożka zatrzymała się przy nabrzeżu Malaquais nad Sekwaną. Kozeta poczuła ucisk w sercu. Tylko parę kroków dzieliło ją od ulicy Plumet. Niedługo przed udaniem się do kościoła Saint-Sulpice, właśnie tędy szła do ulicy du Bac, gdzie zajmowała się dobroczynnością.

Nieznajoma pchnęła drzwi domu pod numerem dziewiętnastym. Wyjaśniła Kozecie, że dawniej był on aneksem do pałacyku de la Baziniere, wzniesionego przez Mansarta w 1640

roku. Po przejściu przez długą sień i mały dziedziniec dotarli do budynku z oknami wychodzącymi na ogród.

— Mieszkam na trzecim piętrze — szepnęła nieznajoma. — Ale jeśli mam być szczerą, obecnie prawie tu nie bywam.

Otworzyła im młoda toporna służąca.

—Czy pani każe nakryć do stołu w salonie czy w swoim pokoju? — mizdrzyła się.

—Ależ Justyno, chyba zapomniałaś, że spodziewam się gości? Nakryj w salonie, głuptasko! — Wybuchnęła śmiechem i zwróciła się do Kozety: — Dziewczynom z Berry trzeba wszystko powtarzać sto razy. Czy zostanie pani z nami?

Kozeta zarumieniała się jak piwonია. Kiedy przed chwilą wsiadała do dorożki, pochyliła się tak głęboko, że w wycięciu koszuli ukazał się zarys piersi. Nie uszło to uwagi nieznajomej.

—Mam ważne spotkanie — skłamała Kozeta.

—Nie może go pani odłożyć?

—Niestety nie.

—I wybiera się tam pani w tym ubraniu?

—To jedyne, jakie posiadam.

—Zaraz coś na to poradzimy. Jak się pani nazywa?

—Eufrozyna, proszę pani.

—Doskonale, Eufrozyno. Ale proszę nie tytułować mnie panią. Kiedy to słyszę, wydaje mi się, że mam sto lat. Na imię mi Aurora. Albo raczej George — zaśmiała się. — Obydwie lubimy się przebierać za mężczyzn. Ja z zamiłowania do prowokacji. A pani?

— Żeby się ukryć — odparła Kozeta zdławionym głosem.

Była wprawdzie nieco onieśmielona obecnością sławnej i kontrowersyjnej George Sand, ale zdecydowała się opowiedzieć jej o swych nieszczęściach.

—Czy powodem jest mężczyzna? — dopytywała się George Sand, która właśnie zamierzała rozwieść się z mężem, baronem Casimirem Dudevant.

—Kilku mężczyzn — sprecyzowała Kozeta.

—Kilku? Jakże panią rozumiem, moja droga!

Uważnie przyjrzała się Kozetcie i zawołała służącą.

— Przygotuj kąpiel, Justyno. — Po czym objęła Kozetę w talii: — Zrelaksuje się pani i opowie mi swoją historię.

Parę minut później Kozeta leżała już w wannie. Od wielu miesięcy nie czuła się tak dobrze. Namydlona przez służącą, wdychała zapach lawendowych i jaśminowych soli, pozbywszy się zastarzałego brudu.

—Lecę przygotować kolację — powiedziała Justyna, która pod baczny okiem George Sand umyła Kozecie plecy.

—Wyjmij dla naszej przyjaciółki mój czarny komplet i połóż go na łóżku — zdecydowała gospodyni, sięgając po duży ręcznik. — I otwórz butelkę szampana.

W zastępstwie Justyny George Sand wytarła nową przyjaciółkę, od łydek poczynając. Kozeta była jeszcze naga i zdawało się, że blask jej ciała rozświetla lustro w toalecie. Była równie jasna jak George Sand ciemna. Od George Sand bił blask i żywiołowość, podkreślające urodę autorki *Indiany*, której mocne rysy zdradzały wiejską naturę. Czyż Prosper Merimee nie powiedział, że ma cofnięty podbródek i wole oczy?

—Jest pani cudowna, moja droga.

—Przede wszystkim czuję, że wracam do życia — stwierdziła Kozeta z uśmiechem.

Potem kokieteryjnie przechyliła głowę i owinęła się w wielki biały ręcznik z weneckimi lamówkami. George Sand zaprowadziła ją do swej sypialni i o nic nie pytając, kazała jej włożyć przygotowany strój.

Ubierając się, Kozeta opowiedziała parę epizodów swej drogi krzyżowej.

—Jest pani zamężna? — zdziwiła się George Sand.

—Mam nawet dziecko. Chłopczyka...

—I wszyscy ci mężczyźni nadokuczali pani? Tak jak pani mąż, przypuszczam? Czy ma kochankę?

W oczach Kozety zapłonęła wściekłość. Ale George Sand nie zostawiła jej czasu na odpowiedź. Poglaskała japo brzuchu, poprawiła surdut i oświadczyła:

— W tym stroju i uczesaniu na Tytusa mogłaby pani podbić wiele serc, moja droga. Proszę wierzyć memu doświadczeniu, z wysokości moich trzydziestu dwóch lat mogę panią zapewnić, że mężczyznom trzeba dobrze zalać sadła za skórę. Mają pieniądze? Wydawajmy je. Są infantylni? Wykorzystajmy to. Jesteśmy silniejsze od nich. Mężczyźni są tchórzliwi, próżni, małoduszni. Pewnego dnia, jak przeczytała pani w tej gazecie, będziemy miały te same prawa co oni. Porażka leży w ich naturze. Zdradzają nas dla zabawy, abyśmy myślały, że istnieje jakaś inna, która jest kobietą ich życia. Wszystkiego najlepszego! My zdradzamy ich z przekonania, ponieważ przestali być mężczyznami naszego życia. Bijemy ich na głowę.

W swym nowym ubraniu Kozeta wyglądała na amazonkę. Czarny surdut, brązowe aksamitne spodnie, szaroperłowy krawat. I wysokie buty. Ponieważ takie buty, jak twierdziła George Sand, stanowią ulgę po ciasnych, zbyt wąskich pantofelkach.

— W każdym razie pani historia wzbudzi zainteresowanie wielu naszych pismaków — podjęła George Sand, głaszcząc Kozetę po twarzy.

Jej ręka zatrzymała się. Kozeta zatopiała spojrzenie w oczach pisarki i wyczytała w nich pewne skrępowanie.

— Nie wiem, jak pani dziękować — powiedziała, odsuwając się i całując rękę George Sand.

Ta zadrżała i rzekła:

— Najzwyczajniej w świecie, Eufrozyno. Zostając moją przyjaciółką.

Na twarzy Kozety pojawił się wyraz dumy i wdzięczności. George Sand ucałowała ją w policzek jak dziecko. Potem wzięły się pod rękę i przeszły do salonu na kieliszek szampana. Kozeta dostała nawet coś do zjedzenia. Justyna podała jej pasztet z kaczki, rostbef i puree z kartofli z gałką muszkatołową. Właśnie wtedy zabrzmiał dzwonek.

—Chce pani poznać moich przyjaciół? — spytała George Sand.

—Wolałabym nie.

— Zgoda. Ale proszę chociaż pozwolić, bym odprowadziła panią do kuchennych drzwi.

Tam kobiety uściskały się i George Sand wymogła na Kozecie obietnicę, że odezwie się do niej najszybciej, jak zdoła.

— Jeśli będę nieobecna, to z powodu mego męża. Rozwód przebiega z dużymi oporami. Może się pani ze mną skontaktować w Hotelu Francuskim — powiedziała i podała Kozecie pomarańczę: — Kiedy będzie ją pani jadła, proszę o mnie pomyśleć — dodała zmysłowym szeptem.

Kozeta pożegnała się ze ściśniętym sercem. Idąc po schodach, wzięła pomarańczę do ręki i pomyślała przede wszystkim o Verjacie. Była zdecydowana pójść do doktora Gérarda. A jeśli on jej nie pomoże — bo chciała go pociągnąć za język na temat pary Burdin—Thénardier, która mogła doprowadzić ją do synka — ponownie spotka się z George Sand.

*

Kozeta przyszła na ulicę Colberta dość późno. Kiedy zadzwoniła do drzwi lokalu Pod Białym Diabłem, bardzo się zdumiała, widząc, że otwiera jej ruda, jaskrawo umalowana kobieta w opiętym satynowym garniturze w kolorze lilaróż, którego rozpięta marynarka ukazywała obfitą pierś. Zza drzwi dochodziły głośne śmiechy i krzyki.

— Chyba się omyliłam — rzekła Kozeta zmieszana.

W chwili gdy miała odwrócić się na pięcie i wyjść, usłyszała głos kobiety:

—Pani do kogo?

—Do doktora Gérarda.

—Proszę poczekać, zobaczę, czy jest.

I gdzieś znikła. Kozeta zobaczyła, że przy drzwiach zastąpił dziewczynę olbrzym w samej koszuli. Przez nagie ramiona i brodę przypominał ludożercę z bajki. Jego ręce, szyja, baryczyste plecy, byczy kark były strasznie owłosione. Wyglądał jak goliat w kamizelce. Kozeta bardzo męskim gestem oparła

się o kamienną futrynę. Zauważyła, że w drzwiach jest judasz. Potem obejrzała się za siebie. Ciemną ulicą powoli zdążali w tę stronę jacyś ludzie, opuściwszy kapelusze na czarne binokle; żaden z nich nawet na nią nie spojrział. Musieli ją brać za mężczyznę.

— Słucham, o co chodzi?

Głos nie był przyjemny. Kozeta odwróciła się i stanęła na oko w oko z człowiekiem, który ją leczył Pod Dwoma Krasnalami. Odsunął olbrzyma: zobaczyła siwe włosy, kucyk, twarz węża. Gérard zmierzył wściekłym wzrokiem intruza. Wyszedł późno z Chat-Malin i teraz był w złym humorze. Trzeba było mieć poważne powody, by zawracać mu głowę.

—To ja — wymamrotała Kozeta, nie wymieniając swego imienia.

—Co za ja?

Kozeta zdjęła czapkę i uniosła głowę ku światłu. Wyraz twarzy Gérarda natychmiast się zmienił.

— Pani?

Wydawał się zdumiony. Od Burdina dowiedział się, że Dwadzieścia Dwa zginął w pożarze Pod Dwoma Krasnalami i że tylko Pégasse uszedł z płomieni z życiem. Mówiono, że młoda kucharka, pracująca w szynku, także zginęła w płomieniach. Zresztą w kuchni znaleziono fragmenty zwęglonych kości.

Oczywiście Gérard nie zapomniał młodej kobiety, która wzbudziła w nim uczucie litości, a zarazem podnieciła. A teraz, kiedy sądzono, że nie żyje, nic już nie stało na przeszkodzie, by mógł zacząć obmyślać, choćby na próżno, sposób na spełnienie swych marzeń.

— Proszę tu nie stać — zdecydował nieco zmieszany, ale zaraz zmienił zdanie: — Nie, niech pani zaczeka, za chwilę wrócę. To nie jest miejsce godne polecenia. Mam niewielki apartament na piętrze, tam pójdziemy. Będzie pani bezpieczna.

Kozeta zajrzała do środka i zobaczyła ogromny westybul pełen ludzi, którzy pili i rozmawiali. Niektóre kobiety, przymilne, rozchełstane, siedziały mężczyznom na kolanach i śmiały

się przesadnie głośno; inne, z gołymi nogami w pantofelkach na wysokich obcasach, z bukietami róż przy dekolcie, lekkim krokiem przechadzały się w tę i z powrotem po sali. Dziwne miejsce dla lekarza, pomyślała Kozeta. Tknęło ją coś i już chciała uciec, ale właśnie wtedy pojawił się Gérard. Był w pelerynie i cylindrze. Zamknął za sobą drzwi i podał Kozecie ramię.

— Ogromnie mi przykro, że kazałem pani czekać — rzekł. — Między nami mówiąc, miała pani wielkie szczęście, że mnie tu zastała.

I pociągnął Kozetę ku drzwiom, które sąsiadowały z wejściem do Białego Diabła.

Ruda kobieta, która otworzyła Kozecie, ze złym uśmiechem patrzyła przez judasza, jak się oddalają.

*

Apartament na pierwszym piętrze, bardzo komfortowo wyposażony grubym wiśniowym dywanem i wyposażony w nowe meble, składał się z trzech pokoi; okna jednego z nich wychodziły na podwórze. Gérard oprowadził po nim Kozetę ze względami, jakie świadczy eunuch księżniczce z haremu.

— Nikt nie będzie tu pani szukał — oznajmił, starając się omijać dziewczynę wzrokiem, by jej nie przestraszyć.

Powiedziała mu, że teraz już nikogo się nie boi i że w razie czego będzie się bronić.

— Nie wątpię — rzekł Gérard, bębniąc palcami po cylindrze.

— Ale jak?

— Tym — odparła Kozeta, wyciągając swój mały scyzoryk i machając nim medykowi przed nosem.

Gérard uśmiechnął się pod wąsem, ale determinacja Kozety i widok tego ostrego nożyka dały mu do myślenia. Jeśli ta dziewczyna nie boi się złoczyńców, to nie obawia się również zalotników. Stał się więc uprzedzająco grzeczny i pojednawczy.

— Podoba się pani ten pokój? To będzie tylko tymczasowe lokum. Ale na razie lepiej, żeby pani stąd nie wychodziła. Mam osobę godną zaufania, która pracuje w... jakby to powie dzieci... w kabarecie w dolnej części budynku. Jest to człowiek bardzo silny i bardzo oddany, będzie nad panią czuwał. Nazywa się Roland.

Kozeta potakująco skinęła głową. Przed chwilą widziała olbrzymia. Na razie przypatrywała się pokojowi i jego umeblowaniu: ściany były wybite wiśniową tapetą, stała tu lampa z odbłyśnikiem, rzucająca przyćmione światło na zasłony przy łóżku, również wiśniowe, mały owalny stolik, komoda Boullé'a, szafa i dwa krzesła. Westchnęła z zadowoleniem, zdjęła czapkę i z rozłożonymi rękami padła na łóżko. Gérard zmieszał się. Jawna i wyzywająca swoboda młodej kobiety pozwalała mu mniemać, że może mieć nadzieję na coś konkretnego. Podczas gdy Kozeta badała elastyczność materaca, kilkakrotnie siadając na nim i podnosząc się, jakby poruszana jakimś urządzeniem na sprężynach, obserwował jej twarz odcinającą się od ciepłego, intensywnego koloru obicia. Wyobrażał sobie kobiece kształty pod męskim strojem. Czyż nie widział prawie nagiej Kozety Pod Dwoma Krasnalami? Teraz jej twarz była okrąglejsza, zaróżowiona, bardziej zmysłowa. Wyglądała doprawdy jak anioł. Gérard był olśniony. Domyślając się swej władzy nad tym człowiekiem, Kozeta przechadzała się po pokoju, prężąc się przesadnie i kołysząc. Gérard stwierdził, że jest czarująca i uroczo wstydliva. Starał się patrzeć na nią tak, by tego nie zauważyła.

—A gdzie pan zamieszka, doktorze?

—To żaden problem. Będę zawsze w pobliżu, nie narzucając się pani. W drzwiach wejściowych jest jedna zasuwa od wewnątrz, a druga na zewnątrz. Poza tym Roland będzie pilnował korytarza i bramy. Nie ma się pani czego obawiać. Ale powtarzam: im rzadziej będzie pani stąd wychodziła, tym lepiej.

—Mam tu zatem siedzieć jak w więzieniu? — mizdrzyła się Kozeta, dając do zrozumienia, że nie podoba jej się szorstki ton Gérarda.

—Ale skądże, ja...

Kozeta przerwała mu ruchem dłoni:

— Wolę, żeby tak było — powiedziała, zdejmując surdut, który dostała od George Sand. — Ale muszę się zastanowić, po czym patrząc Gérardowi prosto w oczy, rzekła: — A co to za lokal na dole?

Starając się niczego nie popsuć i nie budzić niepotrzebnych podejrzeń, Gérard odpowiedział jej obłudnym tonem, że to lokal trochę specjalny. Gdyby wyznał, że to miejsce jest ni mniej, ni więcej, tylko burdelem przeznaczonym dla starannie dobranej klienteli, że odbywają się tam szczególnego rodzaju diabelskie wieczory i że to on nim zarządza, straciłby u Kozety wszelkie szanse.

Kozeta wypięła pierś i zrobiła obrażoną minę.

— Lokal nieco specjalnego rodzaju? Czy bierze mnie pan za idiotkę, doktorze?

Znów wyciągnęła swój szczyryk i szybkim, nieoczekiwanym ruchem przyłożyła ostrze do szyi Gérarda:

— Trzyma pan sztamę z garbusem i tym, którego nazywają Tardier, prawda?

Gérard zląkł się. Bał się ruszyć. Kozeta spojrzała na niego takim wzrokiem, że zadrżał.

— Ależ...

— Mam nadzieję, że się rozumiemy, doktorze.

Potrząsnęła głową i schowała nóż. Schylając się, odsłoniła pierś, której widok rozpałił Gérarda. Stał zmieszany i zakłopotany. Dla tej kobiety był gotów na wszystko. Zdradzić Burdina, wszystko zostawić, wszystko wyznać. Sam nie rozumiał, co się z nim dzieje. Czy to miłość od pierwszego wejrzenia? Oderwał zachwycony wzrok od biustu Kozety i spojrzał na nią pytająco.

— Kim pani jest? — wykrztusił wreszcie.

—Nie powiedzieli panu? — zdziwiła się Kozeta.

—Nie znam nawet pani imienia...

—Zdąży się pan dowiedzieć.

—Mówili mi, że zginęła pani w pożarze. Tylko Pégasse nadal pani szuka. Ale będę panią chronił.

—Czy jest pan gotów mi pomóc?

Kozeta wiedziała, że ten człowiek spełni każdą jej zachciankę. Oto dlaczego udawała osobę nieco naiwną, grając z pewną przesadą kokietkę i spryciarę.

—Tak... — rzekł Gérard.

—Teraz zechce mnie pan łaskawie zostawić. Muszę się położyć — oznajmiła i wypchnęła go za drzwi. Gdy usiłował chwycić ją za rękę, wyrwała się i zagroziła: — Niech pan uważa, doktorze Gérard! Awanse z pańskiej strony mogą mnie rozgniewać! Czy nie poinformowano pana, co się przydarzyło Dwudziestu Dwóm?

Nie powiedziała nic więcej. Dla tego człowieka, nawykłego przecież do wszelakiego rodzaju zrad i niegodziwości, jej słowa były jak uderzenie pioruna. Pierwszy raz gościł pod swym dachem kobietę o tak zdecydowanym charakterze. Był zdezorientowany. Ale ta sytuacja pociągała go. Będą razem tworzyli diabelskie stadło, wspaniałą parę, niezależną od Burdina i Kocięgo Króla.

— Rano przyniosę pani śniadanie — powiedział, uśmiechając się znacząco. — A jeśli będzie pani czegokolwiek po trzebowała, proszę zastukać trzy razy, Roland zaraz się za melduje.

I odszedł, zamykając starannie drzwi od zewnątrz, gdyż klucz od nich zawsze nosił przy sobie.

Minął tydzień. Gérard był urzeczony urodą Kozety, która w świetle dnia wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Codziennie rano, roznamiętniony, nie mógł powstrzymać się, by nie

wybelkotać paru komplementów na temat jej kibici i wyglądu. Kozetę to bawiło. Przekomarzała się z nim, czarowała go, czasem sztydziła sobie z niego. Najważniejsze, że udało jej się zdobyć kilka informacji. Znała już adres Thénardiera i wiedziała, że pewien brygadier żandarmerii nazwiskiem Carignol prowadzi podwójną grę.

—Czy jest niebezpieczny?

—To figurant. Można nim manipulować, jak się chce. Wystarczy zapłacić.

Pewnego dnia Kozeta włamała się do małego schowka ukrytego w głębi szafy ściennej i znalazła kolekcję buteleczek. Na ich widok zadrżała: w takich samych buteleczkach był narkotyk podawany jej przez ostatnie miesiące. Policzyła: było ich dwanaście. Szybko wylała zawartość i napełniła buteleczki sporządzoną przez siebie mieszaniną wody, cukru i soku jabłkowego. Zostawiła tylko jedną, opatrzoną małą etykietką, na której widniała trupia główka. Była to strychnina.

Któregoś dnia Gérard dał Kozecie pistolet i pokazał, jak funkcjonuje. Podziękowała, ale oddała go, gdyż zawsze żywiła głęboką odrazę do broni palnej.

— Jeśli będzie pani potrzebny, jest do jej dyspozycji.

Kozeta wyjęła z kieszeni chusteczkę i mięła ją w palcach.

—Mimo wszystko jestem jednak trochę na pańskiej łasce — zauważyła. — Każdego wieczoru zamyka mnie pan i nigdy nie opuszczam tego mieszkania. Skąd mam wiedzieć, czy mnie pan nie zdradzi?

—Nigdy pani nie zdradzę.

—Drogi doktorze — rzekła wówczas —jeśli mam wykonać to, co zamierzam, będę musiała stąd wyjść.

Oblicze Gérarda stężało. Nie mógł znieść myśli, że Kozeta kiedyś opuści ten dom. Podszyty frywolnością dystans, z jakim traktowała go Kozeta, sprawiał mu ból. Paradoksalnie jego cierpienie przeradzało się w rozkosz. Dobrze mi jest z tym cierpieniem, myślał, odkrywając ze zgrozą to uczucie. Pocięsział się, że dopóki dziewczyna jest tutaj, nie będzie należała do

nikogo. Czy nie wydawał na nią mnóstwa pieniędzy? Czy nie posunął się aż do tego, że oznajmił Burdinowi i Thénardierowi, że z Sekwany wyłowiono na wpół zwęglone ciało młodej kobiety, odpowiadające rysopisowi Skowronka? Czy nie płacił Rolandowi, by stał na straży przed domem i zanosił Kozecie wyborne dania od Corcelleta?

— Pański Roland bardzo mnie bawi — mówiła Kozeta z nadąsaną miną, prowokacyjną miną.

Gérard pienił się. Tego dnia pomyślał o buteleczkach. On, były lekarz, który nie ma już prawa wykonywania zawodu, potrafi jeszcze wykorzystać swą wiedzę. Jeśli Kozeta nie odda mu się dobrowolnie, weźmie ją siłą.

Kozeta nienawidziła tego człowieka, podejrzewając, że jest związany z jej dawnymi dręczycielami. Miała się przed nim na baczności, a jednocześnie wiedziała, że trzyma go w szachu tym, iż każe mu czekać. Zapamiętała nauki George Sand. Reszty nauczy się gdzie indziej. Jednak Bóg świadkiem, że cała ta maskarada była sprzeczna z jej zasadami i wychowaniem, jakie dał jej ojciec! Czy nie tkwiła w niej jednak siła? I czy tej siły nie odziedziczyła również po ojcu? Widok Gérarda padającego przed nią plackiem i spełniającego każdą jej zachciankę, wynagradzał rozpacz, która się w niej tliła i którą ukrywała najlepiej jak potrafiła. Nie będzie pokazywała światu swego strapienia.

Czas płynął. Kozeta żyła w milczącej symbiozie ze swą rozpaczą i przychodziły jej do głowy różne pomysły: może przy pomocy Szkapę spróbować pociągnąć za język Thenardiera, może wybrać się na poszukiwanie Verjata i swego synka, a może wsiąść na statek do Ameryki i odnaleźć Mariusza. Wszystko to było trochę bez ładu ni składu. Ale żeby wprowadzić w życie swe zamiary i zmylić Gérarda, starała się myśleć o ludziach, których kochała, i tylko o nich. Albowiem teraz, gdy zupełnie już doszła do siebie, powtarzała sobie, że trzeba działać.

Gérard mówił sobie coś całkiem przeciwnego. Czy płomien-

ne spojrzenia Kozety o czymś świadczą? Nie jestem jej obojętny, myślał. To przekonanie wystarczyło, by go uspokoić. Odwrotnie niż dotychczas powinien grać z nią w otwarte karty. Kozeta nie jest kobietą, którą się oszukuje lub do czegoś zmusza. Dała się poznać jako osoba żywa, bystra i energiczna. A przede wszystkim bardzo stanowcza.

Pewnego wieczoru, tuż przed udaniem się do Chat-Malin, przyniósł Kozecie prawdziwe frykasy: pasztet z gęsich wątróbek, łososia w galarecie, francuskie ciasto z kremem.

— Oto przednie wino, by złożyć hołd pani urodzie — oświadczył, stawiając na stole butelkę z płynem w pięknym złotystym kolorze.

Nie chcąc go zrazić, Kozeta potakiwała mu i rozplątywała się w zachwytach. Zadowolona z wpływu, jaki na niego miała, robiła wszystko, by nabrał do niej zaufania. Siedziała grzecznie w salonie i wymownie głaszcząc widelcem kawałek pasztetu z gęsich wątróbek, opisała mu rozkosze, jakimi byłaby w stanie go uraczyć.

— Ale muszę liczyć na pana jak na siebie samą — wes tchnęła. — Burdin i Thénardier to szczwane lisy. Jeśli okaże się pan prawdziwym przyjacielem, może zdecyduję się okazać panu pewne względy...

Gérardowi, który trzymał ręce splecione za plecami, zaschło w gardle. Człowiek, którego trawia nienasycone żądze, traci rozum. A człowiek nauki, jakim był Gérard, nie odwoływał się nawet do swego doświadczenia. Wobec Kozety był bezbronny jak dziecko. W pewnej chwili przeprosił ją i wyszedł.

— Muszę pójść po pewne papiery — oznajmił.

Zniknął w pokoju, gdzie była szafa ścienna, i skierował się ku skrytce. Otworzył ją, pogwizdując, i wyjął buteleczkę z narkotykiem. Chyba nie zorientował się, że do skrytki ktoś się dostał. Pożądanie całkiem nim zawładnęło.

Kiedy wrócił, ukradkiem wlał zawartość buteleczki do wina. Kozeta udała, że nic nie widzi. Poruszała ustami, degustując kawałek pasztetu.

— Dzisiaj będzie wielki wieczór — powiedział Gérard, który zdaniem Kozety wcale nie starał się ukryć, do czego zmierza.

Nalał wino i podał kieliszek Kozecie. Potem, obrzuciwszy spojrzeniem mieszkanie, które nasyciła leniwą zmysłowością, pożegnał ją z wielkim respektem.

— Wielki wieczór — powtórzył, wychodząc i zabierając pelerynę i kapelusz.

— Mam nadzieję — rzuciła Kozeta, podsycając płonący w nim ogień.

Natychmiast po jego odejściu poszła do skrytki, otworzyła ją i przeliczyła buteleczki: było ich jednaście. Pochyliła się, jak wierni podczas podniesienia. Gérard wziął buteleczkę z osłodzoną wodą i sokiem jabłkowym. Ostrożnie wyjęła buteleczkę ze strychniną i włożyła ją do kieszeni.

— Tak, to będzie wielki wieczór — szepnęła.

Gérard wrócił po dwóch godzinach. Natychmiast sprawdził, czy Kozeta śpi. Widząc, że leży w fotelu, odetchnął z ulgą.

— Już niedługo — szepnął, drżąc na całym ciele.

Tak się spieszył, że wychodząc, zapomniał przekręcić klucz w drzwiach. Kozeta otworzyła jedno oko, wstała i wybiegła na klatkę schodową. Przechyliła się przez poręcz i patrzyła, dokąd Gérard zmierza. Potem cichutko zbiegła na dół, zdecydowana iść krok w krok za nim i przekonać się, co przed nią ukrywa.

Gérard zbiegł na parter, zszedł po dwóch stopniach **dli** piwnicy, a potem skręcił w prawo i przez małe drzwiczki **wszedł** do pomieszczenia gospodarczego, niewątpliwie łączącego *tm* z lokalem Pod Białym Diabłem. Tam znów zszedł po **jakiefl** schodach. Jego kroki głuchym dźwiękiem odbijały się **się'** kamienia. Kozeta postępowała za nim z nożem w ręce. **GeriH**

przecisnął się między ciężkimi szarymi kotarami z frędzlami i dotarł do sklepionej piwnicy ozdobionej czerwonymi i czarnymi tkaninami. Był to jego gabinet. Coś w rodzaju pracowni oświetlonej przytwierdzoną do ściany lampą. Kozeta wspięła się na palce i niemal owinęła w kotary. Kątem oka zobaczyła jakieś hebrajskie litery, koła i pięcioramienne gwiazdy. Potem cała zamieniła się w słuch.

— Czy jest dużo ludzi? — spytał Gérard.

— Jak zawsze — odpowiedział Roland, który przygotowywał akcesoria potrzebne do ceremonii.

Gérard był rozgorączkowany. Rozluźnił kołnierzyk kamizelki i wstrząsnął się, jakby w środku poczuł straszny chłód. Wprawdzie jego źrenice pobłyskiwały w cieniu, ale ruchy, zazwyczaj precyzyjne, stały się nieskoordynowane, co świadczyło o rzadkim u niego poruszeniu. Od pewnego czasu owładnięty pożądaniem, jakie budziła w nim Kozeta, zapominał nawet o swych obowiązkach w Chat-Malin. Przychodził do oberży późno, wychodził z niej wcześniej. Rachunki, dotąd tak skrupulatnie prowadzone, bardzo na tym ucierpiały. Zmiana ta nie uszła uwagi Thénardiera, który po ostatnich wydarzeniach, przyrzekł sobie zdrowo go zbesztać. Ale dla Gérarda liczyła się tylko Kozeta. Był gotów odejść z Chat-Malin. A nawet rzucić wszystko w diabły.

— To anioł, jest taka piękna... — bełkotał. — Kocham ją jak nigdy nikogo nie kochałem... Szaleję za nią...

Mimo że przestraszona, Kozeta uśmiechnęła się lekko. Może udając, że ulega kaprysom Gérarda, uzyska od niego wszystko, co zechce?

— Niech pan da temu spokój, szefie — odpowiedział Roland, kręcąc głową.

— Dać spokój czemu? Dlaczego się wtrącasz? Przede wszystkim nikt nie może jej zobaczyć!

— Widziała ją Prozerpina, szefie. Pierwszego wieczoru to ona otworzyła jej drzwi do Białego Diabła.

— No to co?

— To, że gadają, szefie. Prozerpina rozpuściła plotkę, że ta dziewczyna rzuciła na pana urok, że zamknął ją pan w jakimś pokoju i że zaniedbuje pan swoje obowiązki.

Gérard odparował:

—Moje obowiązki? Wszyscy ci idioci, którzy płacą, by uczestniczyć w rzekomych czarnych mszach, nie na darmo wydają pieniądze, prawda? Może ty też masz mi coś do zarzucenia?

—Co to to nie, szefie.

—Doskonale — powiedział i dodał z władczym gestem: — Zawołaj Prozerpinę. Dziś wieczorem ona będzie mnie ubierała.

—A Nina? — spytał Roland.

—Nie jest mi potrzebna. Zresztą wkrótce trzeba będzie się jej pozbyć. Nie możemy nadal narażać się przez tą jednooką dziwkę, która była kochanką Fieschiego.

Roland zniknął.

Po paru minutach do gabinetu Gérarda weszła kelnerka z Chat-Malin, która tutaj była kierowniczką sali i zastępowała szefa. Szła, kołysząc się na wysokich koturnach, naga pod zwiewnymi woalami.

— Jestem ci potrzebna? — spytała z prowokacyjną miną.

Z twarzą zakrytą masą włosów, które rytmicznie poruszały się w takt przesadnego kołysania bioder, podkreślając niemal karykaturalną krągłość jej kształtów, stanęła przed Gérardem.

— Prozerpino, jesteś dziwką! — syknął Gérard.

Rudowłosa dziewczyna, która rozpoznała Kozetę, skinęła bezczelnie głową na znak, że to prawda.

— Niewątpliwie, wielki mistrzu. Ale nie zapominaj, że do siebie należymy.

Za całą odpowiedź z całej siły uderzył ją w twarz.

— Ja tu rozkazuję! Podaj mi mój strój!

Prozerpina nie drgnęła. Potem spełniła polecenie, ale zanim to zrobiła, mruknęła pod nosem:

— Zapłacisz mi za to...

Pomogła Gérardowi włożyć długą cynobrową szatę przepasaną w talii czerwono-białym sznurem. Na nią narzuciła mu tuniką przypominającą czarną sutannę z namalowanym do góry nogami czerwonym krzyżem. Zdławionym głosem spytała pdchwytiliwie:

— Tak bardzo ci się podoba?

— Nie twój interes! Już ci powiedziałem, kto tu rozkazuje. Jeśli będziesz mi bruździła, pożałujesz.

Prozerpina była już zbyt długo kochanką Gérarda. Gardził nią za to, że jest tak zepsuta, tak sprzedajna, tak tłusta. Zaczął myśleć o pozbyciu się jej.

Podowała mu maskę z wielkimi rogami, którą włożył gestem faunicznego kapłana.

— Już czas — powiedział grobowym głosem.

Kozeta stała nieporuszona w swej kryjówce. Wysunęła tylko nieco głowę, ściskając rękojeść scyzoryka. Gérard, Roland i Prozerpina rozsunęli kotary i weszli do krypty. Tam Prozerpina położyła się na ołtarzu, na którym widniał emblemat przebitej hostii i przewrócony kielich. Kozeta zebrała się na odwagę. Napięła wszystkie mięśnie i podeszła do wielkich czerwonych kotar. Bała się tego, co zobaczy. Zaczynała się ceremonia. Straszliwa ceremonia.

To, co ujrzała, wprawiło ją w osłupienie. Uczestnicy czarnej mszy byli wystrojeni w jedwabie i złoto. Leżeli na kanapkach lub siedzieli między kolumnami i pili podniecające napoje, zagryzając kandyzowanymi orzechami. Wśród obecnych chyba przeważały kobiety. Dwóch Murzynów o lśniących ciałach wspięło się na ołtarz, by zapalić czarne świece, których bitumiczna, smołowa woń zmieszała się z pieprznym zapachem unoszącym się w krypcie. Za ołtarzem, na tle wielkiej czerwonej kotary maskującej wejście do gabinetu Gérarda, stały dwie westalki, trzymające w omdlałych dłoniach złożone pochodnie.

Trochę dalej Kozeta zobaczyła młodego mężczyznę w złocistej masce Dionizosa. W pewnej chwili pochylił głowę i przeskoczył przez grupkę ludzi, którzy głośno postękiwali. Miał na sobie przepaskę z błękitnego materiału i był raczej wątłej postury. Oparł się o kolumnę i obserwował wielkiego kapłana.

— W końcu znajdę sposób, by się na tobie zemścić — mruknął.

Właśnie wówczas czerwone kotary nieco się rozchyliły i w szparze ukazała się twarz Kozery. Na widok tego, co zobaczyła, stłumiła okrzyk przerażenia. Zrozumiała, że Biały Diabeł jest miejscem rozpusty, w którego suterrenach odbywają się czarne msze i orgie. Uważała, że to ohydne. Gérard, piekielny medyk, pełni więc rolę mistrza ceremonii? Na jej twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. Cofając się, na oślep cięła powietrze swoim scyzorykiem. Mimo horroru, jaki zobaczyła, zamierzała wrócić do mieszkania na górze. Tak, ale po to, by walczyć, by wykorzystać Gérarda do swoich celów. A gdy on odważy się na jakiś dwuznaczny gest, wbije mu scyzoryk w ciało. Na ostrzu jest wystarczająca ilość strychniny, by posłać na tamten świat regiment wojska.

Na szczęście nikt jej nic widział. Z wyjątkiem młodego mężczyzny, który poznając ją, o mało się nie przewrócił.

— Ba... baronowa — wyjąkał.

Zawahał się, czy nie rzucić się w stronę ołtarza, nie roztrącić kotar i nie poszukać jej. Ale było to zbyt ryzykowne. Podczas jego pierwszej wizyty Pod Białym Diabłem, dokąd udał się w towarzystwie Amadeusza, wyrzucono go z lokalu jak zapowietrzonego. Gérard groził mu nawet śmiercią. Znów spojrzał na kryptę. Widok tych ludzi czczących diabła przygnębiał go. Skierował się więc ku wyjściu, starając się, by nikt go nie zauważył. Myślał o Kozecic, jej krótkich włosach, wychudłej twarzy. Ten człowiek na pewno ją więzi, myślał. Ale uwolnimy ją razem z Amadeuszem. Kiedy przed chwilą wchodził, przy drzwiach poinformowano go, że następna ceremonia odbędzie się za dwa tygodnie. Ludwik de Yergne zatarł rękę. Już od

trzech miesięcy regularnie bywał Pod Białym Diabłem. Na próżno. Tym razem był bliski celu. Nie tylko odnalazł Kozetę, ale niebawem zemści się na Gérardzie.

*

Kozeta wróciła do mieszkania i usiadła w fotelu. W głowie miała straszny zamęt. Przemknęło jej przez myśl, żeby zaraz uciec z tego przeklętego miejsca. Był tylko jeden szkopuł: Gérard szalał za nią i tylko on mógł jej pomóc wpaść na trop Burdina i Thénardiera. Jeśli uda jej się dobrze nim manewrować, będzie na jej łasce i niełasce.

Gérard nie dał na siebie czekać. Gdy stanął w drzwiach, Kozeta zamknęła oczy. Już się przebrał. Widząc, że Kozeta śpi, położył kapelusz i pogrążył się w kontemplowaniu tego czarującego widoku. Potem zbliżył się i pochylił, zamierzając pocałować ją i przytulić do serca. Odepchnęła go szorstko.

— Jeszcze jeden ruch i umrze pan, doktorze. Ostrze mego scyzoryka zostało powleczone strychniną. Nie jest dla pana tajemnicą, że do spowodowania śmierci wystarczy pięćdziesiąt miligramów.

Gérard stał jak skamieniały.

—Nie... nie śpi pani? — wyjąkał.

—Jest pan bardzo spostrzegawczy! — krzyknęła, schwyciła go za kołnierz i przytknęła mu czubek scyzoryka do gardła.

— Powinnam pana zabić, oszukał mnie pan. Wystarczy, że zagłębię ostrze w pana szyi, a pożegna się pan z życiem.

—Proszę to zrobić — odpowiedział Gérard, nie starając się wyswobodzić. — Będzie to dla mnie prawdziwą ulgą.

—Znów pan kłamie.

Gérard oparł gardło o ostrze scyzoryka.

— Niech skonam, jeśli kłamie! — zawołał i robiąc gniewny ruch ręką, dodał: — Czy uwierzyłaby pani, gdybym powiedział, że zauważyłem, iż zamieniono buteleczki w mojej skrytce?

Kozeta wpatrywała się w Gérarda z dziwnym wyrazem twarzy. Położyła dłoń na jego kościstych owłosionych palcach.

—Kocha mnie pan?

—Dla pani jestem gotów wszystko poświęcić.

Gérard po raz pierwszy poczuł dotyk delikatnej skóry kobiety, którą ubóstwiał. Ogarnął go niepokój. Z jego piersi wydarł się chrapliwy jęk. Musnął wargami koniuszki palców Kozety, która nie protestowała, tylko zagryzła usta, by nie krzyknąć z obrzydzenia; zmusiła się nawet do uśmiechu. Potem wstała i rzekła:

—Czy posunąłby się pan aż do zbrodni?

—Owszem.

—Nie żądam aż tyle. Kiedy odbędzie się następna ceremonia?

—Za dwa tygodnie. Ale ma pani rację, wszystko to jest wstrętne i odrażające, zamierzam to rzucić...

—Jeszcze nie — ucięła Kozeta, patrząc mu prosto w oczy.

— Chciałabym, aby sprowadził pan tu Burdina i uspił go, tak jak zamierzał pan zrobić ze mną.

Gérard nie zastanawiał się ani chwili.

—Będzie tu za dwa tygodnie — powiedział stanowczym głosem. — Ale pani zejdzie wtedy do krypty.

—Zgoda — rzekła, jeszcze wzburzona na myśl o tym, co zobaczyła. — I wówczas będziemy nawet mogli dojść do porozumienia — dodała bałamutnie.

Gérard wpadł w uniesienie, ośwładnęła nim szalona nadzieja. Zrobił marsową minę i przysiągł, że uwolni Kozetę od jej wrogów.

— Liczę na to — powiedziała z przekonaniem. — Ale teraz nie zatrzymuję pana dłużej.

Pomyślała, że ma dwa tygodnie na zawiadomienie Szkapę, by wszystko przygotował. Potem oznajmiła z czarującym uśmiechem:

— Jeśli dotrzyma pan słowa, doktorze, może będziemy mogli wrócić do pewnych spraw...

Gérard skłonił się z szacunkiem i zamknął za sobą drzwi na klucz. W jego głowie wszystko zaczynało się układać. Jeśli Burdin i Thénardier znikną, stanie się jedynym właścicielem Chat-Malin. Swoje miejsce w Białym Diabie sprzeda Rolandowi i pozbędzie się Prozerpiny. Z pomocą Kozety szybko stanie się silny i potężny. Wtedy koniec z odgrywaniem podrzędnych ról. Będą mieli u swoich stóp Paryż: ona jako wielka kapłanka, on wielki kapłan. Będzie cudownie.

•Javert powracał niekiedy do przeszłości. Chciałby zatrzymać z niej to, co dobre, a wykreślić, co złe. Tylko że ongiś miał władzę. A człowiek, każdy człowiek, który posiada władzę, w końcu zawsze schodzi na manowce. Przekracza swoje uprawienia, kłamie, by odnieść sukces, oszukuje, by przekonać. Władza brudzi wszystko, czego dotknie. Może być trwała jak garść wilgotnego piasku, który ściskamy w dłoni. Ale gdy piasek wyschnie, ściskamy go na próżno, kruszy się i nieubłaganie wypada nam z rąk. To, co było wszystkim, jest już niczym.

Javert znał te prawa. Sprawiedliwość i praworządność trzymał ongiś w ręku jak ową garść wilgotnego piasku. Ale kiedy Jean Valjean puścił go wolno, kiedy ów galernik, cieszący się reputacją człowieka okrutnego i straconego dla społeczeństwa, darował mu życie, zamiast je odebrać, wszystko, co uważał za pewnik, runęło. Javert pocieszał się, jak umiał. Stracone złudzenia stały się jego bogactwem.

W Macon zajmował się synkiem Kozety jak ojciec. Wychodził z nim na spacer, uczył słuchać tryli słowika lub gwizdu kosa, brał go na ręce i kołysał pod okiem Magdaleny. Mały wymachiwał rączkami, chwycił Javerta za nos i bił go po twarzy. Gdy podczas zabawy były policjant odchodził, chłopczyk zaczynał krzyczeć. A Javert wracał wtedy co sił w nogach.

Przytulał małego do piersi i kołysał go, podśpiewując. Dziecko zaśmiewało się. Widząc rozpromienioną twarz Magdaleny, Javert udawał obojętność.

—Sądziś, że to dziecko mnie poznaje?

—Bez wątpienia, panie Javert. Jest pan dla niego trochę jak ojciec.

—Tak uważasz?

Były inspektor pławił się w rozkoszy. Droczył się z dzieckiem, łaskotał je, dopóki nie wywołał ataków czkawki. Teraz już mniej się obawiał, że nagle wszystko utraci.

Gdy Magdalena układała dziecko w koszyku, by się prześpało w cieniu czereśni lub drzewa pigwowego w ogrodzie księdza za zamkiem pułkownika de Saint-Auchans, Javert szedł na przechadzkę do sadu. Z gęstą brodą, długimi siwymi włosami, których już nie przyglądał, w jasnej bluzie i miękkim kapeluszu sprawiał wrażenie dziadka napawającego się sielskimi urokami wsi. Można by go wziąć za malarza. Nie rozstawał się jedynie z grubą laską, świadczącą, że nadal jest Javertem. Wspominał wówczas młodość, popełnione błędy, stracony czas.

Przyszły inspektor policji, urodzony przecież w więzieniu z ojca galernika i matki kabalarki, bardzo szybko nauczył się rozróżniać w imieniu sprawiedliwości dobro od zła. Osądzał, podejrzewał, skazywał. Jednym słowem piętnował, nawet zanim wiedział. Jego rzeczywistość stwarzały pozory. Jego życiem było prawo, rodziną kodeks karny. Wszystko badał do najmniejszych szczegółów. W rezultacie nie widział już nic. Jego mistyka obowiązku wynikała z miłosnego niepokoju. Z czasem jego twarz stała się odbiciem duszy. Nieugiętość w służbie rzetelności.

Pewnego dnia usiadł nad brzegiem dawnych fos zamku Saint-Auchans. Pogrążył się w zadumie, obserwując kwiaty. Niegdyś zerwałby je, by zobaczyć, z czego się składają i co ukrywają za swym widocznym pięknem. Obrywałby kolejno płatki, starając się dotrzeć do minionego piękna. Czuł coraz

większe rozczarowanie. Z ludźmi postępował tak samo jak z kwiatami. A co widział? Zawsze zło, nigdy nie dostrzegął piękna. Ten były funkcjonariusz schyłkowego ustroju był jakby prorokiem pesymizmu. Teraz dobru i złu towarzyszyła dziwna melancholia, ni to zdziwienie, ni to ironia. Z jednej strony podziwiał nowym okiem kwiat, z drugiej był świadom ulotności owego podziwu.

W spojrzeniu pięćdziesięciosześcioletniego Javerta kryło się rozczarowanie i poczucie, że nic mu się nie udało. Nie miał przyjaciela, gdyż zawsze uważał, że przyjaźni nie da się pogodzić z prawdą. Myślał, że ważny jest jedynie niemy dialog z wrogami. Nie miał żony ni dziecka, bo rodzina była jego zdaniem zawadą przeszkadzającą mężczyźnie określić się i w pełni zrealizować. Jego błąd, płynący z pychy, polegał na przekonaniu, że to Bóg powinien wyjść mu naprzeciw, a nie na odwrót. Javertowi nic już nic pozostało.

Jeszcze przed paroma miesiącami czuł się biedny i wykluczony. Ponieważ czasem wstydził się, że żyje, spał, by przywyknąć do śmierci. Dręczył go pewien sen. Zawsze ten sam. Jean Valjean stoi na szczycie schodów i wyciąga do niego rękę, on zaś wchodzi po stopniach, ale po osiągnięciu pewnego poziomu staje jak sparaliżowany; nie może pójść dalej; teraz on wyciąga rękę; Jean Valjean znika... Wówczas Javert budził się i zrywał na równe nogi. Prześladował go szcęk łańcuchów i wrzask dozorców. Zaczynał myśleć i nie mógł już zasnąć. Jego bezsenność czuwała nad jego rozpaczą. Nie pozwalała jej zniknąć.

Od pewnego czasu Javert sypiał lepiej. Wspomnienie Jeana Valjeana osłabiało go, ale obecność syna Kozety dodawała sił. Zawsze zimny, poważny i zrównoważony, nie poznawał sam siebie. Wreszcie czuł, że służy dobrej sprawie: sprawie radości i troski o bliźniego.

Ale Javert nabył jeszcze jedną cnotę: obawę, że może się mylić. Właśnie dlatego nie od razu napisał do markiza dTguerande. Najpierw wszystko przemyślał. Nieco egoistycznie

powiedział sobie, że gdyby Mariusz i Kozeta nie odnaleźli się, sam wychowa małego Jeana. Będzie jego dzieckiem. Tylko jego. Postąpi tak samo jak Jean Valjean z Kozeta.

Pewnego pięknego poranka hrabia de Saint-Auchans powiedział mu, że w Macon i okolicy żandarmi prowadzą śledztwo.

— Szukają mężczyzny, któremu towarzyszy dziecko. W końcu na pewno się tu zjawią. Ale wytrzymamy to natarcie!

Hrabia mówił już o oblężeniu i bohaterskim oporze. Jak Cambronne pod Waterloo.

— Do dupy ze wszystkimi tym białymi portkami!

Początkowo Javert zamierzał zaraz wyjechać. Potem napisał jednak do markiza dTguerande. Był to może najodpowiedniejszy moment, by opadły maski. List był krótki i bardzo jasny:

Szanowny Panie Markizie,

Jestem w posiadaniu informacji dotyczących zniknięcia baronowej Pontmercy i chcę się nimi z Panem podzielić. Znajdzie mnie Pan przy wyjeździe z Macon, w zamku Saint-Auchans. Oczywiście liczę na Pańską absolutną dyskrecję. Informacje, jakie muszę Panu wyjawić, są najwyższej wagi. Rzekłbym nawet, że dotyczą Pana... Kiedy Pan tu przybędzie, dowie się Pan, kim jestem. Musimy zachować najdalej posuniętą ostrożność, gdyż wielu ludzi wokół nas — a nawet w Pańskim bezpośrednim otoczeniu! — stara się nam szkodzić. Czekam.

Oddany przyjaciel.

Ludwik de Vergne nie zastał Amadeusza w domu, ponieważ markiz wyjechał do Macon. Czekala go tam niespodzianka.

Tego ranka Javert obudził się wcześniej niż zwykle. Zaczęło się rozwidniać i wielka purpurowa plama na niebie robiła się coraz większa. Wychodząc ze swego pokoju, spotkał hrabiego

de Saint-Auchans bez marynarki. Ten zacny człowiek wybierał się do swej pracowni, by rzeźbić w drewnie.

—To moje ulubione zajęcie! — zakrzyknął, dając Javertowi sójkę w bok. — Praca rąk wyzwala umysł! Czy chce pan popatrzeć?

—Z radością — odparł Javert.

Towarzyszył im jeden z grenadierów w skórzanej kamizelce, butach do konnej jazdy i z dwoma pistoletami za pasem.

—Po co ta broń? — spytał Javert.

—Nikomu nie ufam, przyjacielu! W tych stronach, które są przede wszystkim moją małą ojczyzną, mogę liczyć jedynie na przyjaźń prefekta departamentu Saony i Loary, młodego kogu-cika, którego ojciec służył pod moją komendą pod Waterloo!

Pracownia przylegała do stajni. Pułkownik natychmiast przystąpił do pracy. Określenie „rzeźbienie w drewnie” było terminem znacznie na wyrost. Na tokarce robił po prostu nogę do fotela w kształcie rowkowanej kolumnienki z kulą i półksiężycem. W mrocznej pracowni spod narzędzi sypał się pył niczym kurz spod kopyt galopującego konia. Ruchy pułkownika były niezbyt precyzyjne, profile wydawały się nierówne, ale praca sprawiała mu radość. Javert nie odrywał od niego oczu. W pewien sposób zazdrościł mu. Oto człowiek, który zaznał wojny i chwały, a który wydaje się szczęśliwy przy zadaniu tak prostym, choć niemającym nic wspólnego z jego marzeniami. Javert nie miał ani jednej z owych drugorzędnych pasji, które dowodzą, że człowiek może być wielki dzięki rzeczom małym. Włożył ręce do kieszeni i znów obserwował pułkownika. Był żołnierz, prosty jak świeca, uśmiechał się, opuściwszy podbródek, z rozdętymi nozdrzami. W tej chwili nic dla niego nie istniało. Szczęście proste jak przeciągnięcie heblem.

Grenadier zaproponował Javertowi kieliszek białego wina.

— Krew potrzebuje białych ciałek — powiedział z silnym akwitańskim akcentem.

Javert wziął kieliszek i wyszedł z pracowni. Skierował się w stronę ogrodu księdza. Nieco dalej była mała rzeczulka

i mostek. Zapatrzył się na ten pejzaż, który przypominał mu s/maragdowy i złocistobrązowy koloryt Brionnais. Kojący widok. Wiatr marszczył wodę w rzece, słońce wysysało rosę, pszczoły już brzęczały wokół grusz i śliw. Nagle usłyszał w alei koński kłus. To z pewnością on, pomyślał.

Amadeusz d'Iguerande zeskokczył z konia i skierował się ku miejscu, z którego dochodził hałas. Zdumiał się, widząc mężczyznę w koszuli, z wąsami żółtymi od trocin, lekko zezującego, któremu towarzyszył cerber uzbrojony w dwa pistolety. Przedstawił się.

— Czekamy na pana! — powiedział pułkownik, odrywając się od pracy.

Otrzeptał się i wypinając pierś powiedział, kim jest. Amadeusz spojrział zaintrygowany na toporną nogę fotela, i lekko się skłonił. Przy boku miał szablę, co nic uszło czujnej uwagi pułkownika. Z szerokim uśmiechem zawołał:

— Nigdy nie dość ostrożności, markizie! Proszę za mną! Ty też, Lasalle!

Amadeusz zdziwił się, słysząc to nazwisko. Czy nie tak nazywał się generał zabity pod Wagram?

Gdy trzech mężczyzn podeszli do mostka, Javert stał odwrócony tyłem do nich. Zamierzał w odpowiedni sposób aranżować swoje pojawienie się.

— Oto nasz gość, panie Javert!

Nazwisko to nic nie mówiło Amadeuszowi. Ale kiedy zobaczył twarz człowieka, który je nosił, zdumiał się.

— To pan?

— Ja — rzekł Javert, wyciągając rękę.

Ściskając dłoń tego krewkiego młodzieńca, poczuł, że nie jest on żadnym winowajcą, co czyniło jego zadanie tym trudniejszym.

— Pozwoli pan? — zwrócił się do pułkownika.

— Bardzo proszę.

Javert oddał kieliszek Lasalle'owi i zaciągnął Amadeusza na mostek.

Godziną później obaj mężczyźni wrócili ramię przy ramieniu. Amadeusz miał purpurowe czoło, lodowatą skórę, piekły go oczy. To, co usłyszał od Javerta, odjęło mu mowę. Zdawało mu się, że Opatrzność uwzięła się na niego. W ciągu dwóch lat stracił wszystko: reputację, przyjaciół, miłość. A teraz nazwisko i cześć. Szedł szybko blady, drżący, wściekły, dziwnie delek-tując się nienawiścią, która go dławiła.

Kiedy znaleźli się przy stajni, pułkownik wyszedł z pracowni i zawołał:

— Markizie, może ma pan ochotę na kieliszek białego wina?

Amadeusz stanął jak wryty.

— Biel to kolor, który mnie już nie dotyczy! — zawołał głosem równie błagalnym, jak zrozpaczonym, i nie potrafiąc opanować goryczy, rzekł: — Markizie? Ależ jestem tylko lokajem, hrabio! Słyszysz pan? Lokajem i plebejuszem!

Wyciągnął szablę i z wściekłością złamał ją o udo.

— Nie ma już markiza d'Iguerande! Wszystko to stało się przeze mnie! Jestem nędznikiem!

I padł zemdlny.

Amadeusz ocknął się po dwóch godzinach, niezdolny wy-mówić słowo. Owo straszliwe przygnębienie trwało do późnego popołudnia. Ułożono go w salonie na pierwszym piętrze. Czu-wał przy nim Javert. Na ścianie na wprost niego wisiały dwa duże obrazy: jeden przedstawiał bitwę pod Marengo, drugi przejście przez rzekę Moskwę. W pewnej chwili do pokoju weszła Magdalena z małym Jeanem na ręku. Amadeusz uniósł głowę. Oczy mu zwilgotniały.

—Przynajmniej tego nie można mi ukraść — powiedział łamiącym się głosem. — Nadal jestem ojcem chrzestnym tego dziecka. Prawda, panie Javert?

—Oczywiście, przyjacielu.

Magdalena przywitała go „dzień dobry, panie markizie”,

i podała dziecko. Amadeusz wziął je w ramiona i przycisnął do serca.

—Pośród wszystkich moich nieszczęść dowiedziałem się jednak, że jego ojciec żyje — szepnął Javertowi. — Trzeba go odnaleźć.

—Zajmiemy się tym, panie markizie. Ale teraz to my jesteśmy ścigani.

Amadeusz oddał dziecko Magdalenie i rzekł cierpko:

—Proszę nie nazywać mnie markizem, panie Javert. Nie zasługuję już na ten szlachecki tytuł.

—Co pan o tym naprawdę wie? Ma pan szlachetne serce i tylko to się liczy, przyjacielu. A tu dla wszystkich jest pan i pozostanie Amadeuszem, markizem d' Iguerande. — I dodał cicho: — O tym, co panu powiedziałem, nikt nie może się dowiedzieć.

Magdalena z dzieckiem wyszła.

— Powinienem się tego domyślić — podjął wówczas Amadeusz, wstając. — Ten człowiek wszystko dla mnie poświęcił. Ale poświęcił również swój honor. Jest moim ojcem, ale ja nie jestem jego synem. Zawsze dawał mi do zrozumienia, że mój ojciec zginął pod Essling i że on zaopiekował się mną, bo taka była ostatnia wola mego ojca. Jak według pana mam teraz żyć?

— Nieco mniej kłamiąc. A jak pan sądzi, co ja zrobiłem?

Stojąc przed *Zwycięstwem pod Marengo*, Amadeusz zwrócił się żywo do Javerta.

— Dlaczego pan to mówi?

Javert szybkim ruchem chwycił fotel i przysunął go do krzesła, na którym usiadł.

— Zamiast się szarpać, niech pan spocznie obok mnie. Opowiem panu inną historię. Historię człowieka, który całe lata uciekał, ale w końcu nadał swemu życiu sens.

I opowiedział Amadeuszowi historię Jeana Valjean oraz losy swoje, Mariusza, Kozety, Thénardiera i innych, wiedząc, że Kozeta nie ma pojęcia o galemiczej przeszłości swego ojca. Po

raz pierwszy tak się wynurzał. Widząc rozpacz młodego markiza, z pewnością chciał w ten sposób ulżyć jego sumieniu. Amadeusz był oszołomiony. A kiedy Javert opisał mu Thenardiera, przypomniał sobie notariusza, który przyszedł ostrzec go przed poczynaniami jego intendenta.

—Przedstawił się jako Jondret...

—To on. Thénardier jest niebezpiecznym aktorzyzną. Kolejno używał nazwisk Thénardier, Jondrette, Thenard, Tar-dier... Pojawia się zawsze wtedy, gdy nikt się go nie spodziewa. Kozeta musi być w jego rękach. To jego trzeba najpierw zniszczyć. On jest sprawcą wszystkich naszych nieszczęść.

—Jak to zrobimy?

— Jeszcze nie wiem. Ale wydaje mi się, że najpierw powinien się pan zająć swoim... — Javert przerwał i poprawił się: — Panem Burdin.

— Niech pan nie owija rzeczy w bawełnę, inspektorze. Wiem, co o tym myśleć. — I widząc, że ponura twarz Javera rozjaśnia się, spytał: — Dlaczego się pan uśmiecha?

— Od dawna nikt mnie nie nazywał inspektorem.

Nazajutrz rano Javert i markiz postanowili opuścić Macon. Po zapadnięciu nocy mieli wyjechać powozem pułkownika.

W południe Amadeusz powiedział, że pragnąłby poćwiczyć strzelanie z pistoletu. Javert i pułkownik przyłączyli się do niego. Poszli do stajni, gdzie dwaj grenadierzy doprowadzali do porządku powóz.

— Zniszczył się, stojąc w oborze — skomentował pułkownik. — Lannes i Lasalle błyskawicznie go wyrychtują. Trzeba oczyścić rzemienie, naoliwić resory i wyregulować szory.

Dopiero Amadeusz zadał pułkownikowi pytanie, którego nie ośmielił się zadać mu Javert:

—Dlaczego Lannes i Lasalle?

—Bo obaj padli w boju, młody człowieku! Lannes pod Essling, Lasalle pod Marengo! Bohaterowie! Prawdziwi! Bo odwrotnie aniżeli wszyscy ci wiarołomni i głupi marszałkowie, którzy dogadzali sobie w swych gabinetach, nie mieli czasu, by zdradzić! I powiem panu coś podnoszącego na duchu, młodzieńcze: sam fakt wymawiania ich nazwisk sprawia, że staję się lepszy. Zdziwił się pan, prawda?

Amadeusz zmrużył oko.

—Denerwuje to pana? — podjął pułkownik, wskazując swym gościom pozycje strzeleckie.

—Skądże, panie hrabio. Tylko pytałem.

Javert miał pistolet, który dostał od księdza Rilleta, Amadeusz i pułkownik po dwa pistolety. Pistolet Javerta, z 1811 roku, był pistoletem żandarmerii zrobionym w Maubeuge, kolbę miał z jasnego orzecha, a ozdoby z mosiądzu; pistolety pułkownika były skałkowymi pistoletami kawaleryjskimi, model z roku XIII, z oznakowanymi lufami, a pochodziły z cesarskiej manufaktury w Saint-Etienne; pistolety Amadeusza z kurkami w kształcie łabędziej szyi i orientalnymi ozdobami były konstrukcji Flerona. Można by sądzić, że zostały zrobione z myślą o ich właścicielach.

Nabili broń. Mieli strzelać do białych kokard zamocowanych na desce, ta zaś była przybita gwoździem do palika. Aby nie doszło do wypadku, za palikiem był wysoki nasyp ziemny.

— Potrzebujemy trzech kokard! — zarządził pułkownik. — Każdy będzie miał oddzielny cel!

Amadeusz podarł chusteczkę i byle jak zawiązał kokardy, które przytwierdził do deski nad dwoma innymi gwoździami. Trzej mężczyźni odeszli dwadzieścia kroków i nabili pistolety.

— Ja wydam komendę „ognia"! — oświadczył pułkownik. — Trzymać broń wzdłuż uda, strzelać szybko!

Trzy strzały zabrzmiały jednocześnie. Pierwszy podbiegł do

celów pułkownik. Nie posiadał się z radości i natychmiast oznajmił:

— Pan Javert i ja trafiliśmy! Pan, markizie, niestety, spudłował!

Amadeusz podszedł wolno, z pistoletem przy ramieniu.

—Panie pułkowniku, nie mogłem strzelić do symbolu monarchii — powiedział ze smutkiem.

—Monarchii? Jakiej monarchii? Tego mieszczańskiego królestwa rządzonego przez kanalie służące spekulantom? Czy chce pan, bym udowodnił to, o czym mówię, markizie, czyli że dwa razy dwa jest cztery? Żebym wbił ten gwóźdź?

—Przecież już to zrobiłem, panie pułkowniku.

Stary żołnierz klepnął się po udach i wziął Javerta na świadka.

— Słyszysz pan tego franta? Z jaką zarozumiałą bezczelnością cię mi to oznajmił? Słuchając go, można by pomyśleć, że lenistwo jest matką wszelkich cnót! Wbić gwóźdź? Ach! co za śmiałość!

Javert podszedł do celu Amadeusza.

— Ma rację, panie pułkowniku. Niech pan sam sprawdzi.

Teraz z kolei podszedł pułkownik, zmarszczył brwi i z przeżeniem stwierdził, że gwóźdź wszedł w deskę. Wziął się pod boki i zawołał:

—Do kroćset! Nigdy nie widziałem takiego strzału! —

Przyjacielsko poklepał Amadeusza po plecach i rzekł:

—Z zuchami takimi jak pan zgnetlibyśmy wojsko Bluchera pod Waterloo! Gratulacje, markizie!

Trzej mężczyźni ćwiczyli dalej; ładowali pistolety i strzelali do końskich podków i zniszczonych wyciorów. Cała okolica rozbrzmiewała strzałami. Javert i pułkownik gadali bez przerwy. Amadeusz uczestniczył w ćwiczeniach, ale trzymał się nieco na uboczu. Na widok tych dwóch ludzi robiło mu się ciepło na duszy. Miał dość odwagi, by nie okazywać swej rozpacz, ponieważ czuł, że znajduje się w królestwie przyjaźni. Dlatego z szyderczą goryczą myślał o swej przeszłości dandysa. Pa-

miętał siebie jako błyskotliwego, butnego młodzieńca, zawsze niezadowolonego, gdy wszystko szło dobrze, zawiedzionego, gdy wszystko szło źle, naśladowającego Brummella, ufryzowanego, w białych rękawiczkach i kapeluszu na bakier, amatora szampana, dziwek i opium. Ów niewdzięcznik wyśmiewał się z chwały swych rodaków. Uważał, że wszystko nadaje się do pastiszu i karykatury. Ale w owym przedwcześnie zblazowanym libertynie mieszkał również czuły, delikatny paż. Dzisiaj to sobie uświadomił. Nie igra się z rozpustą, powiadał sobie. Moja dusza może nie przeżyć na złość memu ciału. W Kozecie i Mariuszu znalazł rodzinę. Wtedy gdy ich poznał, nie wykorzystał tej szansy. Duma zabraniała mu ulec mieszczańskim popędom. Jeśli ktoś przywiązuje wagę jedynie do śmieszności i groteskowych przywar społeczeństwa, nie widzi reszty. Była to tragikomedja. A teraz, gdy dowiedział się, że jest niczym, czuł się upodlony. Kiedy poznał skryte działania swego ojca, myślał, że tego nie przeżyje. Ale żył. I miał dodatkową broń: upajał się rozczarowaniem. Poczł się wolny.

Wtem usłyszeli tętent koni. Natychmiast przybiegł jeden z grenadierów.

— Oddział żandarmerii, panie pułkowniku!

Pułkownik położył rękę na ramieniu Javerta.

— Jesteśmy głupcami. Pewno zwabiły ich strzały. Musicie uciekać, przyjacielu. Za mostkiem znajdziecie małą dróżkę.

— Nie tym razem — odpowiedział Javert.

— Poddaje się pan?

— Mam lepszy pomysł. Niech pan zatrzyma na parę chwil tych panów z żandarmerii, żebym mógł się przebrać. A pan, Amadeuszu, niech się przedstawi nazwiskiem Moreau.

Pułkownik i markiz wymienili zdziwione spojrzenia. Czy był to doprawdy moment na przebieranie się? I dlaczego Amadeusz ma występować pod cudzym nazwiskiem?

— Powiedzmy, że po raz pierwszy wystąpię w mojej nowej skórze plebejusza — burknął Amadeusz, widząc, że Javert wchodzi do zamku.

Potem poszli z pułkownikiem na podest schodów przed zamkiem z mocnym postanowieniem, że nie dadzą się nabrać na żadne bajki.

Żandarmi zsiadli z koni i rozmawiali z drugim grenadierem. Pułkownik podszedł do nich i przedstawił się:

— Hrabia de Saint-Auchans. — I dodał: — Pułkownik szesnastego pułku liniowego, ranny pod Essling i pod Wagram, Legia Honorowa na polu bitwy pod Waterloo! Panowie w jakiej sprawie?

Dowódca plutonu stanął prawie na baczność: był to Carignol. Ten człowiek, nawykły do pełzania, nigdy nie przepuścił okazji, by wysunąć się naprzód z szacunku dla tego, czego sam nie miał: honoru.

— Usłyszałem wystrzały, panie pułkowniku.

— Ćwiczyliśmy się w strzelaniu z pistoletu.

Carignol uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Poszukuję niebezpiecznych przestępców, panie pułkowniku. Pewien żandarm z Macon powiedział mi, że schronili się u pana.

Pułkownik o mało się nie udławił.

— Jak może pan dawać wiarę takim pogłoskom? — spytał twardo, nastroszywszy wąsy.

— To nie pogłoski, ale pewna informacja, panie pułkowniku. Chodzi o mężczyznę nazwiskiem Moreau, który porwał kobietę i dziecko. Przed paroma dniami wymknął mi się w ostatniej chwili.

Amadeusz zrozumiał, dlaczego Javert prosił, by przedstawił się jako Moreau. Dał krok do przodu i oświadczył:

— To ja jestem człowiekiem, którego szukacie.

Carignol zmarszczył brwi. Młody człowiek nie odpowiadał rysopisowi.

— Nazywa się pan Moreau?

— Tak, to ja.

— Ile ma pan lat?

— Nie mogę tego powiedzieć — zadrwił Amadeusz — mój wiek ciągle się zmienia.

Carignol skinął na swoich dwóch ludzi.

— Zajmijcie się tym wesołkiem, zobaczymy, czy będzie nadal dowcipkował, jak powącha lochu.

Amadeusz nie protestował. Miał zaufanie do Javerta i zastosował się do jego instrukcji. Tak czy owak nie wiedziałby, co odpowiedzieć.

Pułkownik oburzył się.

— Do diaska! Poskarżę się prefektowi! Lannes, jedź po niego co koń wyskoczy!

Grenadier natychmiast spełnił polecenie.

Carignol patrzył osłupiały, jak człowiek o tak wspaniałym nazwisku odjeżdża galopem. Nie lubił się narażać. A tu się naraził.

Wtem usłyszeli grobowy głos:

— Co się tu dzieje? Dlaczego o niczym mnie nie powiadomiono?

Wszyscy odwrócili się w stronę zamku.

Na szczycie stopni stał wysoki, wyprostowany jak struna człowiek ubrany w ciemnoszary, zapięty pod szyję surdut, z ciężką laską w rękę i w głęboko nasuniętym na oczy kapeluszu z szerokim rondem. Był gładko ogolony. Dla kogoś, kto znał Javerta w dniach jego chwały, nie ulegało wątpliwości, że to on. Inspektor Javert. Najwytrawniejszy szpicel Francji i Nawarry.

Zmieszany żandarm szepnął jednemu z kolegów na ucho:

— To on? Sądziłem, że nie żyje...

Javert usłyszał jego słowa i podsunęło mu to pewien pomysł. Ruszył w kierunku małej grupy, piorunując wzrokiem Carignola. Z zaciśniętymi ustami i błyskiem wściekłości w oczach wyglądał przerażająco. Sama jego postać budziła respekt. Ten człowiek, który zawsze sływał z poszanowania władzy i z niechęci do buntu, przybrał swą postawę z dawnych lat, postawę osoby, której ideałem jest nieskazitelnność. Komandor z Don Juana. Krocząca sprawiedliwość.

— Wypuście tego człowieka — powiedział głosem nie-

znoszącym sprzeciwu. — To mój więzień, jest pod moją władzą.

Jak przypuszczał, Carignol zapytał go, kim jest i na jakiej podstawie przypisuje sobie takie prawo. Javert pozostał nieulekły. Żandarm, który go poznał, wystąpił naprzód i powiedział:

— To inspektor Javert, panie adiutancie.

Amadeusz i pułkownik milczeli. Owo tak starannie przygotowane pojawienie się inspektora na nich także zrobiło wrażenie. W owej chwili nikt nie odważyłby się wątpić w słowa Javerta. Jego płaski nos z dwiema głębokimi dziurkami i ogromne faworyty nadawały mu dziki wygląd. Miałoby się ochotę rzec: wilkołak.

— Wypuście podejrzanego — rzekł Carignol z niepewną miną.

Żandarm, który rozpoznał Javerta, odezwał się nieśmiało:

— Wszyscy mieli pana za zmarłego, panie inspektorze... Były nawet artykuły w gazetach. Służyłem pod pańskimi rozkazami w tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku, w okresie barykad...

Javert zwrócił się do żandarma i powąchał go prawie tak, jak zrobiłoby to dzikie zwierzę.

— Zmarli powracają niekiedy, by mogła rozbłysnąć prawda — odpowiedział.

Żandarm z najwyższym trudem przełknął ślinę. Javert ciągnął z szaleństwem w oku:

— Byłem w misji specjalnej. Bardzo specjalnej. — Potem utkwiał zimny, świdrujący wzrok w Carignolu: — Przez wiele miesięcy infiltrowałem przestępcze środowisko w Paryżu. Nawet udawałem jednego z tych łotrów. Koniec końców doszedłem do przerażającego wniosku, że ludzie mający obowiązek reprezentować porządek i sprawiedliwość są w zмовie z kryminalistami.

— To istotnie straszne — wybełkotał Carignol, który nagle pobladł.

Wówczas Javert zwrócił się do pułkownika:

— Proszę wejść do środka z panem Moreau, zaraz do panów dołączyć.

Cała jego osoba tchnęła protestancką surowością. Było to połączenie Kalwina, Fouquier-Tinville'a i Torauemady. Nie miało się ochoty nie usłuchać takiego człowieka.

— Proszę za mną — rzekł do Carignola, który uznał to za oznakę szacunku.

Ciężkim, miarowym krokiem Javert poprowadził go w stronę pracowni pułkownika. Nie zapomniał, co powiedział mu Rudas o Carignolu. Javert niczego nie zapominał. Zatrzymał się, włożył laskę pod prawe ramię i założył ręce za plecy. Niegdyś w owej pozie wyrażającej zarazem oczekiwanie, niepewność i niezawodną wytrwałość, często mówił nieprawdę, by dowiedzieć się prawdy. Wszyscy oskarżeni tchórzyli. Z wyjątkiem Jeana Valjean.

— Awansował pan — zauważył, patrząc daleko przed siebie w stronę mostka i rzeczki.

Strumień, wijący się między wysokimi trawami, przypominał ogromnego lśniącego węża. Carignol uśmiechnął się lekko, zaskoczony, a zarazem zadowolony. Skąd ten człowiek wiedział o jego awansie?

—Zapominanie o sobie i poczucie służby zawsze spotykają się z nagrodą, panie inspektorze. Ale skąd...

—Wiem o wszystkim — uciął Javert. — A kiedy mówię o wszystkim, to znaczy o wszystkim.

Carignol skrzywił się mimowolnie. Nie podobał mu się ten człowiek i jego insynuacje. Aby poczuć się pewniej, znów nakrył głowę kapeluszem.

—Słucham, panie inspektorze?

—Czy mówi coś panu nazwisko Tardier? Proszę się nie bać, Carignol. Osobnik niezbyt godny polecenia, znany pod przewiskiem Rudas, wielokrotnie widział pana w jego towarzystwie i oficjalnie pana zidentyfikował. Jego słowa potwierdził również chłopak o przewisku Szkapą. Czy chce pan, byśmy porozmawiali o ulicy Transnonain? Albo o tym?

Wyjął z kieszeni pierścioneł Jezusa i bawił się, machając nim pod nosem żandarma.

— Ten pierścioneł należał do niejakiego Aleksandra Tixiera, znanego bardziej pod przydomkiem Jezus, byłego towarzysza Lacenaire'a. Słucha mnie pan?

Carignol skinął głową. Wydawał się bardzo zmieniony.

— Podczas wydarzeń na ulicy Transnonain — ciągnął Javert — panu baronowi zmieniono tożsamość i kłamliwie podano, że jest Jezusem, którego zamordował Rudas. A Jezusowi zmasakrowano twarz i włożono ubranie barona. Baron zaś, któremu z pomocą garbusa nazwiskiem Burdin, współnika pańskiego przyjaciela Tardiera, podano silny narotytek, został skazany na galery jako ów Jezus, w czym wszyscy maczaliście palce. Również pan, adiutancie Carignol.

Żandarm, niewątpliwie pragnąc wyrazić żal i współczucie, usiłował podchwycić spojrzenie Javerta. Nic z tego. Javert nawet nie racył na niego spojrzeć.

—Ależ widziałem, jak ci dwaj mężczyźni bili się na ulicy...

—Nic pan nie widział, Carignol. Widział pan to, co kazano panu zobaczyć. Mam panu opowiedzieć, co było dalej?

—Ale..

—Nie ma żadnego ale!

Tym razem spojrzenie Javerta przeszło na wskroś Carignola, który niepewnym gestem, z miną męczennika rzuconego na pastwę lwom, wskazał na swój dwurożny kapeluszek i rzekł żałośnie:

—Reprezentuję władzę...

—Władzę? Chce pan, żebyśmy razem powiedzieli o tym prefektowi policji? Może władzą nazywa pan ukrywanie zbrodni pańskiego przyjaciela Thénardiera i pościg za niańką z niemowlęciem, by ich zamordować?

Carignol bronił się:

— Rozkazano mi ściagać tego Moreau i aresztować go...

Jest oskarżony o porwanie dziecka, o którym pan wspominał... A zacznijmy od tego, że nie znam żadnego Thenardiera...

—Tardier i Thénardier to jeden i ten sam człowiek.

—Zupełnie o tym nie wiedziałem...

—Czy nie wie pan również, że może pan trafić na szafot? Że Thénardier porwał żonę barona Pontmercy i że zamierza niebawem zadenuncjować pana u przełożonych?

Ten nowy cios dobił adiutanta. Miał wrażenie, że pływa w swym mundurze. Jego blade znieruchomiałe wargi nie mogły wymówić słowa.

—Za... Zadenuncjować mnie? Ale... Ale dlaczego?

—Czy Thénardier sownie pana nie opłacał, by zapewnić sobie pańskie milczenie? Stał się pan niewygodnym świadkiem, Carignol. I jak zwykle Thénardier pozbyłby się pana, zanim jeszcze padłoby jego nazwisko. Nawet nie wiedziałby pan, skąd padł cios.

Po Carignolu pot spływał grubymi kroplami. Zdjął kapelusz i wierzchem dłoni przesunął po czole.

— Żałuję, panie inspektorze — powiedział z nieszczęśliwą miną. — Mam żonę i dzieci, rozumie pan... To prawda, przy mykałem oczy na pewne drobiazgi...

Javert chwycił go za klapę munduru.

— Drobiazgi, powiada pan? Handel dziećmi? Sposób, w jaki robi się z nich niewolników? Zachęcanie do zabójstwa? Wyślanie na galery niewinnego człowieka? Projekt zgładzenia kobiety i niemowlęcia? To dla pana drobiazgi?

Puścił adiutanta, który prawie płakał.

— Jest pan sprzedajny i skorumpowany, Carignol. Kiedy człowiek nie ma honoru, nie ma też rodziny. Nie wiem, co się z panem stanie. Nie wysłałem jeszcze raportu.

Carignol stanął prawie na baczność.

— Pragną odkupić moje winy, panie inspektorze. Niech mi pan da szansę, choćby najmniejszą. Okażę się jej godny, przy sięgam. Co mam zrobić?

— Zgoda, Carignol. Ale bez kawałów. Przy najmniejszym uchybieniu z pańskiej strony każą pana wsadzić do aresztu. A teraz niech pan słucha.

Przed wyjazdem pułkownik wręczył Amadeuszowi szablę i pochwę.

— Złamał pan swoją, a nie zasługiwała na to. Niech pan uważa na tę szablę, jest dosyć porywczą.

Amadeusz zrobił gest, który miał wyrażać odmowę, a przypominał raczej zażenowanie. Był zbulwersowany.

—Ależ...

—Proszę nic nie mówić, obraża mnie pan! — zgromił go stary wiarus.

Przed wozownią Javert pomagał wsiąść do powozu Magdalenie i małemu Jeanowi. Powozić miał Lasalle. Zaprzęg składał się z dwóch nakrapianych wałachów.

Następnie do powozu wsiadł Amadeusz, ściskając w rękach szablę. Nigdy nie powie nic złego o żołnierzach cesarstwa.

Pułkownik podszedł do Javerta i wymienili uścisk dłoni.

— Jak udało się panu wywieść w pole tego policjanta? — spytał cicho.

— Dałem mu do zrozumienia, że jest najlepszy.

Pułkownik uderzył się po udach. Potem, wskazując palcem stojący w pewnej odległości pluton żandarmerii, który miał eskortować powóz do Paryża, parsknął śmiechem.

— Z panem i markizem stanowilibyśmy świetną ekipę! Na razie po zobaczeniu wszystkich tych łajdaków, którzy, jakże niesłusznie, uważają, że pozjadali wszystkie rozumy, postanowiłem porozmawiać w pańskiej sprawie z moim przyjacielem prefektem. Powiedział Lannes'owi że przyjedzie do mnie pod wieczór. Powiem mu, co o tym myślę!

Javert zrobił uspokajający gest.

— Proszę nie mówić za dużo, panie pułkowniku. Niech pan

będzie oszczędny w słowach. Cały sukces naszej operacji zależy od dyskrecji każdego z nas. Pułkownik sposepniał.

— Czy odwiedzi mnie pan jeszcze kiedyś?

— Z pewnością, panie pułkowniku. Kto wie, może zamieszkać nawet na stałe w tych uroczych stronach. Nie wiem, jak panu dziękować — powiedział, wkładając swój wielki kapelusz.

— Bijąc wroga na kwaśne jabłko, do diaska!

I hrabia de Saint-Auchans zaciął konie, machając życzliwie do Amadeusza, który wychylił się przez drzwiczki.

— Pomyślnych wiatrów, przyjaciele!

Podróż trwała prawie cztery dni. Była długa i uciążliwa, ponieważ małemu Jeanowi wyrzynał się ząb. Laski lukrecji niewystarczyły, by mu ulżyć. Skuteczne lekarstwo znalazł Javert. Pewnego wieczoru poprosił w gospodzie o goździki. Zmiażdżył je i masował tą pastą dziąsła malca. Ból przeszedł. Dziecko uśmiechnęło się do swego zbawcy o tak niepociągającej twarzy.

Wieczorem trzeciego dnia zatrzymali się w oberży w Sens. Po kolacji usiedli koło kominka. Ci dwaj mężczyźni, których wszystko dzieliło, czuli się sobie bliscy, jak niekiedy bywa wśród ludzi, którzy przeżyli rozczarowanie. Rozczarowanie Javerta było aktywne, a Amadeusza — jeszcze uśpione. Młody człowiek opowiadał o Klemencji de Lavelly, o roli, jaką odegrała w życiu Mariusza, o jej wyjeździe do Anjou. I o swojej przygodzie z Fieschim. Poznał go w pewnej jaskini rozpusty, w lokalu Pod Białym Diabłem. Pamiętał, że w dniu zamachu był przerażony tym, co się stało.

— Znalazłem się w miejscu dramatu, ponieważ Fieschi, podczas jednej z popijaw, zapowiedział mi, że tego dnia stanie się coś niezwykłego. Gdybym tylko mógł przewidzieć... Kiedy

zobaczyłem, jak łapie go policja, wpadłem w panikę. Uciekałem pędem jak szalony i na jakiś czas zaszyłem się w domu.

—Fieschi został stracony pod koniec stycznia.

—Wiem.

—I jakie pan stąd wyciągnął wnioski?

—Nie są specjalnie oryginalne: można prowadzić życie na pozór normalne i dopuścić się czynów, które normalne nie są.

—To nadaje pikanterii życiu, markizie. Tylko czy wszystko, co jest niespójne, zasługuje, by to przeżyć?

—I pan to mówi?

—Mówię z powodu tego, co przeżyłem, i z powodu tego, co przeżywam teraz.

—Można się zatem zmienić?

—Czy nie jestem tego żywym dowodem?

Amadeusz myślał oczywiście o młodym, próżnym i powierzchownym mężczyźnie, jakim był dawniej. Ale z jego ust zniknął już grymas urazy. Dziś mógł nawet stwierdzić, że kocha Kozetę bez żadnej dwuznaczności, która mogłaby zmącić to czułe uczucie.

—Czy koniecznie trzeba płacić za popełnione błędy? — spytał z twarzą pełną niepokoju, myśląc o powrocie Mariusza.

—Zawsze mamy prawo do pomyłki, markizie. Człowiek, który się nie myli, jest bardzo nieszczęśliwy. I wiem, o czym mówię.

Amadeusz lubił Javerta. Człowiek ten był dla niego przykładem. Nikt dotąd nie był dla niego wzorem.

—Czy mogę się uważać za pańskiego przyjaciela, inspektora?

—Oczywiście, Amadeuszu.

I Javert wyjaśnił młodemu człowiekowi, że ci, którzy w swym życiu nigdy nic nie zmieniają, utrwalają tylko swe wahania, tchórzostwo i skrupuły.

— Nie ma pan już nic wspólnego z tymi ludźmi, Amadeuszu. Jeśli Mariusz kiedyś powróci, udowodni mu pan to. Tylko wcześniej powinien pan rozliczyć się ze swą przeszłością.

— Chce pan powiedzieć z moim ojcem?

Javert, który obierał pomarańczą, zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Czy jest naprawdę pańskim ojcem? Nauczyłem się wątpić we wszystko, nawet w prawdę.

Amadeusz wzruszył szybko ramionami. Delikatność Javerta łagodziła pewne fakty.

—Wiem, co powinienem zrobić, inspektorze. Przez tych kilka dni spędzonych z pułkownikiem i z panem spostrzegłem, że można żyć z małymi kłamstewkami, ale nie w kłamstwie.

—Jest pan porywczy, Amadeuszu. Niech pan się stara działać mądrze i niepochoinnie.

—Jak Verjat lub Javert?

—Dawny Javert miał prawo poskramiać i karać. Nowy chciałby być bardziej tolerancyjny.

Nazajutrz ekwipaż dotarł do bram Paryża. Miasto wyglądało tak, jakby unosiło się na obłoku. Skwar bijący z dachów nadawał wszystkiemu łagodne różowe zabarwienie i rysował na niebie pierzaste koła. Ostatnie dni maja zapowiadały piękne lato.

Adiutant Carignol zwrócił się o instrukcje do Javerta.

—Postąpię, jak uzgodniliśmy — powiedział, salutując po wojskowemu. — Ale gdzie pana znajdę?

—Ja się z panem skontaktuję. Działa pan w dzielnicy Saint-Merri, nie ma tam dla mnie żadnych tajemnic.

—Naprawdę nie życzy pan sobie, byśmy eskortowali go do miejsca zamieszkania? — nalegał Carignol ze słodziutkim uśmiechem.

—Zapomniał pan, że wszystko ma pozostać tajemnicą, adiutancie?

—Oczywiście że nie, panie inspektorze.

Dał koniowi ostrogę i pluton żandarmerii oddalił się wolnym klusem.

Wtedy Javert zwrócił się do Amadeusza:

—Jedziemy zatem do pańskiego przyjaciela? Amadeusz spojrział ciepło na Magdalenę i małego Jeana.

—Odpowiadam za niego jak za siebie samego.

Ludwik de Vergne mieszkał przy ulicy de Varenne, a raczej ulicy de la Planche, w kwartale między ulicami du Bac i de la Chaise. Elegancka część dzielnicy z pałacami i siedzibami wielkich rodzin leżała dalej. Ludwik mieszkał pod numerem 12., między pałacem de Maret i pałacem de Saint-Aignan. Jego ojciec, zwolennik monarchii, wyemigrował w 1793 roku. Był prawdziwym bohaterem sprawy królewskiej i zwalczał republikanów aż do 1804 roku, do koronacji Napoleona. Jako pułkownik huzarów w pułku Mirabeau był bardzo związany z generałem hrabią de Vittre i wielce podziwiany za odwagę w boju. Ale to działo się w innej epoce. Dobra hrabiego de *Vergne zostały skonfiskowane, ale jakimś cudem udało mu się odzyskać apartament przy ulicy de la Planche*. W 1823 roku, podczas francuskiej ekspedycji do Hiszpanii, która miała przywrócić tron Ferdynandowi VII, coś strzeliło mu do głowy i w wieku przeszło pięćdziesięciu lat znów podjął służbę pod rozkazami swego towarzysza broni, generała de Vittre, w czwartej dywizji pierwszego korpusu armii, którym dowodził były cesarski oficer, generał Obert, powszechnie podziwiany za sprawiedliwy i zrównoważony charakter. Dawni wrogowie, biali i niebiescy, walczyli ramię przy ramieniu pod sztandarem kwiatu lilii. Pułkownikowi hrabiemu de Vergne nie dane było paść w boju. Ten oschły nerwowo arystokrata cierpiał na wysokie ciśnienie. Wylew zabrał go przed oblężeniem Logrono, na brzegu Ebro, owej wielkiej rzeki wypływającej z Gór Kantabryjskich. Pozostawił żonę i dziecko.

Hrabina de Vergne, z domu Lagrasse, wychowała jedynaka sama. Ludwik, młodzieniec słabego zdrowia, nie podjął pracy w zawodzie wojskowego czy dyplomaty; wolał poświęcić się

jednemu: próżniactwu. W młodości był obiektem żartów gimnazjalnych kolegów, często wyśmiewany, dręczony, upokarzany z powodu zbyt demonstracyjnie okazywanej skłonności do chłopców, i doznał z tego powodu wielu przykrości. Szukał ucieczki w książkach. Utrzymywał stosunki z pisarzami, lecz sam nie potrafił napisać jednej linijki. Był błyskotliwym rozmówcą i chwalił się, że spłodził kilka wierszy ku czci Michała Anioła, jednak nikt ich nie czytał. O wielkich ludziach mówił po imieniu, ale wielcy ludzie nie znali go nawet z nazwiska. Był maskotką, a zarazem pasożytem, uroczym kompanem przy stole i człowiekiem wielce wykształconym, znającym mnóstwo anegdot. Ceniono go za humor i erudycję.

W 1830 roku, po abdykacji Karola X, hrabina de Vergne zmarła na *anginę pectoris*. Ludwik myślał, że nigdy nie dojdzie do siebie po tym ciosie. Odziedziczył apartament przy ulicy de la Planche i tytuł, który pasował do niego jak pięść do nosa. A także dość okrągłą sumkę, którą jego najnowszy przyjaciel, markiz Amadeusz d'Iguerande, poznany na jakimś festynie na Faubourg Saint-Gennain, pomógł mu w rekordowym czasie roztrwonić. Panowie ci lubili szampana i opium. A Ludwik natychmiast zadurzył się w owym jasnowłosym młodzieńcu, który dodając do urody prestiż munduru (Amadeusz służył bowiem jako podporucznik w Algierii pod rozkazami hrabiego de Bourmont), miał cyniczny i zblazowany wdzięk ludzi, którzy do niczego się nie przywiązują i niczym się nie wzruszają. Amadeusz, człowiek interesowny, złożył mu jałmużnę z dwuznacznej przyjaźni. Ludwik zaznał zbyt wiele niesprawiedliwości i obojętności, by się od niej odwrócić. Nigdy tego Amadeuszowi nie zapomni. Człowiek pamiętliwy i wierny nigdy nie zapomina ani terażniejszości, która nieustannie odsyła go do przeszłości, ani o przeszłości, która niekiedy wyklucza go z tej terażniejszości. W końcu ktoś się nim interesował. Nie był na swym wygnaniu sam.

Dzisiaj, chociaż Amadeusz się zmienił, domyślał się, że jego drogi Ludwik nie odmówi mu gościny. Schronienie się

u tego światowca, który wszystkich znał, a którego nie znał nikt, miało swoją dobrą stronę: mianowicie mógł się o tym nikt nie dowiedzieć. A w aktualnym stanie rzeczy taki środek ostrożności był niezbędny.

Amadeusz, Javert i Magdalena z małym Jeanem przybyli bez uprzedzenia i zaskoczyli Ludwika podczas snu, który z konieczności przedłużał w obawie, że będzie musiał stawić czoło nowemu dniu.

Chociaż brak środków nie pozwalał już Ludwikowi na trzymanie służby, poza starą służącą, która przychodziła trzy razy na tydzień, by mu poprać i posprzątać, przyjął wszystkich z przesadną wylewnością. Javert uniósł brew i zmierzył go od stóp do głów. Ten przedwcześnie postarzały, prawie łysy, wycmokowaty elegancik przywodził mu na myśl owych wystraszonych mężczyzn z wyższych i średnich sfer, których zatrzymywano koło rogatek w towarzystwie młodych łobuzów o zabójczym uśmiechu. Przypomniawszy sobie, że widział go na pogrzebie Mariusza, a potem jeszcze kiedyś u Kozety na ulicy Plumet.

—Pan Verjat? — rzekł Ludwik de Vergne. Był w założonym na lewą stronę szlafroku i miał zmierzwiłone włosy.

—Javert — odpowiedział były inspektor policji. — Po prostu Javert.

—Zmienił pan nazwisko? — podjął Ludwik, prowadząc jednocześnie Magdalenę do pokoju swej matki.

—Przypadkiem — odparł Javert uprzejmie, choć bez uśmiechu.

Ludwik nie nalegał. Ten dziwny człowiek mroził go. Ale najważniejsze, że oto ujrzał swego drogiego przyjaciela całego i zdrowego, w znakomitej formie i że zaraz powie mu, kogo widział Pod Białym Diabłem.

—Nie przeszkadzamy ci? — spytał Amadeusz.

—Czujcie się jak u siebie w domu. Mam wprawdzie zwyczaj starego kawalera, ale temu domowi przyda się trochę życia.

Rzeczywiście wszystko tu było stare i zakurzone. Już od wejścia, w owym ciemnym korytarzu, z którego wchodziło się do wszystkich pokoi — w przedpokoju, dość lichej kuchni, jadalni oraz trzech pokojach bez żadnego wdzięku — unosił się mocny zapach smalcu i naftaliny. Jednak całość wyglądała imponująco. Miała pewną klasę. Stylowe meble dobrej produkcji, dywany z Aubusson, parę cennych przedmiotów, zasłony z naturalnego jedwabiu. Ale było tu bardzo smutno. W powietrzu unosiła się woń stuletniej pasty do podłóg i ostrych wydzielin, przywodzących na myśl aurę, w której usychają owi jaskiniowi starcy, żyjący w ciemnościach i odziani w stare szmaty. W salonie królował zegar ścienny z błękitnawego marmuru. Na kamiennym kominku, którego czyste palenisko świadczyło, że nie jest już używany, stały dwa wazony pełne zwędzonych kwiatów. Ten salon z boazeriami żłobionymi w brązowe łyzy, wydzieliał zapach stęchlizny charakterystyczny dla pokoju, gdzie niedawno spożywano kolację. Jednak Ludwik nigdy w nim nie jadł.

—Jak trochę posprzątam i otworzy się żaluzje, wszystko to będzie wyglądało znacznie lepiej — oświadczyła Magdalena, zanim poszła położyć dziecko w dużej sypialni.

—Ja będę spał tutaj — oznajmił Amadeusz, wskazując palcem mały, cuchnący moczem pokoik z żelaznym dzieciennym łóżkiem.

—Zajmiesz mój pokój — zaprotestował Ludwik.

—Ustąp go raczej memu przyjacielowi, panu Javertowi.

Jego przyjacielowi Javertowi? Ludwik nie omieszkiał odnotować tego stwierdzenia, które było co najmniej niezwykle. Co się stało z Amadeuszem?

—Mam również pokój służbowy w głębi mieszkania — zauważył nieśmiało.

—Więc ty się nim zadowolisz! — rzucił Amadeusz z humorem.

Ostatecznie wszyscy jakoś się rozlokowali. Javert, przyzwyczajony do spartańskich warunków, nie chciał zająć sypialni

Ludwika. Powołał się na swe zamiłowanie do ascetycznego życia, które przedkłada szczupłość miejsca nad przestrzeń, ciemność nad światło. Wycofał się do położonego w głębi mieszkania pokoju, którego okna wychodziły na mały ogródek zarośnięty bluszczem i bukszpanem.

— Najważniejsze, by synek Kozety był bezpieczny — powiedział Amadeusz do Ludwika. — Czyhają na nas ludzie groźni i źli. Będziesz musiał mi pomóc.

Ludwik lekko się nadał.

— Zatem zsyła cię Opatrzność — odparł. — Ponieważ ja też mam dla ciebie wiadomości. I to dotyczące Kozety.

Kozeta niecierpliwie czekała na „wielki dzień”. Chęć pograżenia Burdina dostarczała jej nieznanych dotychczas wrażeń. Często brano ją za gąskę. Ale młoda romantyczna dziewczyna okazała się kobietą silną i stanowczą. Wręcz groźną. Wewnętrzna siła pozwoliła jej przystosować się do najtrudniejszych warunków. Nowa u niej umiejętność udawania i wrodzona żywotność pomagały w pokonaniu wszelakich przeszkód. A odkrywając swą zdolność uwodzenia, przekonała się, że ma wpływ na mężczyzn. Czyż Gérard, ów zdeprawowany szarlatan, do którego żywiła najgłębszą odrazę, nie zachowywał się przy niej jak młodzieniec? Czyż nie ofiarowywał jej wspaniałych uczt i przepięknych toalet, których nigdy nie wkładała, uparcie obstając przy stroju od George Sand?

Cierpiał przez nią jak potępieniec. Zatracił wszelką jasność widzenia i nawet nie podejrzewał Kozety o dwulicowość. Kat zmieniał się w ofiarę. A jednak Bóg jeden wie, że w życiu potrafił przebiegle i uparcie kierować barką swych niecznych zamysłów! Tymczasem teraz spojrzenie Kozety rozbijało go, głos upajał, czysty jak kryształ śmiech wzruszał. Ulegał najmniejszemu jej kaprysowi. Poza jednym: nie chciał jej zwrócić swobody poruszania się.

—Nie kocha mnie pan — robiła mu wyrzuty.

—Proszę tak nie mówić, pociąga mnie pani, roznamiętnia, ale nie chcę, by narażała się pani na najmniejsze ryzyko.

Widać jak na dłoni, że nie zna pani Burdina.

Kozeta śmiała się w kułak. Niesamowite, jak niektórzy łajdacy są skłonni sądzić, że inni łajdacy są jeszcze większymi łotrami od nich.

Wszystko się zmieniło. Teraz nawet jeśli Gérard przychodził z Rolandem, to on podawał Kozecie tacę z jedzeniem, przez co zaniedbywał zawodowe obowiązki i ciągle się spieszył. W Chat-Malin coraz mniej mu ufali. Zwłaszcza Thénardier.

Gérard również miał się na bacności. Gdyby Thénardier dowiedział się, że Kozeta żyje, byłyby medyk mógłby postawić krzyżyk na swych ambitnych planach. Choć zamroczony namiętnością, w głębi duszy czuł, że popełnia błąd i że się demaskuje. Ale kiedy do Chat-Malin przychodził Thénardier, Gérard zachowywał niewzruszony spokój. Głośno okazywał wielką radość z wpływów restauracji i od czasu do czasu dawał jakąś większą sumę Thénardierowi, który miał oczywiście tendencję do mylenia wpływów i zyskami. Na szczęście Gérard okazał się skrupulatnym zarządcą. Ale miał się na bacności. Świetnie czuł, że długo tu już nie zagrzeje miejsca.

Pewnego dnia w Chat-Malin zjawił się Burdin. Przyszedł po odbiór swojej doli. Zachęcony przez Gérarda zjadł samotnie kolację przy jednym ze stolików.

— Nie ma dla ciebie żadnej koperty — oznajmił mu Gérard, gdy skończono wydawanie posiłków.

Garbus nawet nie mrugnął.

Po zamknięciu szynku wyszli razem. Tuż przed ulicą Saint-Denis Gérard chciał zrobić małą intrygę. Wiedząc o pogorszeniu stosunków między Burdinem i Thénardierem, dołał trochę oliwy do ognia. Powiedział, że Thénardier postanowił nie dzielić się już zyskami z restauracji.

— Mam to w nosie — odparł Burdin. — Zaraz gdy wejde

w posiadanie pewnego listu, zwinę żagle. W każdym razie od pożaru Pod Dwoma Krasnalami śmierdzi tutaj.

—A twój syn?

—Jaki syn? Chciałem zrobić z niego prawdziwego szlachcica, a nic z tego nie wyszło. Ten młody kretyn gdzieś zniknął. Jest więc oczywiste, że odbiorę to, co mi się należy.

—A ja?

—Niech się każdy martwi o siebie, mój drogi. Jak w Austrii.

—Przede wszystkim pamiętam, że w Austrii otrułem tę biedną dziewczynę, której nie chciałem utrzymywać, wpędziwszy ją wprzód w kłopoty...

—Biedną dziewczynę? Twoje nagle współczucie dziwi mnie, mój drogi.

—Człowiek się zmienia.

—No cóż, ja się nie zmieniam. Na wojnie jak na wojnie! Chyba to dla ciebie nie nowina, prawda?

—Szczyry opuszczają statek...

—I co z tego? — rzekł Burdin, zatrzymując się i rozglądając za dorożką. — Ty skorzystałeś, ja skorzystałem. Dawaliśmy sobie radę, każdy na własną rękę.

—Ty i Tardier wsadziliście mnie do Chat-Malin, nie wprowadzając mnie jednak w swoje machinacje. Potrzebowaliście moich usług. Trucizny, witriolu, ludzi od mokrej roboty.

Burdin zaśmiał się.

— Przecież jesteś już dużym chłopcem, Gérard! Nawet uniezależniłeś się, zadając się Pod Białym Diabłem z ludźmi z wyższych sfer! Więc o co chodzi?

Gérard posłał mu mordercze spojrzenie. Otwierały się przed nim dwie możliwości: albo wydać Burdina ze związanymi rękami Thénardierowi, albo przychylić się do prośby Kozety. Jedno nie przeszkadzało drugiemu. I właśnie na to miał wielką ochotę. Niemniej jednak należało Burdina przynęcić.

Nim garbus wsiadł do dorożki, którą przywołał, Gérard dał mu do zrozumienia, że ma w rękach kogoś, na kim mu zależy jak na źrenicy oka.

—Kogo?

—Osobę, która może przeszkodzić w twoich planach. Przede wszystkim dotyczących listu.

Otwierając drzwiczki dorożki, Burdin zniecierpliwił się:

—Gadaj!

—Dlaczego miałbym gadać? Potraktowałeś mnie jak psa. Ale ja potraktuję cię życzliwie. Jeśli w sobotę wieczorem przyjdiesz do Białego Diabła, unikniesz może różnych przykrości. Roland będzie na ciebie czekał i wprowadzi cię do mego gabinetu. A wtedy porozmawiamy o bardziej sprawiedliwym podziale.

Już w dorożce Burdin owinał się w czarną pelerynę gestem obrażonej królowny i oparł się łokciem o drzwiczki.

— Dobrze, przyjdę. Ale wiesz, że nienawidzę miejsc tego rodzaju.

— Nienawidzisz tylu rzeczy, mój drogi Louis-Desire...

I woźnica zaciął batem konia.

*

Gérard spiesznie wrócił na ulicę Colberta. Przez Burdina nie mógł zabrać wiktuałów dla Kozety. Ale to, co jej przynosił, powinno dodać jej sił w inny sposób. Należało uczcić to szampanem.

— Przynieś z Białego Diabła butelkę — polecił Rolandowi.

Kozeta delektowała się swym zwycięstwem, ale w milczeniu. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o dawnej i obecnej działalności Burdina oraz o człowieku, który porwał jej dziecko. Była to rzecz delikatna, ponieważ nie powiedziała Gérardowi, że jest matką. Mimo wszystko zaryzykowała i zagadnęła go o tajemniczego człowieka, którego chciał się pozbyć Thénardier.

— Moreau? — rzekł Gérard. — Znam go, często zachodził do Chat-Malin. Ale z tej strony nie trzeba się niczego obawiać. Wprawdzie łączyła go pewna zażyłość z Rudasem, ale to

człowiek raczej nieszkodliwy. Chociaż kiedyś próbował szantażu w pewnej starej sprawie...

— Szantażu? — zdziwiła się Kozeta.

Gérard wyjaśnił, że miał na myśli śmierć Jezusa i przedstawienie w jego miejsce innego człowieka. Dopóki się jednak wszystkiego nie udowodni, ów niewinny człowiek zostanie na galerach.

— Z tego, co mi wiadomo, nazywał się Mariusz Pontmercy.

W chwili gdy Roland wrócił z butelką szampana, dzwoniącą w wiaderku z lodem, Kozeta poczuła, że dławi ją w gardle.

— A jak wyglądał ten Moreau? — podjęła.

Gérard wymienił spojrzenie z Rolandem. Dał mu znak, by wyjął dwa kieliszki z szafki w przedpokoju.

— Jakie to ma znaczenie? — odpowiedział w końcu.

— Trzeba mieć rozeznanie w sytuacji. A gdyby ten Moreau nagle znowu się pojawił?

Gérard kazał Rolandowi otworzyć butelkę szampana. Potem usiadł koło Kozety i udał, że się zastanawia.

— Był bardzo uprzejmy, bardzo serdeczny. Właściwie dziw nie wyglądał. Ale uderzyło mnie, że ciągnęła się za nim woń pomarańczy i starej książki do nabożeństwa.

Oczy Kozety zabłyśły. Wzięła z rąk Rolanda kieliszek i nic nie powiedziała. Gérard mówił dalej:

— Ze strony tego Moreau nie trzeba się niczego obawiać. Mimo podejrzeń Thénardiera nadal uważam, że to fałszywy trop. Zresztą kilka razy kazałem go śledzić. I wie pani, co się okazało? Wykłada prawo studentom teologii w Saint-Sulpice i jest bardzo zaprzyjaźniony z proboszczem tej parafii. — Okiem znawcy kontemplował bąbelki w swym kieliszku, po czym dodał: — Ale jest również prawdą, że nie mamy żadnych wiadomości od ludzi, którzy mieli go śledzić. Wydaje mi się, że miało to być w Burgundii, w okolicach Paray-le-Monial. — Jednym haustem opróżnił kieliszek. — Wszystko to nie ma znaczenia. W tej chwili Moreau pewnie modli się i przystępuje do komunii z innymi bigotami.

I zaniósł się śmiechem.

Kozeta dopiła swój kieliszek i radośnie potrząsnęła głową. Same dobre nowiny: jej mały Jean jest więc pod opieką Verjata.

Pochyliła się i ucałowała Gérarda w oba policzki. Poruszyło go to i o mało nie odprawił Rolanda. Gdy badał ją Pod Dwoma Krasnalami, zobaczył jej piersi. Od tamtej chwili widok ten zżerał go od środka.

—Mam ochotę przewietrzyć się trochę — powiedziała z uwodzicielską, a zarazem nadąsaną miną.

—O tej porze?

—Od szampana zakręciło mi się w głowie, chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. Przejechać się kolaską.

Gérard zwrócił się do Rolanda.

— Postaraj się o kolaskę. Na dole musi być coś wolnego.

Olbrzym natychmiast wyszedł. Gérard przyglądał swe siwe włosy i powiedział:

—Beze mnie, moja droga. Jestem zmęczony. Będzie pani towarzyszył Roland.

—Bez pana? Szkoda — skłamała Kozeta, lekko wydymając usta. — Ale proszę tu być, kiedy wrócę. Mamy jeszcze do porozmawiania. A teraz niech się pan napije szampana!

I unosząc prawe ramię, kokieteryjnie przechyliła głowę. Wszystko zdawało się świadczyć, że będzie chciała jak najszybciej do niego wrócić. Na wystające kości policzkowe Gérarda wystąpił gorączkowy rumieniec.

*

Świeże powietrze szczypało Kozetę w twarz. Prawdziwe szczęście. Obecność Rolanda wcale jej nie przeszkadzała. Przeciwnie, przy nim czuła się bezpieczna. Przed chwilą na ulicy Colberta poprosiła woźnicę, by pojechał w stronę Pont-au-Change.

Tak, Kozeta poczuła ulgę. Jej mały Jean nie tylko żyje, ale

opiekuje się nim Verjat. A może nawet Magdalena. Zastanawiała się, gdzie mogą być. Co jedzą? Czy Verjat potrafi należycie czuwać nad zdrowiem dziecka? Przez osiem miesięcy mały Jean musiał bardzo urosnąć. Czy ma włoski jasne, czy ciemne? W tym wieku dzieci tak szybko się zmieniają.

Od wszystkich tych pytań kręciło jej się w głowie. Ogarnęło ją wewnętrzne drżenie. Tej nocy na pewno nie zaśnie. Podczas jazdy nasunęły jej się inne pytania, bardzo nieprzyjemne. Znow zobaczyła odrażającą twarz Thénardiera. Jak wicher wracała przeszłość. Czy na tej ziemi można mieć inne dzieciństwo?, pytała samą siebie. I ile jest na świecie nieszczęść, i czy wylane łzy użyźnią ziemię, by mogły na niej wyrosnąć rumianki lub kryształ? Żałowała, że nie ma już swego kryształu. Pomyślała o Rafaelu. A potem znow o swoim małym Jeanie. Przysięgła sobie, że zrobi wszystko, by jej syn nigdy nie zaznał udreń, jakie ona poznała. Jeśli nienawiść pomogła jej przeżyć, miłość pomoże żyć.

Jednocześnie wiedziała, że na tym łożu padole nic nie należy do nas, zwłaszcza dzieci. Czy należenie do siebie nie jest już wielkim losem wygranym na loterii? Dostrzegając w dali Pałac Inwalidów, pomyślała o ulicy Plumet i o dwóch rozbitych posążkach w ogrodzie. Spochmurniała nieco. Mimo spóźnionej pory koło Luwru i Instytutu kręciło się dużo ludzi. Paryż lśnił. I Kozecie z najwyższym trudem udawało się ukryć ten nagły apetyt na życie, który jąprzeobraził. Smutne myśli nie napływały jej już do głowy. Stała się niecierpliwa i chciała, by wszystko działo się szybciej. A gdzie jest w tej chwili Mariusz, jej Mariusz? W Ameryce? Ukrywa się gdzieś we Francji lub gdzieś indziej w Europie? Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Był zbyt silny, by umrzeć, zbyt dumny, by się poddać. On też musiał wiele przejść. Ale nic nie jest skończone. Niewątpliwie trzeba będzie doprowadzić do wznowienia śledztwa i procesu, porozmawiać z sędziami. Potem zdała sobie sprawę, że myśli tak, jakby Mariusz tu był. Wtedy spostrzegła, że drży. A jeśli Mariusz na nowo ułożył sobie życie w innym kraju, z inną kobietą?

Kozeta westchnęła głęboko. Pamięć to rzecz straszna. Zamykasz oczy i wyraźnie widzisz istotę, której ci brak, a nie możesz jej dotknąć. Nieobecność jest fizyczna. I zamknąwszy oczy, Kozeta zobaczyła Mariusza. Tak jak przy pierwszym spojrzeniu, które wymienili w Ogrodzie Luksemburskim. Pamiętała najmniejsze szczegóły. Było ładnie, na trawnikach ćwierkały wróble. Wokół czuła woń lawendy. Kozeta podniosła wzrok na młodego człowieka... Odtąd widziała tylko jego. Nic już ich nie dzieliło. A przecież rozdzieliło ich wszystko. Gdzie jest?

Kolaska mknęła wesoło naprzód. Z ust Kozety wymknęło się kilka niezrozumiałych słów... Jej piękny Mariusz z ciemnymi włosami, wysokim czołem... Jego wyniosły, a zarazem łagodny sposób bycia... Zapach lawendy unoszący się w powietrzu... Myślała, że upadnie. Ten zapach to był także on: trochę lawendy, bluszczu, wanilii. Kozeta złączyła ręce i przycisnęła je do serca. Pragnęłaby wdychać Mariusza, napawać się jego wonią. Już na zawsze.

Pojazd zatrzymał się.

—Wysiądę — powiedziała Kozeta.

—Może pójść z panią? — zaproponował Roland.

—Nie trzeba, stanę na moście i popatrzę na Sekwanę. To rniejsce drogie memu sercu.

Odległość między pojazdem a brzegiem rzeki wynosiła dobre pięćdziesiąt kroków.

Roland został w kolasce, ale nie spuszczał Kozety z oczu. Na wszelki wypadek miał w kurtce pistolet i nóż. Poza tym był też woźnica.

Kozeta podeszła do balustrady. Pochyliła się lekko ku nabrzeżu. Zaczęła pohukiwać jak puszczyk. Nauczył ją tego Jean Valjean, kiedy była dzieckiem. Patrzyła wtedy zaintrygowana na ręce swego przybranego ojca, by zobaczyć, czy nie kryje się w nich jakieś zwierzątko.

— Szkapo! — zawołała, odkaszlnąwszy.

W dole dzieciaki kręciły się wokół piecyków żarowych. Pod

jedną z arkad pojawił się chłopak o wielkiej szczęce i w czapce na bakier. Spojrzał w górę.

— Co pani tu robi?

— Nie jesteśmy już przyjaciółmi? Jesteś mi potrzebny.

— Z całą bandą?

— Nie. Tylko ty. Widzisz tę szarą kolaskę? Wskoczysz na jej tył i posłuchasz, co trzeba będzie zrobić. Muszę już iść...

Szkapa pokręcił głową i mruknął:

— Ależ ta ma pomysły.

Jednak posłuchał Kozety. Wspiął się najpierw na mur, potem na balustradę i kiedy zobaczył w kolasce Kozetę, pochylił się i pobiegł za toczącym się pojazdem, który już zawrócił. Wskoczył na jego tył. Kiedy już się tam znalazł, skulił się i siedział nieporuszony. Zobacz, co będzie dalej.

*

Ledwo przyjechali na ulicę Colberta, Kozeta oznajmiła Rolandowi, że pragnie zostać sama z Gérardem. Na dobrodusznym ojcowskim obliczu olbrzyma ukazał się uległy uśmiech. Odprowadził Kozetę do drzwi wejściowych i odczekał kilka sekund, zanim wszedł Pod Białego Diabła.

Szkapa schował się za dwiema stojącymi dorożkami. Czekał. Kiedy zobaczył, że drzwi znów się otwierają i staje w nich Kozeta, przemknął między dwoma zaprzęgami.

— Pospiesz się!

Chłopak dopadł do wejścia i wszedł za nią do środka. W ciemnym korytarzu Kozeta położyła mu rękę na ramieniu. Onieśmieliło go to. Spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

— Chcę cię prosić o dwie rzeczy. Po pierwsze wślizgniesz się do mieszkania, w którym mieszkam, i dobrze nadstawisz ucha. Myślę, że to, co powie Gérard, powinno cię zainteresować.

— Gérard? — zdziwił się Szkapa. — Ależ to przyjaciel garbusa! Znam go, to zarządca Chat-Malin.

—No właśnie, dowiemy się czegoś więcej. Po drugie, musisz tu przyjść w sobotę z całą bandą. Postaraj się wynająć dorożkę. Masz, tu są pieniądze. Będzie czekała na ciebie paczka.

—Jaka paczka? — spytał ironicznie Szkapa swym jednostajnym głosem. — Umrzyk?

—Nie pleć głupstw. Sam garbus. Będzie uśpiony.

—Dokąd mam go zawieźć?

—Na ulicę Saint-Fiacre.

Kozeta pokazała mu wówczas drzwi, które prowadziły do piwnicy i łączyły się z Białym Diabłem.

—Przejdiesz tamtędy.

—A jeśli będzie jakaś wpadka?

—Uciekniesz, jak gdyby nigdy nic. Ale nic takiego się nie zdarzy.

—Mam nadzieję — mruknął Szkapa.

Weszli na górę. Kiedy już byli na miejscu, Kozeta kazała mu trzymać się w pewnej odległości za nią. Postara się zostawić uchylone drzwi. Po pięciu minutach Szkapa ma wejść do mieszkania i słuchać. Da mu znak, naśladując krzyk puszczyka.

—A co na to tamten gość?

—Ja się nim zajmę.

Mrugnęła do Szkapę, który ukrył się w kącie, i zadzwoniła.

— Już? — rzekł Gérard, otwierając drzwi. — Skróciła pani przejażdżkę, by do mnie wrócić? — I dodał z zażenowaniem: — Proszę wybaczyć, zdrzemnąłem się.

Miał na sobie kamizelkę i koszulę z zawiniętymi rękawami.

—Było trochę duszno — odpowiedziała Kozeta, zdejmując cylinder. — Poza tym posłuchałam pańskiej rady i starałam się nie narażać na żadne ryzyko.

—A Roland?

—Odprowadził mnie do wejścia i poszedł prosto Pod Białego Diabła.

—To ryzykowne.

— Może pan sprawdzić, jest na dole.

Kozera zauważyła, że Gérard wykończył butelkę szampana. Jeśli pił, to znaczy, że ma kłopoty. Poza tym może sobie śmiałej z nią poczynać. Kiedy zrobił ruch, jakby chciał zamknąć drzwi, poprosiła, by zostawił je otwarte.

— Będzie trochę przewiewu — rzekła, odwracając się. — Może przeszlubyśmy do sypialni i porozmawiali?

Gérard zrobił nadludzki wysiłek, by nie chwycić Kozety i nie przyciągnąć jej do siebie. Szampan dodał mu odwagi. Nie mówił już sobie, że jest dla niego za młoda. Czy nie skończy dopiero pięćdziesięciu pięciu lat? Ale dziwna rzecz, ten zdeprawowany człowiek, który poznał wszystkie zbrocenia, wszystkie rodzaje rozpusty, zbyt ją szanował, by pozwolić sobie na najmniejszy dwuznaczny gest. Pragnął jej ponad wszystko w świecie, ale umieścił ją na piedestale. Była królową, księżniczką, nietykalną boginią jego świątyni, tak często profanowanej. Mimo że pijany, zachowywał się bardzo godnie i przysiadł na jednym z dwóch krzeseł w jej sypialni. Kozeta ulokowała się obok niego i przyłożywszy ręce do ust, zaczęła naśladować krzyk puszczyka.

—Co pani robi?

—Przekazuję panu umowny znak, którego użyję, gdy Burdin znajdzie się w naszych rękach. Poza tym daję panu dowód, że moi przodkowie byli szuanami i że jestem gotowa walczyć. Czy czytał pan *Ostatniego szuana* pana Balzaka?

—Nie mam czasu na lektury.

—Powinien pan go znaleźć. A czy sądzi pan, że pański przyjaciel Burdin ma na to czas?

—Z pewnością nie. I powiem pani dlaczego. — Dotykając lekko ręki Kozety dodał: — Proszę nie nazywać go już moim przyjacielem.

Spoważniał, położył dłonie na kolanach i zrelacjonował jej wszystko, co wiedział o Burdinie. Mówił o wojnie, Austrii, dobijaniu lub truciu rannych, o jego synu, którego zdaniem ojca czeka wspaniały los...

—Ma syna?

—To markiz d'Iguerande, do kroćset! Taki sam markiz jak pani czyja! Louis-Desire wszystko dla niego poświęcił. A początkowo, proszę mi wierzyć, miał pieniądze. Chciał z Amadeusza zrobić szlachcica, wielkiego pana, a zarazem bandytę jeszcze groźniejszego niż on sam. Bandytę z tytułem i możliwościami. Bandytę uznanego i nietykalnego. Burdin, biedny, pozbawiony wszystkiego garbus, czuje ogromną potrzebę uznania i czcigodności. Nazwisko d'Iguerande kupił pod koniec cesarstwa. Wyprał z siebie żyły dla tego zdegenerowanego, próżnego chłopaka.

Kozeta nie mogła usiedzieć na krześle. Wszystkie te rewelacje razem wzięte przyprawiły ją o zawrót głowy. Może jednak były to tylko zwykłe oszczerstwa?

Gérard niezmordowanie ciągnął dalej, opowiadał ze szczegółami, mściwie gestykulując. Miał Burdinowi za złe, że trzyma go z dala od swoich spraw i o niczym nie informuje. Uważał, że to wina Tardiera. Ale kiedy trzeba było dostarczyć jakiś środek odurzający, truciznę czy kwas, zwracali się do niego o pomoc jak gdyby nigdy nic. Uważali go za naiwniaka. Takiego, który może odgrywać tylko drugorzędne role.

— Teraz zapłacą mi za to. To ja dostarczyłem Tardierowi witriol dla żony byłego zarządcy Clan Destin, niejakiego Kochasia. Dobrze przygotował swój numer. Nikt nic nie widział, nikt nikogo nie złapał za rękę. Chciał się uwolnić od kochanki zarządcy i od niego samego. Żona zarządcy została zabita, kochanka oszpecona, zarządca wysłany na galery. A Tardier i Burdin położyli łapę na gospodzie.

Kozeta wszystko to notowała w pamięci. Domyślała się, że to samo robi Szkapka. Kiedy dojdzie do płacenia rachunków, te wyznania bardzo zaciążą na szali.

W pewnej chwili Gérard ujął dłoń Kozety. Nie protestowała. Kiedy starał się posunąć dalej, pogroziła mu miło paluszkami.

— Powiedzieliśmy w sobotę, panic Gérard.

— Tak panią kocham — wykrztusił...

I wrócił do swej opowieści. To on dostarczał środków odurzających. On, były lekarz, który nie miał już prawa wykonywania zawodu.

— Nie wiedziałem, dla kogo są przeznaczone. Płacono mi i dawałem je, komu należy.

Pewnego dnia powiedziano mu, że trzeba będzie podać silny środek uspokajający młodemu mężczyźnie, który przyjdzie z wizytą do jakiejś damy. Młodzieniec ów nazywał się Mariusz Pontmercy. Był przyjacielem Amadeusza.

Kozeta zadrżała. Jakby ktoś zatopił jej nóż w sercu.

— Jeden z pomagierów Tardiera o przywisku Rudas wszystkim mi opowiedział — dodał Gérard, nie zauważywszy poruszenia Kozety. — Jego ciało odnaleziono w Sekwanie z poderżniętym gardłem, oto jak mu zapłacono. Z tymi ludźmi nie ma żartów. Rudas podjął się także zakatrupić niejakiego Jezusa. Ów Jezus był trochę podobny do Mariusza Pontmercy. Widzi pani, do czego zmierzam?

— Jak najbardziej — powiedziała Kozeta z błyszczącymi oczami.

— A ponieważ dama, u której znajdował się Mariusz Pontmercy, mieszkała przy ulicy Transnonain... rozumie pani, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem — odrzekła Kozeta.

— I nadal chce pani, by Burdin przyszedł tu w sobotę wieczorem?

— Jak najbardziej.

Gérard pokręcił głową.

— Jest niebezpieczniejszy niż skorpion. Jeśli pani pozwoli, wydam go Tardierowi. Nie są w otwartej wojnie, ale niebawem do tego dojdzie. Chcą się wzajemnie załatwić. A przy okazji załatwić i mnie. Ale my się nie damy, prawda? I ja panią obronię. Biada tym, którzy chcieliby pani wyrządzić krzywdę! — Znow ujął dłoń Kozety: — Nawet nie znam pani nazwiska ani imienia...

Kozeta cofnęła rękę i roześmiała się kokieteryjnie.

— Jestem jedną wielką tajemnicą, drogi doktorze. Może nawet sama zapomniałam, jak się nazywam. Cokolwiek się zdarzy, wszystkiego dowie się pan w sobotę. A może również dostanie pan wszystko, czego pragnie.

Wypowiadając ostatnie słowa z wyrazem gorącego pożądania, Kozeta przysunęła się tak blisko Gérarda, że poczuł jej oddech. Z rozkoszy przymknął oczy. Ona natomiast spojrzała na niego wzrokiem, który mógłby zabić. Potem powiedziała spłoszona:

— Niech pan posłucha... Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki...

Od początku rozmowy nasłuchiwała, co się dzieje w sąsiednim pokoju, i wiedziała, że Szkapą już wyszedł. Gérard zerwał się jednym susem. W jego oczach pojawiło się coś dzikiego. Z kieszeni surduta wyjął kastet.

— Nie powinienem był pani słuchać — szepnął. — Jeśli to prawda, ktoś panią śledził. Na domiar drzwi były otwarte.

Rzucił się ku niej z głośnym krzykiem. Kozeta aż podskoczyła na krześle.

Ów krzyk miał przegnać strach. Gdy się miało do czynienia z Burdinem i Tardierem, należało spodziewać się najgorszego. Wyrzwał na klatkę schodową i zdawało mu się, że widzi jakiś cień.

— Jeszcze zobaczysz! — krzyknął buńczucznie w tamtą stronę.

Potem wrócił do mieszkania. Kozeta czekała na niego z miną stosowną do okoliczności. Udawała jednocześnie i strach, i ulgę.

—Uciekł, tchórz — rzekł Gérard.

—Przy mężczyźnie takim jak pan czuję się bezpieczna — odpowiedziała Kozeta i skłoniła głowę jak osaczona łania. Gérard nadął się:

— Natychmiast zejść na ulicę, by sprawdzić, czy nie dzieje się coś podejrzanego. Roland będzie stał na warcie przez całą

noc. — Po czym dodał ze skruszoną miną:
— Ogromnie mi przykro, ale muszę znów
panią zamknąć. Jutro zjawię się tu o
świecie. Niech pani nikomu nie otwiera i od
wewnątrz zamknie drzwi na zasuwę.
Zapukam trzy razy.

Potem, już na progu, powiedział prawie
nieśmiało:

— Spij dobrze, mój aniele.

Są na świecie kaczki i notariusze, a różnica między nimi polega na tym, że skubie się jedne, a jest się skubanym przez drugich. Są więc dobrzy i źli notariusze, tak jak są dobre i złe kaczki. Rejent Chanplon należał do pierwszej kategorii. Nie był jednym z owych notariuszy, którzy biorą hipoteczną pożyczkę pod rzecz nienależącą do nich lub którzy swoje przestępstwa kryją za pomocą dobrze spreparowanych dokumentów. Wprawdzie mały wzrostem, lecz nieposzlakowany i skrupulatny, przez co nie doszedł do majątku, od dziesięciu lat zajmował się sprawami markiza d'Iguerande i jego intendenta. Jego kancelaria znajdowała się w dzielnicy banków, w pobliżu Chaussee d'Antin, ściśle mówiąc przy ulicy de la Victoire.

Nazwa ta wróżyła same dobre rzeczy. Louis-Desire Burdin coś o tym wiedział. A tego ranka, gdy udawał się do kancelarii rejenta Chanplon, był pewny, że sprawę ma w kieszeni. Poprzedniego dnia opuścił ulicę Saint-Fiacre i wynajął pokój w hotelu de Moussej przy ulicy de Provence. Był więc w stanie pełnej gotowości.

Dwa dni wcześniej w największej tajemnicy sprowadził z Faubourg Saint-Antoine pewnego kupca z wozem i sprzedał mu parę mebli z apartamentu Kozery. Poza tymi drobiazgami i moimi własnymi oszczędnościami, wynoszącymi prawie dwieście tysięcy franków, mam jeszcze ten list i pięćset tysięcy,

które mi na jego podstawie wypłacą, mówił sobie. Ponadto wziął dwa srebrne świeczniki stojące na kominku w mieszkaniu Kozety. Te, które ksiądz Benvenuto dał Jeanowi Valjean.

— Pana d'Iguerande nie ma? — spytał natychmiast rejent Chanplon, zagłębiając się w fotel i zakładając prawą nogę na lewą.

Burdin zajął miejsce naprzeciwko niego i położył kapelusz na kolanach.

— Ten list świadczy, że udzielił mi pełnomocnictwa i że powinien mi pan oddać dokumenty, o których mowa. Obecnie pan d'Iguerande jest w podróży. Zgłosi się do pana natychmiast po powrocie.

Notariusz odchrząknął i poszedł otworzyć sejf. Wziął jakieś akta i znów siadł za biurkiem. Zaczął je przeglądać, chcąc wykorzystać czas, podczas którego intendent, niezwykle pewny siebie, wyłoży, o co mu chodzi.

Burdin patrzył na to bez słowa. Gdyby jednak rejent Chanplon podniósł na niego wzrok, naprawdę by się przeraził, widząc, jaki wyraz nienawiści zniekształcił twarz garbusa.

—Najpierw chodzi o pięćset tysięcy franków. Jest również mieszkanie przy ulicy Saint-Fiacre. Wprawdzie pan baron Pontmercy i jego małżonka zmarli, ale...

—Pan markiz był cierpliwy i wspaniałomyślny — przerwał mu Burdin. — Czy mam panu przypomnieć, że mógłby zrobić z tego listu użytek natychmiast po śmierci pana barona? Ze względu na przyjaźń, którą dla niego żywił, nie zrobił tego. Ja, panie rejencie, jestem jedynie wysłannikiem i rzecznikiem pana markiza. Przed wyjazdem obarczył mnie tą bolesną misją. Jak panu jednak wiadomo, z pieniędzy, który leży, nie ma żadnego pożytku. Zwykle albo czerpie się z niego zyski, albo się go rozdaje. A jak mi wiadomo, pan markiz pragnąłby przekazać część tej sumy na cele dobroczynne i dla ludzi znajdujących się w trudnej sytuacji. Przyzna pan, że to szlachetny gest. Zresztą po powrocie do Paryża osobiście to panu powie. Czy nie ma tam również mowy o mieszkaniu pani baronowej?

— Istotnie — przyznał notariusz, nie podnosząc oczu. — Proszę, oddaję więc panu ten list. Jeśli chodzi o kapitał płynny, trzeba będzie poczekać. Pan markiz sam powierzył mi tę sumę za zgodą pani baronowej Pontmercy.

Burdin wziął list i schował go do torby, która nadawała mu wygląd zamożnego, statecznego człowieka. W jego niepewnych ruchach widać było podenerwowanie. Co mu po liście, jeśli nie ma pieniędzy? Był piątek i liczył, że najpóźniej w poniedziałek opuści stolicę. Nazajutrz, zgodnie z umową, pójdzie Pod Białego Diabła. Był ciekaw, kogo Gérard ma w garści. Mariusza Pontmercy? Niemożliwe. Moreau? Bez znaczenia. Syna Kozety? To byłaby niespodzianka. Jeśli istotnie tak jest, Burdin triumfowałby na całej linii. Miałby pieniądze i spokój.

—Co zatem robimy? — podjął notariusz.

—Czy mógłby pan zgromadzić tę sumę do poniedziałku?

—Oczywiście. Mój komisjoner może się tym zająć już dziś po południu. Ale na uzupełnienie jej trzeba będzie poczekać do poniedziałku rano.

—Wobec tego przyjdę w poniedziałek po południu — ustąpił Burdin.

Podniósł się i na jego twarzy pojawił się świdrujący, acz uprzejmy uśmiech. Ostatecznie nic go nie nagliło, przecież mógł odłożyć wyjazd do poniedziałku wieczorem. Miałby nawet czas na zarezerwowanie jakiegoś pojazdu wyłącznie dla siebie.

Milczał dłuższą chwilę, potem tupnął i oniemiałemu ze zdumienia notariuszowi oświadczył nagle:

—Pragnąłbym także odebrać dokumenty, które powierzyłem panu przed dziesięciu laty.

—Te, które dotyczą pana markiza?...

—Właśnie. Są one moją własnością.

Burdin był uszczęśliwiony. Ton jego głosu zmienił się.

—Nie przeczę, panie Burdin, ale... Tym razem Burdin się zdenerwował.

—Dokumenty są opieczetowane, prawda?

—Tak jest, panie Burdin.

—Proszę więc mi je oddać, już czas, by pan markiz się z nimi zapoznał.

Notariusz niechętnie przystał na jego żądanie, gdyż wspomniane dokumenty miały wartość testamentu. Burdin powierzył mu je z zaleceniem, by oddał je markizowi po jego śmierci. Skąd ta nagle zmiana decyzji?

—Pragnie pan zmienić swój testament? — spytał notariusz, podając Burdinowi dwie grube koperty.

—Zajmowałem się młodym markizem d'Iguerande jak własnym synem — odpowiedział tamten, wkładając koperty do torby. — I rzekł z triumfalną miną: — Powiedzmy, że chcę, by odniósł pewne korzyści z tego, co udało mi się zgromadzić. Ale to nie pańska sprawa, panie rejencie. Szlachta jest tak kapryśna. Do poniedziałku.

Włożył kapelusz i wyszedł z torbą pod pachą.

Są w życiu pewne zbiegi okoliczności, które igrają sobie z ludzkim losem. To właśnie pomyślał rejent Chanplon na widok markiza d'Iguerande wchodzącego do jego kancelarii po południu w ów deszczowy piątek.

—Dzień dobry, panie markizie.

—Dzień dobry, panie rejencie. Paskudna pogoda, prawda?

Notariusz skierował wzrok na jedyne okno w pokoju. Słychać było bębnienie deszczu o szyby i krótkie uderzenia podmuchów wiatru wiejącego w drzewach. W maju poziom Sekwany podniósł się do pięciu metrów i sześćdziesięciu dwóch centymetrów. Łało bez przerwy. Pogoda pod psem.

— Siedząc u siebie w gabinecie, nawet już tego nie zauważam — mruknął rejent.

Potem poprosił Amadeusza, by spoczął i pogratulował mu szybkości, z jaką rozchodzą się informacje. Amadeusz z nieco pedantyczną wyższością zdziwił się tą uwagą.

- Słucham?

— Pański intendent powiedział mi, że niezwłocznie wróci pan do Paryża, ale nie sądziłem, że stanie się to tak szybko.

Amadeusz wykręcał sobie palce. Na jego twarzy zaduma szybko ustąpiła gniewowi.

—Był u pana mój intendent?

—Nie dawniej niż dzisiaj rano. W sprawie tego słynnego listu. Proszę mi nie mówić, że to przypadek...

Amadeusz, bardzo blady, nie uniósł się, do czego miałby pełne prawo. Ostatecznie ten przypadek zdarzył się w samą porę.

—A pieniądze? — spytał natychmiast.

—Mam mu je wręczyć w poniedziałek po południu. Jednak ponieważ pan tu jest...

Amadeusz przerwał mu gestem.

—Nie, przede wszystkim proszę nie zmieniać swoich planów. A kiedy tu przyjdzie, zechce pan nie mówić mi, że tu byłem — po czym spytał, jakby chodziło o rzecz niesłychanie ważną: — Czy pan Burdin wrócił na ulicę Saint-Fiacre?

—Nie wiem, panie markizie. Ale jeśli pozwoli mi pan na pewną uwagę, pański intendent wydał mi się bardzo poruszony.

—Ma powody — szepnął Amadeusz.

—Słucham, panie markizie?

—Nie, nic ważnego.

Notariusz nie nalegał. Ciągnął dalej:

—Muszę też pana powiadomić, że oddałem pańskiemu intendentowi dokumenty dotyczące jego testamentu oraz dokumenty pochodzące od markiza, pańskiego ojca.

—Od markiza, mego ojca? — powtórzył z ironią Amadeusz fałszywie brzmiącym głosem. — Od markiza d'Iguerande, który poległ pod Essling?

—Tak właśnie przypuszczam — odpowiedział rejent Chanplon, nieco zdziwiony. — Obydwa listy są zapieczętowane. Nie znam ich treści.

Amadeusz z goryczą pokręcił głową. Przez te wszystkie lata

Louis-Desire traktował go z niezwykłą kurtuazją i przywiązaniem, które w rzeczywistości było bezwzględną ingerencją w jego charakter i poczynania. Ukierunkował go tak, by stał się małym, cynicznym, powierzchownym i głupim durniem. Cudownym zrządzeniem losu Amadeusz napotkał na swej drodze Mariusza i Kozetę. I jak na dłoni zobaczył wszystko, o co podskórnie podejrzewał Louis-Desire: że wciąż go świąt uraz, bankructwa i nieszczęścia. Drożdże, które w nim fermentowały i kipiały w jego sercu jak ohydna potrawka. Ale wybiła godzina rozliczeń. Gdyby nie Javert, który wyjechał do Vivonne w regionie Poitou, by spróbować skontaktować się z Klemencją, Amadeusz nazajutrz rano poszedłby Pod Białego Diabła. Wywałby Kozetę ze szponów Gérarda, a potem zająłby się Burdinem. Chociaż jego szlachecki tytuł w chwili narodzin był uzurpacją, zasłużyłby sobie na niego w walce!

Tego wieczoru Gérard nie poszedł do Chat-Malin. Instykt go nie mylił: Thénardier kazał Wilczarzowi go wykończyć.

—Trzeba było ukatrupić go wcześniej — żałował Thénardier, który zaszedł do oberży, gdy już ją zamykano.

—Najmę do pomocy wszystkich swoich ludzi — zapewnił swego pracodawcę Wilczarz. — Dostaniemy go później.

Kiedy Thénardier spytał pracowników o powód nieobecności zarządcy, nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Wkładając do kieszeni utarg dzienny, przypomniał sobie mgliście o wizycie adiutanta Carignola, który powiedział mu, że pewien inspektor policji aresztował Moreau, oraz uświadomił sobie, że Burdin coraz częściej jest nieobecny. Co knuje garbus? Wilczarz się nim zajmie, gdy tylko załatwi Gérarda. Ale czas naglił. Może Burdin już wziął pieniądze baronostwa Pontmercy i zwiął. Thénardier był wściekły. Burdin, choć obiecywał, nie dał mu ani grosza. Przed paroma dniami Thénardier wysłał na ulicę Saint-Fiacre Pégasse'a, ale ten garbusa nie zastał.

—Co robimy? — spytał Pégasse. — Wylamujemy drzwi i kradniemy?

—Jeszcze nie. Trzeba trochę zaczekać.

Thénardier miał złe przeczucia. Gdzie się podziewa mar-kiz? Aby zabezpieczyć się przed jakąś niemiłą niespodzianką, wszystkie swoje pieniądze zgromadził w domu i zamknął w sejfie.

Zbierał się już do wyjścia, gdy podeszła do niego ruda kelnerka i odciągnęła go na bok. W jej spojrzeniu dostrzegł dziwny błysk. Ponieważ Thénardier nigdy nie przebywał dłu-go w Chat-Malin, wiedział o niej tylko tyle, że nazywa się Prozerpina.

—Czy możemy zamienić dwa słowa, Koci Królu?

—Słucham, dziecko.

—Zaczekaj na mnie za zewnątrz — rzekł stary do swego pomagiera.

Gdy Wilczarz wyszedł, Thénardier i Prozerpina stanęli przy kontuarze.

—Słucham.

—To delikatna sprawa, Koci Królu. Od dawna znam Gérarda, a jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

—To znaczy w jakim?

—Wydaje się nieobecny. Odkąd zadurzył się w tej blondynecze, jest jakiś nieswój.

Thénardier, który nie miał w sobie nic z powiernika i któremu były głęboko obojętne sercowe problemy tych czy owych, nacisnął kapelusz na oczy, co znaczyło, że zaraz zrobi jakąś podłość albo że jest poirytowany.

—Takie rzeczy się zdarzają — rzucił. — Jeśli chcesz wyplakać mi się w kamizelkę, trafiłaś pod niewłaściwy adres. Zależy mi tylko na tym, aby Gérard był w robocie. Tymczasem nie ma go.

—Bo zanadto koło niej skacze. Koło tej blondyneczki z krótkimi włosami. Pewnego wieczoru widziałam, jak przyszła, ledwo trzymając się na nogach.

Oko Thénardiera rozbłysło.

—Ale dokąd?

—Pod Białego Diabła...

—Pracujesz więc jeszcze gdzie indziej? A co to takiego ten Biały Diabeł?

Prozerpina zrobiła skruszoną minę.

—To jaskinia rozpusty, Koci Królu... Lokal dla bogaczy. Z niewielką kryptą w podziemiach, gdzie można się napatrzyć na różne rzeczy.

—A ta blondyneczka?

—Gérard trzyma ją właśnie tam, w mieszkaniu na piętrze. Można by ją wziąć za chłopca. Uwielbia ją...

Czoło Thénardiera zachmurzyło się. Blondyneczka wyglądająca jak chłopiec? Przypomniał sobie, że Gérard leczył Kozetę Pod Dwoma Krasnalami. Czyżby Skowronek uratował się z płomieni? Przecież Gérard mówił mu, że podobno w Sekwanie znaleziono na poły zwęglone ciało młodej kobiety?

—A jak nazywa się ta blondyneczka?

—Tego mi nie powiedział.

Thénardier drgnął. A jeśli Burdin jest również w znowiu? Postanowił to sprawdzić.

— Jeśli chcesz, mogę cię uwolnić od tej dziewczyny. Jedno dobre pchnięcie nożem i sprawa załatwiona.

Prozerpina opuściła oczy i otarła się o tego opatrnościowego człowieka. Cichym, żalonym głosem powiedziała, że teraz jest jej lżej na sercu.

— Lokal Pod Białym Diabłem znajduje się przy ulicy Colberta — dodała, patrząc w ziemię.

Thénardier zapamiętał ten adres. Potem spytał podchwytliwie:

—Czy są tam jakieś ciemne zakamarki?

—Mnóstwo.

— Świetnie. Przyślę ci Pégasse'a. Kiedy ma przyjść?

Prozerpina wyjawiała mu, że następnego dnia odbędzie się

czarna msza z udziałem bogatego towarzystwa. Jeśli Pégasse ma przyjść, będzie na niego czekała przy wejściu do Białego Diabła i bez trudu wprowadzi go do środka. Nikt niczego nie zauważy.

— Świetnie — powtórzył Thénardier. — Jesteś dobrą dziewczyną.

Potem wyszedł i dołączył do Wilczarza, który czekał na niego na zewnątrz.

— Sprawy zaczynają przybierać dobry obrót — powiedział, stukając w ziemię czubkiem laski. — Będziemy potrzebowali Pégasse'a i Carignola.

W gabinecie Gérarda Kozeta gorączkowo czekała na początek ceremonii. Policzki jej zaróżowiły się na myśl, że zastawia sidła na człowieka, który przed paroma miesiącami zastawił je na nią. Bez przerwy dotykała swego scyzoryka.

—Nie może pani tu zostać — uprzedził ją Gérard. — Właśnie tutaj wprowadzimy Burdina.

—Więc co mam robić?

—Czy znajdzie pani w sobie dość siły, by stać niedaleko ołtarza?

Kozeta zmarszczyła brwi.

—I patrzeć na tę ohydę?

—Może pani po prostu zamknąć oczy. W każdym razie będzie pani znajdowała się za mną. Chcę, by czuwał nad panią Roland. Nigdy nie wiadomo. — Podał Kozecie białą suknię i maseczkę. — W tym nikt pani nie pozna. Proszę mi zaufać.

Kozeta nikomu już nic ufała. Ale włożyła na swe ubranie suknię i przyjrzała się maseczce. Była to wykrzywiona twarz harpii, okolona posrebrzonymi liśćmi akantu.

—Co za obrzydlistwo — skrzywiła się.

—Wiem — przyznał Gérard. — Ale nie możemy sobie

pozwolić na najmniejsze ryzyko. Wszystko musi wydawać się normalne.

W chwili gdy to mówił, wzdłuż czerwonych kotar szybko przemknęła Prozerpina. Spojrzała uważnie na Kozetę. Nikt jej nie zauważył. Natychmiast znikła w krypcie i weszła na górę do salonu Białego Diabła. Tego wieczora na ołtarzu miała leżeć nie ona, lecz jednooka Nina. Stojąc przy drzwiach wejściowych, pomyślała o Kozecie i szepnęła:

— Nie wyjdiesz z tego cało, ślicznotko...

Tymczasem Kozeta przymierzała maseczkę. Pobyła w niej chwilę i zdjęła ją znużonym gestem. Roland stał obok, skrzyżowawszy ręce. Niedaleko biurka, przy którym miał usiąść Burdin, Gérard wkładał swój strój. Ten powolny, tajemniczy człowiek z trudem opanowywał tik, deformujący mu usta. Kiedy się poruszał, despotyczny i milczący, tunika fruwała wokół niego, wydzielając zapach szypra i octu.

— Będzie tu za godzinę — powiedział, rzuciwszy okiem na zegarek. — Przyjmie go Roland, a Prozerpina poda mu coś do picia. Sam przygotowałem ten napój — podkreślił, pokazując smukły srebrny dzban. — Może powalić byka.

Kozeta ze zdumieniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Zmieniła się. Nie była to już buzia dziewczynki, która mieszkała w klasztorze z Jeanem Valjean; nie było to już radosne oblicze młodej kobiety, która nie chciała być nieszczęśliwa; nie były to również chorobliwie ściągnięte rysy owej nieszczęsnicy, którą przykuto łańcuchem w komórce Pod Dwoma Krasnalami: była to twarda i energiczna twarz, w której lśniły oczy rzucające spojrzenia żadne zemsty. Kozeta stała się kobietą z charakterem. Chociaż się boi, nie cofnie się przed niczym. Uznawanie za rzecz najważniejszą wszelkich działań, jakie mają wspierać wykluczonych z tego świata, to nie to samo co uczestniczenie w nich. Oto zaskakująca sprzeczność poglądów dzieląca tego, kto myśli, od tego, kto działa. Kozeta należała teraz do tej drugiej kategorii. Zmagając się z nędzą, nienawiścią, chciwością i miłością, przeżyła to, co inni przeżywają

jedynie w wyobraźni, odtwarzając drogą syntezy to, co owi inni rozkładają na części drogą analizy. Poznała drogę przeciwności losu. A także drogę do wolności.

Nagle przed jej oczami stanęło dzieciństwo, pograżając ją w smutnej rzeczywistości. Owa rzeczywistość sprawiła, że Kozeta była teraz bliska wszystkim odsuniętym od szczęścia i chwały, których ambicją jest zdobycie dobrobytu i godności. Walcząc samotnie, odzyskała swoją przeszłość. Kiedy człowiek jest dzieckiem, zadaje sobie mało pytań, a jeszcze mniej się oburza. Nieszczęście przesłania wszystko. U Thénardierów Kozeta nigdy na nic się nie oburzała. Sądziła, że wszystkie jej nieszczęścia leżą w naturze rzeczy. Ale kiedy poznamy uczucie szczęścia, myślimy także, że to ono jest jedyną normalną rzeczą. Kozeta dowiedziała się tego dzięki Jeanowi Valjean.

W ciągu ośmiu ostatnich miesięcy przypomniała sobie długie dyskusje z Fryderykiem Rivoilierem. „Kobiety — mówił — uważają, że trzymają wszystko w ręku. Swoich mężów, kochanków, dzieci, pieniądze, dom. Myślą zawsze wyprzedzają mężczyzn. Zarówno po to, by oszczędzać, jak po to, by trwonić. Zarówno po to, by kłamać, jak po to, by mówić prawdę. Trzymają na uwięzi albo uciekają. Nie znają złotego środka. Te fry wolne istoty stąpają nogami po ziemi. Jednak pochodzą z innej planety”.

Fryderyk mylił się. Kozeta pochodziła tylko z^ ne y o imieniu Jean Valjean i planeta owa zajmowała bardzo piełe miejsca w jej z sercu. Czy nie na tym polega uwiecznianie pamięci tych, którzy odchodzą za szybko, zawsze za szybko?

Teraz, patrząc w to lustro, czuła prawie mistyczne ożywienie, niewątpliwie wzmożone na myśl o zbliżającej się walce. Dobrze jest wiedzieć, przeciwko komu się bijemy.

— Już czas — oznajmił Gérard i zwrócił się do Rolanda: — Miej oczy szeroko otwarte. Dzisiaj wieczorem skróć ceremonię. O umówionej godzinie pójdz po Burdina i Wprowadz go do mojego gabinetu. Będzie tam Prozerpina. Potem wracaj do krypty. — Następnie zwrócił się do Kozety: — Kiedy Roland

pójdzie po Burdina, zbliży się pani do ołtarza. Jeśli zachowa się pani tak, jak ustaliliśmy, wszystko będzie dobrze. Jest pani gotowa?

— Tak.

Kozeta uniosła brodę i zacisnęła wargi. Nie, nie zabraknie jej siły. Jednak pod palcami czuła swój puls jak napiętą nić. Żałowała tylko jednego: że nie ma już swego kryształu. Ale jeśli Rafael dał go Mariuszowi, to może dobrze się stało?

Roland zachował się bardzo sprytnie. Zgodnie z instrukcjami Gérarda czekał na Burdina przy wejściu do Białego Diabła, ale wprowadził go do gabinetu przez schody do piwnicy, a nie przez główną salę. Bez słowa powierzył go Prozerpinie, która poprosiła Burdina, by się rozgościł. Kiedy wrócił na swoje stanowisko w krypcie, nie spuszczał Kozety z oka.

Garbus miał się na baczości. Ten człowiek o kartezyjańskim umyśle uważał, że rozum jest dostosowany do życia, i że szkodzi mu nadmiar myślenia. Zastanawiał się wszakże, czym go zaskoczy Gérard. Z jego ust nie wyszedł żaden dźwięk. Przypatrywał się tylko bacznie sali, wodził wzrokiem za Prozerpiną, kręcił głową. W kieszeni miał nóż.

Odwrotnie aniżeli było przewidziane, Prozerpina nie zaproponowała mu napoju ze srebrnego dzbana.

—Proszę się strzec — szepnęła, podchodząc do niego. — Gérard szykuje panu jakieś świństwo.

—Kto panią przysłał?

—Koci Król.

—Koci Król? — powtórzył Burdin, zdziwiony tą nieoczekiwaną troską. — Czy chodzi tu o mnie?

—Nie, chodzi o wykończenie pewnej pretensjonalnej damulki, która jest przyczyną wszystkich naszych kłopotów. Burdin postanowił nie wpadać w panikę. Co to za preten-

sjonalna damulka? W jaką zasadzkę go wciągnięto? Zrobił gest, jakby chciał wstać i wyjść. Prozerpina powstrzymała go.

—Nie pragnie pan asystować przy jej śmierci?

—Nie mam pojęcia, o kim pani mówi.

—O blondynce, która pojawiła się nie wiadomo skąd i której istnienie nastęcza chyba wiele problemów Kociemu Królowi.

Burdin poruszył się na krześle. Czyżby chodziło o Kozetę? Utkwił palec wskazujący w srebrnym dzbanie.

— A to?

—Środek nasenny dla pana. Głowa

Burdina zakołysała się lekko.

—Gdzie jest ta blondynka?

Prozerpina wyprostowała się i wskazała na czerwone kotary.

—Dokładnie po drugiej stronie. Ale wkrótce będzie już tylko niemiłym wspomnieniem. — I dodała z tajemniczą miną: — Teraz muszę pójść do człowieka, który się nią zajmie. Z tego miejsca będzie pan wszystko świetnie widział.

—A zanim do tego dojdzie?

—Muszę wrócić do krypty, by zawiadomić Gérarda, że jest pan zdany na jego łaskę. Gdy usłyszysz pan głośny hałas, będzie to sygnał. Nareszcie pozbędziemy się tej niewygodnej osoby. Do zobaczenia później.

Burdin wahał się, jak postąpić. Widząc, że Prozerpina wymyka się i znika między kotarami, wpadł na pewien pomysł. Upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wyśle Kozetę *ad patres*, a winę zwali na Thénardiera. Wstał więc i wtulił się w kotary. Jak powiedziała Prozerpina, z tego miejsca wszystko będzie świetnie widział.

*

Kozeta dusiła się w maseczce. Już od kilku minut stała całkiem zdrętwiała pomiędzy Gérardem a kotarami i teraz

zamknęła oczy, czując zapach wonnych ziół unoszących się w krypcie. Przed chwilą Prozerpina dała znak Gérardowi.

Gdy Gérard skończył swe zaklęcia, zaczęła się orgia. Powstał piekielny zgiełk. Ozwały się krzyki, bębenki, trąbki. Kozeta otworzyła oczy. Zobaczyła Prozerpinę, która rozmawiała z jakimś człowiekiem ubranym w białą tunikę, w maseczce z zielonkawej gliny pokrytej liśćmi. Obydwoje zdawali się spoglądać w jej stronę. Zupełnie się tym nie przejęła. Myślała tylko o Burdinie. Musi być tutaj, po drugiej stronie kotar, w gabinecie, i pewno już śpi. Myśl ta uspokoiła ją. Potem zwróciła uwagę na wysokiego zawadiakę stojącego między dwiema korynckimi kolumnami. Miał na sobie szkarłatny strój z galonami, żółtą marynarkę i zielone spodnie. Jego maska, zwieńczona dwoma wielkimi różowymi rogami, przypominała pysk psa o oślich uszach. Towarzyszył mu człowiek w masce gargulca, trzymający w rękach czarną kurę. Człowiek w masce psa chwycił kurę za łapy i błyskawicznie obciął jej głowę szabłą. Kozeta dosłownie podskoczyła. Przebiegł ją dreszcz. Mimo odrazy zmusiła się do patrzenia. Człowiek w masce psa rzucił kurę w środek widzów. Powstał wielki harmider. Niektórzy szaleńcy rzucili się do ołtarza, odepchnęli Gérarda, czepiali się leżącej na ołtarzu jednookiej dziewczyny, wrywali sobie łyżkę wazową z połączanego srebra i zanurzali ją w wielkiej misie napętnionej jakimś mętnym płynem. Gérard cofnął się i zmełł przekleństwo.

—Rozstąpić się! — krzyknął. — A co to za nicpoń? — wskazał na mężczyznę w masce psa i zwrócił się do stojącej za nim Kozety: — Burdin już jest... W objęciach Morfeusza.

—Więc mogę tam pójść?

—Jeszcze poczekajmy. Zastanawiam się, gdzie jest Roland. Nie podoba mi się to nagłe zamieszanie.

Z najwyższym trudem utrzymywał się w pozycji stojącej i odpychał zgraję szaleńców. Jeden z nich oberwał mu kawałek tuniki, inny szturchnął go w bok, przez co wpadł na Kozere, której opadła maseczka.

— Precz! — wrzasnął Gérard, patrząc bezsilnie, jak porywają jednooką dziewczynę.

Dziesiątki ramion chwyciły Ninę. Gérard szukał wzrokiem Rolanda. Takie ekscesy zdarzyły się tu po raz pierwszy. Usiłując osłaniać Kozetę, przeskakiwał z nogi na nogę, przyciągany, a zarazem odpychany przez napastników. Nie widział więc, jak mężczyzna w zielonkawej masce zbliża się do ołtarza. Pégasse, on to bowiem był, utorował sobie drogę przez tłum. Kierował się wprost na Kozetę, która znalazła się w epicentrum zamieszania i straciwszy równowagę, przytrzymała się kotary. Tkanina rozsunęła się i Kozeta stanęła nos w nos z Burdinem. Oslupiały garbus cofnął się z przerażeniem. Kozeta zachwiała się, ale nie ruszyła się z miejsca. Wyciągnęła swój scyzoryk i krzyknęła:

— Jest tutaj!

Chciała rzucić się na intendenta, ale zaplątała się w kotarę i upadła na ziemię. To uratowało jej życie, gdyż Pégasse rzucił się na nią z nożem, który wyciągnął spod tuniki. Jednak chybił i nóż złamał się, trafiając w ołtarz. Kozeta zerwała się jednym susem. Pégasse ryknął dziko:

— Nie ujdiesz mi!

Kozeta stała na wprost niego ze scyzorykiem w dłoni. Bandyt podniósł swój nóż ze złamanym ostrzem i zamierzył się na nią.

— Giń! — zawył. — To zemsta za Dwadzieścia Dwa!

Trafił w pierś Gérarda, który widząc, co się dzieje, zasłonił Kozetę własnym ciałem. Uderzenie było tak silne, że były medyk zachwiał się i stracił oddech. Ale nadal wzywająco patrzył na napastnika.

— Odsuń się albo zginiesz także! — zagroził Pégasse.

Były to jego ostatnie słowa. Wypuścił broń z ręki, zerwał z twarzy maskę, opuścił oczy i z niedowierzaniem patrzył na zimne ostrze, które wychodziło mu z brzucha jak bezwstydną, złowróżbny robal. Ktoś zaatakował go od tyłu. Ból rozrywał mu wnętrzności. Czerwone pręgi powoli zaczęły barwić tunikę.

Ostatnim wysiłkiem próbował oburącz chwycić ostrze. Ale nie zdołał. Napastnik, który go na nie nadział, szybkim ruchem wyciągnął szablę. Z gardła Pégasse'a buchnął strumień krwi i ranny osunął się na ołtarz.

— O jednego mniej — rzekł człowiek w masce diabła z wielkimi rogami, który zadał bandziorowi śmiertelny cios, po czym pospieszył do Kozety: — Nic się pani nie stało, baronowo?

Gérard myślał, że zemdleje. Baronowo? Jaka baronowo? Obiema rękami uczeplił się ołtarza i zebrał wszystkie siły, by nie upaść. Spojrzał na zgromadzonych, którzy niczego nie zauważyli. Co za kpiny! Morduje się ludzi, a ci szaleńcy bez opamiętania oddają się pijatyce.

Człowiek w masce psa ukazał swą twarz. Kozeta nie wierzyła własnym oczom.

— Pan?...

Amadeusz rzucił maskę na ziemię i powiedział z triumfalną miną:

— Dowiedziałem się od Ludwika. Zauważył panią podczas poprzedniej ceremonii i rozpoznał.

Kozeta zwróciła spojrzenie na stojącego za Amadeuszem mężczyznę, który zdjął maskę i wykonał ukłon godny wielkiego szambelana.

— Do usług, pani baronowo. — Potem zwrócił się do Gérarda, któremu coraz trudniej było utrzymać się na nogach: — Widzi pan, nie zapomniałem, w jaki sposób wyrzucił mnie pan na ulicę, wasza diabelska mość.

Gérard odwrócił się, by zobaczyć, co to za ludzie. Siły go opuszczały.

— Oszukała mnie pani... — szepnął, zwracając się do Kozety. — Mnie, który wszystko robiłem dla pani...

Sporunowała go wzrokiem.

— Obiecałam panu powiedzieć, jak się nazywam, i do trzymam słowa. Noszę nazwisko Pontmercy, jak młody człowiek, którego pomógł pan wysłać na galery. Kozeta Pontmercy.

Oszukałam pana, powiada pan? To pan mnie oszukał. Pan i pańscy przyjaciele. Nie należymy do tego samego świata, panie Gérard. Pan należy do błota i ciemności. Zawdzięczam panu życie, ale pan i bliscy mu ludzie przez dobre dwa lata tak mi je zatruiliście, że jesteśmy kwita.

Gérard odwrócił się do Amadeusza z gorzkim uśmiechem.

— Pan, mały bastardzie, omylił się pan na całej linii... Brakuje panu już tylko garbu, aby podobieństwo było dosko nałe...

Amadeusz powstrzymał się, by go nie spoliczkować. Pomógł mu nawet utrzymać się na nogach.

— Mały bastard nie pozwoli panu umrzeć, drogi panie. Jeszcze pan zdąży to zrobić. A na razie jest pan nam potrzebny, by odnaleźć pana Burdina.

Kozeta machnęła ręką zawiedziona.

—Burdin tu był. Ale udało mu się uciec.

Amadeusz wzdrygnął się.

—Był tutaj?

Kozeta podeszła do markiza i spytała, czy wiedział o nie-cnych czynach swego intendenta. Amadeusz opuścił głowę.

— Od niedawna, Kozeto. Wstydzę się tego wszystkiego, ale...

Urwał nagle na widok Rolanda. Olbrzym wyskoczył zza ołtarza uzbrojony w kastet. Ale kiedy nim wymachiwał, Gérard powstrzymał go gestem.

—Daj spokój, wszystko skończone... Pomóż mi raczej... —

Wsparty na ramieniu Rolanda, wskazał na kotarę: — Przejdźmy tędy.

—Mam nadzieję, że nie szykuje nam pan jakiejś niemiłej niespodzianki? — rzekł Amadeusz, kładąc dłoń na gardzie.

—Przeszła mi ochota — odpowiedział Gérard, nawet na niego nie spojrzawszy. — Teraz interesuje mnie tylko los pana Louis-Desire Burdina...

W migotliwym świetle pochodni poszli do gabinetu Gérarda. Tam Roland pomógł mu się przebrać. Kiedy potem wspinali

się po schodach prowadzących na parter sąsiedniego domu, usłyszeli gwizdki.

— Żandarmi!

Carignol posłuchał Thénardiera. Ale jak zwykle przybywał, gdy było już po wszystkim.

Mała grupka zaczęła chwilą. Ludwik poszedł na zwiady do bramy. Wszyscy z wyjątkiem Kozety, której suknia była poplamiona krwią, więc narzuciła na ramiona czarny surdut George Sand, zdjęli swe kostiumy.

Na horyzoncie nie było widać żandarmów. Wyłącznie konie i mnóstwo pojazdów.

Ludwik zawołał swych towarzyszy i wszyscy szybko wyszli na ulicę. Przy ustawionej w poprzek drogi dorożce wpadła na nich grupa wyrostków. Prowadził ich Szkapa.

— Słuchaj, Skowronku, twój numer nie wypalił. Garbus jest zdrow jak ryba. Nawet wskoczył do kolaski.

— Czy wiesz, dokąd pojechał?

— Dwa moje szkraby wdrapały się na tył pojazdu. Za jakieś dwie godziny dowiemy się, gdzie się podziewa ten krzywulec.

— Brawo, Szkapo — rzekła Kozeta zwróciła się do Amadeusza: — Jest pan zadowolony, markizie?

— Zdziwiał mnie pani, Kozeto.

Gérard stracił dużo krwi, ale poznając Szkapę, zdołał powiedzieć:

— Ty także brałeś w tym udział?

— Jak widzisz, artysto. Nigdy nie byłem za pan brat z diabelstwami. Ale tak naprawdę chcę się zemścić na Kocim Królu.

— Nie ty jeden — odezwała się Kozeta, po czym spytała Amadeusza: — I co teraz?

Nagle w drzwiach Białego Diabła ukazał się żandarm. Na jego widok dzieciaki pouciekały. Żandarm podszedł prosto do Kozety, która przytomnie zdjęła z siebie surdut.

— Jestem ranna, panie władzo...

Zauważywszy plamy krwi, żandarm spytał Amadeusza:

— Zabierze ją pan?

— Ja i moi ludzie właśnie zajmujemy się tą panią.
Żandarm skinął głową, wydarzenia go przerosły. Nic już nie powiedział, tylko wrócił Pod Białego Diabła.
— Mam powóz, który stoi nieco dalej — rzekł Amadeusz, wznosząc oczy do nieba. — Jedźmy do Ludwika, trzeba ich powiadomić.
— A ja? — spytał Szkapa.
— Ty przyjdiesz do nas pod ten adres, gdy tylko dowiesz się czegoś o Burdinie — powiedział Ludwik de Vergne, wręczając mu wizytówkę. — Zaczekamy na ciebie w dorożce.

Pół godziny później Szkapa zameldował się u ludzi siedzących w dorożce, która stała przy ulicy de la Planche. Amadeusz dostał wiadomość, na jaką czekał: intendent zamieszkał przy ulicy de Provence, w hotelu de Moussey. Według dwóch chłopców wysłanych przez Szkapę, Burdin zajmuje pokój na drugim piętrze. Ma opuścić hotel w poniedziałek późnym popołudniem. Po zainkasowaniu pieniędzy u rejenta Chanplona, pomyślał Amadeusz. No cóż, zrobimy mu niespodziankę.

Kozeta, która siedziała obok Gérarda, niecierpliwiła się. Nic jej nie powiedziano. Nawet tego, że Javert wyjechał przed dwoma dniami do Vivonne w Poitou, by odszukać Klemencję de Lavelly.

Amadeusz wysiadł z dorożki i poprosił Szkapę, by poszedł po Eugeniusza Sue.

— Eugeniusza Sue? — spytał chłopak swym charakterystycznym głosem. — Gdzie ten facet mieszka?

— Na ulicy de la Pepiniere.

— Ale po co?

— Żeby się zajął Gérardem.

— Dlaczego nie dać mu wykorkować?

— Bo jest nam potrzebny.

Amadeusz wyjął zza pasa pistolet i wziął na cel Gérarda,

któremu Roland pomógł wysiąść z dorożki. Były medyk spoglądał szyderczo na broń.

—Niepotrzebnie pan to robi, markizie. Jeśli Bóg zachowa mnie przy życiu, przyjmijcie mnie na sprzymierzeńca. Nie czuję się już na siłach, by walczyć w obronie przyjaciół, którzy są zdrajcami, i sprzymierzeńców, którzy są wrogami.

—Zgoda — powiedział Amadeusz, wsuwając pistolet na miejsce. — Czy mam pańskie słowo?

Gérard objął zrozpaczonym spojrzeniem Kozetę.

—Ma je pan, nawet jeśli niezbyt je pan ceni. Tu obecny Roland też będzie mógł wam pomóc. Chciałbym jednak prosić pana o pewną łaskę.

—Jaką?

—Abym mógł panu towarzyszyć, gdy dojdzie do wyjaśnień między panem a Burdinem.

—Zastanowię się nad tym.

Mała grupka weszła do pałacyku, w którym mieszkał Ludwik de Vergne. Natychmiast umieszczono rannego w pokoju Javerta. Kozeta poczuła zapach pomarańczy. Mogłaby iść za swym starym przyjacielem po tym śladzie.

Gérarda zostawiono z Rolandem. Amadeusz wziął Kozetę za rękę i zaprowadził do dużego salonu. Wyczerpana ostatnimi wydarzeniami, a jednocześnie poruszona owym zapachem pomarańczy, bez słowa poszła za nim. Gdyby mogła zrobić to, na co miała ochotę, padłaby na pierwszy lepszy mebel i zasnęłaby snem sprawiedliwych. Dopiero dzisiaj przyszła reakcja na wszystko, co przeżyła. Była zawiedziona, że nie zobaczyła swego syna, Magdaleny i Verjata. Lecz nie miała siły wypytywać o to Amadeusza czy Ludwika.

— Proszę łaskawie wejść.

Ukazał się Ludwik de Vergne w szamerowanym szlafroku, dość ceremonialny i pełen skrywanej radości, która zaintrygowała Kozetę. Jego żółta cera przypominała bezy zbyt długo trzymane pod kloszem. Widząc go w owym stroju, Kozeta zaśmiała się nerwowo. Potem omiotła spojrzeniem ten nieco

smutny salon z podłogą ozdobioną beżowymi kaboszonami z kararyjskiego marmuru, równoważącymi nieco ciężkie sufity. Lekko pomarańczowe światło w pastelowych odcieniach oświetlało cztery rogi pokoju. Przynajmniej było tu czysto. Magdalena wykonała dobrą robotę. W białych porcelanowych wazonach stało kilka białych kwiatów. W sklepionych oknach kształt szyb przypominał żółte i brązowe gniazda pszczele, dzięki którym, jak sądziła Kozeta, za dnia pokój musi być bardzo widny. Na razie było tu dosyć ciemno.

Kozeta, którą Amadeusz ciągle trzymał za rękę, przystanąła na środku salonu. Wydało jej się, że słyszy cichy stłumiony szmer. Odwróciła się szybko i spojrzała na drzwi, przez które przed chwilą weszła. Te drzwi były uchylone, ale inne, znajdujące się po prawej stronie, zrobione z ciemnego drewna i według najczystszej tradycji sztuki rzymskiej ozdobione nad futrynami rzeźbionymi kapitelami, były zamknięte. Niemal całą ścianę między nimi zajmował kominek. Jego jasnoszare kamienie w połowie wysokości otaczały palenisko o pięknych cokołach. Jest czerwiec, pomyślała Kozeta. Mój mały Jean wkrótce skończy dwadzieścia jeden miesięcy. Nie widziałam go prawie od roku. Czy już chodzi? Czy mówi? Czy mnie pozna?

Dziwiło ją, że Amadeusz i Ludwik ani słowem nie wspomnieli o dziecku. Dlaczego każą jej tęsknić? Przyjaciel markiza podszedł do gerydonu, na którym stało wiaderko z lodem.

— Dlaczego jest tu tak mało światła? — spytała Kozeta. — I po co ten szampan?

Amadeusz skłonił się lekko i odsunął się.

— Aby uczcić pewne wydarzenie — rzekł. — Wielkie wydarzenie.

Serce Kozety zabiło szybciej. Spojrzeniem szukała jakiejś wskazówki.

Amadeusz klasnął w dłonie i wtedy otworzyły się drzwi. Wydawało się, że trysnęło z nich oślepiające światło. W drzwiach ukazała się kobieta z dzieckiem na ręku. Poznawszy Kozetę, stanęła jak wryta.

— Moja pani! — krzyknęła.

Kozeta pomyślała, że może ma halucynacje. Nic tak nie skraca czasu jak marzenie stające się nagle rzeczywistością. Miniona egzystencja przypomina wówczas sen, którego rzeczywistością jest to senne marzenie. Dzięki niemu czas nie ma już miary, przestrzeń odległości. Kozecie wszystko się pomieszało. Do oczu napłynęły łzy, a przez ciało przebiegały niedostrzegalne dreszcze.

— Magdaleno! — krzyknęła z kolei ona.

I pobiegła ku wiernej służącej. Ale zamiast ją uścisnąć, wpatrzyła się w dziecko. Chwyciła małego w objęcia i płacząc, zaczęła obsypywać go pocałunkami. Była tak wzruszona, że jej słowa przypominały ni to szloch, ni to jęki. Magdalena podała jej małego Jeana. Kozecie ze wzruszenia zaparło dech w piersi, odwracała się to do Amadeusza, to do Ludwika, jakby chciała powiedzieć: Czy naprawdę spotyka mnie to szczęście? Tuliła do serca małego, prześlizznego, pyzatego chłopczyka o ciemnych lokach, który szczebiotał, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego, i powtarzała z płaczem w głosie: „To mój syneczek, mój syneczek...”.

Nie wiedziała już czy śmiać się, czy płakać. Potem, kołysząc go w ramionach, całując w czoło i muskając jego wargi, powiedziała do Amadeusza:

— Nigdy nie zdołam wywdzięczyc się panu za to, co pan zrobił...

Amadeusz podniósł kieliszek i odpowiedział z uśmiechem:

— Nie mnie powinna pani dziękować, Kozeto. Jeśli szuka pani sprawcy swego szczęścia, trzeba zwrócić się do pana Javerta.

— Javerta? — zdziwiła się.

— Czy też pana Verjata. Jeśli dobrze liczę, powinien tu być za dwa dni.

— Wyjechał? — spytała, Kozeta stawiając małego na ziemi. Trzymając go za rączki, pomogła mu zrobić parę kroków. — Chodzi! — zawołała. — Widzieliście? — Potem przeprosiła ich i ponowiła pytanie: — Dokąd wyjechał pan Yerjat? A skoro

wyjechał, to znaczy, że tu był? Poznałam ten zapach pomarańczy i starej książki do nabożeństwa... Dlaczego na mnie nie zaczekał?

— Pojechał szukać prawdy, Kozeto.

— Czy to jakaś szarada, markizie?

Kozeta opadła na fotel i posadziła sobie małego na kolanach. Magdalena trzymała się nieco na uboczu, w oczach miała łzy, ręce skrzyżowała na podołku. Amadeusz podał Kozecie kieliszek szampana i odpowiedział:

— Wydaje mi się, że pan Javert czy Verjat, jeśli pani woli...

Przerwał mu dźwięk dzwonka. Ludwik pospieszył do drzwi. Stał w nich Eugeniusz Sue, a za nim Szkap.

Wszyscy wydzierają mi sobie ze względu na moje talenty literackie, tymczasem wy żądacie lekarskiej porady! — zawołał Eugeniusz Sue nieco za głośno. — Zgodziłem się, bo wam nie mógłbym odmówić. — Potem przywitał się z Kozetą, której nie poznał, i szturchnął w bok Amadeusza: — Nie widziałem cię od niepamiętnych czasów, markizie! Na szczęście nasz kochany Ludwik jest wierny i pełen uwagi! — Rozejrzał się uważnie, postawił przed kominkiem swą niewielką torbę i ciągnął: — Nawet się tego nie domyślasz, ale moje życie jest dramatem, mój drogi. Podobno doprowadzam do rozpaczki literacki świat. Skarżą się na mnie Balzak i Buloz, redaktor naczelny „Revue des Deux Mondes”. — I natychmiast dodał: — Ale wierz mi, zapłacą mi za to! Powtarzam, moje życie jest dramatem. Zresztą nie, prawda jest gorsza. Moje życie nie jest dramatem, jest tragedią!

— Jakże ci współczuję — rzekł Amadeusz, podając mu kieliszek szampana.

W czerwcu 1836 roku zarówno w sferach rządowych, jak wśród ludności atmosfera była napięta. Król nie ufał Thiersowi, Thiers Guizotowi, Guizot panu de Molé, pan de Mole republikanom, republikanie ludowi. A Thénardier nie ufał nikomu.

Następnego dnia po śmierci Pégasse'a zamknął się w domu. W tym okresie niepokoju lepiej było nie wyściubiać nosa na miasto, chociaż po ulicach chodziły patrole policji i żandarmerii.

Po południu odwiedził go Carignol i potraktował z góry. Ani razu nie wymówił nazwiska Javerta. I jak mu kazał były inspektor, dał Thénardierowi do zrozumienia, że Moreau nadal przebywa w wolności.

— Podobno widziano go nawet w Paryżu z dzieckiem i służącą tych Pontmercy.

Siedzący za stołem Thénardier spiorunował go wzrokiem. Żandarm spacerował po pokoju.

— Wczorajszy incydent nie posunął twoich spraw na przód — ciągnął z wielką pewnością siebie. — Według moich informacji widziano garbusa kręcącego się w okolicach Białego Diabła.

Informacja była prawdziwa. Jak można się domyślać, nie pochodziła od Javerta: Carignol dowiedział się o pojawieniu się Louis-Desirego przypadkiem. Ale Thénardier sposepniał jeszcze bardziej na wiadomość, że markiz dTguerande jest synem Burdina.

— Czy to pewne? — spytał, wzruszywszy ramionami.

— Przecież ci mówię.

Powinienem się tego domyślić, stwierdził Thénardier. Oto dłaczego Burdin lawirował, kombinował, trzymał mnie z dala od różnych transakcji. A mały Rafael jest niewątpliwie dzieckiem markiza i tej dziewczyny, która nam pozwoliła złowić Mariusza. Potem powiedział głośno:

— Skąd wiesz?

— Mam swoje dojścia, Koci Królu — I rzekł chytrze: — Poza tym wiem coś jeszcze...

Thénardier wstał. Insynuacje tego bałwana, któremu pomagał zaokrąglać zarobki, wyprowadzały go z równowagi. Ale niczego nie dał poznać po sobie.

— A co mianowicie? — dociekał, stając przed adiutantem.

— Nazywasz się Thénardier i według moich źródeł pod tym nazwiskiem miałeś na pieńku z wymiarem sprawiedliwości. Czy przypadkiem nie siedziałeś w mamrze?

W głosie Thénardiera zabrzmiała groźba:

— Uwważaj, by twoje źródła nie umilkły raz na zawsze, Carignol. Wprawdzie znasz moją przeszłość, aleja znam twoją terażniejszość. Moglibyśmy razem stanowić piękną parę na ławie oskarżonych.

Carignol odwrócił wzrok. Chociaż tchórzliwy, gnuśny i mało-duszny, był jednak przedstawicielem prawa. I mogąc stanąć albo po stronie Thénardiera, albo po stronie Javerta, już dokonał wyboru. Słowa kogoś takiego jak Javert ważyły dla sądu więcej niż słowa jakiegoś Thénardiera. Poza tym, jak wszyscy tchórze, chciał jak najdosłowniej stosować się do życzeń swego nowego pana. Pozwoliłoby mu to nic tylko uniknąć ścigania, ale również awansować. Nie tracił czasu. Już zdążył zwrócić się do komisarza policji prowadzącego śledztwo w sprawie morderstwa Pégasse'a, by postarał się czegoś dowiedzieć o niejakiem Thénardierze. Kiedy dowie się o nim czegoś więcej, nie będzie miał dla niego litości.

— Byłoby może ostrożniej wyjechać z Paryża — podsunął, mając nadzieję, że Thénardier nie pójdzie za jego radą.—Nie będę mógł roztaczać nad tobą parasola ochronnego w nieskończoność.

Grając wielkiego pana, ten głupawy człowiek chciał za-
imponować Thénardierowi.

— Chronić mnie? — powtórzył tamten. — Rozumiem.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do sejfu, ale rozmyślił się. Stanął przy oknie i wślizgnął się za zasłonę.

Carignol zbaraniał.

—Co ty robisz?

—Płacę swoje długi.

Żandarm położył rękę na kolbie pistoletu. Już chciał zawołać z parteru swoich ludzi.

— A co to za długi? — spytał obojętnym tonem.

Thénardier nie był głupi. Wbrew przypuszczeniom Carignola nie zamierzał go zaatakować. Jednak wszystko, czego się

dowiedział, wprawiło go w stan wrzenia. Oszukany przez Burdina, oszukany przez Moreau, nie chciał, by jeszcze wyprowadziła go w pole ta larwa Carignol. Wziął kluczyk do sejfów, który nosił na łańcuszku na szyi, i szybkim ruchem rozsunał zasłony.

—Co to jest? — spytał z miną iluzjonisty, machając kluczem.

—Klucz.

—Brawo, Carignol. Klucz. Więc dlaczego się boisz?

—Czepiasz się, Koci Królu? Nie boję się. I nawet do głowy mi nie przyszło, żeby wycofać się z naszych poprzednich układów. Nie tylko mam poczucie honoru, ale w dodatku nie jestem niewdzięcznikiem.

—Ja także, przyjacielu. I udowodnię ci to.

Oparł się o sejf i wsunął klucz do zamka. Rozpamiętując różne żale, zastanawiał się jednocześnie, jak pozbyć się tego natręta i jak poinformować markiza o jego pochodzeniu.

— Czy markiz wie, że Burdin jest jego ojcem? — spytał najnaturalniej w świecie.

Carignol podniósł kapelusz i podrapał się po głowie. Dla kogoś, kto ograniczał się do powtarzania i robienia tego, co mu każą, pytanie było zbyt trudne. Czy chociaż pomyślał, jaki związek zachodzi między młodym człowiekiem z Macon a markizem d'Iguerande? Skądże. Zdał się po prostu na Javerta. Młody człowiek nazywał się Moreau, ot i wszystko.

— Nie sądzę — odpowiedział w końcu, nadymając się.

Jednocześnie nie spuszczał z oka Thénardiera, podejrzewając, że coś knuje. Ponieważ niewątpliwie wyobrażał sobie, że ten wyjmie z sejfów broń, sam wyciągnął pistolet i wycelował do niego. Przecież stary mógłby go łatwo zabić i tłumaczyć się obroną konieczną.

— Strzeliłbyś mi w plecy? — spytał Thénardier szyderczym, a zarazem twardym, ochryplym głosem.

I obrócił się wokół własnej osi.

—Spójrz! — podjął słodziutkim tonem, niemal zginając się do ziemi. — Czyż to nie piękne diamenty? Podobają ci się?

—Nie dam się na to wziąć, Koci Królu.

Carignol włożył pistolet do kabury i uśmiechnął się, jakby przepraszając za odruch złego humoru.

A Thénardier podkreślił:

—Ależ nie staram się ciebie kupić, przyjacielu. Już jesteś kupiony. Powiedziałem ci przecież, że nie jestem niewdzięcznikiem. Anulujemy wszystkie nieporozumienia i spłacę swoje długi. Ponieważ często oddawałeś mi przysługi, coś ci się należy. Chyba nie widzisz w tym nic złego?

Żandarm pomyślał nagle, że może zyskać na wszystkich frontach. Zainkasować swoją dolę i wydać Kociego Króla Javertowi.

—Pewno że nie — pisnął.

—Tak, ale nie dzisiaj — zauważył Thénardier z porozumiewawczym uśmieszkiem.

Włożył kamienie do sejfu, zamknął go na klucz i wyjaśnił Carignolowi, że musi sprawiedliwie podzielić zyski.

—Poczułeś się uczciwy i masz wyrzuty sumienia, ale wyobraź sobie, że ja także — dodał z niemal jezuicką miną. — Raz w życiu może się to człowiekowi zdarzyć, więc mam zamiar okazać się wielkoduszny. Ponieważ zawieszam działalność, trzeba zrobić rachunki. Jest przecież moja zastępczyni, pani Fouillet, i wszystkie dzieciaki, które tak kocham i które tak pięknie mi się odwdzięczają. Nie wolno mi o nich zapomnieć, im również powinienem zapłacić. — Zrobił strapioną minę: — Wiesz, nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tego biednego Pégasse'a. W szynku na wyspie de la Cite pracował na własny rachunek. Praca w pojedynkę bywa wielkim ryzykiem...

—Nie wątpię, Koci Królu — rzekł Carignol, biorąc krzesło, by podsunąć je Thénardierowi.

Thénardier usiadł i wyciągnął ręce przed siebie. Potem przez chwilę bębnił palcami po stole.

—Teraz, kiedy we wszystkim doszliśmy do porozumienia, trzeba by ustalić datę podziału zysków.

—Dostosuję się do ciebie — odpowiedział żandarm z gorliwością podszytą służalstwem. — Ale poza służbą.

— Tak właśnie rozumiałem. Zrobimy to, powiedzmy, na początku lipca. Do tego czasu wszystko załatwię.

Ja także, pomyślał Carignol. I już się nie pozbierasz.

Ucisnął Thénardierowi rękę, otworzył drzwi i nadział się na Wilczarza. Co by było, gdyby przed chwilą kropnął starego? Wolał o tym nie myśleć.

Wilczarz patrzył za odchodzącym z założonymi rękami. Potem na znak Thénardiera wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

—Wilczarzu, chcę, żebyś za dwa tygodnie przygotował dla tego gagatka komitet powitalny. Ponieważ szuka ze mną zwady, to ją znajdzie. Będziemy potrzebowali trochę ludzi.

—Ilu?

—Z dziesięciu. I to prawdziwych asów. Mistrzów we władaniu nożem.

—Możesz mi zaufać.

Thénardier spojrzął na zegarek. Powinien już pójść do warsztatu. Potem, pod wieczór, zajrzy do Chat-Malin. Oberża została wystawiona na sprzedaż. Podobno znalazł się jakiś kupiec.

Na schodach Thénardier strzelił palcami i stanął jak wryty. Oparł się o balustradę i położył rękę na ramieniu Wilczarza.

— Skoro już mowa o Chat-Malin, przypomniała mi się ta Prozerpina. Liczę, że potrafisz skłonić ją do mówienia. Jeśli chodzi o Gérarda i Burdina, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Ta dziewczyna na pewno wie, gdzie się ukrywają. Jak już z nią skończysz, wrzucisz ciało do kanału.

I schodził dalej.

Kozeta była uszczęśliwiona, że znów może zajmować się dzieckiem. Rozpieszczała małego. Pracowita Magdalena spędzała dzień na porządkowaniu mieszkania. Ludwik był przera-

zony. Nieporządek panujący tu od niepamiętnych czasów zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Patrząc na krzątającą się Magdalенę, Kozeta przypominała sobie, jak Pod Dwoma Krasnalami przez osiem miesięcy myła, szorowała podłogi, walczyła z brudem. Czystość pozwala zapomnieć o biedzie, mówiła sobie w tamtych czasach. W każdym razie usiłowała to sobie wmówić. Dzisiaj nie była tego taka pewna i nie śmiała już budzić tamtego smutku. Poznawszy nieszczęście na swym własnym przykładzie, zadawała sobie pytanie, co się stało ze wszystkimi łzami, których nie wylała. Chodziła więc po mieszkaniu, zachwycona szczebiotem swego dziecka, wzruszona, że jest matką, która ma marzenia młodej dziewczyny. Żałowała jednak, że nie przedkłada już szaleństwa namiętności nad umiłowanie mądrości. Obawiała się nawet, że na zawsze straciła złudzenia. Życie nauczyło ją, że szczęśliwi jesteście tylko za cenę niewiedzy. Wiedzieć jest niekiedy straszną rzeczą, mawiał pan Verjat. Przekonała się o tym na własnej skórze. Zaznawszy zdrad, rozpacz i poniżenia, wiedziała o tym nawet aż nadto dużo. Kiedy więc nastaną pogodne dni?, zadawała sobie pytanie. Czy kiedykolwiek doczeka słodczy życia dzielonego z tymi, których kocha? Czy w ogóle ma do tego prawo?

Do poniedziałku rano Javert ciągle jeszcze nie wrócił. Kozeta była niepokojona.

— Proszę się nie martwić, wróci — usiłował uspokoić ją Amadeusz.

Nie przekonywał jej więcej.

Na razie krzątał się w przedpokoju. Ubrał się od stóp do głów. Wyjął z pudła pistolety, przeczyszczył lufy wyciorem, załadował je, a potem wsunął do kieszeni. Gérard, wsparty na lasce, obserwował go bez słowa. Ludwik i Roland stali pod ścianą z założonymi rękami.

Amadeusz zapiął surdut i poprawił kapelusz. Potem spochmurniał i wydał ostatnie polecenia:

— Ludwiku i Rolandzie, zostaniecie tutaj. Liczę na was, chrońcie Kozetę, Magdalenę i małego Jeana. Zresztą nie zabawię długo...

Kozeta, która weszła do przedpokoju, ucięła krótko:

— Nie zostanę tutaj. Idę z panem.

Miała na sobie strój od George Sand, kapelusz zawadiacko nasunięty na jedno oko, oraz surdut.

— Nie ma mowy — odpowiedział Amadeusz, który pomimo aluzji Gérarda Pod Białym Diabłem nic jej nie powiedział o więzach pokrewieństwa łączących go z Burdinem.

Sądził, że nikt poza Javertem nie zna tej strasznej prawdy. Ale może to wszystko jest złym snem, przypomniał sobie słowa Javerta w Macon.

Kozeta upierała się.

—Przez tego człowieka strasznie cierpiałam fizycznie.

—A ja moralnie.

—Ciało boli znacznie bardziej, markizie.

Amadeusz przestał protestować. Przeżywał straszliwy dylemat. Czy Kozeta nie ma prawa prosić go o to? Jeśli jednak z nim pójdzie, nie tylko narazi się na niebezpieczeństwo, ale także pozna prawdę. Tymczasem Amadeusz wstydził się owej prawdy. Na tle jego postępowania w przeszłości wyda się jeszcze bardziej kompromitująca. Nie było żadnych okoliczności łagodzących. Ale co mógł zrobić przeciwko uporowi Kozety?

—Pani upór pokonał moją ostrożność — ustąpił wreszcie.

— Javert mi tego nie daruje.

—Proszę nie mieszać do tego pana Javerta — odparowała Kozeta.

Amadeusz pokiwał głową i zaprowadził Kozetę do kuchni. Tam pochylił się ku niej i oznajmił cicho:

— Proszę mi obiecać, że po tym, co się stanie i co pani usłyszy, nie odmówi mi pani swego przywiązania.

Kozeta zmarszczyła brwi. Ton Amadeusza przeraził ją.

— Obiecuję — powiedziała drżącym głosem.

Nie chciała przypuszczać najgorszego. Czy Amadeusz zmówił się ze swym intendentem, by ją zdradzić? Niemożliwe. Wobec tego, o co może chodzić?

*

Burdin dowiedział się, co zaszło Pod Białym Diabłem. A więc Kozeta żyje? Miał to w nosie. Wbrew swym początkowym planom postanowił nie wracać na ulicę Saint-Fiacre. Można by jeszcze sprzedać stamtąd parę mebli? Trudno. Po co ryzykować? Jeśli ludzie Thénardiera, tego Moreau czy nawet policji zastawili na niego zasadzkę, nie trzeba ułatwiać im zadania. Złapaliby go. W jednym i w drugim wypadku dostanie karę śmierci.

Popatrzył na srebrne lichtarze stojące w jego hotelowym pokoju i zatarł ręce. Nikt nie zna jego nowego adresu. Nawet rejent Chanplon. Dzięki temu, co już zebrał, zaoszczędził, ukradł, sprzedał, odprzedał i co zainkasuje u notariusza, będzie dysponował niezłą fortuną. Ma zapewniony spokojny byt do końca życia. Czy robotnik, ojciec rodziny, nie żyje za dwa franki dziennie? Oczywiście postawi w ten sposób krzyżyk na swych ambicjach, zwłaszcza dotyczących Amadeusza. Gdyby miał czas, niewątpliwie potrafiłby go wykołować. Ale właśnie czasu mu brakowało. Mariusz może lada chwila wrócić, Kozeta żyje, Thénardier chce go wyeliminować. Za chwilę, późnym popołudniem, na ulicę de Provence przyjedzie po niego powóz. Zapłacił dobrą cenę. Ale był to warunek zdobycia wolności. Kiedy już będzie w Colmar, zastanowi się, co dalej. Zdecyduje się na Prusy lub Austrię.

Na razie włożył czarny kapelusz i zarzucił pasującą do niego pelerynę. Przed wyjściem wziął torbę z pakietami listów, papierami Amadeusza i swoim testamentem. Rozejrzał się, gdzie by tu ją ukryć. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła. Miejsca najbardziej oczywiste są czasem najlepsze. Uniósł materac na łóżku i włożył pod spód torbę. Potem wyszedł.

Jego rozmowa z notariuszem nie trwała długo. Rejent Chanplon, zgodnie z tym, co ustalił z Amadeuszem, wręczył Burdinowi pięćset tysięcy franków. Jeśli chodzi o resztę, apartament przy ulicy Saint-Fiacre, meble i wartościowe przedmioty, nie można było nic zrobić bez podpisu markiza d'Iguerande.

— To oczywiste — przyznał intendent z szerokim uśmiechem.

W kieszeni miał pięćset tysięcy franków. Resztę chętnie zostawi Amadeuszowi i jego przyjaciółom.

Po powrocie do hotelu jak najspieszej poszedł do pokoju. Zrobił rachunki. Z tym, co zebrał sam, jego majątek wynosił osiemset tysięcy franków. Rzucił kapelusz przez pokój i wydał cichy okrzyk radości.

Na ulicy, przez drzwiczki dorożki stojącej przed bankiem, na którym widniał napis „Odier et Hottinguer”, Kozeta, Amadeusz i Gérard widzieli, jak wchodzi do hotelu. Amadeuszowi serce zaczęło walić jak młotem. Napiął wszystkie mięśnie, bojąc się spotkania, które go czeka. A więc ten człowiek w czerni, ten przestępca, złodziej, zły i perfidny osobnik jest jego ojcem?!

Zanim wyszedł z dorożki, jeszcze raz sprawdził pistolety. Jeden miał w kieszeni surduta, drugi za paskiem.

— Sądzi pan, że będą potrzebne? — spytała Kozeta.

— Tak sędzę. — Potem spojrzał na Gérarda. — Kolej na pana.

Dawny medyk był bardzo osłabiony. Na jego bladej, prawie przezroczystej twarzy błąkał się uśmiech. Wiedział, co powinien zrobić. Z pretensjonalną uprzejmością wstał i skłonił się lekko; potem przesyłając im spojrzenie pełne bólu, powiedział Kozecie i Amadeuszowi, by działali skutecznie.

— Może życie dobiega kresu. Ale chcę w tym uczestniczyć.

Wchodząc do hotelu, myślał o Kozecie, a raczej o Eufrozynie. Dzięki tej młodej kobiecie uwierzył, że można zacząć życie od nowa. Ale morderca zostaje mordercą. Nie zmieni się

jego życia. Zawsze nadchodzi dzień, gdy sprawiedliwość wystawi rachunek. Pocieszało go, że Burdin także zapłaci za swe zbrodnie. Nie tylko on zostanie spisany na straty. Zresztą i tak nie miał już nic do stracenia.

Po wejściu do hotelowego westybulu, kulejąc, skierował się do biura, gdzie urzędował człowiek w okularach. Schody na wprost wejścia prowadziły do niezwykle wysokiej sali.

Mężczyzna w okularach, z podbródkiem znikającym w fałdach tłustej, trzęsącej się szyi, wargą poruszającą się pod nosem w kształcie dyni, drzemał, złożyłwszy ręce na lekko pochylonej piersi. Podniósł jedną brew i spytał:

— Pan w jakiej sprawie?

Gérard przybrał uprzejmy wyraz twarzy.

— Chciałbym wynająć pokój na dwie doby — powiedział drżącym głosem. — Przyjechałem do stolicy w interesach i postanowiłem zatrzymać się w pańskim hotelu.

Człowiek nagle się ocknął.

—Słuszna decyzja. Jeśli pan pozwoli, osobiście zaprowadzę go na górę.

—Jeśli to możliwe, chciałbym zamieszkać na drugim piętrze od strony ulicy — rzekł Gérard. — Lubię patrzeć, co się dzieje w tym pełnym życia, migotliwym Paryżu.

—Chaussee d'Antin nie jest specjalnie ruchliwą ulicą, nie dzieje się tu tyle co koło Opery czy w Belleville.

—No cóż, dla mnie, bankiera z Saint-Denis w Wogezach, ta ulica jest bardzo ruchliwa.

Hotelarz zatarł ręce. Miał doborową klientelę: finansiści, aktorki, literaci. Podobnie jak w Hotel de France, położonym nieco dalej przy tej samej ulicy, stawali tu Jacques Laffite, Maria Dorval, Franciszek Liszt i George Sand.

— Proszę za mną — rzekł, biorąc niewielką torbę Gérarda i kierując się ku schodom.

Idąc na górę, wyjaśnił, że do godziny czwartej nie ma personelu. Gérard szedł za nim. Szybki rzut oka pozwolił mu zorientować się, że Kozeta i Amadeusz są już przy wejściu.

Kozeta zamierzała pognać do przodu, ale Amadeusz przytrzymał ją za mankiet.

— Jeszcze trochę cierpliwości, prosiłem Gérarda, żeby wy najął pokój na drugim piętrze, jeśli możliwe obok pokoju Louis-Desire.

Nieco później przeszli szybkim krokiem przez westybul. O tej porze, jak powiedział właściciel, nie było ani portiera, ani pokojówki. Wbiegli po schodach, przeskakując po cztery stopnie naraz. Gdy dotarli na drugie piętro, skręcili w prawo. Mimo grubego dywanu, który tłumiał hałas, szli na palcach. Nagle Amadeusz zatrzymał się i nadstawił ucha. Po chwili ze strwożoną miną szedł dalej.

Na końcu korytarza Kozeta i Amadeusz ukryli się za parawanem w lilie i pszczoły, który zasłaniał niszę i wejście na służbowe piętro.

— Może będziemy musieli tędy uciekać — szepnęła Kozeta.

Po kilku minutach mężczyzna w okularach wyszedł z pokoju Gérarda. Amadeusz i Kozeta dobrze go widzieli.

— Mam nadzieję, że spodoba się panu u nas — powiedział, parokrotnie skłaniając głowę.

— Możemy już iść — rzekł Amadeusz szeptem.

— Naprawdę nie chce pan, bym z nim poszła?

Amadeusz oparł obie dłonie na ramionach Kozety i długo na nią patrzył.

— Już wkrótce nadejdzie czas wyjaśnień, Kozeto. Niech pani zostawi nas samych. Proszę panią o tę łaskę. Pani, tak jak było umówione, pójdzie do Gérarda. Będzie pani stamtąd słyszała wszystko, co jest do usłyszenia.

*

Burdin otworzył drzwi swego pokoju i oniemiał. Wydawało mu się, że chce czegoś od niego człowiek w okularach. W jego prawej ręce zalaśniło ostrze.

— Czy w ten sposób wita się swego pana? — spytał Amadeusz sztucznie wesołym tonem.

Intendent aż się zachwiał.

— Pan?

Wpuścił Amadeusza do środka i wychylił głowę na korytarz, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Upewniwszy się, że nie, zamknął drzwi i włożył nóż za pasek.

—Nóż? — udał zdziwienie Amadeusz, podchodząc do okna. — To broń morderców, mój zacny Louis-Desire.

—W obecnych czasach ma się taką broń, jak można, panie markizie. Ale zechce pan usiąść. I... jak mnie pan odnalazł?

Pomyślał, że jeśli Amadeusz nic nie wie, należy grać twardo. Przede wszystkim nie można atakować wprost.

— W Paryżu nie ma tajemnic — odpowiedział markiz z obojętną miną. — Jeden lub dwu szpiegów i po problemie.

Opadł na łóżko, parokrotnie odbił się od materaca i usiadł na brzegu.

—To, co pan mówi, nie jest pocieszające — odpalił Burdin, założywszy ręce za plecy.

—A dlaczego?

—Ponieważ chronię pańskie interesy, panie markizie.

—Coś podobnego! Usiądź, mój zacny przyjacielu. I wszystko mi opowiedz.

Burdin wziął krzesło i usiadł na wprost swego pana, mniej więcej trzy kroki od niego. Amadeusz ciągnął dalej:

— Chronisz moje interesy, podajesz się za mnie, przywłaszczasz sobie list barona Pontmercy i inkasujesz pięćset tysięcy franków?

Burdin nawet nie mrugnął.

— Gdybym tego nie zrobił — wyjaśnił — suma ta wpadłaby w ręce niebezpiecznych złoczyńców. A mężczyzna, który stoi na ich czele, jest przyczyną wszystkich naszych kłopotów. Każę na siebie mówić Tardier albo Kocj Król, ale naprawdę nazywa

się Thénardier. Zresztą poznał go pan, panie markizie: przesadywał co wieczór w szynku o nazwie Clan Destin. Wszystkie nieszczęścia barona Pontmercy wydarzyły się przez niego. I nawet nie śmiem wspomnieć o przypadku tej biednej pani baronowej...

Amadeusz zrobił poważną minę. Bezczelność i podłość tego człowieka zdumiewały go. Dla uratowania swojej skóry był gotów zadenuncjować współników, oplakiwać ludzi, do których upadku się przyczynił, używać najpodlejszych podstępów.

—W każdym razie — powiedział, kiwając smutno głową, zdecydowany schwytać intendenta w jego własne sidła — biedna Kozeta nie żyła wystarczająco długo, by opowiedzieć o swojej drodze krzyżowej...

—Co pan chce powiedzieć, panie markizie?

—To, że znalazła śmierć w strasznym miejscu, Pod Białym Diabłem, gdzie dostawała środki odurzające i była trzymana wbrew swej woli przez niejakiego Gérarda. Czy to nazwisko coś panu mówi?

—Nie, panie markizie.

Amadeusz opuścił wzrok i mówił dalej:

—Ba, to bez znaczenia, on też nic już nie powie. Kiedy chciał zasłonić Kozetę, został śmiertelnie ranny. Morderca, który także zginął, musiał być człowiekiem owego Thénardiera. Bo tak się nazywa, prawda'?

—Tak jest — odparł Burdin, którego zalała fala nagłej i niespodziewanej radości.

—Miałeś więc rację — ciągnął Amadeusz — powinienem wcześniej dobrać się do majątku Mariusza. Ale jeszcze nie jest za późno, prawda?

Burdin klasnął w ręce. Robiąc raz obrażoną, raz przestraszoną minę, zawołał:

— Jestem uszczęśliwiony, panie markizie! Oczywiście, że nie jest za późno! I pomścimy biedną panią baronową. A po nieważ tę straszliwą zbrodnię zlecił Thénardier, dobierzemy

mu się do skóry. Ja sam mogę pana zaprowadzić do jego nory. Najlepszym wyjściem byłby pojedynek.

Amadeusz skrzyżował nogi i oświadczył z gestem pełnym elegancji:

— Ależ nie będę się bił z plebejuszem takim jak pan i ja, panie Burdin! Czy nie lepiej byłoby kazać poderznąć mu gardło?

Uśmiech intendenta natychmiast zgasł. Czy markiz rzeczywiście powiedział „plebejuszem takim jak pan i ja”?

— Muszę się tego dowiedzieć — podjął Amadeusz, nie zostawiając Burdinowi czasu na odpowiedź. — Ma pan nade mną przewagę, panie ojcze. Aby stać się nędznikiem, takim jak pan, muszę wiele nadrobić. Nauczył mnie pan złodziejstwa, kłamstwa, próżności, cynizmu i pogardy dla innych. Krótko mówiąc, na liście moich umiejętności brak tylko morderstwa i zabójstwa. Co o tym myślisz, ojcze?

Odczekał nieco, zanim wymówił słowo „ojcze”. Zdawało się, że jego urywane, szybkie i nabrzmiałe emocjami słowa strąciły Burdina w otchłań bez dna.

Położył rękę na sercu i wyszeptał:

—Nie trzeba tak mówić... Wprowadzono pana w błąd, panie markizie... Niech pan popatrzy na mnie i na siebie... Dwaj ludzie tak różni nie mogą być tej samej krwi...

—Proszę mi więc dać swój testament.

—Zniszczyłem go...

Złapał rękami siedzenie krzesła, by złagodzić ostre bóle, jakie chwyciły go w dolnej części ciała, i potoczył półprzytomnym wzrokiem. Miał trupa twarz, oczy zaczerwienione z bezsenności. Potem niezwykle wolno, jakby zeszywniały od reumatyzmu, wstał chwiejnie.

—Niech mnie pan nie zmusza, bym zabił pana jak psa — rzekł Amadeusz, zrywając się jednym susem z pistoletem w dłoni.

—To jakiś nagły ból... — wybełkotał Burdin, który odsunął się nieco i złapał za serce.

— Proszę się nie ruszać, ojcze!

Garbus powoli pokiwał głową.

— Nie jestem pańskim ojcem... W oczach świata nigdy nim nie będę... Nie jest pan taki, jak oczekiwałem... To mój jedyny błąd.

Amadeusz wziął go na muszkę.

—Może z powodu mojej matki! — zawołał. — Chociaż była ulicznicą, z pewnością była lepsza od pana! O co zresztą nietrudno!

—Skąd o tym wiesz?

Burdin odruchowo zwrócił się per ty do człowieka, którego nie chciał uznać za syna.

— Dość, że wiem — odparł Amadeusz. — Niech pan sobie wyobrazi, że na własną rękę przeprowadziłem małe docho dzenie. Dzięki panu Javertowi, byłemu policjantowi, którego znał pan pod nazwiskiem Moreau, odnalazłem pański trop w Burgundii. Iguerande to miasto, gdzie się pan urodził. Nawiasem mówiąc, nie ma tam żadnego śladu rodziny noszącej to nazwisko. Ciekawe, prawda? Wszystko pan zmyślił. Spotkałem się nawet z pułkownikiem de Saint-Auchans. Czy to nazwisko coś panu przypomina? Nic, jak sądzę? Podobnie jak nazwisko Germain Lagoutte? I wyspa Lobau? I Essling? I czterdzieści trzy tysiące ludzi, którzy zmarli w ciągu dwóch dni? Musiał się pan nieźle obłowić, prawda? A Wagram? I ten Gérard, z którym już wtedy był pan w zмовie, by truc rannych i okradać trupy? A Mariusz, którego pan zdradził z pomocą tego Thénardiera? A Kozeta, której śmierci jest pan winien? A moje dziecko? Moje dziecko, które porwał pan Klemencji de Lavery?

— Ona nie miała pieniędzy... Chciałem dla ciebie kogoś lepszego... Pozostawiając przy życiu tego dzieciaka, popełniłem drugi błąd... Powinienem go zabić...

Amadeusz spytał z niedowierzaniem:

— Żałuje pan, że nie popełnił jeszcze jednej zbrodni? O to chodzi? A jak miało na imię to dziecko?

Garbus pokiwał głową i znów zaczął sobie masować serce.

— Rafał — odpowiedział. — Chciałem zrobić z niego bandytę wielkiego formatu... W razie potrzeby posłużyć się nim przeciwko tobie... Ale go nie zobaczysz...

Amadeusz spiorunował go wzrokiem. Ze zdumiewająco zimną krwią podrzucił pistolet w górę, złapał go za lufę i podał Burdinowi ze słowami:

— Proszę mi pokazać, że pozostało panu jeszcze nieco godności. Niech pan ma odwagę z tym skończyć.

Burdin zdecydowanym ruchem wziął pistolet. W sytuacji, w jakiej był, nie mógł już niczego się spodziewać. Nie mówiąc już o przeszywającym go bólu. Ale w ostatniej chwili wziął na muszkę Amadeusza:

—Idioto! Jesteś równie głupi jak ludzie z klasy, z której nie pochodisz, mój biedny chłopcze! Z pewnością myślałeś, że palnę sobie w łeb?

—Nie ma pan cienia godności — odparł Amadeusz spokojnie, wyzwolony z niejasnego poczucia winy, jakie się w nim jeszcze tliło.

Burdin zasyczał jak wąż.

— Nawet nie wiesz, co to jest godność. To pociecha biednych i nagroda bogatych. Ty nawet nie masz tej wymówki. Wiesz, skąd pochodzisz? Z błota. Wszystko, co masz, dostałeś ode mnie. Zarówno maniery panicza w żółtych rękawiczkach, jak przedimek „de” przed nazwiskiem, całkiem zresztą do kitu. Ale powiem ci, mój chłopcze, że ten przedimek to za mało, by używać życia. Rozumiesz? — I przystawiając Amadeuszowi lufę do brzucha, krzyknął: — Z drogi!

Amadeusz usłuchał. Wówczas Burdin pokuśtykał do torby z pieniędzmi. Wziął ją i wsunął pod pachę.

— Otwórz drzwi! — wrzasnął.

Gdy Amadeusz posłuchał, Burdin wycofał się tyłem. Znalazszy się w korytarzu, potknął się o kogoś i błyskawicznie odwrócił. Była to Kozeta.

— Pani? Ależ...

Mierząc z pistoletu to do Kozety, to do Amadeusza, odwrócił się w przeciwnym kierunku i znalazł się twarzą w twarz z Gérardem.

— Ty?

Kozeta i Gérard blokowali korytarz z obu stron. A w progu pokoju stanął Amadeusz.

Burdin wycelował w Kozetę. Jego drżące wargi, bladość, wzburzona twarz zapowiadały, że zaraz zdarzy się coś ostatecznego.

— Ty, pięknotko, zapłacisz za innych! — zawołał i strzelił.

Jednakże Amadeusz przewidział, że może się tak stać. W pistolecie nie było pocisków. Natomiast ten, który sam wyciągnął z kieszeni, był naładowany. Natychmiast ostrzegł Burdina:

— Niech mnie pan nie zmusza, bym strzelił.

Burdin osłupiał. Nawet nie zareagował, gdy Amadeusz wyrwał mu z rąk torbę. Wówczas Amadeusz końcem lufy wskazał mu sąsiedni pokój.

— Proszę tu wejść.

Burdin posłuchał, za nim do pokoju wszedł Gérard. Obydwaj podeszli do okna, które Gérard otworzył, zanim opuścił pokój.

— Wiedząc, że wprowadzimy tu coś cuchnącego, wołałem wywietrzyć pokój — powiedział szyderczo Gérard i zwrócił się do byłego współnika: — Zdradzałbyś mnie aż do końca.

Tamten nie odpowiedział. Nie wykazał cienia skruchy. Stał mocno wsparty na nogach, z wyrazem goryczy na ustach i pogardą w oku.

Kozeta i Amadeusz, którzy nie ruszyli się z korytarza, patrzyli na siebie nieco speszeni, a także trochę zalęknieni, jakby to wyznanie miało zmienić naturę ich stosunków.

— Nie zapomniała pani o swojej obietnicy? — szepnęła Amadeusz. — Nadal jest pani moją przyjaciółką?

— Wszystko panu wybaczam — odpowiedziała Kozeta, lekko dotykając jego ręki.

Gérard widział całą tę scenę z drugiego końca pokoju. Nagle oplótl Burdina rękami i mocno do niego przywarł.

— A czy mnie pani przebaczy?! — zawołał do Kozety, mocnym uderzeniem bioder pchnął Burdina do okna i razem z nim runął w przepaść.

*

Kozeta nie straciła zimnej krwi. Amadeusz tak osłupiał, że musiała nim potrząsnąć i wypchnąć go na korytarz.

— Nie ma rady, musimy uciec tymi bocznymi schodami — powiedziała, pokazując niszę za parawanem. — Proszę iść, zaraz do pana dołączę.

— Co pani robi?

— Niech pan idzie i o nic nie pyta.

Weszła do pokoju Burdina i dokładnie go przeszukała. Zajrzała do szafy, sekretarzyka, komody. Nic nie znalazła. Nagle o mało nie upadła, widząc dwa lichtarze stojące na gzymsie kominka. I powiedzieć, że mogła ich nie zobaczyć! Świeczniki jej ojca!... Burdin ośmielił się przywłaszczyć je sobie. Wzięła je i przycisnęła do serca. Potem podniosła z ziemi płócienną torbę i włożyła do niej świeczniki. Dziękowała niebiosom, ale to nie lichtarzy szukała. Czas naglił. Za chwilę zjawi się tu człowiek w okularach. I na pewno służby policyjne. Wtedy spojrzała na łóżko. Podniosła materac i wreszcie znalazła to, czego szukała. A więc Burdin kłamał. Nie zniszczył testamentu i dokumentów dotyczących Amadeusza, które dostał od reagenta Chanplon. W kopercie był również pakiet listów. Szybko włożyła wszystko do torby.

Ledwo znalazła się na korytarzu, na parterze rozległy się kroki biegnących ludzi. Na ulicy ktoś wrzeszczał i wzywał pomocy.

— Obydwoj nie żyją! Wypadli z drugiego piętra!

Natychmiast dołączyła do Amadeusza, który już oprzytomniał i starał się zbadać teren. Służbowe schody prowadziły do

pokoi personelu. Tam zaś, nad drabinką stojącą na pokrytej płytkami podłodze, widniało okienko wychodzące na dach.

Amadeusz pierwszy wszedł na drabinkę i otworzył je. Potem spostrzegł torbę, którą trzymała Kozeta, i spytał:

—Co pani tam ma?

—Pański intendent nie miał do roboty nic lepszego, jak ukraść świeczniki mego ojca.

—Niegodziwiec — mruknął Amadeusz.

Wyszedł na dach przez otwarte okienko. Po nim to samo zrobiła Kozeta i starannie zamknęła je za sobą. Nie wolno było zostawiać niczego na łut szczęścia.

Kiedy byli już na górze, Amadeusz pochylił się i dostrzegł ciała leżące na ulicy.

— Sprawiedliwości stało się za dość — syknął.

Kozeta również rzuciła okiem w dół. Widząc splecione i zmasakrowane ciała, wpadła na pewien pomysł. Teraz kolej na Thénardiera, pomyślała. Dzięki wybiegowi, który przyszedł mi do głowy, nie zdoła nam uciec.

Amadeusz znajdował się już na drugim końcu dachu. Przy deszczowej pogodzie widoczność była marna, a dachówki śliskie. Amadeusz wskazał Kozecie sąsiedni budynek i rzygacza w kształcie siedzącego psa.

— To jedyna możliwość. Trzeba będzie skakać.

Krawędzie dachów dzieliła odległość paru metrów. A niżej była przepaść nad ciemną uliczką usłaną odpadkami.

Kozeta nie wahała się. Dzięki strojowi od George Sand miała swobodę ruchów. Wręczyła Amadeuszowi torbę, wzięła rozbieg i skoczyła. Był to niesamowity wyczyn. Wylądowała na pochyłym dachu na cztery łapy jak kot. Jedna z dachówek ode-rwała się pod jej stopą i spadła na uliczkę. Oboje z Amadeuszem wstrzymali oddech.

Kiedy Kozeta nieco ochłonęła, chwyciła się rzygacza i poprosiła Amadeusza, by rzucił jej torbę, co zaraz zrobił.

— Kolej na pana, markizie.

Amadeusz opuścił smutno głowę.

—Jeszcze nazywa mnie pani markizem?

—To nie moment na ceregiele. Niech pan skacze!

Amadeusz jedną ręką przycisnął torbę z pieniędzmi i nie namyślając się, skoczył prawie bez rozbiegu.

W ostatniej chwili poślizgnął się i trafił nogą dokładnie w miejsce, z którego odpadła dachówka. Skręcił nogę w kostce i stracił równowagę. Prostując się, upadł na brzuch i potoczył się do krawędzi dachu. Na szczęście miał się czego chwycić. Ale tylko jedną ręką. Reszta ciała zawisa w powietrzu.

Kozeta wrzuciła swoją torbę do wnętrza rzygacza i po dachu przeszła do Amadeusza. Pochyliła się i wyciągnęła do niego rękę.

—Niech pan puści tę torbę — błagała.

—Nigdy!

—Niech pan ją puści, do licha!

—Raczej umrę!

Zamachnął się i rzucił torbę w stronę rzygacza. Uderzając o dach, torba otworzyła się i kilkanaście banknotów pofrunęło z wiatrem. Kozeta, która cały czas wyciągała rękę, widziała, jak wirują nad uliczką i miękko opadają na bruk.

— Niech pan złapie moją rękę, Amadeuszu!

Amadeusz chwycił rękę Kozety i udało mu się wdrapać na dach. Zdyszany spojrział na nią i szepnął:

—Jak pomyślą, że Mariusz mówił o pani jak o gąsce...

—Jak o mnie mówił?

—Nie, nieważne...

Amadeusz wstał i rzucił okiem na uliczką. Czy sprawił to dźwięk stłuczonej dachówki, czy sygnał ambulansu na ulicy de Provence, ale niczym duchy pojawiły się skądś rozczochrane dzieciaki, które śmiejąc się, szukały czegoś na bruku. Czy to z nieba spadają pieniądze? Nie wierzyły własnym oczom.

Q

k_Jtatek, którym podróżowali Mariusz, Kochaś i Rafael, był dwumasztowcem, podobnym do olbrzymiego brygu z kwadratowymi marszałgami. Ten ciężki cichy statek przybił do brzegu późnym popołudniem. Po rutynowej kontroli pasażerowie mogli zejść na ląd. Oficer marynarki nabożnie patrzył na rewolwer Mariusza. Na jego paszport ledwo spojrział.

—Czy to amerykańska broń?

—Tak jest — odpowiedział Mariusz. — Oryginalny egzemplarz zaprojektowany przez niejakiego Samuela Colta.

—Byłoby dobrze, gdyby się nim zainteresował nasz nowy minister wojny, marszałek Maison — rzekł oficer. Oddając Mariuszowi paszport, dodał: — Miłego pobytu, kapitanie Smith. Na lądzie może pana czekać niespodzianka.

Mariusz nie lubił niespodzianek. Na wszelki wypadek zapamiętał nazwisko tego marszałka. Zawsze może się przydać.

Gdy schodzili ze statku, patrzył na pas skał otaczających Saint-Malo, Petit-Be i Grand-Be, wysepki, na których Celtowie grzebali swoich zmarłych. Fortyfikacje lśniły jak korona ze szlachetnych kamieni. Na Szmaragdowym Wybrzeżu było to całkiem naturalne.

— Jesteśmy we Francji — powiedział Mariusz, stawiając torbę na ziemi.

Rzucił okiem na rękojeść swej szabli i poprawił czapkę.

Kilka kroków dalej przypatrywała mu się grupa złożona z paru osób. Z pewnością niespodzianka, o której wspomniał oficer.

— Tak, naprawdę jesteśmy we Francji — powtórzył z przekonaniem, patrząc na Kochasia.

— Właśnie to mnie niepokoi — szepnęła tamten z ręką na kolbie rewolweru.

— Kapitan Smith? — spytał jeden z członków delegacji. — Mamy zaszczyt powitać pana w Saint-Malo!

Kochaś zdjął rękę z rewolweru. Tego wieczoru nie będzie kłopotów.

Delegacja składała się z tłumacza, zastępcy mera, komendanta garnizonu i czterech żołnierzy. Poproszono, by podróżni udali się z nimi, gdyż w zamku urządzono przyjęcie na ich cześć. Mariusz nie potrafił ukryć zadowolenia: jako powitalny prezent miasto ofiarowało kapitanowi i jego towarzyszom trzy piękne kłaczki krwi arabskiej i angielskiej. Maści kasztanowej.

Na szczycie zamkowej wieży Quiquengrogne, przyległej do małego donżonu, powiewała trójkolorowa flaga. Rozwodzono się na temat murów obronnych, wspominając przy tej okazji Duguay-Trouina i Surcoufa, słynnych marynarzy z Saint-Malo. Zastępca mera seplenił. Był bardzo przestraszony, wszystko, z czym się nie zetknął, wydawało mu się wrogiem. Zwracał się do Mariusza z wielką rewerencją.

— Pan, kapitanie, przypomina trochę Surcoufa i Duguay-Trouina.

W zamku na kapitana Smitha czekało około trzydziestu osób. Wśród nich mer, komendant portu wojennego i pułkownik artylerii nabrzeżnej. Notable pili szampana i jedli dorsza w szafaranowym cieście, rozmawiając przy tym o wydarzeniach w Ameryce. Podobno w San Jacinto generał Houston wziął do niewoli generała Santa-Anna.

Mariusz, który teraz lepiej niż ktokolwiek potrafił szyderstwem niszczyć złudzenia miłości własnej, miał się na baczności. Skąd to ministerialne powitanie?

Wyjaśniono mu, że administracyjne i sądownicze władze

miasta zostały powiadomione o jego przyjeździe przez kuriera. Zdumiał się.

— Człowieka, który położył kres działalności jednego z piratów na Karaibach w Zatoce Meksykańskiej, należy traktować jak bohatera — oznajmił komendant portu wojennego, kładąc mu rękę na ramieniu i wznosząc toast za jego zdrowie.

Mówił cichym, przenikliwym głosem, a na jego twarzy widniał łagodny, a zarazem kpiący wyraz.

— Tak jest, kapitanie Smith, to pańskie święto. Francja potrzebuje ludzi takich jak pan.

Mariusz skłonił się lekko i umoczył wargi w szampanie. Stojące dokoła młode kobiety pożerały go wzrokiem. Z opadającymi na ramiona włosami, wąsami, które łączyły się z gęstymi kręconymi bokobrodami, ogorzałą twarzą i mrocznym spojrzaniem, ubrany w jasnogrnatowy mundur ze złożonymi galonami i w białej koszuli z czarnym krawatem był urzekający. A przecież pod ową olśniewającą powierzchownością krył się były galernik z Tulonu, skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót jako numer 9430. Kto mógłby się tego domyślić?

Z pewnością nie celnicy, a jeszcze mniej żandarmeria graniczna, która po sprawdzeniu tożsamości kapitana Howarda Smitha nie miała do niego żadnych zastrzeżeń. Jednego dnia był banitą, nazajutrz bohaterem! Sytuacji nie brakło pikanterii.

Mariusz, który nie miał już nic wspólnego z niegdysiejszym naiwnym i krewkim młodzieńcem, nie dał się oczarować zwodniczym śpiewom syren z Saint-Malo. Okazało się, że jeśli żartuje, to życzliwie, jeśli z kogoś kpi, to niechcący, natomiast z przymrużeniem oka przyjmuje komplementy pod własnym adresem. Kochaś, jednoręki, nieustępliwy janczar, dzielny siłacz o lwim sercu i siwej brodzie, zawsze jednakowo dyskretny i oddany, czuwał. Kiedy opuszczali Nowy Orlean otrzymał stopień porucznika i teraz nadal nosił anglosaskie nazwisko (porucznik Dibbs) oraz strojny mundur. Lewy rękaw, przypięty niedbale do poły kamizelki barwy pruskiego błękitu, wskazywał, że Kochaś stracił rękę w boju, co bardzo podnosiło jego

prestiz. Przymilny, a zarazem dowcipny, potrafił jednym gestem czy mrugnięciem powieki wpłynąć na zachowanie Mariusza. Wszyscy zachwycali się dzieckiem uczeptionym jego ramienia, uśmiechniętym jasnowłosym cherubinkiem. Nie odrywano od niego wzroku. Interesowano się mieczem, jaki nosił na plecach.

— To katana, japoński miecz, groźniejszy od bułata, używanego przez ludy Wschodu! — wołał wówczas Kochaś. — Broń samurajów i azjatyckich piratów!

Mariusz i Kochaś starali się mówić z amerykańskim akcentem.

— A dziecko? — pytano drżącym głosem.

Kochaś robił poważną, a zarazem tajemniczą minę. Kładąc swą jedyną rękę na głowie Rafaela, odpowiadał:

— Dziecko? To mały francuski niewolnik wydarty w Santiago z rąk portorykańskich handlarzy żywym towarem. Gdyby nie my, zakatowaliby go na śmierć. *It's terrible!*

Nawet jeśli ta wersja nie była zbyt odległa od prawdy, tworzyli legendę. Podczas podróży wszyscy trzej nauczyli się na pamięć tej bajeczki. Zamierzali trochę się pobawić.

Komendant portu odciągnął Mariusza na stronę. Ów mężczyzna około sześćdziesiątki zachowywał się z wielką kurtuzją, w której wyczuwało się odrobinę ironii.

— Tutaj — oświadczył — czujemy się najpierw obywatelami Saint-Malo, potem może Bretończykami, a dopiero na końcu Francuzami.

Mariusz pochwalił dewizę miasta, które pierwotnie było jedynie wyspą połączoną z lądem piaszczystą ławicą, zalewaną przez morze.

Komendant dodał, że Saint-Malo zawdzięcza swój wyjątkowo pomyślny los niezłomnej woli zwycięstwa i niezależności swych mieszkańców.

— Gdyby był pan Francuzem, kapitanie Smith, zostałby pan honorowym mieszkańcem Saint-Malo.

— Pochlebia mi pan — odpowiedział Mariusz bez cienia akcentu.

Komendant skrzywił się. Ten Amerykanin, pomyślał, mówi jak rodowity Francuz.

— Czy długo zamierza pan u nas zostać?

Mariusz zagryzł wargi. Przypomnił mu się list Anzelmy. Może to ona na niego doniosła?

—Przyjechałem tu w interesach — skłamał. — Reprezentuję spółkę Johna Lafflina. Poza tym chciałbym dowiedzieć się, co myśli o tej broni minister wojny, marszałek Maison.

—Zna pan marszałka?

Mariusz zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Mój ojciec, amerykański ochotnik za czasów cesarstwa

i oficer kawalerii, walczył u jego boku podczas kampanii rosyjskiej. Został we Francji do 1815 roku. Po Waterloo wrócił do Ameryki. Matka zaś była Francuzką. Rozumie pan teraz, dlaczego tak dobrze władam tym językiem?

Na oczach osłupiałego komendanta wyciągnął kolta Pater-sona i podał mu go. Tamten, kiwając głową, wazył broń w rękę.

— Jest ciężki — powiedział z uznaniem, zaintrygowany bębenkiem i kominkami. Potem powiedział z miną stosowną do okoliczności: — Pan marszałek Maison nie był pod Water-loo. Pozostał przy Ludwiku XVIII.

Mariusz się zagalopował.

—Nie powiedziałem, że marszałek był pod Waterloo — sprostował z szerokim uśmiechem — ale że był tam mój ojciec. Każdy może się omylić.

—Co do obozu? — podsunął komendant.

—Co do kraju — poprawił go Mariusz z uśmiechem i rzekł: — Konstrukcja tego rewolweru jest prosta, a zarazem pomysłowa. Bębenek obraca się na osi umocowanej do lufy, którą przytrzymuje klin. W czasie napinania kurka przymocowana do niego zapadka obraca bębenek, ustawiając jedną z komór nabojoych w osi lufy.

Mówiąc to, Mariusz pokazywał komendantowi różne części broni.

—A jak się ładuje ten rewolwer? — spytał komendant.

—Przez zamek. Proszę spojrzeć, przy naciśnięciu tej zapadki bębenek swobodnie się obraca. Do każdej komory wysypujemy miarkę prochu, a potem wkładamy do nich kule. Aby dopchnąć ładunek, posługujemy się tym prętem umocowanym przy lufie. Teraz musimy już tylko umieścić kapiszon z piorunianem na kominku i rewolwer jest gotów do użycia.

Komendant wydawał się zachwycony.

— I można z niego oddać pięć strzałów raz za razem — stwierdził Mariusz. — Ale może okazać się kapryśny, tak jak mój akcent.

Włożył kolta do futerału. Komendant roześmiał się cicho. Jego wątpliwości nie zostały rozproszone.

Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę. Mariusz, rozluźniony, opowiedział o walce z El Diabło i zdobyciu statku. W pewnej chwili komendant wyszedł. Gdy wrócił, Mariusz zawołał Rafaela i wyciągnął z pochwy samurajski miecz. Wszystkim go zademonstrował. Wokół niego utworzył się mały krąg. Zachwycono się gardą miecza, jego rękojeścią i klingą.

— Jest ostry jak brzytwa — dodał Mariusz. — Jego własnym cicielem był sam El Diabło. To nim rozpruwał brzuchy i pod rzywał gardła swym ofiarom.

Zgromadzonych przeszedł dreszcz. Uznano, że to pasjonująca opowieść.

Po przyjęciu komendant zaprosił Mariusza i jego przyjaciół na kolację. Uzbrojeni żołnierze eskortowali ich do tawerny położonej przy bramie Św. Ludwika. Dobrze się złożyło, bo Mariusz i jego przyjaciele zamieszkali w pobliskim hotelu Magon de la Lande, starym granitowym domu, należącym do jednego z armatorów z Saint-Malo.

Oberża, w której podawano wiele dań z owoców morza, wędzone mięso i egzotyczne owoce, nazywała się Borgnefesse. Była to prawdziwa uczta. Noc iskrzyła się gwiazdami, jadalnia pachniała cynamonem.

Pod koniec posiłku komendant powiedział Mariuszowi na

stronie, że są tu ludzie z policji. Mariusz zbladł. Sądził, że ktoś go wydał, ale komendant uspokoił go.

— Jest pan moim gościem, kapitanie Smith. W każdym razie, nawet jeśli spełniam swój obowiązek, chodzi wyłącznie o informację. To jakaś stara historia.

— Nie lubią starych historii, panie komendancie.

Mariusz wstał i wyszedł z obozu. Na dworze wśród żołnierzy piechoty morskiej zobaczył dwóch ludzi w czerni. Jeden z nich podszedł do Mariusza i pokazał mu legitymację inspektora policji. W tym człowieku z nosem jak dziób drapieżnego ptaka nie było nic nieprzyjemnego. Przeciwnie, okazał się raczej sympatyczny i zagadkowy.

— Chodzi o zwykłe rutynowe pytanie, kapitanie Smith.

— Kto panów przysłał? — Komisarz Raynaud. Mariuszowi krew zastygła w żyłach.

— Czy jest tutaj? — spytał.

— Będzie jutro rano. Zna go pan?

— To nazwisko nic mi nie mówi.

— On podobno pana zna.

W głębi duszy Mariusz dosłownie się pienił. Powinien był posłuchać wszystkich swych amerykańskich przyjaciół. Po co wracał do tego przeklętego kraju? A jak go rozpoznano? Znów pomyślał o Anzelmie i zapytał, jakby miał coś na sumieniu:

— Czego ode mnie chcą?

— Wedle naszych informacji należy wyjaśnić pewne dotyczące pana szczegóły, kapitanie Smith. Ale nie będą zabierać już panu czasu. Czy zechciałby pan zgłosić się jutro rano na posterunek miejskiej żandarmerii?

— Żandarmerii?

— Sprawa ta dotyczy armii.

— A więc zgoda, przyjdą.

Mariusza zdziwiła uprzejmość policjanta przebranego za człowieka z towarzystwa. Dlaczego nie założył mu kajdanek?

— Czy mam przyjść z moim zastępcą?

Inspektor uśmiechnął się przepraszająco.

—Jeśli chodzi o niego, to, niestety, inna para kaloszy — powiedział nieco trywialnie.

—Co pan ma na myśli?

—Nic ponad to, o czym wspomniałem, kapitanie Smith. Komisarz Raynaud, bawiąc przejazdem w Dinan, prosił mnie po prostu, by powiadomić pana o tym wezwaniu. Wiem tylko tyle, że towarzyszący panu człowiek ma na pieńku z wymiarem sprawiedliwości.

Teraz Mariusz był pewien: Anzelma napisała list do komisarza Raynaud i komendanta portu w Saint-Malo. Ale co w nim było? Przeklinał ją, a zarazem kochał. Jej diabelska szczerść dosięgła go. I to pośmiertnie. Ale co z tego wyniknie?

Przestał zadawać pytania i pożegnał się z inspektorem policji. Jutro wstanie tu nowy dzień, ale dzięki koniom, które im łaskawie podarowano, nie będzie go już w Saint-Malo.

*

Uciekinier będzie zawsze uciekinierem, myślał Mariusz. Francuski wymiar sprawiedliwości o niczym nie zapomina, zwłaszcza o własnych błędach. Ma ci za złe to, co przez niego wycierpiałeś. Ale tym razem zamiast zrezygnować i wsiąść na pierwszy statek do Ameryki, Mariusz przysiągł sobie, że doprowadzi do końca to, co zaczął. Nie ustąpi.

Kiedy wrócili do hotelu Magon de la Lande, nie powiedział Kochasiowi o rozmowie z inspektorem. Z uwagi na okoliczności poinformował go tylko, że zmienił zdanie.

—Wyjedziemy w nocy.

—Obawiasz się czegoś?

—Powiedzmy, że chciałbym jak najszybciej znaleźć się w Paryżu.

—Coś się skończyło, coś się zaczyna — zażartował Kochaś, który żałował, że nie został w Nowym Orleanie.

Wyjechali z Saint-Malo około drugiej w nocy. Musieli tylko

uważać na patrole, bo na szczęście przy drzwiach hotelu władze

I
nie postawiły żołnierzy.

Nieco później, patrząc na jadących obok siebie Kochasia i Rafaela, Mariusz poczuł, że opuszcza go odwaga. Czy ma

i
prawo wciągać ich w swoje ucieczki? Nie podobał mu się sposób, w jaki inspektor policji mówił o Kochasiu. „Jeśli chodzi o niego, to niestety inna para kaloszy...”. Czy znaczy to, że on, Mariusz Pontmercy, nie będzie już ścigany? Mocno w to wątpił. W każdym razie do końca będzie chronił Rafaela i Kochasia. Nigdy nie zapomni o przykładzie Jeana Valjean, człowieka, który padł ofiarą bezsensownego systemu sprawiedliwości. Sprawiedliwego wśród sprawiedliwych. Wielkiego penitenta.

*

Pogoda była dość łaskawa. Tak jak przed rokiem trzej jeźdźcy omijali miasta, wielkie szlaki, obszary zaludnione. Jechali nocą, a odpoczywali wczesnym rankiem.

Pierwszy postój zrobili w sadzie jabłkowym pod gołym niebem. Spęłali konie. Powietrze było ciepłe i nieruchome. Tylko powolny ruch obłoków na niebie ożywiał noc: na jabłoniach otwierał się i zamykał wachlarz cieni i światel. Mariusz kilka razy budził się i znów zasypiał. Jego duszę dręczyło wspomnienie zbyt wielu zmarłych. Myślał o Tulonie, o El Diablo, o Anzelmie, o wszystkich zamordowanych w Alamo. Pamięć jest tą właściwością umysłu, bez której chętnie bym się obył, mówił sobie, wierząc się pod kocem. Jeśli człowiek ma być szczęśliwy, powinien być jej pozbawiony.

Nocą lodowaciał z przerażenia. Kilka razy zrywał się, bo zdawało mu się, że słyszy kroki, szmer głosów. A jeśli komisarz Raynaud depce nam po piętach?, zastanawiał się. Pod torbę, która służyła mu za poduszkę, leżał kolt Paterson. Użyłby go bez wahania. Raczej umrzeć niż wrócić na galery. W torbie miał czterysta franków, nie licząc dobrej garści szmaragdów, rubinów i diamentów. Mieć tyle pieniędzy i być zmuszonym do

ciągłej ucieczki, powtarzał sobie bez przerwy. Gdy zamykał oczy, jak przez mgłę widział Kozetę, Amadeusza, Burdina, Thenardiera. A jednocześnie ganił siebie za te myśli o przyszłości. W jego głowie nie dojrzał żaden plan. Czy spekulacje umysłu nie przeszkadzają wszelkiej inicjatywie? Wolał zdać się na instynkt. W pewnej chwili przytulił się do niego Rafael. Niewinność w ramionach winy.

—Bardzo bym chciał, żebyś był moim ojcem — szepnął mały. — I Kochaś także.

—Jesteśmy nimi, kochanie.

Mariusz westchnął i pogłaskał chłopczyka po głowie. Myślał o niedolach, których tyle zaznała w swoim życiu ta mała istotka. Że ten Rafael potrafi jeszcze być ufny, uśmiechnięty, odprężony? Chyba Bóg musiał się w to wmieszać.

Mariusz pogłaskał małego po policzku. Mimo wszystkich zmarłych, o których myślał, mimo obaw, że nie zobaczy już Kozery żywej, mimo tego absurdalnego przekonania stał się dla kogoś nieodzowny. Jakież to wspaniałe zwycięstwo nad tym, co wydawało się nieprawdopodobne! Przynajmniej coś pozytywnego.

— Śpij, dziecinko — szepnął łamiącym się głosem. — Zawsze będę przy tobie.

Dziecko zasnęło w jego ramionach. Po pewnym czasie Mariusz odwrócił głowę. Kochaś, ten szczęśliwiec, dawno już spał. Mariusz spojrział w niebo. Ruch paru czarnych jak smoła chmur, potężny, powolny, regularny, podkreślał jeszcze spokój tej chwili. Słysząc było oddech koni, pohukiwanie puszczyka, szelest suchych liści, wśród których przemykały polne myszy. Cały los Mariusza mieścił się między siłaczem i dzieckiem.

*

Dwa dni później przybyli do Paryża. Mariusz postanowił zatrzymać się w oberży Pod Czerwoną Podkową w dzielnicy Saint-Merri. Zajazd ten leżał z.dala od eleganckich, pełnych

zgiełku pięknych dzielnic, nie rzucał się w oczy, a przede wszystkim znajdował się dwa kroki od ulicy Transnonain, gdzie zaczęły się wszystkie jego kłopoty. Właśnie w tej oberży, w której można było wynająć prześlizgnięty pokój dosłownie za pięć groszy, Mariusz zostawił ongiś konia, nim poszedł do Klemencji i zniknął na galerach w otchłani zapomnienia. Gdy podał stajennemu uzdę, zorientował się, że to ten sam chłopak, któremu powierzył przed dwoma laty swego wierzchowca. Stajenny nie poznał go, co ucieszyło Mariusza. W każdym razie postanowił postępować metodycznie. Wszystko w swoim czasie. Czy paryskie powietrze nie przypominało mu o jego dłużnikach? Ale tak jak Jean Valjean przyrzekł sobie, że im wybaczy. Tę podróż podjął dla Kozety. I po to, by być w porządku wobec samego siebie.

Ilu obietnic dotrzymujemy w życiu? Mariusz przysiągł, że będzie cierpliwy, a wcale taki nie był; przysiągł, że będzie ostrożny, okazał się lekkomyślny. Czy bohaterski kapitan Smith mógł zachować się inaczej?

Ale dlaczego owego wieczoru na ulicę Saint-Denis, ulicę Saint-Martin, a potem tam, gdzie niegdyś był Clan Destin wybrał się sam, zostawiając w hotelu Kochasia i Rafaela? A gdybym tak przypadkiem spotkał Kozetę?, pomyślał.

Nie spotkał jej. Poza tym, zamiast wtopić się w tłum, chodził w mundurze. Jakby po to, by przyciągać spojrzenia napotkanych ludzi.

Na ulicy Aubry-le-Boucher nic się nie zmieniło. Z wyjątkiem szyldu Clan Destin. Szynek nazywał się teraz Chat-Malin. Mariusz spojrzął na zegarek. Ósma. Chciał wejść do środka, ale drzwi były zamknięte. Pchnął silniej. Nagle poczuł, że ktoś łapie go za ramię. Odwrócił się szybko. Stojący przed nim człowiek był wysoki, ubrany na czarno, miał orli nos i krzywe usta, a na głowie czapkę z wydry.

—Restauracja jest zamknięta — oświadczył pogardliwym tonem.

—Na dobre?

—Obawiam się, że tak. Byłem jej zarządcą, ale właściciel postanowił ją sprzedać.

—Za ile?

Wilczarz zmierzył Mariusza od stóp do głów.

—Nie sprzedajemy cudzoziemcom, proszę pana. Poza tym, sądząc po pańskim ubraniu, doprawdy nie wygląda pan na oberżystę.

—*Sorry?* — powiedział Mariusz z szerokim uśmiechem, udając, że nie rozumie.

Wilczarz spojrział na niego z góry.

—Jest pan Anglikiem?

—Amerykaninem — sprostował Mariusz. — I jeśli mam być szczery, zamierzam zainwestować pieniądze. Jestem kapitanem marynarki handlowej, mam trochę grosza i chciałbym związać się bliżej z tym miastem, które tak lubię. *Understand!* Zrozumiał pan?

—Zrozumiałem — odparł Wilczarz.

W pokrętnym umyśle pomocnika Thénardiera zrodziła się myśl o korzyściach, jakie można wyciągnąć z takiej transakcji. Koci Król byłby z niego zadowolony. Tym bardziej że poprzedni potencjalny kupiec odrzucił ofertę. W ostateczności można by sprzedać Chat-Malin po raz drugi. Nikt by nie protestował. Amerykański kapitan wróciłby na swój statek, dano by mu fałszywą fakturę i byłoby po wszystkim.

—Muszę porozmawiać o tym z moim szefem — podjął. — Niech pan wróci tu jutro o tej samej porze. Jeśli się zgodzi, pokażę panu lokal.

—*Perfect!* — zakrzyknął Mariusz, wyciągając do Wilczarza rękę.

—Wybacz pan, ale nigdy nie podaję ręki nieznanym — rzekł Wilczarz.

Mariusz z żalem cofnął swoją i odwrócił się na pięcie. Postępując w ten sposób, z pewnością przyspieszył bieg spraw, ale był zdecydowany pójść po nitce do kłębka. Dotrzeć do źródła. Kto wie, nawet jeśli ten człowiek nie wymówił nazwiska

swego szefa, to przy odrobinie szczęścia może się okazać, że właścicielem Chat-Malin jest Tardier.

Ledwo znikł za rogiem ulicy Saint-Martin, gdy z bramy wychynął jakiś cień, który dosłownie rzucił się na Wilczarza.

—Kim był ten facet z galonami?

—Hmm, to ewentualny nabywca... Amerykanin, który chce zainwestować pieniądze w Paryżu. Powiedziałem więc sobie...

—Nie mędrkuj — uciął Thénardier. — Dziś wieczorem mamy robotę.

—Pamiętam, Koci Królu.

—Tym lepiej. Za godzinę ma się zameldować Carignol. Przyjmiemy go i zabierzemy do Chat-Malin. Twoje rzezimieszki są gotowe?

—W stanie pełnej gotowości, Koci Królu. Czekają tylko na sygnał.

—Ilu ich jest?

—Siedmiu.

—Będzie nas więc dziewięciu — mruknął Thénardier. — Przypomni mi to stare dobre czasy w ruderze Gorbeau, kiedy chcieliśmy załatwić tego przeklętego Jeana Valjean...

Wilczarz nadstawił ucha.

—Co powiedziałeś?

—Powiedziałem, że maszyna ruszyła. Po Carignolu przyjdzie kolej na garbusa. No właśnie, wiesz coś o nim?

—Bardzo mało. Karzeł widział, jak przy ulicy Saint-Fiacre zatrzymał się powóz i wysiadł z niego garbus. Tak jak było ustalone, przekazał mu wiadomość. Garbus zgodził się na spotkanie.

Thénardier wyprostował się raptownie.

—I nic mi nie mówisz! Ach! Nareszcie przyprzemy go do muru. Ale twój informator musi tam siedzieć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mówisz, że to karzeł?

—Bardzo użyteczny podczas ulicznych bójek — nadał się Wilczarz. — Nie ma sobie równych w przecinaniu ścięgien pod kolanami i kaleczeniu pięt.

— Doskonale. Na początku lipca wszystko zostanie załatwione.

Thénardier wręczył swemu zastępcy klucz do Chat-Malin.

— Za godzinę wszystko ma być gotowe. Po Carignolu nie powinien zostać żaden ślad.

Uśmiech Wilczarza przeraził Thénardiera.

—Możesz mi zaufać, Koci Królu. Ćwiartowanie to moje hobby. — I dodał poważniej: — A Amerykanin?

—Zobaczmy jutro. Jeśli można go oskubać, nie omieszkamy tego zrobić. Na razie niech czeka. I nie mów mu, jak się nazywam.

*

Nazajutrz Mariusz wziął konia, by się przejechać po mieście. Był dwudziesty piąty czerwca. Kochaś miał zostać z Rafaelem i pilnować go jak oka w głowie.

—A jeśli coś ci się stanie?

—Nic mi się nie stanic. Do zobaczenia wieczorem.

Nie mógł oprzeć się pragnieniu, by najpierw udać się do Klemencji de Lavelly. Powie jej, co o tym wszystkim myśli. Gdy dzwonił do drzwi, serce zabiło mu mocniej. Nikt mu nie otworzył. Klemencja musiała się wyprowadzić. Wyszedł rozczarowany.

Wkrótce potem, gdy jechał przez dzielnicę Saint-Denis, ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. Kiedy przemierzał te ponure arterie i widział nieszczęśników, którzy dźwigali ciężary lub żebrali, miał wrażenie, że czas się cofnął. Upłynęły przeszło dwa lata i nic się nie zmieniło. Kilkakrotnie zsiadał z konia, zaglądał do warsztatów, sklepików, stróżówek, wypytywał ludzi, rozmawiał z robotnikami, rzemieślnikami, szwaczkami. W ich głosach wyczuwało się unizoność. A także wściekłość. Ale zgęszczoną, tłumioną. Jakby brakowało im tchu. Przypominał sobie słowa Jeana Laffite'a. Zanurzenie się w ten świat zachęca do buntu lub do egoizmu. Ot i wszystko. Z bezbrzeżnej

rozpaczcy tego nowego proletariatu brały się gwałtowne bunty. Począwszy od rewolty lyońskich tkaczy w 1831 roku, plamiły one krwią panowanie Ludwika Filipa. W 1832 roku doszło do wydarzeń na ulicy Transnonain, a potem do zamachu Fieschiego. Nie było temu końca.

Spotykając się z różnymi ludźmi, Mariusz zauważył, że wiele razy pada nazwisko Guizota. Nazwisko znieważane, przeklinane, mieszane z błotem. Wielka burżuazja, wierna hasłu Guizota, mocno dzierżyła władzę, nie pomijając niczego, by wzbogacić się, nie zważając na sytuację klasy robotniczej skazanej na nędzę. Na pytanie Mariusza, ile trwa dzień pracy, odpowiedziano mu: od trzynastu do szesnastu godzin. Średnia płaca, jedna z najniższych w historii Francji, pozwalała osobie samotnej zapewnić sobie akurat to, co najniezbędniejsze. Małżonkowie mogli przeżyć, jedynie jeśli oboje pracowali. Dzieci wysyłano do fabryk lub warsztatów od ósmego roku życia. Nic się nie zmieniło.

Gdy Mariusz wsiadał na konia, przyszły mu na pamięć słowa Goethego: „Światła! Więcej światła!”.

W tej ubogiej dzielnicy jedynie ptaki wznosiły się jeszcze ku światłu. Niektóre wyśpiewywały urocze tryle w ogrodach ciągnących się wzdłuż ulicy Saint-Denis. Reszta była ciemnością. Zniewagą natury.

Mariusz dojechał do lewobrzeżnego Paryża. Przy Saint-Sulpice jego uwagę zwrócił ksiądz, który na placu przed kościołem rozmawiał z mężczyzną w zapiętym po szyję surducie i głęboko nasuniętym kapeluszu. Gdy zauważyli natarczywe spojrzenie jeźdźca w mundurze, szybko cofnęli się i weszli do kościoła.

Mariusz czuł, że ogarnia go gorączka. A więc w tym mieście nękanym podejrzeniami i urazami wszystko jest spiskiem? Najdziwniejsze, że człowiek w kapeluszu kogoś mu przypominał. Ale nie potrafił powiedzieć kogo. Powodowany ciekawością zsiadł z konia i poszedł aż do placu, dokładnie tam, gdzie przed chwilą rozmawiali ksiądz i ów człowiek. W powiet-

rzu unosił się delikatny zapach pomarańczy i starej książki do nabożeństwa. Potem gdzieś się ulotnił. Mariusz, tak jak wszyscy turyści, spojrzął w górę i przypatrywał się dwóm wieżom dość się od siebie różniącym, jedną przebudował bowiem w 1749 roku Maclaurin, drugą w 1777 roku Chalgrin. O mało nie wszedł do kościoła. Ale po co miałby to robić? Chociaż Kozeta kiedyś tu przychodziła, ksiądz nie musi wiedzieć, co się z nią stało.

Wsiadł na konia i pojechał klusem na ulicę Plumet. Pełen nadziei spojrzął na zegarek. Południe. A gdyby tak cofnąć się o trzy lata?, pomyślał. Młody mężczyzna, który chciał poznać samego siebie, młoda kobieta, która cierpiała... Mariusz, który ranił, Kozeta, która była raniona... Mariusz pełen pasji, przez którą zniszczył swoich bliskich i siebie samego, bo czuł dzieciinną potrzebę podejmowania dorosłych wyborów... Jakim byłem głupcem, pomyślał jeszcze.

Przejechał koło ogrodzenia i nagle twarz mu się rozjaśniła. W domu ktoś mieszkał. Dostrzegł chyba nawet młodą kobietę w białej sukni. Ogród był znakomicie utrzymany. Czy rosły w nim czereśnie? Opuścił głowę. Tu dwa kasztanowce, ówdzie krzewy głogu. Między drzewami fruwały białe motyle. Przez gąszcz roślinności nie mógł zobaczyć ławeczki i dwóch posągów. Czy nadal tam stoją?

Dojechał do końca ulicy, zawrócił i wolno przejechał jeszcze raz. Na wysokości domu stanął w strzemionach. Rzeczywiście zobaczył młodą kobietę w białej sukni; ale była to rumiana brunetka w otoczeniu gromadki dzieci i palącego fajkę męża. Dom znalazł nabywcę.

Mariusz wypuścił uzdę z ręki i sięgnął do kieszeni. Był tam kryształ. Ale wbrew przepowiedniom Kozety nie ochronił ich miłości.

Znowu zawrócił i w chwili, gdy miał pogonić konia, usłyszał za sobą stukot kopyt. Zatrzymał się przy stojącym tilbury. Minął go jeździec z uniesionym do góry podbródkiem i wąskimi ramionami. Mariusz uśmiechnął się. Nieszczęścia chodzą pa-

rami, powiedział w duszy, myśląc o swym ostatnim spotkaniu z jeźdźcem o pustym spojrzeniu i fryzurze fircyka. Był to Henryk de la Roche-Dragon. Mariusz postanowił pojechać za nim.

*

Mógłby się założyć, że La Roche-Dragon nie daruje sobie i pojedzie do prawobrzeżnych dzielnic, by przeparadować przed fasadami Tortoniego i Cafe de Paris. Rzeczywiście udał się tam, zahaczywszy o Jockey Club. Obuty zgodnie z angielską modą, w błękitnym żakiecie, ze szpicrutą w dłoni, perorując, powierzył stajennemu konia, wspaniałego siwego wałacha, a potem usiadł przy stoliku w Cafe de Paris.

Mariusz nie chciał przepuścić tej okazji. Sprawdzi, czy można go rozpoznać. Posunął się nawet do tego, że wyciągnął z kieszeni czarny fular i zawiązał go jak przepaskę na twarzy, jakby nie miał lewego oka.

Wybrał stół w sąsiedztwie młodego dandysa. Henryk de la Roche-Dragon, na którym najwyraźniej zrobił wrażenie, udał, że go nie widzi. Czyż ukrywanie uczuć nie jest najlepszym dowodem dandyzmu? Jednak kiedy Mariusz zamówił rum, zwrócił się do niego ze słowami:

—Czy jest pan Anglikiem?

—Nie, Amerykaninem.

Tak nawiązali rozmowę.

Od tej chwili obydwaj nie przestali dzielić się wrażeniami na temat urzekającej dzielnicy, w której się znajdują. Tak się zagadali, że Mariusz, bardziej bezpośredni od swego rozmówcy, zaproponował mu, by przysiadł się do jego stolika. Młody dandys skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Henryk de la Roche-Dragon był zawsze miłym, niezbyt mądrym chłopcem, który wyobrażał sobie Bóg wie co na swój temat. Miał twarz gładką jak niemowlę, a uważał, że wkrótce doczeka się zarostu rosyjskiego muzyka. Myśl, że będzie miał

takie owłosienie ogromnie pochlebiała jego miłości własnej. Poza przysłym bujnym zarostem, mówił o swoich koniach, kobietach, pojedynkach. Jego kamizelka była sarkazmem, krawat epigramatem, strój sposobem myślenia.

— Może zjedlibyśmy razem obiad? — zaproponował.

Mariusz zgodził się. Zjedli bażanta ze słonkami i truflami a la Święte Przymierze, do którego zamówili butelkę z winnicy Vougeot.

Pod koniec posiłku Henryk de la Roche-Dragon zadał pytanie, które od dłuższej chwili miał na końcu języka:

— Czy walczył pan z Indianami?

Mariusz popatrzył na niego rozbawiony. Są dwie kategorie ludzi: ci, którzy biją się na wojnie, i ci, którzy biją się w pojedynkach.

— Niezupełnie — odpowiedział.

— A z Anglikami?

— Nigdy.

— No to z kim?

— Z piratami i Meksykanami. Właśnie wtedy straciłem oko.

— Jak admirał Nelson? To faktycznie fascynujące.

Uśmiech Mariusza zgasł. Ten młody głuptas przejął powie dzonka Amadeusza.

— A może skrzyżowalibyśmy szpady? — zaproponował Henryk de la Roche-Dragon.

— Służę panu. Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, raczej późnym popołudniem.

— Wspaniale! — ucieszył się jego rozmówca.

Wptał i uparł się, że zapłaci rachunek. Dumny ze znajomości z człowiekiem, który walczył z piratami i Meksykanami, a więc gatunkiem ludzi należącym jego zdaniem do innej epoki, przeparadował między stolikami z laską w ręku. Przechodząc, uklonił się paru osobistościom i zaprezentował wszystkim owego sławnego jednookiego człowieka przybywającego z obu Ameryk.

— To bohater, panowie, najprawdziwszy bohater!

Przy jednym ze stolików siedział akurat Eugeniusz Sue. Był to kolejny test dla Mariusza. Kiedy patrzył na tych dawnych znajomych, miał wrażenie, że przed oczami defiluje cała jego przeszłość. Eugeniusz Sue nie poznał go.

— A może dołączyłby pan do nas w sali fechtunku lorda Seymoura? — zaprosił go Henryk de la Roche-Dragon.

Eugeniusz Sue udał, że się zastanawia.

—Czekam na panów Emila de Girardin i Aleksandra Dumas. Mamy pewien wspólny projekt dotyczący prasy.

—Ba, na pewno nie będziemy tam przed piątą, szóstą po południu — rzekł Henryk de la Roche-Dragon. — Trzeba pokazać temu dżentelmenowi, jak się biją francuscy szlachcice!

—Zgoda, drogi przyjacielu. I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przyjdę z jednym z naszych starych przyjaciół. On też zaraz się tu zjawi. Podobno ma do mnie jakiś interes. To na pewno jedyny w Paryżu człowiek, który uważa mnie za lekarza, nie za literata. Muszę wyznać, że sprawia mi to wielką przyjemność.

—A o kogo chodzi?

—O markiza d'Iguerandc, drogi przyjacielu.

Kozeta otworzyła pakiet listów. Z największym trudem powstrzymywała łzy. Były to listy Mariusza. Listy z Tulonu. Wszystkie zostały przechwycone przez Burdina. Po przejrzeniu dokumentów dotyczących Amadeusza Kozeta zniszczyła część z nich, ale przyszedł jej do głowy pewien pomysł. I kiedy Amadeusz spytał, czego szukała w pokoju Burdina, powiedziała wymijająco:

— Papierów dotyczących Thénardiera... Żeby zobaczyć, czy są jakieś świadectwa uznania długów lub wiarytelności... Niczego takiego tam nie znalazłam... No, a poza tym odzyskałam moje świeczniki...

Czytając dokumenty, zapamiętała niektóre daty, przede

wszystkim rok 1809, datę bitwy pod Essling. Rok urodzin małego Amadeusza.

—Nie było tam testamentu mego ojca? — dopytywał się Amadeusz.

—Chce pan powiedzieć, pana Louis-Desire Burdin? Niczego takiego nie znalazłam. Na próżno przeszukałam cały pokój. Moim zdaniem policja też nic nie znajdzie.

—Byłoby lepiej...

Późnym popołudniem, siedząc przed kominkiem, Kozeta pisała coś na pliku luźnych kartek, podczas gdy mały Jean bawił się u jej stóp lalką zwaną wańką-wstańką. Kreśliła tekst, pisała go po raz wtóry. Na koniec mięła papier i wrzucała go do ognia.

—Co to jest? — spytał Amadeusz, który nie posunął swej ciekawości aż do tego, by czytać jej przez ramię.

—To brudnopis.

—Brudnopis czego?

— Tekstu, w którym spisuję swoje przeżycia.

Amadeusz wyszedł, o nic już nie pytając.

Tego wieczoru, nazajutrz po wyprawie do hotelu de Moussey, w kuchni odbyła się narada wojenna. Amadeusz, Roland, Ludwik i Kozeta usiedli wokół stołu. Kozeta zaproponowała pewien plan. Aby się powiódł, trzeba było wywieść w pole Thénardiera.

— Ale jak?

— Musimy wrócić na ulicę Saint-Fiacre. Znam go, nie jest człowiekiem, który wypuściłby ofiarę ze szponów. Trzeba mu zaproponować coś w rodzaju odszkodowania.

Amadeusz walnął pięścią w stół.

—Oddać mu pieniądze, których obaj z Burdinem tak požądali? Pani pieniądze? Ależ to oburzające! Ja wam powiem, jak należy postąpić! Donieść na niego na policję, i to jak najszybciej!

—Nie mamy przeciwko niemu żadnego dowodu — odparowała Kozeta.

—Żadnego dowodu? W kraju, gdzie skazuje się jakiegoś nieszczęśnika na trzy lata galery za kradzież bochenka chleba, nie można znaleźć nic przeciwko takiemu zbrodniarzowi? A pani gehenna, Kozeto?

—Wszystkiego się wyprze. Jestem zresztą pewna, że ani szynk Pod Dwoma Krasnalami, ani warsztat, ani nawet Chat--Malin nie są zapisane na jego nazwisko. To król figurantów. A jak pan wie, Pégasse i Dwadzieścia Dwa nie mogą już zeznawać.

—Co więc pani proponuje?

—Przede wszystkim pragnę odnaleźć Mariusza. Początkowo sądziłam, że nie żyje. A potem zobaczyłam go w warsztacie. Następnie myślałam, że wyjechał za granicę i może inaczej ułożył sobie życie. Ale ciągle mam w oczach, jak stoi z dzieckiem w ramionach, z małym Rafaelem, po którego przyszedł...

—Jak nazywało się to dziecko? — przerwał jej Amadeusz, zrywając się z krzesła.

—Rafael... Dlaczego?

—Nie, nic...

Kozeta przypomniała sobie nagle słowa Burdina. Promień nadziei pojawił się w jej oczach. Ale nic już nie dodała. Patrząc na Amadeusza, poczuła jego drżenie, które udzieliło się wszystkim przy stole. Siedział błydy i drżący, ze skrzyżowanymi rękami, i nie otwierał ust.

Kozeta mówiła dalej:

— Dom przy ulicy Saint-Fiacre znajduje się niewątpliwie pod nadzorem, ludzie Thénardiera muszą obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Mamy nad Thénardierem tę przewagę, że na pewno nie wie o śmierci Burdina. Jest tak chciwy, że bez wątplenia będzie chciał odzyskać swoją część łupu. Ale do tego jest mu potrzebny Burdin.

—Przecież nie żyje — przypomniał Roland.

—Więc trzeba go wskreszyć. Właśnie po to musimy wrócić

na ulicę Saint-Fiacre — powiedziała i zwróciła się do Ludwika de Vergne: — Znowu nadużyję pańskiej gościnności, Ludwiku. Czy dopóki nie załatwimy tej sprawy, może pan jeszcze przez parę dni udzielić gościny Magdalenie i Jeanowi?

— Oczywiście, Kozeto. Amadeusz wreszcie oprzytomniał:

— Co więc mamy zrobić?

— Udać, że Louis-Desire wrócił. Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy do pańskiego mieszkania.

— To ryzykowne — zauważył Amadeusz, doceniając delikatność Kozety (czyż nie mówiła o intendencie, nie o ojcu?).

— Coś, co jest pozbawione ryzyka, jest pozbawione pikanterii — odpowiedziała. — Chcę widzieć, jak Thénardier błaga mnie o przebaczenie. Tak, chcę, by został zrujnowany, zdradzony, opuszczony. Chcę, żeby nie mógł już nikomu szkodzić. Zna pan przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”? Chodzi o mój honor, Amadeuszu. Rozumie pan?

— Rozumiem.

Nieco później, w porze kolacji, kiedy Magdalena podawała do stołu, ktoś zadzwonił do drzwi. Roland pospieszył otworzyć z pałką w ręku. Za nim szedł Amadeusz. Okazało się, że to Javert.

— Kozeta jest tutaj — szepnął Amadeusz.

— Świetnie — powiedział po prostu Javert, a jego twarz nie wyrażała nic poza poczuciem spełnienia obowiązku. Odłożywszy laskę i kapelusz, spytał: — A mały?

— Spi.

W oczach Javerta zapalił się promień czułości.

— Pani de Lavelly jest w hotelu Saint-Sulpice — oznajmił, nie ruszając się z przedpokoju. Wszystko mi opowiedziała. Jeśli chodzi o rewizję procesu barona Pontmercy, jej świadek two będzie decydujące. Jutro zobaczę się z księdzem Rilletem, by opracować naszą strategię w tej kwestii. Ten zacny człowiek aż się pali, by zwrócić się w tej sprawie do swych wpływowych znajomych, przede wszystkim do prefekta Gisquet. Zaraz po

tym pójdę do szpitala Salpetriere, by odszukać jeszcze jednego świadka.

Amadeusz pokiwał głową, a potem cicho opowiedział pokrótce Javertowi, jak odnalazł Kozetę.

—Burdin i Gérard przypłacili to życiem — zakończył, nie wdając się w szczegóły.

—Teraz kolej na Thénardiera — rzekł Javert.

W tym momencie do westybulu weszła Kozeta. Usłyszała głos, który rozpoznałaby wśród tysiąca innych. W powietrzu unosił się zapach pomarańczy i starej książki do nabożeństwa.

Padła w ramiona człowieka, któremu miała tyle do zawdzięczenia.

—Och! Panie Verjat — powiedziała, kładąc mu głowę na ramieniu — gdyby pan wiedział, panie Verjat...

—Wiem, moje dziecko, wiem.

Wziął twarz Kozety w swe wielkie ręce i wpatrywał się w nią dłuższą chwilę.

—Nie zmieniła się pani — szepnął.

—Owszem, moje włosy...

—Jest pani nadal równie czarująca. A w tym męskim ubraniu wygląda pani wspaniale.

Kozeta też przypatrywała się Javertowi.

—Zgolił pan brodę...

—Powiedzmy, że powróciłem do moich dawnych zwyczajów...

Poszli razem do jadalni. Javert przywitał się z Ludwikiem de Vergne, potem z Magdaleną, która nie mogła powstrzymać łez wzruszenia.

Wówczas Javert pochylił się do Kozety i zapytał nieśmiało:

— Mogę go zobaczyć?

Zaprowadzono go do pokoju, który zajmowały obie kobiety i mały Jean. Dziecko spało spokojnie. Javert podszedł i leciutko dotknął rączki wystającej spod kołdry. Włożył duży palec w zagłębienie małej dłoni, która się na nim zacisnęła.

—Poznaję mnie — powiedział szeptem Javert do Kozety.
—Jakże mógłby nie poznać swego wybawcy? — odpowiedziała, ujmując rękę tego szorstkiego wyprostowanego mężczyzny, którego oczy chyba nieco zwilgotniały.

Potem wrócili do dużego salonu. Mimo że na zewnątrz było dość ciepło w palenisku kominka trzeszczało parę polan. Wszyscy usiedli wokół ognia.

Kozeta wprowadziła Javerta w swoje plany. Były policjant spojrział badawczo na Rolanda, Ludwika i Amadeusza. Pomysł wydawał mu się bardzo ryzykowny, ale determinacja Kozety była tak wielka, że nie oponował.

—Zobaczymy — rzekł z wyrazem powagi na twarzy.

—Pójdzie pan z nami? — zwrócił się Ludwik do Verjata nieco zaniepokojony.

—Oczywiście.

—Co za pytanie! — zawołał Amadeusz, opierając się o fotel.

— Myślę nawet, że pan Javert nas wyprzedził! — Jednocześnie spojrzął z ukosa na Ludwika i Rolanda, dając im znak, że czas zostawić Kozetę i Javerta samych. — Jutro będziemy mieli pełne ręce roboty. Dobrze przespana noc nam nie zaszkodzi!

Wstając, przypomniał Ludwikowi, że ma się skontaktować z Eugeniuszem Sue i poprosić, by nazajutrz po południu spotkał się z nimi w Cafe de Paris.

— Już to zrobiłem — odpowiedział tamten.

*

Gdy wyszli, Kozeta przysunęła swój fotel do fotela Javerta.

— Czy sądzi pan, że Mariusz wróci?

—Jestem tego pewny.

Westchnęła przeciągle.

—Pański optymizm dobrze na mnie działa.

—Nie zawsze tak było.

—Proszę nie udawać większego pesymisty, niż pan jest —

odpowiedziała Kozeta, biorąc Javerta za ręką. — Gdyby nie pan, nie byłoby mnie tutaj. I Jeana także.

Javert zapatrzył się w dal. Jakże miło było czuć tę młodą rękę na swojej.

—Z Thénardierem i jego zbirami niełatwo będzie się uporać

— rzekł. — Czy chce pani, abym jutro poszedł z wami?

—Nie, panie Verjat. Bardziej będzie nam potrzebna pańska obecność przy księdzu Rillet.

Javert potrząsnął smutno głową. Odnosił wrażenie, że woła, by się trzymał na uboczu, gdyż uważają, iż nie sprosta już zadaniu.

—Naprawdę? — spytał z naciskiem.

—Naprawdę, panie Verjat. Z Thénardierem mam stare porachunki. Muszę je załatwić sama.

Oczy Javerta przybrały w mroku ten stopień przenikliwości, jaki w pierwszym momencie nadają silne emocje, a który później słabnie, bo trwał za długo. Bał się o Kozetę, ale był z niej dumny. Miała odwagę swego ojca, jego skromność i godność.

— Niech się pani nigdy nie zmieni, Kozeto — podjął Javert po chwili. — Zrozumiała pani, że społeczeństwo powoli nas zabija. Trzeba mieć serce. Jestem starym człowiekiem i wy znając, że przez pewną część życia usiłowałem przemówić do rozsądku ludziom, którzy ośmielili się powiedzieć nie albo którzy nie zadowalali się letnimi uczuciami. Myliłem się. Poza tym robiłem to bezdusznie jak automat. Po jednej stronie było dobro, po drugiej zło. A poza tym nie było nic. Pani młodość jest piękna. Niech pani zachowa ją nietkniętą.

Westchnął ciężko i wstał.

—Dokąd się pan wybiera? — dopytywała Kozeta.

—Do księdza Rilleta. Nie chcę tu zostać. Chroniąc pani dziecko, przebywając z nim, zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, czego nie mam. Przez długi czas myślałem, że normalne życie i posiadanie dzieci to prawie to samo, co tworzenie losów zmarłych. To moje pesymistyczne spojrzenie na świat, jak to pani ujęła. Jednak czepianie się czegoś, co do mnie nie należy,

byłoby oszustwem. Zdarzało mi się myśleć, że ten mały jest moim dzieckiem. Ale tak nie jest. Nie mam prawa skarżyć się, sam wybrałem swój los. Jakkolwiek...

Przerwał, jakby już nie chciał krytykować samego siebie. Kozeta odprowadziła go do przedpokoju, powstrzymując łzy. Nie możemy nic poradzić na niedole innych. Javert włożył kapelusz i zapiął pod szyję swój szary surdut.

— Pomoże nam pan, panie Verjat? — spytała Kozeta ze ściśniętym sercem.

Javert ujął jej dłoń i czule ją ucałował.

—Javert pani pomoże, Kozeto.

—Dlaczego Javert?

—Niebawem już się pani dowie.

*

Wysiedli z dorożki i natychmiast ją odprawili. Pierwszy szedł Amadeusz w obszernej czarnej pelerynie i wciśniętym na oczy kapeluszu: dzięki umocowanej na plecach poduszce wyglądał na garbusa. Kozeta dokleiła sobie sztuczne wąsy i włożyła surdut i kapelusz Amadeusza. Pochód zamykał Roland. Wyglądali jak spiskowcy. Wszyscy troje wślizgnęli się do budynku przy ulicy Saint-Fiacre i weszli do mieszkania na piętrze. Potem już się stamtąd nie ruszali. Amadeusz zauważył, że znikła część mebli.

— U pani jest pewno tak samo — powiedział do Kozety. — Mój... mój intendent był doprawdy podłym człowiekiem. Zwróć pani koszty.

Po południu ktoś zadzwonił do drzwi. Roland poszedł otworzyć.

—Mam wiadomość dla pana Burdina! — oznajmił nosowym głosem jakiś karzeł, trzymając w ręku list.

—Jest zajęty ze swoim panem, markizem d'Iguerande.

—To pilne — nalegał karzeł. — Muszę dostać odpowiedź.

—Zaczekaj chwilę.

Roland wziął list i zaniósł go Amadeuszowi, który czekał w sąsiednim pokoju. Amadeusz otworzył go i przeczytał wspólnie z Kozetą. Thénardier proponował Burdinowi spotkanie w następnym tygodniu.

„Czy odpowiada ci pierwszy lipca o szóstej po południu? — przeczytali. — Załatwimy wszystkie drobne sprawy. Przyjdź z tym, co mi jesteś winien, a ja oddam ci to, na co straciłeś już nadzieję. Liczę na ciebie”.

— Co odda? — zwróciła Amadeuszowi uwagę Kozeta. — Rzeczywiście jest mistrzem szantażu. W każdym razie może na nas liczyć. Będziemy mieli dość czasu, by się zorganizować. Zawiadomimy także Szkapę.

— Javert zna adres Thénardiera — dodał Amadeusz.

Dał Rolandowi znak, że się zgadza, a ten natychmiast wrócił do drzwi wejściowych.

— Pan Burdin przyjdzie — powiedział, zwracając się do karła.

Gnom machnął mu na pożegnanie ręką, popędził po schodach i zniknął.

*

Nazajutrz był dwudziesty piąty czerwca. Dzień, kiedy Mariusz spostrzegł Javerta i księdza Rilleta na placyku przed Saint-Sulpice i gdy śledził Henryka de la Roche-Dragon, a potem nawiązał z nim rozmowę.

W porze obiadowej Amadeusz szykował się do wyjścia ucharakteryzowany na garbusa. Wiedział, że dopóki Thénardier nie dostanie pieniędzy, nic mu nie zrobi. Na wszelki wypadek pod płaszczem ukrył szablę od pułkownika de Saint-Auchans i dwa nabite pistolety. Kiedy zobaczył, że Kozeta też zamierza wyjść, zaczął głośno protestować.

— Ja także muszę załatwić pewną sprawę — powiedziała, sprawdzając, czy ma równo przyklejone wąsy. Roland pójdzie ze mną. A tam, dokąd idę, mogę się niczego nie bać.

—Nie podoba mi się to, Kozeto.

—A czy pan niczego nie ryzykuje, udając się do Cafe de Paris i paradując przed swymi dawnymi przyjaciółmi?

—Nie idę tam po to, by paradować, ale by spotkać się z Eugeniuszem i poprosić go o pomoc. Zna Clan Destin. Poza tym władza równie dobrze szabłą jak skalpelem. — I kłaniając się przesadnie, rzucił ostro: — Dokąd pani idzie, pani baronowo?

—Na lewy brzeg — odpowiedziała Kozeta z uśmiechem.

—Czy zgodzi się pani, bym jej towarzyszył?

—Chętnie.

Zeszli we trójkę na ulicę i wsiedli do czekającej na nich dorożki. Karzeł, ukryty za stertą śmieci, patrzył, jak odjeżdżają. Zda ze wszystkiego raport Wilczarzowi.

Kwadrans później dorożka wysadziła Kozetę i Rolanda na nabrzeżu Malaauais.

—Zachowajmy pogodę ducha — powiedział Amadeusz do Kozety,

—Niech Bóg pana prowadzi, markizie!

Tupet to kwestia punktu widzenia. Niestety na tym świecie każdy ma swój własny punkt widzenia, który nie pozwala mu dostrzec punktu widzenia innych. Tupet Kozety wynikał bardziej z jej zdecydowania, by zrobić coś dobrego, aniżeli z chęci, by wszystko zniszczyć.

Zostawiwszy Rolanda na dole domu pod numerem dziewiętnastym przy nabrzeżu Malaauais, udała się więc do kobiety, która już raz podała jej rękę. Prosząc ją znów o pomoc, wiedziała, że może być pewna jej dyskrecji. W kieszeni miała brudnopis, który tak zaintrygował Amadeusza.

Gdy znalazła się na trzecim piętrze, odkleiła wąsy i zadzwoniła do drzwi George Sand.

Po długim i trudnym procesie George Sand rozwiodła się z mężem, baronem Casimirem Dudevant. Była to ciężka próba dla pani na Nohant. Baron nie wahał się przedstawić żony jako kobiety lekkich obyczajów.

—Kto tam? — spytał kobiecy głos.

—Eufrozyna.

—Jaka Eufrozyna?

Kozeta usłyszała ciche kroki. Potem drzwi otworzyły się i ukazała się blada i wystraszona George Sand.

—Może przeszkadzam? — spytała Kozeta.

—Skądże, moja droga. Ale ponieważ mam pewne kłopoty z mężem, bałam się, że to ktoś niepożądany, kto przychodzi zając moje meble. Powiem szczerze, że nie ma mnie dla nikogo. Poza panią, oczywiście. Niech pani wejdzie, bardzo proszę.

Kozeta usłyszała szmer ściszonych głosów.

— Wpadli na chwilę moi przyjaciele — powiedziała George Sand. — Wypijemy po kieliszku szampana i zaraz się rozejdziemy. Ja pojedę do La Chatre, a oni udadzą się do swoich zajęć. Co panią tu sprowadza?

Kozeta podniosła dumnie głowę.

—Znów muszę prosić panią o pomoc. Krótko mówiąc, chodzi o sfalszowanie listu.

—Sfalszowanie? Listu, powiada pani?

—Tak jest. Aby pomóc przyjacielowi.

—Czy to długi list?

—Nie, bardzo krótki. Coś w rodzaju testamentu.

—Ależ to szalenie zabawne! — zawołała George Sand, trzymając pod ramię Kozetę.

—Pomyślałam o pani — ciągnęła Kozeta, bo wspaniale włada pani francuskim, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Chciałabym, aby ten list był dobrze sformułowany.

—I będzie, moja droga! Tym bardziej że jest tu kilku moich bliskich przyjaciół, którzy mają świetne pióro. Ale najpierw proszę powiedzieć, jak daje pani sobie radę?

—Średnio.

—Widzę, że nadal nie jest pani rozmowna. Ciągłe ci mężczyźni, jak sadzę? Ba, nie musi mi pani nic mówić. To gatunek, którego mam, za przeproszeniem, powyżej uszu. A teraz proszę za mną, przedstawię panią moim przyjaciółkom.

W salonie o ścianach pokrytych boazerią, pachnącym cygarami i woskiem, Kozeta zobaczyła trzech mężczyzn rozpartych na poduszkach olbrzymiego tapczanu. Był tam piękny Karol Didier, który publikował wiersze w „Revue des Deux Mondes”, Emanuel Arago, syn uczonego, żarliwy młodzieniec pełen republikańskich ideałów, i Aleksander Dumas w osobie własnej, znany z pięknego pisma, autor cieszących się powodzeniem sztuk, którego Kozeta spotkała kiedyś, gdy była w teatrze z Mariuszem.

—Panowie — powiedziała George Sand, przedstawivszy im Kozetę — musimy wziąć się do roboty, by oddać przysługę tej młodej damie. Ale nazwiska, które za chwile poznacie, będziecie musieli zachować w najgłębszej tajemnicy. Liczę na waszą dyskrecję.

—Ma pani nasze słowo! — zakrzyknął Dumas z właściwym mu entuzjazmem. — Czegóż to nie zrobilibyśmy dla tej pięknej amazonki?

Kozeta usiadła w fotelu, wyjęła z kieszeni list i przeczytała przygotowany przez siebie tekst, w którym starała się zamknąć wszystko, co niezbędne.

— Markiz d'Iguerande? — odezwał się Karol, który dla przypodobania się George Sand, był gotów zrobić wszystko. — Oto nazwisko, które świetnie brzmi i które mnie inspiruje!

Każdy z obecnych wziął pióro i zredagował tekst zgodnie z życzeniem Kozety. Po przeczytaniu trzech wersji George Sand zaproponowała, by połączyć je w jedną całość. Po nanieśieniu poprawek podała nową wersję Aleksandrowi Dumas.

— Drogi Aleksandrze, proszę jednak chociaż raz nie zapomnieć o znakach przestankowych!

Aby nadać dokumentowi cechy większej autentyczności, Arago zaproponował, by zmiąć go, pobrudzić i opalić nad świecą.

— Doskonały pomysł — przyznał Karol Didier. — I dodajmy, że owemu panu d'Iguerande towarzyszyła na wojnie żona. Za czasów cesarstwa była to rzecz normalna.

Godzinę później Kozeta przeczytała list. Uznała, że jest prawdziwszy od prawdziwego. Pierwsza część jej planu została wykonana.

*

Zanim Mariusz stanął w szranki z Henrykiem de la Roche-Dragon, poszedł do oberży Pod Czerwoną Podkową po Rafaela i Kochasia. Był w stanie skrajnego podniecenia. Perspektywa ujżenia Amadeusza wprawiła go w trans. Sam nie wiedział, jak się zachowa.

O wpół do czwartej spacerował po bulwarze des Italiens. Wszyscy trzej przyjechali tu dorożką. Tylko dzięki Kochasiowi, który siedział na koźle obok woźnicy, nie potracili jakiegoś nieostrożnego czarno odzianego przechodnia.

— Co za dureń! — skomentował siłacz, ściągając lejce. — Jeszcze trochę i...

Na rogu ulicy Taitbout i bulwaru Mariusz poczuł mrowienie w rękach i nogach. Przed oczyma stanęła mu cała jego przeszłość dandysa. Pałacyk lorda Seymoura nadal tak samo lśnił od światła.

Wszedł do środka, a za nim Rafael i Kochaś. Henryk de la Roche-Dragon już na nich czekał.

— Co za punktualność, panie Amerykaninie! — zawołał, górnolotny jak zawsze.

Rafael i Kochaś zachwycili się dwoma srebrnymi łabędziami w obramowaniu kolumn i kotar z jasnoniebieskiej satyny z białą podszewką, które zdobiły wejście. Nic się tu nie zmieniło.

Na piętrze Mariusz poznał trzy wielkie sale fechtunku z przyległymi pokojami kąpielowymi. Nikogo nie było. Henryk de la Roche-Dragon włożył plastron, rękawice i mankiety. Potem wsunął pod ramię maskę:

— *Captain Smith. I am waiting for you* — powiedział z ustami w ciup.

Mariusz uśmiechnął się i podał swoją szablę Kochasiowi. Oczywiście zachował opaskę na oku i mundur. Nie miał plastrona ani mankietów. Tylko rękawice i maskę.

Floret nie był jego ulubioną bronią, ale po walkach, jakie stoczył, nie stanowił dla niego żadnego problemu. Poza tym jego sposób fechtowania nie był zbyt regulaminowy, ale diabło skuteczny. La Roche-Dragon przekonał się o tym na własnej skórze. Mimo że bił się z wielkim zapałem, nie zwyciężył w żadnym starciu. Na próżno kręcił młynki, robił wypady, obracał się jak baletnica: ciągle trafiał w powietrze. Przegrał trzy razy.

— Jest pan lepszy ode mnie — zauważył, zdejmując maskę.

Mariusz przypomniał sobie, że przed dwoma laty w tym samym miejscu i w tych samych okolicznościach powiedział to samo do Amadeusza.

— A ode mnie? — odezwał się jakiś głos.

Mariusz odwrócił się, nic zdejmując maski. Trudno mu było poznać Amadeusza w czarnym, staromodnym stroju, który wcale do niego nie pasował. Jeszcze raz powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem:

— Chce pan spróbować?

Amadeusz, któremu towarzyszył Eugeniusz Sue, nie zauważył Rafaela i Kochasia, siedzących w głębi sali. Kiedy wreszcie jego spojrzenie padło na siłacza, zadrżał. Podbiegł i wyciągnął do niego rękę:

— Ogromnie mi przykro, proszę pana. Dzisiaj po południu na bulwarze des Italiens uratował mi pan życie, a ja nawet nie zatrzymałem się, by mu podziękować. Co mogę zrobić, by mi pan wybaczył?

Mariusz postąpił krok do przodu.

— Skrzyżować broń ze mną! — zawołał, sprawdzając giętkość swego floretu.

— Proszę bardzo — powiedział Amadeusz nieco poirytowany skwapliwością tego amerykańskiego prostaka, który na-

wet nie raczył odsłonić twarzy, i zwrócił się do Kochasia: — Proszę żądać ode mnie, czego pan zechce...

— Niczego nie chcę — uciął Kochoś, rozpoznając w Amadeuszu nieostroznego przechodnia, którego przed chwilą o mało nie przejechali.

— Może mógłbym zrobić jakiś prezent pańskiemu synowi?

— Rafael nie jest moim synem.

Amadeusz poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ten chłopczyk był w wieku jego syna. Spojrzał na Kochasia, który z nagłym zażenowaniem przypomniał sobie lanie, jakie mu spuścił w Clan Destin ten młody zwinny i pewny siebie człowiek. Wszystko to zdarzyło się tak dawno. A jednak wydawało się, że teraźniejszość wymazuje przeszłość swą niewidzialną, a zarazem złowróżbną ręką. Nie można uciec przed swym losem, pomyślał Kochoś.

Amadeusz delikatnie ujął dziecko pod brodę. Rafael podniósł twarz i zmarszczył brwi. Amadeusz wpatrywał się w niego bez słowa. Miał mnóstwo wad, ale pamięć mu dopisywała. To dziecko to chyba ów malec, którego potrącili z Mariuszem, jadąc kiedyś wieczorem do Clan Destin. Był tego prawie pewien. Tym bardziej się skonfundował.

Zwrócił się do Mariusza:

— A więc chce się pan bić? Ameryka przeciwko Francji, jeśli dobrze rozumiem'?

Idąc w kierunku Mariusza, wziął floret, który podał mu La Roche-Dragon.

— A plastron? — spytał La Roche-Dragon.

— Nie jest mi potrzebny.

— Niech mi pan przynajmniej odda swoją szablę.

— Gdzie moja głowa?

Amadeusz oddał szablę, a potem, nie zdejmując surduta i sztucznego garbu, włożył maskę.

— Kapitan Howard Smith! — ryknął wówczas Mariusz, robiąc parę wypadów.

—A ja nazywam się Amadeusz! — odpowiedział markiz drwiącym tonem, nie wymieniając swego tytułu.

—Markiz d'Iguerande! — oznajmił, zwracając się do Mariusza, La Roche-Dragon dbały o zachowanie konwenansów, nieco zdziwiony trywialnością człowieka, którego niegdyś podziwiał i którego nieoczekiwana i długa nieobecność zaskoczyła go.

Eugeniusz Sue z obojętną miną śledził przebieg potyczki. Myślał przede wszystkim o dziesięciotomowej *Historii marynarki*, którą właśnie kończył, i o interesującej propozycji Emila de Girardin; chciał on kupić całość jego dzieła, by opublikować je w swej nowej gazecie „La Presse”, z którą mieli współpracować Balzak i Dumas.

Po zwyczajowym ukłonie młodzi ludzie rozpoczęli walkę. Mariusz strzegł się niskiej gardy Amadeusza. I słusznie. Odskok do tyłu pozwolił mu uniknąć wściekłego natarcia. Szybko wymierzył prawe cięcie. Równie szybka była parada i riposta. Zaczęła się niezwykle zacięta walka. Ostrza szczękały o siebie niczym padający grad. Nagle Amadeusz zrobił młynek i wypad. Mariusz nawet nie poczuł, jak ostrze Amadeusza dotknęło jego karku i ramienia. Broń zgięła się trafiwszy na pierś Mariusza.

— Jest pan martwy — powiedział tonem, który niegdyś fascynował Mariusza.

Ale Mariusz nie ulegał już fascynacji. Patrzył, jak jego przeciwnik prostuje się i zdejmuje maskę. Opuściła go wszelka myśl o zemście. Był zwycięzcą, to mu wystarczało. Ale niepotrzebnie zauważył:

—Gdybyśmy się bili na szable, to już leżałby pan martwy.

—Mam nadzieję, że pan żartuje? — odparował Amadeusz, patrząc znacząco na Eugeniusza Sue i Henryka de la Roche--Dragon.

—Ależ skąd. Na szable, powtarzam, to pan byłby martwy.

—Więc bijmy się naprawdę — krzyknął poirytowany Amadeusz. — Ci panowie będą moimi świadkami! Wpakuję panu do gardła pańską arogancję, panie Amerykaninie!

—Kapitanie Howardzie Smith! — powtórzył Mariusz lodowatym tonem.

—Kapitanie... co pan tylko chce! — zaśmiał się Amadeusz.
— A żeby spłacić mój dług — rzekł, skłoniwszy się Kochasiowi — oszczędzę pańskie życie!

Mimo protestów przyjaciół nie ustąpił. Miał nadzieję, że da nauczkę temu zarozumiałemu Amerykaninowi.

—Ani to moment, ani miejsce — usiłował przemówić mu do rozsądku Eugeniusz Sue. — Nie zapominaj o swoich obowiązkach. Przede wszystkim nie wywołuj tutaj skandalu, będą mieli do ciebie pretensję. Poza tym kapitan Smith mówi prawdę. Na szable trafiłby cię pierwszy.

—Zaraz się o tym przekonamy! — wrzasnęła Amadeusz głosem, który zabrzmiał fałszywie.

Chwyił szablę od pułkownika de Saint-Auchans i dodał:

— Bijemy się bez masek, panie Amerykanińcio!

Mariusz wolnym ruchem zdjął maskę. Ponieważ znajdował się w pewnej odległości, Amadeusz wpatrywał się w niego natarczywie. Czy to możliwe, by ten człowiek z wąsami, długimi włosami, jednym okiem i amerykańskim akcentem był rzeczywiście Mariuszem Pontmercy? O mało się nie wycofał.

Ale Mariusz niecierpliwił się.

— Czekam — oświadczył, przesuając palcem po zakrzywionej klinkdze swojej szabli.

Chociaż przyrzekł Amadeuszowi, że kiedyś to on go pokona, uważał ten pojedynek za absurdalny. Dlaczego? Bo Amadeusz chyba nawet go nie poznał. A odkąd Mariusz zaczął podejrzewać, że Kozeta jest więziona w warsztacie Kocięgo Króla, doszedł do wniosku, że Amadeusz nie jest tak bardzo winien.

Wszyscy mieli nadzieję, że dojdzie do ugody: na próżno. Przeciwnicy zajęli pozycje. Ale tym razem broń była groźna.

— Przybierzcie postawę szermierczą, panowie!

Szabla to nie floret. Mariusz nauczył się nią władać dzięki adiutantowi Lastrade'owi. To, co jest nacieraniem i pchnięciem,

tu staje się gwałtownym atakiem. Szablą tnie się i siecze. Parady robi się w tercjach, kwartach i kwintach. Jest to broń par excellence wojenna.

Kilkakrotnie, acz bez wielkiego przekonania, Amadeusz próbował manszety. Młynki Mariusza zbijały go z pantalątku. Jeśli to on, nareszcie odpokutuję za swoje winy, myślał. Ale jeśli to nie on?

Klingi parę razy zadźwięczały przy wymianie ciosów. Ostrze mocno uderzało o ostrze. Kiedy jeden z walczących postępował do przodu, drugi się cofał. Potem, tak jak poprzednio podczas walki na florety, Amadeusz skoczył do przodu, wywinął szybkiego młynka i zrobił głęboki wypad.

Obecni usłyszeli tylko gwizd ostrza przecinającego powietrze. Pchnięcie adiutanta Lastrade'a było nie do odparcia.

Amadeusz upadł na bok, czując straszliwe pieczenie u dołu szyi i nad łopatką. Z rany trysnął strumień krwi. Chwyciły go drgawki.

Natychmiast podbiegli Eugeniusz Sue i La Roche-Dragon.

— Krwotok może się okazać fatalny w skutkach — orzekł Eugeniusz Sue, pochylony nad rannym. — Jeśli nie założę mu się opaski uciskowej, umrze.

La Roche-Dragon zrzucił wierzchnie ubranie i podarł swą koszulę. Z jej kawałków Eugeniusz Sue zrobił opaskę uciskową i zabandażował ranę. Teraz należało Amadeusza jak najszybciej operować.

— Na dole stoi dorożka — powiedział Mariusz, wychylając się przez okno.

Podłoga była zalana krwią. Amadeusz nadal był przytomny. Nadbiegła przerażona obsługa sali fechtunku i położyła na noszach rannego, który kazał wezwać swego przeciwnika.

— Twój czas jest policzony! — ponaglał go Eugeniusz Sue.

— Tylko sekundę — wybełkotał Amadeusz... — Zostawcie nas samych...

Mariusz zbliżył się do rannego, pozostali odeszli. Amadeusz, cały we krwi, usiłował się uśmiechnąć. Dał zwycięzcy znak, by się jak najniżej nad nim pochylił.

— Stało się, jak przepowiedziałeś, Mariuszu... W końcu mnie pokonałeś...

. Mariusz pobladł nagle, ujął jego twarz w obie ręce i spytał z naciskiem:

— Dlaczego nic nie powiedziałeś? Co chciałeś udowodnić? Gdzie jest Kozeta?

W dłoniach trzymał już tylko twarz pozbawioną życia. Amadeusz zemdłał.

Późnym popołudniem Mariusz przechadzał się po ciemnych alejach Tuileries. Czuł potrzebę oderwania się od wszystkiego. Ogród stworzony przez Le Nôtre'a, pełen kasztanowców i lip, kwietników, krzewów i małych basenów, ciągnął się aż do tarasu Feuillantów i alei des Orangers.

— Co ci powiedział? — spytał Kochaś, który cały czas chciał mu zadać to pytanie.

— Nic... Jakieś niezborne zdania... Nic z tego nie rozumiałem.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że Amadeusz poznał go i dobrowolnie narażał się na śmierć.

— Jesteś pewien? — nalegał Kochaś.

— Ten pan był bardzo miły — wtrącił się Rafael.

Mariusz zamknął się w sobie jak ostryga. Z ofiary zmienił się w winowajcę. Czuł się zdruzgotany.

Koło szóstej po południu spojrzął na zegarek. Za niecałe dwie godziny miał być w Chat-Malin. Rozejrzył się dokoła. Wokół Tuileries kłębił się tłum. Ludzie biegali, klaskali, mówili, że z pałacu zaraz wyjedzie król.

— Chodź — powiedział do Rafaela — zobaczysz króla.

Przepchnęli się z Kochasiem i Rafaelem do pierwszego rzędu. Siłacz wsadził sobie Rafaela na ramiona. Przed Mariuszem stał wysoki mężczyzna z wielką łaską. I kiedy Ludwik Filip i Madame Adelajda, królewska siostra i doradczyni, wyjechali

z pałacu powozem, ów młody człowiek rzucił się w ich kierunku. W tym momencie Mariusz właśnie pokazywał Rafaelowi pojazd.

— Popatrz, to król.

Wtem rozległa się detonacja. Strzał padł z tak bliska, że królewski pojazd nappełnił się dymem. Niektórzy z obecnych zapewniali już, że kule drasnęły głowę monarchy. Ale podobno nikt nie został ranny.

Po chwili konsternacji nastąpił zamęt. Zobaczono, że młody człowiek cofa się i ucieka. Usiłował utorować sobie drogę przez tłum, wymachując swoją wielką laską. Mariusz, który bał się, by nie zrobił czegoś Rafaelowi, chwycił go w pasie i powalił na ziemię.

— To on, to on! — zaczęli krzyczeć ludzie.

Na młodego człowieka rzucili się policjanci w cywilu i oficerowie gwardii królewskiej. Podniesiono go brutalnie z ziemi. Żołnierze gratulowali Mariuszowi, który był tak oszołomiony, że nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się stało. Młody człowiek patrzył mu w twarz. Żołnierze skonfiskowali jego laskę-karabin i szarpali go na wszystkie strony. Pozwalał im na to bez słowa. Potem zaczął nagle krzyczeć:

— Nazywam się Ludwik Alibaud, jestem byłym podoficerem i mam honor przyznać, że chciałem zabić tyrana!

Na miejsce zdarzenia przyszedł pułkownik gwardii, który uprzednio zamienił parę słów z królem, i spytał Mariusza o nazwisko.

—Kapitan Howard Smith z marynarki amerykańskiej.

—Jest pan dzielnym człowiekiem. Król polecił mi powiedzieć, że jutro o godzinie drugiej przyjmie pana osobiście w swoim prywatnym gabinecie. — Zsalutował i zwrócił się do więźnia: — Gdzie pańscy współnicy?

—Na czele spisku stoi moja głowa, moimi współnikami są moje ręce! — odpowiedział dumnie Ludwik Alibaud.

—Jak dawno powziął pan swój przestępczy zamiar?

—Gdy król wprowadził w Paryżu stan oblężenia — od-

parował młody człowiek. — Od kiedy chce rządzić zamiast panować. Od kiedy kazał zmasakrować obywateli na ulicach Lyonu i w klasztorze Saint-Merri. Jego panowanie jest panowaniem krwawym. Panowaniem nikczemnym.

— Wyjaśni pan to sędziom — powiedział pułkownik surowo, następnie wydał żołnierzom rozkaz, by zabrali więźnia, i przypomniał Mariuszowi o królewskim zaproszeniu: — O drugiej, kapitanie Smith! Proszę być punktualnie!

Mariusz pokiwał głową i patrzył za oddziałem wojska oddalającym się z młodym człowiekiem. Mógł być nim on. Ale przez zbieg okoliczności przyczynił się do zatrzymania królobójcy. On, anarchista. On, były republikanin.

Dwa tygodnie później, gdy dowiedział się, że Ludwika Alibaud skazano na karę śmierci, poczuł wyrzuty sumienia. Młody człowiek postawiony przed paryskim sądem musiał pewnym krokiem wejść na szafot i krzyknąć:

„Umieram za wolność, za dobro ludzkości, za położenie kresu nikczemnej monarchii!”.

Mariusz opuścił głowę. Było to za wiele jak na jeden dzień.

— Nic nie zawiniłeś — starał się go pocieszyć Kochaś. — To nie przez ciebie...

Mariusz uszczypnął w policzek Rafaela.

— Nigdy nie wolno mówić, że to nie nasza wina... Zdawało mi się, że ten człowiek chce zrobić coś złego małemu...

*

Mariusz stawiał się punktualnie na spotkanie w Chat-Malin. Wilczarz także. Przyniósł dokumenty dotyczące sprzedaży oberży.

— Jeśli pan chce, możemy je przejrzeć. W każdym razie wszystko zostanie załatwione u notariusza.

Dodał, że wspomniany notariusz nazywa się Jondret i jest biegły w transakcjach tego rodzaju. Jak wiadomo, Thénardier przedstawił się Amadeuszowi pod nazwiskiem Jondret, by

donieść mu, że jego intendent robi różne interesy za plecami swego chlebodawcy. Mariusz uśmiechnął się lekko: właśnie pod nazwiskiem Jondret poznał Thénardiera w domu Gorbeau. Sprzedaż była fałszywa, papiery były fałszywe, notariusz był fałszywy. Krótko mówiąc, wszystko było fałszywe.

— Pozwoli pan?

Wilczarz otworzył drzwi do Chat-Malin i przepuścił Mariusza. Gdy ten wszedł do obojczy, w twarz buchnęło mu cuchnące powietrze. We wnętrzu roznosił się jakiś przykry, natrętny zapach. Było ciemno i panował straszny bałagan. Wilczarz zapalił dwie świece. Jedną podał Mariuszowi, drugą zachował dla siebie. Rozglądając się po tym miejscu, które pośrednio przyczyniło się do jego zguby, Mariusz poczuł żywe wzruszenie. Mimo że wnętrze zmieniło się, ponieważ umeblowanie miało teraz sztuczną wiejską patynę i było udekorowane rolniczymi narzędziami i porozwieszanymi na ścianach naręczami zbóż i gałęziami ostrokrzewu, jego układ był taki jak dawniej. Mariusz wskazał palcem zamknięte teraz wejście na piętro, na które chodził ongiś z Klemencją.

— To składzik— uciął Wilczarz. — Młynarska drabina bardzo podoba się klienteli.

Mariusz obrzucił go szybkim spojrzeniem. Ten człowiek o zakrzywionym nosie nie budził w nim cienia zaufania. Swoją świeczką oświetlił podłogę. Kamienne płyty, które zastąpiły klepisko dawnego Clan Destin, były posypane trocinami. Uprzedzając pytanie Mariusza, Wilczarz powiedział z gestem rozdrażnienia:

— Trzeba chronić posadzkę.

Mariusz pokiwał głową i nadal przechadzał się po sali. Znów zobaczył siebie, jak tam, przed kontuarem, zatacza się i tańczy z ekscytującą dziewczyną, przezywaną Miauczulą, dawną kochanką Kochasia, który wtedy o mało nie zgniółł go w swych ramionach, nieprzytomny z zazdrości. Rozdzielił ich wówczas Amadeusz, który pobił Kochasia. Później Mariusz spędził noc u Klemencji. Pamiętał również ów feralny wieczór, gdy Fryde-

ryk Rivolier, jego przyjaciel Fryderyk, którego niesłusznie podejrzewał o umizgi do Kozety, wtargnął do szynku ze swymi przyjaciółmi, by spoliczkować Amadeusza i sprowokować pojedynek. Tego wieczoru, niezdecydowany, po czyjej stronie, Mariusz zachował się beznadziejnie. Przypominając sobie teraz tę sytuację, zachwiał się lekko.

— Źle się pan czuje? — spytał Wilczarz.

— Trochę zakręciło mi się w głowie — zbył go Mariusz. — Od kiedy wybito mi oko, cierpię na bóle głowy...

Oparł się o kontuar i pochylił nieco do przodu. Przez ten czas Wilczarz przechadzał się wzdłuż i wszerz po zapleczu sali, w pobliżu drabiny pokrytej zbożem i ostrokrzewem, zachwalając urok i spokój tego miejsca.

— Co tu dużo gadać — ciągnął ze szczerością, która wcale do niego nie pasowała — cisnął się tu cały Paryż. Co wieczór mieliśmy komplet. Restauracja, która była tu przed Chat-Malin, cieszyła się świetną reputacją.

Mariusz słuchał go jednym uchem. Gdy pochylił głowę do przodu, na podłodze za kontuarem zobaczył jakiś kształt. Poświecił sobie świecą. I zamarł z przerażenia. W ciemnościach patrzyło na niego dwoje białych oczu. Trzeba było całej jego zimnej krwi, by nie cofnąć się z odrazą. Ów kształt okazał się ludzką głową. Jakby zostawioną w pośpiechu. Była do połowy owinięta w białe płótno przesiąknięte krwią.

Mariusz odchylił się raptownie. Przez myśl przebiegły mu przeróżne makabryczne podejrzenia. Czy obecny tu człowiek tak traktuje swoje ofiary?

— Jestem oczarowany tą oberzą — powiedział z wysiłkiem, znów stojąc pewnie na nogach. — Kiedy będę mógł spotkać się z właścicielem?

— W dniu podpisania umowy — odparł Wilczarz, znowu podchodząc do kontuaru. — Na dowód, że ma pan poważne zamiary, będzie pan musiał wpłacić zadatek.

— Ile?

— Trzydzieści tysięcy franków.

—*My goodness!* — zawołał Mariusz, znów z przesadnym amerykańskim akcentem. — To ogromna suma!

—Zgoda, ale nie zawiedzie się pan. Czy chce pan rzucić okiem na kuchnię?

—Nie trzeba, wierzę panu. A kiedy moglibyśmy sfinalizować transakcję?

—Właściciel polecił mi powiedzieć, że urządziłby go pierwszy lipca.

—Kto to taki?

—Pan Tardier... — rzekł Wilczarz, natychmiast plując sobie w brodę, że wymienił to nazwisko.

Mariusz nie mógł opanować nagłego wzdrygnięcia. A więc to rzeczywiście Tardier? A jeśli Kozetę spotkał ten sam los, co tego nieszczęśliwca, którego głowa leżała za kontuarem? Na tę myśl położył dłoń na rękojęści.

—Pierwszego lipca o której godzinie? — spytał, starając się głęboko oddychać.

—O dziewiątej wieczorem.

Pierwszego lipca Thénardier wyznaczył spotkanie Burdinowi. Spieszyło mu się. Chciał załatwić wszystko za jednym zamachem i zwiąć.

— Zgoda — przystał na to Mariusz.

Wspominając to, co zobaczył za kontuarem, przysiągł sobie, że każe Tardierowi stokrotnie zapłacić, jeśli Kozecie spadł chociaż jeden włos z głowy. Poglaskał pod płaszczem rewolwer i oddał świecę Wilczarzowi. Potem wyciągnął do niego rękę.

—Tym razem chętnie ją uściskę — powiedział tamten.

—Bo nie jestem już kimś nieznanym? — spytał ironicznie Mariusz.

—Bo jest pan już prawie właścicielem — odpowiedział Wilczarz z lekkim ukłonem.

—Zatem do pierwszego lipca — potwierdził Mariusz, wychodząc z oberży.

Gdy znalazł się na ulicy, odetchnął z ulgą i odszedł spiesźnie. Za tydzień trzeba będzie bardzo rozważnie rozegrać tę sprawę.

Wilczarz został w Chat-Malin. Wydawał się zamyślony. Kiedy ten amerykański gnojek wspomniał o trocinach, zrobiło mu się niedobrze. Gdyby bowiem ewentualny nabywca lepiej przyjrzał się podłodze, zobaczyłby zakrzepłą krew, ponieważ poprzedniego wieczoru, mniej więcej o tej samej porze, Wilczarz poderżnął Carignolowi gardło sierpakiem i oddał go w ręce swych wspólników. Jubilerska robota. Metodyczna i chirurgiczna. Ciało nieszczęsnego żandarma zostało pocięte i rozczłonkowane. Kolo północy każdy z akolitów Wilczarza wyszedł z szynku z pakunkiem pod pachą. Były tam, owinięte w płótno i papier, nogi, uda, łydki, ramiona, ręce i przecięty na dwoje tors policjanta. Część wrzucili do Sekwany, części pozbyli się w okolicy cmentarza Montmartre. Wnętrznosci rzucili na pożarcie beapańskim kotom i psom. Wszystko. Poza głową.

Dowiedzieli się o całej sprawie dopiero nazajutrz. Było to na ulicy de la Planche. Eugeniusz Sue oznajmił o pojedynku Ludwikowi de Vergne i Javertowi bez żadnych wstępów, gdyż ów człowiek, którego ojcem chrzestnym był książę Eugeniusz, wychował się na kozim mleku. Niektórzy bardzo się z tego nabijali. Mawiano, że od swej mamki przejął rogate maniery.

— Diabli mnie biorą! — wściekał się. — To idiotyczne! Dlaczego Amadeusz tak strasznie się upierał? I to z niemal samobójczą arogancją!... Postarałem się, by go przyjęto do szpitala Inwalidów i natychmiast operowano. Zaprzyjaźniony ze mną lekarz, chirurg wojskowy, jeszcze nie powiedział, jakie są szanse, by wyszedł z tego z życiem. Będę was o wszystkim informował.

Dodał, że szermierz, z którym bił się Amadeusz, wielki jednooki drażał, mówił z silnym amerykańskim akcentem.

— Kapitan żeglugi wielkiej... To wszystko, co wiem.

Gdy wyszedł, Javert zaniepokoił się o Kozetę. Czy już jej powiedziano?

— Muszę się udać na ulicę Saint-Fiacre — rzekł do Ludwika. — Czy ma pan czarną pelerynę i takież kapelusze?

Ludwik natychmiast dostarczył mu to, o co prosił. Przed wyjściem Javert poszedł ucałować w czoło małego Jeana.

Następnie wsiadł do dorożki i poprosił woźnicę, by pogonił konia.

Po drodze robił sobie wyrzuty, że nie dość mocno naciskał na Kozetę i Amadeusza. Dlaczego nie poszedł z nimi! Jednak miał też powody do zadowolenia. W ciągu jednego dnia znalazł Miauczulę w Salpetriere i oddał ją pod opiekę księdzu Rille-towi. Razem z Klemencją dysponował już dwoma świadkami. Punkt dla niego.

Gdy przyjechał na ulicę Saint-Fiacre, zauważył karła, który palił fajkę w bramie. Zgarbił się i wszedł do środka.

Na piętrze, gdzie mieszkał Amadeusz, zadzwonił do drzwi. Otworzył mu Roland z kastetem w ręku.

—Amadeusz? — spytała Kozeta, biegnąc do drzwi.

Javert podniósł głowę.

—To pan? — zdziwiła się.

— Mam złe wiadomości. Amadeusz został poważnie ranny w pojedynku, który z nieznanых jeszcze powodów stoczył z jakimś Amerykaninem.

Spojrzenie Kozety uciekło gdzieś w bok. Rzeczywiście los wziął się na nią i jej bliskich.

—Amerykaninem? A gdzie jest Amadeusz?

—W szpitalu Inwalidów.

Widząc w twarzy Kozety przygnębienie, Javert spytał, dlaczego nie została na ulicy de la Planche.

—Czekałam na Amadeusza, szalałam z niepokoju... Żeby trochę się uspokoić, poszłam do siebie na górę... Nie powinnam była tego robić... Wiele mebli znikło... Dzięki Bogu, odzyskałam świeczniki mego ojca...

—Świeczniki księdza Benvenuto — wymamrotał cicho Javert.

—Co pan powiedział?

— Nie, nic...

Kozeta padła na fotel.

— Tak blisko celu... Jestem zrozpaczona, panie Javert... Co się z nami stanie?

—Do spotkania z Thénardierem zostało jeszcze parę dni. Ja wystąpię w roli, którą miał odegrać Amadeusz.

—Niemożliwe, jest pan za...

—Za stary? — dokończył Javert. — Czy już pani nie pamięta, jak zajmowałem się Magdaleną i pani synem?

Zmarszczył gniewnie czoło, a Kozeta złożyła dłonie w geście rozpacz i jednocześnie głębokiej wdzięczności.

— Panie Javert — zaczęła — ponieważ chce pan, by tak go nazywać, jak pan mógł pomyśleć coś podobnego? Nie przyszłoby mi do głowy, że jest pan za stary. Ale tylko pana mam za przyjaciela. A Thénardier to łotr, który nie cofnie się przed niczym dla osiągnięcia celu. Nie chcę, by się panu coś stało.

Javert oparł się na swej ciężkiej lasce. Dziki wyraz jego twarzy o bardzo niskim czole był przerażający. Jednak słuchając słów Kozety, pławił się w rozkoszy. A więc zależy jej na nim?

— Uśmieje się pani — powiedział, podnosząc głowę. — Powiada pani, że Thénardier to łotr? A ja twierdzą, że jest mordercą. I wiem, o czym mówię.

Kozeta uśmiechnęła się.

—Znowu ten pański nawyk? — powiedziała ironicznie.

—To nie nawyk, to prawda. Przed paroma laty aresztowałem Thénardiera, który wówczas używał nazwiska Jond-rette. Zamierzał zamordować człowieka, którego zawzięcie ścigałem i dla którego obecnie żywię najszczęśliwszy i największy podziw.

Kozeta wyprostowała się żywo.

—Aresztował pan Thénardiera?

—Byłem policjantem, Kozeto. Inspektorem Javertem.

—Przypominam sobie — szepnęła... — Powiedział pan, że mój ojciec znał pewnego Javerta...

—To byłem ja, Kozeto.

—Co się wtedy wydarzyło?

—Wyjaśnię to później. Na razie wróci pani ze mną na ulicę

de la Planche. Nie powinna pani tu pozostawać. A jutro pójdziemy odwiedzić Amadeusza, prosząc Boga, byśmy zastali go żywego.

Amerykanin? Informacja ta wpadła we właściwe ucho. Javert domyślał się czegoś. Ale i tym razem wolał nie mówić Kozecie o swoich przeczuciach. Zobaczysz na miejscu.

Na odwiedzin u Inwalidów Kozeta poszła w męskim stroju. Zbliżało się południe. W dorożce nie otworzyła ust. Obserwowała siedzącego naprzeciwko niej Javerta. Kim więc jest ten człowiek? Uosobieniem prawa? Wcieleniem honoru? Personifikacją wymiaru sprawiedliwości? Dlaczego kocha nieszczęście, które go spotyka? W swym wielkim kapeluszu i zapiętym po szyję surducie onieśmiał ją. Może nawet przypomniała sobie, że widziała tę sylwetkę przed paroma laty? Ale w jakich okolicznościach? Czy jest TÓwnie dobyt jak potężny? Kozeta miała wrażenie, że stał się innym człowiekiem. O pokrewieństwie z panem Verjat świadczył tylko zapach pomarańczy i starej książki do nabożeństwa. Bez brody i wąsów jego poważna twarz nabrała nagle innego wyrazu. Gęste, siwiejące faworyty nadawały jej wygląd doga skrzyżowanego z kotem. A więc znał jej ojca? Dlaczego tak zwlekał, by o tym powiedzieć? Czy ma coś do ukrycia?

Kozeta nie bardzo już wiedziała, co myśleć. Jeśli dawny policjant Javert tak dobrze znał Jeana Valjean, co ich tak do siebie zbliżyło? Bała się najgorszego.

Dorożka przejechała niedaleko ulicy Plumet. W tym momencie całe ciało Kozety stężało. Czy w końcu odnajdzie Mariusza? Między nim a mną, mówiła sobie, jakby chodziło o niedaleką przyszłość lub namacalną rzeczywistość, będzie istniał ów ludzki normalny kontakt, dzięki któremu życie jest tak miłe; będzie radość ze wspólnego robienia różnych rzeczy, wszystkich rzeczy; będzie żar pragnień i płomień ciał; będzie tysiąc podzielanych myśli; ale kiedy to się stanie?

Ocknęła się z marzeń. Dorożka zajechała pod szpital. Kozeta trzymała pod pachą torbę, którą zabrała z pokoju Burdina w hotelu de Moussey.

Amadeusz leżał w jednym z dwóch pawilonów szpitala Inwalidów, wzniesionego przez Ludwika XIV. Początkowo miało to być schronisko dla żołnierzy rannych w jego służbie w którym zapewniano im opiekę lekarską. Znaleźli Amadeusza na ogólnej sali, długiej i smutnej jak noc listopadowa. Gdy Kozeta i Javert zjawili się u jego wezgłowia, oczy miał zamknięte. Na Kozecie duże wrażenie zrobił gruby bandaż spowijający go od nasady szyi do końca torsu. Podszedł do niej chirurg w binoklach.

— Gdyby nie chodziło o pana Eugeniusza Sue, syna dawnego naczelnego chirurga królewskich gwardzystów — oświadczył — amputowałbym mu rękę. Rana była bardzo głęboka. Oby tylko nie wdała się gangrena. W każdym razie życiu pana markiza nic nie zagraża.

Kozeta i Javert poweseleli. Była to pierwsza dobra wiadomość tego dnia.

— Zostawiam państwa z chorym — powiedział lekarz.

Po kwadransie Amadeusz otworzył oczy. Jego twarz była ściągnięta bólem, skóra zrobiła się szara i zwiotczała. Na ich widok usiłował się podnieść. Ale natychmiast padł do tyłu z bolesnym grymasem. Jego skurczone palce wpiły się w prześcieradło, z sinych warg wydarł się jęk.

— Proszę się nie ruszać.

Ledwo dostrzegalny uśmiech rozjaśnił przezroczyście twarz chorego. Stracił dużo krwi. Usiłował wyciągnąć rękę, ale zaraz skrzywił się, gdyż każdy, nawet najmniejszy ruch, przyprowadził go o straszliwe cierpienie. Ostrze szabli naruszyło splót nerwowy: uszkodziło wszystkie mięśnie poruszające ramieniem. Lekarz uprzedził go, że nigdy nie odzyska pełnej władzy w lewej ręce.

— Mam coś dla pana — szepnęła Kozeta.

Powieki Amadeusza drgnęły lekko. Kątem oka zobaczył torebkę.

— Tamtego dnia — podjęła — pytał mnie pan, co zabrałam z pokoju pańskiego intendenta. Otóż były to papiery, niektóre z nich dotyczące pana. By niczego przed panem nie ukrywać, przyznam się, że pozwoliłam sobie je uporządkować. Przecież nie ma po co rozdrapywać ran przeszłości. Był tam testament pańskiego intendenta i ostatnia wola pańskiego ojca.

Amadeusz zmarszczył brwi.

—Mego ojca?

—Nie wierzy mi pan? Więc niech pan przeczyta sam. Burdin skłamał. Wszyscy się myliliśmy.

Wyjęła jakiś stary pergamin, rozwinęła go przed oczami Amadeusza i trzymając go oburącz, dała mu do przeczytania.

Niniejszym pismem, które wyraża moją ostatnią wolę, ja, markiz Kami Emmanuel Aleksander d'Iguerande, podpułkownik trzeciej dywizji kirasjerów generała Espagne, zapisuję memu synowi wszystko, co posiadam, mój honor oraz moje nazwisko, to znaczy i dużo, i mało. Poza tym zaś, ponieważ popełniłem błąd i zażądałem, by towarzyszyła mi moja ukochana małżonka, która została zabita na głównej ulicy Essling podczas ofensywy dywizji Boudeta, przeto tylko ja sam wyznaczam Louis-Desire Burdina, urodzonego w Iguerande — jest to miły zbieg okoliczności i bez wątpienia znak losu — zatrudnionego obecnie w służbie zdrowia w Lobau, opiekunem mego trzymiesięcznego syna. Będzie się nim zajmował aż do pełnoletności, po czym zwróci należne mu prawa. Zostawiam do dyspozycji Louis--Desire Burdinowi sumę pięćdziesięciu tysięcy franków, co stanowi cały mój majątek. Umieram spokojny.

Sporządzono w Essling, dnia 22 maja 1809 roku,

Karol Emmanuel Aleksander d'Iguerande

Amadeusz wzruszył się do łez. Powoli pokiwał głową. Kozeta wiedziała, że nie ma przyjaźni zdolnej przetrwać ujawnienie tajemnicy, zwłaszcza związanej z czyjąś dumą. Złożyła pergamin i wsunęła go do koperty.

— To pańska własność, Amadeuszu. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, iż pozwoliłam sobie uporządkować te dokumenty.

Javert objął Kozetę spojrzeniem pełnym uwielbienia.

— Sądzę, że pan markiz nie weźmie pani tego za złe — rzekł z lekkim porozumiewawczym gestem.

Na jego tak szczególnej twarzy, gdzie siła mieszała się z przebiegłością, zobaczyła uśmiech wzruszenia. On też czytał testament. W wielkości duszy Kozety odnajdywał wielkość duszy Jeana Valjean.

— To złote serce — szepnął Amadeuszowi na ucho.

Kozetę rozbawiły imiona wybrane przez przyjaciół George Sand. Specjalnie się nie wysilili. Były to imiona panów Didiera, Arago i Dumasa. Czy jednak honor nie został uratowany?

— Ja też mam coś dla pani — powiedział Amadeusz z dla wionym szlochom w głosie.

Kozeta położyła mu dłoń na czole i poprosiła, by już nic nie mówił.

— Później, przyjacielu. Jak pan wydobrzeje.

Ale Amadeusz się uparł.

— To nie może czekać — wyznał tonem, który zabrzmiał jak jęk agonii.

Javert uznał wtedy, że musi się wtrącić, gdyż Amadeusz nagle zaczął się trząść jak w febrze. Było widać, że stara się ułożyć w możliwie najmniej bolesnej pozycji i usiłuje coś powiedzieć.

— Nie, panie Javert, Kozeta musi usłyszeć to, co mam jej do powiedzenia. Przynajmniej raz w życiu zrobię coś dobrego. — Z trudem zaczerpnął powietrza i chwycił leżącą na jego czole dłoń Kozety. — Mariusz wrócił — wyrzucił z siebie.

Kozeta natychmiast cofnęła dłoń.

— Jeśli to żart, to w złym guście, Amadeuszu.

Zapadła głęboka cisza. Javert stał nieporuszony, nieugięty jak sprawiedliwość, w nasuniętym na oczy kapeluszu, przykładając laskę z ręki do ręki, natomiast Kozeta opadła na taboret

przy łóżku. Ujęła głowę w dłonie. Dlaczego Amadeusz tak ją dręczy? Po wszystkim, co przeszła, sądziła, że nic już nie złamie jej serca. Tymczasem po tym, co powiedział, pękło ono na tysiąc kawałków.

Zrozpaczony Amadeusz nadludzkim wysiłkiem starał się unieść głowę, co znów wydarło mu z piersi okrzyk bólu.

— Kozeto... Człowiek, który zadał mi tę ranę, to Mariusz... Nazywa się teraz kapitan Smith...

I opadł na poduszkę, jego czoło pokryło się potem, wargi drżały. Kozeta przycisnęła ręce do serca i krzyk uwiązł jej w gardle. Dygotała.

— Mariusz? Gdzież on jest?

— Tego nie wiem — wyjąkał Amadeusz.

Teraz wtrącił się Javert:

—Sądzę, że Amadeusz mówi prawdę. Eugeniusz Sue powiedział nam, że nasz przyjaciel wymienił parę ciosów z jakimś tajemniczym Amerykaninem i że ich starcie przerodziło się potem w absurdalny pojedynek. Od razu pomyślałem o Mariuszu.

—To ja doprowadziłem go do ostateczności — szepnęła Amadeusz.

Jakiś przelotny wyraz triumfu przemknął po jego bezkrwistych wargach.

— Ale dlaczego? — spytała Kozeta, wstając.

Serce łomotało jej tak, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Nie wiedziała już, śmiać się czy płakać. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa.

—Aby mógł się zemścić — odpowiedział Amadeusz jedynym tchem. — Poza tym, poznałem go dlatego, że towarzyszył mu siłacz, którego kiedyś przezywano Kochasiem... I dziecko...

—Rafael?

—Pamięta go pani?

—Nigdy o nim nie zapomnę... Ostami raz widziałam Mariusza w warsztacie. W ramionach trzymał tego malca, koło którego spałam na antresoli.

Amadeusz spojrział z wyrzutem na Kozetę.

— Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wcześniej? Przecież pani też słyszała, co powiedział mój intendent? Ten mały to syn, którego miałem z Klemencją.

Teraz Kozeta pojęła wszystkie zawilości tej historii.

Pochyliła się nad chorym i ucałowała go.

— Mariusz uratował pańskiego syna, Amadeuszu.

Kozeta poczuła zapach zielonej herbaty i bergamotki, jakby szła przez raj. Amadeusz dygotał ze wzruszenia. Od czasu do czasu jego nozdrza lekko drżały. Czy było to ostrzeżenie niebios? Czy jest bliski śmierci?

Javert w starym odruchu przedstawiciela prawa uniósł laskę i zastukał nią o podłogę. Niewątpliwie chciał tym sprawić, by Amadeusz uspokoił się, a Kozeta oprzytomniała.

— Teraz możemy zacząć działać! — zawołał, ujmując Kozetę pod rękę. — A pan, młody człowieku, niech się weźmie w garść! Zrobimy wszystko, jak zaplanowaliśmy!

Pożegnali się z Amadeuszem i obiecali, że wrócą najszybciej, jak się uda, by go poinformować o dalszym biegu wydarzeń.

Po wyjściu Kozeta zatrzymała się i oparła na ramieniu Javerta. Na jej twarzy malowała się bolesna niepewność. Chciała coś powiedzieć, ale słowa zamierały jej na ustach. Poblądła jeszcze bardziej i rozglądała się dokoła, jakby budząc się ze snu. Zdawało się, że pragnie ukryć się przed wzrokiem przechodniów. Podniosła rękę do piersi i wodziła oczami po całej swej postaci, jakby chcąc się przekonać, że to naprawdę ona. Wszystko to było tak wielkie, tak świetliste, tak niespodziewane.

— Odnajdzie pani Mariusza — odezwał się Javert, nie patrząc na nią, jakby odgadł jej myśli. — I wiem, o czym mówię.

Kozeta zaśmiała się nerwowo. Zatrzymała się, odsunęła od Javerta i przyglądała mu się z dziwną intensywnością.

—Tak pan sądzi?

—Jestem tego pewien, Kozeto. Ale trzeba działać szybko i sprawnie. Ponieważ Mariusz szuka zemsty.

*

Była już prawie pierwsza. Na wizytę u króla Mariusz włożył swój najpiękniejszy mundur. Rafaela zostawił pod opieką żony oberżysty, młodej, łagodnej kobiety, zajętej głównie ustawianiem bukietów w jadalni.

—A dlaczego to nie ja mam się nim zająć? — zaprotestował Kochaś.

—Dlatego że idziesz ze mną.

—Ja?... Ależ człowiek mojej kondycji nie pokazuje się u króla Francji...

—A dlaczegoż to człowiek twojej kondycji nie mógłby się mu pokazać?

—Mój język pozostawia wiele do życzenia, brak mi wytwornych manier... Jestem człowiekiem z ludu, Mariuszu... Jak wszystko to się skończy, rozejdziemy się każdy w swoją stronę...

—Nie pleć głupstw. Mówisz językiem serca, i to mi wystarczy. A co do króla, jest on królem wszystkich Francuzów.

Mariusz położył ręce na ramionach przyjaciela. Pomyślał, że los nie odmawiał sobie zsyłania nieustannych nieszczęść na tego tak dobrego poddanego. Już czas, by się to zmieniło.

. Poszli do stajni, osiodłali konie i ruszyli. Niebo było czyste, szybko przemknęło po nim parę chmurek. Posuwali się stępą. Jakiś omnibus przejechał, gwizdząc i wyrzucając spod kół niewielkie smugi białego pyłu. Było już dużo ludzi. Ten zakątek Paryża lśnił i wrzał w promieniach letniego słońca. Pojechali wzdłuż kawiarni Musain, koło ulicy Saint-Denis, gdzie w 1832 roku Mariusz spotkał swych przyjaciół rewolucjonistów. Zrobili objazd ulicą de la Verrerie, gdzie mieszkał u Courfeyraca, towarzysza z barykad. Oczyma duszy zobaczył wszystkie zna-

czące fakty ze swego życia. Czy nie tak się dzieje, gdy mamy umrzeć?

Mariusz nie miał ochoty umierać. Popędził trochę konia. Ponieważ było jeszcze dużo czasu, nie mógł się powstrzymać, by nie przejechać na drugą stronę Sekwany i nie rzucić okiem na dopływ kanału wzdłuż ulicy de la Megisserie, którym poszli z Kochasiem, by ująć ścigającym. Barki stały tu nadal.

Przejechali przez most w żwawym tempie. Na poziomie Odeonu Mariusz pomyślał ze wzruszeniem o Fryderyku Rivolierze, przyjacielu, którego poświęcił. Czy go pomścił? Wolał już o tym nie myśleć. Widząc Amadeusza leżącego na noszach w sali fechtunku lorda Seymoura, zastanawiał się, czy się nie omylił. Teraz, powiedział sobie, pewno już umarł z odniesionych ran. I pomyśleć, że nawet nie potrafił powiedzieć mi nic bliższego o Kozecie! Ale i tak dowiem się czegoś pierwszego lipca.

Gdy jadąc stępą obok Kochasia, zadawał sobie te wszystkie pytania, nie zauważył dorożki, która toczyła się w dość dużej odległości za nimi. Czarnej dorożki zaprzęzonej w białego konia. Siedzący w niej mężczyzna wyczekiwał na odpowiedni moment. Był niski, podobny do małpy, ubrany na czarno, i nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem towarzyszących mu policjantów. Ten chyba mi ucieknie, mówił do siebie, ale drugiego złapię.

Owym Javertem w miniaturze był komisarz Raynaud, niedawno przeniesiony do Paryża. Tuż przed wyjazdem z Tulonu, otrzymał od jakiejś tajemniczej Lady A. list, który zachwiał jego dotychczasową opinią. Wynikało z niego, że niejaki Aleksander Tixier jest całkowicie niewinny. Jednak Raynaud nie tracił nadziei, że zdoła udowodnić winę Mariuszowi Pontmercy. Oczywiście Mariusz Pontmercy nie był Aleksandrem Tixier (co przecież trzeba będzie jeszcze wykazać przy pomocy świadków), czy jednak nie uciekł z galer? Czy nie zlekceważył wezwania żandarmerii w Saint-Malo? Czy można udowodnić swą niewinność, obchodząc prawo i urządzając sobie kpiny

z wymiaru sprawiedliwości? W Ameryce kapitana Smitha uważa się za bohatera; ale we Francji jest recydywistą. Raynaud przeprowadził śledztwo. Na razie do swego nowego gabinetu w prefekturze nikogo nie wezwał. Ani żony owego Mariusza Pontmercy, którego uznano za zmarłego i pochowanego na cmentarzu Pere-Lachaise, ani markiza d'Iguerande, którego podobno dobrze znał domniemany zmarły. Czekał, aż zgromadzi w raku wszystkie elementy.

Raynaud był skrupulantem, czego dowodem fakt, że odnalazł ślad tego kapitana Smitha i jego akolity. Zaśmiał się piskliwie. Mariusz Pontmercy może być niewinny, może być amerykańskim bohaterem, może być kim chce, ale przede wszystkim jest potencjalnym winowajcą, a zwłaszcza człowiekiem nieroztropnym, a może wręcz głupim. Co za pomysł, by paradować po ulicach stolicy! I to w rzucającym się w oczy mundurze i z opaską na oku! Przed dwoma dniami ludzie komisarza wypatrzyli go w Café de Paris. Potem stracili go z oczu, a teraz odnaleźli na ulicy Saint-Denis. Odruch mordercy, który powraca na miejsce zbrodni, triumfował Raynaud. Gdy jeden z jego inspektorów dał mu o tym znać, natychmiast przyjechał. I złapiemy ich, jak tylko zsiądą z koni, mówił sobie w duchu.

Ale na razie obaj jeźdźcy jechali dalej. Opuszczając ulicę de l'Universite, skręcili w prawo, wjechali w ulicę du Bac i skierowali się ku Pont Royal. Dorożka ciągle jechała w pewnej odległości za nimi. Mariusz niczego nie zauważył. Co prawda miał teraz inne rzeczy w głowie. Nie co dzień jest się przyjmowanym przez króla w osobie własnej!

Raynaud od czasu do czasu wysuwał głowę z dorożki. Gdy stwierdził, że dwaj jeźdźcy kierują się ku Tuileriom, na jego zadowolonej twarzy pojawił się niemiły grymas. Kazał woźnicy przyspieszyć. Obydwaj inspektorzy spojrzeli na niego pytająco: zignorował ich.

Dokładnie o drugiej Mariusz stawiał się na posterunku straży w Tuileriach. Pałac zbudowany przez Katarzynę Medycejską miał część centralną i dwa zespoły budynków, dziś już częś-

ciowo nieistniejące. Za czasów rewolucji w pawilonie Flory mieścił się Komitet Ocalenia Publicznego, a od czasów Bonapartego pałac był siedzibą władzy wykonawczej. Architekci przebudowali go w środku, przerobili schody, sale recepcyjne i apartamenty, a w pawilonie dawnej Sali Maszyn urządzili kaplicę. Otaczający go ogród, założony w tej samej epoce co pałac, stał się w Paryżu zaczątkiem publicznej promenady według włoskich wzorów. Dzięki Le Nôtre'owi był arcydziełem klasycyzmu.

Ponieważ Mariuszowi nie dano przepustki, bardzo się ucieszył na widok pułkownika gwardii królewskiej w galowym mundurze, tego samego, który przekazał mu zaproszenie.

— Jest pan punktualny, kapitanie. Proszę za mną, król czeka na pana w swym gabinecie.

Mariusz skinął głową i powiedział zdecydowanym głosem:

— Czy mógłby mi towarzyszyć mój zastępca, porucznik Dibbs, który wydatnie pomógł mi w zatrzymaniu tego młodego szaleńca?

Pułkownik zlustrował Kochasia od stóp do głów.

— Zgoda, kapitanie. Tędy, panowie.

Właśnie wtedy przed pałacem zatrzymała się dorożka komisarza Raynauda. Komisarz, który wysunął głowę na zewnątrz, nie wierzył własnym oczom. Jego dwaj galernicy zostali przyjęci przez pułkownika gwardii królewskiej.

—Co robimy? — spytał jeden z inspektorów.

—Proszę pójść na posterunek straży, powiedziec, kim pan jest, i zapytać, dokąd poszli podejrzani!

Inspektor spełnił polecenie, a na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Gdy mu ją przekazano, Raynaud o mało nie zgubił kapelusza.

— U króla? Na prywatnej audiencji? Do licha, muszę to sprawdzić!

Ten obowiązkowy człowiek oczywiście uznał, że ma prawo dowiedzieć się czegoś więcej. Odprawił dorożkę i swoich dwóch inspektorów. Potem, założywszy ręce do tyłu, zaczął

się przechadzać po placu przed Tuilieriami. Będę czekał tyle, ile trzeba, nawet gdybym miał tu spać, mruknął.

Tymczasem Mariusz i Kochaś szli za pułkownikiem. Na dziedzińcu i na korytarzach panował wielki ruch. Żołnierze defilowali w plutonach, mijając się z plutonami dragonów i konnej żandarmerii. Był to prawie garnizon.

— Król jest przeciwny całemu temu rozgardiaszowi — skomentował pułkownik — ale musimy mieć się na baczności. Niepokoją nas te nasilające się zamachy.

Przy wejściu stało dwóch wartowników. Nieco dalej półgłosem gawędzili oficerowie. Wszedł szef gabinetu. Ponieważ król skończył rozmawiać z panami Guizotem i Dupinem, szefem prawego centrum oraz przewodniczącym Izby, mógł przyjąć kapitana Smitha.

Mariusz oddał ordynansowi szablę i pistolet. Tak samo postąpił Kochaś. Potem wprowadzono ich do gabinetu, gdzie dwóch służących w liberii stało po obu stronach monumentalnego biurka. Pułkownik podszedł do króla.

— Sire — powiedział — oto dwaj ludzie, którzy interweniowali dwudziestego piątego czerwca.

— Ach tak! Świetnie — odpowiedział król. — Miło mi, że mogę panów poznać.

Mariusz i Kochaś skłonili się z uszanowaniem. Ponieważ Ludwik Filip nie lubił protokołu, uścisnął im ręce i poprosił, by usiedli. Pułkownik dyskretnie się wycofał, a król wygłosił krótką parominutową przemowę, gratulując im odwagi, a jednocześnie wyrażając żal z powodu nierozważnego czynu owego młodego fanatyka, którego nie mógł już ocalić. Mówił jasno i zwięźle. Chociaż Ludwik Filip nabrał mieszczańskich nawyków, zachował arystokratyczne maniery. W wieku sześćdziesięciu czterech lat ten piękny mężczyzna, nieco ociężały z powodu tuszy, miał otwartą twarz, bystre, inteligentne spojrzenie, przyjemny głos; do rozmówcy zwracał się z wielką uprzejmością, która jednak nigdy nie pozwalała zapomnieć, z kim ma się do czynienia, chyba że zależało mu na pochlebieniu jakiegoś

wielkiemu bogaczowi. Nie był to przypadek Mariusza i Kochasia.

— Jeśli moi amerykańscy przyjaciele chcieliby wyrazić jakąś prośbę, z góry się do niej przychyłam — zakończył król, kiwając mądrze głową, aż zatrzęsły mu się policzki pokryte gęsto trądzikiem i okolone gęstymi faworytami, przez co przy pomiędzy posładki Hotentota. — Ale czym się pan w istocie zajmuje w kraju mego przyjaciela prezydenta Jacksona?

Dotąd małomówni, i słusznie, Mariusz i Kochaś, zaczęli opowiadać o swej długiej podróży, nadal starając się mówić z obcym akcentem. Przede wszystkim skupili się na schwytaniu El Diabło i obronie Alamo.

Król wysłuchał ich do końca. Gdy skończyli swą relację, zatopił spojrzenie w oczach Mariusza z dobroduszością, która tym razem ośmielała się zadać kłam próżności związanej z jego rangą i aspiracjami.

— Kapitanie Smith, król jest pełen podziwu dla pańskich dokonań — oświadczył z uśmiechem. — A najbardziej godnym zauważenia wydaje się fakt, że śmiałość pańskich czynów nie przeczy chyba pańskim ideałom.

— Sire, to zbyt wielki zaszczyt dla prostego sługi Francji i Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział wówczas Mariusz bez cienia obcego akcentu.

Król, żarliwy zwolennik rewolucyjnych idei, który wyróżnił się podczas bitew pod Valmy i Jemmapes, zanim w 1793 roku po klęsce pod Neerwinden przeszedł z Dumouriezem na stronę wroga, nagle przestał się uśmiechać. Czy coś mu się przywidziało? Potem, gdy zaskoczenie minęło, wybuchnął śmiechem.

— Lubię takich Amerykanów!

Mariusz uważnie patrzył na człowieka, który od chwili koronacji traktował republikanów surowiej niż legitymistów mimo swej demokratycznej przeszłości. Jego twarz rozjaśnił uśmiech pełen szacunku. Zdjął z oka opaskę i oświadczył:

— Sire, istotnie, pragnę przedstawić ci pewną prośbę. Ułożyłem sobie na nowo życie w Ameryce, ponieważ Francja

mnie odepchnęła. Przed paroma laty stałem się ofiarą najstraszliwszej pomyłki sądowej.

Król zmarszczył brwi. Miał już kłopoty z Thiersem, Guizotem, swymi ministrami, opozycją, ludem, ze wszystkimi; a teraz ten opatrnościowy zbawca chce go o coś prosić.

— Słucham, kapitanie.

Kochaś, czerwony ze zmieszania, rzucił Mariuszowi krótkie spojrzenie. W co go pakuje? Mariusz wyłożył swoją prośbą, skracając ją nieco i zmierzając do tego, co najważniejsze.

— Sire, nie pragnę ułaskawienia, ponieważ nie popełniłem zarzucanych mi czynów. Najlepszym dowodem fakt, że wyślano mnie na galery pod cudzym nazwiskiem.

Król polecił wezwać swego osobistego sekretarza. Ten bez słowa wślizgnął się za biurko i wziął papier oraz pióro.

—Notuj, przyjacielu — polecił i spytał Mariusza: — Pod jakim nazwiskiem wtrącono pana do więzienia?

—Aleksander Tixier. Numer dziewięćdziesiąt cztery trzydzieści.

Sekretarz zanotował.

—A jak się pan naprawdę nazywa?

—Baron Mariusz Pontmercy.

Sekretarz znów zanotował. Król wstał i przeczytał tekst przez ramię.

— Wprawdzie błądzenie jest rzeczą ludzką, ale niesprawiedliwość rzeczą ludzką być nie powinna — rzekł poważnym głosem. — Zwrócę się do prefekta policji i ministra sprawiedliwości, by zrobili, co należy. — I patrząc kolejno to na Mariusza, to na Kochasia, powiedział: — Królewski fach jest trudnym zawodem, panowie. Zwłaszcza w naszej epoce rozpasanej nowoczesności. Oszczercom, którzy zarzucają mi raz zbytnią stanowczość, raz zbytnią słabość, trudno jest wytlumażyć, że nie chodzi o powstrzymanie postępu, ale o kierowanie nim, gdyż postęp nie jest niczym innym niż dobrze sterowaną rewolucją. Rząd nie może doprowadzić swego przedsięwzięcia do końca, jeśli co i rusz wybuchają rewolty, ożywiane owym

duchem jakobinizmu, który, nie do końca wygaszony za Konwencji, Dyrektoriatu i cesarstwa, stara się wskrzesić dni terroru. Panu, który przebywał i podróżował w państwie zwanym krajem wolności i demokracji, mówią otwarcie: Francja nie może tolerować żadnej rewolucji. I już jej nie będzie.

W 1848 roku owa rewolucja, którą król wedle swych słów zdusił, miała go zmieść z tronu jak żdźbło trawy.

Po tym oświadczeniu Mariusz i Kochaś wstali. Monarcha wziął z biurka jakiś papier i przyłożywszy na nim swą królewską pieczęć, wręczył go Mariuszowi:

— Niech pan przyjdzie za tydzień do mego sekretarza, kapitanie Smith. Mam nadzieję, że znów będę miał przyjemność nazywać pana baronem Pontmercy. Na razie ten list żelazny oszczędzi panu wszelakich przykrości.

Mariusz i Kochaś podziękowali Ludwikowi Filipowi. Król dobrodusznie odprowadził ich do drzwi. Czy nie utrzymywał, że jest mieszcuchem i obywatelem takim jak wszyscy?

Na widok monarchy pułkownik gwardii stanął na baczność. Wszyscy obecni oficerowi wypięli torsy. Parę chwil później Mariusz i Kochaś wyszli z Tuileries wyposażeni w list żelazny.

— Doprawdy jesteś szalony — powiedział Kochaś.

— Wolisz być przez całe życie uciekinierem? — odparował Mariusz. — Przez znaczną część swej młodości zbyt liczyłem na innych. Od dwóch lat nauczyłem się liczyć tylko na siebie.

Gdy mieli odebrać konie, zaczął ich jakiś czarno ubrany człowiek.

— Poznajecie mnie? — warknął.

Kochaś zrobił się przezroczysty. Mariusz wyciągnął do niego ręce gestem człowieka, któremu mają założyć kajdanki.

— Jeszcze nie — syknął komisarz Raynaud ze źle ukrywaną złością. — Nie miałem przyjemności zobaczyć się z panem w Saint-Malo. Chciałem jedynie oddać panu dotyczący go list. Po zapoznaniu się z pewnymi informacjami jestem zmuszony

wrócić do niektórych punktów śledztwa. Ale niech pan nie odtrąbia zwycięstwa! Do tego jeszcze daleko!

Trzej mężczyźni szli wzdłuż pałacu w kierunku ulicy de Rivoli. Raynaud wyciągnął z kieszeni list i streścił go Mariuszowi. Sygnatariusz listu stwierdzał, że w przeszłości znał Mariusza Pontmercy. Podając wiele szczegółów, oświadczał też, że z panem Pontmercy stykał się później w Ameryce. Był to ten sam człowiek.

— Wnoszę stąd, że nie jest pan Aleksandrem Tixier — rzucił Raynaud grzecznym, acz znużonym głosem. — I powiedział szydyczko: — Wcale nie musi to oznaczać, że jest pan niewinny, kapitanie Smith. Uciekł pan z galer w Tulonie w towarzystwie tego osobnika, który nadal ma na pieńku z wymiarem sprawiedliwości, prawda? Naturalnie posiada pan amerykańskie obywatelstwo — ciągnął. — Taki incydent dyplomatyczny byłby jak najbardziej niepożądany, gdyż uważają tam pana za bohatera. Najlepszym dla pana rozwiązaniem będzie powrót tam, skąd pan przyjechał. Czyż Ameryka nic jest krajem byłych galerników? Jeśli natomiast zostanie pan we Francji, będę musiał prowadzić moje śledztwo dalej. I wszystko może się zdarzyć

Ostatnie zdanie komisarza Raynauda dawało do myślenia. Mariusz odpowiedział mu pojednawczym tonem:

— Panie komisarzu, oddaję hołd pańskiemu poczuciu obowiązku i sprawiedliwości. Tyle tylko, powtarzam raz jeszcze, że mój przyjaciel i ja jesteśmy niewinni. Może dałby pan nam tydzień na udowodnienie, że działamy w dobrej wierze?

Komisarz przystanął. Obrzucił obu mężczyzn spojrzeniem pełnym jadu. Nie każąc ich natychmiast aresztować, już miał uczucie, że narusza prawo; co gorsza było to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzył. Czyż jednak owi mężczyźni nie zostali przyjęci przez króla?

— Dlaczego tydzień? — spytał chytrze.

— Dlatego — odparł Mariusz, podsuwając mu pod nos królewski list żelazny.

—No cóż, niech będzie — zgodził się Raynaud, zagryzając usta. — Ale jeśli po tym terminie do waszych akt nie zostanie wniesiony żaden nowy element, zostaniecie wyjęci spod prawa. I wyślę na wasz temat raport w trzech egzemplarzach. Jeden do pana Gisqueta, prefekta policji, drugi do pana Sauzeta, ministra sprawiedliwości, i trzeci do pana Montaliveta, ministra spraw wewnętrznych. A wtedy, król nie król, wyekspediują was do Tulu!

—Dziękuję, panie komisarzu — powiedział Mariusz z miną lokaja z komedii.

Policjant oddalił się, łożywszy ręce za plecy i przechyliwszy głowę na bok.

— Nie wymkniecie mi się! — rzucił. — I nie starajcie się uciec, bo wiem, gdzie mieszkacie. Policja francuska nie jest taka bojaźliwa, jak myślicie!

Potem przeszedł na drugą stronę ulicy de Rivoli i zagłębił się w ulicę de Castiglione.

*

Nazajutrz rano komisarz Raynaud dostał list od prefekta policji. W sprawie najwyższej wagi. Trzeba się było do niej zabrać najszybciej jak można.

Gisquet, zajmujący to stanowisko od chwili, gdy go mianował Casimir Perier, był w kłopotcie z powodu pewnej historii sądowej. Otrzymał od króla notę, polecającą mu wznowić śledztwo w sprawie niejakiego Mariusza Pontmercy. Gisquet, człowiek obowiązku, ale również silnej ręki (zdławił wszystkie próby buntu i rewolucji po 1831 roku), przejął zasady, które głosił Casimir Perier, gdy był ministrem spraw wewnętrznych: „Wewnątrz kraju utrzymać porządek bez uszczerbku dla wolności; na zewnątrz utrzymać pokój, ale bez uszczerbku dla honoru”.

Po południu Gisquet przyjął księdza Rilleta. Ludzi tych, którzy na pozór nie mieli ze sobą nic wspólnego, łączył wza-

jemny szacunek. Na prośbę księdza Gisquet oszczędził życie wielu ludzi. A podczas epidemii cholery w 1832 roku Gisquet nie mógł wyjść z podziwu, ile ksiądz zrobił dla ofiar epidemii. W owym okresie ten święty człowiek towarzyszył komuś z bliskich prefekta, dopóki chory nie wyzionął ducha. Giscard był mu za to dozgonnie wdzięczny.

Obydwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Ksiądz Rillet zajął miejsce naprzeciwko Gisqueta, który siedział za biurkiem.

— Czemu mam zawdzięczać tę wizytę, ojcze?

W porozumieniu z Javertem ksiądz Rillet przygotował pewien plan. Dysponował dwoma ważnymi świadkami w osobach Klotyldy Lepetit (Miauczuli) i Kiemencji de Lavelly.

— Chciałbym prosić o rewizję pewnego procesu, panie prefekcie. A oto dowody rzeczowe.

— Ale o czyj proces chodzi, wielkie nieba?

— Niejakiego Aleksandra Tixier.

— Aleksandra Tixier?

Prefekt o mało nie spadł z fotela.

— Chce ksiądz powiedzieć, Mariusza Pontmercy?

Tym razem to ksiądz się zdumiał.

— Pańska domyślność zadziwia mnie, panie prefekcie.

Gisquet, któremu pochlebiło, że uchodzi za człowieka wprowadzonego we wszystkie sekrety wymiaru sprawiedliwości, nie uznał za stosowne wspomnieć o królewskim liście. Jedna interwencja na rzecz oskarżonego stanowiła wskazówkę; druga interwencja na rzecz tego samego oskarżonego znaczyła prawie tyle co uniewinnienie. Wysłuchał duchownego i wszystko zanotował. Na prośbę Javerta ksiądz Rillet nie wymienił jego nazwiska. Ale laurka, jaką mu wystawił, zainteresowała prefekta.

— Dając dowód odwagi i nieliczenia się z własnymi interesami, człowiek ten zrobił wszystko, by prawda wyszła na jaw — podkreślił ksiądz.

—Jego nazwisko?

—Sam go nie znam — skłamał ksiądz, wznosząc oczy do nieba.

—A gdzie znajduje się ów Mariusz Pontmercy?

—Tego też nie wiem — również skłamał ksiądz.

—Jak pana zdaniem może się posuwać śledztwo, jeśli poruszam się w świecie widm?

—Ponieważ cała ta historia jest historią widm, panie prefekcie. Bóg mi świadkiem, że do paru z nich udało mi się dotrzeć. To główni świadkowie. Ale czy najpierw nie należałoby załatwić formalności administracyjnych?

—Ma ksiądz rację. Jak najszybciej odgrzebiemy tę sprawę i wyślemy wezwania. Ale między nami mówiąc, musi jednak gdzieś istnieć prawdziwy winowajca'?

—To już pański fach, synu.

Ksiądz i tym razem nie wymienił nazwisk Burdina i Thenardiera. Trzymał się ściśle instrukcji Javerta.

—Zrobimy wszystko, co należy — stwierdził wówczas prefekt, wstając. — Za tydzień będziemy wiedzieli coś więcej. Jak się tylko czegoś dowiem, powiadomię księdza.

—Bóg ci to wynagrodzi, synu.

Zaraz po wyjściu księdza Gisquet wezwał komisarza Raynauda. Stanowczym tonem powiedział mu dokładnie, o co chodzi. Raynaud, przeczuwając, że ze spektakularnej akcji, o której marzył, nic nie wyjdzie, milczał.

— I liczę, że weźmie się pan szybko do roboty, Raynaud. Trzeba niezwłocznie wyjaśnić tę sprawę.

Raynaud, równie zawiedziony, co przygnębiony, o mało nie podał się do dymisji. Ostrożność podpowiadała mu, by o swym spotkaniu z Mariuszem Pontmercy nic prefektowi nie wspominać. Obawiał się, że mogłoby się to nie spodobać. Miał nadzieję, że nawet w razie uniewinnienia barona tylko on wyciągnie kasztany z ognia. Czyż nie wie, gdzie baron mieszka? Jego spektakularna akcja nie będzie wówczas taka, o jakiej pierwotnie myślał. Ale jednak będzie.

Gdy znalazł się w swoim gabinecie, natychmiast kazał podległym mu inspektorom udać się do oberży Pod Czerwoną Podkową i wezwać kapitana Smitha do prefektury.

— Albo nie, nie zaraz — poprawił się. — Poczekajmy do wieczora. Zbyt ni pośpiech nie ma sensu.

Sądził, że grając na zwłokę, trzyma wszystko w ręku. Tyle że nie trzymał nic.

*

Po powrocie do oberży Pod Czerwoną Podkową Mariusz poprosił o rachunek. Mimo protestów Kochasia, który nic z tego nie rozumiał, kolejny raz zdecydował się na ucieczkę. Uważał, że będzie lepiej wymknąć się spod wszelkiego nadzoru.

— Przeniesiemy się do hotelu de POdeon — oznajmił, podkreślając, że królewski list żelazny niekoniecznie załatwia wszystkie problemy. — Jeśli jest jedna szansa na tysiąc, bym odnalazł Kozetę żywą, nie chcę, by policjanci Raynauada tę szansę zmarnowali.

Ponieważ Kochaś jeszcze protestował, przypomniał mu o obciętej głowie zawiniętej w płótno.

— Chcesz, żeby wszystko tak się skończyło?

Rafał nie miał nic przeciwko tym nowym pomysłom. Był z Mariuszem i Kochasiem. To wystarczało mu do szczęścia.

Wieczorem tego samego dnia Mariusz zgolił wąsy i obciął włosy. To samo zrobił Kochaś. Obydwaj odmłodzieli o dziesięć lat.

— Jeszcze trochę, a będziesz wyglądał tak samo jak pierwszego wieczoru, gdy cię zobaczyłem w Clan Destin! — zawołał Kochaś.

— Właśnie tam odnajdziemy wkrótce ludzi, którym zadzięczamy wszystkie nasze nieszczęścia — odpowiedział Mariusz.

Ubrali się również inaczej. Przez parę najbliższych dni nie ma mowy o paradowaniu w mundurach. Znow włożyli surduty i szare kapelusze.

— W tym jest wam bardziej do twarzy — skomentował Rafael.

Hotel de l'Odeon był miejscem bardzo eleganckim. Po kolacji Mariusz spytał kierownika sali, czy przez jeden wieczór ktoś mógłby zaopiekować się dzieckiem.

— Moja żona chętnie się nim zajmie, proszę pana.

Później, już w pokoju, Mariusz wytłumaczył Kochasiowi, że nie powinni wychodzić zbyt często. Była to cena, jaką trzeba zapłacić za spokój. Potem spytał, jakby chodziło o rzecz nieulegającą wątpliwości:

—Nadal potrafisz wyważać drzwi?

—Oczywiście.

— Wobec tego pójdziemy do Cbat-Malin nieco wcześniej, niż zamierzaliśmy.

*

Javert, siedząc wygodnie w salonie Ludwika de Vergne mówił Kozecie, że jej plan jest bez sensu. Ona sama też przestała się przy nim upierać. Najpierw nie chciała, by Javert poszedł z nią do Thénardiera, teraz doszła do wniosku, że jego obecność jest nieodzowna.

— Powinien poczuć się osaczony, pojmuje pan. Kiedy czło wiek wszystko traci, wreszcie kapituluje.

Chociaż Javert z tym akurat się zgadzał, odrzucał jednak taki sposób postępowania. Dlaczego nie zawiadomić policji?

— Są problemy, które trzeba załatwić samemu, bez pomocy policji i w ogóle jakiegokolwiek władzy — odparła Kozeta. — Od mego najwcześniejszego dzieciństwa, jak pan wie, niełatwego, Thénardier był moim przekleństwem. Ja też chcę zoba czyć, jak się trzęsie ze strachu.

— W chwili gdy będzie ginął z pani ręki?

Kozeta zastanowiła się przez chwilę.

— To prawda: marzyłam, że go zabiję — powiedziała w końcu. — Teraz pragnę tylko, by wyraził skruchę. Potem, i dopiero potem, będzie można wydać go w ręce sprawiedliwości.

Javert wzruszył ramionami.

— Jest pani naiwna, Kozeto. Nawet jeśli pójdziemy tam obaj z Rolandem, Thénardier będzie udawał wszystko, czego pani od niego zażąda. Popelnia pani grzech pychy.

Zachodził w głowę, dlaczego Kozeta upiera się, by zmierzyć się z człowiekiem, który zawsze był jej katem. Dla byłego policjanta kobiety zawsze stanowiły tajemnicę. Niektóre radziły sobie dzięki obojętności, owej instynktownej pogardzie dla życia, inne dzięki nienawiści, owej racjonalnej pogardzie dla tego, co je zwiodło lub upokorzyło. Ale Kozeta? Istoty słabe często mają ambicję mężczyzny i nerwy kobiety. Często zdarza się to mężczyznom. Kozeta miała ambicję kobiety i nerwy mężczyzny. Upór Andromachy i siłę Achillesa. Javert wiedział o tym. Przez to, że była związana z Jeanem Valjean, przez to, czym się stała, rozczulała go. Czuł się zdany na jej łaskę. Niegdyś myślał, że czułość jest czymś w rodzaju upodlenia duszy. Ale niegdysiejszy Javert nie był Javertem obecnym. Nieudane samobójstwo zmienia wiele rzeczy. Ten człowiek bez słabości teraz już swych słabości nie maskował. A nie najmniejszą z nich była jego całkiem nowa dobroć. Na grobie Jeana Valjean przysiągł sobie, że będzie chronił Kozetę wbrew i przeciwko wszystkiemu. Oczywiście powinien pójść na policję i donieść na Thénardiera, a tym samym ujawnić, kim jest. Czyż w 1832 roku, gdy Thénardier uciekł z więzienia, nie skazano go na śmierć? Wtedy wszystko byłoby prostsze. Ale wtedy Javert mógłby stracić Kozetę. Na zawsze. Jediną kobietę, którą kiedykolwiek kochał. Myśl ta przerażała go. Gdyby stracił Kozetę, straciłby życie. A więc dobrze, ustąpi przed jej uporem.

—Zemścić się na Thénardierze, przebacząc mu, panie Javert. Nauczyłam się tego od ojca.

—Skoro pani tak mówi...

I Kozeta położyła głowę na ramieniu swego obrońcy. Dla takich chwil człowiek o uśmiechu psa i śmiechu tygrysa poszedłby do piekła. Poglaskał Kozetę po głowie i napomknął, że nie powinni już zwlekać.

Kozeta odsunęła się od niego i oświadczyła:

— Roland pomoże panu, panie Javert. A poza tym będzie Szkapa ze swymi przyjaciółmi.

Javert zrobił nieokreślony ruch ręką. Oczywiście obecność Rolanda nie zawadzi. Ale jak pokonać bandę morderców, mając do pomocy młodą kobietę i paru niedorostków?

Wyciągnięty na otomanie Ludwik de Vergne, który dotychczas nic nie mówił, zaproponował swoją pomoc. Kozeta nie przyjęła jej. Co by się stało bez niego z Magdaleną i małym Jeanem?

— Musi pan czuwać nad ich bezpieczeństwem, Ludwiku.

Javert wziął pomarańczę, obrał ją i zjadł cząstka po cząstce. Roland patrzył na niego. Zgodnie z życzeniem byłego policjanta był uzbrojony w nóż i kastet. Javert poprzestał na swej lasce i jednym z pistoletów Amadeusza.

—A Szkapa? — spytał Kozety, która już wstała i kręciła się wokół kufierka, by wybrać sobie jakieś ubranie.

—Przyjdzie godzinę później, żeby jego podkomendni weszli do warsztatu i uwolnili dzieci.

Teraz podniósł się Javert i szepnął coś na ucho Ludwikowi. Nikt nie usłyszał jego słów. Potem włożył pelerynę i kapelusz, które miały go upodabniać do Burdina. Ludwik umieścił mu na plecach małą poduszkę, imitującą garb. Złudzenie było doskonałe.

Przez ten czas Kozeta skompletowała swój strój. Składał się z czapki, czegoś w rodzaju brązowego spencerka i welwetowych spodni. Twarz umazała sadzą.

— No i? — spytała Javerta.

— Wygląda pani jak prawdziwy młody bandzior.

Przed wyjściem pomyślał o adiutancie Carignolu. Żandarm dotąd nie dał znaku życia. Gdyby tu był, mógłby przynajmniej zabezpieczać tyły. Teraz jest już za późno.

*

Powietrze było ciężkie, zbierało się na burzę. Trzej mężczyźni, którzy stali na straży przed bramą warsztatu, przechadzali się i spoglądali w niebo. Dwaj inni byli w środku, a jeszcze dwaj w mieszkaniu z Wilczarzem i Thénardierem. Karzeł w dziecinnym czepku na głowie, który miał ich osłaniać, stał na końcu ulicy.

—Kiedy już załatwię swoje drobne problemy z garbusem, weźmiemy go do Chat-Malin — powiedział Thénardier do Wilczarza. — A tam sprzątniesz go w ten sam sposób jak Carignola.

—A jeśli nie będzie sam?

—Oczywiście że nie będzie. Na pewno przyjdzie z Gérardem i grubym Rolandem. Wszyscy do kasacji.

—A Amerykanim?

—Trzeba będzie szybko się z nim rozprawić. O której kazałeś mu przyjść?

—O dziewiątej.

—Mamy mnóstwo czasu.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Thénardier dał dwóm zbójom znak, żeby się schowali za zasłony. Potem powiedział do Wilczarza:

— Otwórz, przyjacielu.

Wilczarz otworzył i ujrzał pochylonego do przodu osobnika z twarzą zasłoniętą kapeluszem. Obok niego stał młody człowiek w czapce, z twarzą umazaną sadzą i rękami w kieszeniach. Roland został, by pilnować, co się dzieje na zewnątrz.

— Witaj, Burdin! — zawołał Thénardier, siedząc za stołem. — Wejdźcie wreszcie, czekamy na ciebie, przyjacielu! Ty także, młodzieńcze!

W chwili gdy Wilczarz zamykał drzwi, coś go tknęło. W powietrzu rozeszła się woń pomarańczy i starej książki do nabożeństwa. Zapach ten poczuł już dwa razy: w dniu, gdy zobaczył słynnego Moreau w towarzystwie Rudasa, i w wieczór, gdy powalił go ksiądz, który porwał dziecko Skowronka. Bezszelestnie skoczył na człowieka w czerni i chwycił go w pasie.

— To Moreau! — zawył.

Javert wyprostował się na całą swą wysokość i zręcznym pchnięciem bioder wyzwolił się z uścisku. Potem wyciągnął laskę i jej gałką zadał Wilczarzowi cios w głowę. Wilczarz upadł na plecy i znieruchomiał pod drzwiami.

— Do mnie! — krzyknął Thénardier, który nagle zrobił się bardzo blady.

Dwaj zbóje wyskoczyli zza firanek, ale szybko ich powstrzymano. Javert wyciągnął pistolet i wziął ich na muszkę.

— Sprzątnę pierwszego, który się ruszy!

Thénardier dygotał na całym ciele. Znał ludzi ze świata przestępczego. Tych nigdy nie widział. Połowę twarzy Javerta zasłaniał kapelusz, a Kozeta dotąd nie otworzyła ust. Czekala na właściwy moment.

— Siadaj, Thénardier! — powiedział Javert grobowym głosem. Potem rozkazał dwóm zbójom: — Cofnijcie się w głąb pokoju. Jeśli któryś z was zrobi najmniejszy ruch, wpakuję waszemu szefowi kulę w łeb.

Przełykając ślinę, Thénardier siadł wolno na krześle.

— Jeśli przysyła cię Burdin — pisnął — możemy się dogadać...

W rysunku jego ust było coś brudnego, podłego, zaciętego. Gdyby Javert posłuchał swego wewnętrznego głosu, zabiłby go jak psa. Kątem oka zerknął na Wilczarza.

— To samo dotyczy ciebie! — zagrzmiał, celując do Thénardiera. — Zostań na ziemi, tam jest twoje miejsce!

Thénardier skulił się na krześle. Usiłował zebrać myśli, znaleźć jakiś sposób na zneutralizowanie nieznajomego, który

do niego mierzył. Nic z tego. To, co nieprzewidywalne, jak sama nazwa wskazuje, umyka wszelkim regułom. Ogarnęła go głucha panika.

— Pogadajmy — warknął — jakoś to załatwimy, wszystko można wynegocjować...

— Nie ma tu nic do negocjowania! — uciął Javert.

Wówczas z ust Thénardiera padła łąjdacka groźba:

—Ależ jestem uczciwym robotnikiem, proszę pana... Każę wezwać policję...

—Policję? — powtórzył Javert, przystawiając Thénardierowi lufę pistoletu do nosa. — Ależ policja właśnie tu jest!

— Zamaszystym teatralnym gestem zerwał kapelusz i rzucił nim przez cały pokój. — Oddasz mnie w ręce policji? Nazywasz się Thénardier? A może Jondrette? A może Tardier? A może Koci Król?

Thénardier podniósł oczy. Napotykając spojrzenie Javerta, zaniemówił. Siedział z rękami położonymi na płask na stole i zastanawiał się, czy to nie halucynacje. Był szary jak popiół, wargi mu drżały, wypowiadał jakieś słowa bez ładu ni składu. Ów człowiek, który miał wszystkie przywary, wszystkie wady, miał przynajmniej jeden atut: niezawodną pamięć. Zarówno do twarzy, jak do liczb. A stojący przed nim mężczyzna, ów wampir o kamiennym spojrzeniu, z twarzą jak trupia główka i przyklejonymi do skroni włosami, wydzielający woń pomarańczy i naftaliny, mógł być tylko zjawą. Nie mogło być inaczej. Widok tej zjawy nappełnił Thénardiera przerażeniem. Dosłownie podskoczył, gdy Javert ze straszliwym śmiechem rozpiął swą pelerynę. Nie wierzył własnym oczom. Inspektor Javert nadal nosił stalowoszary surdut zapięty pod szyję. Nie zmienił się. Jakim cholernym cudem?

—A... a Sekwana? — wybełkotał.

—Jej wody nie przyjęły mnie.

Spojrzenie Thénardiera napotkało wzrok młodego towarzysza Javerta. Kozeta nawet nie mrugnęła. Przeciwnie, powiedziała mocnym głosem:

— Wybiła twoja ostatnia godzina, Thénardier. Przepróż za wszystkie swoje grzechy, i wyciągnąwszy z kieszeni chusteczkę, wytarła twarz i zdjęła czapkę.

— Kozeta? — pisał Thénardier.

Rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści.

— Odejdiesz, by nigdy już nie wrócić — podjęła. — Ale najpierw padniesz na kolana i odmówisz akt skruchy.

— Zaraz zjawi się tutaj policja — dodał Javert, by wzmocnić wrażenie. — Zakończysz swą karierę na rogatce Saint-Jacques, Thénardier. Gdyby to tylko ode mnie zależało!... — Przerwał, wierny swemu słowu, wymachując pistoletem.

Thénardier zsunął się z krzesła i ukląkł. Poterri złożył ręce jak do modlitwy i zaczął recytować akt skruchy: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, przeto błagam...”.

Nagle przerwał. Na dworze huknął piorun. Błyskawica rozjaśniła pokój nierzeczywistym światłem. Ledwo żywy Thénardier zawołał wówczas z wyrazem żarliwej pobożności:

— Przeto błagam tę córkę galernika, by niczego mi nie wybaczała!

I zaśmiał się jak hiena.

Wstrząśnięta Kozeta zwróciła się do Javerta:

— Co on wygaduje?

Javert, dygocąc z emocji, szepnął:

— Nic, moje dziecko... Kłamie jak zawsze...

Mimo hałasu, jaki czynił grad, bijący o dach, Thénardier usłyszał słowa Javerta.

— Kłamię? — wybuchnął, nadal klęcząc, z wykrzywionymi ustami i błyszczącymi oczami. — Kłamię, inspektorze Javert? Ach tak! Bo Skowronek nie zna prawdy! Inspektor Javert nie powiedział jej wszystkiego? Nie powiedział, że poświęcił część życia na polowanie na niejakiego Jeana Valjeana? Albo pana Madeleine? Albo pana Fauchelevanta? Co więc jej powiedział? Że to ja jestem wszystkiemu winien? I że to przeze mnie Jean Valjean spędził na galerach dziewiętnaście lat? Że jestem kozłem ofiarnym, który odpowiada za winy wszyst-

kich? Ja, sierżant Thénardier? Bohater spod Waterloo? — Potem chwycił się nogi stołu i z wściekłością rzekł do Kozety: — A więc o niczym nie wiesz, Skowronku? Do diabła! Więc ja cię uświadomię! Udajesz baronową? Jesteś niczym! Rozumiesz? Niczym! Jak twoja matka Fantyna! Jesteś dziwką! Twój zasmarkany baron jest królem idiotów! A ten człowiek obok ciebie to potwór, policjant, który przez dwadzieścia lat ścigał twego ojca!... Z pewnością pamiętasz ruderę Gorbeau? Tę, do której przychodziłaś ze swoim ojcem złodziejem, by dać nam nędzną jałmużnę? By nas, biedaków, upokorzyć jeszcze bardziej? No więc człowiekiem, którego pan inspektor Javert chciał za wszelką cenę zakuć w kajdanki, był twój ojciec! Jak mu tam, Madeleine czy Fauchelevant! Nie ja! O nie, do jasnej cholery!... Nieważne! Jakiś szal przesładowania! Miał to we krwi!

Javert, przybity, opuścił lufę pistoletu. Wolałby sam wyjawić prawdę Kozecie. Miał uczucie, że wyzuto go z pewnej tajemnicy i zraniono najgłębiej, jak można. Obracał się w miejscu. Wszyscy wlepili w niego oczy. Tak jak w ten przekłety dzień, gdy Jean Valjean zamiast go zabić, puścił wolno. Ujawniono jego rozpacz, wady, obłądną zawziętość: odczuł to niczym smagnięcie biczem w twarz. Wbrew temu, co sobie przyrzekł, podniósł spokojnie pistolet i skierował go ku sobie. Miał już przyłożyć lufę do skroni, gdy Kozeta pchnęła go z całej siły:

— Nie!

Javert stracił równowagę, upuścił pistolet i łaskę i o mało nie upadł. Wykorzystali to dwaj zbóje i rzucili się na niego. Wilczarz podniósł się jednym susem i złapał Kozetę w pasie.

Sprawę załatwiono szybko. Javerta i Kozetę w mgnieniu oka związano i zakneblowano. Nie mogli mówić. Patrzyli tylko wymownie na siebie. Kto zawinił? Które z nich? Oboje mieli sobie za złe, że nie porozmawiali wcześniej, że nie zadawali sobie więcej pytań. Ich spojrzenia były niczym rana. Rana, która otworzyła wszystkie rany przeszłości.

Thénardier, który wreszcie wstał, wziął się pod boki, obszedł

dokoła więźniów, mierząc ich wzrokiem, po czym parsknął konwulsyjnym, sardonicznym śmiechem.

— Znów jesteśmy w rodzinie? Tylko kto okazał się sprytniejszy? Ty, Javert? Ty, Kozeto? Czuję, że inspektor wróci na dno tej rzeki, z której nigdy nie powinien wyjść. Ty, Kozeto, nie jesteś mi już do niczego potrzebna. A twego Mariusza, jeśli pokaże głębę, zakują w kajdany. Jesteście skończeni. — Potem odwrócił się do Wilczarza: — Przypomina mi to pewną zabawę historyjkę, wiesz, to, co przydarzyło się temu biednemu Carignolowi!

Wilczarz bez słowa skinął głową. Wówczas Thénardier, zgięty we dwoje, spojrział na zegarek:

— Jeśli nie chcemy się spóźnić na spotkanie z naszym Amerykaninem, trzeba się pospieszyć. W programie zaszła niewielka zmiana!

Javert, który z powodu knebla z trudem oddychał, uniósł jedną brew. Amerykanin'? Zatem nie wszystko stracone.

*

Na dworze lało jak z cebra. Ulica była szara i wyludniona. Roland, który schował się pod jakimś daszkiem, stał bezradnie. Gdy zobaczył, że Javert i Kozeta wychodzą w otoczeniu czterech mężczyzn, do których dołączyło trzech osobników stojących na straży przed domem i jeszcze jeden z warsztatu, uznał, że sprawa jest przegrana. Wcisnął głowę w ramiona, opuścił swą kryjówkę i zaczął oddalać się wolnym krokiem.

— To Roland! — krzyknął Thénardier, wymachując z wściekłością laską Javerta.

— Karzeł się nim zajmie — powiedział Wilczarz.

— Czy jest ktoś do pilnowania warsztatu? — spytał Thénardier.

— Tylko jeden człowiek — odpowiedział Wilczarz. — Ale udało mi się wytrzasnąć jeszcze jednego. Czeka przed Chat--Malin. Jest nas dziewięciu, Koci Królu.

Twarz Thénardiera spurpurowiała z wściekłości.

— Tym lepiej, ale zajmij się Rolandem! Mam gdzieś twego karła! Dawid i Goliat istnieją tylko w legendzie!

Słyszając te słowa, Roland popędził jak szalony. Wilczarz rzucił się za nim w pogoń.

Na końcu ulicy Roland upadł. Ziemia była śliska od deszczu. Gdy chciał się podnieść, w kolanach poczuł piekący ból. Rozejrzył się dokoła i wyjął kastet. Przewrócił się przez to ukryte w bramie, szyderczo roześmiane dziecko, które nagle wychyło z niej i szło ku niemu z długim ostrzem w rękę. Roland otarł sobie twarz. Mimo deszczu, który padał teraz długimi, gęstymi strugami, zobaczył dziecko lepiej: miało twarz o grubych rysach, zadarty nos, a oczy nad wystającymi kośćmi policzkowymi zdawały się unosić ku skroniom. Krew ścięła mu się w żyłach. Był to karzeł, który przyniósł list na ulicę Saint-Fiacre! Ten sam, który podciął mu nogi. Ale Roland nie był człowiekiem, który rezygnuje. Nieoczekiwanie z niesamowitą siłą uderzył gнома w głowę. Karzeł bez słowa osunął się na ziemię ze strzaskaną czaszką.

Roland doczłogał się do ściany. Oparł się o nią i usiłował wstać. Na próżno. Przez zasłonę deszczu zobaczył człowieka w futrzanej czapce. A potem jakiś lśniący przedmiot w jego rękę. Była to ostatnia rzecz, jaką widział. Sierpak gwizdnął w powietrzu i wszystko ucichło. Woda w ścieku zabarwiła się na czerwono. Wilczarz wyciągnął sierpak, żeby oplukać go na deszczu. Zazwyczaj lubił, jak ta przyjemność trwa dłużej. Nie spieszył się. Ale teraz właśnie brakło mu czasu. Rozejrzył się dokoła i schylił, by złapać olbrzyma za nogi. Wciągnął go do bramy i tam zostawił. To samo zrobił z karłem. Potem dołączył do Thénardiera i reszty.

— Lubię ciemność. A ty, Skowronku? Kozeta nie mogła odpowiedzieć. Siedziała zakneblowana w kuchni, gdzie zaciągnięto zasłony.

Słyszając skrobanie do drzwi, Thénardier oparł laskę Javerta o kontuar i rozstawił swych ludzi wokół drabiny, po czym sam poszedł otworzyć z pistoletem Javerta w rękę.

—Załatwione — powiedział Wilczarz ociekający wodą.

—Worki przygotowane?

Wilczarz spojrzawszy pytająco na swoich ludzi. Jeden z nich wskazał ręką kontuar.

— Są tam.

Thénardier zapalił świecę i poszedł sprawdzić. Policzył, że jest osiemnaście worków oraz stos szmat i duży worek trocin.

—Strasznie tu śmierdzi — powiedział, zatykając nos.

—Ci durnie zapomnieli zabrać głowę Carignola — odpowiedział Wilczarz. — Kiedy byłem tu wczoraj, cuchnęło. Wziąłem ją i sam wrzuciłem do kanału.

Thénardier zaśmiał się ponuro.

— Carignol dotąd wtykał nos tam, gdzie nie trzeba, aż w końcu zgubił głowę! — Potem powiedział poważniej: — Czy osiemnaście worków wystarczy?

Wilczarz udał, że się zastanawia. Aby zasłużyć na względy Thénardiera, przesadzał w gorliwości. Z pewną siebie miną oświadczył:

—Jeśli dobrze liczę, są cztery nogi, cztery ręce, dwie głowy i dwa kadłuby przecięte na dwoje. Do tego trzeba dodać dwa worki na wnętrzności. Ale tym zajmą się już koty z dzielnicy.

—Każdy kawałek w oddzielnym worku?

—Tak będzie bezpieczniej, Koci Królu. I porozrzuca sieje w różnych miejscach, żeby nie dało się ich poskładać do kupy. W sumie czyni to szesnaście worków. A na juchę są trociny. Dwa worki, aby wszystko wsiąkło. No i trochę kadzidła, żeby usunąć zapach.

—Rachunek się zgadza! — zawołał Thénardier i tupnął nogą, po czym zwrócił się do Javerta, który stał oparty plecami o ścianę.

—Co o tym myśli nasza zjawa z tamtego świata? A raczej może powinienem powiedzieć, pan Moreau?

Javert pozostał niewzruszony. Z dostojnością patrycjusza rzucił pogardliwie okiem na wszystkich zbrodniarzy porostawianych w sali. Było ich dziewięciu, czyli sporo. Dręczony wyrzutami myślał przede wszystkim o Kozecie, którą z miejsca, gdzie stał, ledwo widział. Musiała się przerazić sposobem, w jaki traktował ją Thénardier. Zaczął szarpać sznury, którymi go skrępowano, i nadał pierś, starając się je rozerwać. Potem znów zaczerpnął powietrza. Podobno w chwili śmierci człowiek robi rachunek całego życia. Tymczasem on w tym ostatecznym momencie wcale o tym nie myślał. Był na siebie wściekły. Wściekły, że chciał sobie palnąć w łeb, i wściekły, że mu się nie udało. Bał się tylko o Kozetę. Przez ostatnie trzy lata myślał o sobie niby o Penelopie, która ciągle od nowa tka płótno swego uczucia i wierności samej sobie, a tym samym myślał o długu, który miał wobec Jeana Valjean. Ta straszliwa historia nie może tak się zakończyć. Zebrał siły i znów nadał pierś. Ucisk więzów nieco zelżał. Gdybyż jeszcze mógł usunąć poduszkę, którą umieścił na jego plecach Ludwik de Vergne! Sznury rozluźniłyby się i mógłby się wyswobodzić.

— Widzisz — podjął Thénardier, biorąc go na muszkę — mógłbym raz-dwa z tobą skończyć, ot tak, naciskając na spust. Ale po co mam się fatygować? I po co stawiać na nogi wszystkich stróżów w dzielnicy? Nie, wybrałem dla ciebie śmierć godną twojej rangi. Śmierć bohatera greckiej tragedii. Wy krwawisz się jak wieprz. Tu obecny mój przyjaciel Wilczarz jest znakomitym specjalistą. Specjalistą, by tak rzec, wyrafinowanym.

Thénardier mówił, nie zwracając uwagi na nieznaczne ruchy Verjata. Były policjant tarł sznurami o szorstki tynk ściany. I poduszka chyba drgnęła.

—Czy dobrze naostrzyliście sierpaki? — spytał wesoło Thénardier.

—Jak noże do szatkowania kapusty, Koci Królu.

—A jak długo potrwa lekcja anatomii?

—Najwyżej godzinę.

— Doskonale. Będziemy mieli czas przygotować się na przyjęcie Amerykanina.

Siedzącej w kącie kuchni Kozecie, udało się wyciągnąć z kieszeni scyzoryk. Ponieważ był zamknięty i musiała manipulować koniuszkami palców, przecinanie sznura zabrało jej sporo czasu.

Thénardier znów zwrócił się do Javerta:

— Jeśli chcesz umrzeć szybciej, jestem gotów wyświadczyć ci tę uprzejmość. Wszelako pod jednym warunkiem: powiesz mi, gdzie się ukrywa garbus i ta glista Gérard. Jeśli się zgadzasz, kiwnij głową.

Javert zrobił to.

—No więc? — ponaglał Thénardier, który szybkim ruchem wyrwał mu knebel.

—Siedzą w jakimś ukryciu. Burdin powiedział mi, że ma dla ciebie pokazać sumę pieniędzy. Ale sam bał się tu przyjść.

—Co ty wygadujesz?

—Mówię czystą prawdę — odpowiedział Javert z konfidencjonalną miną. — Możesz zapytać Kozety. Punktualnie o dziewiątej pieniądze będą w warsztacie.

—To po co tu przyszedłeś?

—Liczyliśmy obaj z Burdinem, że schwytamy cię na gorącym uczynku.

—No to źle myśleliście! Tak jak ta głupawa Kozeta, której zdawało się, że będę tu odstawiał skruszonego!

Właśnie wtedy na piętrze nad drabiną coś trzasnęło. Było tam nieużywane obecnie pomieszczenie gospodarze, gdzie niegdyś za czasów Clan Destin dokazywały parki. Takie jak Mariusz i Klemencja de Lavelly.

Thénardier odwrócił się raptownie.

— Czy na górze ktoś jest?

Drabina była przetykana suchymi kwiatami, ostrokrzewem, naręczami zbóż. Dekoracja w stylu wiejskim. Ale teraz na ciemnym przygórku czaili się Mariusz z Kochasiem. Na dźwięk imienia Kozety Mariusz drgnął mimo woli i wtedy jego szabla

lekką uderzyła o podłogę. Nieco wcześniej Kochaś bez trudu otworzył drzwi do gospody. Dla stolarza, mającego podstawowe wiadomości o ślusarstwie, było to dziecinnie łatwe. Przyszli tu, bo Mariusz chciał pokazać Kochasiowi obciętą głowę. Ale głowa zniknęła. Gdy usłyszeli, że ktoś nadchodzi, uciekli na górę.

— To pewno szczur — powiedział Wilczarz.

— Niech dwóch ludzi pójdzie i sprawdzi. Lepiej się upewnić — rozkazał Thénardier i zwrócił się do Javerta: — Jak widzisz, z wymierzenia mi sprawiedliwości będą nici, Moreau. Chciałeś, żebym drapnął? No to drapnę. Ale z pełnymi kieszeniami. Z całkiem niezłą fortunką!

Ledwo skończył mówić, gdy znów coś szcęknęło: to Mariusz obciął szablą głowę pierwszemu bandycie. Drugi dostał od Kochasia nożem w brzuch. Ale nie upadł, tylko zatoczył się do tyłu, lekko pochylony, z rękami zaciśniętymi na ręczce sztyletu. Gdy znalazł się kolo drabiny, zachwiał się i spadł po jej szczeblach.

— Czy to Koci Król? — zabrzmiał wówczas jakiś głos. — Raczej Thénardier!

Mężczyzna w marynarskiej czapce i oficerskiej kurtce stał na szczycie drabiny z szablą w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

— Amerykanin! — wrzasnął Wilczarz.

Nie bacząc na wysokość, Mariusz skoczył i wylądował na jednym ze stołów. Kochaś wolał zejść po drabinie. Znalazłszy się na dole, chwycił krzesło i zaczął nim wywijać nad głową.

Thénardier wycelował z pistoletu i strzelił. Ale ponieważ spiskować umiał lepiej niż obchodzić się z bronią palną, chybił. Bandyci, początkowo przerażeni dwoma diabłami, które spadły z nieba, teraz sięgnęli po noże. Kochaś odrzucił krzesło i runął ku nim. Swą jedyną ręką chwycił pierwszego zbója za brodę i przyparł go do muru. Potem skrzył mu kark z ponurym trzaskiem. Drugiego ogłuszył. Niestety jakiś brodac w szapoklaku wykorzystał okazję i wpakował Kochasiowi nóż w udo. Ten zawył i oparł się jednym kolaniem o ziemię.

Mariusz natychmiast zeskoczył na podłogę i jednym celnym ciosem szabli obciął brodaczowi dłoń. Złoczyńca z niedowierzaniem spojrział na zakrwawiony kikut i padł jak długi na ziemię. Kochaś chwycił go za szyję i zaczął dusić. Ale ktoś rzucił w niego krzesłem i złamał mu ręką. Kochaś zwolnił uścisk i stracił przytomność. Brodacz wykorzystał ten moment, by owinać sobie szmatą kikut i podnieść z ziemi nóż.

Tymczasem inny mężczyzna zaatakował Mariusza, który z bliska wypalił do niego z pistoletu i nieprzytomny z wściekłości odepchnął go nogą, dobijając strzałem w potylicę. Policzył szybko: wyeliminowali pięciu bandytów. Poza Thénardierem i jego pomocnikiem na placu boju zostało ich tylko czterech.

— Javert! — krzyknął wówczas Thénardier. — Wykończcie Javerta!

Na dźwięk tego nazwiska Mariusz stanął jak wryty. W ciemnościach nie dostrzegł Kozery. Gdzie jest? Popatrzył na Thénardiera, zdjął czapkę i rzucił mu ją w twarz.

— Zapłacisz za wszystkie swoje zbrodnie!

Oślupiały Thénardier otworzył usta.

—Mariusz Pontmercy... — szepnął, cofnął się i oparł o kon-tuar. — Nie zapomnij, że pod Waterloo uratowałem twego ojca... — wybełkotał.

—Łżesz!

Gdy Mariusz chciał poderżnąć Thénardierowi gardło szablą, ktoś pociągnął go do tyłu. Na plecy wskoczył mu bezzębny rudzielec, uzbrojony w coś w rodzaju bicia. Potoczyli się obaj po ziemi, przewracając stół i dwa krzesła. Wywiązała się straszliwa walka wręcz.

Przez ten czas Javert wyswobodził się z więzów. Ale na wezwanie Thénardiera rzucili się na niego Wilczarz i brodacz w szapoklaku. Z siłą rzymskiego lwa Javert wywinął się Wilczarzowi, rzucił nim o ścianę i odwrócił się do brodacza. Kozeta, która pragnęłaby krzyczeć na cały głos imię Mariusza, miała zakneblowane usta, tupiała więc tylko w podłogę. Scyzorykiem pokaleczyła sobie skórę. Tymczasem Thénardier wrzeszczał jak opętany.

— Wykończcie ich! Wykończcie ich wszystkich!

Ogłuszony Wilczarz podniósł się i skoczył na Javerta, który przytrzymując brodacza kolanem, walił jego głową o mur. Wilczarz zaatakował go od tyłu i okładał po grzbiecie ile sił. Jednak poduszka na plecach Javerta amortyzowała ciosy i nie wypuścił ofiary z rąk. Gdy poczuł, że ciało brodacza znieruchomiało, odchylił się, sięgnął za plecy, chwycił poduszkę i wyciągnął ją. Dyszał ciężko. Leżącemu obok niego brodaczowi udało się wślizgnąć pod stół. Javert podniósł oczy i zamarł. Przed nim stał Wilczarz ze złym uśmiechem na ustach i sierpakiem w ręku.

— Nie ruszaj się! — usłyszał nagle Wilczarz.

Zamiast posłuchać, odwrócił się i uskoczył w bok. Mariusz powalił pięścią rudzielca i teraz chciał go zastrzelić. Niestety chybił. Zostały mu jeszcze dwie kule. Wziął na muszkę brodacza, który czołgał się w stronę Javerta, by go zasztyletować, i niemal automatycznie nacisnął na spust. Zbój dostał kulę w środek czoła i znieruchomiał.

Wilczarza po raz pierwszy w życiu obleciał strach. Leżąc za przewróconym stołem, zastanawiał się, z jakiego rodzaju broni mógłby oddać kilka strzałów raz za razem. Natychmiast się dowiedział. Mariusz z piekielnym hałasem powalił rudzielca. Kolt Paterson, broń wielostrzałowa, siał dokoła śmierć. Dla większej pewności Mariusz bezlitośnie pchnął jeszcze rudzielca szablą, który za każdym zadany ciosem wył jak zwierzę i podskakiwał w miejscu. Banda Wilczarza została zdziesiątkowana. Wszędzie czuć było proch i krew. Mariusz rozejrzał się po sali, jakby szukając jeszcze jakiejś ofiary, jednak nie dostrzegł ukrytego za stołem Wilczarza. Gdy stał tyłem do kontuaru, Thénardier podniósł bicz, który wypadł rudzielcowi z rąk, i zadał Mariuszowi straszliwy cios. Pod Mariuszem ugięły się nogi i wypuszczając z rąk szablę i rewolwer, osunął się na ziemię zasłaną przewracanymi stołami i trupami. Wilczarz natychmiast wyskoczył ze swej kryjówki, podniósł rewolwer i przytknął lufę do karku Mariusza.

— O jednego mniej! — krzyknął z triumfalną miną.

Ale magazynek był pusty. Wtedy Wilczarz odwrócił się i zobaczył Javerta, który przyparł Thénardiera do kontuaru i groził mu nożem. Rzucił w niego rewolwerem, ale Javert zrobił unik. Wówczas Wilczarz sięgnął po sierpak.

— Ty, jak ci tam, Moreau czy Javert — prychnął — obiecuję ci, że cię dopadnę!

Złapał Javerta za kołnierz i wpakował mu sierpak w plecy. Tym razem były policjant nie miał już poduszki, która amortyzowałaby cios. Skrzywił się, postąpił parę kroków i osunął się ciężko na ziemię z sierpakiem wbitym w plecy.

— Nie!

To krzyknęła Kozeta. Kiedy w końcu udało jej się przeciąć sznury, wpadła do sali. Na widok usłanej trupami ziemi o mało nie zasłabła. Ale gdy Wilczarz uderzył Javerta, rzuciła się na niego z otworzonym scyzorykiem. Zapomniała o Thénardierze, który znów ruszył do ataku i podstawił jej nogę. Kozeta zachwiała się, upadła na Wilczarza i wbiła mu scyzoryk w brzuch. Pomagier Thénardiera krzyknął przejmująco. Z energią, jaką daje rozpacz, chwycił Kozetę za szyję i ścisnął z całej siły. Tymczasem Thénardier biegł już do wyjścia.

— Kończmy z rym wszystkim i chodź ze mną! — rzucił.

Wilczarz usłyszał go, ale szukał oczami sierpaka. Chciał natychmiast upuścić krwi tej małej dziwce. Pod jednym ze stołów zobaczył nóż. Trzymając Kozetę, która dusiła się, i ledwo broniła, końcem stopy chciał przysunąć nóż. Był jednak za daleko.

— Tego szukasz?

Pomagier Thénardiera odwrócił się i puścił Kozetę. Stał przed nim błądy jak widmo Javert, trzymając rękę za plecami. Zdawało się, że Wilczarz szuka jej spojrzeniem. Gdy wreszcie zobaczył tę silną, zakrwawioną rękę, tkwił w niej sierpak. Javert wyrwał go sobie z pleców.

— I co ty na to?

Wilczarz nie zdążył odparować ciosu. Sierpak przeciął po-

wietrze i zagłębił się w jego czaszkę niczym metalowa aureola. Z ust Wilczarza nie wydobył się żaden dźwięk, oczy zaszyły mu mgłą. Jak to możliwe, że Javert mu się wymknął? Ten człowiek musi być diabłem. Obrócił się wokół własnej osi i tyłem zaczął iść ku drzwiom.

Kozeta nawet nie drgnęła, by go gonić. Obok niej Javert chwiał się na nogach. Opuścił rękę i wskazał jedno z ciał:

— To Mariusz... — wyjąkał.

Kozeta ukłękła i obawiając się najgorszego, odwróciła ciało leżące twarzą do ziemi. Rzeczywiście był to Mariusz. Wzięła jego twarz w obie ręce i uniosła ją z czułością.

— Mariuszu, odezwij się...

Wtem na dworze huknął strzał. Mariusz otworzył oczy. Gdy mimo przebrania ulicznika i krótkich włosów poznał Kozetę, swoją Kozetę, myślał, że to cud.

—Ja...

—Nic nie mów — szepnęła Kozeta głosem przerywanym łkaniem. — Weź mnie w ramiona i mocno przytul. Przytul mnie, bo inaczej umrę...

Kozeta i Mariusz długo tak klęczeli objęci, bez słowa. Ich wargi nawet się nie złączyły, ręce ledwo się dotykały. Na razie Kozeta czuła tylko ciężar głowy Mariusza tuż przy sobie. Wyglądali jak posągi z ulicy Plumet. Kozeta zniszczyła je, a oto odrodziły się z krwi i ciała. Ta sama poza, ta sama ufność.

Rozejrzeli się dokoła. Przez salę przebiegło jakieś niewytłumaczalne drżenie. Potem nastąpiła cisza. Cisza grobowa. Na ich twarzach rozbłysły łzy. Nie sposób było cokolwiek powiedzieć w takiej jatce. Odnaleźli się pośród krwi, śmierci, smrodu.

Mariusz potrząsnął głową, ucałował Kozetę w czoło i pomógł jej wstać. Potem jego wzrok padł na Javerta.

— Wie pan, wydaje mi się, że odmłodziłem o kilka lat.

— A mnie, że się przedwcześnie postarzałem...

Doszedł ich jakiś jęk. Kochasiowi, który był w bardzo złym stanie, udało się usiąść na krześle. U jego stóp leżał jeden z ludzi Wilczarza.

— Jeszcze żyje, ale stracił wzrok — szepnęła siłacz.

— Zajmie się nim policja — rzekł Javert, który o mało nie upadł.

Kozeta pobiegła do kontuaru i wróciła z jego laską.

—Dziękuję, moje dziecko... Stare zwierzęta takie jak ja są bardzo słabe... — szepnęła i zwrócił się do Mariusza: — Trzeba złapać Thénardiera... Poszedł do warsztatu...

—Zajmę się tym. Ale proszę, by w tym czasie zajęli się pan Kozeta i moim przyjacielem.

— Nie puszczę cię już samego — zaprotestowała Kozeta.

Nagle otworzyły się drzwi. Był to Ludwik de Vergne. Widząc rozmiary tragedii, wyjąkał:

—Chodźcie, dorożka czeka...

Kozeta zdziwiła się.

—Ale skąd się pan tu wziął?

—To przypadek—odparł Ludwik, rzucając okiem na Javerta.

Mariusz podniósł swoją szablę i rewolwer, wziął

Kochasia

pod rękę i zaprowadził go do dorożki. Javert mimo szmaty, którą owiązał sobie wokół krzyża, z najwyższym trudem pokonał tę odległość. Kozeta uświadomiła to sobie i przeraziła się jego stanem.

—Trzeba natychmiast wezwać lekarza!

—To tylko draśnięcie.

Ubranie na plecach Javerta było zbroczone krwią.

Gdy Mariusz nabijał rewolwer, do dorożki wsunął głowę bladej jasnowłosej mężczyzna. Na jednej ręce i ramieniu miał płócienny opatrunek, a w drugiej trzymał jeszcze dymiący pistolet.

— Na szczęście pan Javert zostawił mi drugi pistolet — powiedział, wymachując bronią. — Trafiłem z odległości pięć nastu kroków.

Rzeczywiście, pod którymś z budynków można było się domyślić ciała człowieka z wbitym w głowę sierpakiem.

—Chyba pan oszalał! — zawołała Kozeta. — Kto pozwolił panu opuścić szpital?

—Proszę się nie bać, natychmiast tam wracam — zażartował Amadeusz z nikłym uśmiechem. — Ale miałem dług wobec Mariusza. Chciałem, by wiedział, że nigdy go nie zdradziłem. A teraz zabierajmy się stąd szybko. Za chwilę zjawi się tu policja.

Mariusz zbliżył się do drzwiczek i położył rękę na dłoni przyjaciela, któremu poprzysiągł śmierć.

— Przebacz, że zwątpiłem w ciebie, Amadeuszu. I pomyśl leć, że o mało cię nie zabiłem...

Cofnął rękę i pomógł Javertowi wsiąść do dorożki.

—Chcę wam towarzyszyć — zaprotestował były policjant.

—Nie jest pan w stanie tego uczynić, panie inspektorze. A dzisiaj, przeciwnie jak kiedyś, to ja rozkazuję.

—Czekamy na ciebie u mnie przy ulicy de la Planche — szepnęła Ludwik de Vergne.

—Przyjdę.

—Mariuszu! — krzyknęła Kozeta, która chciała wysiąść z dorożki.

Spojrzał na nią czule.

— Nie...

Kozeta usłuchała. Mariusz pomachał jej na pożegnanie ręką. I gdy dorożka ruszyła, pobiegł w stronę warsztatu.

Thénardier wrócił na swoje poddasze, by opróżnić sejf i jak najszybciej napęłnić sakwy. Opuszczał swą norę z wielkim bólem. Dobił tu tyłu korzystnych interesów! Ale teraz należało się spieszyć. W każdym razie dzięki pieniądзом i diamentom ma zapewniony dostatek. Śmierć Wilczarza uwolniła go od wszelkich długów. Dobrze i to. A z tym, co zainkasuje w warsztacie, czeka go niemal luksusowe życie.

Gdy wszedł do warsztatu, było zupełnie ciemno i cicho jak makiem zasiał. Czy dzieci siedzą przy robocie? Matka Fouillet czyściła piaskiem sagan.

— No jak tam, moje dziatki, pracujemy? — zaskrzeczał Thénardier.

Człowiek, którego zostawił w warsztacie Wilczarz, zniknął. Prawdę mówiąc, niewiele co było widać. Nie paliła się żadna świeca.

— Nikt do mnie nie przyszedł? — spytał Thénardier słodki głosem. — I dlaczego ciemności, do wszystkich diabłów? — dodał głośniejszym głosem.

Drgnął, słysząc jakiś hałas. A jeśli to policja? Aż przysiadł. Jego twarz o łuskowatej cerze, sflaczałych rysach i cofniętym czole nabierała coraz to głępszego wyrazu. Na oczach matki Fouillet nakrył się starym workiem, do którego wrzucano kocie głowy. Potem przykucnął pod oknem i czekał. Przez worek widział światło. Coraz więcej światła.

Wtem jakiś zachrypnięty głos zawołał:

— Gdzie on jest? Widzieliście go? Zamknijcie drzwi na dwa spusty i schowajcie klucz!

Rozległ się głuchy, ciągły tupot nóg i do warsztatu wpadła chmara dzieci, które wrzeszczały i klaskały w dłonie. Thénardier przeraził się nie na żarty. Przez worek widział cień starej pomywaczki.

— Przeszukajcie cały warsztat! — rozkazał ten sam ochrypły głos.

W ciemności migotały światełka. Można by rzec, że to robaczki świętojańskie. Matka Fouillet odwróciła się w stronę worka, pod którym ukrył się Thénardier, i wskazała na niego władcym gestem.

— No, no! — odezwał się znów ten sam głos.

Ów głos obudził złe wspomnienia. Thénardier zaczął trząść się na całym ciele. Kwaśny zimny pot wystąpił mu na twarz. Czyż przed chwilą nie widział jednoznacznego gestu tej starej głuchoniemej czarownicy?

Szkapa powolutku pociągnął za worek.

— Popatrzcie, kogo tu mamy! — zawołał, zwracając się do dzieci.

Nie było ich piętnascioro, ale trzydziścioro, czterdziścioro, może nawet więcej. Do bandy Szkapy dołączyli mali robotnicy. Brudni, źle odziani, w czapkach, kapeluszach z kociej skóry, dziurawych szapoklakach na głowach, siedzieli okrakiem na stołach i wymachiwali grzebieniami i nożami. Przypominało to jakiś trybunał, jakiś komitet ocalenia publicznego złożony z dzieci rewolucjonistów.

Thénardier wstał z trudem i głośno przełknął ślinę. Zauważył okrutną, a zarazem szyderczą arogancję dzieci.

— To ty? — powiedział do Szkapy. — Dobrze się składa, popatrz, mam tu coś dla ciebie i twoich przyjaciół... — Otworzył torbę i wyciągnął garść drobnych monet. — To dla was, dzieciaki! — krzyknął, potrząsając głową. — Koci Król jest sprawiedliwy i wielkoduszny! Przed wyjazdem chciał wam zrobić przyjemność!

I rozrzucił monety po warsztacie. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu nikt się nie ruszył.

— Jak to... Nie chcecie? — wyjąkał.

Szkapa stanął przed nim z nożem w ręku.

— Co masz do powiedzenia na swoją obronę, Koci Królu? A raczej panie Thénardier?

Oskarżony przeraził się. Wszystkie wlepione w niego dziecięce oczy były niczym ostre, mordercze szpilki.

— Ależ jesteście moimi dziećmi... — upierał się jeszcze. — Kocham was jak rodzone...

Szkapa wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

— Jesteś naszym dobrym tatusiem Tardierem, prawda? — I biorąc na świadków dzieci wyniesione do godności oskarżycieli zawołał: — Słyszeliście, dzieciaki? Koci Król nie przyznaje się do winy! I co wy na to?

Jego pytanie przyjęto gwizdami i krzykami. Uciszył je władczym gestem. Wyliczył zbrodnie Thénardiera, imiona jego ofiar,

śmierć jednych, cierpienia innych. Potem jeszcze raz zwrócił się do zgromadzonych:

— No więc?

Dzieci podniosły kciuki i niczym Rzymianie podczas igrzysk w cyrku, skierowały je ku ziemi.

— Zostałeś uznany za winnego — oświadczył Szkapa głosem oskarżyciela publicznego. — I skazany na śmierć.

— Na śmierć! — powtórzyły chórem dzieci.

Tupały nogami, wymachiwały wszelkiego rodzaju narzędziami, grzebieniami, nożami, obcęgi, pałkami.

Thénardier, napięty jak łuk, oparł się rękami o ścianę. Wymknąć się Javertowi i jego bandzie, by zginąć z rąk tego tałatajstwa? Człowiek z jego sprytem? Były wojak cesarstwa? To się nigdy nie stanie.

— Mam diamenty! — zawył, opierając się o ścianę i kiwając głową.

Nagle ktoś zastukał do drzwi.

— Na pomoc! — krzyknął Thénardier. — Mordują żółnierza! Sierżanta spod Waterloo!

Szkapa jednym pstryczkiem strącił mu z głowy czapkę z kocięj skóry. Thénardier zebrał siły i rzucił się do przodu jak wystrzelony z procy. Przewrócił matkę Fouillet i chwycił chochlę. Oberwał pałką i wypuścił ją z rąk. Wył z przerażenia. Dzieci siedziały już na nim. Zerwały z niego surdut, kręciły nim, jakby się bawiły w ciuciubabkę. Zachwiał się, odbił od któregoś ze stołów i padł na ziemię. Zdarto z niego ubranie. Otoczono, opluto, pobito. Zaciągnięto w głąb warsztatu. Tam potknął się o jakieś ciało. Były to zwłoki człowieka pozostawionego w warsztacie przez Wilczarza. Miał wylupane oczy i rozplątany brzuch.

— Jestem żołnierzem cesarstwa! — krzyknął znowu Thénardier. — Mam prawo do przyzwoitego traktowania!...

Posypał się na niego grad ciosów. Ciało miał pokaleczone i spuchnięte. Prawie nagiego, w samych kalesonach powiewających wokół nóg, przywiązano go z rozpostartymi na krzyż

rakami do stosu przewróconych krzeseł i stołów. Tymczasem do drzwi dobijano się coraz mocniej. Dzieci zupełnie nie zwracały na to uwagi. Tańczyły wokół ukrzyżowanego i zadawały mu ciosy nożami i grzebieniami. Przy okazji niektóre z nich zbierały monety i chowały je do kieszeni. Thénardier darł się wniebogłosy. Pokaleczono mu skórę na rękach, udach, brzuchu. Wił się, ślinił, podskakiwał jak oliwa skwiercząca na patelni. Oszczędzono tylko jego twarz. Jakby wszystkie dzieci, przywykłe do obdzierania ze skóry kotów, chciały na niej widzieć, jak cierpi.

— Zabić go! Zabić! — wołały cienkimi głosami.

Thénardier krzyczał coraz słabiej. Cerę miał ołowianą, twarz pokrytą potem, zalaną łzami. Ledwo się ruszał. W warsztacie, gdzie wszystko zdawało się wibrować, unosił się gryzący kurz, płynny aksamit rzeczy i przeszłości. Powietrze napełniły cuchnące opary krwi. Thénardier był już właściwie żywcem obdarty ze skóry. Był diabłem na swej Golgocie.

— Dobijcie mnie — zdawał się błagać.

Szkapa położył kres jego męczarniom. Uzbrojony w długi nóż, rozplątał mu brzuch aż do pępka. Ciało torturowanego uniosło się gwałtownie. Szkapa odwrócił się i spojrzał przez ramię. Thénardier sztywniał, targany przedśmiertnymi konwulsjami, ostatnimi skurczami. Gdy wreszcie znieruchomiał, dzieci zawyły z radości.

— Sprawiedliwości stało się zadość — szepnął Szkapa.

Nagle usłyszeli huk wystrzału. Zamek w drzwiach ustąpił. Na progu ukazał się młody człowiek w białej koszuli, z pistoletem w jednej ręce i szablą w drugiej. Był cały zakrwawiony. Gdy ujrzał to budzące grozę widowisko, schował broń. Wprawdzie marzył, by Thénardiera spotkała okrutna śmierć, ale to, co zobaczył, przekraczało granice ludzkiej wyobraźni.

Dzieci zdumiały się. Kim jest ten intruz?

Po tumulcie i wrzaskach zapadła absolutna cisza. Wszystkie oczy były wlepione w nowo przybyłego. Budził strach. Wyglądał jak anioł z piekiel. Dlatego gdy Mariusz postąpił dwa

kroki do przodu, dzieci z wrzaskiem rzuciły się ku wyjściu. Pochód zamykała matka Fouillet. Mariusz ledwo zdążył się odsunąć.

W warsztacie został tylko Szkapa. Mariusz podniósł oczy i przez chwilę przyglądał się zamęczonemu. Ojciec Anzelmy przypominał poćwiartowanego kurczaka.

—Został pan pomszczony — powiedział Szkapa, kierując się również w stronę wyjścia.

—Nie mamy prawa żyć bez litości — szepnął Mariusz.

—Musi pan to powiedzieć bogatym, panie baronie. My, nędzarze, znamy litość. To nawet nasze jedyne bogactwo.

— I wskazał palcem Thénardiera: — Oto dowód.

Podniósł torbę Kocięgo Króla, zasalutował Mariuszowi i znikł w ciemnym korytarzu warsztatu.

Mariusz stał jak skamieniały. Z trudem łapał oddech. Wtem zabrzmiały gwizdki: bez wątpienia była to policja. Po raz ostatni przyjrzał się człowiekowi, który starał się zgubić jego oraz wszystkich, którzy zetknęli się z Jeanem Valjean. Jego straszliwa śmierć położyła kres tylu długim latom cierpień. Nie czuł z tego powodu żadnej radości, żadnej ulgi. Czyż ta kupa udrećzonego mięsa nie była ojcem Anzelmy? Dumnej, wspaniałomyślnej Anzelmy. W jaki sposób zło posunięte do takich granic mogło zrodzić dobro?

Zagłębił się w korytarz i doszedł nim do ulicy. Tam, przed Chat-Malin, tłoczyli się policjanci i żandarmi. Przystanął w bramie. Deszcz padał nadal. Kto mnie wciągnął w całą tę awanturę? — pytał sam siebie. Czy będę mógł znów stać się człowiekiem, jakim byłem przed tym wszystkim?

Na widok komisarza Raynauda rozmawiającego z inspektorami zwątpił w to. Odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku. Znów uciekał. Jak niegdyś Jean Valjean.

Zanim Mariusz poszedł do mieszkania Ludwika de Vergne, wstąpił do hotelu de l'Odeon. Musiał przebrać się i wziąć Rafaela. Uregulował rachunek i zamówił dorożkę.

W pojeździe patrzył na dziecko, które grzecznie siedziało naprzeciwko niego i nic wypuszczało z rąk samurajskiego miecza. Ujął jego twarzyczką w dłonie i rzekł:

—Już nigdy nikt nie zrobi ci nic złego, kochanie.

—Bądą taki jak inne dzieci?

—Nie tylko będziesz taki jak inne dzieci, ale pójdiesz do szkoły i będziesz miał dom.

—A tatą i mamą także?

Mariusz uśmiechnął się z zażenowaniem. W tym momencie dorożka zatrzymała się. Przyjechali na ulicę de la Planche. Mariusz wziął małego za ręką i pomógł mu wysiąść. Woźnica podał im bagaż i skierowali się w stronę pałacyku, gdzie mieszkał Ludwik de Vergne.

Gdy weszli na piętro, popatrzyli na siebie badawczo.

—Opuścisz mnie? — spytał w końcu Rafael cichutko.

—Nigdy cię nie opuszczę — odpowiedział Mariusz, który postawił torby i wziął małego na rące. — Nawet jeśli odnajdziemy twoich rodziców, będę zawsze przy tobie. I Kochaś także. Będziemy jakby twoimi starszymi braćmi.

Twarzyczka Rafaela rozjaśniła się. Starszymi braćmi? Nie

pomyślał o tym. Strasznie mu się to spodobało. Oplótł rękami szyję Mariusza i pocałował go w czoło. Wtedy Mariusz postawił go na ziemi i mrugnął porozumiewawczo.

—Zgoda, braciszku?

—Zgoda.

Mariusz zadzwonił do drzwi.

Otworzyła Kozeta. Widząc Mariusza, padła mu w ramiona. Potem nachyliła się, by ucałować dziecko.

— Pamiętasz mnie?

Rafael zdumiał się. Samurajski miecz wypadł mu z rąk.

— To znaczy, że jesteś kobietą?

Wyjął z kieszeni kryształ i podał go Kozecie.

—Masz, oddaję ci go.

—Należy do ciebie.

Rafael odwrócił się do Mariusza, by zobaczyć, co on na to.

— Ten kryształ — rzekł Mariusz — jest przeznaczony dla bohaterów. Tak jak twój miecz.

Rafael zadrzał ze szczęścia. Potem poszedł z Magdaleną, która wzięła go za rękę i zaprowadziła do kuchni. Przygotowała dla niego jajka z miodem.

Mariusz i Kozeta znów się objęli.

— Bardzo się niepokoiłam — szepnęła.

Trwali tak dłuższą chwilę. Czuli w sobie jakby uderzenie fali, która odbijała się, wracała i zdawała się cofać do granic ich miłości. Jak kamyki zabierane przez falę, nie powinni nic czuć, a jednak czuli. Ciało drugiego człowieka, jego realność, jego ciepło pozwala nam odkryć własne istnienie. Po chwili Kozeta odsunęła się od Mariusza, by mu się przypatrzeć, nasycić się nim, sprawdzić, czy nie jest ranny.

—A Thénardier? — spytała wreszcie, zbyt wzruszona, by powiedzieć, jak się cieszy i jak go kocha.

—Nie żyje.

Kozecie zbrakło tchu. Z bijącym sercem ujęła twarz Mariusza w ręce i pocałowała go w usta. Przez ich ciała przebiegł gorący prąd. Był to jakby ich pierwszy pocałunek. Mariusz powoli

skierował się w stronę korytarza i kuchni. Kozeta z pewnym wahaniem i lękiem poszła za nim, położywszy mu głowę na ramieniu, jakby znalazła właściwy gest. Mariusz włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej swój kryształ.

—Przyniósł mi szczęście — powiedział, pokazując go Kozecie.

—Wszystko to głupstwa — odrzekła. — Najważniejsza jest miłość.

Zawsze czuła w Mariuszu miłość, czasem nadmierną, czasem hamowaną jakąś wszechpotężną siłą. Teraz cieszyła się każdym jej promieniem, który przelotnie ją muskał. Idąc korytarzem, rzuciła okiem w stronę kuchni. Rafael siedział na krześle z nosem w talerzu, jakby obcy temu szczęściu. Na stoliku obok jajek z miodem leżał jej kryształ. Kozeta podeszła do chłopczyka i wzięła go pod brodę.

— Rafaelu?

Oczy dziecka zaszyły łzami. Widząc złote włosy i błękitne oczy Kozety, zmarszczył lekko brwi. Kozeta oparła twarz o jego kark i położyła rękę na kryształach.

—Pewnego dnia — odezwał się Rafael — pokazałem go Mariuszowi, a on spytał, skąd mam ten kryształ...

—Zatem to dzięki tobie odnalazłam Mariusza — powiedziała Kozeta, przyklękawszy.

—Czy to talizman?

—Maskotka — odparła Kozeta. — Tobie też przyniosła szczęście. Jest tu twój tata. A nawet myślę, że wkrótce odnajdziesz i mamę.

Mariusz wytrzeszczył oczy.

— Chodźcie — powiedziała Kozeta, biorąc każdego za rękę.

Mieszkanie Ludwika de Vergne przypominało infinnerię. Eugeniusz Sue z pomocą Magdaleny udzielał pierwszej pomocy Amadeuszowi i Kochasiowi. Rana Javerta była poważniejsza,

niż pierwotnie sądzono. Przyjechał po niego wóz sanitarny ze szpitala Inwalidów. Były policjant stracił przytomność. Przedtem pragnął zobaczyć się z Kozetą i jej synem.

— Mój mały Jean... — powiedział jednym tchnieniem.
I zemdlął.

Kochaś przypłacił całe zajście tylko paroma szwami i złamaną ręką. Amadeusz czekał na kanapie, aż zabiorą go do Inwalidów. Rana na ramieniu znów mu się otworzyła. Eugeniusz Sue zabronił mu się ruszać. Ale jego życie nie było w niebezpieczeństwie. Przed paroma minutami usłyszał dzwonek do drzwi. On też niepokoił się o Mariusza. Gdy zobaczył go z Rafaelem i Kozetą, usiłował wstać. Z jego piersi wyrwał się okrzyk. Zdołał tylko wyciągnąć rękę.

— Mój syn...

Chłopczyk z wahaniem zbliżył się do Amadeusza.

— Ty jesteś moim tatą?

— Tak...

— To dlaczego biłeś się z Mariuszem?

Amadeusz nie miał siły odpowiedzieć. Przyciągnął dziecko do siebie i uściśnął je, szepcząc jakieś niedosłyszalne słowa.

Kozetą, stojącą nieco na uboczu, krótko wyjaśniła Mariuszowi, jak się sprawy mają. Zrobił zdziwioną minę, ale przypomniał sobie zwierzenia Klemencji, kiedy był u niej na ulicy Transnonain. A więc uratował życie synowi swego najgorszego wroga?

— Twój najgorszy wróg mnie uratował życie, Mariuszu.

Kozetą opowiedziała mu o gospodzie Pod Dwoma Krasnalami i o lokalu Pod Białym Diabłem. Nie wspomniała natomiast ani słowem o związkach łączących Burdina z Amadeuszem. Czy powinno się to rozgłaszać? Czyż według oficjalnego testamentu Amadeusz nie jest synem markiza dTguerande, zmarłego na polu chwały pod Essling?

— I powiedzieć, że o mało go nie zabiłem — szepnął Mariusz.

Nie był to koniec niespodzianek. Kozetą zaprowadziła go

do pokoju, gdzie leżał Kochaś. Miał teraz gęste faworyty, przez co jego twarz, nad którą wznosił się skręcony na końcu tupecik, wydawała się szersza. Na widok Mariusza podniósł głowę.

—No i?

—Thénardier zapłacił za swoje zbrodnie. Został ukarany przez tych, których tak bardzo wyzyskiwał.

Mariusz podszedł, pochylił się nad swym starym towarzyszem i położył ręce na jego wielkim owłosionym łapsku.

— Odpocznij teraz.

Kochaś nadal nie opuszczał głowy. W jego skośnych oczach widniał nieco drwiący uśmiech.

—Przeżyliśmy razem piękne chwile, prawda? — oświadczył tonem sugerującym, że wszystko jest skończone i że każdy wróci do swego świata.

—Przestań — zaprotestował Mariusz, któremu nie umknął niepokój towarzysza. — Jesteś moim przyjacielem. Nie chcę, byś wątpił we mnie.

Siłacz położył głowę na poduszce. Teraz mógł spokojnie zasnąć.

Mariusz i Kozeta wyszli z pokoju. Kozeta wróciła do salonu i zaproponowała Mariuszowi szklaneczkę brandy. Potem ciągnęła go pod małe zamknięte drzwi, cały czas rozmawiając o Kochasiu.

— Kiedy puściłeś się w pościg za Thénardierem, nieustannie mnie pocieszał — powiedziała. — Dopóki nie wróciłeś, nie chciał zasnąć. Ludwik musiał nawet powstrzymać go, bo chciał wstawać.

Mariusz wypił brandy ze ściśniętym gardłem.

— Zawsze w niego wierzyłem.

Oboje siedzieli w półcieniu. Mariusz postawił szklanekę na gerydonie.

— Teraz muszę ci coś wyznać — rzekła Kozeta. — Pamiętasz swoje podejrzenia?

Twierdząco skinął głową. Znow zobaczył Fryderyka leżącego na ziemi, zabitego przez Amadeusza... Sądził, że zaleca się do Kozety, że coś ich łączy...

— Fryderyk dwukrotnie pojechał ze mną do swego znajomego lekarza — ciągnęła Kozeta. — Wtedy widziałeś nas razem. Byłam chora, Mariuszu, mdlałam i wymiotowałam. Podejrzewano, że to cholera. A ty niczego nie zauważyłeś. Mówiłeś, że jestem gąską. Liczyły się tylko twoje artykuły, twoje garnitury i twoje spotkania w mieście. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętał. Nie ma sensu rozdrapywać ran. Oddychał z trudem, skoncentrowany na obrazach wygrzebanych z pamięci, pełen teraz wyrzutów sumienia.

—Pamiętasz naszą ostatnią kolację?

—Tak, w kawiarni Hardy'ego...

—Chciałam ci o czymś powiedzieć, ale nie śmiałam, Mariuszu. Uważałam, może niesłusznie, że nie jesteś na to gotowy. Nazywa się Jean.

Mariusz otworzył szeroko usta. Zaniemówił.

— Tak, Jean jak Jean Valjean — ciągnęła Kozeta. — Jak mój ojciec galernik. Jak ten człowiek, którego Javert ścigał przez dużą część swego życia. Lubię to imię. Imię ulubionego ucznia Chrystusa.

Otworzyła drzwi do sypialni i pokazała łóżeczko w pokoju oświetlonym tylko jedną świecą palącą się pomarańczowym płomieniem.

— To twój syn, Mariuszu.

Mariusz podszedł na chwiejnych nogach. Przykucnął koło łóżeczka i ukrył głowę w dłoniach. Kozeta, stojąca na progu pokoju, odwróciła wzrok. Mariusz płakał.

*

Wszystko zostało załatwione w ciągu tygodnia. Właściwie nie było to wznowienie procesu, lecz rehabilitacja. Z upoważnienia Ludwika Filipa prefekt Gisquet wziął sprawy w swoje ręce. Pomagali mu sędzia-komisarz i królewski prokurator. Zeznania człowieka schwytanego w Chat-Malin, Kozety, Klamencji de Lavely, Szkapę, księdza RiUeta, Kochasia i Klotyldy

Lepetit (Miauczuli) bardzo obciążęły Thénardiera. Ten człowiek, wcześniej skazany już na śmierć, został uznany za winnego zbrodni, o którą został oskarżony Mariusz po fl nazwiskiem Aleksander Tixier. Nikt nie uznał za konieczne ubolewać nad straszliwą śmiercią tego ostatniego. Śledztwo zostało zakończone wkrótce po wszczęciu. Ale elementem decydującym były zeznania inspektora Javerta.

Królewski prokurator, sędzia, który miał wznowić proces, ksiądz Rillet, komisarz Raynaud i prefekt Gisquet udali się do jego wezłowania. Od tygodnia inspektora nikt nie odwiedził. Zaglądał do niego tylko Amadeusz, który leżał w sąsiedniej sali. Mariusz i Kozeta dowiadywali się o jego zdrowie, ale byli zbyt zajęci procesem i urządzaniem się na nowo przy ulicy Saint-Fiacre. Przyszli tylko raz i zabawili bardzo krótko. Javert nie miał im tego za złe. Z dumą znosił samotność.

—Dlaczego nie ujawnił się pan wcześniej? — spytał prefekt Gisquet.

—Żyjemy tylko po to, by myśleć o tych, którzy już nie żyją — odpowiedział trochę tajemniczo.

Prawnicy popatrzyli na siebie. Czy Javert zwariował? Zgoda, ksiądz Rillet opowiedział im, jak wyłowił inspektora z Sekwany, jak zamienił jego tożsamość na tożsamość mężczyzny zmarłego na cholere, przedstawił powody, dla których Javert wolał zachować anonimowość. Nie zgadzając się z tą postawą, mogli ją tylko uszanować. Zwłaszcza po tym, co się stało. Ale potem? Wówczas ich uwagę przyciągnął przedmiot błyszczący w drżącej ręce Javerta. Złoty pierścionek w kształcie węża z oczami ze szmaragdów.

—Pierścionek? — zdziwił się komisarz Raynaud. W odpowiedzi wyręczył Javerta ksiądz Rillet.

—Boże, wybac mi! — powiedział, żegnając się.

Opowiedział o ekshumacji ciała pochowanego na Pere-La-chaise, kładąc nacisk na szczegóły, jakim był obcięty palec.

— Pan Javert znalazł ten pierścionek u Thénardiera, zatem był to dowód rzeczowy.

Zdaniem komisarza Raynauda fakt ten potwierdzał zeznania owej dziewczyny z oszpeconą połową twarzy i chłopaka z końską szczęką. Obydwoje świetnie znali Aleksandra Tixier i zawsze widywali go z tym pierścionkiem na palcu.

—Całego tego dramatu można było uniknąć, gdyby wcześniej powiadomił pan wymiar sprawiedliwości — rzekł prefekt do Javerta.

—Wymiar sprawiedliwości... — szepnął Javert. — Panie prefekcie, czy sądom pozostają jakieś wątpliwości, gdy sprawa zostaje umorzona?

Prefekt zasepił się. Spiorunował spojrzeniem Raynauda.

— Baron Pontmercy powinien przymierzyć ten pierścień — podjął Javert, sapiąc ciężko. — Jestem pewien, że jest dla niego o wiele za duży...

Po czym poprosił, by zostawiono go samego z prefektem policji.

Tego samego dnia Mariusza wezwano do Pałacu Sprawiedliwości. Stawił się w towarzystwie Kozety. Pierścień nie tylko był dla niego o wiele za duży, ale wręcz spadał mu z palca. Stanowiło to jeszcze jeden dowód. W każdym razie wszyscy byli przekonani, że Mariusz Pontmercy jest naprawdę Mariuszem Pontmercy.

Później Mariusz i Kozeta udali się do prefektury. Gisquet powiadomił ich, że zwrócił się do władz sądowych, by doprowadziły sprawę do końca. A kiedy Mariusz oznajmił mu, że ma ponownie pójść do króla, pogratulował sobie takiego rozwiązania.

Po wyjściu Mariusza i Kozety komisarz zauważył, że nie została wyjaśniona sprawa niejakiego Kochasia.

—Więc wyjaśni ją pan w Tulonie, panie Raynaud.

—Słucham?

—Nie przesłyszał się pan—rzekł prefekt z humorem. — Czy muszę przypominać, że Mariusz Pontmercy i Kochas nie tylko zostali uznani za bohaterów Ameryki, ale pomogli siłom porządkowym schwytać człowieka, który targnął się na życie króla?

—Tak, ale...

—Proszę mi nie przerywać! Pańskie paryskie doświadczenie było krótkotrwałe, panie Raynaud.

Komisarz zainkasował cios, nie zmrużywszy oka. Wpatrywał się w Gisqueta jak sroka w gnat. Siedzący za biurkiem prefekt ciągnął:

— Człowiek nie staje się Javertem z dnia na dzień, panie Raynaud. Javert był mistrzem. Podziwiał go sam Vidocq.

Znów zrobił przerwę. Potem podjął z ogniem w oku:

— Inspektor Javert powiadomił mnie, że skargi więźniów traktuje pan w sposób bardzo szczególny. Powiem bez ogródek: francuski wymiar sprawiedliwości nie powinien być tępy i stronniczy. Wiem, że poza nielicznymi wyjątkami wszyscy winni twierdzą, że nimi nie są. Ale nigdy nie należy odrzucać próby o dodatkowe śledztwo. Zwłaszcza gdy oskarżony twierdzi, że został uwięziony pod innym nazwiskiem. Zresztą inspektor Javert doniósł mi, z jakim cynizmem i grubiaństwem przyjął pan na galerach w Tulonie pewnego duchownego. Jest to niegodne przedstawiciela prawa. Dlatego też niech pan będzie szczęśliwy, że nie wyleciał pan ze służby.

Wydawało się, że Raynaud kurczy się coraz bardziej. Można by rzec, że targają nim przedśmiertne drgawki. Zrobił w tył zwrot i wyszedł z gabinetu prefekta.

Przeszedł parę kroków i pomyślał o księdzu, który złożył mu wizytę w Tulonie. Pamiętał go bardzo dobrze. Chodziło o Aleksandra Tixier. Inspektor Javert jest do niego niesamowicie podobny, pomyślał. Potrzęsął głową i poszedł dalej. Korytarze prefektury były ponure. Jego nastrój także. Ale obowiązek przede wszystkim. Ponieważ odsyłano go do Tulonu, więc tam wróci. Zawsze w służbie Francji i wymiaru sprawiedliwości. Ale uwaga: lepiej będzie, gdy jego podopieczni będą chodzili jak po sznurku!

*

Mariusz i Kozeta znów wprowadzili się na ulicę Saint-Fiacre. Na prośbę Amadeusza Klemencja de Lavelly przeniosła się do hotelu. Było to rozwiązanie tymczasowe, po prostu nie chciała

mieszkać pod jednym dachem z Mariuszem i Kozetą. Codziennie chodziła do Inwalidów. Czyż Amadeusz nie wspomniał jej o małżeństwie? Drżąc z emocji, nie rozstawała się ani na chwilę z synkiem, którego wreszcie zwrócił jej los. Rafael natychmiast ją zaakceptował. Ta ciemnowłosa mama, pachnąca lilią i ostrokrzewem, była taka dobra, taka ładna. Klemencja odżyła. Na jej uroczej twarzy widniała niebiańska radość, z ust znikł grymas goryczy. Wypiękniała.

W dniu, gdy opuszczała ulicę Saint-Fiacre, spotkała na schodach Mariusza. Rafael rzucił mu się na szyję. Mariusz wziął chłopca na ręce i żartobliwie narzekał, że staje się coraz cięższy.

— Jesteś już prawie mężczyzną! — zawołał.

— Nie, jestem twoim młodszym bratem — odpowiedział Rafael, patrząc na Klemencję. Prawda, mam?

Klemencja przyjęła to z całkowitym spokojem. Mama... Za każdym razem, gdy słyszała to słowo, topniała. Mariusz długo się jej przyglądał. Nadal była równie piękna. Podczas rewizji procesu zamienili ze sobą parę słów. Klemencja z godnością i szczerością powiedziała sędziemu to, co miała do powiedzenia. O swym tchórzostwie i podwójnej grze Burdina. Oboje z Mariuszem przyrzekli sobie nie wracać już do przeszłości.

— Tobie zawdzięczam tę radość, Mariuszu.

— Niczego mi nie zawdzięczasz. Zaslugujemy na wszystko, co mamy.

— Często o tobie myślałam... Nie odzywałam się, bo myślałam, że nie żyjesz. Jakże musiałeś cierpieć... — I poprawiając czarną jedwabną narzutkę, która skrywała jej pierś, rzekła: — Sprzedałam swoje mieszkanie przy ulicy Transnonain. Pobierzemy się z Amadeuszem. Chodząc do Inwalidów, wypatrzyłam apartament przy ulicy de Bourgogne.

Rafael, którego Mariusz ciągle trzymał na rękach, spytał, jak się miewa Kochaś.

—Zajmuje się nim Klotylda, kochanie. — I dodał zdławionym głosem: — Nie pytaj, gdzie są, nie wiem, gdzie mieszkają...

—Przyjdiesz na kolację do Eugeniusza Sue? — dopytywał się Rafael.

—Oczywiście.

Mariusz postawił małego na ziemi.

— Pan Javert bardzo źle się czuje — powiedziała wówczas Klemencja, którą wzruszyło zakłopotanie Mariusza.

Mariusz smutno pokiwał głową.

— Odwiedziliśmy go wczoraj z Kozetą. Jest słaby, ale chyba zdrowieje. Lekarzy niepokoi tylko oddech. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pewno wypuszczą go dwudziestego czwartego lipca.

Zapadła krótka cisza. Potem na schodach ukazała się Kozeta w kapeluszu ze wstążkami. Zatrzymała się, ucałowała Rafaela i uważnie spojrzała na Klemencję.

— Rozmawialiście o panu Javert?

Mariusz ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

— Mówiliśmy, że może wróci do nas dwudziestego czwartego lipca.

Kozeta wymieniła krótkie spojrzenie z Klemencją.

—Może? — zapytała z troską w głosie.

—Mam nadzieję, że ucieszy się z niespodzianki, jaką mu szykujemy — uprzedził ją Mariusz. — Między nami mówiąc — dodał nieco podniesionym głosem — to tajemnica!

Kozeta spojrzała na Rafaela, na sakwojaż Klemencji i drzwi do apartamentu Amadeusza.

— Tak, tajemnica — podkreśliła bezdzwięcznym głosem.

Pod jej kierunkiem przebudowywano ostatnie piętro domu, by połączyć pokoje Burdina i Magdaleny w jedno mieszkanie przeznaczone dla Javerta.

Klemencja obiecała, że dochowa sekretu. Zeszła ze schodów, trzymając Rafaela za rękę. Chłopczyk pomachał jeszcze raz swemu wybawcy, nie mogąc powstrzymać łez. Mariusz poczuł

ucisk w sercu. Podczas wszystkiego, co przeżył, przekonał się, że odwaga jest najprzyjemniejszą formą rozpacz. Teraz niczego nie był już pewien. Miał uczucie, że traci syna.

*

Dzień dwudziesty czwarty lipca zaczął się fatalnie. Mariusz dowiedział się o śmierci Armanda Carrela. Dziennikarz z „Le National”, który tak często nie tylko wspierał i podtrzymywał Mariusza, ale i doradzał mu, pojedynkował się na pistolety z Emilem de Girardin. Girardin został ranny w nogę, Carrel w pachwinę. Jego agonia trwała dwa dni.

Mariusz bardzo przejął się tą śmiercią. Pomyślał, że przyczyną naszych nieporozumień z ludźmi jest nie to, co robimy, ale to, jacy jesteśmy. Jego dawna lekkomyślność była jedynie niezdecydowaniem.

Późnym przedpołudniem podpisali z Kozetą dokumenty dotyczące utworzenia dość szczególnego przedsięwzięcia. Chodziło o bank dający pożyczki biednym, sierotom i pracownikom aktualnie bez zatrudnienia. Aby otrzymać z niego pożyczkę, wystarczyło zaświadczyć słowem honoru. Żonaty robotnikom miała być przyznawana pomoc w wysokości od trzydziestu do pięćdziesięciu franków. I to bez procentów. Spłaty miały być rozłożone na dwanaście miesięcznych rat. Lekcje Jeana Laffite'a wydały plon. Mariusz nie zapomniał.

Doradcą miał być bankier wyznaczony przez króla. Podczas swego drugiego spotkania z Mariuszem Ludwik Filip zgodził na ten projekt. Do kas wspomnianego banku przekazano dwieście tysięcy franków. Poza ministrem handlu Hipolitem Passy w przedsięwzięciu tym uczestniczyli niektórzy bankierzy, na przykład Odier i Hottinguer. Jednak to Mariuszowi król pogratulował przede wszystkim tej inicjatywy.

— Jest pan bohaterem w Ameryce, będzie pan też bohaterem we Francji, baronie Pontmercy!

Mariusz nie dbał o to. Nie czuł ani odrobiny sympatii do tego króla. Zależało mu na zdobyciu funduszy dla banku nowego typu.

Wczesnym popołudniem Mariusz i Kozeta wrócili na ulicę Saint-Fiacre. Mieszkanie dla Javerta było skończone, Magdalena zajęła pokój sąsiadujący z pokojem małego Jeana. Po paru dniach posłaniec przyniósł im list. Nadawcą był Amadeusz. Zawiadamiał, że pod koniec miesiąca odbędzie się jego ślub i że kupił mieszkanie przy ulicy de Bourgogne. Chociaż wiadomości były pomyślne, list był utrzymany w smutnym i melancholijnym tonie. „Gdy się ma przecucie, że właściwie wszystko jest już za nami — czytali — możemy jedynie zeglować tam, dokąd niesie nas nostalgia”. Jednak list kończył się akcentem optymistycznym: Amadeusz cieszył się na spotkanie u Eugeniusza Sue z przyjaciółmi, wśród których miał być Javert.

Kozeta i Mariusz natychmiast udali się do Inwalidów. W drodze, która ich wiozła, trzymali się za ręce. Z ich ust nie padło ani jedno słowo. Na kolanach Kozety stał mały koszyk pomarańczy. Były przeznaczone dla człowieka, który część życia poświęcił na nękanie jej ojca.

Pierwszy przerwał milczenie Mariusz:

—O czym myślisz?

—O ojcu. O człowieku, który nazywał się Jean Valjean. Czy wiedziałeś o wszystkim?

Mariusz trochę się speszył. Potem rzekł śmiało:

— Przed trzema laty, tuż przed śmiercią twego ojca, przy szedł do mnie Thénardier, by w zamian za pewną tajemnicę wydusić ze mnie trochę pieniędzy. Oznajmił, że twój ojciec jest przestępcą, ale nie wiedział, że ów przestępca uratował mi życie, niosąc mnie na plecach przez paryskie kanały. Denuncjując go, denuncjował moje uchybienia. Denuncjując go, ujawniał prawdę. Zżerały mnie wyrzuty sumienia. A po śmierci twego ojca czułem się jeszcze gorzej. — Umilkł na chwilę, a potem ciągnął: — Tak, Kozeto, mam do siebie pretensję.

I prawdopodobnie to niezadowolenie z siebie zdecydowało o wszystkim, co nam się przytrafiło w ciągu ostatnich trzech lat. Niepewność, zwątpienie, przekonanie, że okazałem się niewdzięczny i nazbyt zepsuty, przyspieszyły bieg zdarzeń. Twój ojciec sam opowiedział mi o swej przeszłości. Zgorszyłem się jak jakiś idiota. Ojciec mojej narzeczonej byłym galernikiem?... Przypomnij sobie, opuściliśmy go... Umarł ze zgryzoty... Trochę przeze mnie. Nie mogłem sobie tego darować... Ale kiedy trafiłem na galery, siła Jeana Valjean stała się moją siłą. Przeżyłem dzięki niemu... On spędził na galerach dziewiętnaście lat, ja tylko jeden krótki rok.

Kozeta mocniej ścisnęła rękę Mariusza i spojrzała na niego wymownie. Błękit jej oczu stał się niemal przezroczysty.

—Swoją siłę zostawił tobie i mnie, Mariuszu. Już nigdy nie będziesz niczego przede mną ukrywał?

—Nigdy.

U Inwalidów zastali Javerta z ziemistą twarzą, opartego wysoko na poduszkach. Oddech miał chrapliwy i przerywany, jakby brakło mu tchu. Był osłabiony, zatruty lekami, a na twarzy widać już było technienie śmierci.

Mariusz stał, Kozeta usiadła na taborecie przy łóżku. Koszyk z pomarańczami postawiła na nocnej szafce.

— Żeby nabrał pan sił na dzisiejszy wieczór — powiedziała.

Uśmiechnął się słabo. W sali było słychać jęki, kaszel przechodzący w rżenie, słowa, które, jak się zdawało, nie budziły już żadnego echa.

— O ósmej przyjedzie po pana dorożka — podjęła Kozeta, poprawiając mu kołdrę. — Idziemy wszyscy na kolację do Eugeniusza Sue, przy ulicy de la Pepiniere osiemdziesiąt trzy. Na tej kartce zostawiam panu adres.

Javert nie odrywał oczu od Kozety. Było widać, że wstydzi się swego niedołęstwa. Potwierdził skinieniem głowy. Dzisiaj chciałby być młody i zdrowy.

— Mimo wszystko przysłała pani — szepnął. — Mimo to, co uczyniłem pani ojcu...

Javert nigdy niczego nie zapominał. Jak mógł uporać się ze swymi wyrzutami sumienia? Wstydził się swego ciała, swego nazwiska, swojej niesprawiedliwości. Czy jednak przed czterema laty, postanawiając skończyć z życiem i rzucić się do Sekwany, przez ów barbarzyński chrzest niesprawiedliwy Javert nie uzyskał odkupienia grzechów i wstępu do świata sprawiedliwych? Co powinien jeszcze udowodnić?

— Jest pan taki sam jak mój ojciec — stwierdziła Kozeta.

Były policjant odkaszlnął lekko. Oczy zaszyły mu mgłą, gardło się ścisnęło.

—To najpiękniejszy komplement, jaki mi kiedykolwiek zrobiono... — Potem rzekł poważnie: — Przebacza mi pani, Kozeto?

—Przebaczam.

Mimo świdrującego bólu, który zaczynał się w krzyżu i dochodził aż do piersi, Javert ujął rękę Kozety i gorąco ją ucałował. Na swym szpitalnym łóżku miał mnóstwo czasu na rozmyślanie. Jeśli nawet czułość, jaką darzył Kozetę, przypominała miłość, nikomu nie udało by się wydusić z niego takiego wyznania. Wolał mówić o szacunku, przyjaźni, współczuciu, uczuciach, które uwznioślają człowieka i czynią życie piękniejszym. Ale grając rolę ojca dziecka Kozety, poczuł się w końcu trochę jej mężem. Dręczyło go to coraz bardziej. A na pytania, na które tak dobrze umiał odpowiadać przez większą część życia, obecnie nie czuł się na siłach odpowiedzieć. Dusza? Nie twierdził już, że to wynalazek ciała prześladowanego myślą o rozkładzie. Melancholia? Nie twierdził już, że to zamięłowanie do tego, co niepotrzebne. A co w ogóle teraz twierdził? Już nic. Owszem, jedno. Kozeta jest księżniczką o niezłomnej duszy i miękkim sercu, o lojalności mężczyzny przy wdzięku kobiety. Już nigdy nie powiedziałby, jak czynią to owi mali, udający nieszczęśliwych, romantyczni pozerzy, że kobiety nie mają duszy. Kozeta sprawiła, że był szczęśliwy, ale nie umiałby jej tego powiedzieć. Ciągłe ta przeklęta wstydliwość. Któręś dnia, widząc, jak młodzi żołnierze wynoszą

starego wojaka, który zakończył życie w strasznych męczarniach, zdradzał. Nawet jeśli jesteśmy bardzo starzy, powiedział sobie, zawsze umieramy za wcześnie. Książd Rillet przynosił mu książki. Javert zapominał o swym cierpieniu, czytając *Myśli* Pascala i *Kubusia fatalistę* Diderota. Pewnego razu, patrząc na siebie w lustrze, które mu przynoszono do golenia, z trudem powstrzymał odruch przerażenia. Przestraszył go widok własnej twarzy. Jak Kozeta może na niego patrzeć bez wstrętu? Czy śmierć kryje się wewnątrz życia jak czaszka wewnątrz twarzy, której jest kośćcem? Cieszyło go tylko jedno. Znow przysnił mu się Jean Valjean. I tym razem na szczycie schodów jego ręka chwyciła w końcu dłoń Javerta. Nieobecny stał się wreszcie obecny.

Kozeta poprawiła mu poduszkę pod głową i podsunęła jasek.

—Czy mamy po pana przyjechać?

—Nie, skądże...

Mariusz zbliżył się do łóżka chorego.

— Panie Javert, onieśmiela mnie pan jeszcze bardziej niż dawniej. Przecież gdyby nie pan, nie byłoby nas tutaj.

Javert wzniosł oczy ku niebu.

— Gdyby nie ja, wasz los byłby lepszy — sprostował. — Kiedy boimy się śmierci, nienawidzimy życia. Problem w tym, że nie zawsze to sobie uświadamiamy. Kozeta i pan nauczyliś cie mnie kochać.

Potem zatroszczył się o ubranie, w którym miał wystąpić wieczorem:

—Kaźcie, proszę, przyszykować mój popielaty surdut, kapelusz z dużym rondem i laskę. Tego wieczoru Javert będzie po raz ostatni Javertem.

—O czym pan mówi? — spytała Kozeta.

—Już ja wiem — odpowiedział zagadkowo, myśląc o śnie z Jeanem Valjean.

Powiedział to prawie wesoło. Gdy Kozeta wyszła na chwilę, by poprosić jedną z sióstr, aby spełniono jego życzenia, szepnął:

— Mój mały Jean...

Mariusz pochylił się nad nim.

— Proszę wybaczyć, nie dosłyszałem.

Javert udał, że się wachluje.

— Strasznie tu gorąco... — I powiedział poważnie: — Panu mogą to powiedzieć. Nie wyprzedzać ani nie zostawać z tyłu; oto na czym polega czujność. Niech pan o tym nigdy nie zapomni.

Kiedy Mariusz i Kozeta opuszczali go, usiłował leżeć prosto na poduszce z ręką uniesioną w geście pożegnania. Zaraz gdy znikli, przyłożył ją do piersi i szeroko otworzył usta, starając się zaczerpnąć powietrza. Wcale nie było mu za gorąco. Dusił się.

Na zewnątrz kościół św. Ludwika tańczył w promieniach słońca. Zawsze coś musi tańczyć, gdy coś innego gaśnie. Cholerne życie.

Eugeniusz Sue mieszkał przy ulicy de la Pepiniere w ładnym domu otoczonym ogrodem i oplecionym pnączami. Bluszcz i kwiaty ustawione na parapetach sprawiały, że w pokojach było ciemno. O siódmej wieczorem, w środku lata, nie miało to żadnego znaczenia. Cała ta zgromadzona tu zbieranina mebli, brązów, żyrandoli z scwrskiej porcelany, gotyckich wielkich szaf i starych organów tchnęła wytwornym, a zarazem cygańskim urokiem. Obrazy przedstawiały konie, psy, dżentelmenów w myśliwskich strojach. Czyż Sue nie szczyił się, że jest myśliwym i namiętym sportsmenem? W przedpokoju stał wypchany pies i myszołów. W salonie na gości czekał wspinały bufet. Srebrna zastawa pochodziła od Mortimera, znanego londyńskiego złotnika. Szampana w kryształowych kieliszkach podawały cztery młode kobiety w staroświeckich strojach. Nie miało to wiele wspólnego z zapowiadaną skromną kolacją.

Zaproszono około sześćdziesięciu osób. Ponieważ modne były adamaszkowe fulary, muśliny, jedwabne rypsy w drobne bukieciki oraz neapolitański jedwab w cienkie paski, można je

było zobaczyć na obecnych paniach. Do szerokich bufiastych rękawów nosiły spódnice z białego muślinu, jedwabne surduty w ciemnych kolorach, dekolty sięgające talii. Mężczyźni, ubrani dyskretniej, mieli na sobie francuskie fraki z oliwko wozielonego sukna ze złotymi guzikami. Wszystko to wydawało się bardzo śmieszne. Młodzi romantycy paradowali we wciętych marynarkach w kolorze zielonej herbaty. Maria d'Agoult pilnowała Liszta, z którym mieszkała teraz w Szwajcarii, a Musset cieszył się z nieobecności George Sand, która wypoczywała w La Chatre. Wśród zaproszonych znaleźli się też Sainte-Beuve, Delacroix, Balzac, Soulie, Vigny, Nodier, Lamartine, Dumas i Hugo. Cała śmietanka Paryża. Większość tych ludzi grzecznie unikała wzajemnego kontaktu. Hugo boczył się na Sainte-Beuve'a, Sainte-Beuve nie rozmawiał z Balzakiem, Balzak zazdrościł Eugeniuszowi Sue. Kobiety miotające się niczym ryby na piasku, z zapalem odgrywały rolę światowych dam. Udawały wzruszenie i używały wyszukanych słów.

Amadeusz, który przyszedł z Klemencją i Rafaelem, skrzywił się. Ludwik de Vergne starał się go ugłaskać i rzekł:

— Eugeniusz zorganizował to przyjęcie jedynie po to, by ci zrobić przyjemność.

Amadeusz trwał jednak przy swoim.

— Nie bawią mnie już takie przyjemności, Ludwiku. Prawdziwe życie jest gdzie indziej, wiem coś o tym.

Rozpogodził się, widząc w małym pokoju, w którym królował czerwony mebel ze złożonymi gwoździami, Mariusza, Kozetę, księdza Rilleta i Kochasia.

— A pan Javert? — spytał przyjaciół z niepokojem.

— Przyjdzie o ósmej — oznajmiła Kozeta. — Ponieważ jest bardzo słaby, nie zabawi długo. Zabierzemy go z Mariuszem na ulicę Saint-Fiacre.

Ksiądz Rillet, który źle się czuł w takim miejscu i towarzysztwie, potrząsnął nieśmiało głową. Wiedział, że Javert nie nadaje się do zgromadzeń tego rodzaju.

W pewnej chwili Amadeusz znalazł się sam z Mariuszem.

—Wrócisz do dziennikarstwa? — spytał.

—Nie wiem. Na razie mam na głowie mnóstwo innych spraw.

—Twój bank utworzony z myślą o najbiedniejszych?

—Między innymi.

Amadeusz, który nosił rękę na temblaku, spojrział Mariuszowi głęboko w oczy.

—Ciągłe masz do mnie pretensję?

—Przede wszystkim mam pretensję do siebie. A to, co widzę dziś wieczorem, boleśnie przypomina mi o moich dawnych błędach.

—Nie miej do siebie pretensji, Mariuszu. Jeśli ktoś tu zawinił, to ja. I wiem, że jedynym sposobem popełniania omyłek jest przyprawianie o cierpienia innych. Niestety nie można naprawić tych błędów. Wszystko, co posiadam dzisiaj, zawdzięczam tobie. Tobie, Kozecie i Javertowi. — I dokończył ze smutkiem:

—Czy będziemy się jeszcze widywali, gdy zamieszkamy na ulicy de Bourgogne? Czyż nie ma Rafaela?

—Tak, Rafael...

Mariusz rzucił okiem na małego. Chłopiec stał z wystraszoną miną między księdzem Rilletem i Klemencją i wpatrywał się w całe to towarzystwo, które dotychczas było dla niego niedostępne. Miał do czynienia tylko z biedakami. Czy ten mały człowiek zapomni o swej przeszłości? Jakże podobne do siebie są dzieciństwo jego i Kozety. Czy świat jest zbudowany tak, że musi karmić się nieszczęściem czystych serc? Gdy oczy Rafaela i Mariusza spotkały się, lekki uśmiech okraślił twarz chłopca. Mariusz, zrozpaczony, dał mu znak ręką.

— Kocha cię jak ojca — podjął Amadeusz. — Nie możesz go zostawić. Jesteś jego wybawcą.

Mariusza wzruszyły te słowa.

— Jeśli pozwolisz, zabiorę go kiedyś do Ogrodu Luksem burskiego. Kozeta powiedziała mi, że jesteś chrzestnym ojcem mojego syna. Może ja będę starszym bratem twojego...

Mariusz zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. Kozeta i on wypili trochę szampana i zjedli po kawałku sernika. Wszyscy zachwycali się tą parą. On był uosobieniem siły, ona woli. Promieniowali niewymownym wdziękiem. Ale czuło się w nich również pewien rodzaj rozczarowania. Igraszki pamięci i *im-promptu*.

W oświetlonym lampami ogrodzie Eugeniusz Sue szepnął Mariuszowi i Kozecie, że chce im przedstawić Wiktora Hugo, któremu opowiadał o nich. Wielki człowiek pasjonował się wszystkim, co dotyczy sprawiedliwości.

— Drogi Wiktorze, oto baronostwo Pontmercy.

Wiktor Hugo, który wyjechał na ten dzień z Fourqueux, zostawił las w Marły i Juliettę Drouet, by spotkać się ze swym przyjacielem Aleksandrem Dumas, właśnie z nim rozmawiał. Dumas poznał Kozetę. Czyż nie była to młoda kobieta, dla której wziął udział w pewnej uroczej zabawie literackiej? Niejaka Eufrozyna, zaprzyjaźniona z George Sand? Był człowiekiem wspaniałomyślnym, ale także lojalnym, potrafił trzymać język za zębami. Udał, że widzi ją po raz pierwszy. Natomiast nazwisko Mariusza z czymś mu się kojarzyło. Czy ten młody człowiek nie był przypadkiem krytykiem w „Le National”?

— Tak jest, byłem — potwierdził Mariusz.

Wiktor Hugo, posepny, a także zamknięty w sobie, nie był człowiekiem, który zwierzałby się przypadkowym znajomym. Jednak po prezentacjach zasypał Mariusza i Kozetę pytaniami. Ich historia zafascynowała go. Sue i Dumas określili ją jako epicką legendę, ale on widział w niej wielki dramat społeczny.

— Przecież nie będzie się pan bawił w Balzaka! — powie dział szyderczo Dumas.

Wiktor Hugo zacisnął usta. Potem zwrócił się do Mariusza:

— Powinien pan spisać wszystko, co się panu przytrafiło, panie Pontmercy. Nasza epoka potrzebuje takich właśnie do kumentów, które potrafią uchwycić twardą rzeczywistość. Dzięki podobnym świadectwom powinniśmy się dowiedzieć, w jaki

sposób do duszy człowieka, który wydaje się silny i pełen zapału, może wślizgnąć się rozpacz.

—To, co mnie spotkało, jest niczym — odparł Mariusz. — Najstraszliwszy i najbardziej poruszający był los mego świętej pamięci teścia. Spędził na galerach dziewiętnaście lat. A dlaczego? Bo ukradł bochenek chleba.

—Czy to pani ojciec? — spytał Wiktor Hugo Rozety.

—Tak. Człowiek skazany przez pomyłkę. Najlepszy z ludzi.

—Publiczność uwielbia takie historie — wtrącił się Eugeniusz Sue.

Kozeta spojrzała mu prosto w oczy i mimo sympatii, jaką w niej budził, odpowiedziała trochę sucho:

— Ja ich nie uwielbiam.

Wiktor Hugo, nieco zażenowany, rzucił Kozecie uśmiech pełen współczucia.

— Rozumiem panią. To, co boli, musi czasem pozostać w ukryciu. Ale mówienie o tym pozwala również uporać się z paroma starymi demonami. Proszę mnie kiedyś odwiedzić, gdyby miała pani ochotę. Powiedziała pani, że jej ojciec był najlepszym z ludzi? Musi więc pani wiedzieć, że racja najlepszego jest często najsilniejsza.

Przesyłając swym przyjaciółom spojrzenie pełne aprobaty, Eugeniusz zaproponował, by weszli do środka na kieliszek szampana. Wesołym głosem dodał, że gdy atmosfera jest gorąca, trunek ten trzeba pić bardzo schłodzony.

— To lepsze niż pić ciepły trunek w lodowatej atmosferze — zażartował Dumas.

Mariusz i Kozeta roześmiali się z przymusem. Elokwencja Dumasa zachwyciła ich. Przez to wszystko prawie zapomnieli, która jest godzina.

Dokładnie o ósmej do pana domu podszedł dozorca.

— Wiadomość dla baronostwa Pontmercy.

Eugeniusz Sue wziął kopertę i podał ją Mariuszowi, który natychmiast ją otworzył. Jego spojrzenie sposepniało. Często pośród wesela zdarza się nieszczęście, by nam przypomnieć

o kruchości naszej kondycji. Mariusz ujął ręką Kozety i powiedział: — Pan Javert nie przyjdzie. Umarł.

*

Pogrzeb odbył się dwudziestego siódmego lipca, dwa dni przed inauguracją Łuku Triumfalnego, której dokonał Tiers na placu de l'Etoile. W szpitalu Javert nabazgrał kilka słów do Mariusza i Kozety. W kopercie była skórka pomarańczy. Czując zbliżającą się śmierć, napisał, że pragnie być pochowany na cmentarzu Pere-Lachaise.

„Aby leżeć w dobrym towarzystwie — dodał dużym, drżącym pismem. — I wiem, o czym mówię”.

Ostatni piruet. Samotnik umarł w samotności. Pochowano go obok Jeana Valjean, w miejsce Aleksandra Tixier. Na pogrzeb przysła garstka ludzi. Tylko Mariusz, Kozeta, Amadeusz, Kochaś, Magdalena z małym Jeanem na rękę i ksiądz Rillet. Kozeta przypomniała sobie słowa Wiktora Hugo: „Racja najlepszego jest często najsilniejsza”. Pewnego dnia może opowie mu swą historię.

FRANCOIS CERESA - francuski dziennikarz, krytyk literacki i prozaik. Pisuje do *Le Figaro* i *Le Nowel Obseryateur*. Autor kilkunastu książek. Laureat nagród literackich i dziennikarskich, m.in. prix Leau-taud, prix Jean Freustie, prix Joseph Delteil.

NĘDZNICY (1862) Victora Hugo to jedna z najświetniejszych, najchętniej czytanych powieści w historii francuskiej literatury. To także tytuł głośnego musicalu, od lat wystawianego z powodzeniem na wielu światowych scenach. Unieśmiertelnieni przez Hugo bohaterowie, Kozeta, Mariusz i inspektor Javert, powrócili na kartach dwóch książek napisanych współcześnie przez dziennikarza i prozaika Francois Ceresę - *Kozeta. Czas złudzeń i Ucieczka Mariusza*. Opublikowane w 2001 roku w atmosferze literackiego skandalu, spotkały się z ogromnym zainteresowaniem czytelników. Pra-pra-wnuk widkiego pisarza, Pierre Hugo, próbował sądownie wstrzymać ich publikację, domagał się też milionowego odszkodowania za rzekome naruszenie praw autorskich lecz sąd oddalił jego pozew.